

Maier
Paul L.

Oścień śmierci

tłumaczył
Adam Szymanowski

EXOT

PALABRA • Warszawa 1997

Tytuł oryginału
A Sicleton In God's Closet

© 1994 by Paul L. Maier

© for the Polish edition
by Wydawnictwo Misjonarzy Kiaretyków PALABRA,
Warszawa 1996

Ilustracja na okładce

Robert Pawlicki

Projekt okładki **Krzysz-
tof Jaśkiewicz**

Redaktor **Joanna**

Dyga

Korekta

Zespół

ISBN 83-85482-77-6

Wydawnictwo Misjonarzy Kiaretyków PALABRA ul.
Poborzańska 7, 03-368 Warszawa

Druk i oprawa: Łódzka Drukarnia Dziełowa S.A.

Przedmowa

Chociaż większość postaci w tej książce jest fikcyjna, przewijają się przez jej karty także postacie autentyczne. Ponieważ nie mogło być mowy o tym, żeby wzięły na siebie odpowiedzialność za to, co dzieje się w tej powieści, nie zabiegałem o ich zgodę. Wszystkie są wystarczająco znane, by stanowić „własność publiczną”, i wszystkie, mam nadzieję, uznają, że ich portret przedstawiony na tych kartach jest odpowiedni i podobny. Czytelnik powinien jednak wiedzieć, że kwestie, które padają z ich ust, są wymyślone przeze mnie, a nie przez te osoby.

Można by mniemać, że intryga takiej powieści narzucała się przez dziewiętnaście ostatnich stuleci, o ile jednak wiem, nie opublikowano żadnej książki na ten temat, póki mnie nie przyszedł do głowy jej pomysł w trakcie pisania w 1966 roku *Poncjusza Piłata*. W późniejszych latach byłem zaprzątnięty innymi zajęciami, a w tym czasie ukazała się jedna, druga powieść, której intryga przypominała z grubszą to, o czym opowiada moja książka. Jednak pierwszy zarys tej książki napisałem wiele miesięcy przed ukazaniem się tamtych tytułów i czytelnik potwierdzi zapewne, że moje podejście do tematu jest w pełni oryginalne.

Szczególne podziękowania jestem winien profesorom Douglasowi J. Donahue, Stephenowi M. Fergusonowi, Nancy L. Lapp, Walterowi A. Maierowi III, a zwłaszcza Walterowi E. Rastowi za wsparcie techniczne. Słowa wdzięczności kieruję również pod adresem Opal EHis, Connie Erickson, Lindy Gaertner, Davida H. Scotta i Davida Stouta za ich rady i pracę nad rękopisem.

P.L.M.
Western Michigan University
1 sierpnia 1993 roku

Prolog

Pewne odkrycie archeologiczne zagroziło ogromnym wstrząsem całej zachodniej cywilizacji. Dotyczyło ono co trzeciego mieszkańca ziemi, mniej więcej 1800000000 ludzi, których życie zostało nagle i brutalnie wyrócone do góry nogami. Było to tak, jakby człowiek obudził się pewnego pięknego ranka i stwierdził, że tydzień liczy dziesięć dni, każda godzina czterdzieści trzy minuty albo że należy liczyć 1,2,8,4,5, a w dodatku - cóż za szaleństwo! - nikt nie widzi, by coś było nie w porządku.

Ziemia niechętnie wyjawiała swój sekret i rydel, który zmienił świat, dopiero latem natrafił na jego ślad. Na razie w życiu Jonathana Webera, profesora studiów bliskowschodnich na uniwersytecie Harvarda, nadal panowała wiosna. Gdyby wiedział, że to jego ręka ujmie rydel, być może tego czerwca nie przyjąłby rocznego urlopu naukowego, zwanego w Ameryce *sabbatical*.

I

S*abbatical*: roczny urlop na prace badawcze, odpoczynek albo podróże, udzielany profesorom wyższych uczelni co siedem lat.

„To największy motor akademickiego życia” - powtarzał często Jonathan Weber, chociaż sam był w ostatnich latach zbyt zajęty, by skorzystać z takiego urlopu. Spod „Najpracowitszego Pióra na Wschodnim Wybrzeżu”, jak określił kiedyś Webera „Time”, płynęła istna rzeka artykułów naukowych i książek. Jeśli do profesorów uniwersyteckich odnosi się hasło „publikuj albo po tobie”, Weber najwyraźniej zabiegał o nieśmiertelność.

Jego główne dzieło, Jezus z Nazaretu, ukazało się zeszłej jesieni, trafiając na okres przedświątecznych zakupów. Była to rzecz bardzo erudycyjna, bardzo obszerna, a przy tym „do czytania”: 580-stronicowy tom miał być bombą na rynku księgarskim, ale bombą tylko dla świata naukowego. Jednak bomba eksplodowała na rynku daleko szerszym i następne miesiące wywróciły do góry nogami spokojne, akademickie życie Webera: wywiady przeplatały się z wystąpieniami telewizyjnymi, pochwały z polemikami. Niektórzy koledzy otwarcie zrzędzili, że popularność jest plamą na honorze nauki, a może nawet uczonego.

Nie warto się przejmować - myślał Weber. W czerwcu, pod koniec semestru, wymknie się z pułapki sukcesu i pożegna z salą wykładową. *Sabbatical* będzie jego ratunkiem, a Austin Balfour Jennings - zbawcą. Kilka miesięcy wcześniej Jennings, światowej sławy

archeolog z Brytyjskiej Szkoły w Jerozolimie, zapragnął ujrzeć Webera w Izraelu i przysłał mu ten oto żartobliwy list:

Drogi Kolego, Pańskie ostatnie publikacje wskazują, że zapamiętał Pan przynajmniej część z tego, co kładłem Panu do głowy w Oksfordzie za czasów stypendium Fundacji Rhodessa. Co by Pan jednak powiedział na propozycję, by spróbować sił w terenie? Wiem, spędził Pan lato z Rastem, rozkopując ten niewiarygodny cmentarz nad Morzem Martwym. Ale to nic w porównaniu z tym, co odkrywamy w Rama. Najlepiej Pan zrobi, jeśli dołączy Pan do nas tego lata i powbija sobie brudu za paznokcie, pracując dla sprawy, która jest tego warta. Mamy tu świetnego faceta...

Rama to rodzinne miasto proroka Samuela, a chociaż Jenningsowi nie udało się znaleźć jak dotąd grobu samego proroka, wykopał parę artefaktów; „być może sensacyjnych i ważnych” - pisał. I dodał: „Musi Pan przyjechać i dzielić z nami emocje!”

Taki język nie bardzo pasuje do Jenningsa - pomyślał Weber, przypomniawszy sobie, że jego oksfordzki mentor gardził sensacją. Ten mistrz niedomówień, Brytyjczyk trzymający język za zębami, na pokładzie okrętu Kolumba pewnie by ziewnął, kiedy na horyzoncie ukazałby się ład. Weber próbował wydusić z niego więcej szczegółów, nie szczędząc pochlebstw w swoich listach, ale nic to nie dało: Jennings powie mu wszystko, ale tylko osobiście, tylko w Izraelu i tylko na stanowisku wykopaliskowym.

Długo oczekiwanego, dziewiątego dnia czerwca Jonathan Weber przeegzaminował ostatniego studenta, uporządkował papiery seminaryjne i z całym fakultetem ruszył w uroczystym pochodzie przez dziedziniec Harvardu. Także dla Webera ta procesja była częścią rytuału inicjacyjnego, jako że zaczynał się dla niego piętnastomiesięczny urlop - jeśli wliczyć wolne od zajęć dydaktycznych miesiące letnie. Kiedy wrócił tego wieczoru do domu w podmiejskim Weston, nie nastawił budzika, bo zamierzał przespać niedzielny ranek jak rozpieszczany przez rodziców wyrostek.

Dźwięk dzwonka był przenikliwy, uporczywy, jednym słowem - brutalny.

- O tej porze! - mruknął Weber. Podniósł słuchawkę i burknął coś, co od biedy mogło uchodzić za „Halo!”

- Tutaj Watykan, centrala telefoniczna. Czy jest doktor Jonathan Weber?

- Przy telefonie.

- Chwileczkę, zaraz doktor Sullivan...

Zanim zdążyły zareagować zaspane neurony Webera, rozległ się - nieprzyzwoicie głośny jak na tę odległość - głos kolegi z czasów studenckich.

- Cześć, Jon! Mam nadzieję, że już nie spałeś.

- Cześć, Kevin! Nie, w porządku. - Właściwie dlaczego kłamię?

Dodał: - Chociaż mamy, cholera, piątą pięćdziesiąt pięć rano!

- No tak, ale u nas, w Rzymie, jest południe. Nawiasem mówiąc, piękny dzień!

- Cóż za sprawę może mieć do mnie wielbny doktor filozofii Kevin F.X. Sullivan, S.J., oczywiście poza przekazaniem mi komunikatu meteorologicznego? Przepraszam, stary. Dopiero się budzę. Miło znowu cię słyszeć!

- Jak tam twoja książka o Jezusie?

- Możesz wierzyć albo nie, ale ciągle pnie się w górę listy. Nie mam pojęcia dlaczego...

- Gratulacje! A propos, Mondadori wydał cię właśnie po włosku.

Gesu di Nazareth.

- Już? Nie wiedziałem, że tak się pospieszą.

Weber był teraz całkowicie rozbudzony. Autorzy nigdy nie tracą zainteresowania swoim płodem.

- O ile wiem, zamierzasz kopać przez lato w Izraelu, Jon?

- Tak. W Rama. Z Jenningsem.

- Kiedy wyruszasz?

- W przyszły czwartek.

- W czwartek! Dobrze, że cię jeszcze złapałem! Jon, chciałbym prosić cię o wielką przysługę...

- Wal!...

- Czy mógłbyś po drodze zajrzeć do Rzymu?

- Po co? Mam bezpośredni lot do Tel-Awiwu.

- To... to sprawa niezwykle ważna, Jon.

- O co chodzi?

- Hmm... nie mogę powiedzieć przez telefon. Zaufaj mi.

Deja vu - pomyślał Weber. - Najpierw Jennings, teraz Sullivan.

Zaufaj, przyjeźdź! Nieprzenikniony Wschód!

Po chwili powiedział:

- Jeśli nie chodzi o coś w rodzaju trzęsienia ziemi, Kev, polecę chyba bezpośrednio. Może wracając...

- Jon, jesteś tu nam potrzebny!... Owszem, może to być prawdziwe... trzęsienie ziemi!

- Komu „nam”?

- Hmm... Ojcu Świętemu i mnie.

- Jasne! A potem prosto do Moskwy, by wziąć udział w przyjęciu na Kremlu. Tak?

- Nie. Nie żartuję, Jon. Sprawa jest śmiertelnie poważna.

Weber milczał dłuższą chwilę, a potem spytał:

- Dlaczego ja?

- Pamiętasz, jak doradziłeś mi w sprawie Całunu... jak skoordynowałeś badania naukowe?

Weber wrócił myślami do czasów Jana Pawła II, kiedy przekonał Watykan, że domniemany śmiertelny całun Jezusa, Całun Turyński, należy poddać testowi na wiek, wykorzystując metodę węgla C-14.

- Ile czasu potrzebujesz?

- Dzień. Chyba że zechcesz, żebym oprowadził cię po Rzymie.

- Dziękuję, innym razem... No dobrze, Kev. Zmienię rezerwację na Alitalia i zatrzymam się w Wiecznym Mieście. Zadzwońę wkrótce i podam ci dane lotu.

- Dzięki, Jon! Do zobaczenia! *Ciao!*

Wieczorem przed przyspieszonym teraz odlotem Weber mógł wykreślić ze spisu spraw do załatwienia wszystko poza telefonem do rodziców. Wybrał numer w Hannibal, stan Missouri. Po drugim sygnale słuchawkę podniosła matka.

- Mieszkanie pastora Webera.

- Czy nie mieszka tu również pani Weber? - spytał Jon.

- Kto... kto mówi?

- Jestem przedstawicielem bostońskiego oddziału Ruchu Wyzwolenia Ko...

- Jonathan! Jon, to ty?... Erhardzie! Weź drugą słuchawkę! To Jonathan... Jon, tacy jesteśmy z ciebie dumni! Kilka pań z naszego kościoła kupiło książkę i...

- Kilka? - zagrzmiął z drugiego telefonu kaznodziejski głos wielbego Erharda Webera. - W „St. Louis Post-Dispatch” jesteś już od paru ładnych tygodni na szczycie listy bestsellerów. Gratuluję ci, synu!

- Przecież... przecież to nic takiego wielkiego, ale dziękuję, tato. Po drodze do Izraela zatrzymam się w Rzymie.

- Dlaczego w Rzymie? - zdziwiła się matka. - Wiedzieliśmy, że lecisz do Izraela, ale...

- No cóż... mam tam parę spraw, między innymi zamierzam uciąć sobie pogawędkę z papieżem.

Od chwili rozmowy z Sullivanem marzył o tym, żeby tę bombę podrzucić do luterańskiej plebanii w stanie Missouri.

- No cóż, synu... świetnie. Ale w czym rzecz? Chyba nie na wróciłeś się na katolicyzm?

Jon wybuchnął śmiechem.

- Nie. Kiedy będzie po wszystkim, złożę ci wyczerpujące sprawozdanie. Ale mam, proszę cię, nie przysyłaj mi paczki protestanckich broszur, żebym wręczył papieżowi.

- He, he - zachichotał pastor. - Trudi gotowa byłaby to zrobić! He, he!

- No, muszę kończyć. Macie mój izraelski adres?

- Pewnie.

- Jonathanie - wtrąciła się matka. - Ja... ja tak bym chciała, żeby Andrea poleciała z tobą...

- Nie, mam. Nie teraz. Będziemy w kontakcie. Trzymajcie się!

Chociaż wzywali już pasażerów, Jon, lawirując między pasażerami na bostońskim dworcu lotniczym Logana, pobiegł do kiosku z gazetami i kupił „New York Times”, a dopiero potem pospieszył w stronę Boeinga 747 należącego do linii Alitalia. Wsunął się na swoje miejsce i znalazł dział poświęcony książkom. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Odwzajemnił się sam sobie uśmiechem z zajmującej trzy szpalty fotografii w rubryce „Portret pisarza”. Pod zdjęciem był podpis: „Jonathan P. Weber, profesor bliskowschodnich studiów na uniwersytecie Harvarda i autor „Jezusa z Nazaretu”.

Materiał nosił nagłówek „Życie Jezusa na szczycie listy”. Ale Jon szybko zrezygnował z czytania i złożył gazetę, gdyż obok usiadła siwowłosa wdowa, która zajrzała mu przez ramię i zaczęła porównywać zdjęcie z oryginałem.

Jednak kiedy już wystartowali, odwrócił się plecami do sąsiadki, rozłożył gazetę i zaczął czytać artykuł - ukradkiem, jakby to było pismo pornograficzne. Krzywił się trochę, przeczytawszy pierwsze zdanie, uznał bowiem, że dziennikarz wykazał się brakiem taktu.

„Jezus” to tytuł najnowszego bestselleru i reakcja przemysłu wydawniczego na coś, co może stać się największą sensacją sezonu. Żywoty Chrystusa nie są niczym nowym na rynku wydawniczym - ocenia się, że tylko w naszym wieku opublikowano na świecie 20 tysięcy tytułów - i wiadomo, że o Jezusie napisano więcej książek niż o jakiegokolwiek innej postaci historycznej. Co więc wyróżnia na tym tle pracę Webera? Jury krytyków nadal nie sformułowało oceny, ale wstępne rozpoznanie wskazuje, że chodzi o sposób, w jaki autor uzupełnił opowieść biblijną nowymi dowodami z szerokiego wachlarza dziedzin, od babilońskiej astronomii po prawo obowiązujące w rzymskich prowincjach. Poza tym książka została napisana bez oglądania się na różnice wyznaniowe. Spotkała się z uznaniem ewangelików, większości protestantów, rzymskich katolików, a nawet...

Niezupełnie - zadumał się Jon - fundamentaliści wcale nie przepadają za niektórymi ustępami, ale są wśród nich i tacy, którzy gotowi byłiby krytykować sposób, w jaki Pan Bóg urządził niebo! Wrócił do lektury.

Powstała być może ostateczna, przynajmniej dla naszego pokolenia, wersja życia Jezusa. A dokonał tego uczony o bardzo nieprofesjonalnym wyglądzie i stosunkowo młody (ma zaledwie 43 lata). Nie ocenia jego twarzy broda, nie ma żadnych srebrzystych pasemek w jego gęstych ciemnoblonde włosach. Weber jest średniego wzrostu, szczupły, ale solidnie zbudowany, w doskonałej formie przed podjęciem archeologicznych zadań, jakie czekają go tego lata w Izraelu. Stalowoniebieskie oczy i kwadratowy podbródek kojarzą się z Robertem Redfordem.

- Co za cholerna bzdura! - mruknął Jon i wetknął gazetę w kieszeń w oparciu fotela, który miał przed sobą. Ta słowna strawa zaczynała mu już ciążyć i mogła w końcu spowodować to, że w mózgu zacznie mu się odkładać tłuszcz. On sam najlepiej wiedział, jakie są granice jego możliwości.

Jednak kiedy sąsiadka usnęła, wrócił do artykułu. Dziennikarz skupił teraz uwagę na starożytnych językach, jakie Weber opanował: aramejski (język, którym mówili Jezus i Jego uczniowie), hebrajski, grekę i łacinę. A ponadto przecież współczesne języki, które trzeba znać, żeby czytać literaturę fachową. Prześledził szczegóły swojej kariery od studenckich czasów w Harvardzie do Oksfordu, doktoratu z języków semickich na uniwersytecie Johna Hopkinsa, a wreszcie

zamykającego ten cykl powrotu w roli wykładowcy do Harvardu. Jednak IPC nie zyskał sobie należytej rangi - pomyślał Jon.

IPC, Instytut Początków Chrześcijaństwa, był jego ukochanym dzieckiem. Chodziło o zespół utalentowanych uczonych z całego świata, którzy podczas cokwartalnych sympozjów prezentowali swoje najnowsze osiągnięcia w zakresie badań nad rozwojem chrześcijaństwa w pierwszym wieku. Uczestnicy byli zapraszani i na liście członków znalazła się intelektualna śmietanka, ludzie, którzy ucieszyli się, że ich osiągnięcia znalazły odpowiednie odbicie w nowej książce Jona.

IPC został ufundowany przez filadelfijskiego filantropa, J.S. Nickela, króla sieci sklepów i oddanego sprawie laika, który zapewnił przedsięwzięciu podstawy finansowe. Jon miał nadzieję, że dedykacja w książce: „Joshui Scruggsowi Nickelowi i wszystkim moim kolegom z Instytutu Początków Chrześcijaństwa” zostanie przez wszystkich zrozumiana jako spłacenie długu wdzięczności.

Kolacja na pokładzie Boeinga 747 składała się z pasticcio, prosciutto, melona dla pobudzenia apetytu i tortellini jako głównego dania. Tylko włoski smakosz potrafiłby rozszyfrować następne dania, do których podano dobre roczniki włoskich win. Jon pomyślał, że deser jest zbyt efektowny, a nawet niebezpieczny, gdyż na przykład z „Niespodzianki Wezuwiusza” buchały płomienie. Po posiłku podano brandy, do której przygrywał, przechadzając się po samolocie, skrzypek w ludowym stroju. Alitalia dawała z siebie wszystko na nowej bezpośredniej linii do Rzymu.

Jon zgasił lampkę nad głową i starał się przespać kilka godzin, zanim zbyt wczesny brzask przejmie samolot gdzieś nad Irlandią. Jednak jego umysł przez cały czas pracował. Przeżywał jakieś dziwne współoddziaływanie, osobliwe przeplatanie się dwóch całkowicie odmiennych nastrojów: dumę z sukcesów, a jednocześnie uporczywy ból z powodu straty, przez którą w jego życiu pojawiła się ogromna pustka. Oto radości, jaką niosła mu kończąca się wiosna kariery naukowej, nie mogła dzielić z nim osoba, na której najbardziej mu zależało.

Dlaczego? Raz jeszcze zadał sobie bolesne pytanie, które ludzie zawsze zadawali sobie od czasów Hioba. Kiedy był młodszy i bardziej zaangażowany w życie religijne, pytanie to zadawał Bogu. Ale Bóg nie odpowiedział.

Andrea zasługiwała na to, by dzielić z nim sukces. Miała w tym przecież swój ogromny udział. Album jego rozbudzonego umysłu otworzył się na wspomnieniu lipca spędzonego w czasach oksfordzkich w Heidelbergu. Pierwsza migawka ukazała śliczną, drobną blondynkę gładzącą książkę w bibliotece uniwersyteckiej. Uznał wtedy, że musi to być albo Niemka z północy kraju, albo Skandynawka. Następna migawka to dziewczyna na przyjęciu w Roter Ochsen, unosząca dzban z piwem i zdmuchująca mu pianę prosto w twarz, kiedy wyraził wątpliwość, czy rzeczywiście nazywa się Fulbright i przyjechała tu z Wirginii! (Nie chciała rozmawiać po angielsku i bardzo biegle posługiwała się niemieckim.) Przed oczyma wyobraźni Jona przesuwwały się kolejne fotografie, kolejne powiększenia skandalicznie szybkiego romansu.

Było to zupełnie jak w Student księciem Sigmunda Romberga. Niemcy mogli nazywać to *schmaltz*, ale każda sylaba starej pieśni uniwersyteckiej jasno i wyraźnie mówiła o Andrei i o nim.

*Ich hab' mein Herz in Heidelberg verloren
auf einer lauen Sommer Nacht...*

Angielski nie jest w stanie oddać tego nastroju: „Straciłem serce w Heidelbergu w łagodną, letnią noc...”

Oświadczył się jej jednej z takich wygwieżdżonych nocy, kiedy stali na murach wielkiego zamku i patrzyli z góry na Neckar. Zawahała się, stropiona szaleńczym tempem, jakiego nabrała ich przygoda, ale po chwili zarzuciła mu ramiona na szyję i szepnęła: „I tak za rok będę czuła dokładnie to samo... Tak, Jon! Chcę być twoją żoną... chcę być całym sercem”.

Wydawało się, że w dolinie u ich stóp połowa wszystkich niemieckich fajerwerków rozbłysła, jakby czekając na ten właśnie moment: *Schlossbeleuchtungen*, czyli odbywający się każdego lata heidelberski pokaz sztucznych ogni, połączony z iluminacją zamku. „Oto najodpowiedniejsza przy takiej okazji muzyka!” - powiedział Jon, z sercem przepelnionym radością, zamykając gibką, smukłą postać w ramionach.

Kiedy wzięli ślub i osiedli w Baltimore i Cambridge, obietnica szczęścia stała się rzeczywistością. Andrea bez zarzutu pełniła rolę pani domu, kolegi i krytyka - równie dobrze czuła się w kuchni, jak w jego gabinecie. Chciała też być matką, ale zwlekali, aż nabierze rozmachu IPC. W zeszłym listopadzie uszczęśliwiona Andrea oznaj-

miła, że jest w ciąży, i uczcili to wyjeżdżając do Szwajcarii, do Davos, na drugi miesiąc miodowy.

Oboje świetnie jeździli na nartach, ale żadne nie próbowało dotąd swoich sił w Davos. Na początku grudnia mgły szczelnie otuliły Alpy i ostatniego dnia wakacji Jon i Andrea usłyszeli przy śniadaniu strzały armatnie, mające w sposób kontrolowany strącić lawiny, póki nie nagromadzi się niebezpiecznie dużo śniegu. Ciepły wiatr z południowego wschodu dowiódł, że nie była to zbędna ostrożność, ale ktoś nie zauważył masy śniegu spiętrzonej nad niewidocznym z dołu fragmentem trasy przeznaczonej dla zaawansowanych narciarzy.

Jon rzucał się na samolotowym fotelu, zaciskając z całych sił dłonie na oparciach, rozpaczliwie próbując skierować przeszłość na inny tor, tak by po śniadaniu wyjechali po prostu z Davos i wsiedli do samolotu lecącego do domu. Zbudował nawet zupełnie nowy scenariusz dalszych wydarzeń, według którego Andrea, cała i zdrowa, spała teraz w sąsiednim fotelu, opierając głowę na jego ramieniu.

Nic z tego! Przekłeta niech będzie nieubłagana przeszłość! Przekłeta nieodwołalność historii! Chcieli zjechać tą trudną trasą, zanim opuszczą Davos. Kiedy mknęli łukiem pod stromym urwiskiem, rozmiękły śnieg oderwał się od zmrożonej podstawy i z pomrukiem, który przeszedł zaraz w łoskot, runął prosto na nich. Jon, który jechał za Andrea, wrzasnął co sił w płucach: „Lawina!” i skrył się pod skałą. Patrzył bezsilnie, jak lawina unosi z trasy jego ukochaną Andreeę i grzebie pod czterdziestoma pięcioma stopami śniegu. Na nic się zdały okrzyki „Lawina! Lawina!”, choć sprowadziły helikoptery i zespoły ratownicze z długimi tyczkami do sondowania śniegu i psami. Zbyt dużo czasu minęło, zanim zlokalizowano i wykopano niezranione, ale martwe ciało Andrei. Nie przeżyła trzygodzinnego wyziębienia. Tak samo jak ich maleńkie, nienarodzone dziecko.

Od tamtego wydarzenia minęło już prawie półtora roku, osiemnaście miesięcy wypełnionych szaleńczą, zagłuszającą ból pracą nad książką, która miała stać się pomnikiem Andrei. Ale kiedy miał napisać dedykację na gotowym już rękopisie, z jakichś powodów nie mógł się zdobyć na to, żeby przed imieniem Andrei umieścić słowo „pamięci”. Postanowił, że pewnego dnia napisze książkę o miłości i tę książkę zadedykuje Andrei.

Tuż przed zapadnięciem wreszcie w sen zastanawiał się jeszcze, czy w tym, że nie zadedykował ukochanej kobiecie książki, poświę-

conej tematowi tak religijnemu, nie ma jakichś głębszych powodów. Może czuł gniew, że Bóg, który „strzeże nas i chroni przed wszelkim złem”, jak wyjaśniał *Wyznanie wiary* Luter, najwyraźniej spał w ten wczesny alpejski ranek? A może Go nie było?

Jednak nie. Kobieta taka jak Andrea była widomym znakiem, że Bóg istniał.

II

Uwaga, pasażerowie! Prosimy o zapięcie pasów przed lądowaniem! - rozległ się z głośników, najpierw po włosku, potem po angielsku, głos pilota. Jon obudził się, przeciągnął, przestawił zegarek z 2³⁰ według czasu Massachusetts na 8³⁰ według czasu włoskiego i wyjrzał przez okno. Stada śmietankowych chmur rozstępowały się, ukazując w dole gnuśny, zielony wąż Tybru osaczonego z obu stron przez cegłę, kamień i marmur Rzymu.

Bywał już przedtem w Rzymie, ale za każdym razem, kiedy lądował w Wiecznym Mieście, czuł przyspieszone bicie serca. Brak uczucia czci dla tego miasta byłby barbarzyństwem. Zakuty w kajdany święty Piotr przystanął na Via Appia, by chłonąć jego cuda. Wiele wieków później saksoński mnich, Luter, uklęknął na drodze, Medy po raz pierwszy zobaczył „święty Rzym” - tak samo jak mrowie pielgrzymów przed nim i po nim. Samolot zrobił łuk nad atlasowym Morzem Śródziemnym, obniżając lot, przemknął nad ruinami Ostia Antica i dotknął kołami pasa na lotnisku Leonarda da Vinci.

Jak tylko przeszedł przez kontrolę celną, nad zgiełk powitań i całą kakofonię panującą w terminalu dworca lotniczego wzbił się znajomy głos.

- *Benvenuto*, Jonathan!

Jon obrócił się i zobaczył wymachujące ręce i uśmiechniętą twarz, które przynosiły wspomnienie szczęśliwej przeszłości.

- Witaj, Kevinie!

Sullivan, ubrany w schludne letnie szaty zakonne, uściśnął Jona tak, że komuś o drobniejszej budowie połamałby żebra. Irlandczycy wszystko robią entuzjastycznie - odnosi się to także do powitań na dworcach - i ciemnowłosa, rumianolica Sullivan wcale nie wyglądał na wpływowego jezuitę, którego głos liczy się w Kurii, a przede wszystkim u papieża Benedykta XVI.

- Widzę, Kevinie, żeś przebył kawał drogi od chudego studenta, z którym pijałem piwo w Baltimore! Nadal wykładasz na Gregorianum?

- Tak i...

- A co z komentarzem do Pierwszej i Drugiej Księgi Machabejskiej?

- Praca w toku. Jesteś doskonale poinformowany, Jon!

- To operacja IPC w Cambridge. Dbamy, żeby mieć wszędzie szpiegów!

Dźwigając walizki i przekomarzając się, wyszli z terminalu i ruszyli w stronę czekającej limuzyny. Jon obrzucił spojrzeniem długi, czarny samochód - mercedes z żółto-białymi watykańskimi chorągiewkami, które powiewały na przednich błotnikach - i uśmiechnął się.

- Nieźle się postarałeś, Kev! Jesteś pewny, że nie chodzi tu o rodzaj wjazdu do świętego miasta w Niedzielę Palmową z perspektywą przeżycia Kalwarii?

- Chyba przejrzałeś nas - odparł Sullivan, unosząc dłonie w żartobliwym geście zawodu. - Tak, chodziło o jezuicki spiszek. Chcieliśmy porwać jeden z najwybitniejszych protestanckich umysłów i zmusić go do służenia Rzymowi.

Przez całą dziesięcioletnią drogę świętowali ponowne spotkanie, prześcigając się w przywoływaniu wspomnień z dni przeżytych na uniwersytecie Johna Hopkinsa. Potem Sullivan kontynuował studia w Rzymie. Zwrócił się do jezuickiego zgromadzenia z przemówieniem, które zaintrygowało generała zakonu. Skutek był taki, że wkrótce Sullivan złożył ostatnie śluby i sam został jezuitą.

Jednak zanim jeszcze dojechali do Rzymu, Jon próbował wysondować Sullivana, żeby dowiedzieć się, po co właściwie go tutaj ściągnięto. Kevin zażądał, żeby Jon obiecał, że dochowa ściśle tajemnicy, a potem oznajmił:

- Pomówmy o tym, jak kończy się Ewangelia świętego Marka. Jon pomyślał chwilę.

- Masz na myśli nagle urwany tekst wersu 16,8 w wielkich

uncjalnych rękopisach? *Ephoubouto gar* w *Codex Sinaiticus* i *Vaticanus*?

- Otóż to.

Mogli rozmawiać swobodnie, nawet gdyby kierowca znał angielski - a nie znał - gdyż brzmiałoby to dla niego jak język, którym posługują się mieszkańcy Mongolii Zewnętrznej. Ale Sullivan poruszył jeden z najdrażliwszych problemów studiów biblijnych: fakt, że dwie z najwcześniejszych i najważniejszych greckich wersji Ewangelii według Marka nie zawierają najistotniejszych wersów 9 do 20, mówiących o objawianiu się Jezusa po zmartwychwstaniu. Jeden z tych manuskryptów, *Codex Sinaiticus*, został znaleziony na górze Synaj; drugi, *Codex Vaticanus* - w watykańskiej bibliotece. Słowa *ephoubouto gar* nie były jakimś lapsusem Jona, chodziło bowiem o dwa ostatnie greckie słowa, opisujące reakcję kobiet, gdy zobaczyły pusty grób: „bo się bały”.

- *Ephoubouto gar!* - powtórzył Jon. - Cóż za zakończenie ewangelicznej opowieści!

- Jeśli naprawdę w tym miejscu się kończyła. Nic dziwnego, że w innych manuskryptach i papirusach mamy wiersze 9 do 20.

- Owszem, tyle że te wiersze trudno uznać za fragment oryginału. Powiedzże więc, co tu nie gra? Co ja mam z tym wspólnego?

Sullivan przez dłuższą chwilę milczał, a wreszcie powiedział:

- Chodzi o... o *Codex Vaticanus*.

- Mówże.

Mercedes jechał zachodnim brzegiem Tybru, a teraz skręcił ostro w stronę Watykanu.

- Na razie to wszystko, Jon - odparł Sullivan. - Przygotowaliśmy ci apartament przeznaczony dla VIP-ów. Okay?

- Okay, ale daj mi chociaż jakąś wskazówkę!

- Hmm... pomyśl, jak poprzednio wykorzystaliśmy twoją wiedzę. Teraz sprawa jest podobna, choć być może chodzi o tezę odwrotną. Ale oto i twoja kwatera. Rozpakuj się, a w południe zabiorę cię na lunch. Spodziewam się, że nie spóźnisz się na samolot, Jon. Wizyta u Ojca Świętego jest zaplanowana na 15³⁰. Poradzisz sobie?

- Bez kłopotu. To znaczy pod warunkiem, że przy lunchu odświeżysz moją pamięć w kwestiach protokołarnych.

- Nie martw się! Zobaczysz, Benedykt potrafi być sympatyczny. To całkiem niezły uczonec... z teologii śledzi wszystko na bieżąco.

Twojego Jezusa przeczytał po angielsku, zanim ukazało się wydanie włoskie!

Benedykt XVI, biskup Rzymu, namiestnik Jezusa Chrystusa, najwyższy kapłan Kościoła powszechnego, patriarcha Zachodu, władca Państwa Watykańskiego i sługa sług Bożych, należał do ludzi, którzy krzywili się słysząc, jak oficjalnie wymienia się te wszystkie tytuły (a jest ich więcej). Podobnie jak jego święty poprzednik, Jan XXIII, i ujmujący Jan Paweł II, dwieście sześćdziesiąty piąty kapłan zasiadający na tronie Piotrowym był zdecydowany utrzymać szerokie otwarcie Kościoła na współczesny świat, a jednocześnie przyciągać ten świat do Kościoła. Jednak, w odróżnieniu od bezpośredniego poprzednika, Benedykt był zgodnie z tradycją Włochem, aczkolwiek Włochem w sposób bardzo nietradycyjnie otwartym na problemy nękające sumienia katolików na całym świecie.

Była dokładnie 15³⁰, kiedy Kevin Sullivan wprowadził Jona do Pałacu Papieskiego, następnie do prywatnych apartamentów i przedstawił duchowemu przywódcy 900 milionów wiernych. Twarz papieża, mężczyzny u schyłku wieku średniego, rozjaśniła się serdecznym uśmiechem, kiedy Benedykt XVI wyciągnął do gościa rękę. Ubrany był, jak przeważnie, w prostą białą sutannę z pelerynką i białą piuskę. Ale sutanna leżała na nim doskonale i okrągły brzusek nie rzucał się wcale w oczy.

- Witam serdecznie, profesorze Weber, w imię Najwyższego.

Angielszczyzna papieża była bez zarzutu, chociaż wzbogacona o miły dla ucha włoski akcent.

- *Io sono molto onorato di incontrarla, Sua Santità* - odparł Jon, mając nadzieję, że jest to dokładnym odpowiednikiem angielskiego „jestem zaszczycony, że mogę poznać Jego Świątobliwość”. Zaraz jednak dodał: - Ponieważ jednak angielski Jego Świątobliwości jest wyraźnie lepszy niż mój włoski, rozmawiajmy...

- Nie jestem tego wcale pewny. Proszę jednak pozwolić, że pogratuluję panu *Gesil di Nazareth*. W tej książce rzuca się w oczy połączenie naukowej erudycji z wiarą, a przynajmniej z szacunkiem dla wiary. Nie wyrzekł się pan ani jednego, ani drugiego, a jest to rzadkie.

Jon zarumienił się odrobinę, słysząc tę pochwałę, ale Benedykt natychmiast pomógł mu odzyskać kontenans.

- I pomyśleć, że coś takiego wyszło spod pióra luteranina!

Obaj zachichotali. Rozmawiali o tym i owym, siadając do kawy

w prywatnym saloniku. Papież zapytał o plany na Izrael, a Jon opowiedział o wykopaliskach prowadzonych przez Jenningsa w Rama.

- Ma pan na myśli Rama Samuela? Ramataim w Efraim?
- Tak, ale jestem zdumiony, że...
- Och, z zamiłowania jestem, jak to mówicie, miłośnikiem „grzebania w ziemi”. Niewiele brakowało, a wziąłbym do ręki łopatę archeologa zamiast pastorału. Szukanie ścieżek przeszłości to luksus, szukanie najlepszych dróg dla przyszłości to wielki ciężar!

Papież spojrział znacząco na Sullivana, który pochwycił to spojrzenie i powiedział:

- *Santissimo Padre*, powiedziałem profesorowi Weberowi o... o sprawie Ewangelii Marka i o tym, że być może ma to jakiś związek z *Codex Vaticanus*, ale ani słowa ponadto.

Benedykt skinął głową.

- A co z poufnością?
- Zachowam całkowitą dyskrecję, Jego Świątobliwość - wtrącił się Jon.

- Doskonale. Możemy więc... ruszać!

Przeszli labiryntem bogato zdobionych korytarzy i dotarli do wielkich drzwi *Biblioteca Apostolica Vaticana*, sławnej watykańskiej biblioteki. W wejściowym holu czekał już na nich kustosz zbiorów zastrzeżonych, siwobrody dominikanin, który skłonił się przed papieżem i poprowadził ich do pieczołowicie pilnowanego świętego miejsca, gdzie przechowywano *Vaticanus*. Wyszedł z sali i zamknął za sobą drzwi.

Kodeks leżał na pulpicie, ale karty były przykryte czarną tkaniną, żeby uchronić manuskrypt przed niszczącym działaniem światła.

Sullivan uniósł ostrożnie materiał i powiedział głosem pełnym szacunku:

- Jon, jest otwarty na Marku 16.

Podchodząc do pulpitu, Jon myślał o tym, jak wielkiego dostępuje zaszczytu. Przez ostatnie cztery stulecia *Vaticanus* był właściwie niedostępny dla świata. Z podziwem patrzył na delikatny welin kart, mierzących, każda, trochę mniej niż stopa kwadratowa. Był zachwycony wyraźnymi, pięknymi uncjalnymi literami, które rozpoczynały zdania. Tekst był rozmieszczony na każdej stronie w trzech kolumnach. Natomiast zobaczył, jak Ewangelia Marka kończy się na ósmym wierszu, przy czym dwa ostatnie słowa to rzeczywiście *ephobounto gar*, „bo się bały”.

- Zechciejcie, proszę, spojrzeć, ile miejsca zostawiono między końcem Marka a początkiem Łukasza - powiedział Jon.

Był zbyt pochłonięty tym, co miał przed sobą, by pomyśleć, że być może ten sposób zwracania się do papieża nie jest zgodny z etykietą. Żaden z nich jednak nie dbał o to w tej chwili. Wszyscy czuli zbyt wielki szacunek dla dokumentu z czwartego wieku po Chrystusie.

- Jakby skryba pozostawił miejsce na wypadek, gdyby znalazło się kiedyś zakończenie - ciągnął Jon. - Żeby je dopisać.

- To możliwe - przyznał Sullivan i wymienił z papieżem spojrzenia, które musiały mieć jakieś niejasne znaczenie. Tak w każdym razie pomyślał Jon.

Sullivan poszedł w kąt sali, przyciągnął duże urządzenie na kółkach i podłączył je do elektryczności.

- Ultrafiolet? - spytał Jon. - Czy przy badaniu tego kodeksu nigdy nie stosowano promieni ultrafioletowych?

- Takich nie. To najnowsze urządzenie, z laserowym wspomaganie, dzięki czemu otrzymuje się bardzo czystą i mocną wiązkę promieniowania.

Zaciągnął zasłony na oknach, zgasił górne światło i włączył urządzenie.

- Patrz uważnie, Jon. Zaraz zrozumiesz, dlaczego konieczne były metody rodem z powieści płaszcza i szpady.

Jon pochylił się nad rękopisem. Mrużąc oczy, zobaczył niewyraźne zarysy widmowych, kredowych liter, które pojawiły się po ostatnim wersie Ewangelii Marka. Powoli, przystając co chwilę, spróbował odcyfrować tekst. Nie było to łatwe zadanie, gdyż w grece nie robiono odstępów między słowami, ale pisano je jednym ciurkiem.

W ciszy sali rozległy się greckie słowa, które Jon mozolnie odczytywał:

- HO... DE... TOSOMA... IESOU... ANELAYMPHTHAY.

Nikt nie odezwał się ani słowem, dopóki Jon nie przetłumaczył sobie:

- „Ale ciało Jezusa... zostało zabrane”. Albo „odzyskane... usunięte”. O Boże! - szepnął Jon i oparł się o stół, żeby zapanować nad drżeniem. Jeśli należy przetłumaczyć „usunięte” albo „wykradzione”, oznacza to sztylet wbity w samo serce chrześcijaństwa. Było to przecież najstarsze podawane przez pogan wyjaśnienie tego, co stało się z ciałem Jezusa w niedzielny poranek.

- Jednak to samo słowo *anelaymphthay* zostało użyte, w znaczeniu „uniesiony”, kiedy była mowa o wniebowstąpieniu Jezusa - powiedział papież.

- To prawda. - Jon jeszcze raz spojrzął na litery. - Litery wyglądają z pewnością, jakby wyszły spod tej samej ręki co reszta tekstu. Kevinie, czy zrobiłeś zdjęcia i dokonałeś ekspertyzy?

- Tak. Jak na razie, można uznać, że to ten sam kopista.

- Ale dlaczego usunięto ten fragment? Kto to zrobił i dlaczego?

- Któż to może wiedzieć? Najwyraźniej ktoś, kto bał się, że słowo zostanie zinterpretowane jako „wykradzione”, co podważyłoby fakt zmartwychwstania.

- Czy ktoś mógł mieć dostęp do kodeksu w ciągu... od ilu wieków *Vaticanus* jest przechowywany tutaj?

Papież uśmiechnął się i powiedział:

- Niestety, tego też nie wiemy. Pierwszy katalog biblioteki watykańskiej został opublikowany w 1475 roku i *Vaticanus* w nim figuruje. Nie mamy pojęcia kiedy i jak manuskrypt trafił do Watykanu. Nie można nawet wykluczyć, że było to w czasach Konstantyna.

Jon ujął w dłoń podbródek i zaczął w zamyśleniu przemierzać salę w jedną i drugą stronę. W pewnym momencie zapytał:

- Kto jeszcze wie o tej sprawie?

- Masz przed sobą jedyne dwie osoby na tym świecie - odparł Sullivan z bladym uśmiechem. - Kodeks nigdy nie był badany pod mocnymi promieniami ultrafioletowymi, a ja zająłem się Nowym Testamentem trzy tygodnie temu. Doszedłem do Marka 16.

- Z oczywistych przyczyn - przyznał Jon. - No cóż... czuję się zaszczycony, że zaufano mi na tyle, by podzielić się ze mną odkryciem, nie wiem jednak, dlaczego spotkało to właśnie mnie.

- Twoje rady w sprawie Całunu pozwoliły parę lat temu opracować najlepszy dla Watykanu *modus operandi*. Nie kryliśmy tego przed tobą, Jon. Teraz zastanawiamy się, czy nie mógłbyś wskazać nam podobnej strategii w przypadku usunięcia linijki tekstu. Na przykład: czy nauka dysponuje jakimiś środkami pozwalającymi stwierdzić, jak pozbyto się tego fragmentu? Kiedy to się stało? Albo, co jest znacznie ważniejsze, czy wymazana linijka była istotnie fragmentem tekstu? A może tylko fałszerstwem?

Jon uśmiechnął się krzywo, kiedy uświadomił sobie, jak niesłychanie złożone zadanie stawia się przed nim. Wyłamywał palce u rąk, krążąc wokół pulpitu, na którym spoczywał kodeks.

Wreszcie zabrał głos:

- Mamy chemię, która potrafi określić, jakiego środka użyto... pod warunkiem, że dokonano tego w kilku ostatnich stuleciach. Ale stwierdzenie oryginalności pisma? - Potrząsnął głową. - Wątpię, żeby dzisiejsza technika potrafiła takie zagadnienie rozstrzygnąć.

Na chwilę zapadła cisza, namacalna, prawie żenująca. Wreszcie papież zapytał:

- Czy... czy może nam pan coś doradzić, profesorze?

Jon skinął potakująco głową.

- Przygotuję plan na piśmie. Oczywiście tylko tu obecni powinni mieć wgląd. Jednak już teraz proponuję zbadanie promieniami ultra fioletowymi całego *Vaticanus*, Kevinie, żeby stwierdzić, czy usunięto z tekstu coś poza tym. Następnie trzeba zrobić to samo z przechowywanym w Londynie *Codex Sinaiticus*. Trzeba przecież sprawdzić, czy w tamtym tekście dokonano podobnych skreśleń. Mogę to ułatwić. Znam człowieka, który ma pieczę nad manuskryptami w British Museum. W tym czasie ja zajmę się tym zagadnieniem, współpracując z paroma naukowcami, którzy zajmowali się Całunem. Nie ma powodów do niepokoju, nie będą wiedzieli, o jaki manuskrypt chodzi, ani nie domyśla się, o czym tutaj rozmawialiśmy.

Benedykt XVI i Sullivan skinęli z aprobatą głowami.

- Przeprowadzę też badania lingwistyczne nad słowem *anelaym-phthay* i zbadam, w jakim kontekście jest ono używane w Nowym Testamencie - powiedział Sullivan.

- Słusznie, Kevinie... to trzeba zrobić. Chodzi o badanie podstawowe.

Sullivan odciągnął na bok aparat i przykrył z powrotem kodeks czarnym suknem. Potem przywołał kustosza. Wrócili do papieskich apartamentów.

Kiedy stanęli na progu, Benedykt obrócił się, uśmiechnął i powiedział:

- Dziękuję za radę, zacny profesorze, a właściwie, jak wolałbym się do pana zwracać, przyjacielu. Chciałbym pozostawać z panem w kontakcie w tej sprawie... i w innych.

- Niczego więcej nie pragnę, *Santissimo Padre*.

- Nie, nie, raczej *amico mio!* A teraz *addio, caro professore*.

- *Arrwederci... e grazie, Sua Santità!*

Tego wieczoru Jon siedział z Kevinem przy stoliku przed kawiarnią.

nią dokładnie po drugiej stronie starożytnego Forum Romanum. Złoty z Kevinem pił campari z wodą sodową, natomiast zgermanizowany Jon, nadal ośniony spotkaniem z biskupem Rzymu, piwo Nastro Azzurro.

- To trochę surrealistyczne, Kevinie. Wchodzę do papieskich apartamentów jako zamorska osobliwość, a wychodzę jako... przyjaciel?

- Nie chciałbym pozbawiać cię złudzeń, braciszku, ale taki już jest styl Benedykta. Minął ledwie rok pontyfikatu, a już widzimy, jakie mamy szczęście, że to on został papieżem. Dzięki Bogu wybrano dobrego uczonego, człowieka o ujmującej osobowości i bez wątplenia dobrego administratora. Wygląda na to, że Duch Święty naprawdę czuwa nad konklawe!

- Jeślibyś jednak miał wymienić jakiś słaby punkt tego człowieka, co byś wskazał?

Kevin zawahał się, ale po chwili odparł:

- Może takim słabym punktem jest zbyt duże zaufanie do ludzi. A w tym miejscu to zaufanie można źle ulokować. Jak każda doczesna instytucja, mamy wśród nas także nikczemników, w tym paru na wysokich stanowiskach.

Kevin zamilkł, chociaż Jon bardzo by chciał, żeby przyjaciel rozwinął temat. Może po prostu puszcza do niego przyjaźnie oko?

- Nikczemnicy na wysokich stanowiskach? Rozwiń temat i wyjaśnij - prowokował Jon. - To pytanie za dwadzieścia pięć punktów!

- Przy każdej okazji odzywa się w tobie pedagog! - Kevin roześmiał się. - W grupie ludzi obok jednostek szlachetnych i rozumnych zawsze znajdują się nikczemnicy najrozmaitszego kalibru.

Zaczęli rozmawiać o kwestiach naukowych, o ewentualnym wstrząsie, jaki mogą spowodować implikacje nowej linijki tekstu w Ewangelii według świętego Marka. Zajęło im to godzinę. Ale swoje teologiczne uwagi wygłaszali *sotto voce*: nie ma powodu, żeby właśnie w tym momencie doprowadzać chrześcijańską opinię publiczną do paniki.

- Jeszcze piwo? - zaproponował Sullivan.

- Raczej, nie, Kev. Jestem w szponach rozkładu lotów. Ale dziękuję... za niezwykły dzień.

III

Następnego popołudnia odrzutowiec linii El Al miękko, jakby z szacunkiem dla świętej ziemi, dotknął pasa w Lod i pasażerowie znaleźli się na dworcu lotniczym Ben Guriona. Po zwykłej drobiazgowej kontroli („zapomnieli zajrzeć mi pod pachy i w pachwinę” - pomyślał Jon) dostrzegł górującą nad innymi, chudą postać Austina Balfoura Jenningsa, wymachującą przeciwnym pomarańczowym kapeluszem.

Minęło kilka lat od ostatniego spotkania z oksfordzkim nauczycielem, ale ani Jon, ani Jennings nie mieli kłopotów z poznaniem się nawzajem. Jeśli A.B.J. raz już wkroczył w czyjeś życie, pozostawiał po sobie niezatarty ślad. Miał teraz 63 lata i był łysy jak kolano, według modelu Yula Brynnera. Amerykanie, którzy uczestniczyli w wykopaliskach kierowanych przez Jenningsa, nazywali go, zależnie od pokolenia, do jakiego należeli, wujaszkiem Warbuckiem albo Mr. Cleanem - zawsze jednak z szacunkiem. Rumiana, opalona skóra ściśle opinała wysokie, owalne sklepienie czaszki, a niżej opadała, zostawiając dwa otwory na wściekle turkusowe oczy, ku trójkątowi nosa. Dwa rzędy żółtawych wskutek palenia fajki siekaczy rozsunęły się w szerokim uśmiechu.

- Witaj w *Eretz Israel*, Jonathanie! - powiedział, potrząsając dłonią Jona. - Twój bagaż musi gładziej pokonywać komorę celną niż ty. Na szczęście mamy znajomego na cle. Inaczej nie uniknęlibyśmy nudnego czekania.

- Czuję się zaszczycony, żeś zjawił się osobiście, Austin! Mogłeś przecież wysłać kogoś ze swoich ludzi.

- Nawet nie przyszło mi to na myśl. Jak lot?
- W porządku. O, są moje walizki.
- Ruszamy. Samochód czeka.

Jerozolima leżała ledwie godzinę jazdy na wschód od lotniska, tak że nie mogło być mowy o jakichś przerwach w konwersacji. Jon zarzucał Jenningsa pytaniami o wykopaliska, ten zaś ochoczo wprowadzał Jona w stan prac.

- Ciągle nie wiem, jak trafiłeś na to stanowisko wykopaliskowe - powiedział Jon.

- Przecież to nie ja, ale sir Lloyd Kensington, który jako pierwszy zlokalizował Rama na początku lat sześćdziesiątych. Ależ miał nosa! Szukał Rama, rodzinnego miasta Samuela, ale nazwa tej miejscowości miała tyle odmian, że można dostać zawrotu głowy! Rama, Ramah, Ramata, Ramatem, Ramataim, Haramataim, Arymataim. A w Ewangeliach pojawia się, jakże by inaczej, jako Arymatea, rodzinne miasto Józefa. Zamęt jest tym większy, że w Biblii mamy inne miasta o nazwie Rama.

- Czy nie chodzi o Rama na obrzeżu Jerozolimy?

- Masz rację, chłopcze. Ale Kensington rozwiązał zagadkę, posługując się po prostu pierwszym rozdziałem z Pierwszej Księgi Samuela. Masz, przeczytaj. - Jennings sięgnął na tylne siedzenie, wzięł Biblię hebrajską i podał ją Jonowi. - Czytaj od pierwszego wersu.

Jon znalazł wskazane miejsce i przeczytał na głos:

- *Ajhi isz echad min haramataim...*

- Otóż to. Tłumacz.

- Był pewien człowiek z Ramataim...

- Tak jest. Tym człowiekiem był oczywiście ojciec Samuela. Teraz zerknij niżej i powiedz, jak to miejsce nazwano w wierszu 19.

Jon przesunął palcem w dół strony, aż natrafił na nazwę „Rama”.

- Dobrze - pochwalił Jennings. - Ponieważ *rama* znaczy tyle co wyżyna, Kensington założył, że autor Pierwszej Księgi Samuela chciał wskazać, które z miejsc zwanych „miastem na górze” miał na myśli; za pierwszym razem wspomniał o podwójnej wyniosłości, podając nazwę Ramataim, co można oddać jako „Rama z dwoma wzgórzami”.

- Ho, ho! W takim razie Kensington musiał zbadać wszystkie podwójne wzgórza w Efraim, zanim...

- Tak jest! Aż znalazł taką parę w pobliżu Betel. W siodle między dwiema wyniosłościami zobaczył interesujący *tel*, który Arabo-

wie, prawie nie do wiary, nazwali er-Ram. Zaczął kopać, och, w 1963. Ja dołączyłem do niego w trzecie lato prac.

- Jak jednak doszliście do zidentyfikowania miasta? To znaczy do tego, że chodzi rzeczywiście o Ramataim?

- Odkopaliśmy machabejski cmentarz i na wielu kamieniach nagrobnych znajdowały się imiona z sufiksem „z Ramataim”. - Jennings przerwał na chwilę, uśmiechnął się, a po chwili ciągnął: - I dobrze się stało, gdyż pod koniec następnego sezonu wykopaliskowego Kensington upadł na stanowisku i umarł. Dzięki temu mógł umrzeć jako człowiek szczęśliwy!

Jechali teraz wśród judejskich wzgórz. Szosa była coraz bardziej stroma i Jennings musiał włączyć w swoim peugeocie niższy bieg.

- Widzisz, Jonathanie, dlaczego mówi się, że ku Jerozolimie trzeba się piąć?

- Tak jest. Powiedz mi jednak, co dotychczas odkryłeś w Rama?

Jon doskonale wiedział, że nic nie sprawi archeologowi większej przyjemności niż opowiadanie o swoich odkryciach.

Jenningsowi rozbłysły oczy i twarz tego nawykłego do rozkazania człowieka rozjaśniła się łagodnym uśmiechem. Odchylił się do tyłu, prostując trzymające kierownicę ręce, i powiedział:

- Kensington zaczął od wschodniej połowy Rama i odsłonił wiele fragmentów miasta. Ponieważ pasjonował go Samuel, skupił się na erze późnego brązu.

- Mniej więcej począwszy od 1200 roku przed Chrystusem?

Jennings skinął potwierdzająco.

- Myślę, że nad każdym kamieniem widział unoszącego się ducha Samuela, Saula albo Dawida. Paskudnie z mojej strony, że to mówię, ale dość pobieżnie zatrzymywał się przy warstwach rzymskich albo hellenistycznych, byleby jak najszybciej dotrzeć do „swojej” warstwy. A przecież Rama szczytowy punkt rozwoju osiągnęła w czasach Heroda i w pierwszym wieku, tak więc tę warstwę należało zbadać ze szczególną starannością. Tak czy inaczej, my zajęliśmy się zachodnią połową Rama, właściwie nietkniętą przez Kensingtona, i okazało się to... niesłychanie fascynujące.

Jon zastanawiał się, jak długo jeszcze Jennings będzie się z nim bawił w kotka i myszkę.

- Co, do diabła, odkryłeś takiego, że uznałeś to coś za „być może sensacyjne i ważne”? - Poczul, że prawie krzyczy. Opanował się i zapytał: - Raz jeszcze, Austin, co takiego znalazłeś?

- Och, przepraszam... naprawdę jeszcze ci nie powiedziałem? Tak, kiedy umarł Kensington, przerwano prace i dopiero ja wróciłem tu cztery lata temu. Najpierw, oczywiście, wykonaliśmy wykop sondażowy przez środek i dotarliśmy do pięknej warstwy średniego brązu IIc. Poniżej była już tylko skała.

- To znaczy, że miasto zostało założone nie wcześniej niż 1700 lat przed naszą erą?

- Prawdopodobnie około 1600 lat.

- To była najstarsza warstwa. A najmłodsza?

- Jeśli pominiemy mało interesujące średniowieczne i arabskie artefakty blisko powierzchni... wydaje się, że koniec Rama nastąpił pod koniec pierwszego wieku... zapewne w 66 roku, podczas wojny z Rzymem. Warstwa gruzu wskazuje, że prawdopodobnie Rzymianie zrównali to miejsce z ziemią po drodze do Jerozolimy.

- Jakie najpóźniejsze monety znalazłeś w warstwie gruzów? Jeśli jakieś znalazłeś.

- Jak dotąd, jest to srebrny denar bity za Klaudiusza i datowany na 53 rok. Nie. Clive Brampton, mój zastępca, znalazł turecki piast z 1890 roku, ale ta moneta znalazła się tam przypadkiem.

Strome wzgórza i falista czerwono-brunatna ziemia z przyjemnymi zagajnikami piniowymi i cyprysowymi ustąpiły nagle miejsca olśniewająco białym wapieniom Jerozolimy. Niewiele miast na świecie pojawia się tak nagle jak Jerozolima - pomyślał Jon - i żadne nie rysuje się tak fascynująco na tle głębokiego błękitu późnopołudniowego nieba.

Jednak Jennings był obojętny na te widoki.

- Te drapacze nieba psują kontur miasta, Jonathanie. „Następnego roku w Jerozolimie!”, jak najbardziej, ponieważ potem wszystko to będzie zburzone! Ma się wrażenie, że Hilton, Plaza, Ramada Renaissance, Hyatt Regency podążają tu z nieustającą pielgrzymką! Witaj jednak w al-Quds, to znaczy „święte”, jak nazywają miasto Arabowie.

Objechali miasto od północy, potem skręcili na ulicę Nablus, najważniejszą autostradę na północ od miasta. Jennings wyliczał teraz najważniejsze budowle i przedmioty znalezione w każdej z warstw w Rama. Odślonięte zostały pochodzące z czasów rzymskich kamienne fundamenty domów, ulice i sklepiki zachodniej części miasta. Ale każda warstwa ukazywała archeologom więcej niż gdzie indziej paciorków i klejnotów, narzędzi, lamp, figurek, pieczęci i bro-

ni, nie licząc wyrobów garncarskich, które umożliwiają datowanie warstw.

Interesujące znaleziska - rozmyślał Jon - ale żadne nie na tyle, żeby ściągać go z drugiego końca świata. Czas już wymierzyć profesorowi kuksańca. Obrócił w ciasnym peugeocie swoje muskularne ciało i spojrział Jenningsowi prosto w oczy.

- No cóż, Austin, wydobyleś imponującą kolekcję z łona matki ziemi. O którym jednak ze znalezisk pisałeś w liście do mnie? Które uznałeś za „być może sensacyjne i ważne”?

- Żadne z powyższych. - Jennings zachichotał. - Już wkrótce zobaczysz na własne oczy.

Podał Jonowi listę dwudziestu członków zespołu archeologicznego, dodając krótki komentarz do każdego nazwiska.

- Kto to jest Shannon Jennings? - spytał Jon. - Krewny?

- To oczywiście ta wiedźma, moja macocha... Zajmuje się sprawami bezpieczeństwa. Nieznośna stara czarownica lata na swojej miotle nad stanowiskami wykopaliskowymi i... - Ponieważ Jon nie uśmiechnął się, Jennings przerwał i zapytał: - Dales się nabrać, co? Naprawdę nie pamiętasz z czasów oksfordzkich mojej córki, Shannon?

- Och... oczywiście. Ale jestem głupi! Była małą dziewczynką, chodzącą do szkoły...

- Od tamtego czasu postanowiła, jak było do przewidzenia, wyrosnąć. - Jennings ziewnął. - Prowadzi dziennik prac.

Jon zaczął rozmyślać o czasach, kiedy był stypendystą fundacji Rhodesa. Fragmenty wspomnień uporządkowały się, tworząc mozaikę. Jakże pragnął, zaraz po przybyciu do Oksfordu, zostać zaproszony na herbatę do domu samego Austina Balfoura Jenningsa!... Jakże był zakłopotany, kiedy zapytał o panią Jennings i dowiedział się, że umarła wkrótce po urodzeniu córki!... I przypomniał sobie sześciolletnią dziewczynkę, która nie pamięta swojej matki i bez końca wypytuje go o Amerykę.

- Oto Ramallah, Jonathanie.

- Zespół mieszka na miejscu?

Jennings skinął głową.

- W *Fandug al-Kebir*, co znaczy „Wielka Gospoda”, jeśli zapamiętałeś co nieco z arabskiego.

Pojechał na wschodni skraj miasta i zatrzymał samochód przed trzykondygnacyjnym domem ze starego, płowóżółtego wapienia, o oknach z wyblakłymi zielonymi okiennicami.

- My nazywamy to miejsce „Grand Hotelem” - oznajmił żartobliwym tonem Jennings. - Ale nie znajdziesz go w *Fodor's Guide*. Mimo wszystko to najlepsze, co mogło nam ofiarować Ramallah. Jeździmy do pracy autobusem i ciesz się, że jesteśmy tak blisko cywilizacji i nie musimy spać w namiotach.

- O której zaczynamy rano? - spytał Jon po zjedzeniu z Jenningsem późnej kolacji. Ręka już go świerbiła, żeby ująć w nią gładki trzonek łopaty.

- Przykro mi to powiedzieć, drogi kolego, ale możemy pracować tylko bardzo wcześnie, kiedy jest chłodno. Śniadanie o 5³⁰, autobus odjeżdża o 6¹⁵.

- Tak późno? Gotów byłem zaczynać przy świetle księżyca!

- Jon powiedział to pół serio.

Jennings uśmiechnął się.

- Miło mi, że przewyciężyłeś skutki postoju w Rzymie. Ale nie, nie uprawiamy archeologii nocnej. Tak czy inaczej, to wspaniale mieć cię tutaj, Jonathanie!

- Stęskniłem się za twoją opieką naukową, *mon precepteur!*

Przed położeniem się do łóżka Jon otworzył żaluzje i spojrzął na wschód ku nagim wzgórzom. Trzy czwarte księżyca unosiło się nad doliny Jordanu, przyprószając uśpioną ziemię lśniącem kredowym pyłem.

Ziemia... Ziemia Święta... Przeklęta Ziemia... Ziemia Śmierci i... Życia... Ziemia tak ściśle spleciona z wiarą Żydów, chrześcijan i muzułmanów, że nikt nie wiedział, gdzie kończy się ziemia a zaczyna dogmat... Ziemia jedyne Boga.

Niebiosa... księżyc i gwiazdy - takie same ciała niebieskie, ale zmienione okoliczności... ciepły i wonny wietrzyk wznoszący się z doliny Jordanu... Boska uroda nocy... Niebo jedyne Boga.

I Andrea... brakujący fragment panoramy. Nadal miał przed oczyma delikatne piegi na jej nosie i blask jej oczu, kiedy brał ją w ramiona. Zacisnął pięści.

Posępne wycie szakala poniosło się echem przez wzgórze. Dla człowieka nauki natrętny kontrapunkt był po prostu zjawiskiem biologicznym. Ale dla Arabów, którzy zamieszkiwali tę ziemię od stuleci, był to głos Przeznaczenia.

IV

Autobus archeologów, stary brytyjski leyland, ciężko dysząc, pokonał sześć mil wzgórz na północny wschód od Ramallah i zatrzymał się przy stanowisku wykopaliskowym w Rama. W tym momencie słońce zaczęło malować poszerzającą się migotliwie złotą wstęgę w tle bliźniaczych wierzchołków. Zanim ktokolwiek ujął w dłoń oskard, rydel, pędzelek, miseczkę lub notes, Jennings zgromadził cały zespół wokół wyniosłego cyprysa i przedstawił nowego uczestnika prac wykopaliskowych. Zespół roboczy składał się z trzydziestu pięciu studentów i ochotników z siedmiu krajów oraz robotników arabskich. Samo kopanie wykonywali studenci i ochotnicy - byli wśród nich emeryci - natomiast Arabowie wywozili wykopaną ziemię taczkami.

Następnie Jennings przedstawił osoby kierujące pracami.

- To mój zastępca, Clive Brampton, z uniwersytetu w Manchester, ale to nieważne! Clive był tu od samego początku. Odziedziczyłem go po Kathleen Kenyon.

Schludny Walijszyk był średniej budowy mężczyzną o miłych rysach. Jego długie, gęste ciemne włosy wyglądały jak kompensata łysiny Jenningsa. Brampton uściskał serdecznie dłoń Jona.

- Witamy, profesorze Weber! Uzna pan, jak sądzę, że moja biblioteka jest niezłe zaopatrzona w pańskie artykuły i monografie.

- A moja w pańskie sprawozdania z prac wykopaliskowych w Jerychu, doktorze Brampton.

- Mam na imię Clive.

- Jon.

Jennings wrócił do prezentacji swoich współpracowników.

- To jest Naomi Sharon, wybitna specjalistka od ceramiki. Prawdziwa *sabra*!

Izraelska piękność o brązowych aksamitnych oczach i wybuchowym temperamentem natychmiast wykrzyknęła:

- Nie, nie, dzięki Bogu nie jestem krewną Ariela Sharona! Szalom, profesorze Weber!

Z tą ciemną opalenizną i wspaniałą figurą Naomi nie wygląda na naukowca - pomyślał Jon. Członkowie zespołu zapewne bardzo chętnie dyskutują z nią o ceramice.

- Ten brodaty, kędzierzawy Cygan, który wygląda na głodującego artystę, jest rzeczywiście artystą, tyle że raczej nie głoduje. Przedstawiam ci Richarda Cromwella z uniwersytetu w Chicago, naszego artystę i fotografa.

- Jestem Dick - powiedział Cromwell. - Miło mi pana poznać, profesorze Weber.

- Proszę wszystkich, żeby zwracali się do mnie „Jon”. Uznajcie, że jestem jeszcze jednym studentem zdobywającym doświadczenie w terenie.

- Achmed Sa'ad urodził się w Ramallah - ciągnął Jennings, wskazując postać w czerwono-białym haszymidzkim *keffiyeh* na głowie. - Jest naszym łącznikiem z arabskimi robotnikami i tym samym najcenniejszym członkiem zespołu.

Ciemną twarz rozjaśnił uśmiech, w którym Sa'ad ukazał dwa rzędy nieskazitelnie białych zębów. Arab rozłożył szeroko ramiona i uklonił się.

- Witam pana, profesorze Weber, w imię Allacha Wszechmiłosiernego!

Teraz przyszła kolej na geologa, architekta, botanika, zoologa i antropologa.

- Jestem pewien, że wkrótce poznacie się lepiej - zakończył Jennings. - A teraz, do roboty! Jak to powiedział Nelson przed bitwą pod Trafalgarem? „Anglia oczekuje, że każdy spełni swój obowiązek!” Tego samego oczekuje Jennings! A dotyczy to także niewiast!

Zaprowadził Jona do namiotu pełniącego rolę kwatery głównej i pokazał mu szereg map, między innymi z czasów Kensingtona. Każda następna ukazywała szerszy niż poprzednia teren prac. Jon przyjrzał się uważnie najnowszej mapie, a potem wskazał na zachodnią jej część.

- Tutaj jest miasto hellenistyczne?
- Tak. A także herodiańskie i rzymskie.
- Wygląda na to, że większość już odsłoniłeś.
- O nie. Przyjrzyj się jednak uważnie, Jonathanie. Czy widzisz coś... coś, jakby powiedzieć, niezwykłego?

Jon przyjrzał się raz jeszcze mapie i prawie natychmiast zauważył anomalie. Przy północno-zachodnim skraju terenu objętego pracami znajdowała się budowla znacznie przewyższająca inne rozmiarami: niemal labirynt komnat wychodzących na dziedzińce w stylu grecko-rzymskim.

- Co to takiego, Austin? Pałacyk?

Jennings skinął potakująco.

- Największy dom w całym mieście. Może to pałacyk czy rezydencja. Trudno orzec, bo, jak widzisz, nie do końca go odkopaliśmy.
- Jennings wskazał linię, za którą nie naniesiono niczego, co oznaczało, że w tamtym miejscu nie prowadzono dotychczas żadnych prac.
- To potwierdza tezę Flindersa Petrie, że bogaci zawsze budowali w północno-zachodniej części miast, żeby wiatr nie przynosił im kurzu i zapachów z centrum. Tutaj mamy przeważnie wiatry właśnie z północnego zachodu.

Jennings wyciągnął rękę, stuknął mocno palcem we wnętrze domu i powiedział:

- Tu to znaleźliśmy, Jonathanie... w kuchni.
- Co takiego?
- To, o co pytałeś w listach. I co sprowadziło cię tutaj.
- Masz na myśli... „być może sensacyjne i ważne” odkrycie?

Jennings rozpromienił się jak chłopiec, który nie może się doczekać, kiedy pokaże przyjacielowi nową zabawkę.

- Chodźmy, Jonathanie.

Podeszli do dużej szopy z zardzewiałej blachy. Jennings otworzył drzwi i przystąpił do oprowadzania Jona po wiejskim muzeum. Na półkach leżały sprzęty kuchenne, miseczki doz odmierzania produktów, kaganki, biżuteria i narzędzia.

- Niektóre z tych rzeczy znaleźliśmy w tamtym domu. Na przykład ten złoty pierścień. Naomi datuje przedmioty z tego domu na okres herodiańsko-rzymski.

Kiedy dotarli do końca szopy, Jennings przesunął dywanik, otworzył ukryty podziemny magazynek i wyjął jakąś skrzynkę. Postawił na stole roboczym i otworzył wieko.

- *Voila*, Jonathanie! Oto spełnienie mojej obietnicy. Oglądaj.

Zachowując niezwykłą ostrożność, Jon wydobyl czerwono-żółty ceramiczny przedmiot, który spoczywał na wacie w głębi skrzynki, i przyjrzał mu się uważnie.

- To... to uchwyt dzbana, czy nie tak?

- Ależ tak, chłopcze. Masz szkło powiększające. Obejrzyj uważnie.

Jon uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Widzę odcisk pieczęci! To... to po hebrajsku albo aramejsku.

- Masz rację, chłopie. Czytaj.

Jon zaczął sylabizować:

- *Le Josef B'Aszer*. Hmm, *bet* [B] musi być skróconym hebrajskim *ben* albo, co bardziej prawdopodobne, aramejskim *bar*. Mieliśmy więc dosłownie „Józefowi, synowi Asera”, a oznacza to oczywiście „własność Józefa, syna Asera”.

- Słusznie. Ale dotychczas powiedziałaś nam, drogi kolego, tylko to, co wiedzieliśmy i przedtem. Teraz zabaw się w specjalistę od aramejskiej epigrafiki i podaj nam datowanie na podstawie inskrypcji. Postaraj się być dla nas miłym facetem.

- Przecież to oczywiste. - Jon uśmiechnął się. - Napis... och... nazwałbym to półkursywą z okresu późnohellenistycznego albo wczesnorzymskiego, pierwszy wiek przed Chrystusem do pierwszego wieku po Chrystusie.

- Tak jest! - Jennings znowu się rozpromienił. - A teraz powiedz, co wyłuskasz z tego. - Tym razem wydobyl z piwnicy skrzynkę też z uchwytem dzbana, ale ze spalonej, ciemniejszej gliny. Do dolnej części uchwyty nadal przywierał fragment amfory. - To także znaleźliśmy w kuchni tamtego domu.

- Jeszcze jedna pieczęć! - wykrzyknął Jon. - Nie do wiary... po grecku! - Przeczytał: - *Eimi tou Iosafe* - a potem przetłumaczył: - „Jestem [własnością] Józefa”. - Odłożył uchwyt na miejsce i ze zdumieniem w oczach spojrzął na Jenningsa. - Dwujęzyczność tutaj, w jej dziczy?

- Nie ma w tym nic zaskakującego, drogi kolego. Znajomość greki świadczyła w tamtych czasach o wyższym stopniu kultury, zwłaszcza wśród bogatych Żydów. Rozumiesz jednak... dlaczego te uchwyty tak mnie podekscytowały?

Jon za nic w świecie nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie. Były ważne? Oczywiście, tak jak każda starożytna inskrypcja. Ale sensacyjne? Niby dlaczego?

- Myśl, Jonathanie, myśl! - nalegał Jennings.

Jon miał uczucie, jakby wróciły czasy oksfordzkie i Jennings zadał mu znowu pytanie, na które nie potrafi zbyt dobrze odpowiedzieć. Czy kiedyś uda mu się pokonać tę barierę, jaka oddziela mistrza od ucznia?

- Myślże, człowieku! - nakazywał bezlitosny Jennings. - Pomyśl o imionach!

- No dobrze. Józef, syn Asera... Józef, syn Asera, z Rama... Józef, syn Asera, z Ramataim... Józef... Na Boga!... Przecież nie... nie Józef z Arymatei?

Jennings z powrotem się rozpromienił.

- Czy nie jest to co najmniej możliwe, Jonathanie? Lokalizacja się zgadza. Warstwa też. Ewangelie powiadają, że Józef, który oddał swój grobowiec, żeby pogrzebano w nim ciało Jezusa, był „zamożnym człowiekiem z Arymatei”.

Jon oparł się rękami o stół i pogрузzył w myślach. W pewnym momencie uśmiechnął się i powiedział:

- Tak, to możliwe! Nowy Testament nic nie mówi o ojcu Józefa z Arymatei, więc Asera nie można wykluczyć... Austin, coś ci powiem. Jeśli okaże się, że jest to rzeczywiście rezydencja Józefa z Arymatei, masz miejsce w historii archeologii! Teraz rozumiem to, coś napisał o „być może sensacyjnym i ważnym” odkryciu.

- Myślę jednak, że w tym momencie nacisk powinniśmy położyć na „być może”, Jonathanie. Tylko Clive Brampton wie, co znaleźliśmy, i trzyma język za zębami. Ciebie też proszę o dyskrecję.

- Oczywiście. W gruncie rzeczy nie mamy ani śladu dowodu, że chodzi o tego właśnie Józefa. - Jon podrapał się w głowę i po chwili dodał: - Chociaż musimy wyciągnąć niezbity wniosek, że ktoś o imieniu Józef był dwa tysiące lat temu właścicielem tej nieruchomości!

Kiedy wrócili do namiotu, Jennings oznajmił:

- A teraz, mój niegdysiejszy uczniu, wyznaczę ci zadanie na resztę dnia. Oto nasz dziennik prac. Masz przeczytać wszystkie osiem notatników prowadzonych drobiazgowo przez moją córkę, Shannon.

- Zdawało mi się, iż powiedziałeś, że jest przy stanowiskach wykopaliskowych. Ale dzisiaj rano chyba jej nie widziałem.

- Nie. Pojechała do Jerozolimy po zaopatrzenie. Ale do roboty, Jonathanie. Miłej lektury!

Po tych słowach Jennings wcisnął na łysą czaszkę swój pomarańczowy kapelusz i wyruszył na bitwę o przeszłość.

Jon czytał bez przerwy do jedenastej, kiedy przerwano prace, by zjeść lekki lunch, na który złożyły się ser, pomidory, oliwki, ogórki i kanapki z masłem orzechowym. Podczas posiłku Jon zasypywał Jenningsa pytaniami, daremnie próbując zapoznać się w ciągu jednego dnia z historią prac. Jennings znosił to. cierpliwie.

Kiedy wypili ostatnią filiżankę kawy, doradził jednak:

- Lepiej wracaj do lektury. O drugiej kończymy. Potem jest za gorąco, żeby kopać.

Kiedy zbliżała się druga, Jon doznał zaledwie do czwartego notatnika. W tym momencie weszła do namiotu ciemnowłosa dziewczyna w białej bluzce i białych szortach. Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- O... witam - powiedziała. - Czyta pan... mój dziennik?

- *Io non parlo inglese, carissima* - zażartował po włosku. - *Sono italiano...*

Obrzuciła go kąpiącym spojrzeniem.

- Wygląda jednak na to, że nie ma pan kłopotów z czytaniem po angielsku!

- Poddaję się! - Jon wybuchnął śmiechem. - Pani jest pewnie Shannon Jennings. Proszę, niech pani potwierdzi.

- To prawda...

- A ja nazywam się Jon Weber i odrabiam tu zaległości...

- Och! Profesor Weber! - Rozchmurzyła się i na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech. - Witamy w zespole!

Podąła mu rękę.

- Jestem doprawdy zawiedziony, Shannon, że mnie nie poznałaś - powiedział, robiąc zmartwioną minę. - A przecież rozmawialiśmy w Oksfordzie całymi godzinami!

Roześmiała się.

- To było dwadzieścia lat temu!

Była smukłą, drobną irlandzką dziewczyną o falistych ciemnych włosach opadających na opalone, obnażone ramiona i wycięty podkoszulek z niebieskim napisem „Wykopki” na jednym ramieniu i „Rama” - na drugim. Zadarty nos, jasnoszafirowe oczy i różane wargi tworzyły świetnie zharmonizowaną całość z wesołą i niewinną buzią, na którą przyjemnie było patrzeć. Chwała Bogu, urodę odziedziczyłaś po matce, a nie po ojcu - pomyślał Jon.

- Mam nadzieję, że dziennik jest prowadzony przejrzysto - powiedziała.

Jon wziął się w garść i przestał się jej przyglądać.

- Tak, nie rozumiem tylko oznakowania artefaktów. Co, na przykład, znaczy III, 4.067?

- Gdzie? Proszę pokazać.

Pochyliła się nad nim. Poczłwał na policzku jej włosy: jakby iskierki, a nawet elektryczne wyładowanie. Spokojnie, człowieku! - skarcił sam siebie w myślach. - Przecież prawie zmieniałaś jej pieluski!

- Och!... To znaczy trzeci sezon, czwarty sektor, artefakt numer 67. Zobacz pan, że dokładnie według tego schematu wszystkie przedmioty zostały ułożone na półkach.

- Oczywiście. Dziękuję.

- Nie ma za co. Zobaczmy się później.

Wyszła z namiotu.

Jon wrócił do lektury dziennika, ale po chwili usłyszał pisk hamulców. Wysunął głowę z namiotu i zobaczył męzczyzną otwierającego drzwiczki samochodu z hebrajskim i angielskim napisem: „Izraelski Urząd Starożytności”. Męzczyzna rozejrzał się i zawołał:

- Shannon! Hej, Shannon!

Jon wyszedł z namiotu.

- Jest przy stanowiskach, razem z ojcem. Jestem Jon Weber ze Stanów. Właśnie dołączyłem do zespołu.

- Och!... Witamy w Eretz Israel, profesorze Weber. Nazywam się Gideon Ben-Yaakov.

- Cieszę się, że mogłem pana poznać, doktorze Ben-Yaakov.

- Gideon, jeśli się zgodzisz. Zamierzasz zostać tu na dłużej?

- Mam nadzieję, że do końca sezonu.

- Doskonale, doskonale! - ucieszył się tamten. Mówił płynnie po angielsku, ale z akcentem. - Będziemy jeszcze mieli wiele okazji poznać się bliżej.

Ben-Yaakov, trzydziestoparoletni męzczyzna, miał popielatoblond włosy wypłowiałe od izraelskiego słońca i, jak wszyscy tutaj, ciemną opaleniznę. Na szyi nosił cienki złoty łańcuszek, a ubranie trudno byłoby uznać za roboczy strój koloru khaki. Miał na sobie obcisłe białe szorty, niebieską jedwabną koszulę i buty od Gucciego.

- No jesteś, moja mała *siksa!* - wykrzyknął na widok Shannon.

Objął Shannon i pocałował. Dziewczyna roześmiała się z pewną jak gdyby powściągliwością. Potem oboje odjechali.

Jennings wszedł do namiotu i rzucił kapelusz na stół.

- Poznałeś Shannon i Ben-Yaakova?

- Przed chwilą.
- Tak, widziałem, jak odjeżdżali. W gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu romansowi - przyznał Jennings i uśmiechnął się przebiegle. - Shannon to moja tajna broń, dzięki której mam spokój z izraelskimi władzami archeologicznymi. Ben-Yaakov jest dyrektorem.

Dwa dni później Jennings zapytał:

- Czy jesteś gotów zabrudzić sobie ręce, Jonathanie? Zapoznałeś się z materiałami...

- Zaczę od dzisiaj.
- Gdzie chcesz pracować?

Jon uśmiechnął się szeroko.

- W pałacyku. Zawsze wybieram sobie najatrakcyjniejsze stanowisko.

- No tak. Pałacyk Józefa od Uchwytu Dzbana, jak z pewnością będzie się w przyszłości określać ten dom. W porządku. Nie myśl jednak, że musisz pracować z łopata w rękę. Pomagaj mi po prostu przy nadzorowaniu.

- Niewłaściwa propozycja, czcigodny dyrektorze! Zamierzam zacząć od najniższego punktu... albo raczej, jak wolisz, kopać do najniższego punktu!

- Jak chcesz. Przyjemnego machania łopata! - Jennings obrócił się na pięcie i poszedł do innego sektora.

Liczący pięć metrów kwadratowych wycinek robót na tyłach pałacyku nadzorował Clive Brampton.

- Odślaniamy zaplecze rezydencji - wyjaśnił Jonowi. - Właśnie odkopaliśmy mykwę. Chcesz tam pokopać?

- Basen do rytualnych oczyszczeń? Wspaniale!

Nadszedł więc wreszcie moment, kiedy Jon zagłębił łopatkę w pyle przeszłości. I nie ustanie przez najbliższe dni i tygodnie. Dostyc szybko przypomniał sobie, że archeologia przy wszystkich swoich urokach oznacza także pracę, przeważnie niezbyt ciekawą, a nawet po prostu nudną. Pod wieloma względami, choć na inną skalę, stanowisko wykopaliskowe przypominało gigantyczne mrowisko, tyle że krzątający się mieszkańcy byli zaprządnięci raczej rozbieraniem niż budowaniem. Kiedy oskardami i łopatami usunięto już zbędną warstwę gruntu, w ruch szły małe, spiczaste łopatki, najsprawniejsze narzędzia do badania poszczególnych warstw i wyszukiwania wszel-

kich artefaktów, wszystkiego, co wytworzył człowiek, a nie natura. Każdą warstwę trzeba było przesiać, by wydobyć najdrobniejszą rzecz, która nie była ziemią, począwszy od warstwy porośniętej trawą, przez okres islamski (do 600 roku wstecz), poniżej bizantyjski (do 323 roku wstecz), potem rzymski (do 63 roku przed Chrystusem), helleński (do 300 roku przed Chrystusem) i dalej poprzez środkowy i wczesny okres żelaza, a wreszcie późny i średni brąz - aż do skalistego podłoża.

Nie oznaczało to zgoła, że cały teren Rama zostanie odkopany do pomarańczowo-białego wapienia na spodzie. Jennings i Brampton stosowali metodę „miedz”, której pionierami byli wielcy brytyjscy archeolodzy, sir Mortimer Wheeler i Kathleen Kenyon. W każdym odkopanym stanowisku zostawiano pionowe miedze albo kolumny nie tkniętego łopatą podłoża - by uwidocznić w ten sposób oryginalny układ warstw.

Bywało i tak, że dana warstwa była „uprzywilejowana”, to znaczy, że oczyszczano większy teren, by ukazać najważniejsze budowle miasta w szczytowym momencie ich świetności. Na przykład w Pompejach tym szczytowym momentem był sierpień 79 roku, tuż przed pogrzebaniem miasta przez tony wulkanicznych popiołów. Archeolodzy nigdy nie przedzierali się przez monumentalne ruiny ówczesnego miasta, by dotrzeć do osady z wieku brązu. W Rama Jennings kładł nacisk na to, by w zachodniej części miasta zachować jak najwięcej z czasów rzymskich.

Przy lunchu Jon rzucił okiem na „frontową linię” wykopalisk, a potem spytał Jenningsa:

- O ile dalej zamierzasz się posunąć?
- Dokładnie do tej skarpy.

Wskazał niewielką stromiznę w zboczu zachodniego wzgórza.

- Co to za dziura czy wykop, o tutaj, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości urwiska?

- Gdzie? Ach, tu? To pieczara z komorami grzebalnymi. Nic tam nie ma. Pewnie pusta od wielu wieków. Rabusie grobów zrobili swoje bardzo dawno temu.

- Czy mogę tam zajrzeć?
- Bardzo proszę.

Jon wstał od stołu, podszedł pod skarpe i zajrzał do pieczary. Wczołgał się do środka i zaczął rozglądać po mrocznym wnętrzu. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczył szereg podłuż-

nych zagłębień w kształcie cygara, wykutych w skale naprzeciwko otworu wejściowego nisz dla zmarłych. Wszystkie były puste. Wypęłzył na zewnątrz, odetchnął głęboko świeżym powietrzem i znowu zmrużył oczy atakowane przez blask słońca. Wrócił do Jenningsa i powiedział:

- Mam nadzieję, że istnieje specjalne piekło dla rabusiów grobowców.

Po lunchu Jon w dalszym ciągu oskrobywał z brudu mały basen do oczyszczania, który wykopano w pałacyku, i napełniał kolejne wiadra usuniętym brudem. Właśnie zamierzał wywieźć je na stos odpadków, kiedy czyjaś drobna dłoń klepnęła go leciutko w nadgarstek.

- Nigdy w życiu! - oznajmiła Shannon Jennings, której w jakiś niezrozumiały sposób udało się jednocześnie nachmurzyć i uśmiechnąć. - To trzeba najpierw przesiać!

- Oczywiście! - mruknął z zakłopotaniem Jon. - Co się ze mną dzieje?!

- Częsty błąd. Nie ma się czym przejmować.

- Z czasem się nauczę, Shannon. Czy jednak nie powinnaś w tym momencie zajmować się książkami?

- Muszę się zająć także nowym pomocnikiem - odparła ze śmiechem i odeszła, by rzucić okiem na pracę Arabów. Jon miał wrażenie, że zna każdego robotnika po imieniu, w każdym razie wszyscy uśmiechali się, kiedy z nimi rozmawiała. Lubił iskierki w jej oczach i swobodny sposób bycia. Imponowało mu to, że mówi płynnie po arabsku, a do tego jest niezwykle uroczą dziewczyną w białych szortach...

Poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

- Nawet o niej nie myśl!

- A, to ty, Dick. Tak, wiem wszystko o Izraelskim Urzędzie Starożytności! - Miał nadzieję, że Cromwell nie zauważy rumieńca na jego policzkach. - Rozmyślałem właśnie o tamtej pieczarze w skarpie.

Na szczęście był to ten sam kierunek.

Zamiast zaprzętać sobie głowę moralnym aspektem posługiwania się półprawdami, Jon czym prędzej zaniósł wiadra do sita i przesiał ziemię, żeby czasem nie wyrzucić jakiegoś drobnego przedmiotu, paciorka lub skarabeusza. To, co przeleciało przez sito, przeznaczone było do wyrzucenia. Wszystko, co zostało wytworzone ręką ludzką,

czyścił pędzelkiem i wkładał do plastikowych torebek, dołączając karteczkę z informacją o miejscu znalezienia i warstwie. Woreczki należało przekazać obsłudze zbiornika flotacyjnego, która czuwała przy podłużnym, napełnionym wodą korycie. Botanik zajmował się zarówno czyszczeniem artefaktów, jak i „flotacją” ziemi, która do nich przywarła, żeby odseparować nasiona i odciski owoców, co pozwala ustalić starożytny jadłospis.

Co chwilę ukazywał się pomarańczowy kapeluszyk Austina Balfoura Jenningsa przemykający między stanowiskami, gdzie archeolog wydawał polecenia, odpowiadał na pytania, udzielał rad. Nie za wiele czasu poświęcał pracy fizycznej, ale jego język nie zaznawał chwili odpoczynku.

- Nie, nie, nie! To tylko grudka ziemi. Wyrzucić!
 - Tak, tak, tak! Zachować! To nie śmieć, ale skorupa!
 - Trochę energiczniej pracuj łopatką, Natalie! Kopiesz tylko brud. Kiedy dotrzesz do czegoś ważnego, będziesz wiedziała. Kop! No, grzeczna dziewczynka!
- Chcesz to wyrzucić? Tylko popatrz! To paciorek z fajansu. Przeszukaj starannie to miejsce. Może być ich więcej...

Następnego dnia przed południem Jennings zajął Jonowi przez ramię, żeby sprawdzić, jak mu idzie praca. Jon miał oczywiście nadzieję, że po paru godzinach spędzonych z łopatką w ręku dokona jakiegoś błyskotliwego odkrycia, ale jego wysiłki doprowadziły tylko do oczyszczenia odsłoniętego już przez innych małego basenu.

- No cóż, chłopcze, całkiem nieźle - oznajmił Jennings. - Może jeszcze coś z ciebie wyrośnie. Czy jednak naprawdę nie mógłbyś mi pomóc w nadzorowaniu robót?

- Chcę pracować po swojemu, Austin.
- To godne pochwały, chłopcze!

W tym momencie przyjechała karawana samochodów, które zatrzymały się poniżej wykopalisk. Wszystkie drzwiczki otworzyły się jednocześnie i pochód brodatych postaci w czarnych kapeluszkach ruszył uroczyście w stronę stanowisk. Wspięli się na najwyższe miejsce i zwróciwszy się ku skarpie, zaczęli posepnymi głosami śpiewać unisono: *Assur! Assur! La'asot et Zeh! Assur! Assur!*

- Cholerni, piekielni chasydzi - warknął Jennings - superortodoksyjni fanatycy!
- Niesamowity widok! - wykrzyknął Jon.

Rzeczywiście! Przy temperaturze sporo ponad trzydzieści stopni Celsjusza ci strażnicy ortodoksji wyprawili się tutaj w obszytych futrem kapeluszach z szerokim rondem i długich jednolicie czarnych płaszczach; było to atawistyczne nawiązanie do życia przodków w zimnych gettach północnej Europy. Twarze mieli okolone długimi brodami, a po obu stronach spod kapeluszy zwisały pieczołowicie zakrecone pejsy. Potrząsali pięściami w kierunku kopiących i wykrzykiwali: *Assur! Assur! La'asot et Zeh! Assur! Assur!*

Następnie ich rzecznik, bladolicy typ uczzonego, wiedząc zapewne, że pracami kieruje Anglik, wykrzyknął piskliwym głosem po angielsku: „Zakazane! Zakazane! Jest zakazane to czynić!” I znowu wskazał wraz z innymi w kierunku grobowca w skarpie.

- Ci idioci myślą, że znaleźliśmy ciała! - syknął Jennings. - Nie chcą, by w jakikolwiek sposób zakłócano spokój zmarłym... *Lo!* - krzyknął po hebrajsku. - *Reik!* (Nie! Jest pusty!)

Daremnie. Śpiew nie ustawał. Jennings wezwał Naomi Sharon i powiedział:

- Idź do nich i wyjaśnij, że nie znaleźliśmy tam żadnych ciał, że pieczara jest od wielu wieków pusta... że grasowali tu rabusie grobów i tak dalej!

Naomi pobiegła między stanowiskami, wspięła się i stanęła przed rzecznikiem, który odwrócił wzrok od jej szortów i obnażonych zgrabnych nóg. Po pięciu minutach ożywionej, toczonej po hebrajsku rozmowy nadal nie był przekonany i Naomi wróciła.

- Nie wierzą. Myślą, że ukryłeś ciała.

Chasydzi zeszedli teraz niżej i chwycili za kamienie, żeby obrzucić nimi robotników. Rzucali jednak niezbyt celnie i tylko jeden kamień trafił Dicka Cromwella prosto w gołeń. Noga zaczęła krwawić. Rozwścieczony Dick chwycił kamień, którym został ugodzony, i z okrzykiem: „Pokażę wam, durnie, na czym polega sztuka kamienowania!” rzucił nim w stronę chasydów.

Kamień strącił futrzaną czapę z głowy jednego z przywódców. Z grupy podniósł się niski, groźny pomruk.

Jon spojrzał niepewnie na Jenningsa.

- Można powiedzieć, że sytuacja uległa pogorszeniu.

- Bez wątplenia - wtrąciła Shannon. - Masz jakiś pomysł, Jon? Ci dranie gotowi zamknąć wykopaliska!

Jon podszedł do starszego rabina, który wyglądał na jednego z przywódców demonstracji. Kłaniając się uprzejmie, powiedział:

Shalom aleichem. Bo itti, bevakashah, ten li leharot lecha et hakevarim. Następnie, na wypadek, gdyby jego biblijna hebrajszczyzna okazała się niezrozumiała, obrócił się w stronę chasydzkiego uczonego, który przemówił poprzednio po angielsku, i powtórzył powoli w swoim ojczystym języku:

- Pokój z wami. Chodźcie, proszę, ze mną i pozwólcie, że pokażę wam groby.

Starszy rabbi przez dłuższą chwilę przyglądał się podejrzliwie Jonowi. Potem obrócił się do swoich ludzi, coś im powiedział, skinął na drugiego chasyda i obaj poszli za Jonem w stronę skarpy. Pozostali patrzyli na nich w milczeniu jak skamieniali. Jon wpętl pierwszy do pieczary i pomógł tamtym dwóm dostać się do środka. Potem przesunął palcem po każdej niszy i pokazał im pył wieków, który przylgnał do palca.

- *Reik! Ein anashim metim kani* - powiedział, starając się nadać głosowi szczerzy ton, a następnie powtórzył po angielsku: - Puste! Nie ma tu żadnych zmarłych.

Po wyjściu z pieczary obaj chasydzi robili wrażenie usatysfakcjonowanych.

- *Ken* - powiedział rabbi i skinął głową. - *Reik*

- Tak - zgodzili się pozostali. - Puste.

Kilka minut później nie było śladu po demonstracji.

V

Zauważył to prowadząc chasydów do pieczary. Wiosenny deszcz wyźłobił małeńki strumyczek tuż pod skarpy, na skraju stanowiska wykopaliskowego, zabierając ze sobą część ziemi przy samej podstawie skały. Ukazał się fragment płaskiego, szaro-białego kamienia, na który Jon nie zwróciłby uwagi, gdyby nie to, że górna część sąsiedniego kamienia, takiego samego kształtu i koloru, opierała się on w tej samej płaszczyźnie. Wyglądało to na dopasowanie odrobinę za doskonałe, by mogło stanowić dzieło natury.

Nie pamiętał o tych kamieniach aż do następnego dnia, do przedpołudniowej przerwy. Popijając turecką kawę, przypadkowo rzucił okiem w stronę skarpy i przypomniał sobie o anomalii, którą - zdawało mu się - dostrzegł. Dopił kawę, podszedł do zbocza i zaczął grzebać łopatką wokół szaro-białych kamieni. Po prawej stronie nie znalazł nic interesującego, ale kiedy zaczął pracować po lewej, zobaczył, jak wyłania się następny kamień ściśle przylegający do sąsiada. Na jego powierzchni ujrzał ślad oskarda. Kamień był ciosany! Jon wyprostował się i w zamyśleniu ujął w dłoń podbródek. „Matka Natura niewiele ma z tym wspólnego” - szepnął.

Wziął oskard z szopy z narzędziami, wrócił i zaczął pracować skuteczniej. Po głębszym odkopaniu okazało się, że kamienie były częściowo połączone ze sobą jakimś rodzajem zaprawy. Wymachiwał teraz oskardem jak szalony zelota, czując wreszcie dreszcz archeologicznej przygody. Oto uwalnia coś nieprzewidzianego i nieznanego z całunu ziemi, dając temu czemuś nowe życie.

Psiakrew! - pomyślał nagle. - Zapomniałem poprosić Jenningsa o pozwolenie!

Popędził czym prędzej do kierownika prac i wyznał dość nieśmiało swój grzech.

- *Mea maxima culpa*. Po pierwsze, opuściłem swoje stanowisko. Po drugie, bez twojego pozwolenia otworzyłem nowe. Ale chodź i sam zobacz.

- Tu chodzi o grzechy śmiertelne, nie zaś powszednie - odparł Jennings z wymuszonym uśmiechem. - Zanim jednak zostaniesz wykłęty, zobaczymy, co tam masz.

Jon zaprowadził go pod skarpe. Jennings przykleknął i przesunął dłonią po odsłoniętym kamieniu. Potem wstał i zaczął przyglądać się całej powierzchni zbocza, odpędzając kapeluszem muchy. Przykucnął z powrotem i starannie obejrzał ociosany kamień.

- No, no, chłopcze! - powiedział wreszcie. - To musi być coś!

- Ale co? Wygląda jak mur oporowy... może wzmacniający stok? Jest tu jakaś zaprawa, prawda? - Wskazał na jedno ze złączeń.

- Gliniana zaprawa. - Jennings skinął potakująco głową. - Znajdowaliśmy ją tutaj wszędzie. Chcę, żebyś zrobił co następuje: usuwaj ziemię z lewej strony, używając pędzelka, kiedy znajdziesz się blisko lica kamienia, i kop do podstawy muru. Potem zawołaj mnie, dobrze?

- Tak jest.

Jednak Jon wezwał Jenningsa wcześniej niż się spodziewał, gdyż po całkowitym odsłonięciu ociosanego kamienia okazało się, że to koniec. Jon był stropiony: mur z trzech kamieni to za mało, żeby było o czym pisać do domu.

- Nic się nie martw - doradził mu Jennings. - Musisz teraz kopać głębiej, żeby zobaczyć, czy są inne kamienie.

- Wybaczysz mi więc, zacny mistrzu, moje uchybienie?

- Być może. - Jennings zachichotał. - Odejdź i więcej nie grzesz.

Pod koniec dnia roboczego Jon ku swojemu zaskoczeniu odkrył poniżej pierwszych kamieni dwie dalsze warstwy. Rząd niższy liczył cztery kamienie, następny - pięć, przy czym wszystkie były szarobiałym wapieniem. Kiedy Jennings zjawił się znowu, na jego twarzy wykwił szeroki uśmiech.

- Jeśli tak dalej pójdzie - powiedział Jon - mur sięgnie powierzchni Morza Śródziemnego!

- Wątpię, żeby był dużo szerszy.

- Tak? Więc wiesz, co to jest?
- No... nie.
- Myślisz, że być może wiesz?
- Być może.
- Co to jest?!
- Mam ci zepsuć zabawę? Nigdy! Sam to odkryj, kolego!

W powszednie dni wieczorem dokonywano przeglądu znalezisk w zacisznym pokoju konferencyjnym hotelu w Ramallah. Poza tym Jennings albo Brampton wygłaszali dla studentów ilustrowane przezrociami wykłady na temat dokonań archeologicznych w Palestynie, jak mówił Jennings, który pamiętał dobrze swoje przedizraelskie lata pracy w pyłe Ziemi Świętej.

- Dlaczego nie może mówić o pracach w Izraelu?

Jon usłyszał, jak Gideon Ben-Yaakov zadaje to pytanie Shannon Jennings w zaciemnionym pokoju, gdzie jej ojciec opowiadał o poprzednim sezonie wykopaliskowym, ilustrując relację przezrociami.

- To jakaś twoja mania prześladowcza, Gideonie! - odparła głośnym szeptem. - I nie opowiadaj mi na ten temat żadnych waszych izraelskich bzdur! Ojciec był zawsze politycznie neutralny. Od 1948 roku! Lubi Izraelczyków, ale lubi także Arabów.

- Dobrze, już dobrze! - Ben-Yaakov uniósł ręce na znak, że się poddaje.

Przy tej okazji, i przy wielu innych, Jon dostrzegł u Shannon całkowitą otwartość w podejściu do najdrażliwszej tutaj kwestii, celtyckie piętno odziedziczone po świątobliwej irlandzkiej matce, przy czym miało się wrażenie, że Jennings odegrał tu tylko rolę ojca zastępczego. Shannon korzystała z każdej sposobności, żeby zapoznać otoczenie ze swoimi poglądami, zabierając głos z niezbyt oksfordzkim akcentem i chępiąc się przy tym, że potrafi beszczać ludzi w pięciu językach.

Ben-Yaakov najwyraźniej tolerował jej sposób mówienia, bo uwielbiał w niej wszystko inne. Pojawiał się w Rama znacznie częściej niż przy innych ośmiu wykopaliskach prowadzonych tego lata w Izraelu, a przyczyny takiego zainteresowania tutejszymi pracami były aż nadto widoczne. Jon uznał, że ogłoszenie zaręczyn tych dwojga to tylko sprawa czasu.

Wyglądało zresztą, że po dniu pracy i wykładach wśród studentów i młodszych pracowników tworzą się jeszcze inne pary. Clive Brampton więcej czasu, niż wymagały tego obowiązki zawodowe, spędzał z Naomi Sharon, i było oczywiste, że w swoich rozmowach poruszają

nie tylko zagadnienia związane z datowaniem na podstawie ceramiki. Fotograf Dick Cromwell miał swoją ulubioną asystentkę, Natalie Pomeroy, efektowną blondynkę z Oregonu, która często miała osobliwie zarumienione policzki, kiedy wychodzili z ciemni po wywołaniu codziennej porcji zdjęć. Antropolog Noel Nottingham, od niedawna rozwiedziony z żoną mieszkającą w Cambridge (Anglia), z pewnością ochoczo wyjaśniał szczegóły anatomii wspaniale zbudowanej Reginie Bandicoot, która przybyła tu z australijskiego odludzia.

Tej nocy, leżąc w łóżku, Jon uśmiechał się do swoich głęboko poruszających i ulotnych wspomnień, w których przeszłość mieszała się z teraźniejszością, a romans z archeologią nabierał całkiem innego wymiaru. A przecież przez wiele lat zastanawiał się, czy przeżyje kiedykolwiek jakiś romans. Tyle czasu minęło, zanim „odkrył” kobiety, a wszystko przez to, że dorastał na plebanii w Hannibal. Z całą pewnością miał szczęśliwe dzieciństwo, ale dzieciństwo zabezpieczone starannie przed pokusami ciała. W szkole średniej rzadko zdarzało mu się chodzić na tańce - nie dlatego, że rodzice byli niechętni potańcówkom, ale dlatego, że nie chcieli urażać uczuć konserwatywnej części parafian. Dzieci pastora musiały świecić swoim rówieśnikom przykładem, powtarzała matka. Tak więc Jon stał przed alternatywą: albo pogodzić się z takim postawieniem sprawy, albo się zbuntować. Pogodził się - być może dlatego, że był jedynakiem i starał się spełnić oczekiwania rodziców, którzy pragnęli mieć więcej dzieci, ale po Jonie żadne już nie przyszło na ten świat.

Podczas lat harvardzkich spotykał się z dziewczynami z Radcliffe College i prawie zakochał się w jednej z Long Island Hamptons. Podczas którejś z randek na Crane's Beach koło Ipswich, kiedy leżeli na kocu osłonięci przed ciekawskimi spojrzeniami piaszczystą wydmą, dziewczyna spróbowała dodać Jonowi odwagi, zapewniając go, że wzięła prezerwatywy - jeśliby się okazało, iż on o nich zapomniał. W jednej chwili runął cały jego świat. Był tak pewny, że urocza Pamela, świeża jak pierwszy wiosenny kwiat, była zakochana w nim i nikim innym! Robił, co mógł, ale niezdarne próby zgłębienia jej przeszłości nie doprowadziły do niczego dobrego. Zainteresowanie dziewczynką uznała za „przestarzałe”, „średniowieczne”, a nade wszystko nierealistyczne. W końcu zapytał, ilu było mężczyzn w jej życiu, i usłyszał w odpowiedzi, żeby zajął się raczej tym, przed czym ostrzegano go od czasów szkółki niedzielnej. Było to ich ostatnie spotkanie.

Kiedy później koledzy wydusili z niego wyznanie, ich komentarz nie odbiegał zgoła od tego, jaki padł z ust Pameli: jest neandertalczykiem, który nie zauważył rewolucji seksualnej. Czyżby był nieprzystosowany społecznie? Może stanowi jakiś wybryk natury? Może to purytańska gorliwość religijna? Może wiara zabiła w nim radość życia?

Jona pochłoneły studia w Harvardzie, a potem na uniwersytecie Johna Hopkinsa. Na razie omijał kobiety z daleka. Jego pierwszą i jedyną miłością, zachłanną i zazdrosną o jego czas intelektualną kochanką, stały się książki.

Dopiero kiedy w Heidelbergu Andrea wkroczyła niespodziewanie w jego życie, zrozumiał po raz pierwszy, że najważniejszym daniem uczy życia jest miłość. Przystawka była soczysta, pikantna i wielce obiecująca, ale Andrea zapoznała go z daniem głównym. Miodowe miesiące lata spędzili w Izraelu na wykopaliskach w Cezarei Nadmorskiej. Nagrodą za znojną pracę w upalnym słońcu były wieczorne kąpiele w Morzu Martwym albo wycieczki na górę Karmel. Były to wspaniałe, beztrioskie zielone czasy - wspominał Jon. A to, co zdarzyło się 14 lipca, będzie pamiętał do końca swoich dni.

Francuscy studenci świętowali rocznicę zdobycia Bastylli i otworzyli kilka skrzynek wina, które wszyscy pili do późnej nocy na śródziemnomorskiej plaży. Dochodziła już północ, kiedy któryś z nich wykrzyknął: *Allons nager!*, a zgodny chór odpowiedział: *D'accord!... Oui!... Bone idee!* „Chodźmy popływać!” - przetłumaczyła jedna z Francuzek Andrei i Jonowi, którzy znali francuski. W jednej chwili wszyscy młodzi zrzucili koszule i dzinsy i wskoczyli na golasa do wody.

- Och, Jon, to mi się nie podoba.
- Boisz się, że będą to jakieś plażowe bachanalia?
- Może. Chodźmy.

Było to tak bardzo w stylu Andrei, tak zgodne z konserwatywnym wychowaniem, jakie otrzymała ta dziewczyna z Południa! Nikt by się nie domyślił, że mimo zawarcia małżeństwa zachowała dziewictwo. Oczywiście dochodziło między nimi do intymnych zbliżeń, ale nigdy nie przekroczyli tej ostatniej granicy.

Teraz jednak miodowy miesiąc pomógł jej zapomnieć o powściągliwości. Zostawili całe towarzystwo i poszli brzegiem morza na północ w stronę starego, rzymskiego akweduktu i czuli radość w sercach, patrząc na wywieżdżony baldachim nieba nad głowami, czując ciep-

ty wiatr od strony Cypru. Morze Śródziemne skrzyło się miriadami świetlistych punkcików. Jon wszedł do wody, by poczuć, jak fale obmywają mu stopy.

- Jaka wspaniale ciepła woda, Andreo! Chodź, popływamy.
- Nie mam kostiumu.
- Ani ja. I co z tego? Nikogo tu nie ma.
- Nie. Nie powinniśmy.
- Owszem. Powinniśmy.

Podeszła do niego i poczuła na stopach ciepło cofającej się fali.

- Jaka ciepła...
- Wspaniała!
- Obiecuj, że nie spojrzysz na mnie, dopóki się nie zanurzę.
- Andreo, jesteś moją żoną!
- Wiem. Ale... obiecuj.
- Okay! - odparł i uśmiechnął się do myśli o jej wstydlivości.
- Łamanie obietnic na tej ziemi jest bardzo niebezpieczne! - roześmiała się Andrea.

Zdjęła ubranie i zanurzyła się w wodzie.

Pływanie dawało im radość, ale uniesienie ogarnęło ich, kiedy poczuli, jak ich ciała ocierają się wzajemnie o siebie - z początku niewinnie, potem z coraz intensywniejszym podnieceniem. Morze Śródziemne było płaszczem skromności, okrywając ich i zarazem podsycając poczucie bliskości. Powoli otoczył ją ramieniem i oboje zaczęli drżeć z radosnego podniecenia, kiedy przywarła do niego całym ciałem i zetknęły się ich pachnące morską wodą wargi.

Spleceni ramionami wyszli na brzeg i padli na piasek, ogarnięci szaleńczym pragnieniem złączenia się w jedno. Odczuwali coraz intensywniejszy dreszcz miłości osiagającej najwznioślejszy wyraz. Wzajemnie dotykali delikatnie swoich ciał i wydawało się, że piasek i fale wraz z nimi świętują ten moment. Wtulali się jedno w drugie... Cóż za niewiarygodne *crescendo* najbardziej wyszukanego z uniesień!... Jakaż pogodę niesie chwila spełnienia!... Jedność jako przejaw wieczności!...

Jon wtulił twarz w poduszkę i szepnął:

- Brak mi cię, Andreo! Nigdy... nigdy nie dowiesz się, jak straszliwie!

VI

Siedemnastoletni syn Achmeda Sa'ada, Ibrahim, pomagał teraz Jonowi przy odsłanianiu kamiennego muru, więc prace postępowały szybko. Odkopali jeszcze jeden rząd dopasowanych kamieni, z tym że jeden z nich, o wydłużonym kształcie, tworzył jakby pomost nad znajdującą się pod nim niszą. Potem odsłanili jeszcze trzy mniejsze rzędy po obu stronach zagłębienia, mierzącego, według oceny Jona, jakieś dwie stopy kwadratowe. Nadeszła pora, żeby wezwać tu mistrza.

- No tak! - zarechotał Jennings, zacierając dłonie. - Tak właśnie myślałem! Nie wchodziłeś do środka?

- Co masz na myśli? Do jakiego środka?

Obaj wiedzieli, że te pytania nic nie znaczą, że mają po prostu zamaskować podekscytowanie. Jon zdawał sobie sprawę, że podłużny kamień jest zapewne nadprożem, a Jennings widział, że próg, jeśli próg był, nie został jeszcze odkopany.

Po chwili milczenia Jon powiedział:

- Wygląda mi to na otwór wejściowy, prawda, Austin? Co jest jednak dalej? Jeszcze jedna pieczara grobowa, jak ta powyżej?

- Albo nawet skarbiec?! - Jennings zmrugał oko. - Być może mamy przed sobą naturalną pieczarę, która dzięki temu muirowi została zmieniona w rodzaj magazynu. Uważam, że każda z tych możliwości jest po prostu... bajeczna.

Jon poczuł przyływ dumy. Otarł dłonią czoło i zobaczył, że nawet młody Ibrahim przeży się dumnie.

Jon położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

- *Kwais! Kwais! Shukran, shukran!* (Doskonale, przyjacielu. Dziękuję.)

Ibrahim odpowiedział zupełnie niezłą angielszczyzną:

- A ja dziękuję panu, *Sayyed* Weber, że pozwolił mi pan ze sobą pracować.

- Poczekaj chwilę i niczego nie dotykaj - poprosił Jennings.

Po paru minutach wrócił z aparatem fotograficznym, małym łomem, dwoma fleszami i pomalowanym w czarno-białe pasy kijem mierniczym, który ustawił na tle całkowicie teraz odkopanego muru. Zrobił serię zdjęć, a potem podał Jonowi łom.

- Wyważ te cztery kamienie pod nadprożem.

Kamienie miały tylko stopę grubości i Jon usunął je bez większych trudności. Miał przed sobą jakieś pomieszczenie, to nie ulegało wątpliwości. Wyważył ostatni kamień i spojrzał na Jenningsa.

- Ty pierwszy, Austin! To twoje wykopaliska.

- Nie. Ty jesteś odkrywcą. Najpierw jednak musimy upewnić się, czy powietrze wewnątrz nadaje się do oddychania. Ibrahimie, biegnij do magazynu i przynieś świecę, taśmę i zapaliki. Ruszaj, chłopcze...

Po odejściu Ibrahima rozmawiali o sprawach obojętnych, żaden z nich nie chciał bowiem rozładować swojego podekscytowania. Kiedy chłopak wrócił, Jennings przymocował taśmą świecę do końca kija, zapalił ją i wetknął kij najdalej jak mógł do ciemnej jamy.

- Jeśli płomień zgaśnie, lepiej będzie poczekać, aż pieczara całkowicie się wywietrzy.

Poczekali dwie minuty.

- Nie zgasła - oznajmił Jennings. - Wątpię, żeby zamknięcie mogło być hermetyczne. - Wstał. - Ale po trzydziestu latach tej roboty popełniłem pierwszy błąd. - Mrugnął do Jona, żeby pokazać mu, że nie jest pompatycznym osłem. - Powinienem być użyć pompy powietrznej. Jeśliby w środku zgromadziła się większa ilość metanu, wysadziłbym twoje odkrycie w powietrze... a razem z nim pewnie siebie!

- Zawsze mówiłem, Austin, że z ciebie kawał cholernie dobrego archeologa.

- Oszczędź mi swoich humorów! Bierz latarkę i włącz! Ale uciekaj, jak tylko poczujesz jakiś nieprzyjemny zapach albo zakręci ci się w głowie.

Jon przelazł na czworakach przez otwór i zapalił latarkę. Zobaczył niewiele, nie zabrakło mu za to wrażeń zapachowych. Panowała tu

wszechogarniająca woń jakby wilgoci pomieszanej ze zgnilizną lochu, zbutwiałej wody, esencji odwiecznego bagna i guana nietoperzy. Zakasłał, poczuł mdłości i czym prędzej wygramolił się na zewnątrz. Usiadł z posępną miną przed swoim odkryciem i oznajmił:

- Tam śmierdzi jakby cała chińska armia rozwiesiła skarpetki po długim marszu Mao Tse-tunga!

- Tak przypuszczam, Jonathanie. To pewnie gorsze niż turecka toaleta! Musimy poczekać jeszcze, żeby się przewietrzyło.

Po piętnastu minutach Jon powiedział:

- Nie mogę już czekać. Wchodzę.

Wpełzł do środka.

- Zapach jest teraz znośniejszy - zameldował. - A może straciłem węch. - Przyzwyczajają wzrok do ciemności, przesuwając to tu, to tam światło latarki. - Nie ma tu śladu oskardów. To naturalna pieczara. Nie widzę jak na razie nic wykonanego ręką ludzką. Wysokość człowieka, ale garbusa albo karła.

Przez dłuższą chwilę milczał, aż w końcu zniecierpliwiony Jennings zawołał:

- Co jeszcze widzisz?

- Mnóstwo cudownych rzeczy.

- Co?

- To żart! Powtórzyłem słowa, które powiedział Carter, kiedy zobaczył po raz pierwszy złoto w grobie faraona Tutanchamona... Nie, widzę tylko pustą jaskinię.

- No, skoro królik doświadczalny przeżył, wąż i ja. Wiesz już, dlaczego pozwoliłem ci wejść jako pierwszemu?

Jon zachichotał i skierował światło w otwór wejściowy, żeby Jennings widział, gdzie ma stawiać stopy. Ponieważ Jennings był wyższy, uznał, że wygodniej będzie mu oglądać pieczarę na klęcząco niż chodząc zgarbiony jak Jon. Pociągnął nosem.

- Nie jest tak źle, Jonathanie, wcale nie najgorzej. Nie takie zapachy przychodziło mi wachać.

- Pewnie, przecież wywietrzyłem tu specjalnie na twoje powitanie.

Jennings powoli krążył po pieczarze, mrużąc pod nosem coś jakby „Hmmm... uhhmm... no tak... fiu, fiu... no, no, no!” Nie dbając o pośpiech, oglądał starannie ściany jaskini, delikatnie opukując je młoteczką i uważnie wsłuchując się w odgłosy. Powtórzył te czynności, stukając w podłogę między skalnymi występami.

Wreszcie zakończył oględziny i oznajmił:

- Kończy się dzień pracy, Jonathanie. Zachowaj na razie dyskrecję... Porozmawiam też z Ibrahimem... Odwołuję dzisiejsze wykłady, bo mamy mnóstwo spraw do omówienia.

W hotelu czekały na Jona dwa listy, jeden od rodziców z Hannibal, drugi, z wytłoczoną potrójną koroną i kluczami Piotrowymi, z Watykanu. Ten ostatni, od Kevina Sullivana, kończył się następująco:

Wczoraj dokończyłem badanie »Vaticanus« promieniami ultrafioletowymi. W całym kodeksie nie ma żadnych innych śladów wymazywania czegokolwiek. Wykryłem parę miejsc, w których kopista poprawiał własne błędy, ale o tym wiadano od wielu lat.

W najbliższy poniedziałek lecę do Londynu, gdzie zbadam »Sinaiticus«. Dziękuję za ułatwienia w British Museum. Czekam na ostateczne pozwolenie Ojca Świętego na przeprowadzenie testów, które zaproponowałeś.

Pracuj, Jon! Jakże bym chciał, żeby i mnie trochę brudu nawłaziło za paznokcie! Wszystkiego dobrego!

Kevin

A ja chciałbym wiedzieć, co zrobić z tym zakończeniem Ewangelii Marka - pomyślał Jon. - Ten nowy wers może okazać się prawdziwą bombą.

Po kolacji przyszedł do jego pokoju Jennings, dźwigając pod pachą butelkę sherry i dwa kieliszki.

- Wiem - tłumaczył się - że cywilizowani Anglicy piją sherry przed kolacją, a porto po. Ale musimy pogodzić się tutaj z różnymi okropnymi wyrzeczeniami.

- Nic się nie martw, Austin - odparł Jon, naśladowując oksfordzki akcent. - Jestem szczęśliwy, że przyniosłeś jakikolwiek napój zawierający alkohol!

- Widzę, że się starasz, Jonathanie. Jeśli zapewni ci się odpowiednią opiekę, być może nauczysz się nawet porozumiewać z ludźmi w cywilizowany sposób... Ale chwytajmy byka za rogi. Czy w tej pieczarze znalazłeś coś niezwykłego?

- Prawdę mówiąc, nie. Poza zamurowanym wejściem wszystko robiło na mnie wrażenie naturalnej grotty.

Setki podobnych można obejrzeć wszędzie w Izraelu i Jordanii.

- Z pewnością. Ale oglądając drzewa, zapomniałeś o lesie. Powtarzam pytanie: co w tej układance nie pasuje? Co najbardziej odbiega od normy?

- Próg, kamienny mur, oczywiście.

- Otóż to. Dlaczego ktoś miałby zamuroвывать pustą pieczarę?

- Ćwiczył się w murarce? Nie, bądźmy poważni. Najwyraźniej coś wartościowego znajdowało się w jaskini, ale musiało wiele stuleci temu paść łupem rabusiów.

Jennings zmarszczył brwi i przystąpił do obrządku czyszczenia fajki. Pieczołowicie napełnił kominek aromatyczną mieszanką, ubił tytoń zgodnie z instrukcją, zapalił z rozmachem ręki i pociągnął mocno, wypełniając pokój chmurami błękitnego dymu. Dopiero wtedy odpowiedział.

- To dobra hipoteza, Jonathanie. Ale przeoczyłeś anomalie w anomalii.

Jon pomyślał chwilę, a potem wzruszył ramionami.

- Nie wiem... nie widzę, o co ci chodzi.

- Pomyśl: czy rabusie albo poszukiwacze skarbów ułożyliby tak starannie cztery kamienie na miejsce?

- Ależ tak! Chcieli, żeby nikt nie wiedział, że okradziono pieczarę.

- To twój amerykański sposób myślenia, Jonathanie. Tutejsi rabusie grobowców nie byli tacy wyrafinowani. Nie przypominam sobie ani jednego grobowca w Palestynie, który zostałby obrabowany, a następnie z powrotem zamknięty.

Jon przez chwilę gładził się w zamyśleniu po policzku, potem dopił swoją sherry i napełnił oba kieliszki.

- Mamy więc do czynienia z fascynującą zagadką. Czy znasz rozwiązanie?

- Mam parę pomysłów. Chciałbym jednak najpierw dowiedzieć się, co ty o tym myślisz.

Jon zamilkł na dłuższą chwilę.

- Myślę, że są trzy możliwości - powiedział wreszcie. - Albo złodzieje sprzed wieków byli jednak wyrafinowani, albo w pieczarze jest nadal ukryte coś, czego nie zauważyliśmy, albo nigdy nie dowiemy się, w czym rzecz.

- Słusznie. Ja skłaniam się ku drugiej z tych możliwości. Oto dlaczego: chcąc zabezpieczyć się przed rabusiami grobów, starożytni grzebali czasem swych zmarłych w tajemnicy i maskowali ich groby.

Wiele takich grobów odkryto wśród tak zwanych grobowców Sanhedrynu w północnej części Jerozolimy. Dlatego ostukałem ściany pieczary. Szukałem zamaskowanej niszy. Nie usłyszałem jednak nigdzie pustego dźwięku, nie znalazłem niczego podejrzanego.

- Z tego samego powodu faraonowie zrezygnowali z pochówków w piramidach na rzecz grobowców w Dolinie Królów. Musieliśmy coś przeczytać, Austin. Dzisiejsze oględziny były zbyt pobieżne... Dlaczego jednak chcesz zataić nasze znalezisko?

- Wyobrażasz sobie pięćdziesiąt pięć par ciekawskich oczu zagładających do środka?

- No tak.

Jennings uniósł kieliszek.

- Za dzień jutrzejszy!

Stuknęli się kieliszkami i w odpowiedzi usłyszeli natrętnie wycie szakała.

Następnego ranka zabrali ze sobą do jaskini cienkie pręty do sondowania i wykrywacze metali. Cał po całcu przesuwali czujnikiem po ścianach, stropie i podłożu, ale urządzenie milczało, nawet przy nastawieniu na największą czułość. Przystąpili więc do systematycznego opukiwania ścian, wbijając sondy wszędzie, gdzie usłyszeli jakiś podejrzaną pogłos, wszędzie, gdzie ujrzeni jakiś występ skalny albo zagłębienie. Wydawało się jednak, że cała wewnętrzna powierzchnia jaskini jest z litej skały.

Kiedy wrócili do pracy po lunchu, Jennings westchnął:

- W takim razie musi to być podłoże... albo kłęska!

Oświetlili grootę gazową lampą ustawioną w niszy w ścianie naprzeciwko wejścia. Jon przykucnął i przez jakiś czas przyglądał się uważnie podłożu.

- Austin, czy widzisz to co ja?

- Skała, brud, odpadki, guano...

- Nie, spójrz na te występy skalne. Są wszędzie poza środkiem jaskini. - Zakreślił światłem latarki duży prostokąt. Gwizdnął cicho. - No tak. Czyżbyśmy odkryli w końcu miejsce, gdzie należy kopać?

- Dobra robota, Jonathanie! Zbadajmy to.

Zabrali się do pracy, usuwając młotkami kamieniarskimi ziemię przemieszaną z guanem i podając pełne wiadra Ibrahimowi. Pod koniec dnia roboczego zagłębili się na dziewięć cali i odsłoniли podłoże, które z całą pewnością nie było skalne.

- Widzę, że jutro czeka nas taka sama robota, Austin - powiedział Jon i otarł czoło.

Tego wieczoru Jon siedział przy kolacji naprzeciwko Shannon. Rozmowa zesłała na stały temat charakterystyczny dla wszystkich dyskusji toczonych w tej części świata: Izrael a Arabowie.

- Czy kiedykolwiek nastanie tu prawdziwy pokój? - powiedział Jon.

- Układy Izraela z FWP to pierwszy wielki krok w tym kierunku - odparła Shannon, obierając pomarańczę z Jaffy. - Ale ekstremiści stają na głowie, żeby podsyć konflikt. Nie masz pojęcia, ile tu jest po obu stronach najrozmaitszych grup nacisku.

- Na przykład?

- Po stronie palestyńskiej mamy Hamas, przy którym El Fatach to niewinne dzieci. Widzisz, Hamas to prawdziwi wierni, islamscy fundamentaliści, którzy odrzucają wszelką możliwość rozmów z Izraelem, gdyż ani myślą uznać istnienie żydowskiego państwa.

- A po stronie izraelskiej? Przecież tam też nie brak ekstremistów. Zgodnie z żydowskim przekładem: gdzie dwóch Żydów, tam trzy poglądy.

- Mamy szeroki wachlarz rozmaitych odłamów, od *Gush Emunim*, którzy chcą, żeby flaga z gwiazdą Dawida załopotiała, jeśli to możliwe, nad Damaszkiem, po ortodoksyjne grupki, które są przeciwne istnieniu państwa Izrael.

- Co? Żydzi przeciw Izraelowi?

- Tak, tak. Weźmy *Neturei Karta*. To rygorystycznie ortodoksyjni Żydzi, którzy uważają, że istnienie państwa Izrael jest pogwałceniem woli Boga.

- Ach, więc to ci! - przypomniał sobie nagle. - Zdaje się, że to ci, którzy uważają, że sam Bóg chciał wygnania Żydów z Izraela? A koniec wygnania nastąpi dopiero, kiedy przyjdzie mesjasz?

- Tak. Niektórzy twierdzą nawet, że nazistowski holocaust był karą Boską za syjonizm i planowane, długo przed 1948 rokiem, utworzenie Izraela.

- Nie do wiary!

Shannon uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Nikt nie przywiązuje do nich zbytnej wagi, ale stanowią część szaleńczego politycznego pejzażu dzisiejszego Izraela.

Jon poruszył się na krześle. Ogarnęło go poczucie frustracji. Shan-

non była ujmującą, atrakcyjną, sympatyczną kobietą, w dodatku bardzo inteligentną. Kobieta, w której można się zakochać. Kobieta nie dla niego, bo zbyt młodą... no i już zajęta. Lepiej wrócić do przerwanej rozmowy.

- Wróćmy więc do pierwszego pytania - zdołał w końcu podjąć przerwany wątek. - Czy można mieć nadzieję na pokój?

Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Po chwili skinęła głową.

- Jasne.

- Kiedy?

- Po przyjsciu mesjasza.

Wieczorną ciszę zakłócił trzykrotnie powtórzony dźwięk klaksonu.

- Ojej! Muszę lecieć! Gideon niecierpliwi się, jeśli nie biegnę na wezwanie.

Następnego ranka Jon i Jennings ostrożnie wbijali sondy w dno wykopu w pieczarze. Jeden napotkał twardy przedmiot na głębokości dwunastu, drugi trzynastu cali.

Ryli teraz z pasją. W milczeniu, klęcząc, kopali małymi saperkami, podając kolejne wypełnione wiadra Ibrahimowi. Słychać było syk gazowej lampy, która po raz pierwszy od stuleci rozpraszała mroki pieczary.

- Dokopałem się do czegoś - oznajmił po jakimś czasie Jon.

- Weź teraz łopatkę. Uważaj, żeby czegoś nie zadrapać.

Po kilku następnych minutach Jennings powiedział:

- Ja też to mam.

Jeszcze godzina uważnej pracy i ich oczom ukazała się mierzająca mniej więcej metr na dwa płyta szarawej wapiennej skały, wybrzuśzona pośrodku i opadająca ku skrajom z nachyleniem cztery do jednego. Na rogach miała uchwyty.

- Na Boga! - szepnął z przejęciem Jennings. - Czy wiesz, co my tu mamy?

- Tak... nie ma wątpliwości. To wieko sarkofagu.

Przy lunchu z trudem skrywali rozgorączkowanie. Jennings uznał, że należy nadal trzymać wszystko w tajemnicy, dopóki nie zakończą pracy. Zrobił tylko wyjątek dla Dicka Cromwella, który miał stawić się w pieczarze z całym swoim sprzętem. Przez resztę popołudnia w grocie błyskał flesz, gdyż Cromwell rejestrował wszystkie kolejne etapy odsłaniania bocznych ścian kamiennego sarkofagu.

Praca szła wartko, gdyż teraz mieli znacznie mniej ziemi do usuwania. O drugiej po południu zawiadomili, że nie wrócą autobusem, ale należącym do ekspedycji land roverem. Niektóre fazy pracy archeologicznej nie znoszą przerw.

Późnym popołudniem sarkofag był odsłonięty z wszystkich stron. Miał dwie i pół stopy wysokości i był wykonany z tego samego kamienia co wieko. Na dłuższych bokach zobaczyli wyryte dwie piękne rozety, a na krótszych - małe siedmioramienne świeczniki, menory.

Jednak nie sztuka poruszyła najgłębiej trzech mężczyzn, kiedy klęczeli przy kamiennej trumnie, przeżywając najstraszliwszy moment swojego życia zawodowego. Pierwsze litery Jon zauważył w środku popołudnia, ale nie oczyścił ich wtedy, odkładając to na moment, kiedy odsłonięte zostaną wszystkie boki sarkofagu. Teraz wziął do ręki szczotkę z wielbłądziej sierści i delikatnie omył in-skrypcję. Dwucalowej wysokości litery składały się na dwujęzyczny napis, pierwszy dźwięk trąb przeznaczenia:

ΕΝΘΑΔΕΚΙΤΕ
ΙΩΧΗΦΑΡΙΜΑΘΑΙΟCΥΙΟC
ΑΧΗΡΒΟΥΛΕΥΤΗC
DIBY ΠΣΓΣΒ 1117311

- Na górze jest po grecku, a na dole po hebrajsku, prawda? - spytał Cromwell.

- Po aramejsku... To młodszy krewniak hebrajskiego - odparł Jon.
- Co to znaczy?

Jon wskazując palcem kolejne sylaby odczytał:

- Tu... spoczywa... Józef z Arymatei... syn Asera... Radca albo członek rady... Błogosławiona niech będzie jego pamięć... Pokój.

- O jaką radę chodzi? - spytał Cromwell.
- Oczywiście o żydowski Sanhedryn. Tego samego terminu użyto w Ewangeliach.

W pieczarze zapanowała cisza.

- Niesamowite! - wykrzyknął wreszcie Cromwell. - Po prostu niesamowite! Jennings milczał. Otarł łzę spływającą z kącika oka.

VII

Jonathanie... Richardzie... nie muszę wam mówić, co to oznacza.
- Jennings odzyskał w końcu mowę, kiedy wsiedli do land rovera i ruszyli w stronę Ramallah. - Sarkofag jest być może pusty. A może nie. Jeśli nie jest pusty, byłby to pierwszy przypadek odkrycia zwłok osoby wymienionej w Biblii. Mamy inskrypcje mówiące o tych ludziach, na przykład kamień Poncjusza Piłata w Cezarei, nigdy jednak nie mieliśmy do czynienia z ich... szczątkami.

- I to szczątkami nie byle czyimi! Chodzi o człowieka, który pogrzebał w Jerozolimie Jezusa! - wykrzyknął Jon. - Austin, to może być odkrycie stulecia!

Zamilkli. Po jakimś czasie odezwał się znowu Jon:

- Wydaje mi się jednak, że w tym momencie właśnie tego rodzaju spekulacji powinniśmy za wszelką cenę unikać.

Jennings skinął potakująco głową.

Siedzący za kierownicą Cromwell był innego zdania.

- Sam sarkofag... ze zwłokami czy bez... przejdzie, wierście mi, do historii. Czy podzielimy się tą nowiną z naszymi ludźmi?

- Nie. Na razie nie - odparł czym prędzej Jennings. - Najpierw musimy utworzyć sarkofag. Nie zapomnijcie o zabraniu jutro dwóch wciągników łańcuchowych i dwóch czwórnoógów. Do tego parę łomów i płaskich prętów.

- I mojej kamery wideo - dodał Cromwell. - To zbyt historyczna sprawa, by zadowolić się zdjęciami.

W Ramallah pozostali uczestnicy ekspedycji zastanawiali się, co ci

trzej robili, i padło kilka pytań o to, co dzieje się u stóp urwiska. Zbyto je jednak milczeniem.

Następnego ranka ustawili nad wykopem z sarkofagiem dwa czwórnożki. W szczelinę pod wiekiem wsunęli łomy i powolutku zaczęli odrywać wieko od starej glinianej zaprawy zespalającej je z sarkofagiem. Cromwell wypełnił grootę światłem z trzech następnych lamp gazowych, które przyniósł razem z kamerą wideo. Jon i Jennings wsunęli płaskowniki z obu końców wieka, uczepili do nich łańcuchy, które umocowali do małych wciągników zawieszonych na czwórnożkach.

- Musimy ciągnąć równo, Jonathanie - powiedział Jennings.
- Świat nie wybaczyłby nam, gdybyśmy rozbili wieko! Uważaj, ciągnij razem ze mną.

Jon uśmiechnął się. Mimo wszystkich ostrzeżeń, jakich nie szczędził Jennings, już teraz nie mógł powstrzymać całkiem „przyziemnych” myśli. Jednak ciągnął łańcuch z wielkim skupieniem, żeby dotrzymać dokładnie kroku Jenningsowi.

- Dobrze, Austin, dźwigniemy je poziomo.
- W porządku... wystarczy.

Wieko znalazło się teraz cztery stopy nad sarkofagiem i co najmniej dwie stopy ponad dnem pieczary. Obaj skierowali światło laterek do wnętrza kamiennej trumny, ale bardzo długo nie odzywali się ani słowem.

- Co, do cholery, widzicie? - wrzasnął w końcu Cromwell, który nie mógł już znieść napięcia.
- Odtóż kamerę i chodź tu.

Cromwell podszedł do skraju wykopu i spojrział w dół. Zobaczył poźółkły i częściowo zbutwiały całun, otulający ludzki szkielet. Puste oczodoły nie budziły lęku i wyglądało nawet, jakby czaszka uśmiechała się, ukazując dwa rzędy zdrowych zębów.

- Jakby mówił: „No, przyjaciele, nareszcie mnie znaleźliście!”
- powiedział Cromwell.
- Ibrahimie! - zawołał wreszcie Jennings w stronę otworu wejściowego. - Biegnij i sprowadź Clive'a i Shannon. I Noela Nottinghama.

Kiedy cała trójka wpełzła do pieczary, Jennings oznajmił uroczystym głosem:

- Shannon, dzisiejszy wpis do dziennika zaczniesz następująco: „O 10⁴⁵, dzisiejsza data, na północny zachód od helleńsko-rzymskich prac wykopaliskowych w Rama zostały, wedle wszelkiego prawdo-

podobieństwa, odkryte przypuszczalnie pierwsze szczątki postaci biblijnej”.

- O Boże! - wykrzyknęła Shannon. - Czyje?
- Józefa z Arymatei.

Dwa dni później Jennings zarządził wieczorne zebranie całego personelu. Zawiadomił zebranych o odkryciu, następnie wytłumaczył, dlaczego zwlekał z ogłoszeniem nowiny, a wreszcie poprosił Dicka Cromwella, żeby zademonstrował przezrocza przedstawiające pieczęć, wykop i kamienny sarkofag. Po zakończeniu pokazu Jennings obiecał, że wszyscy będą mogli, grupami po czworo, obejrzyć znalezisko.

- A teraz - oznajmił - nasz antropolog, profesor Nottingham, przedstawi wyniki swoich wstępnych badań.

Noel Nottingham był wysokim, chudym jak tyczka mężczyzną, chodzącą kwintesencją wykładowcy z Cambridge; nie rozstawał się z fajką i zawsze miał na sobie pobrudzone bermudy koloru khaki. Przypominał Davida Nivena i starał się naśladować nonszalancki styl bycia brytyjskiego aktora. Zaczął od zastrzeżenia.

- Proszę ani na chwilę nie zapominać, że te uwagi będą bardziej niż wstępne, a tym samym mogą okazać się błędne po przeprowadzeniu dalszych badań. Przede wszystkim, szczątki są bardzo dobrze zachowane, kości w większości nadal ze sobą połączone i nie ma na nich zbyt wielu wapiennych narostów. Był to mężczyzna w późnym średnim wieku, mierzący mniej więcej pięć stóp i osiem albo dziewięć cali, budowy, jak się zdaje, proporcjonalnej. Szerokość ramion wskazuje, że chodzi o mężczyznę, którego nazwalibyśmy raczej mocno zbudowanym niż krępy. To samo dotyczy pasa biodrowego. Odżywiał się właściwie, jako że wszystkie kości są odpowiednio zaokrąglone i całkowicie w normie. Ani śladu próchnicy zębów. Żył przecież w epoce przedlizakowej, w czasach, kiedy nikt nie jadł byle jak i byle czego.

Zgodnie z oczekiwaniami Nottinghama słuchacze zachichotali.

- Są to szczątki kogoś, kto nie nawykł do ciężkiej pracy fizycznej, ponieważ stawy nie pokazują śladów zużycia, jak stawy niewolników i robotników, których odkopaliśmy podczas prac na skraju Herculanum - ciągnął.

- Jasne! - szepnęła Shannon do ucha siedzącemu obok Jonowi.
- Józef z Arymatei był tłustym kotem.
- Nowy Testament podaje tylko, że był człowiekiem zamożnym
- szepnął w odpowiedzi Jon - i ani słowa o tym, czy był tłusty.

- To przecież po amerykańsku gruba ryba jest tłustym kotem, Jon! Nie poznajesz ojczyztego języka? - Szturchnęła go żartobliwie w bok.

Nottingham ciągnął:

- Szkielet nie ujawnił żadnych chorób powodujących wyrodzenie kości. Dłonie i stopy w normie, aczkolwiek palce raczej szczupłe. A wreszcie budowa czaszki wskazuje, że mężczyzna, o którym mowa, miał lekko wydłużoną twarz o prostokątnej szczęce, wysokich kościach policzkowych, szerokich ustach i niezbyt wydatnym nosie. Włosy czarne. Mamy nadzieję, że wkrótce dowiemy się czegoś więcej. Czy ktoś chciałby zadać pytanie?

- Tak... Skąd wiadomo, że chodzi o mężczyznę, a nie o kobietę? - spytała Eloise Bancroft z Bennington College. Jej niezbyt wybitne, jak dotychczas, osiągnięcia na polu archeologii wskazywały, że czeka ją przyszłość nie tyle specjalistki od wykopalisk, ile od problemów heteroseksualnych.

- Był mężczyzną, Eloise - odparł pogodnym głosem Nottingham.
- Kobiety mają szerszą i bardziej krągłą miednicę, co umożliwia rodzenie dzieci. Mają też drobniejszą ogólną strukturę kostną. I właśnie nasz szkielet ma większe kości i węższy pas miednicowy. A więc mężczyzna... Tak?

- Powiedziałeś, że to szczątki mężczyzny u schyłku wieku średniego - zabrał głos Dick. - Czy mógłbyś to uściślić? I jeszcze, jak określasz wiek?

- Na pierwsze pytanie odpowiem, że mężczyzna w chwili śmierci miał co najmniej pięćdziesiąt lat. Określamy to na podstawie ostróg albo guzów, które powstają wskutek odkładania się wapnia w stawach, a również na podstawie stopnia starcia i zużycia emalii na zębach.

- Skąd wiesz, że był brunetem? - zdziwiła się Regina Bandicoot.
- Zachował się kosmyk przylepiony do czaszki.
- Aha. Noelu, a co się stanie z jego kośćmi?
- To trafne i właściwe pytanie, Regino. Z pewnością okażemy szacunek należny zmarłemu. Szczątki zostaną pogrzebane, ponieważ jednak mamy do czynienia z nie byle kim, przedtem trzeba będzie wykonać mnóstwo badań naukowych.

- Tak czy owak - wtrącił się Jennings - szczątki przeniesiemy, i to najwcześniej jak się da, do Muzeum Rockefellera w Jerozolimie, gdyż trzeba je czym prędzej zabezpieczyć emulsją z polioctanu winylu. Inaczej w tym suchym powietrzu szybko by się rozsypały.

Teraz Jennings poprosił Jona o wyjaśnienie studentom, na czym polega znaczenie tego odkrycia.

- Jeszcze parę lat temu nie byłoby to potrzebne - szepnął. - Nie można jednak lekceważyć biblijnego analfabetyzmu dzisiejszej młodej generacji.

- Nie mamy niezbitych dowodów - zaczął Jon - i nie możemy wyciągać pochopnych wniosków. Jednak na sarkofagu jest napis „Józef z Arymatei, syn Asera. Radca”, jest więc rzeczą prawdopodobną, że odkopaliśmy szczątki opisanego w Nowym Testamencie mężczyzny, który po ukrzyżowaniu zorganizował pogrzeb Jezusa. Był członkiem Sanhedrynu, ale podobnie jak jego przyjaciel, Nikodem, nie głosował za skazaniem Jezusa. Oddał nawet swój jerozolimski, wykuty w skale grobowiec, by Go tam pochowano. Jeśli rzeczywiście odkryliśmy szczątki tego Józefa, najwidoczniej po okresie służby w Jerozolimie wrócił do rodzinnego miasta i w nim został pochowany. W takim przypadku mielibyśmy do czynienia z pierwszym przypadkiem znalezienia szkieletu postaci opisanej w Biblii. Być może znaleziono inne szczątki, na przykład Józefa Kajfasza, ale ostateczna identyfikacja była niemożliwa... Czy są jakieś pytania?

Podczas wystąpienia Jona przez salę przebiegał od czasu do czasu szept podekscytowania. Teraz podniósł rękę Scott Ferguson, student wydziału studiów bliskowschodnich w Yale.

- Wydaje się, że dysponujemy niezbitym dowodem, iż chodzi o Józefa z Arymatei. Dlaczego więc mówi pan tylko o prawdopodobieństwie?

- Z wielu względów. W czasach biblijnych synowie często dziedziczyli zawód po ojcu, tak więc ten Józef może być synem albo ojcem Józefa wymienionego w Ewangelii. A może należeć do jeszcze innej generacji. Albo nawet w ogóle nie być żadnym krewnym Józefa z Ewangelii. Mógł też być członkiem lokalnej rady, w Rama, a nie w Jerozolimie. I chociaż wszystko wskazuje, że kości złożone w sarkofagu są jego kośćmi, może się przecież okazać, że należą do kogoś innego. Aczkolwiek wydaje się to mało prawdopodobne. Pamiętajmy jednak o tym, że na przykład Jezus z Nazaretu został pochowany w nie swoim grobowcu.

- Wziąwszy to wszystko pod uwagę - nie poddawał się Ferguson - jakie jest, pana zdaniem, prawdopodobieństwo, że są to szczątki tego Józefa z Arymatei, który został wymieniony w Biblii? W skali od jednego do dziesięciu?

Jon uśmiechnął się i wymienił parę słów z Jenningsem. Skinęli zgodnie głowami.

- Siedem do ośmiu - oświadczył Jon. - Ale proszę, by dla dobra naukowej archeologii nie mówił pan nikomu, że coś takiego powiedziałem!

Wszyscy się roześmiali. Wstał Jennings. Na jego twarzy malowało się napięcie.

- Może nie zdajecie sobie z tego sprawy, ale nasze prace są teraz poważnie zagrożone. Jeśli ktokolwiek z was puści parę z ust na temat odkrycia, czeka nas klęska. Natychmiast mielibyśmy na karku chasydów! Widzieliście, jaką demonstrację urządzili przy pustym grobowcu. Wyobraźcie sobie, ile byłoby krzyku, gdyby okazało się, że odkryliśmy grobowiec, który nie jest pusty! To nie wszystko! Ze względu na być może sensacyjną tożsamość znalezionych szczątków osaczyłyby nas całe hordy dziennikarzy, a to z pewnością nie wpłynęło by korzystnie na przebieg prac. Muszę więc prosić o całkowitą dyskrecję. Chcę, by każdy z obecnych podniósł rękę, osobiście potwierdzając obietnicę, że dochowa tajemnicy.

Wszyscy natychmiast podnieśli ręce i na tym spotkanie się skończyło. W sali pozostało tylko kierownictwo robót, żeby omówić kwestie poufne.

- Jak wygląda sprawa z twoimi arabskimi robotnikami, Achmedzie? - spytał Clive Brampton.

- Żadnych problemów - zapewnił Sa'ad. - Doskonale zdają sobie sprawę z tego, co sprowadziło tu brodatą plagę, jak nazywają tamtych. Powiedziałem o wszystkim paru takim, co umieją mądrze trzymać język za zębami w imię Allacha Wszechmiłosiernego. I będą milczeć.

- A Gideon i Urząd Starożytności, Shannon? - spytał Cromwell.

- Możemy być spokojni. Gideon wyjechał w sprawach naukowych. A jeśli nawet dowie się, że natrafiliśmy na kości, z pewnością nie podzieli się tą informacją z naszymi przyjaciółmi z BS.

- BS? - spytał Jon.

- Bractwo Superortodoksji.

- Jakże by inaczej! - Jon zachichotał, świadom swojej naiwności. Potem dodał: - Musimy również pamiętać, że nie są to raczej pierwsze ludzkie szczątki odkryte w Izraelu. Nie jesteśmy rabusiami grobów!

Kilka dni później, kiedy Nottingham ostrożnie wydobył szkielet, Jennings, Brampton, Shannon i Jon przesiewali materiał z dna sar-

sów herodiańskich.

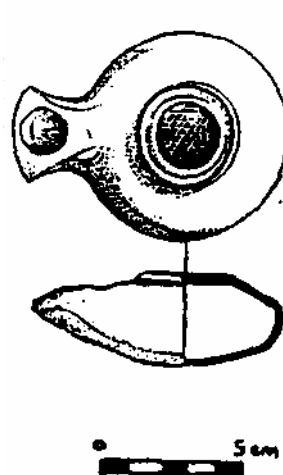
- To typowe - skomentował Jennings. - Takie lampki znajdują się często w grobowcach.

- To prawda, chodzi o symboliczne źródło światła w podróży tamten świat - dodał Brampton. - Stary egipski pomysł.

Kiedy Ibrahim podał lampkę Jenningsowi, ten wykrzyknął:

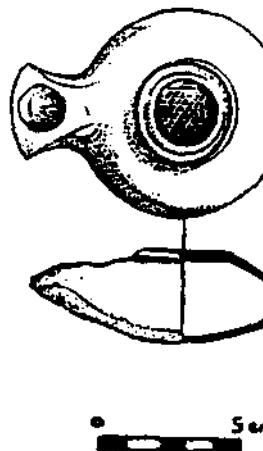
- Rzeczywiście z okresu herodiańskiego. Widzieliśmy dziesiątki podobnych. Wiemy więc, że chodzi o pierwszy wiek przed Chrystusem albo pierwszy wiek po Chrystusie. Shannon, wyjdź i zrób szkice.

Shannon wygramoliła się z pieczary, wzięła linijkę, ołówek i papier i wykonała następujący rysunek:



Shannon
pomyślała sa-
mą, że
mogę się
złapać z
Naomi.

Shannon znała
zofagu na-
obnej wie-
pierwszej
świadczył,
okresu.
z Shannon
ten kaga-
przez mo-



ment czuł zawiść. Zaraz jednak sam zadziwił się, jak małosłowne mogą być myśli człowieka, i to w momencie, kiedy powinny być najbardziej wielkoduszne. Gong na lunch uwolnił go od snucia dalszych rozważań nad ludzką marnością.

Kiedy wypęzał z pieczary, zobaczył Shannon rysującą pracownicę drugą lampkę.

- Ta jest chyba nieco wcześniej
sza od pierwszej - powiedział Jen-
nings. - Późnohelleńska lub wczes-
noherodiańska. Zobaczymy, co po
wie Naomi.

Przy stole Naomi z właściwą spe-
cjalistom od ceramiki czułością ob-
racała kaganki w rękach, usuwając
z nich szczoteczką resztki pyłu.

- Jak widzicie, obie te lampki
zostały wykonane z różowo-
płowej gliny - oznajmiła przy
stole kierownictwa. - Nie pokry-
to ich żadną polewą. Ślady sadzy
wskazują, że obie były kiedyś
używane. Pierwsza ma wygięty
dzióbek i pochodzi z czasów herodiańskich. Dość często spotykana w
okresie od Heroda Wielkiego do, powiedzmy, podboju przez Rzymian.

- Czyli mniej więcej 40 rok przed Chrystusem do 70 roku po
Chrystusie? - spytał Cromwell.

- Tak, tyle że jako Żydówka powiedziałabym raczej między 40
rokiem przed naszą erą a 70 rokiem naszej ery.

- Jasne, przepraszam. - Twarz Dicka oblał rumieniec.

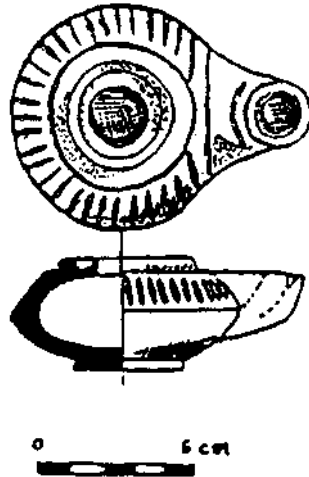
- Natomiast lampka z ornamentem ma kształt ostróżki, co ozna-
cza, że jest wcześniejsza. Sporo podobnych odkryto w warstwie póź-
nohelleńskiej.

Więcej szczęścia miał Jon po południu. Zaraz po lunchu znalazł
leżące na dnie sarkofagu wysmukłe buteleczki. Oczyszczył je z pyłu
i pokazał dwa kremowo-płowe naczynka Jenningsowi i Bramptonowi.

- No, Jonathanie, nareszcie zarobiłeś na swój pobyt tutaj - powie
dział Jennings. - Jak myślisz, Clive, co to takiego?

Brampton przyjrzał się uważnie znalezisku.

- Może to flaszki do lampek?





minutach zmiął kartkę i rzucił z odrazą. Druga wypadła nieco lepiej - poślą. Skończył szkicowanie w momencie, kiedy nadciągnęła Naomi. Spojrzała na naczynka.

- Tego należało się spodziewać - oznajmiła. - To naczynia namaszczeniowe, połowa okresu herodiańskiego do rzymskiego pod koniec. Wiele takich znajdujemy w grobowcach z okresu między, powiedzmy, 20 rokiem przed naszą erą a 70 naszej ery.

- Myślałem, że to flaszki na oliwę do kaganków - powiedział Brampton.

- Jedna być może, ta większa. Ale druga zawierała maść albo olejki do namaszczenia zwłok.

- A zatem - wtrącił się do rozmowy Jon - jest to dość typowe wyposażenie dla grobowców z pierwszego wieku?

- Jak mówicie wy, Amerykanie? Standardowe wyposażenie? - odpowiedziała Naomi. - Bardzo typowa ceramika. Poczulałabym się zaskoczona, gdyby w jakimś grobie nie było takiej ceramiki.

Przed końcem dnia roboczego Jon czyścił właśnie tę część kofagu, w której spoczywały nogi zwłok, kiedy jego łopatką natra-

na coś twardego. Podważył i poruszył podłużny przedmiot, który przy tych manewrach rozłamał się na dwie części. Jon zaklął pod nosem.

Shannon skierowała światło na znalezisko i wspólnym wysiłkiem wydobyli fragmenty. Była to jakaś zbutwiała płytką o parę odcieni jaśniejsza od resztek, wśród których leżała. Zachowując niezwykłą ostrożność, usunęli szczoteczką tyle brudu, ile się dało i przekazali przedmiot Jenningsowi.

Mijały sekundy. Minuta. Na zewnątrz panowało milczenie. W końcu Jon przyklęknął w otworze wejściowym i zakrzyknął:

- Co to takiego, Austin?

- Na Jowisza! - ryknął Jennings. - Wyłaście! To chyba inskrypcja! Jennings stał pochyłony nad fragmentami płytki i czyścił ją szczotką z wielbłądziej sierści.

- To pergamin - oznajmił. - Był nawinięty, wydaje się, na kawałek drewna, które całkiem zbutwiało. Można jednak odczytać jakieś wyblakłe litery...

Jon przez dłuższą chwilę niczego nie widział, gdyż wzrok mu przywykł do mroku pieczary. W końcu przyjrzał się pergaminowi i wykrzyknął:

- Nie do wiary! Tutaj widzę deltę, więc to pewnie greka!

- Gong! Koniec pracy! - powiedział Jennings. - Zbadamy ten pergamin po kolacji.

Dwa fragmenty pergaminu leżały na stole w małym laboratorium ekspedycji, urządzonym w pomieszczeniu hotelowym. Jon użył dmuchawy, żeby usunąć z pergaminu resztki osadów, i gromadka skupiona wokół stołu nie mogła rozmawiać, bo wszystko zagłuszał warkot kompresora. Złożony wzdłuż linii przełamania pergamin mierzył dwie stopy długości i jedną szerokości. Napis rozmieszczony był w trzech liniijkach, przy czym niektóre litery były prawie niewidoczne.

Jon wpatrywał się dłuższą chwilę w napis, a wreszcie potrząsnął z rezygnacją głową.

- Nie jestem w stanie niczego przeczytać. Może ty spróbujesz, Austin?

Jennings także potrząsnął głową.

- Może macie tutaj lampę ultrafioletową?

- Mamy! Kapitalny pomysł! Clive...

Brampton przyciągnął małe urządzenie, poczekał kilka minut, aż światło nabierze intensywności, a następnie skierował ją na pergamin.

- Lepiej! Znacznie lepiej - powiedział Jon. - Środkowa linijka jest z pewnością po grecku. Ale ostatnia... czyżby po aramejsku? - Pochylił się niżej i przez jakiś czas wpatrywał się w pismo. Wyprostował się i zapytał: - A górna linijka? To... to łacina!

Zapadła martwa cisza. Oczy obecnych przyzwyczajają się stopniowo do ultrafioletowego światła. Można było teraz odczytać większość napisu.

- O mój Boże! - szepnęła Jon, który jako pierwszy odczytał tekst.

- Ciągłe nie mogę przeczytać, Jonathanie - powiedział Jennings - chociaż mam już „Nazaret... król”... O, nie!... nie! Chłopcze! Wszyscy święci Pańscy, miejcie nas w swojej opiece!... Jest!

Opadły mu ramiona. Otworzył szeroko usta. Podeszedł do najbliższego krzesła i opadł na nie. Przyłożył dłoń do czoła. Jon poczuł, że nogi ma jak z waty. Osunął się na podłogę. Siedział nieruchomo na dywanie z szeroko rozsuniętymi nogami.

- Co to, jakiś zawodowy sekret? - oburzyła się Shannon. - Prosiły o przekład! Nie jestem najlepsza w aramejskim.

Jej ojciec milczał. W końcu Jon wykrztusił z siebie:

- To *titulus*, Shannon, *titulus*!

- Co masz niby na myśli?

W głosie Jona brzmiała groza.

- Napis, który Poncjusz Piłat kazał przybić do krzyża w Wielki Piątek, kiedy...

- „Wypisał też Piłat tytuł winy i kazał go umieścić na krzyżu - przytoczył Jennings Ewangelię Jana. - A było napisane: »Jezus Nazarejczyk, Król Żydowski«... A było napisane w języku hebrajskim, łacińskim i greckim.”

- Teraz wiemy już, że te szczątki należą naprawdę do biblijnego Józefa z Arymatei, prawda, Austin? - spytał tryumfalnym tonem Jon.

- O, tak... masz rację! To bajeczne, Jonathanie, po prostu bajeczne! Oto potwierdzenie!

- Nie widzę zbyt jasno... - przyznał Brampton.

- Clive - tłumaczył mu Jon. - Józef z Arymatei zapewne przechował *titulus* jako coś w rodzaju... świętej pamiątki po pogrzebaniu Jezusa w Jerozolimie, a nawet polecił, by inskrypcję włożono do jego grobu.

Twarz Bramptona rozjaśniła się.

- Niewiarygodne! - wykrzyknął z entuzjazmem. - Nasze odkrycie przejdzie do historii...

- Razem ze zwojami znad Morza Martwego - zaszcebiotała Shannon.

- Zwróćcie uwagę, że brak tu częściowo łacińskiego słowa „Żydowski” oraz wersji aramejskiej - powiedział Jon. - Musimy przeszukać sarkofag, żeby odnaleźć dwa brakujące rogi.

- Nie przeszukaliście go do końca? - zdziwił się Brampton.

- Nie. Zostało jeszcze trochę roboty.

Przed chwilą wszyscy byli jak oniemiała, ale teraz języki rozwiązały się i wszyscy dawali upust radości. Tylko Jennings nawoływał do powściągliwości. Chociaż ich odkrycie jest autentyczne i nie może być co do tego żadnych wątpliwości, bo przecież czegoś takiego nie sposób było zmyślić, każdy, kto nie był tu obecny, musiał prawie instynktownie podejść do czegoś tak niezwykłego z największym sceptycyzmem. Im bardziej nadzwyczajne znalezisko, tym ostrzejszej podlega weryfikacji.

- Przykro mi, ale dopóki nie zostaną przeprowadzone wszystkie testy - obwieścił Jennings - nie możemy przekazać informacji nawet najbliższemu współpracownikom. Odkrycie jest... zbyt spektakularne, żeby można było mówić o nim nawet wśród swoich... póki nie ma ostatecznego potwierdzenia. Czy wszyscy się zgadzają?

Shannon, Clive i Jon kiwnęli potakująco głowami.

- Aha! Jest ktoś, z kim będziemy musieli się podzielić naszą... chwilową tajemnicą. Clive, sprowadź tu Dicka Cromwella ze sprzętem. Oczywiście trzeba go będzie wtajemniczyć, ale Dick potrafi trzymać język za zębami.

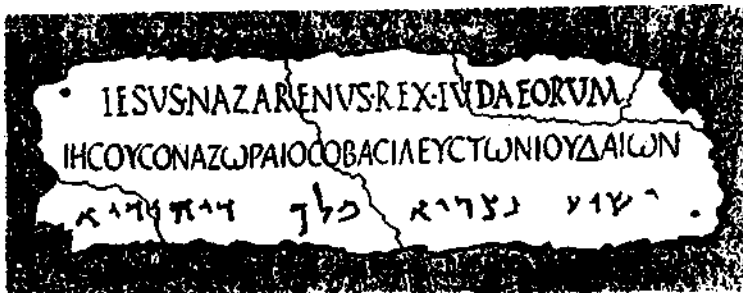
Przeszukując nazajutrz rano dno sarkofagu, znaleźli brakujący róg pergaminu, tak że napis łaciński był teraz kompletny. Leżał pod tkaninami i dzięki temu atrament mniej wyblakł niż na pozostałej części pergaminu. Przy przesiewaniu resztek odnaleźli jeszcze parę innych fragmentów.

Ponieważ *titulus* został odnaleziony prawie w całości, Cromwell wykonał serię zdjęć na matowym neutralnym tle, używając filmów panchromatycznych i barwnych. Potem powtórzył wszystko przy świetle podczerwonym i nadfioletowym, stosując oczywiście odpowiednie filmy.

Jon badał uważnie napis w promieniach ultrafioletowych. Przypominał sobie podobne badania w Watykanie. Gdyby pergamin był palimpsestem, to znaczy gdyby napis wykonano po uprzednim wymazaniu poprzedniego, promienie ultrafioletowe ujawniłyby ten fakt.

- Niczego więcej nie widzę - oświadczył na koniec. - Poncjusz Piłat nie był najwyraźniej skąpy. Kazał użyć nowego pergaminu.

Późnym wieczorem Cromwell pokazał serię bardzo kontrastowych odbitek, na których napis był wyraźniejszy niż na samym pergaminie.



- Doskonale! - pochwalił Jennings. - Jutro zaraz po śniadaniu bierzemy się do roboty. Cała piątka nie mogła tej nocy zasnąć.

- No, Jonathanie, czeka nas znowu zadanie z zakresu paleografii - popędzał Jennings następnego ranka. - Co o tym wszystkim myślisz?

- Zacznijmy od górnej linijki. Napis łaciński jest bardzo podobny, jeśli chodzi o krój liter, do tych, które widziałem na afiszach wyborczych w Pompei, a ponieważ Pompeja została zasypana w 79 roku po Chrystusie, wydaje się, że ta łacina musi też pochodzić z pierwszego wieku.

- Na razie idzie jak z płatka - przyznała Shannon. - A jak wygląda sprawa z greką?

- Krój liter greckich zmienił się niewiele od czasów helleńskich do rzymskich, nie jest więc łatwo podać datowanie z dokładnością do stulecia. Ale odręczne napisy z pierwszego wieku, jakie widziałem w Atenach, są bardzo podobne.

- Ciepło, ciepło! - zacierał dłonie Cromwell. - Ale teraz spójrzmy na dolną linijkę. Po aramejsku słowa są rozdzielone, tak jak robimy to dzisiaj. Czy ówczesni Żydzi nie pisali bez przerw? Grecy i Rzymianie najwyraźniej tak.

- Nie, w tej sprawie byli zadziwiająco nowocześni. Zaczęli oddzielać słowa już w piątym wieku przed Chrystusem... Jeśli chodzi

o samo pismo, nie ulega wątpliwości, że jest to niezbyt gładki aramejski z pierwszego wieku, to jest z okresu herodiańskiego. - Jon zamilkł i w zamyśleniu zaczął stukać się palcem w nos. Po chwili zmarszczył brwi i powiedział: - Moi drodzy, mamy tu dwa problemy. Pierwszy można uznać za drobny: otóż Ewangelia według Jana powiada, że napis był po hebrajsku, łacinie i grecku, tutaj zaś mamy aramejski, nie zaś hebrajski... hmm... właściwie to nieważne, gdyż aramejszczyzna jest siostrą hebrajszczyzny i wiemy, że lud mówił w czasach Jezusa po aramejsku. W końcu to dla ludu umieszczono tabliczkę z napisem. Jednak drugi problem jest znacznie poważniejszy...

- Wiem, chodzi o porządek napisów - powiedział Brampton.
- Tutaj łacina jest na pierwszym miejscu.

- Nie, tym bym się nie przejmował, Clive - odparł Jon. - Piłat zapewne musiał umieścić łacinę na pierwszym miejscu, natomiast Jan przyznać pierwszeństwo ojczystemu językowi. W gruncie rzeczy myślę nawet, że ten szczegół nadaje jakiś rys wiarygodności... Nie, moją troskę budzi trzecia linijka. Nie uważasz, Austin, że z aramejskim jest tu coś nie tak?

- Masz na myśli litery?

- Nie, chodzi o błąd gramatyczny. Powinno być użyte słowo *mal-kah*, król, nie zaś *melek*, prawda?

Jennings poskrobał się po głowie.

- Chyba masz rację.

- Choroba! Więc to podróbka? - spytał Cromwell. - Cały film do wyrzucenia?

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Nagle Jon wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie, nie. Coś przeoczyliśmy i właśnie sobie to uświadomiłem. Myślę, że ten błąd potwierdza autentyczność napisu. Jakie były okoliczności powstania napisu? Wykonał go Piłat, nie-Żyd, albo, co bardziej prawdopodobne, któryś z jego nieżydowskich współpracowników. Przecież poganin napisałby prawidłowo po łacinie i grecku, jak to widzimy, ale mógł popełnić błąd, pisząc po aramejsku.

Znowu zapadła cisza, którą przerwał Brampton:

- Moim zdaniem to całkiem do rzeczy.

- Tak. Błyskotliwe rozumowanie, Jonathanie - potwierdził Jennings.

- Nie, ani trochę. Trzeba będzie to jeszcze przemyśleć.

Jennings uśmiechnął się i powiedział:

- W takim razie bierzemy się do testów naukowych. Proponuję, żebyśmy wzięli fragment pergaminu bez napisu, a także kawałek zbutwiałego drewna, i wysłali do Instytutu Weizmanna w Rehovot w celu przeprowadzenia testów na węgiel promieniotwórczy. Clive, dlaczego się krzywisz?

- Po prostu... nie podoba mi się, że cząstka tego odkrycia... tego niezwykłego odkrycia zostanie zniszczona.

- Mnie też - zgodził się z nim Jon. - Gdyby chodziło o jedno z wielu odkryć, nie zawracalibyśmy sobie głowy testem na węgiel C-14, gdyż zarówno ceramika, jak pismo wskazują na okres herodiański. Ponieważ jednak znaleźliśmy to, co znaleźliśmy, cały świat będzie żądał dokonania testu węglowego. Austin, ile materiału będzie potrzebował Instytut Weizmanna, żeby przeprowadzić test?

- Zaraz sprawdzę. Mam tu gdzieś wykaz, który podali. - Otworzył jedną z szafek i po chwili szukania wyjął tekturową teczkę. - Materiały, którymi dysponujemy... sto gramów ludzkich kości... pięćdziesiąt gramów tkaniny... dwa gramy drewna, dwa gramy pergaminu lub papirusu...

- Nawet dwa gramy to już znacząca ilość - zauważył Jon. - Może więc zrobimy tak: ponieważ u Weizmanna przeprowadzają standardowe testy na C-14, wyślijmy im tylko to, czego mamy sporo, to znaczy tkaninę i zbutwiałe drewno deseczki. Ale bezcenny pergamin zostawmy w całości, żeby zbadać go spektrometrem mas. Ta metoda wymaga ledwie tysięcznej ułamka tego, co potrzebne jest przy metodzie węglowej. Tak właśnie postąpiliśmy z Całunem Turyńskim.

- Doskonale, Jonathanie - powiedział Jennings. - Wspaniale.

- Czy jednak Weizmann... czy można im ufać? - spytał Jon, który wolałby widzieć przy pracy swoich ludzi, gdyby nie to, że przebywali parę tysięcy mil stąd.

- Och, znają się na swojej robocie. Z ich usług korzysta British School of Archeology, American School, a także Ecole Biblique.

- Poddaję się - oznajmił Brampton. - Niech jednak przedtem Dick porobi wszystkie zdjęcia.

- Jasne.

VIII

Dwa tygodnie później Shannon i Jon pojechali do Rehovot, żeby odebrać sprawozdanie z testów. Rehovot leży na zachód od równiny Sharon, jakieś pół godziny jazdy od miejsca wykopalisk. Kiedy samochód pędził w dół wzgórz na zachód od Jerozolimy, Jon żartobliwie próbował wysondować Shannon na temat jej związku z Gideonem Ben-Yaakovem.

- Czy powiedziałaś Gideonowi, co my dwoje wydobyliśmy z grobowca Józefa?

- Nie udawaj głupiego! On nie wie nawet, że jest tam grób Józefa. Czyżbyś wygadał się, na przykład, przed ludźmi z Instytutu Weizmanna?

- *Touche!* - roześmiał się Jon. - Jak więc układają się sprawy między tobą a Gideonem? Kiedy ślub?

- Jutro, jeśliby zależało to od Gideona.

- Potrafię to zrozumieć!

Natychmiast pożałował, że słowa wymknęły mu się, zanim zdążył pomyśleć. Shannon spojrzała na niego osobliwym wzrokiem i spytała:

- Czyżby... miał to być komplement?

- To był komplement!

- W takim razie... dziękuję. Myślałam, że patrzysz tylko na arabskie teksty i inne okryte pyłem wieków inskrypcje...

- Ale także na małe irlandzkie terrorystki, które biegają po terenie wykopalisk w białych szortach, niezawodnie skupiając na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn, jacy znaleźli się w pobliżu.

- Och... nigdy nie przyszło mi to do głowy. To z powodu upału. Czujesz się zgorzony?

- O tak, Shannon. Zalecałbym ci czadrę. To cudowny sposób, który wymyślili Arabowie, żeby ich kobiety były zasłonięte i nie budziły pożądania.

Roześmiała się.

- Szowinista i na dodatek satyr.

- Myślałem, że raczej świnia!

- Czyżbyś zapomniał, że jesteśmy w Izraelu?

Jon zachichotał i powiedział w duchu: „Jesteś szczęściarzem, Ben-Yaakov!” Przypomniawszy sobie, jak Shannon pracowała tuż obok niego w sarkofagu i muskała się przy pracy rękami, a nawet twarzami, i jak przy każdym takim muśnięciu czuł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z podeksycytowaniem archeologicznymi badaniami.

- Powiedz coś więcej o swojej żonie, Jon - przerwała jego zamyślenie. - Byłam wstrząśnięta, kiedy dowiedziałam się o tym strasznym wypadku w Szwajcarii.

Wjechali na równinę. Jon zaczął mówić. Nie było to dla niego łatwe. Miał przecież o swojej utraconej miłości opowiedzieć kobiecie, która budziła w nim coraz silniejsze pożądanie, chociaż nie miał najmniejszych szans na wzajemność. Mówiąc odwrócił głowę w lewo, żeby Shannon nie dostrzegła, że oczy zachodzą mu mgłą.

Po jakimś czasie zmienił gwałtownie temat i zapytał:

- Jak myślisz, Shannon, co powiedzą nam w Rehovot?

- To test ich sprzętu, a nie naszych próbek. My wiemy, że są autentyczne.

- Masz rację, wszystko potwierdza to z całą siłą, a szczególnie fakt, że znalezisko zostało dokonane całkowicie przypadkowo.

- Może pomyślisz, Jon, że jestem nieuk, ale powiedz mi, proszę, jak robi się ten test z C-14.

- Pytanie nie jest wcale głupie, bo bezustannie ulepszają starą metodę Willarda Libby'ego. To był geniusz. Wynałazł tę technikę w latach pięćdziesiątych. Kiedy promieniowanie kosmiczne osiąga zewnętrzną warstwę atmosfery ziemskiej, bombarduje atomy azotu, najpospolitszego gazu wchodzącego w skład powietrza, i zmienia je w atomy węgla C-14, radioaktywnego izotopu zwykłego węgla. Izotop z czasem ulega rozpadowi. Jak dotąd wszystko jasne?

- Oczywiście.

- No dobrze. Wszystko, co żyje, zawiera węgiel jako budulec

podstawowy. Rośliny pobierają go z atmosfery w postaci dwutlenku węgla i przekazują zwierzętom. Tak więc zarówno rośliny, jak i zwierzęta wchłaniają nie zwykły węgiel, ale węgiel C-14. Do samej śmierci, kiedy ustaje proces trawienia. Potem węgiel C-14 rozpada się w ich organizmach, zmieniając się z powrotem w azot, zgodnie z prawem połowicznego rozpadu. W wypadku węgla C-14 okres połowicznego rozpadu wynosi mniej więcej 5700 lat... Jasne?

- Masz na myśli to, że połowa ilości węgla zawsze rozpada się w ciągu 5700 lat?

- Właśnie to. No więc Libby wpadł na znakomity pomysł, że wystarczy zmierzyć ilość węgla radioaktywnego w próbce, żeby określić, kiedy nastąpiła śmierć. Im mniej węgla C-14, tym starsza próbka. Odnosi się to oczywiście do każdego fragmentu rośliny lub zwierzęcia, tak samo do kawałka drewna, jak do zwierzęcej skóry, z której wykonano pergamin, i do tkaniny, w przypadku naszej próbki. Libby dostał za tę sztuczkę Nagrodę Nobla. I należała mu się. Wyposażył archeologię w wymarzony sposób mierzenia czasu, w zegar, który porusza się do tyłu.

- Skąd jednak wiedział, ile jest normalnie węgla C-14 w czymś, co żyje?

- Chodzi ci o poziom wyjściowy? Możesz wierzyć albo nie, ale pomiary zaczął od przewodów kanalizacyjnych w Baltimore. Trzewia mieszkańców tego miasta pozwoliły po raz pierwszy określić normalną ilość węgla C-14 w organizmach żywych.

- Jak to ładnie z ich strony! Ekskrementy jako próbka pomiarowa!

- Jak elegancko, moja droga! Należało użyć słowa bardziej pasującego do Południa!... Następnie Libby udowodnił, że poziom C-14 jest na całym świecie praktycznie identyczny i że nie zmienił się w biegu historii. Sprawdził to na przedmiotach, których wiek był znany, na przykład na drewnie z wczesnoegipskich grobowców. I zgadzało się! Oczywiście, nie obeszło się bez błędów. Niektóre egipskie artefakty okazały się o kilka wieków za młode. Dzięki temu można było jednak uwzględnić zmiany natężenia promieniowania kosmicznego, co musiało powodować zmiany ilościowe powstającego węgla C-14. Metoda stała się wspaniałym narzędziem do... o, dotarliśmy do strefy bezpieczeństwa.

- Nic dziwnego. Przecież to w Instytucie Weizmanna pracuje się nad głowicami jądrowymi do izraelskich rakiet.

- Myślałem, że robią to w Dimona w Negev.

- Tam przerabia się uran.
- Widzę, że jesteście doskonale poinformowani.
- To żadna tajemnica. Już niedługo wszyscy będą mieli bombę, także Arabowie. Dzięki Bogu, Saddam Hussein na to nie wpadł.

Wyjaśnili, o co chodzi, strażnikowi, który machnął ręką wskazując im drogę do laboratorium izotopów. Przyjął ich w swoim gabinecie doktor Reuben Landau, mężczyzna o ujmujących rysach i siwej patriarchalnej brodzie. Wyglądał jak Zygmunt Freud.

- Witajcie, przyjaciele. Siadajcie. Napijcie się czegoś dla ochłody? Tak? Herbaty?

- Nie, dziękujemy, doktorze Landau.

- Jak się miewa mój przyjaciel, profesor Jennings?

- Przesyła panu wyrazy szacunku - powiedział Jon. - Czy mieliście jakieś kłopoty z naszymi próbkami?

- Trochę. Mieliśmy nadzieję, że zużyjemy tylko połowę próbki drewna i tkaniny, ale okazało się, że to za mało. Potrzebowaliśmy większego kawałka tkaniny i zostało tylko tyle. - Podał im na stalowej tacy mierzący cztery centymetry kwadratowy kawałek, który Jon schował do wyścielonej ołowiem sakiewki. - I musieliśmy zużyć całą próbkę drewna.

- Trudno.

- Poza tym nie było trudności z odczytem. Na drewnie były ślady węgla wapniowego, co mogło wprowadzić dodatkowe ilości węgla, ale udało się za to oczyścić dokładnie płótno. Tak czy inaczej wydaje się, że tkanina pochodzi mniej więcej z okresu drugiej świątyni, a drewno jest odrobinę wcześniejsze. Jak zwykle z dokładnością do stu lat.

Shannon i Jon spojrzeli na siebie. Ich oczy iskrzyły się z podniecenia. Landau ciągnął:

- Oto pełny raport. Tkaninę datujemy mniej więcej na 50 rok naszej ery, a drewno mniej więcej na 5 rok przed naszą erą, plus minus stulecie.

- Kapitalnie! - szepnęła Shannon Jonowi. - W samą dziesiątkę!

- Głośno powiedziała: - Ma pan tu doskonały sprzęt, doktorze Landau.

- Dziękuję, panno Jennings. Aha... czy nie byłoby niegrzecznością zapytać, skąd są te próbki?

Jon odkaslnął.

- To po prostu materiały wykopane przez profesora Jenningsa w Rama, doktorze Landau. Znaleźliśmy je w dwóch różnych miejscach i chcieliśmy potwierdzić, że pochodzą mniej więcej z tego samego okresu.

- Rozumiem, rozumiem. - Landau przyglądał się w szczególności sposobowi Jonowi. - Jednak kiedy przygotowaliśmy próbkę drewna, a nawiasem mówiąc jest to drewno oliwne, zauważyliśmy w niej kawałeczki pergaminu. Znaleźliście też jakiś pergamin?

Jon natychmiast musiał wybrać między prawdą a kłamstwem, rzeczywistością a maską. Jeśliby przyznał, że znaleźli pergamin, następane pytanie brzmiałoby: „Czy był na nim jakiś napis?” Spojrzał na Shannon, ale napotkał tylko jej zaniepokojony wzrok. Nie, nie ma innego wyjścia.

- Jestem pewny, że profesor Jennings już wkrótce skontaktuje się z panem.

- Ja też jestem tego pewny. I proszę przekazać mu moje najlepsze życzenia. Wielokrotnie miałem przyjemność współpracować z nim.

- Przy pożegnaniu z Shannon Landau uśmiechnął się. - Pani ojciec jest wielkim archeologiem, panno Jennings. Ale pani jest z pewnością jego największym życiowym osiągnięciem

- Bardzo dziękuję, doktorze Landau. Jesteśmy wdzięczni za pańską pomoc.

Z trudem hamowali radość do momentu opuszczenia terenu laboratorium. Kiedy jednak znaleźli się na autostradzie, oboje wydali radosny okrzyk.

- Są autentyczne, Shannon! To odkrycie stulecia! - powiedział Jon, któremu niemal zatykało dech z przejęcia.

- Bajeczne! Po prostu bajeczne! Jestem taka szczęśliwa ze względu na tatę! Ze względu na nas wszystkich. Nawet na ciebie, Jon!

- Szturchnęła go żartobliwie pod żebro.

Kiedy wrócili do Ramallah, Jennings czekał już na nich w holu hotelowym.

- No i?... - spytał unosząc wysoko brwi.

- Tobie, Shannon, należy się zaszczyt złożenia relacji - Jon z galanterią ustąpił jej pierwszeństwa.

- Przykro mi, tato. Landau datuje drewno i tkaninę na dwunasty wiek po Chrystusie. Wygląda to na mistyfikację, dzieło krzyżowców.

- Co?! - ryknął Jennings.

- To żart! - zachichotała. - Mamy 50 rok po Chrystusie w przypadku tkaniny i 5 rok przed Chrystusem w przypadku drewna. Plus minus sto lat.

- Hurra! - wrzasnął Jennings.

- To jest chyba równie autentyczne jak Morze Galilejskie, Austin!

Gratuluję!

Podał profesorowi prawicę. W lewicy trzymał raport Landaua.

- Gratuluj sam sobie! - odparł Jennings. - W końcu to ty odkryłeś pieczarę.

- Ale to twoja ekspedycja, Austin!

- Nasza, Jonathanie.

IX

Co robić?

Czuli, że muszą podzielić się zdumiewającym odkryciem z resztą ekipy, ale wiedzieli, że wtedy nic już nie powstrzyma procesu rozchodzenia się informacji. Postanowili najpierw skończyć prace, wykopaliskowe w grobowcu.

- Naprawdę powinniśmy zebrać w tej pieczarze każdy pyłek, każdą drobinę - oznajmił Jennings. - Przyjdzie, Jonathanie, dzień, kiedy całe zastępy archeologów będą przeczesywały to miejsce i byłoby w najwyższym stopniu zawstydzające, gdyby okazało się, że coś przeoczyliśmy.

- Wydaje mi się, że poza wykopem nie ma już nigdzie gruzu. Poniżej jest tylko lita skała. Musimy się więc tym materiałem zająć. Takie same zespoły? Shannon i ja w środku. Ty, Clive i Ibrahim na zewnątrz i przesiewacie wszystko, co podamy?

- Nie ma wyjścia... jak dotąd, taka organizacja prac dała dobre rezultaty, nie uważasz?

Przystąpili do usuwania wszystkich szczątków w wykopie wokół sarkofagu. Podali na zewnątrz wiele wiader wypełnionych materiałem, ale nie znaleźli żadnych dalszych artefaktów. Przy tym wybieraniu szczątków przeszłości Jon znowu ocierał się ciągle o kobietę, która tak go intrygowała. Było to tak, jakby światło i płomień uczucia gorzały na tle mroku i chłodu śmierci. Miłość powinna rozkwitać przy świetle księżycy na statku prującym fale Morza Śródziemnego,

nie zaś w wilgotnej pieczarze przy kopaniu wokół sarkofagu, czyli po grecku „zjadacza ciała”.

Była to jednak miłość skazana na zwiędnięcie! Shannon najwyraźniej nie żywiła do niego żadnych uczuć i powodem był nie tylko Ben-Yaakov, ale także ogólny nastrój, nie mówiąc już o dzielącej ich różnicy wieku. Do diabła z takimi jednostronnymi uczuciami!

- Czy oboje tam oślepliście? - stentorowy głos Jenningsa sugerował, że chodzi o coś pilnego. - Wychodzić! Natychmiast!

Wypełza Shannon, za nią Jon. Trzej mężczyźni pochylali się nad jakimś przedmiotem, który Jennings trzymał w ręku.

- To chyba *quadrans* z brązu - oznajmił.

Jon wziął do ręki monetę, wytarł ją, przyjrzał się jej mrużąc oczy i powiedział:

- Z czasów Nerona.

Kiedy zasiedli do lunchu, moneta zaczęła krążyć wokół stołu, żeby wszyscy członkowie zespołu naukowego i studenci mogli się jej przyjrzeć. Przechodziła z rąk do rąk, a w tym czasie Jon wyjaśniał:

- Jest to moneta bita przez któregoś z rzymskich namiestników, Feliksa albo Festusa. Jak pamiętacie, święty Paweł stanął przed oboma, kiedy został uwięziony w Cezarei.

Moneta znajdowała się w tym momencie w rękach Scotta Fergusona. Scott podniósł wzrok i oznajmił:

- Nie widzę na niej żadnego z tych imion.

- Słusznie. Jakie jednak imię widzisz? - spytał Jon, w którym obudził się profesor. - Przyjrzyj się uważnie.



- Aha, po stronie greckiej mam... LE KAISAROS. Oczywiście drugie słowo znaczy „cezara”, ale nie wiem, co oznacza LE.

- To za chwilę. Teraz druga strona.

- NERONIS... Nerona.

- Tak jest. A teraz „L”. Oznacza ono po prostu, że dalej są nie

litery, ale cyfry, nawet jeśli chodzi, jak tutaj, o grecki epsilon. Jeśli ponumerujesz litery greckiego alfabetu, jaką cyfrą będzie epsilon?

- Alfa to jeden, beta dwa, gamma trzy, delta cztery, epsilon pięć. Czyli pięć.

- Masz więc cały tekst. Piątego roku Cezara Nerona. A ponieważ Neron został cesarzem w roku 54, oznacza to, że moneta została wybita w 58 albo 59 roku.

- Niesłychane! A Feliks i Festus?

- W piątym roku Nerona namiestnikiem był albo Feliks, albo Festus. W tej sprawie chronologia jest dość niepewna.

Kiedy wszyscy już obejrzeli monetę, Jennings przypomniał studentom, że oznacza to tylko, iż pogrzeb Józefa miał miejsce nie wcześniej niż w 58/59 roku po Chrystusie. Potem opowiedział anegdotę, jak to spróbował kiedyś w Qumran nabrać wielkiego *Pere* Rolanda de Vaux, „znajdując” bizantyjską monetę w warstwie, którą uważano za pochodzącą z pierwszego wieku przed Chrystusem. Brodaty francuski dominikanin obdarzył go tylko chłodnym galijskim uśmiechem i oznajmił: „*To impossible!* Proszę usunąć stąd tę zjawę, *s'il vous plait*”.

Tego popołudnia w wiadrach nie było nic poza resztkami gruzu. Po oczyszczeniu całego wykopu do litej skały Jon i Shannon spotkali się przy zachodnim skraju sarkofagu.

- Pieczara została oczyszczona! - wykrzyknął Jon w stronę otworu wejściowego.

- Jesteś pewny, Jonathanie? Nie zostawiliście niczego?

- Zlituj się, tato! - krzyknęła w odpowiedzi Shannon. - Czy nie wystarczy ci tego, co stąd wydobyliśmy?

Usłyszeli chichot Jenningsa.

- Chyba masz rację. No to wyląźcie. I tak zbliża się już koniec dnia.

Shannon wygramoliła się z wykopu wokół sarkofagu, a potem wypetlała na zewnątrz. Jon w pożegnalnym geście jeszcze raz przesunął łopatką po dnie wykopu i ruszył za nią.

Wszystko przez tę moją paskudną teutońską sumienność - twierdził później Jon. Uświadomił sobie, że kiedy po raz ostatni przesunął łopatką po dnie wykopu, dźwięk był nieco inny niż poprzednio, przy szorowaniu po litej skale, i zastygł na moment w otworze. To wyobrażnia - uznał. Zaraz jednak zastygł znowu. Nic z tego: musi wrócić i sprawdzić.

Czuł, że jest odrobinę śmieszny i miał tylko nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi na jego wahanie w otworze wejściowym. Zsunął się jednak z powrotem do wykopu z sarkofagiem i raz jeszcze przesunął łopatką po skale. Tym razem usłyszał przenikliwsze i wyższe zgrzytnięcie czy pisk. Zaczął kopać ostrożnie w okolicy tego miejsca. Było to dno wykopu tuż przy głowie sarkofagu. Wkrótce zobaczył mały ceramiczny przedmiot. Po oczyszczeniu szczotką górnej części ujrzał spoczywający na boku mały, różowawy dzbanek odrobinę wyższy od dłoni i szeroki na trzy lub cztery palce. Gdyby był nowicjuszem, wydobyłby go natychmiast, ale przypomniał sobie na szczęście, jak Jennings zbeształ Shannon za wydobycie ceramicznych przedmiotów z sarkofagu, zanim zostały sfotografowane *in situ*.

- Austin, dobrze byłoby, żebyś tu przyszedł - zawołał w stronę otworu wejściowego. - Ale przedtem pošlij Ibrahima po Cromwella ze sprzętem.

Kilka minut później cała piątka pochylała się nad wykopem, rozmigotanym od błysków flesza.

- Chyba wystarczy, Dick - powiedział w końcu Jon. - Mogę wziąć się do roboty?

- Pstryknę jeszcze raz! - poprosił Cromwell. Nigdy nie miał dość. Jak każdy fotografik.

W końcu jednak Jon, zachowując niezwykłą ostrożność, uniósł dzbanek. Wykazał się archeologiczną dojrzałością, gdyż podał artefakt Jenningsowi, sam zaś skupił się na delikatnym przekopywaniu dołka, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś jeszcze. Dziesięć minut tych wykopalisk w miniaturze nie ujawniło żadnych dalszych przedmiotów. Kiedy znalazł się wreszcie na zewnątrz pieczary, przyjrzał się dwóm zadrapaniom na boku dzbanka, skutkom przesunięcia łopatką.

- Przykro mi - powiedział. - Co o tym sądzisz, Austin?

- Sam nie wiem. Jest to oczywiście dzbanek... może na maści i wonności.

- Zajrzyjmy do środka - wtrąciła się do rozmowy Shannon. - Wyjmij ten korek. Czy wieko?

Jennings przez dłuższą chwilę przyglądał się jakby zatyczce zamykającej dzbanek.

- To glina - oznajmił - nie wypalona glina, którą zalepiono dzbanek.

Zapadło milczenie. Wreszcie Jennings powiedział:

- Oczywiście otworzymy go. Ale nie tutaj. - Objął ramiona Jonathana i dodał: - Zadajesz nam tyle zadań do domu, że z trudem nadążamy, Jonathanie. Jesteś dobrym profesorem!

Po powrocie do hotelu Jon zastał następny list z Watykanu. Sullivan czynił postępy na drodze, którą zasugerował mu Jon, ale do rozwiązania zagadki było nadal daleko. „Zastosowanie mocnych promieni ultrafioletowych do badania londyńskiego *Sinaiticus* nie ujawniło niczego po ostatnim wersie Ewangelii Marka - napisał. - Ojciec Święty wyraził pełną zgodę na zaproponowane przez ciebie testy. Możesz więc przystąpić ze swoim zespołem do pracy, kiedy tylko zechcesz.”

Jon schował list, zdziwiony trochę, że to, co parę tygodni temu w Rzymie wydawało mu się trzęsieniem ziemi, teraz robiło wrażenie sprawy mniej pilnej. Powodem były oczywiście wykopaliska w Rama!

Tego wieczoru zaraz po kolacji piątka uczonych zasiadła znowu za stołem do pracy. Po obmyciu i osuszeniu dzbanka z wszystkich stron Jennings skierował na znalezisko silne światło i obejrzał je przez duże szkło powiększające, dyktując Shannon uwagi, które dziewczyna wpisywała do dziennika ekspedycji.

„Dzisiejsza data, obszar 15, zapis numer 027: podłużne naczynie, dzbanek albo nieduża butelka z uchwytem, 18 centymetrów wysokości, 9,5 centymetra przekroju w najszerszym miejscu, w miejscu zwężonym przy wylocie 7 centymetrów, wskutek czego kształt naczynia gruszkowaty. Wylot zalepiony nie wypaloną gliną, która tworzy dość mocne zaniknięcie. Kolor różowawobeżowy. Przed wypaleniem nie zastosowano polewy ani szkliwa.”

- Mam nadzieję, Jonathanie, że przez cały czas szkicujesz?
- Czy muszę ja?
- Twoje znalezisko! Do roboty!

Jon jęknął, ale posłusznie sięgnął po blok rysunkowy. Siateczka milimetrowa pomogła mu zachować wymiary i wkrótce sporządził rysunek, który puścił wokół stołu, żeby wszyscy mogli się pośmiać.

- Całkiem nieźle, Jonathanie - rzekł Jennings. - Zrobimy jeszcze z ciebie archeologa. To tylko kwestia czasu!

Wrócił do dyktowania.

„Dno dzbanka płaskie, z wypalanej gliny o dość jednorodnej konsystencji, aczkolwiek z nielicznymi białymi cętkami. Zamknięcie

z nie wypalanej gliny jest szare i wysuszone, ale nie naruszone. Na zewnętrznej stronie nie ma żadnych napisów, rysunków ani ozdób. Przedmiot został znaleziony...” Gdzie?

- Pod sarkofagiem od strony głowy po zachodniej stronie wykopu
- odparł Jon.

- Użyj tych słów, Shannon... Na razie wystarczy. Bierz się do fotografowania, Dick.

Cromwell obfotografował dzbanek ze wszystkich stron i pod wszystkimi kątami, szczególną uwagę zwracając na glinę pieczętującą wylot, nikt bowiem już nie wątpił, że naczynie zostanie otwarte. Kiedy wywoływał filmy, pozostała czwórka założyła rękawiczki i przystąpiła do oględzin dzbanka, obracając go na wszystkie strony i próbując odgadnąć, jakie było jego przeznaczenie.

- Wygląda zupełnie jak starożytne naczynie do przyrządzania martini

- oznajmił Jon - wątpię jednak, byś my znaleźli w środku kostki lodu.

- Filmy są w porządku - ozwał się z ciemni głos Dicka.

Jennings wziął do ręki mały skalpel i uważnie, prawie jakby był chirurgiem, przeciął glinę dokoła wzdłuż brzegu otworu. Stara, krucha, wysuszona i rozsypująca się glina ustępowała łatwo. Wyjął delikatnie to jakby wieczko i położył je do wysłanego wata pudełka. Podsunął dzban pod mocne światło lampy i zajrzał do środka.

- Nie do wiary! - wykrzyknął.

- Widzę jakiś zwój. Za słaba lampa! Clive, podaj małą latarkę. Albo nie. Rozłóż tylko wata na stole.

Kiedy polecenie zostało wykonane, Jennings obrócił dzbanek i zaczął leciutko pukać w dno, żeby wysypać zawartość. Zwój poruszył się, ale nie mógł przejść przez zżewienie dzbanka. Clive podał Jenningsowi pęsetkę.

- Potrzebuję wykałaczki! - warknął Jennings, jakby był światowej sławy chirurgiem specjalistą od operacji mózgu i pielęgniarka podała mu świder zamiast tamponu. Shannon pobiegła do jadalni i wróciła



z garścią wykałaczek. Jennings wziął jedną, z nieskończoną ostrożnością podważył zwój i leciutko poruszył. Nagle zawartość wypadła nie naruszona na wyściółkę z waty.

Jon stał jak skamieniały. Shannon i Jennings byli wzburzeni i jednocześnie pełni napięcia. Clive wziął na siebie obowiązek przemówienia w imieniu wszystkich.

- Wielki Boże! - szepnął. - Papirus! Mały zwój papirusu!

W pokoju znowu zapanowała cisza, którą przerwał okrzyk Cromwella:

- Fantastyczne! Rozwiń, żebym mógł sfotografować!

- Nigdy w życiu, Dick! - powiedział Jon. - Musimy najpierw nasączyć go wilgocią, żeby nie połamać. Czyż nie, Austin?

- Tak, tak, tak - odparł Jennings, unosząc głowę znad stołu. - Jutro zawieziemy to do Nikosa Papadimitriou z jerozolimskiego Muzeum Rockefellera. Jeśli ktokolwiek potrafi rozwinąć ten zwój, nie niszczyć go, to tylko Nikos!

X

Nikolaos Papadimitriou urodził się w greckiej prawosławnej wspólnocie w Jerozolimie i większość swoich czterdziestu pięciu lat życia spędził nie opodal jaśniejących złotych i białych wapienowych murów Palestyńskiego Muzeum Archeologicznego, zwykle dla uczczenia fundatora zwanego „Rockefellerem”. Jako wyrostek praktykował z ekipą, która rozwinęła zwoje znad Morza Martwego, a teraz, kiedy objął posadę dyrektora muzealnego laboratorium, był pierwszą, a czasem także ostatnią instancją, gdy chodziło o jakieś kruche materiały odkryte w toku rozmaitych prac wykopaliskowych prowadzonych w Izraelu. Jennings znał go jeszcze z czasów pracy nad zwojami znad Morza Martwego i od tamtych lat łączyła ich bliska zażyłość. Jeśli ktoś zasługiwał na pełne zaufanie, był to z pewnością Nikos Papadimitriou.

Kiedy Jennings przybył do „Rockefellera”, ci dwaj zamknęli się, żeby porozmawiać szczerze i poważnie. Jennings wręczył Papadimitriou pudełko po butach, w którym spoczywał zwój papirusu. Zaczęli omawiać proces rozwijania.

Po dokładnym kilkunutowym oglądaniu znaleziska Nikos powiedział:

- Niezwykle kruchy... bardzo wysuszony, Austin. Muszę nawilżyć stopniowo. Tydzień powinien wystarczyć. Przyjedź na uroczyste rozwinięcie, powiedzmy, w następną środę. Odpowiada ci ten termin?
- O tej samej porze? Rano?
- *Kalos*.
- Doskonale. *Eph charisto*, Nikos!

Był to bardzo pracowity tydzień dla „kwintetu”, jak nazywał teraz Jon piątkę wtajemniczonych w sprawę papirusu. Dzban został zabezpieczony. Dwa tysiące lat temu ktoś chciał z jakiegoś powodu zabezpieczyć papirus. Wszyscy mieli nadzieję, że papirus zawiera jakiś tekst, ale Jennings ostrzegał, że niekoniecznie, bo przecież na zewnątrz zwoju nie było żadnych napisów, podobnie wewnątrz - na tym fragmencie, który mógł obejrzeć za pomocą cienkiej latarki.

Kiedy tydzień później jechali do Muzeum Rockefellera, Jon usłyszał pozostałej czwórce, że musiałby być jakiś powód zabezpieczenia w dzbanie pustego papirusu.

- Może Józef z Arymatei miał wśród swojej służby Egipcjanina, który wierzył, że model jakiejś rzeczy wystarczy, by zapewnić jego panu życie pozagrobowe. W grobowcu Tutanchamona znaleziono mnóstwo takich modeli, niewolników, wozów, łodzi, które potrzebne mu były w życiu wiecznym. Ponieważ Józef z Arymatei był człowiekiem wykształconym, być może nie zapisany zwój miał być czymś w rodzaju „notatnika” na przyszłe życie.

- To trochę naciągane - sprzeciwił się Clive. - A poza tym znalazłeś dzban poza sarkofagiem.

- Tuż przy sarkofagu. I od strony głowy. Clive, oczywiście wszyscy chcemy, żeby papirus był zapisany. Muszę jednak przygotować was na przypadek, gdyby okazało się, że wyciągnęliśmy pusty los.

- Hmm! - odezwał się wreszcie Jennings. - Przypomnijcie sobie, co spotkało Yigaela Yadina w jaskiniach nad Morzem Martwym. Znalazł ten cudowny zwój z czasów Bar Kochby, kiedy jednak go rozwinięto, nie zobaczyli ani jednej litery. Był po prostu jeszcze nie wykorzystany!

- No, jesteśmy w muzeum. Wejdzmy od tyłu, bo południowe skrzydło zajmuje Urząd Starożytności. Lepiej, żeby Gideon cię nie widział, Shannon!

Land rover przejechał obok złocistej ośmiokątnej wieży Muzeum Rockefellera, górującej nad Doliną Cedronu i Górą Oliwną, i zatrzymał się z piskiem opon na parkingu na tyłach gmachu. Nikos Papadimitriou powitał ich na progu laboratorium. Jon pomyślał, że mocny uścisk dłoni eleganckiego Greka budzi sympatię. Nikos był dość wysoki, aczkolwiek niższy od Jenningsa, miał przyprószone siwizną włosy i nosił wąsy, jeszcze bardziej podkreślające przyjazny wyraz twarzy, która od razu budziła zaufanie.

- Podziwiam pańską erudycję, profesorze Weber - powiedział. - I cieszę się, że będę mógł przeczytać pana najnowszą książkę.

- Znajdzie pan w niej wiele miejsc, w których cytowałem pańskie osiągnięcia, doktorze Papadimitriou - odparł Jon. - Bardzo się cieszę, że mogłem pana poznać.

- Wchodźcie, moi drodzy, i siadajcie. Zamówiłem dla wszystkich herbatę i ciastka. Och, moja mała Shannon, jesteś piękniejsza za każdym razem, kiedy cię widzę. Nic dziwnego, że Gideon Ben-Yakov chodzi po świecie jak nieprzytomny!

- Jesteś bardzo miły, Nikos - uśmiechnęła się z wdziękiem. - Co z naszym zwojem?

- Zwój... tak, oczywiście. Zechciejcie, proszę, zamknąć drzwi... Świetnie. - Zniżył głos. - Przez cały tydzień zwój był w tym nawilżaczu i stopniowo podnosiłem wilgotność aż do 95 procent. To powinno wystarczyć do przywrócenia... jak to się mówi... elastyczności papirusu. Nie powinien więc pękać, prawda? Zobaczcie przez tę szybkę, jak wygląda po moich zabiegach.

Zwój miał teraz trzy razy większą objętość i częściowo sam się rozwinął pod działaniem wilgoci. Nikos otworzył drzwiczki, wziął do ręki duże szczypce z końcami owiniętymi wata i pewnym ruchem wyjął zwój. Położył go na gąbczastej gumowej podkładce, którą przykryty był jego stół do pracy. Cromwell pstrykał z zapalem jedno zdjęcie po drugim, zmieniając obiektywy, aparaty i pozycję. Nie omieszkał przy tym sportretować całej grupy, czując, że chodzi albo o ważne wydarzenie w dziejach archeologii, albo o zdjęcie w albumie ekspedycji i podpis: „Zakonspirowana piątka odkrywa papier toaletowy Józefa z Arymatei”.

Nikos z trudną do zniesienia powolnością wziął do ręki gumową łopatkę i równie powoli zaczął rozwijać papirus. Parę fragmentów na brzegach odpadło płatami, ale na szczęście część środkowa pozostała nietknięta. Panowała grobowa cisza, w której rozlegały się tylko pstryknięcia aparatów Cromwella. Nikos naciskał dalej po troszeczk.

- Jak na razie nic - oznajmił przyciszonym głosem.

Ciągle ta sama grobowa cisza. Teraz pochylił się bardzo nisko nad rozwiniętym końcem papirusu.

- O Boże! - wykrzyknął nagle. - Pismo. Widzę początek tekstu.

Pokój wypełniła radosna wrzawa.

- Bomba! - ryknął Clive. - Absolutna bomba!

Jennings podrzucił wysoko swój pomarańczowy kapelusz, a Jon uściskał piszczącą z radości Shannon. Skorzystał też z okazji, żeby pocałować ją w policzek.

Rozległo się pukanie i ktoś gwałtownie otworzył drzwi. Stał w nich Gideon Ben-Yaakov. W pierwszej chwili na jego twarzy odmalowało się zdumienie, ale zaraz potem widać było, że jest uszczęśliwiony.

- Co tu się odbywa, moi drodzy? Przyjęcie? Słysząc was w całym muzeum!... Shannon! Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz do Jeruzolimy?

- Właśnie miałam zająć do ciebie, kochanie.

Kiedy Gideon podszedł do Shannon, żeby ją pocałować, i stał przez moment tyłem do stołu, Jon chwycił ogromną pokrywę amfory czekającą na zbadanie i nakrył nią zwój.

- Co to za uroczystość? - powtórzył pytanie Gideon.

Wszyscy milczeli.

Jon poczuł się zobowiązany do zabrania głosu.

- Właściwie nic takiego - powiedział. - Właśnie... właśnie zadzwonił mój wydawca z wiadomością, że sprzedano sto tysięcy egzemplarzy mojej nowej książki.

- No, no... jest się z czego cieszyć! Gratuluję, Jonathanie! Dlaczego jednak jesteście tutaj, a nie na wykopaliskach w Rama?

- Cromwell robi zdjęcia, bo chcemy zapoznać naszych studentów z metodami pracy laboratoryjnej - skłamał Jennings. - Sfotografował też parę rzeczy z muzeum.

- Nie zapomnijcie w takim razie o tej pokrywie amfory - powiedział Gideon. - Gdzie została znaleziona, Nikos?

- W Cezarei.

- Aha... ekspedycja Holuma. - I ku przerażeniu obecnych uniósł nieco pokrywę. - Musi ważyć sześć albo siedem kilogramów. - Położył ją z powrotem. - No, muszę iść, moi drodzy. Shannon, zjemy razem lunch?

- Chętnie. Za jakąś godzinę?

- Dobrze. Przyjdź do mojego biura.

Nikos odprowadził go do drzwi, ryglując je tym razem za jego plecami.

- Cholera! - mruknął Jon, unosząc pokrywę. - Położył ją na skraju zwoju i urwał kolejny kawałek papirusu. Na szczęście nic poważnego.

Nikos przystąpił z powrotem do dzieła, zatrzymując się od czasu do czasu, jakby chciał, żeby papirus przyzwyczaił się do całkowicie nowego środowiska. Ukazało się osiem linijek, potem dwanaście.

Jon przyjrzał się uważnie pismu.

- To kwadratowe pismo aramejskie, bardzo małe, ale starannie napisane litery. Wygląda na okres herodiański, może przed- albo po-, ale z grubsza rzecz biorąc pierwszy wiek przed Chrystusem lub pierwszy po Chrystusie. Tyle na pierwszy rzut oka.

Nikos sięgnął teraz po dziwnie wyglądające narzędzie, podobne do ogromnej litery „C” - z pokrytymi filcem klapkami po bokach.

- To uchwyt do zwojów, który zaprojektowałem do krótszych dokumentów, jak ten tutaj - wyjaśnił.

Z niezwykłą ostrożnością, prawie z czułością, wsunął na pół rozwinięty zwój w uchwyt i powoli rozprostował pozostałą część dokumentu. Teraz mieli przed sobą cały tekst, chociaż rozprostowanie do końca papirusu zajmie jeszcze wiele godzin. Mimo całej ostrożności Nikosa papirus w paru miejscach pękł.

- Spójrzcie! - powiedział Jennings. - W dzbanie został zapewne zapieczętowany jakiś maleńki robaczek. Wyżarł sobie parę autostrad tu i ówdzie przez zwój. - Wskazał te miejsca. - Ale musiał to być uczony robaczek, gdyż odżywił się papirusem między linijkami tekstu!

- Pewnie robaki nie przepadają za smakiem atramentu - wysunęła przypuszczenie Shannon.

- O Boże! Wydaje się, że tekst jest prawie nietknięty! - szepnęła Jon, przyglądając się dokumentowi. Nagle coś zwróciło jego uwagę. - Tutaj... o tu, u dołu. Nie widzicie?

- Wygląda jak napisane inną ręką, prawda? - rzekł Jennings.

- Wszystko jest inne! Inna ręka, inny atrament, większe litery, szerszy margines. Jakieś postscriptum. Kodycyl?

- Panowie, co mówi tekst? - zapytała Shannon. - Tylko w ten sposób można się dowiedzieć, co to za dopisek. Czy może mówię rzeczy zbyt oczywiste?

- Znasz aramejski, Austin - uśmiechnął się Jon. - Zechciej więc...

- Daleko mi do twojej znajomości języka. Tłumacz, Jonathanie, musisz wreszcie jakoś zarobić na swój pobyt tutaj. Bądź grzecznym chłopcem...

- Spróbuję.

Jon wziął szkło powiększające i przez kilka minut przyglądał się tekstowi, żeby oswoić się z charakterem pisma. Kiwał co jakiś czas, mrużąc pod nosem jakieś spółgłoski. Potem zachichotał, potrząsając ze zdumieniem głową.

- Co to takiego, Jon? - spytała wreszcie Shannon. - Nie zniosę dłużej tego napięcia!

- Nie uwierzycie, moi drodzy - tryumfował Jon. - Wygląda to na list... list Józefa syna Asera do Nikodema syna Szymona. Posłuchajcie, jak brzmi pierwsza linijka: *Yosef Bar-Asher le-Naqdeymon Bar-Shimeon shalom!*

- Naprawdę, Jon? - spytał Jennings. Włożył okulary do czytania i pochylił się nad papirusem. - No tak... Rzeczywiście - szepnął ze zgrozą. - Jakie to wspaniałe! O Boże, spraw, żeby to był Nikodem z Ewangelii!

- To jeszcze jeden, który odegrał rolę przy pogrzebie Jezusa - uświadomił Brampton Cromwellowi, który nie był zbyt biegły w kwestiach biblijnych.

- Czytaj - jęknął Jennings. - Czytajże!

- „Mam nadzieję... że jesteś w dobrym zdrowiu, przyjacielu... Zawsze byłem”... raczej... „Nigdy nie żałowałem... że opuściłem Jeruzolimę, kiedy ty”... raczej... „choć ty chciałeś, bym został.”

- Jon uniósł bezradnie ręce. - Nie jest łatwo tak tłumaczyć na zamówienie. Znacznie lepiej by mi szło, gdybym miał pióro i kartkę.

- Tak czy inaczej mamy przerwę na lunch - powiedział Jennings.

- Dołączysz do nas, Nikos?

- Z przyjemnością.

Po lunchu wrócili bez Shannon, której powierzono zadanie odwracania uwagi Gideona Ben-Yaakova. Nikos otworzył drzwi laboratorium i zamarł. Papirus zniknął wraz z podtrzymującym go urządzeniem! Na jego miejscu leżała wielka pokrywa amfory.

- Na Boga żywego! - krzyknął Jennings. - To niemożliwe!

- Zwróć się w stronę Cromwella: - Zrobiłeś zdjęcie tekstu?

- Tylko paru linijek... Jonowi przez ramię.

Nikos wybiegł z pokoju i wrócił po chwili z asystentem, który bojaźliwie wyznał, że przestawił papirus z całym urządzeniem przytrzymującym na inny stół w kącie laboratorium, żeby pobrać próbki z pokrywy amfory. Nikos, który miał prawie tak samo zalęknioną minę jak jego asystent, czym prędzej przyniósł z powrotem papirus.

- W porządku, Vasilios. Możesz teraz wyjść. Analizę gliny dokończysz później.

- Dość ryzykowania! - oznajmił Jennings, który czuł jeszcze, że kręci mu się w głowie. - Dick, natychmiast zrób parę zdjęć tekstu.

Pełną dokumentację wykonasz, kiedy papirus będzie całkowicie wyprostowany.

- Tak - zgodził się Jon, któremu serce waliło jak młot. - Sfoto-
grafuj tekst z najdrobniejszymi szczegółami.

- To bułka z masłem - oznajmił Cromwell. - Atrament jest ciem-
niejszy niż na większości *titu*...

W ostatniej chwili uświadomił sobie, że Papadimitriou nie jest
jeszcze członkiem Kwintetu. Założył do aparatu wysokoczuły film
panchromatyczny i sfotografował tekst pod rozmaitymi kątami,
uwzględniając dzięki temu nierówności papirusu.

- Okay - powiedział w końcu. - Jesteśmy wystarczająco zabez-
pieczeni. Twoja kolej, Jon.

Jon usiadł przy stole, przyjrzał się raz jeszcze tekstowi i zaczął
pisać na żółtym arkuszu o znormalizowanym formacie. Cromwell
próbował odczytać to, co pisał Jon, ale Brampton powstrzymał go.

- Nie rozpraszaaj go, Dick - szepnął. - Kiedy ktoś się przygląda,
trudno nawet robić siusiu, a co dopiero tłumaczyć!

Jon odłożył pióro i roześmiał się. Zaraz jednak wrócił do pracy,
tłumacząc zdanie po zdaniu, wracając do zdań już przetłumaczonych,
skreślając i dopisując słowa. W tym czasie Brampton zaprosił Crom-
wella na kawę. Nikos poszedł do muzeum i tylko Jennings czuwał,
chodząc wielkimi krokami po laboratorium i próbując zapanować nad
uczuciem ekscytacji.

Od czasu do czasu zerkał w stronę Jona, zauważył więc, że wyraz
twarzy jego byłego ucznia stopniowo ulega zmianie. Z początku mina
Jona świadczyła o ogromnym zaciekawieniu, ale potem marszczył
coraz bardziej brwi. Jeszcze później jego oczy zwężyły się, a oddech
był coraz cięższy. Pisał z narastającym skupieniem, rzucając z roz-
machem zdania na papier. W pewnym momencie odłożył pióro
i wpatrywał się z jakimś lękiem w papirus.

- Co się stało, Jonathanie? - spytał Jennings. - Coś nie tak?

Jon milczał. Jego nie widzące spojrzenie padało ponad papirusem
na pudło z książkami pod ścianą.

- Co z tobą, Jon? - spytał raz jeszcze Jennings. - Dobrze się
czujesz?

- Doskonale - odparł w końcu Jon. - Poszukaj Nikosa. Zapytaj,
czy ma aramejsko-angielski słownik Koehlera-Baumgartnera.

Zostawiał puste miejsca, kiedy natknął się na jakieś nie znane
słowo czy wyrażenie. Niektóre mogły decydować o sensie dokumen-

tu, był więc wdzięczny Jenningsowi, że ten nie prosił na razie o tłumaczenie. Po chwili profesor wrócił ze słownikiem pod pachą.

Jon szybko wertował słownik, uzupełniając swój przekład. Potem znowu zabrał się do tłumaczenia. Jennings coraz szybciej krążył po laboratorium. Przypominał sobie nagle o domniemanych małpich kuzynach miotających się po klatce w londyńskim zoo. Bardzo głupie porównanie - pomyślał, ale tylko tego rodzaju kpina z samego siebie mogła przytłumić wewnętrzne napięcie. Musiał użyć całej siły woli, żeby nie rzucić się na żółty notatnik i nie przeczytać natychmiast przekładu.

Nic jednak nie mogło powstrzymać go przed odczytywaniem nastroju Jona. A ten nastrój budził coraz większy niepokój. Twarz naukowca była biała jak płótno, na czoło wystąpił zimny pot. Wyrwał kolejną kartkę z notatnika i pisał drżącą ręką, sprawdzając słowa, przekreślając, zapisując nową wersję.

Jennings nie był w stanie dłużej tego znieść.

- Co do cholery się stało, Jon? - wykrzyknął. - Co jest w tym dokumencie? Wyglądasz jak Scrooge, kiedy zobaczył widmo w noc wigilijną!

- A ty jak tygrys w klatce! Czy możesz dać mi na chwilę spokój?

- Mogę.

Jon natychmiast potrząsnął głową i na jego twarzy pokazał się błąd, smutny uśmiech. Ze znużeniem potarł oczy.

- Przepraszam, Austin. Możesz mi wybaczyć?

- Oczywiście, Jonathanie. Oczywiście!

Jennings poklepał młodszego kolegę po ramieniu i wyszedł z laboratorium.

Godzinę później Jon też opuścił pomieszczenie, ściskając pod pachą notatnik i słownik. Odzyskał panowanie nad sobą, ale nadal był błąd jak chusta.

- Nikos, czy mógłbyś na jakiś czas wypożyczyć słownik?

- To niepotrzebne - wtrącił się Jennings. - Mamy ten słownik w Ramallah.

Jon zwrócił się do Cromwella:

- Czy wykonałeś dosyć zdjęć, Dick?

- Jakieś trzy razy więcej niż potrzeba.

- Czy możesz przygotować mi na wieczór parę odbitek najlepszych negatywów? Użyj możliwie najbardziej kontrastowego papieru.

- Nie ma problemu.
- Doskonale. W takim razie może wrócilibyśmy do Ramallah? Nikos, masz tu sejf z regulacją wilgotności, prawda?
- Oczywiście. Kiedy papirus będzie gotowy, włożę go pod szybę i umieszczę w sejfie. Czy tak będzie dobrze?
- Doskonale - odparł Jennings.
- I dziękujemy za... za strategiczną pomoc - dodał Jon. - Wkrótce będę lepiej przygotowany do tego, żeby przedstawić wam... wam wszystkim... pełny przekład - oznajmił jakimś dziwnie neutralnym głosem. - Ten dokument jest zbyt ważny, by można było pozwolić sobie na najmniejszy błąd... nawet w wersji wstępnej. Wkrótce zrozumiecie, dlaczego. - Głos mu drżał i załamywał się. - Już wkrótce.

Kiedy szli w stronę land rovera, Jon dał w pewnym momencie znak Jenningsowi. Oddalili się trochę od pozostałych.

- To twoja ekspedycja, Austin, masz więc prawo wiedzieć o wszystkim, co dotychczas zrobiłem. Przepisałem i zniszczyłem pierwszą wersję. Czytaj, jeśli jesteś w stanie odcyfrować moje pismo. - Podał notatnik Jenningsowi. - Puste miejsca to słowa i wyrażenia, których nie potrafię na razie przetłumaczyć.

Jennings usiadł w cieniu pinii rosnącej na skraju parkingu i przystąpił do czytania. Jon patrzył, jak stopniowo napinają się mięśnie dłoni czytającego, jak oczy rzucają błyski. Jennings podniósł notatnik bliżej oczu. Jon zobaczył nerwowy tik policzka, zaciskające się coraz mocniej wargi. Twarz mu tężała w miarę czytania kolejnych ustępów; każdą linijkę tekstu czytał w skupieniu po kilka razy. Kiedy skończył, opuścił głowę na pierś i trwał bez ruchu przez chwilę, która obserwującym go wydała się eonem.

W końcu podniósł głowę i zawołał:

- Jonathanie!
- Jon podszedł.
- Która... która godzina była, kiedy uświadomiłeś sobie, jaki jest sens tego listu?
 - Jakież półtorej godziny temu. Dlaczego pytasz?
 - Zapamiętaj tę godzinę. Wskazuje ona moment, kiedy świat zaczyna się zmieniać.

W innych okolicznościach Brampton i Cromwell zażądałby podania, przynajmniej w ogólnych zarysach, treści dokumentu. Ale zarówno Jon, jak Jennings robili wrażenie tak wstrząśniętych, że przez

całą drogę w samochodzie panowało milczenie i dopiero, kiedy znaleźli się przed hotelem, Jon obiecał, że nazajutrz przedstawi im wynik swojej pracy.

Godzinę po kolacji Dick Cromwell przyniósł Jonowi ostre jak brzytwa zdjęcia. Dzięki temu, że odbitki zostały wykonane na papierze o wysokiej kontrastowości, dokument łatwiej było czytać ze zdjęć niż mając przed oczyma oryginał. Tej nocy Jon pracował do 2³⁰ nad ranem. Nadal nie rozumiał paru istotnych zdań i ważnych dla tekstu czasowników.

Nie mógł zasnąć. O czwartej zdumiał telefonistkę hotelową, zamawiając rozmowę z Massachusetts. Wiedział, że o dziewiątej wieczorem według czasu Cambridge jego kolega, Frank Moore Cross Junior, z pewnością nie położył się jeszcze spać. Jon przyznawał chętnie, że profesor Cross jest jedynym człowiekiem w Ameryce znającym aramejski lepiej niż on sam. Połączenie uzyskał zdumiewająco szybko.

- Frank? - krzyknął Jon do słuchawki. - Tutaj Jon Weber z Izraela.

- Cześć, Jon! Nie musisz tak krzyczeć, słyszę cię doskonale. Co ty tam robisz tak wcześnie?

- Tłumaczę niezwykle dokument, Frank. Wyjaśnię ci później. W tej chwili potrzebne jest mi wsparcie w aramejskim. Nie mamy tu hebrajsko-aramejskiego słownika Marcusa Jastrowa, chciałbym więc, żebyś mi, jeśli możesz, pozwolił wykorzystać twoją wiedzę.

- Jasne.

Jon wymienił słowa i wyrażenia, z którymi miał kłopoty. Cross, lingwistyczny geniusz, na niektóre pytania odpowiedział od razu. Obiecał, że zadzwoni, jak tylko sprawdzi resztę.

Następnego ranka Kwintet zamknął się w biurze Jenningsa. Jon miał worki pod oczami po nie przespanej nocy. Przepraszył, że nie może wypełnić obietnicy i przeczytać tłumaczenia, i powiedział o rozmowie telefonicznej z Crossem.

- Kłopot polega na tym, że jak się zdaje, mamy tu do czynienia z dialektem wiejskim. Natomiast postscriptum, czyli, jak się okazało, odpowiedź Nikodema, jest napisana standardowym aramejskim, jakiego używano w Judei.

- Możesz przynajmniej powiedzieć, czy chodzi o tego Nikodema, który jest wymieniony w Nowym Testamencie? - spytał Brampton.

Jon spojrzął na Jenningsa, który skinął przyzwalająco głową.

- To ten sam Nikodem - odpowiedział.
- Jedyną odpowiedzią Bramptona był przeciągły gwizd.
- Program na dziś: profesor Jennings zostanie w hotelu, żeby odebrać telefon od Crossa, a ja jadę do Jeruzolimy, gdzie spotkam się w Ecole Biblique z Claude'em Montaigne'em. Mam nadzieję, że rzuci trochę światła na ten dialekt.
- I kiedy dopuścisz nas do tajemnicy, Jon? - spytała Shannon wyraźnie zjadliwym tonem.
- Wieczorem. Obiecuję. Tym razem naprawdę. Tuż po kolacji, okay?
- Tato, czy to w porządku?
- Tak, całkowicie.
- Shannon - spytał Jon - czy podczas wczorajszego lunchu Gideon wspominał o tym, co wydarzyło się w laboratorium?
- Nie. Nie ma o niczym pojęcia.
- Dobrze. Niech tak na razie pozostanie, bez względu na to, jak go kochasz.
- Kto powiedział... och, nic. Okay.

Jon był umówiony na trzecią z ojcem Claude'em Montaigne'em w Ecole Biblique et Archeologique Francaise mieszczącej się tuż za północnymi murami starego miasta. Uczony dominikanin był dziekanem rozsianych po całym świecie specjalistów od aramejskiego, a biblioteka i archiwa Szkoły należały do najlepszych na Bliskim Wschodzie.

Montaigne przywitał Jona, kiedy tylko ten znalazł się w obrębie murów Szkoły. W Jeruzolimie wszystko jest otoczone murami - pomyślał Jon. Francuski uczony był drobny pod względem fizycznym, ale olbrzymi, jeśli chodzi o sławę, którą zawdzięczał swojej erudycji. Wszystko miał srebrzyste - włosy, krótko przystrzyżoną brodę, habit i nawet okulary w drucianej oprawce.

- *Bonjour, Monsieur Weber* - powiedział wyciągając dłoń. - *Monsieur Kevin Sullivan* napisał z Rzymu, że zadzwoni pan, i prosił, żebym okazał panu uprzejmość.

- *Bonjour, mon Professeur... notre Professeur*, bo przecież wszyscy jesteśmy uczniami ojca - Jon bez wahania zignorował francuski zwyczaj wymagający używania w rozmowie w cztery oczy słowa *Monsieur*, nie zaś tytułu naukowego; była to zapewne spuścizna rewolucji francuskiej.

- Teraz jednak ja jestem pańskim uczniem jako czytelnik *Vie de Jesus*. Napotkałem w tej książce wiele cennych spostrzeżeń.

- *Merci, Pere* Montaigne. Ale przypisy zamieszczone w tej publikacji pokazują, ile zawdzięczam erudycji ojca.

- *De rien*. Nic takiego.

- Myli się ojciec, i to bardzo. Ale przybywam tu z nadzwyczaj pilną sprawą. Bardzo proszę o zachowanie na razie dyskrecji.

- Oczywiście. O co chodzi?

Pragnąc, żeby Montaigne nie sugerował się niczym, Jon nie pokazał mu zdjęć całego dokumentu. Podsunął mu tylko przygotowane z góry kłopotliwe słowa i wyrażenia w kontekście poszczególnych zdań.

Montaigne przez chwilę studiował uważnie materiały.

- No tak! - oznajmił w końcu. - To aramejski z regionu wzgórz. Mamy w archiwum stary leksykon, który może okazać się pomocny.

Wyszedł z biura i po kilku minutach wrócił, dźwigając starą księgę. Zasiadł natychmiast do pracy. Jon przypomniał sobie, że on sam nade wszystko pragnął, żeby nie zaglądano mu przez ramię, przeprosił więc dominikanina i zaczął rozglądać się po bibliotece Ecole Biblique.

Montaigne wezwał go godzinę później. Rozgryzł co najmniej połowę „nieprzetłumaczalnych” fragmentów. Był to oczywiście lingwistyczny wyczyn i mając przed sobą tej rangi uczonego, trzeba grać uczciwie.

- *Pere* Montaigne - powiedział Jon - dam ojcu fotograficzne kopie całego dokumentu. Proszę jednak o dwie rzeczy. Po pierwsze, byłoby dobrze, gdyby ojciec zechciał podać nam swój przekład, żebyśmy porównali go z naszym. I po drugie, niech ojciec nie pokazuje nikomu tego dokumentu ani nie wspomina o nim, dopóki znowu się nie spotkamy. Z tekstu dowie się ojciec, dlaczego musimy o to prosić.

- *Certainement* - odparł dominikanin i w jego oczach zapaliły się kpiące iskierki.

Wychodząc Jon zobaczył, jak srebrne okulary Montaigne'a pochylają się nad zdjęciami.

Przed wieczorem, zaraz po powrocie Jona do Ramallah, Jennings zawiadomił go, że dzwonił Frank Moore Cross, który zaproponował tłumaczenie niektórych spośród nie znanych słów i zwrotów.

- Nie rozgryzł jeszcze wszystkiego, ale powiedział, że znowu zadzwoni.

- Doskonale - powiedział Jon, czytając to, co zanotował Jennings. Wyjaśnienia Montaigne'a i Crossa pozwalały wypełnić większość luk w przekładzie i Jon mógł teraz przepisać na maszynie precyzyjniejszą wersję tłumaczenia.

Przy kolacji Shannon, Brampton i Cromwell siedzieli obok Jenningsa i Jona. Jon czuł na sobie ich spojrzenia, niepewne, czy nie złamie obietnicy. Po zjedzeniu na zakończenie posiłku jerychońskich daktyli Jon spojrzał im prosto w oczy.

- Jeszcze ta noc. Bardzo proszę. Muszę uwzględnić nowe informacje, jakie uzyskałem od Crossa i Montaigne'a. Przysięgam, że dowiecie się wszystkiego zaraz po śniadaniu. Zgodza?

Zgodzili się bez entuzjazmu.

- Nie wsiadajcie rano do autobusu - doradził Jennings. - Dojedziemy potem na miejsce land roverem.

Jon usiadł przy biurku w swoim pokoju. Jego palce biegały po klawiaturze laptopa, a on sam drżał na myśl o tym, co pisze, o słowach, które odmienia przyszłość. Te linijki sprawiają, że wszystkie książki, których tematem jest chrześcijaństwo, stracą wartość, także jego własny bestseller. A to tylko najbardziej powierzchowny skutek. Chodzi tu przecież o wstrząs sejsmiczny, o klęskę żywiołową. Kiedy te słowa dotrą do wiadomości opinii publicznej, nic już nie będzie takie jak przedtem.

Wycie szakala przeszło nocną ciszę. Czy to ten sam co poprzednio? Czy jest maskotką Ramallah? A może piekła? Ale tym razem odpowiedzią na posępne wezwanie był cały chór, zawodzącym wyciem oplakujący świat. Czy przeznaczenie?

- Oto paradygmat dla przyszłości - mruknął Jon, z rozmysłem używając jednego z najmodniejszych w tym stuleciu słów, jakimi posługuje się teologia.

XI

Musimy zmienić nazwę - powiedział Jon, kiedy po śniadaniu przeszli do pracowni. - Kwintet ma posmak zbyt szyderczy. Lepsze byłoby coś w rodzaju Prorocza Piątka... może zresztą nie. Kiedy jednak przeczytam ten tekst, zrozumiecie, co mam na myśli. Wiem, że brzmi to patetycznie i pompatycznie, jest jednak prawdą: ten dokument może zmienić zachodnią cywilizację. Może częściowo także wschodnią. Musicie mi przysiąc, że na razie nie zdradzicie z tego nikomu ani jednej sylaby. Zgoda?

Wszyscy kiwnęli stanowczo głowami.

Jon nie oczekiwał formalnej przysięgi z ręką na Biblii, mówił więc dalej:

- W przekładzie jest nadal kilka luk, ale główny wątek tekstu nie nasuwa żadnych wątpliwości. Oto tekst.

Jon wziął do ręki wydruk i zaczął czytać:

Józef, syn Asera, Nikodemowi, synowi Symeona, pokój! Mam nadzieję, przyjacielu, że zdrowie ci dopisuje. Ja żałowałem, że opuściłem Jerozolimę, chociaż ty chciałeś, bym został. Arymatea, dom mej młodości, służy mi dobrze także na starość. Potrzebny jest mi tylko pokój Boży, zanim stanę przed Jego obliczem. Piszę ten list, bo chcę zyskać ten pokój. Bolesnie wieram mnie kamyk, który utkwiał w sandale mojej duszy, i muszę go usunąć. Czy pamiętasz rabbięgo Jezusę [Jezusa], którego pochowaliśmy w moim grobowcu dwadzieścia i siedem lat temu za...

- Nie jesteśmy pewni następnego słowa, ale wygląda to na hellenistyczny wtręt do aramejszczyzny, *hegemonya*...

...za [hegemonii, rządów] Poncjusza Piłata? Tamtej nocy, kiedy dobiegła końca Pascha, nie mogłem zasnąć. Lękałem się, że ten szlachetny rabbi, człowiek, który wiele przecierpiał, nie zazna spoczynku, jaki należał Mu się po tych wszystkich cierpieniach. Moi słudzy zasłyszeli w mieście pogłoskę, że kapłani mają jakieś zamysły dotyczące Jego ciała. Zląkłem się, że mogą je uszkodzić albo okaleczyć. Później dowiedziałem się, że chcieli tylko opieczętować grób. Gdybym to wiedział! Kilka godzin przedtem, nim zapiał kogut, poszedłem z moim sługą Eleazarem do grobu. Zabraliśmy ciało Jezusa i przetoczyliśmy kamień na miejsce. Złożyliśmy ciało Jezusa na wozie, zakryliśmy je polanami oliwnymi, zaprzęgliśmy osła i wróciliśmy do mojego domu w Jerozolimie. W wieczór po szabacie ruszyliśmy wozem do Rama, gdzie...

- Nie znamy następnego słowa, ale myślę, że chodzi o ponowne pogrzebanie.

...gdzie pochowaliśmy rabiego w sarkofagu, który zamówiłem dla siebie, ale którego nie zdążyłem jeszcze przewieźć do Jerozolimy. Dopiero później dowiedziałem się o całym zamieszaniu z pustym grobem. Przysięgam na Pana, że nie wiem, dlaczego kapłani nie zajrzeli do grobu przed zapieczętowaniem i wystawieniem straży. Był pusty pierwszego dnia tygodnia, gdyż był pusty dzień wcześniej! Kiedy wróciłem do Jerozolimy, ty i inni uczniowie Nazarejczyka tak cieszyliście się tym, co uważaliście za zmartwychwstanie, że nie zdobyłem się na to, by utopić w prawdzie tenże...

- Następuje słowo niezrozumiałe.

...by utopić w prawdzie tenże [brak słowa], który usunął wasze zasnuwienie. Wybacz, najmilszy przyjacielu. Zapadłem na zdrowiu, wzrok mi się mąci. Nim umrę, muszę prosić cię o wybaczenie tego, że dawno temu ukryłem prawdę. Kiedy czytasz te słowa, mnie może już nie ma wśród żywych. Jeśli tak, zostaną pochowani nie w sarkofagu z moim imieniem, gdyż w nim spoczywa Jezus, ale w innym grobie. Oby Pan obdarzył cię mądrością, byś właściwie wykorzystał te słowa albo je zniszczył. Pokój ci. Żegnaj, najmilszy przyjacielu.

W pokoju panowała martwa cisza. Wszystkie pary oczu, niektóre zamglone łzami, wpatrywały się w Jona, prawie jakby to on był autorem dokumentu, który wyrwie z kalendarza kartkę z Niedzielą Wielkanocną.

- A oto notatka Nikodema pod tekstem listu - dodał Jon tonem, jakby szukał dla siebie usprawiedliwienia.

Ja, Nikodem, przybyłem do Rama dnia ósmego miesiąca Elul [dziesiątego września], by wziąć udział w pogrzebie Józefa. Nie potrafię wyrazić wzburzenia mego umysłu i serca. Ale powody, które skłoniły Józefa do zatajenia prawdy, są także moimi. Pogrzebię ten list przy grobie Jezusa. Prawda jest teraz w rękach El-Szadaj [Boga ojców]. Jeśli On zechce, prawda ujrzy światło dnia. Jeśli nie, może to Jego wola sprawi, że Droga [chrześcijaństwo] przetrwa, jest bowiem nauką nadziei. Amen.

Jon położył wydruk na stole.

Shannon łkała z głową opuszczoną na pierś. Clive siedział nieruchomo jakby przykuty do krzesła. Twarz miał ziemistą, oczy lśniące. Jennings milczał jak zakłęty.

Dick Cromwell próbował zapanować nad sobą i wyciągnąć do końca wszystkie wnioski.

- Myślisz więc, że... że kości, które znaleźliśmy, nie należą do Józefa z Arymatei, ale... ale do Jezusa?

Jon skinął powoli głową.

- Tak przynajmniej wynika z listu.

- O Boże! Do Jezusa?

Przez kilka minut wokół stołu panowało milczenie. Jon patrzył ze współczuciem, jak Shannon, Clive i Dick przeżywają to, co on przeżywał w ostatnich dniach, odkąd zrozumiał treść wstrząsającego dokumentu. Czy oni wszyscy wierzyli w cielesne zmartwychwstanie Jezusa? - zastanawiał się. On sam był z pewnością wychowany w duchu wiary. Jeśli i oni uważają się za chrześcijan, z pewnością wysłuchali przed chwilą informacji, której niszczycielskiego działania nie da się z niczym porównać. Nawet jeśli należą do wątpiających lub sceptyków, wydarzenia paschalne tak ściśle wplotły się w całą zachodnią cywilizację, że także oni muszą mieć uczucie, iż cały świat runął.

Wreszcie sam Jon przerwał milczenie.

- W każdym innych okolicznościach byłoby to jedno z największych... nie, największe odkrycie w dziejach archeologii. Ponieważ jednak na świecie jest miliard osiemset milionów chrześcijan, którzy wierzą, że Jezus powstał z martwych...

Nie dokończył zdania. W pokoju znowu zapanowała męcząca cisza.

- Przyszło mi do głowy coś... coś okropnie głupiego - oznajmił Cromwell. - Pamiętacie te plakietki, które pojawiły się wiosną w kampusach? „W tym roku nie będzie Wielkanocy: znaleźli ciało.” No więc my... właśnie to zrobiliśmy!

Znowu zapadła grobowa cisza.

I znowu przerwał ją Jon.

- Teraz, oczywiście, czeka nas straszliwy proces potwierdzania autentyczności! Jeśli rzecz przedostanie się do opinii publicznej, cały świat chrześcijański zacznie się domagać przeprowadzenia wszelkich możliwych testów. Dlatego musimy zachować tajemnicę, póki nie będziemy mieli ostatecznych wyników badań.

Wreszcie ocknął się Jennings.

- Czekają nas dziesiątki testów! Dziesiątki! Pomyślmy jednak najpierw, czy nie ma tu jakichś wewnętrznych sprzeczności. Jonathanie, przeczytaj raz jeszcze przekład, może ktoś z nas zauważy w tym jakąś... skazę.

Kiedy Jon odczytał, tym razem bardzo powoli, tekst, Brampton zapytał o pewien chronologiczny szczegół.

- Powiada się tu, że Jezus został pogrzebany dwadzieścia siedem lat wcześniej?

- Tak.

- Spróbuj powiązać to z datowaniem znalezionej w grobowcu monety.

- Dobra myśl - powiedział Jon. - Uczeni skłaniają się do uznania roku 30 lub 33 za datę ukrzyżowania Jezusa. Ja zawsze byłem za rokiem 33. Po dodaniu więc 27 lat otrzymamy rok 60 jako rok napisania listu. Nasza moneta pochodzi, jak pamiętacie, z 58 lub 59 roku, wszystko więc pasuje. - Zamilkł, złożył dłonie końcami palców i po chwili dodał z uśmiechem: - Ale wcześniejsza data ukrzyżowania, rok 30, nie pasuje, mamy więc argument za rokiem 33!

- Świetnie, Jon - skomentowała to cierpko Shannon. - Jak możesz chełpić się swoimi chronologicznymi sukcesami w momencie, kiedy umiera chrześcijaństwo?

- Przepraszam, Shannon. Zapomniałem na chwilę o tym, co się stało. Myślę, że wszyscy powinniśmy zachować więcej obiektywizmu i nie wyciągać pochopnych wniosków, nawet jeśli wydają się nam niezbite.

- Racja - dorzucił Jennings. - Testy, testy, jak najwięcej testów! Wnioski dopiero potem.

Zadzwonił Claude Montaigne i umówił się na popołudnie następnego dnia. Witając Jona okazywał najwyższe wzburzenie. Czoło miał pobrużdżone zmarszczkami.

- *Voici...* moje tłumaczenie - powiedział, podając tekst. - Mam jednak parę pytań, *mon ami*.

Zasypał Jona mnóstwem pytań na temat wykopalisk i znaleziska, a Jon udzielał mu jak najpełniejszych wyjaśnień. Kiedy przeszli do analizy tekstu, Montaigne dodał komentarz:

- Tak, to wygląda na *premier siecle*, na pierwszy wiek, proszę jednak pozwolić mi rzucić okiem na oryginał, *s'il vous plait*.

- Ależ oczywiście. Musimy udać się do Rockefellera. Ma ojciec czas?

- *Certainement*.

Po dziesięciminutowym marszu znaleźli się w laboratorium przy muzeum. Nikos Papadimitriou przywitał Montaigne'a uśmiechem.

- Bardzo się cieszę, że ojciec został wtajemniczony, *Pere Claude*.

- *Kalimera*, Nikos! - powiedział Montaigne. Greka była jednym z sześciu języków, którymi swobodnie się posługiwał.

Na prośbę Jona Nikos szybko otworzył sejf i wydobył papirus, bezpiecznie teraz sprasowany między dwiema taflami szkła, sam zaś wyszedł z pokoju. Jon skierował na papirus snop mocnego światła i podał dominikaninowi szkło powiększające. Czarne litery listu i brunatnoczarne dopiski Nikodema były bardzo wyraźnie widoczne.

Francuski uczonego długo studiował dokument, nie odzywając się ani słowem. Potem omówił z Jonem sprawę niejasnych słów i zwrotów, a na koniec porównali charakter pisma z pochodzącymi z rozmaitych wieków próbkami, których zestaw Montaigne przyniósł ze sobą.

- Pismo na tym dokumencie jest bardzo podobne do próbki z pierwszego wieku - oznajmił Montaigne. - Czy posłał pan kopię do Harvardu, Frankowi Moore Crossowi?

- Poślemy mu faks, jak tylko Cromwell, jeden z naszych ludzi, wykona zdjęcia rozprostowanego papirusu, czyli już wkrótce.

- Dobrze. No cóż, liternictwo obu tekstów wskazuje, że mamy do czynienia z okresem herodiańskim albo rzymskim, zapewne przed powstaniem Bar Kochby.

- Tak więc ramy czasowe to mniej więcej 40 rok przed Chrystusem do 135 po Chrystusie, *Pere Montaigne*?

- *Oui*. Zapewne tylko jeden człowiek na świecie mógłby je zawęzić... i podać lepsze warianty w miejscach, gdzie postawiłem w tekście znaki zapytania.

- Kto taki?

- Alexandros, były archimandryta Klasztoru Świętej Katarzyny na górze Synaj. Całe życie poświęcił studiowaniu aramejskiego i wszystkich dialektów tego języka. - Montaigne uśmiechnął się smutno i dodał: - Z przykrością przyznaję, że lepiej ode mnie zna aramejski. Cóż, taka jest prawda.

- Jeśli to możliwe, chciałbym osobiście omówić z nim każdą sylabę tekstu. - Jon zastukał palcami o stół, a potem obrócił się i powiedział: - Między Izraelem a Egiptem jest pokój. Czy da się pojechać stąd do Świętej Katarzyny samochodem?

- *Oui*. Są dwie drogi. Jedna to autostrada i żadnych kłopotów. Jeśliby jednak wybrał pan krótszą drogę, wyschniętym korytem rzeki, musiałby pan mieć... jak to mówicie... moc na wszystkie koła?

- Napęd na cztery koła?

Montaigne skinął głową.

- Trzeba też zabrać zapasy żywności. Chętnie pana z nim umówię. Alexandros wielokrotnie służył nam swoją wiedzą.

- Byłbym bardzo zobowiązany, *Pere* Montaigne.

- Czy... czy Nikos wie, co naprawdę czy prawdopodobnie jest w tym dokumencie?

- Nie, nie nalegał, zapewne przez grzeczność właściwą człowiekowi nauki. Zapewniłem go, że wszystko z nim omówię, kiedy będziemy pewni tłumaczenia.

Montaigne potrząsnął powoli głową i powiedział łagodnym głosem:

- Dotychczas, *mon ami*, zajmowałem się tym tekstem wyłącznie jako uczoney. Nawet nie zacząłem... myśleć o nim jako teolog. Albo jako chrześcijanin.

- Ani ja, *Pere* Montaigne. Ani ja.

Jak tylko dominikanin zobaczył, że samochód Jona rusza, wrócił do Rockefellera.

- Och, Nikos - powiedział niedbałym tonem. - Chciałbym jeszcze rzucić okiem na papirus.

- Bardzo proszę, *Pere* Montaigne. Nadal leży na stole w laboratorium. Czekamy na fotografa z Rama.

Kiedy mały dominikanin znalazł się sam w laboratorium, popełnił najniebezpieczniejszy czyn w swoim poza tym bezpiecznym życiu

uczonego. Trzęsącymi się rękami, ale z największą ostrożnością zdjął górne szkło, odłożył je na bok i odciął maleńki romb z dołu papirusu, używając do tego celu laboratoryjnych nożyc. Włożył fragment do małej koperty, którą schował do kieszeni marynarki, zerkając co chwilę ukradkiem w stronę Papadimitriou, który stał tyłem po drugiej stronie szklanego przepierzenia. Ponieważ dolny skraj papirusu był i tak wystrzępiony i poprzedziany, nikt nie zauważył ubytku. Montaigne położył szkło na miejsce, uśmiechnął się, zadowolony ze swojego sukcesu, niewielkiego, ale potencjalnie o strategicznym znaczeniu, i opuścił Muzeum Rockefellera.

Gdy Jon wrócił do Ramallah, Jennings zamknął się z nim w swoim pokoju i powiedział:

- Kiedy wyjechałeś, Nottingham przywiózł z Jerozolimy raport doktora Itzhaka Shomara w sprawie... szczątków. - Teraz kiedy szkielet zyskał dramatycznie nową tożsamość, nie potrafił zdobyć się na to, żeby powiedzieć „kości”. - Shomar, jak pamiętasz, jest patologiem w Muzeum Rockefellera.

- Czy Noel coś podejrzewa?
- Nie. Uważa, że chodzi o szczątki Józefa z Arymatei.
- A Shomar?
- Noel niczego mu nie powiedział.
- To dobrze! Niech tak zostanie najdłużej jak to możliwe.

Jennings podał mu trzydziestopięciostronicowy raport Shomara.

Przed otwarciem raportu Jon zapytał:

- Czy określony przez niego wiek pasuje do naszych danych?
- Tak.
- Co mianowicie stwierdził?
- Przeczytaj sam, Jonathanie.

Raport patologa, mimo że ten nie był niczego świadomy, miał niezwykłą doniosłość. Wprawdzie papirus był autentyczny, ale pewna część z innej układanki zupełnie tu nie pasowała: kości bardzo dobrze odpowiadały temu, co wiadomo o Józefie z Arymatei - choćby napis na sarkofagu - ale nie temu, co wiadomo o Jezusie, który w momencie ukrzyżowania miał zaledwie 33 do 36 lat. Nottingham nie miał wątpliwości, że szczątki należały do mężczyzny między pięćdziesiątką a sześćdziesiątką. Te różnice liczbowe nabierały teraz dramatycznego znaczenia.

Jennings poszedł po butelkę sherry, a Jon przystąpił do lektury. Dotarł do strony piątej, kiedy wrócił Jennings.

- Nie widzę tu specjalnych różnic w stosunku do wstępnych stwierdzeń Nottinghama - oznajmił Jon.

- Czytaj dalej.

- Kilka interesujących punktów: „W kościach występuje niedobór wapnia, aczkolwiek nie jest to niedobór poważny”. Hmm... „Jeśli chodzi o zęby, żadnych ubytków...”

Przy stronie dwunastej Jon wyprostował się nagle na krześle i wypił spory łyk wina.

- Posłuchaj tego, Austin.

Na końcach prawej i lewej kości promieniowej występują jakieś bruzdy czy otarcia, podobnie jak na kościach śródstopia. Mogłoby to być skutkiem niewłaściwej diety, dziwi jednak podobieństwo tych obrażeń na wszystkich czterech kończynach.

- Nadgarstki obu rąk i kości śródstopia mają bruzdy? - wykrzyknął Jon. - Jakby od gwoździ? Jak przy ukrzyżowaniu?

- Cóż by innego? - mruknął Jennings.

Jon wrócił do lektury. Kilka stron dalej podniósł wzrok i powiedział:

- Posłuchaj tego.

Widoczne również poprzeczne zarysowanie na górnej części siódmego lewego żebra, zwężające się od 2,5 do 1,7 centymetra. Pochodzenie tego urazu, wywołanego przyczynami naturalnymi albo ręką ludzką, nie zostało określone. Musi jednak budzić podejrzenie, gdyż nie spotkałem się dotychczas z niczym podobnym.

Jon przymknął oczy i zacytował Ewangelię świętego Jana:

- „Tylko jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda.” Shomar podał precyzyjny opis śladu po grocie włóczni!

- Czytaj, czytaj, Jonathanie. Niejedną jeszcze łopatę ziemi będziesz mógł rzucić na grób znanego nam dotąd chrześcijaństwa - powiedział Jennings.

Rysy miał ściągnięte, naznaczone przygnębieniem i jakąś surowością. Kilka minut później Jon zbliżał się już do końca lektury.

- Nie, tu jest o tym... Zaraz, poczekaj, mam podsumowanie. Jeszcze przez chwilę zagłębiał się w tekst, a potem przeczytał na głos:

Jeśli chodzi o określenie w sposób niezawodny wieku szczątków, nie stosowano metod z zastosowaniem węgla C-14, fluoru ani innych procedur pozwalających na datowanie kości, gdyż w tej sprawie decyzją musi podjąć profesor Jennings. Natomiast zgodnie z jego pozwoleniem pobrano małą próbkę z lewej kości udowej i poddano ją racemizacji aminokwasowej. Przyjmując, że w toku historii temperatura w pieczarze w Rama zmieniała się tak samo jak w innych tego rodzaju jaskiniach w Izraelu, położonych na tej samej szerokości geograficznej i tej samej wysokości, możemy na podstawie analizy określić wiek kości na 1930 lat przed dniem dzisiejszym, przy marginesie błędu wynoszącym 15 procent. Jeśli natomiast chodzi o wiek zmarłego, wstępna ocena na 50 do 60 lat musi zostać poddana rewizji, gdyż zęby i stawy są mniej zużyte niż wskazywały na to pierwsze oględziny. Co więcej, przyrosty fitynowe, to jest ostrogi lub guzy powstałe wskutek osadzania się wapnia na kręgach, w jamie panewkowej i w innych stawach nie są tak wyraźne jak wskazywałaby norma dla tak zaawansowanego wieku. Właściwsze byłoby określenie wieku w momencie śmierci na 35 do 45 lat.

Jon znużonym gestem zamknął raport i odłożył go na stół. Wypił znowu spory łyk sherry i Jennings napełnił z powrotem kieliszek.

- No tak - westchnął Jon. - Jednak brakująca część łamigłówek pasuje. Albo ujmijmy to inaczej. Ostatni gwóźdź do trumny tradycyjnego chrześcijaństwa został wbity w odpowiednie miejsce... a czysto „duchowe zmartwychwstanie”, o którym mówią liberalni teolodzy, doczekało się potwierdzenia.

- Czy jednak wiek 35 do 45 lat nie jest zbyt zaawansowany, Jonathanie?

- No nie, Austin! Chyba czytałeś moją książkę? W rozdziale poświęconym chronologii określiłem wiek 32 i pół do 33 lat jako początek działalności, a 36 i pół roku jako moment, kiedy został ukrzyżowany.

- No tak... prawda!

Obaj zamilkli i wpatrywali się nie widzącymi oczami w zamierające nad wzgórzami ostatnie różowawe błyski dnia. Jon spodziewał się, że zaraz usłyszy wycie szakala, ale tego wieczoru solista nie wystąpił.

Nagle Jennings wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Wiesz, Jonathanie, cała sprawa zaczyna wymykać się nam z rąk. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy po prostu zniszczyć papirusa, dzbaną i wszystkich zdjęć i negatywów, by nie zranić milionów

wierzących, być może nawet, by nie przynieść uszczerbku całej cywilizacji. Niech świat dowie się, że odkryliśmy szczątki Józefa. Czy to nie wystarczy? Chrześcijaństwo nie byłoby okaleczone, a my zawsze...

- Mówisz poważnie?

- Ja... ja... - Zamilkł, zachwiał się i walnął otwartą dłonią w stół, aż podskoczyła butelka z winem. - Nie, chyba nie mówię poważnie! Jak archeolog mógłby cokolwiek zniszczyć? A jednak czuję jak drzę... Jonathanie, czuję jak drzę...

- I ja, Austin! Zresztą, gdybyśmy nawet chcieli zniszczyć znalezi-ska, nie wiem, jak można by to zrobić. Przecież Shannon, Clive, Dick, Montaigne i Cross wiedzą wszystko... albo się dowiedzą. Nikos prawie wie...

- Tak, od tej chwili bezwzględną regułą ma być beznamietne badanie i obiektywizm. - Wydawało się, że Jennings odzyskuje panowanie nad sobą. - Zbyt mocno angażujemy się osobiście... Przyczyną jest, oczywiście, natura naszego odkrycia. Musimy jednak zachować przytomność umysłu.

Jon skinął potakująco głową.

- To, co odkryliśmy albo jest autentyczne, albo stanowi najbardziej wyrafinowane fałszerstwo w historii ludzkości. Musimy wyjaśnić, która z tych ewentualności wchodzi w grę. Wiem, wiem, jesteś my do szpiku kości przeniknięci przekonaniem, że nie może być mowy o fałszerstwie. W końcu byliśmy tu przez cały czas i nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek, choćby najmocniej zaangażowany, mógł podsunąć tyle fałszywych świadectw. Ale i tak naszym zadaniem jest teraz weryfikacja.

Zastukała Arabka z recepcji hotelowej i oznajmiła, że Jon ma telefon z Rzymu. Jon pospieszył na dół, przypuszczając, że dzwoni Sullivan. Rzeczywiście był to Sullivan.

Jon prosił, że nie odpowiedział na ostatni list.

- Kevinie, nie mogę ci tego w tej chwili wyjaśnić, ale znaleźliśmy tu coś niewspółmiernie ważniejszego niż zakończenie Ewangelii Marka i po prostu muszę na kilka tygodni albo miesięcy odłożyć na bok twój problem. Czy możesz przerwać na ten czas prace? Powiem ci więcej, gdy tylko będzie to możliwe.

Sullivan był zaskoczony i zupełnie oszołomiony, ale w końcu wyraził zgodę. Kiedy Jon odwiesił słuchawkę, przyszło mu nagle do głowy, że linijka usunięta z Marka zgadzała się dokładnie z tym,

czego dowiedział się z papirusu. I tu, i tam ciało Jezusa zostało zabrane. Dwa zupełnie niezależne źródła były całkowicie zbieżne.

Czy jest to początek nowej ery? Czy zmuszają planetę Ziemię do dokonania zwrotu? Ku lepszemu? Ku gorszemu?

XII

Opracowana przez Claude'a Montaigne'a wersja przekładu była tak bliska tekstowi Jona, że problem tłumaczenia można było uznać za prawie zamknięty. Inaczej przedstawiała się kwestia potwierdzenia autentyczności. Jon omawiał plan testów z Jenningsem.

- Największym błędem popełnionym w sprawie Całunu Turyńskiego - powiedział Jon - było, że przez całe lata przeprowadzano wszelkie możliwe testy poza tym jednym, który należało przeprowadzić, to znaczy poza zbadaniem metodą węgla C-14. Nie popełniamy jednak tego samego błędu. Oto moja propozycja: prędzej czy później trzeba będzie poddać i papirus, i pergamin testowi na zawartość węgla C-14, proponuję więc zrobić to od razu. Oszczędzimy sobie trosk, jeśli okaże się, że mamy do czynienia z fałszerstwem.

- Doskonale, Jonathanie, pamiętaj jednak, że bardzo niewiele papirusu możemy odpisać na straty.

- Jasne. Użyjemy jednak tej samej metody tandemowego akceleratora mas, jaką zastosowaliśmy przy Całunie. TAMS (*tandem accelerator mass spectrometer*) wymaga jednej tysięcznej tych ilości, jakie przekazaliśmy Weizmannowi. Czy pamiętasz ten spory fragment papirusu, który odłamał się podczas rozwijania w Muzeum Rockefellera? Jest wystarczający przy metodzie TAMS. Możemy też wykorzystać jeden z nie zapisanych odłamków pergaminu z *titulusa*.

- Dokąd je zabierzesz? Do Arizony?

- Tak, ale wstąpię po drodze do Smithsonian Institution i poproszę Sandy'ego McHugh o dokonanie pełnej analizy. Jest doradcą naukowym Instytutu Początków Chrześcijaństwa. Bardzo pomógł nam podczas badań Całunu.

- Doskonale! - Jennings skinął głową. - Trzymajmy się tego planu, bo lepszego nie wymyślimy.

- Czy pojedziesz ze mną?

- Chciałbym! Ktoś musi jednak tu zostać i pilnować stada.

Jon poleciał do Paryża, zabierając ze sobą fragmenty papirusu i pergaminu w małych wyłożonych ołowiem pojemniczkach, które trzymał w teczce. Tam przesiadł się na concorde, który wylądował na Dulles Airport w Waszyngtonie. Natychmiast po wylądowaniu znalazł się w Smithsonian Institution.

- Miło znowu cię widzieć, Jonny, chłopcze - powitał go Sandy McHugh.

McHugh miał na sobie biały laboratoryjny fartuch i wcale nie wyglądał tak dobrodusznie jak można by sądzić po tym powitaniu. Zwykle w rozmowie z Jonem posługiwał się albo poprawną angielszczyzną, albo wymawiał słowa z najgorszym, jaki można sobie wyobrazić dublińskim akcentem. Tym razem był właśnie dublińczykiem. Odnaczał się przy tym znaczną tuszą, okrągłą twarzą i jasnorudymi włosami. Jego osobowość znajdowała odbicie w mrugających turkusowozielonych oczach.

- Witaj, stary druhu - powiedział Jon, klepiąc go serdecznie po ramieniu. - Miałeś trochę roboty?

- Dzięki tobie - skinął głową Sandy. - Niezłą zagadkę nam przysłałeś z tą usuniętą linijką. Przysnaj, czy Ojciec Święty zgodził się na nasz test?

McHugh wiedział tylko, że chodzi o dokument pochodzący z Watykanu, ale nie miał pojęcia, że chodzi o zakończenie Ewangelii Marka.

- Zgodził się, Sandy.

- A co oznaczają te skrawki pergaminu i papirusu, z którymi zjawiasz się dzisiaj? Czyżby chodziło o jakiś zabytek piśmiennictwa?

- Nie - roześmiał się Jon - nic w tym rodzaju. Ale mamy do czynienia z dokumentami niewiarygodnie ważnymi. Kiedy będziesz się nimi zajmował, wyobrażaj sobie, że są to fragmenty Deklaracji Niepodległości. Albo listu świętego Patryka.

- Rozumiem - odparł McHugh, tym razem czystym angielskim akcentem. - Sumienność i precyzja.

Kiedy weszli do laboratorium, Jon otworzył pojemniczki i ostrożnie wyjął skrawki pergaminu i papirusu. Sandy dokonał oględzin, używając do tego celu rozmaitych lamp, filtrów i mierników.

- Z pewnością wygląda mi to na średniowiecze, a może nawet dawniejsze czasy.

- Mam nadzieję, że zdołasz to nieco sprecyzować!

- Jasne. - Sandy uśmiechnął się. - No dobrze, oto moja propozycja. Po pierwsze, przeprowadzimy wszystkie analizy nie wymagające zniszczenia materiału, mam na myśli badania mikroskopowe i elektromikroskopowe. Oczywiście nie zaniedbamy prowadzenia przez cały czas dokumentacji fotograficznej. Zajmie to nam resztę dnia. Przenocujesz u mnie w Georgetown. Nalegam!... Jutro zabierzesz sobie bezcenne skrawki i polecisz do Tuscon. Dzwoniłem już do Duncana Frasera z tamtejszego uniwersytetu, żeby rzucił wszystko i dobrze nastroił swoją aparaturę TAMS, bo ma zbadać te twoje dokumenty.

- Wspaniale, Sandy! Arizona nadal jest w tym najlepsza? Nie Oksford albo Zurich?

- Powiedzmy tak, Jon: to jedyne miejsce na ziemi, gdzie mają takie urządzenia, a ponadto zestaw próbek z włosioszyszkowej sosny. Gdyby sam Pan Bóg wręczył mi pierwszą stronę rękopisu Ewangelii świętego Mateusza i powiedział: „Dokonaj datowania”, im właśnie bym to zadanie powierzył.

Wylądowali w rozległej hiszpańskiej hacjendzie, czyli na międzynarodowym lotnisku w Tuscon, i pojechali wynajętym samochodem na uniwersytet stanowy. Znaleźli się na obszernym terenie zabudowanym gmachami z czerwonej cegły.

Kiedy wchodzili do budynku zajmowanego przez wydział fizyki, Sandy powiedział:

- To święte miejsce dla archeologów z całego świata, Jon. Ci chłopcy wyskalowali na nowo węglowy zegar dzięki datowaniu na podstawie rocznych przyrostów włosioszyszkowej sosny.

Z wyciągniętą ręką podszedł do nich średniego wzrostu, czarnowłosy, jowialnie uśmiechnięty mężczyzna.

- Cześć, Sandy! - zawołał. - Miło widzieć cię znowu w Tuscon!

- Witaj, Duncan! Znasz Jona Webera z listów, w których pisałem ci o nim, kiedy zajmowaliśmy się Całunem Turyńskim.

- To prawda!

- Cieszę się, że wreszcie mogę pana poznać, profesorze Fraser
- oznajmił Jon. - Niestety, zbyt byłem zajęty w Cambridge, żeby wpaść tu przy okazji badań próbek Całunu.
- Gościć pana to dla nas zaszczyt. Sandy powiedział, że pańskie próbki są niezwykle ważne, ale nie powiedział dlaczego.
- Bo nie wiem! - wtrącił się Sandy.
- Wy tłumaczę to po przeprowadzeniu testów - zapewnił Jon.
- Rozumiecie mnie, panowie, chodzi o obiektywizm.
- Słusznie - oznajmił Fraser. - Cóż, idziemy do laboratorium z akceleratorem.

Zaprowadził ich do podziemnego aneksu, gdzie w obszernym, wysokim pomieszczeniu trzymano aparaturę TAMS. Jon spojrzał na masywny akcelerator w kształcie litery „T” i na jego przewody wijące się po całej hali.

- To w niczym niepodobne do rzędu szklanych probówek, które widziałem w Instytucie Weizmanna w Izraelu.

- Niepodobne - potwierdził Fraser. - Przy ich konwencjonalnej metodzie liczy się impulsy rozpadu węgla C-14, natomiast TAMS to bezpośredni pomiar ilości C-14. Proszę pozwolić, że to wyjaśnię.

Kiedy Fraser rozłożył rysunek, Jon oświadczył:

- Musi pan zniżyć się do mojego poziomu. Nie wyszedłem poza fizykę czysto newtonowską.

Fraser podał arkusz Jonowi i powiedział:

- Przede wszystkim spalamy każdą z próbek, by powstał dwutlenek węgla, który następnie doprowadzamy do postaci grafitu... Ten węgiel umieszczamy na wtyczce, którą wsuwamy w źródło jonów. To numer 1 na szkicu.

Wskazał ołówkiem lewą stronę arkusza.

- Wtyczkę bombardujemy wiązką jonów cezu, co pozwala przeobrazić węgiel obojętny na zjonizowany ujemnie. Te jony pędzą jak szalone w stronę transformatora... numer 2... gdyż wytwarzane przez niego napięcie dwóch milionów wolt jest dla nich nader ponętne, jeśli można sobie pozwolić na taki żart. Jednak po drodze nasze przesłony szczelinowe i magnesy... numer 3... oddzielają regularny węgiel C-12 i C-13... Nadażę pan za mną?

- Tak sądzę - odparł Jon. - Proszę kontynuować.

- Tak zatem wyodrębnione jony węgla C-14 mkną teraz prosto w otwarte ramiona „zdzieracza”... numer 4... który bezwstydnie odziera je z elektronów, zmieniając z jonów ujemnych na dodatnie.

Przejęte odrazą do takiego postępowania umykają czym prędzej z transformatora.

- Spójrz, Jon, to tandemowa część całego układu TAMS - wtracił się Sandy. - Podwójne przyspieszenie.

- Teraz... numer 5... mamy dalsze przesłony szczelinowe i magnesy, które mają odchylić tor wszystkiego, co nie jest węglem C-14, bo ten właśnie węgiel chcemy zmierzyć. W końcu detektor jonów... numer 6... liczy, ile jonów przebyło drogę do końca i przekazuje dane komputerowi. To wszystko! Oczywiście przedstawiłem to panu w wersji... hmm... popularnej, ale w gruncie rzeczy do tego się cały proces sprowadza.

Jon roześmiał się.

- Mam nadzieję, że jakoś się w tym połapałem. - Jego twarz spoważniała. - Skąd jednak wiecie, że wychwyciliście cały węgiel C-14? Jeśli część wam umknie, próbka okaże się starsza niż jest w rzeczywistości.

- Ta machina wyłapuje jedną cząstkę C-14 wśród 100 bilionów cząstek zwykłego węgla.

- Niewiarygodne!

- Rzućmy teraz okiem na pańskie próbki - powiedział Fraser, zapraszając, żeby usiedli przy stole.

Jon wyjął z teczki dwa wyścielone ołowiem pojemniczki, a Fraser przyjrzał się fragmentom pergaminu i papirusu.

- Proszę powiedzieć, czy ta ilość materiału jest wystarczająca? - spytał z niepokojem Jon.

- O tak... wystarczy tego aż nadto. Jaki jest ich wiek pańskim zdaniem?

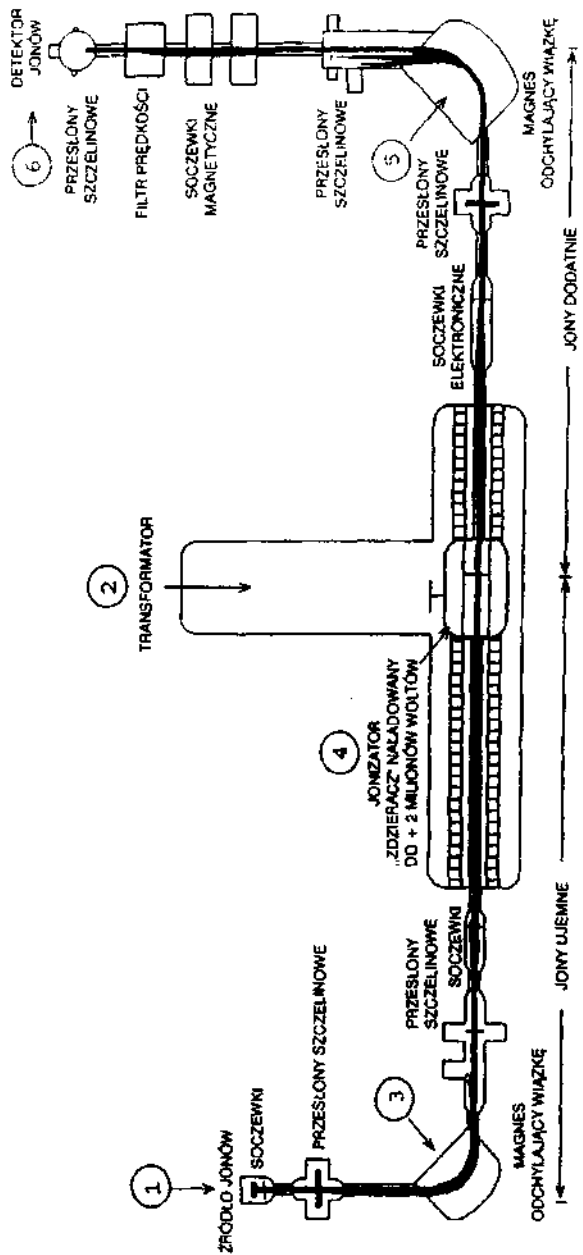
- Czy naprawdę muszę powiedzieć? Kiedy wszystko zostanie opisane, a zapewniam, że zostanie, wołałbym, by nikt nie mógł powiedzieć, iż zasugerowałem wam jakąś datę.

- Jasne! - Fraser uśmiechnął się. - Ale mnie potrzebny jest rząd wielkości. Wystarczy dokładność do pięciu tysięcy lat.

Jon roześmiał się z poczuciem ulgi.

- W takim razie mogę powiedzieć, że przedział czasowy rozciąga się od okresu, powiedzmy, sprzed dziesięciu lat, jeśli mamy do czynienia z fałszerstwem, wstecz do co najmniej dwóch tysięcy lat.

- Kaszka z mlekiem! - powiedział Fraser. - Myślałem, że będziemy mogli pokazać nasze możliwości i że przyniesie nam pan coś naprawdę starego.



TANDEMOWY SEPARATOR MASOWY
 Tandem Accelerator Mass Spectrometer (TAMS)

Fraser i jego asystenci przystąpili do drobiazgowego przygotowywania obu próbek. Zajęło to resztę dnia. Jon, zniewolony tym naukowym spektaklem, zastanawiał się, jakie byłoby jego życie, gdyby wybrał fizykę, zamiast historii Bliskiego Wschodu.

- Grafit jest gotowy - oznajmił Fraser pod koniec dnia pracy.
- Poszło jak po maśle. Zapraszam na jutro, na uroczyste uruchomienie naszego potwora.

Przez całą noc Jon daremnie rzucał się i obracał na wszystkie strony w łóżku. Sen nie przyszedł. *Titulus* i skrawki papirusu były teraz wszystkim, czymś znacznie ważniejszym niż stara ceramika, tkanina, a nawet kości - te bowiem były łatwo dostępne dla naprawdę zręcznego bliskowschodniego fałszerza. Lepiej, żeby ani McHugh, ani Fraser nie wiedzieli, że bieg historii może ulec odchyleniu - jak jony w akceleratorze - i że zależy to tylko od zawartości węgla C-14 w próbkach. Świadomość tego faktu mogła obedrzeć naukową procedurę z chłodnego obiektywizmu.

Następnego ranka Duncan Fraser pochylił się nad tablicą rozdzielczą, włączył główne urządzenie i zaczął przyglądać się rządowi przyrządów pomiarowych i czujników. Asystenci meldowali o swoich odczytach, co przypomniało Jonowi jako żywo salę kontroli lotów w Houston.

- Terminal akceleratora, 2 miliony woltów.
- Generator cezu, 25 tysięcy woltów.
- Wszystkie magnesy, napięcie nominalne.
- Detektor jonów, napięcie nominalne.
- Komputer gotowy.

Starannie zestrojony chór urządzeń elektronicznych wypełnił swoją pieśnią całe laboratorium. Dla Jona napięcie było prawie nie do zniesienia.

Fraser włączył teraz bombardowanie próbki pergaminowej jonami cezu. Jon i Sandy wpatrywali się nad jego głową w monitor komputera. Widzieli siatkę, na którą w pewnym momencie nałożyły się dwie zielone kolumny, wskazujące względną ilość węgla C-14 i węgla zwykłego.

- Trzeba patrzeć na tę z prawej strony - wyjaśnił Fraser. - Im jest niższa w stosunku do kolumny lewej, wskazującej ilość zwykłego węgla, tym starsza próbka.

Jon przyglądał się w skupieniu dwóm kolumnom. Różnica ich

wysokości stawała się coraz wyraźniejsza. W sali panowało milczenie. Jon czuł, jak pulsują mu skronie.

- Jaki wiek pokazuje z grubsza? - spytał w końcu.

Fraser rzucił okiem na główny stół kontrolny.

- Mniej więcej 1950.

- O Boże! - wykrzyknął Jon. - Więc to fałszerstwo sprzed czterdziestu czy pięćdziesięciu lat!

- Nie, nie - roześmiał się Fraser. - Chodzi o 1950 lat przed dniem dzisiejszym. Mam na myśli trzydzieste albo czterdzieste lata pierwszego wieku.

Pograżony w błogiej niewiedzy Sandy wydał okrzyk radości:

- Sprawa jest jasna! To autentyk!

Jon czuł, że serce galopuje mu w jakimś szaleńczym rytmie. Teraz cywilizacja może naprawdę odmienić swe oblicze.

Po kilku minutach sprawdzania i zapisywania danych Fraser odszedł od pulpitu kontrolnego, podszedł do wyłożonej ołowiem szafki przy końcu laboratorium i wrócił z następnym małym grafitowym wsadem w rękę. Wsunął go w obrotową tarczę w źródle jonów.

Obrócił się do swoich gości i powiedział:

- Mam teraz dla was małą niespodziankę. Ponieważ mamy tu, jak się zdaje, do czynienia z badaniem wielkiej wagi, przeprowadzimy równoległy test próbki włosioszyszkowej sosny. Wiek tej próbki jest znany, więc będziemy mogli porównać odczyty. Jeśli okażą się zgodne, uzyskamy gwarancję dokładności. Pałeczka, którą wkładam, to drewno włosioszyszkowej sosny. Na podstawie analizy słoje drzewa wiemy, że ta próbka liczy sobie prawie dokładnie dwa tysiące lat.

Znowu rozległy się odgłosy pracy akceleratora i trzy pary oczu utkwiły spojrzenia w ekranie. Wkrótce pojawił się rząd słupek o wysokości prawie identycznej jak w przypadku próbki pergaminu.

- No tak! - rzekł Fraser. - Wynika z tego, że z całą pewnością dobrze wyskalowaliśmy nasze urządzenie.

- To prawda - potwierdził Sandy.

- Przechodzimy więc do próbki papirusu?

- Naturalnie - odparł Sandy, gdyż Jon robił wrażenie zbyt oszołomionego, żeby wydobyć z siebie głos.

Fraser obrócił tarczę, wrócił do monitora i powtórzył całą procedurę. I znowu na ciemnym ekranie pojawiła się zielona siatka.

- Ta jest odrobinę młodsza - powiedział. - Widzicie? Słupek jest trochę wyższy.

- Jak ją umiejscowisz? - spytał Jon, który odzyskał w końcu głos.
- Jakieś 1900 lat, może parę lat więcej.

Jon raz jeszcze skulił się wewnątrz. Nie ulegało wątpliwości, że list Józefa z Arymatei został napisany później niż *titulus*, więc papirus musiał być młodszy.

Fraser podszedł jeszcze raz do zabezpieczonej warstwą ołowiu szafki i wyjął z niej następną cieniutką pałeczkę.

- Ta liczy sobie 1900 lat.

Odczyty pokazały, że jest tylko o dwadzieścia pięć lat młodsza od papirusu.

- Trzeba przyznać, że nasza maszynka sprawowała się dzisiaj jak należy - powiedział Fraser i poklepał czule tablicę rozdzielczą. - Ale nadal zabezpieczamy się podając osiemdziesięcioletni margines błędu.

- Dlaczego? - spytał Jon. - Wydaje się, że odczyt jest znacznie precyzyjniejszy.

- W grę wchodzi zmiana natężenia promieniowania kosmicznego na przestrzeni wieków.

- Jasne. Zapomniałem. Myślałem o czymś innym.

- Gratulacje, Jon! - wykrzyknął Sandy. - Wygląda na to, że znalazłeś coś autentycznego, chociaż nie mam pojęcia co.

- Taak!... Dziękuję, Sandy.

- Nie robisz wrażenia zachwyconego.

- Wkrótce... wkrótce wszystko wyjaśnię.

- Oczywiście wyślemy szczegółowe zestawienie statystyczne - oznajmił Fraser. - Dowie się pan, na przykład, ilu jonów się doliczyliśmy i innych podobnych rzeczy.

- Nie wiem, jak panu dziękować, profesorze Fraser - odparł Jon.

- Także za zużycie cennych próbek. Jesteśmy pana dłużnikami. Obiecuję, że kiedy tylko będę mógł wyjaśnić co to za fragmenty, pan pierwszy się o tym dowie. Ich wartość jest... niewymierna.

- Rozumiem.

Podczas powrotnego lotu do Waszyngtonu Jona nie opuszczało to samo irytujące, gryzące, cierpkie uczucie, jakiego zaznał już, tłumacząc po raz pierwszy papirus. Jeśli, a właściwie kiedy wiadomość zostanie ogłoszona, świat dozna wstrząsu, a przyszłość Jona pozostanie na zawsze związana z Rama.

McHugh okazał ogromną powściągliwość nie dręcząc go pytaniami i Jon to docenił.

- Dziękuję, że nie nękaśz mnie żądaniem, bym podał jakieś infor-

macje, Sandy. Wyduszę z siebie wszystko w Waszyngtonie. Czy możemy zjeść kolację zupełnie na osobności?

- Jasne. Żona i dzieci są nad Chesapeake Bay. Zamówię gabinet u Hogate'a.

Przy drugim martini tanqueray Jon zrelacjonował przebieg wykopalisk. Przy sałacie na twarzy Sanforda McHugh pojawił się szeroki uśmiech, kiedy Jon wyjaśnił, że odnaleźli posiadłość, grobowiec i nawet szczątki Józefa z Arymatei, a także *titulus*. Jako żarliwy rzymski katolik uznał, że te wieści są bardzo pokrzepiające dla jego wiary. Podczas przekąski między daniami Jon rozejrzał się dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś nie może go usłyszeć, i odczytał swoje tłumaczenie tekstu z papirusu.

Twarz Sandy'ego zmieniała się tak gwałtownie, że Jon zaniepokoił się o jego zdrowie. Na piegowatym czole i policzkach uczonego pojawiły się krople potu. Rumiana przedtem cera przybrała ziemisto-szary odcień. Wydawało się, że Sandy zaraz runie na ziemię. Nagle zerwał się i pobiegł do toalety. Ledwie zdążył tam dotrzeć, żeby zwrócić całą kolację.

- Trzymaj się, Sandy - powiedział Jon, pomagając mu usiąść z powrotem przy stole. - Nadal... nadal jest niewielka szansa, że fałszerz mógł wykorzystać nie zapisany koniec lub początek autentycznego papirusu i test węglowy niczego by nie wykazał. Dlatego musimy omówić inne testy.

Słowa Jona dodały trochę otuchy Sandy'emu. Obsypał Jona pytaniami na temat prób przeprowadzonych w Rehovot i poprosił o dokładny opis artefaktów znalezionych w pieczarze. Przez resztę wieczoru dyskutowali nad tym, jakie testy powinien przeprowadzić każdy z nich.

Kiedy Sandy odprowadził go następnego ranka na lotnisko, Jon nie musiał nawet mówić przy pożegnaniu tego, co jednak powiedział:

- Widzisz teraz, dlaczego należało zachować jak najściślej tajemnicę?

Sandy uniósł tylko bezradnie ręce i spuścił głowę. Był pogrążony w rozpacz.

XIII

I znowu wysoka sylwetka Jenningsa, zwieńczona pomarańczowym kapeluszem od słońca, górowała nad tłumem na dworcu lotniczym imienia Ben Guriona. I znowu Jon powiedział mu, że powinien być przysłać Clive'a Bramptona albo któregoś ze studentów.

- Nigdy w życiu, Jonathanie. Muszę dowiedzieć się, jakie są wyniki! Co stwierdziłeś?

- Powiem po drodze do Ramallah.

Przez połowę drogi Jon relacjonował wyniki badań przeprowadzonych w Arizonie i Waszyngtonie. W pierwszej chwili Jennings nie miał nic do powiedzenia, ale potem jęknął, potrząsnął głową i rzekł:

- Jonathanie, być może nie prowadzimy już wykopalisk, ale bawimy się płonącym z sykiem lontem i za chwilę dojdzie do potwornej eksplozji! Jesteś pewny, że można bez reszty zaufać tym testom?

- Jestem pewny. Odczyty zostały nawet potwierdzone w sposób spektakularny, gdyż dokonano porównania z próbkami włosioszyszkowej sosny, która rosła w Nevadzie mniej więcej w czasach, kiedy Herod Wielki kończył w Jerozolimie budowę świątyni.

Jennings znowu potrząsnął głową.

- Co dalej?

Jon wyliczył plan testów, jakim on sam i Sandy McHugh zamierzają poddać inne znalezione w pieczarze artefakty.

Tego wieczoru ogładał po raz nie wiadomo już który zdjęcia papi-

rusu, a Jennings krążył po pracowni z rękami założonymi do tyłu i starał się wymyślić, jakie następne posunięcie powinni wykonać.

- Gdybyśmy mogli przeprowadzić w jakiś sposób test samego piśma, to znaczy atramentu, żeby sprawdzić jego wiek! Sądzę jednak, że to niemożliwe. Co o tym myślisz, Jonathanie?

- Niestety, masz rację, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, żaden archeolog nie zniszczyłby tekstu, żeby przeprowadzić tego rodzaju badanie. A po drugie, nic by to nie dało, gdyż otrzymałby za mało węgla nawet do testu TAMS. Nie, myślę, że odpowiedź może dać nam jedynie styl. A poza tym mamy nadal ten problem ze słowami nie przetłumaczonymi.

Jennings przerwał swój spacer, wyciągnął ręce i powiedział:

- Chyba więc musimy wyruszyć na pielgrzymkę na górę Synaj.

- Tak myślę. Być może Alexandros jest naszą ostatnią deską ratunku. Może zadzwonimy do Montaigne'a i poprosimy, żeby umówił nas z archimandrytą.

Kiedy Shannon usłyszała, że ojciec i Jon zamierzają pojechać na górę Synaj, zaczęła prosić, żeby zabrali ją ze sobą. Jakże mogłaby przepuścić taką okazję zwiedzenia góry, na której Mojżesz dostał Dziesięć Przykazań?

- Dobrze, będziemy mieli zmiennika za kierownicą - oznajmił Jennings.

- I kucharza, jeśli utkniemy na pustyni - dodał Jon.

- Umarlibyście z głodu - odpowiedziała żartem. - Albo jadę jako równoprawny członek wyprawy, albo zostaję.

- Żartowałem, Shannon. To tylko żart.

- Ja też żartowałam. - Roześmiała się. - Nie jestem wcale taka trudna we współzyciu, jak może się wydawać.

Załadowali na land rover dodatkowe kanistry z benzyną i wodą, bo czekała ich niełatwa jazda przez Pustynię Synajską. Nie zapomnieli także o racjach pokarmowych i apteczce, jak również o dwóch zapasowych oponach, gdyż skrót łożyskiem rzeki był najeżony ostrymi kamieniami, które tylko czekały na okazję, żeby przebić oponę. Najważniejszym ładunkiem były jednak zdjęcia papiirusu. Cromwell przygotował drugi zestaw zdjęć dokumentu, tym razem już pod szkłem, i dołączył do tego powiększenia miejsc nie przetłumaczonych - wraz z całym zdaniem.

Wyruszyli dobrze przed wschodem słońca i w spokojny chłodny

poranek dotarli do Negebu. Przez całą drogę do Elat i nad Zatokę, gdzie zjedli lunch, Jennings zasypywał ich informacjami topograficznymi. Ponieważ wszyscy troje mieli ważne wizy egipskie, przekroczenie granicy w Elat przebiegło dosyć gładko. Jakiś czas jechali na południe wzdłuż wybrzeża, a następnie skręcili na zachód w prowadzącą łożyskiem rzeki drogę, która miała doprowadzić ich do góry Synaj.

W tym miejscu zaczęła się prawdziwa przygoda. Chociaż zrobiło się straszliwie gorąco, Jennings zasnął, wyciągnąwszy chude ciało na tylnym siedzeniu. Jon pocił się siedząc za kierownicą i mając obok Shannon. Wykorzystywał napęd na cztery koła, żeby jak najsprawniej poruszać się wśród księżycowego krajobrazu jakby pokrytych polichromią wzgórz. Lawirując wśród głazów i pochłaniających samochody rozpadlin tuż przy skarpie drogi, oddawał się ulubionej rozrywce - wypytywał Shannon o jej sprawy osobiste, a zwłaszcza o to, co łączy ją z Gideonem Ben-Yaakovem.

- Jon, czy ciągle musimy rozmawiać o Gideonie? Masz coś przeciwko niemu? Jesteś antysemitą czy co?

- Nie, oczywiście nie mam nic przeciwko niemu. A nawet gdybym miał, czy coś by z tego wynikało? Nie jestem też antysemitą. Zastanawiałem się tylko, czy przemyślałaś sobie wszystko. Czy, na przykład, wasze dzieci będą wychowywane na żydów, czy na chrześcijan?

- Gideon jest Izraelczykiem, a nie żydem, jeśli chodzi o wyznanie. Ponieważ zaś ja jestem poganką, dzieci nie będą automatycznie żydami, bo do tego musiałyby mieć matkę żydówkę. Ale później mogą zostać żydami i obywatelami Izraela.

- Czy takie masz plany?

- Nie wiem, Jon. Z początku chciałam, żeby wszystkie moje dzieci były ochrzczone, żeby stały się członkami Kościoła anglikańskiego. Matka była irlandzką katoliczką, ale ojciec wychował mnie na anglikankę.

- Powiedziałas „z początku”. A teraz?

- Jeśli chodzi... jeśli chodzi o moją wiarę, Jon, jestem pełna wahań. Tak, pełna wahań. Nie wiem, co mam myśleć... w co wierzyć. W gruncie rzeczy chrześcijaństwo odniosło taki zawrotny sukces, bo obiecywało „ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny”. To końcowe słowa Wyznania Wiary. I oto okazuje się, że nawet Jezus nie zdołał tego dokonać. Wyklucza to także Jego Boskość...

- Milcz, Shannon. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków... teo-

logicznych ani żadnych innych. W każdym razie dopóki nie mamy pewności.

- Tak, tak... wiem. Ale mówiąc między nami, jak ktoś mógłby sfabrykować coś takiego? Przecież wykopaliśmy to, Jon. Byliśmy tam!

- Nie mam na razie żadnej odpowiedzi, Shannon... jeśli w ogóle jakaś odpowiedź istnieje. Wracając jednak do ciebie i Gideona...

- Jon, jesteś jak cholerna połamana płyta! Mogę wyjść za niego. Mogę nawet nawrócić się na judaizm, jeśli chrześcijaństwo runie. A mogę tego nie zrobić!

- Możesz się nie nawrócić? Czy nie wyjść za niego?

- Jedno i drugie.

- Nie kochasz go?

- Tak... ale nie zawsze. Myślę, że miłość przychodzi i odchodzi. Może nawet nie wiem za dobrze, czym jest miłość.

- Ja wiem.

Dla niego początek i koniec miłości to ta wspiana kobieta siedząca obok. Miłość to Shannon. Shannon to miłość.

- Skąd masz pewność? - spytała. - I...

Nagle zobaczyli na drodze przed sobą ogromny dół, w którym zmieściłby się cały land rover. Jon wdepnął hamulec, skręcił w lewo i ledwie minął dół.

Jenningsem rzuciło tak, że natychmiast się obudził.

- Na miłosierną Minerwę, Jon! Wiem, że mamy kłopoty, ale to jeszcze nie powód, żeby popełniać samobójstwo!

- To nie jego wina, tato - powiedziała Shannon. - Nie powinniśmy tędy jechać. Ta droga to piekło. Nie mówię już o temperaturze.

Po paru godzinach ciężkiej, wyczerpującej jazdy i wypiciu całego zapasu wody dotarli wreszcie do rozległej, nachylonej równiny otaczającej górę Synaj.

- Zapewne tutaj Izraelici rozbili namioty, kiedy Mojżesz poszedł na górę - powiedział Jon. - Widzicie ten ogrodzony murem obszar na niższym zboczu? To Klasztor Świętej Katarzyny, cel naszej wyprawy. Bajeczne miejsce. Widzicie mury? Mają metr grubości. Wybudował je w szóstym wieku cesarz Bizancjum Justynian, żeby chroniły mnichów przed pustynnymi włóczęgami.

- Powiedz jej o Tischendorfie, Jonathanie - rozległ się głos z tylnego siedzenia.

- Aha! Opowiem ci o Konstantynie Tischendorfie - oznajmił Jon

profesorskim tonem. - Był to zeszlowieczny niemiecki uczyony, który miał po dziurki w nosie krytyków twierdzących, że Ewangelia jest tekstem późnym i niegodnym wiary. Oddałby wszystko, żeby tylko znaleźć oryginalny rękopis Ewangelii. Ponieważ jednak niczego nie znalazł, uznał, słusznie zresztą, że im manuskrypt jest wcześniejszy, tym lepszy. Przybył więc tutaj w 1844 roku na grzbiecie wielbłąda, podejrzewał bowiem, że święci mężowie z pustyni mogą mieć jakieś stare dokumenty w swoich archiwach. Z pewnością tak było, ale ci głupcy używali pergaminowych stron najstarszej, jak się okazało, Biblii, do pakowania. Tischendorf uratował to, co zostało, a następnie pożyczył od nich tom, *Codex Sinaiticus*, z zamiarem opublikowania wydania krytycznego. Car zapłacił mnichom dziewięć tysięcy rubli za rękopis, wy, Anglicy, odkupiliście go od Rosjan i teraz znajduje się w British Museum. Teraz mnisi chcieliby manuskrypt odzyskać, gdyż najwyraźniej wypadli z rynku wypożyczalni książek!

- Jak się datuje *Sinaiticus*? - spytała Shannon.

- Na trochę przed 350 rokiem. W 1975 roku odkryto tutaj część brakujących stron. Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, może uda się nam je zobaczyć.

- Niezła historia! Wiesz, Jon, mógłbyś oprowadzać wycieczki - zażartowała. - Nie grozi ci bezrobocie, kiedy okaże się, że wskutek naszych odkryć chrześcijaństwo legło w gruzach.

- Staraj się panować nad językiem, Shannon - ostrzegł Jennings.

- Tato, nie bądź taki zasadniczy. Jesteś zbyt poważny. W poprzednim wcieleniu musiałeś być Williamem Gladstone'em!

Jon zatrzymał samochód przed bramą klasztoru, wysiadł i pociągnął za sznur dzwonka.

- Bądźmy zadowoleni, że jest brama - powiedział. - Kiedy przy był tutaj Tischendorf, nie było którędy wejść. Mnisi opuścili pręt zawiązany na sznurze, żeby miał na czym stanąć, i wciągnęli go przez mur!

Ukazał się stary czarnoskóry i białobrody furtian otulony od stóp do głów w kremowego koloru galabiję. Otworzył furtę i zaprosił ich gestem do środka, a następnie poprowadził przez wybrukowany kamieniami dziedziniec. Nowo przybyli zatrzymali się jednak, kiedy dotarli do studni. Jon wyciągnął wiadro krystalicznej zimnej wody, które wypili do dna.

W drzwiach budynku klasztorowego powitała ich krępa, brodata postać ubrana całkowicie na czarno. Był to opat, arcybiskup Paulos

Kalamaras, który zwrócił się do nich z osobliwie uroczystymi słowami:

- Nasz dom jest waszym domem, przyjaciele, nasze jadło i napoje są waszymi. Nasz wikt jest skromny, lecz mam nadzieję, że uznacie go za zdrowy.

- Dziękuję, umiłowany przez Boga - odparł Jennings, mając nadzieję, że angielskie tłumaczenie greckiego zwrotu, używanego w rozmowie z opatem, okaże się wystarczające. - Jesteśmy zaszczytzeni taką gościnnością.

- Żałuję, szanowni przyjaciele, że brat Alexandros jest nieobecny i nie może powitać was osobiście. Był bardzo zmęczony i udał się do swojej celi. Może uznacie to za dziwne, ale rozległa wiedza sprawiła, że stał się... jak to mówicie... odrobinę ekscentryczny. Czy tak?

- To nie ma znaczenia - zapewnił Jennings. - Jesteśmy wdzięczni, że zechciał nas powitać osobiście sam opat.

Po prostym posiłku z odrobiną wina palmowego opat oprowadził ich po klasztorze, wskazując rozmaite mozaiki i ikony w Kaplicy Płonącego Krzewu i bibliotekę, w której Tischendorf znalazł *Sinaiticus*. Potem zaprowadził ich do oddzielnych klasztornych cel i życzył dobrej nocy.

- Czy ktoś wie, gdzie tu dają zimne piwo? - szepnęła Shannon do Jona.

- Ho, ho, ho! Początkiem wszystkiego jest umartwienie ciała.

- Zamknij się, Jon!

- W tym świętym miejscu musimy także wystrzegać się słów zbyt gwałtownych, panno Jennings. Bądź grzeczną dziewczynką.

Na pożegnanie pocałował ją cnotliwie w policzek. Zachichotała i szturchnęła go w żebra.

„Ky-rie elei-son... Chris-te elei-son... Ky-rie elei-son.” O świcie następnego dnia obudził ich błagalny śpiew do Boga i Chrystusa o miłosierdzie. Mnisi uczestniczyli już w jutrzni i wspaniałe melodie obrządku prawosławnego niosły się po całym klasztorze. Jon poczuł się rozdarty między podziwem dla wielowiekowej liturgii a troską o to, co stanie się z tą liturgią - z wszystkimi liturgiami - jeśli ostatecznie papirus okaże się autentyczny.

Po prostym śniadaniu złożonym z herbaty, czarnego chleba i miodu podszedł do nich archimandryta Alexandros, wysoki, chudy asceta, ubrany, jak wszyscy tutejsi mnisi, od stóp do głów w czerni.

Gęste włosy na głowie i równie gęsta falista broda były srebrzyste i tylko przetykane pasemkami czerni, i takie same były krzaczaste brwi.

- Witam was w imię naszego Pana - powiedział, kłaniając się gościom. Mówił głębokim dźwięcznym basem, który mógłby być głosem samego Pana. - Ojciec Montaigne twierdzi, że moje skromne umiejętności mogą być użyteczne przy ocenie papirusu, który znalazłście. Zapraszam do mojego gabinetu.

Poprowadził ich do celi, której wszystkie cztery ściany zajęte były od podłogi do sufitu przez półki pełne książek. Po wymianie uprzejmości Jon poprosił go, żeby zechciał spojrzeć na kilka zdań, które opierały się dotychczas wysiłkom tłumaczy. Podając odpowiednie próbki, poprosił także, by Alexandros określił ramy czasowe w przypadku listu i postscriptum Nikodema.

Alexandros przyglądał się jakiś czas fotografiom, a potem powiedział:

- Z przyjemnością odpowiem najpierw na drugie z tych pytań. Próbki te zostały napisane każda inną ręką, ale oba teksty powstały najwcześniej w czasach Heroda, najpóźniej... powiedzmy... przed rzymskim podbojem.

- Około 70 roku po Chrystusie? - spytał Jennings.

- Bez wątpienia. - Przez chwilę wpatrywał się w skupieniu w zdjęcie. - Tak... to nie podlega dyskusji. Pierwsze próbki pochodzą z palestyńskiej krainy wzgórz... jak to się mówi... wiejska odmiana aramejskiego?

- Wiejski dialekt?

- No właśnie. Wiejski dialekt.

Jon, Jennings i Shannon wymienili znaczące spojrzenia.

- A druga próbka pochodzi, jak myślę, z Judei, prawdopodobnie z obszaru jerozolimskiego.

- Czcigodny archimandryto, czy wie brat, jak przetłumaczyć te zdania? - spytał Jon, wskazując nie przetłumaczone dotąd miejsca.

- Dlaczego nie chcecie pokazać mi całego dokumentu?

- Pokażemy... niebawem.

- No cóż... - Przyjrzał się zdaniom, które Jon zakreślił czerwonym flamastrem. - Zdanie to brzmi: „Rabbi Jeszua, którego pochowaliśmy w moim grobowcu... dwadzieścia siedem lat temu... hmmm... za czasów, za rządów Poncjusza Piłata”. Aramejskie słowo to zniekształcone greckie hegemonia. Czy to jasne? Tak?... Przejdźmy więc do drugiego problemu... „Następnego ranka pojechaliśmy... pojechaliśmy wozem do Rama, gdzie złożyliśmy... znowu złożyliśmy do

ziemi rabiego... w sarkofagu, który zbudowałem dla siebie”... Czy to brzmi dla was sensownie?

- Jak najbardziej - odparł Jon. - I muszę bratu pogratulować niezwykłej biegłości w aramejskim.

- Nic takiego... Teraz ostatni problem. Zobaczmy. To będzie tak: „Nie zdobyliśmy się na to, by... zabić przez utopienie te same...” jak to będzie po angielsku?... te same korki... te same... unoszące się w wodzie... rybacy przymocowują je do sieci...

- Pławiki? - podsunęła Shannon.

- Tak... „te same pławiki, które unicestwiły wasz... ból”.

- No tak. Mamy teraz pełny tekst. - Ciągłe był oszołomiony tym, że Alexandros, istna żywa kopalina, czyta aramejski dialekt prawie jakby był to „New York Times”. Montaigne i sam Jon to przy nim dyletanci. - Muszę raz jeszcze wyrazić moje zdumienie wspaniałą biegłością w aramejszczyźnie, bracie Alexandrosie!

- To nic takiego. Uczylem się starej aramejszczyzny w pewnych syryjskich wioskach... Kiedy jednak będę mógł zobaczyć cały dokument?

- Teraz. - Jon podał mu najnowsze zdjęcia papiirusu. - Musi się jednak brat przygotować na wstrząs, na straszliwy wstrząs.

Mnich obrzucił Jona dziwnym spojrzeniem i przystąpił do lektury. Było prawie oszałamiające to, że kiedy doszedł do krytycznego miejsca, na jego twarzy nie widać było żadnej zmiany, tylko oczy zwięzły się nieco. Przeczytał cały dokument, potem jeszcze raz, poruszając bezgłośnie wargami, gdy tłumaczył tekst na ojczystą grekę. Wreszcie skończył i podniósł wzrok.

- Gdzie to znaleźliście? - spytał.

Jon opowiedział przebieg wykopalisk i wymienił artefakty, które znaleźli w pieczarze. Przez cały czas oczy Alexandrosa zwięzły się coraz bardziej. Potem raz jeszcze przeczytał powoli cały tekst. W celi panowała grobowa cisza. Wreszcie mnich wstał i zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, zatopiony w myślach, jakby nie pamiętający o ich obecności. Raz jeszcze przystanął i poświęcił kolejny kwadrans na studiowanie zdjęć przez lupę, szczególnie skupiając się na powiększeniach.

Znowu zaczął krążyć po celi, gładząc się po brodzie.

Nagle stanął i oznajmił:

- Będę dalej się nad tym zastanawiał. Czy zechcecie spotkać się ze mną po południowym posiłku?

- Oczywiście.

Jednak po lunchu Alexandros oznajmił, że musi mieć więcej czasu.

- Muszę spojrzeć na inne stare teksty aramejskie, żeby... żeby porównać krój pisma.

Kiedy wychodzili, Shannon pochyliła się i szepnęła Jonowi:

- Ma głos jak cierpiący na zapalenie gardła hipopotam, który płucze gardło na dnie jaskini.

- W każdym razie trudno to nazwać chłopięcym sopranem - zgodził się Jon.

Jennings i Jon spędzili popołudnie na zwiedzaniu klasztornej biblioteki. Uznali zgodnie, że najpierw muszą zaskarbić sobie zaufanie gospodarzy tego miejsca, a dopiero nazajutrz poprosić o umożliwienie choćby zerknięcia na nowo odkryte fragmenty *Codex Sinaiticus*. Jon zastanawiał się, czy mogą one mieć jakiś związek z problemem *Codex Vaticanus*. Shannon poszła wspinać się na jedno ze wzgórz u stóp góry Synaj.

Tuż przed kolacją opat zechciał zaprowadzić ich do zamkniętych części monasteru, których zwykle nie pokazywano zwiedzającym, jak kuchnie, cele przeznaczone na miejsce odosobnienia dla krnąbrnych mnichów i kostnica. Kostnica mieściła się na tyłach zabudowań. Kości zmarłych przed wiekami mnichów tworzyły jeden stos, ich czaszki drugi - zbliżony kształtem do piramidy. Wszystkie te szczątki ludzkie czekały na wielki dzień zmartwychwstania.

Jon i Jennings spojrzeli natychmiast jeden na drugiego, wyrażając oczyma to, co nie zostało ujęte w słowa. „Czy niweczmy w tym momencie nadzieję, której wyrazem jest ta kostnica, a w gruncie rzeczy cały monaster?”

Kiedy szli do jadalni, Jon szepnął:

- Wszystkie te uśmiecnięte czaszki, Austin... wydawało się, patrzą na nas pustymi oczodołami... jakby wiedziały, o co idzie gra... jakby błagały: „Nie zabierajcie nam zmartwychwstania!”

- „Naszej jednej jedynej nadziei!” Tak, Jonathanie. Ja też słyszałem ten głos. Dobry Boże! W tym miejscu Wielkanoc nie jest teoretycznym szczegółem.

Po kolacji Alexandros zaprosił ich do swojej pracowni. Kiedy usiedli, złożył dłonie czubkami wysmukłych palców, spojrzął na nich ciemnobrązowymi oczami, które lśniły niemal złowrogo, i oznajmił:

- Wasz papirus jest nieprawdziwy. Został... wymyślony... jak się mówi... sfalszowany. Jest fałszywy.

Zamilkł.

Jon, który czuł oszołomienie, kiedy kolejne dowody potwierdzały autentyczność znaleziska, poczuł prawie takie samo oszołomienie, słysząc oświadczenie Alexandrosa.

- Co... co doprowadziło brata do tego wniosku? - spytał.

Alexandros zacisnął pięści i walnął nimi w stół.

- Ponieważ Pan powstał z martwych! - wrzasnął. - W jaki sposób Jego kości mogłyby znaleźć się w grobowcu? W jaki, pytam! - Wargi mu drżały, ręce trzęsły się, w oczach miał łzy. Wstał i wykrzyknął: - W takim razie papirus albo został sfalszowany w naszych czasach, albo w starożytności, albo jest podstępem diabła!

Unosił ramiona, jakby przemawiał do wielotysięcznej rzeszy, nie zaś do trzech osób.

Shannon i dwaj mężczyźni byli zbyt wstrząśnięci, żeby cokolwiek powiedzieć. Jon wpatrywał się w podłogę, żeby uniknąć wzroku wzburzonego mnicha. Jednak po jakimś czasie Alexandros opanował się.

- Przepraszam na chwilę - powiedział.

Poszedł do przyległej celi, która była jego sypialnią, i ochlapał twarz zimną wodą, by odzyskać umiar i panowanie nad sobą.

Wrócił do pracowni i oznajmił:

- Proszę o wybaczenie, przyjaciele. Ten papirus... był dla mnie strasznym wstrząsem.

- Dla nas też, bracie Alexandrosie - zapewnił Jennings.

- Muszę jednak powtórzyć pytanie - nalegał Jon. - Jak brat odkrył, że chodzi o fałszerstwo?

- Po pierwsze, sposób trzymania pióra przy pisaniu. Pokażę wam, kiedy zobaczę oryginał. Gdzie go przechowujecie?

- W laboratorium Muzeum Rockefellera.

- Tak, oczywiście. - Alexandros usiadł i pogładził swoją długą brodę. - Aha... czy moglibyście... wystawić mi upoważnienie, żebym mógł obejrzeć papirus, kiedy zjawię się w Jerozolimie?

- Tak... chętnie przyślemy takie upoważnienie - powiedział Jennings. - Zgadzasz się, Jonathanie?

- Zgadzam się. Oczywiście.

- Jest pewien kłopot, szanowni przyjaciele. Wybieram się do Jerozolimy już wkrótce i jeśli to możliwe, wolałbym od razu uzyskać

wasze pisemne zezwolenie. Oczywiście zadzwonię do was, gdy tylko dotrę do muzeum.

Jon otworzył teczkę, wyjął arkusz papieru listowego z nagłówkiem i podał Jenningsowi, który napisał upoważnienie. Jon je kontrasygnował i podał Alexandrosowi, który podziękował.

- Kto poza waszą trójką wie o papirusie? - zapytał. - Ojciec Montaigne?

- Tak. Ale staraliśmy się zachować w miarę możliwości tajemnicę.

- Racja. To z pewnością konieczne. A fotografie, negatywy? Gdzie je przechowujecie?

- W naszej kwaterze w Ramallah.

- Doskonale, doskonale. Ale teraz, przyjaciele, sądzę, że powinniście jak najwcześniej iść spać, ponieważ chciałbym wynagrodzić wam... jak to mówicie?... moje niezbyt wytworne zachowanie. Czy widzieliście już wschód słońca ze szczytu góry Synaj?

- Nigdy nie wszedłem na szczyt - powiedział Jennings. - Shannon też nie. A ty, Jon?

- Nie.

- Chciałbym w takim razie być waszym przewodnikiem podczas wspinaczki na świętą górę. To... to wspaniałe przeżycie duchowe. Czy zgodzicie się?

- Z radością! - wykrzyknęła Shannon.

Mężczyźni wyrazili swą zgodę uśmiechem.

- Musimy jednak wstać bardzo wcześnie. Potem będzie za gorąco.

- Świetnie.

- Furtian zapuka do drzwi o drugiej. Ruszamy pół godziny później.

Zaczęli wspinaczkę przy blasku gwiazd. Rozpalony piec, jakim była pustynia w ciągu dnia, wystygł i znaleźli się w zaczarowanym królestwie, którym władał wonny wietrzyk, a które zdołał szeroki, śnieżnobiały łuk Mlecznej Drogi.

- O Boże! Jakie to majestatyczne... przejmujące! - westchnęła Shannon.

- Na pustyni nie ma zanieczyszczenia środowiska - wyjaśnił jej ojciec - ani przyćmiewających gwiazdy światła miejskich.

- „Niebiosą głoszą chwałę Boga - zadudnił basem idący jako pierwszy Alexandros - dzieło rąk Jego nieboskłon obwieszcza.” Dokładnie tak, jak powiada psalmista!

- Ten głos przyprawia mnie o dreszcz - szepnęła Jonowi Shannon.
- Nasz mnich mógłby śpiewać partię Borysa Godunowa.
- Mnie bardziej kojarzy się z Rasputinem.

Ścieżka prowadząca po różowej granitowej skale była doskonale widoczna w blasku gwiazd. Z początku była bardzo wygodna, ale po blisko trzech godzinach wspinaczki stała się bardziej stroma i trudniejsza. Wysoka sylwetka przewodnika posuwała się w milczeniu i wytrwale do przodu. Kilka razy Jon musiał prosić go, żeby przystanął, gdyż Jennings zostawał w tyle i tracił oddech. Alexandros zatrzymywał się niechętnie i szybko ruszał dalej. Robił trochę wrażenie opętanego.

Już zaczęli zastanawiać się, czy warto było przyjmować tę „nagrode” od Alexandrosa, kiedy brzask wybuchnął nagle nad górskimi szczytami, przepaściami i dolinami, wydobywając z mroku panoramę, której majestat zapierał dech w piersi. Dwadzieścia minut później dotarli do maleńkiej kapliczki na samym szczycie - dokładnie w momencie, kiedy purpurowozłote żółtko słońca wytoczyło się ponad wschodni horyzont.

- Oto dzieło ręki Bożej - powiedział Alexandros, zamasyżując wskazując cały krąg horyzontu. - Być może Mojżesz właśnie tą ścieżką wspiął się tutaj, by otrzymać Dziesięcioro Przykazań. A może skorzystał z bardziej stromej, od południa. Pozwólcie, że ją pokażę. Chodźcie tu na drugą stronę kaplicy.

Alexandros zaprowadził ich na skraj przepaści i wskazał w dół. Kiedy wychylili się ostrożnie poza krawędź, by spojrzeć na liczące kilkaset stóp urwisko południowej ściany góry Synaj, mnich przesunął się za ich plecy. Nagle ogarnął Jenningsa i Jona ramionami i pchnął ich prosto w przepaść.

Shannon zaczęła krzyczeć. Teraz ruszył w jej stronę. Jednak dziewczyna odepchnęła go i popędziła w dół ścieżką, którą dopiero co przyszli. Alexandros natychmiast zebrał w jedną ręką kłępującą ruchy suknię i pobiegł, drugą ręką opierając się o skały, zeskakując z występów skalnych, żeby ściąć zakręty.

Shannon wybiegła w pewnym momencie z ostrego zakrętu i zobaczyła, że drogę zagrażdza jej wysoka sylwetka. Krzyknęła i ruszyła z powrotem pod górę. Prawie dotarła już do szczytu, kiedy mocarna dłoń zamknęła się na jej prawym ramieniu, zmuszając do zatrzymania się.

Zaczęła wzywać pomocy, ale nikt nie mógł jej tutaj usłyszeć,

obróciła się więc, by podjąć walkę. Nie miała jednak najmniejszych szans. Mnich roześmiał się szyderczo z gradu jej ciosów, chwycił ją w tali i zaczął ciągnąć w stronę przepaści. Krzyczała, rzucała się, kopała, próbując wyzwolić się z uchwytu, ale on po prostu unieruchomił ją, zamykając jej lewy nadgarstek w żelaznym uścisku, i wciągnął ją na ostatnie kamienie przed krawędzią urwiska. Nagle Shannon zapałała się obiema nogami o skraj skały i z całej siły wymierzyła mu prawą pięścią cios w genitalia.

Alexandros jęknął przeraźliwie, wypuścił ją i obiema rękami chwycił się za podbrzusze, zginając się wpół z bólu. Shannon złapała w obie ręce wielki kamień i z całej siły uderzyła go nim w głowę, potem jeszcze i jeszcze, aż zwałił się na ziemię jak kupa czarnych szmat.

Podbiegła do przepaści.

Jej ojciec przewinął się przez krawędź i zaczął zsuwać się po prawie pionowym zboczu, ale na szczęście jego szeroko rozrzucone nogi zaczepiły o sterczącą skałę i nagle zatrzymał się. Natomiast Jon przemknął obok niego, sunąc plecami i pośladkami po stromiznie i wymachując rękami w rozpaczliwej próbie chwycenia za jakiś występ. Na nic jednak nie natrafiły.

Zsuwał się coraz szybciej. Przez głowę przemykały mu rozpaczliwe myśli. Więc tak kończy się życie? Tak samo jak życie Andrei - na górskim zboczu? Inna część mózgu krzyczała: zatrzymaj się, bo po tobie!

„Przynajmniej muszę podjąć walkę o życie!” Spojrzał w dół i dostrzegł jedną jedyną szansę: wąski, pionowy żleb wyścielony piaskiem i żwirem. Ale to zagłębienie w stoku znajdowało się tuż na prawo od linii spadania Jona. Zaczął kopać i zapierać się piętą lewej nogi, dzięki czemu zdołał skrócić nieco w prawo. Chwilę później poczuł pod sobą piasek i z całej siły zagłębił weń łokcie i pięty. Odczuwał gwałtowne bolesne pieczenie, ale zsuwał się teraz wolniej.

Jednak nie zatrzymał się, zwolnił tylko pęd. Tracił już nadzieję na ratunek, kiedy jego stopa natrafiła w końcu na mały występ i wyhamował gwałtownie. Przy tych manewrach obrócił się na brzuch i zdarł skórę z kolan.

„Dzięki Ci, Boże!” - szepnął. Uświadomił sobie, że to jego pierwsza modlitwa od wielu miesięcy. Sprawdził, czy ma na miejscu drżące, podrapane, zakrwawione kończyny. „I dzięki Klubowi Wysoko-

górkowski z Harvardu!” W latach studenckich nauczone go tam tego desperackiego manewru.

- Jon! Żyjesz? - usłyszał głos Shannon krzyczącej ze szczytu.
- Wszystko w porządku - odkrzyknął drobnej ubranej na biało postaci wysoko nad nim. - Co z mnichem?
- Jest nieprzytomny albo nie żyje!
- Świetnie, Shannon! A ojciec?
- Zaklinował się w skałach powyżej ciebie. Zdaje się, że nic mu nie jest!
- Jakoś to pewnie przeżyję - krzyknął Jennings, zwracając się w stronę Jona. - Ale mój tyłek nigdy już nie będzie taki jak przedtem. I nie mam bladego pojęcia, jak się wydostanę z tego cholernego miejsca!
- Shannon! - zawołał Jon. - Musisz jak najszybciej zbiec do klasztoru. Jeśli ten brodaty maniak jeszcze żyje, może dojść do siebie. Powiedz opatowi, żeby przysłał pomoc... Ludzie z linami. Pospiesz się!
- Dobrze! Trzymajcie się obaj! Wrócę najwcześniej jak to możliwe.

Zaczął się długi wyczekiwanie. Minie kilka godzin, zanim dotrze tu pomoc - uświadomił sobie Jon. Przeżyli, ale co z mnichem? Popęłnił błąd! Winien był spytać Shannon, czy tamten jeszcze od-dycha. A jeżeli ten łotr odzyska przytomność i zacznie bombardować ich głazami?

- Austin! Słyszysz mnie? - zakrzyknął.
- Tak!
- Jeśli ten szaleniec żyje, może nas ukamienować. Czy możesz się jakoś zabezpieczyć?
- No... właściwie nie. To miejsce nie jest zbyt bezpieczne.
- Okay, trzymaj się z całej siły! Zaraz coś wymyślę. Ale dlaczego on to zrobił?
- Bóg jeden wie! Pewnie chodziło mu o papirus.
- Masz niezwykłą córkę, Austin! Wiedziałaś?
- Nie mam pojęcia, jak tego dokonała!

Jon spróbował ocenić sytuację. Spojrzał w stronę szczytu. Był zbyt odległy, żeby osiągnąć go bez pomocy bardzo długiej liny zrzuconej z góry. Czy mnisi przyniosą wystarczająco dużo lin? Potem spojrzął w dół. Wyglądało beznadziejnie: pionowe, przyprawiające o zawrót

głowy urwisko usiane morderczymi występami skalnymi, przerwane tylko... Nie do wiary! Dlaczego nie zauważył tego wcześniej? W poprzek zbrocza biegła wąska ścieżka. Pewnie to ta południowa droga Mojżesza, którą chciał im „pokazać” stuknięty mnich.

Jak do niej dotrzeć? Przyjrzał się zbroczu. Jest! Może tędy. Najpierw międzystanową autostradą numer 75 na południe do Atlanty, potem na wschód autostradą 20 do Columbii, a wreszcie znowu na południe wprost do Ziemi Obiecanej. Wisielczy humor świadczy o zdrowych zmysłach - powiedział sobie, dziękując Bogu, że nigdy nie cierpiał na lęk wysokości, gdyż inaczej umierałby już dziesięciokroć ze strachu. Autostrada 75 okazała się długą rysą w zbroczu, w której można było zaklinować podłużne kamienie leżące na skalnej półce, gdzie się znalazł. Posłużą mu jako alpejskie haki, a leżący u jego stóp odłamek skalny będzie młotkiem. Trawers na wschód drogą 20 doprowadził do następnej półki. Potem już tylko na południe kolejnym żlebem wypełnionym żwirem.

Powolutku obniżał się i wszystko szło całkiem nieźle, dopóki nie znalazł się na końcowej łasze żwiru, który okazał się zbyt płytki, by można się było na nim utrzymać. Znowu zaczął się osuwać, chociaż był teraz obrócony twarzą do zbrocza i hamował zarówno czubkami stóp, jak i dwoma płaskimi kamieniami, którymi rozpaczliwie orał podłoże. W końcu jednak runął boleśnie prosto na ścieżkę.

Był ocalony! Mógł teraz bezpiecznie zejść na dół. Ale nic z tego, musi wspiąć się na górę, by chronić Jenningsa. Diabeł przebrany w czarny strój człowieka Bożego może wrócić do życia i rozłupać Jenningsowi czaszkę. Ścieżka wiodąca południowym zbroczem była bardziej stroma, ale i szybsza dla kogoś, komu nie brakowało kondycji, a po kilku tygodniach pracy przy wykopaliskach Jon był w dobrej formie. Nie zważając na pokaleczone ręce i nogi, w pięćdziesiąt minut dotarł do szczytu.

Kiedy się tam znalazł, serce waliło mu jak młot, w płucach czuł ogień. Rozglądał się na wszystkie strony, ale nie zobaczył nigdzie Alexandrosa. Pospieszył na skraj przepaści. Na szczęście Jennings nadal był na swoim miejscu. Dosiadł występu skalnego, jakby był to łagodny osiołek.

- Wszystko w porządku, Austin? - zawołał.
- Dzięki Bogu, tak! Jak się tam dostałeś?
- Gdzie Iwan Groźny?
- Nie mam pojęcia.

Jon raz jeszcze rozejrzał się po szczycie, ale i teraz niczego nie zauważył. Nagle usłyszał jakiś chrapliwy głos dochodzący z wnętrza kamiennej kapliczki. Wbiegł do środka i zobaczył Alexandrosa, który klęczał i kiwał głową pogrążony w jakiejś bolesnej modlitwie. Po twarzy i brodzie spływały mu łzy. Spojrzał przelotnie na Jona i zaraz wrócił do rozmowy z Panem. *Pater heymarton eis ton ouranon kai enopion sou*. Jon rozpoznał słowa syna marnotrawnego z Ewangelii Łukasza: „Ojczy, zgrzeszyłem przeciw Bogu i względem ciebie, już nie jestem godzien nazywać się twoim synem”.

Podczas wspinaczki na górę Jon ślubował sobie, że zemści się na łotrze, który próbował ich zamordować, kiedy jednak zobaczył przed sobą załamanego człowieka, zaniechał wszelkiej myśli o zemście.

- Dlaczego, Alexandrosie? - wykrzyknął. - Dlaczego chciałeś nas zabić?

- Modłę się do Boga, żeby pański kolega uszedł z życiem.

- Jest zdrow i cały, ale dlaczego...

- Byłem narzędziem w rękę szatana. Chciałem was zabić, upoźrować straszny wypadek i mając w rękę wasze upoważnienie, udać się do Jerozolimy, żeby obejrzeć papirus i podrzeć go na strzępy. Ten dokument może zniszczyć Kościół! Musiałem ratować wiarę... ratować naszego Pana... Jego zmartwychwstanie.

- Twierdziłeś jednak, że to fałszerstwo. Powiedziałeś, że udowodnisz to, kiedy zobaczysz oryginał.

Alexandros ukrył twarz w dłoniach i załkał bezradnie.

- Kłamałem. Niczego nie znalazłem... niczego, co podważałoby autentyczność. - Podniósł wzrok na Jona i wykrzyknął: - Ale musi być fałszywy! Musi! Nasz Pan żyje! Po zniszczeniu papirusu włożył bym gablotkę na miejsce, jakby papirus nadal był pod szkłem, i pojechałbym do Rama, żeby zniszczyć także zdjęcia. Nawet gdybym ich nie znalazł, nie mogłyby już być... jak to się mówi... poparte... potwierdzone.

Jon uznał, że nie warto mówić mu o Bramptonie i Cromwellu ani o tym, jak beznadziejny był cały ten plan.

- Jednak zabicie trzech osób? Z zimną krwią?

- Tak. Byłoby trzech męczenników, ale wiara milionów zostałaby ocalona. Dla mnie ten rachunek... się zgadzał. Był to jednak straszny... straszny grzech, za który muszę...

Nagle do kaplicy weszła Shannon, a za nią opat.

- Jon! Chwała Bogu! Nic ci nie jest?

- Nic, musimy jednak wyciągnąć z tarapatów twojego ojca.

Opat Kalamaras i tuzin młodych mnichów pobiegli na skraj przepaści i opuścili Jenningsowi pasy. Jennings z pewnym trudem założył uprzęż i został powoli wciągnięty w bezpieczne miejsce. Ucisnął córkę i Jona, ale zaraz potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa i musiał usiąść. Jeden z mnichów nalał do szklanki lodowaty sok pomarańczowy z termosu. Inny zajął się opatrywaniem ran Jona.

Opat zasypał Alexandrosa gradem pytań po grecku, a ten z oczami pełnymi łez odpowiadał mu w tym samym języku. Pozostali mnisi stanęli wokół nich kręgiem. Wyglądali jak trybunał. Na ich twarzach malowała się zgroza.

W końcu opat podszedł do trójki i przeproszał ich słowami pełnymi pokory, z jaką Jon nigdy się nie spotkał.

- Czy chcecie złożyć meldunek na policji w Abu Zenima? - spytał na koniec.

Jon spojrzął na Jenningsa, który potrząsnął przecząco głową.

- Nie. To niepotrzebne. Wasz brat potrzebuje wsparcia, wielkiego wsparcia i z pewnością wy najlepiej nadajecie się do tego, by mu go udzielić.

- Niestety, talent doprowadził go do szaleństwa - powiedział opat.

- Jako archimandryta był przełożonym tego klasztoru, ale przyszedł moment, że musiałem go zastąpić... O jakim strasznym dokumencie mówił? O czymś, co może doprowadzić do ruiny całe chrześcijaństwo?

- Alexandros... hmm... brat zareagował zbyt mocno - odparł Jon.

- Bardzo, bardzo dużo pracy przed nami, zanim pojawi się jakiegokolwiek zagrożenie. Do tego czasu najlepiej będzie, jeśli wszyscy zachowamy tę sprawę w tajemnicy.

- Rozumiem. Jesteśmy wam wdzięczni za to, żeście wybaczyli tę straszną rzecz, która się wydarzyła. Naprawdę kroczyście drogą Chrystusa.

Upał był teraz trudny do zniesienia i wszyscy w milczeniu ruszyli w dół zbocza. Tuż po lunchu, kiedy mieli wyjechać, odszukał Jona Alexandros, by prosić o wybaczenie.

- Módl się za mnie - powiedział drżącym głosem. - Módl się też za ocalenie wiary!

Jechali przez jałowe pustkowia. Wszyscy troje byli zbyt jeszcze oszołomieni tym spotkaniem oko w oko ze śmiercią, by mieć ochotę

na pogawędki. Shannon zastanawiała się, czy nie powinni jednak wnieść skargi.

- Ten szaleniiec byłby nas zabił! Do końca życia powinien siedzieć w zamknięciu!

- Ostatnią rzeczą, jakiej powinniśmy pragnąć, byłoby ściągnięcie sobie na kark policji - odparł Jon. - Alexandros wykorzystałby na swoją obronę sprawę papirusu i cały świat dowiedziałby się o wszystkim. Myślę, że bracia postarają się, żeby nie rozrabiał. Zresztą być może będziemy jeszcze potrzebowali w związku z papirusem jego trapionego gorączką umysłu.

Siedzący z tyłu Jennings sięgnął nagle po hebrajską Biblię i odszukał 19. rozdział Księgi Wyjścia.

- Posłuchajcie, co Mojżesz powiedział ludowi o Synaju. „Strzeżcie się wstępować na górę i dotykać jej podnóża, gdyż kto by się dotykał góry, będzie ukarany śmiercią.”

- Zdaje się, że ten zakaz nadal obowiązuje - skomentowała to Shannon. - Pomyślcie, co się nam przytrafiło. Albo prawie przytrafiło.

- Ten diabelski papirus! - mruknął Jon. - Zaczyna decydować o naszym życiu. Niektórzy z jego powodu są gotowi zabijać! - Poruszył się na fotelu, by przybrać wygodniejszą pozycję i zmniejszyć ból z otarć i skaleczeń. - Ale teraz, Shannon, powiedzże, jak sobie poradziłaś z tym szalonym mnichem?

XIV

Tydzień po wyprawie na Synaj Claude Montaigne spotkał się z nimi w Muzeum Rockefellera. Dzięki uzupełnieniom dokonanych przez Alexandrosa mogli z Jonem przygotować ostateczną wersję tłumaczenia. Kiedy przyszli, siedział nad oświetlonym mocnym światłem papirusem.

- Coś nie w porządku, ojczy Montaigne? - spytał Jon.
- Nie. Ale nie mogę się pozbyć wewnętrznego przekonania, że... że nie jest to autentyk.
- Mówi ojciec jako uczonec czy jako człowiek wierzący?
- Staram się tego nie rozdzielać.
- To nie w porządku. Przepraszam! Zajmijmy się teraz fragmentami przetłumaczonymi przez Alexandrosa. To z pewnością geniusz, aczkolwiek geniusz, który ma nie po kolei w głowie.
- Nie po kolei w głowie? Co ma pan na myśli?
- To długa opowieść. I jaka! Ale najpierw skończmy z tym tłumaczeniem. Potem wszystko ojcu opowiem.

Przez następną godzinę cała czwórka pracowała. Shannon pisała co jej dyktowano, a Jennings, który najwyraźniej był chodzącym *Oxford English Dictionary*, podawał najodpowiedniejsze angielskie synonimy. Autoryzowana w ten sposób wersja niewiele różniła się od pierwotnego przekładu, którego dokonał Jon, z tym, że teraz wszystkie idiomy były oddane prawidłowo.

Po zakończeniu pracy poszli zjeść lunch w hotelu Seven Arches na Górze Oliwnej, skąd rozciągał się widok na Jerozolimę. Sącząc czer-

wone wino z Karmelu i jedząc sałatę, Montaigne poprosił o relację z wyprawy na górę Synaj. Jon zaczął opowiadać ze szczegółami nieprawdopodobną historię.

O dziwo, Montaigne nie był zbyt zaskoczony morderczymi zapędami Alexandrosa.

- Boję się, że więcej podobnych aktów przemocy ujrzemy, kiedy świat dowie się o papirusie - ostrzegł. - To, z czym spotkaliście się dotychczas, *mes amis*, to tylko wierzchołek góry lodowej. Czy zastanawialiście się naprawdę nad wszystkimi... konsekwencjami waszego odkrycia? Oczywiście niechrześcijanie przyjmą to obojętnie. A nawet wśród chrześcijan wielu liberalnych teologów, krytyków i mędrków niezbyt się przejmie, jeśli dokument okaże się autentyczny. Ale ta grupa, choć taka wpływowa, to mniej niż jeden, dwa procent chrześcijan. Większość, i to ogromna, wiernych nie ma wątpliwości, że Jezus materialnie... fizycznie... powstał z martwych, a wasze odkrycie wywoła straszliwy kryzys wiary w całym świecie chrześcijańskim.

- Jesteśmy w pełni tego świadomi - oświadczył Jon. - Cięży to nam na sercu, odkąd odczytaliśmy dokument.

- Jestem tego pewny. Ale przewiduję znacznie więcej aktów rozpacz, przypadków zawalenia się autorytetów religijnych i być może politycznych, samobójstw...

- Czy nie przedwcześnie? - zaprotestował Jennings. - Musimy przeprowadzić jeszcze wiele testów.

- Tak, tak, wiem. Ale to fałszerstwo jest tak zręczne, że kolejne testy mogą nie ujawnić mistyfikacji, a wtedy...

- Proszę ojca, lepiej nie używać takich słów jak fałszerstwo czy mistyfikacja, dopóki...

- Ależ tak, ależ tak. Jestem jednak pewny, że są w tym przypadku właściwe. Albo będą właściwe! Niczego nie jestem bardziej pewny! Tak więc, aby uniknąć zadania straszliwej rany całemu chrześcijaństwu, muszę... muszę z całym szacunkiem błagać was, byście zniszczyli papirus, wszystkie fotografie, negatywy, także *titulus*, a następnie zakopali szczątki w sarkofagu, w którym je znaleźliście. Zapieczętujcie pieczęczę i skończcie prace wykopaliskowe na innych stanowiskach.

Jennings, Jon i Shannon ze zdumieniem spojrzeli po sobie.

Montaigne nalegał:

- A przynajmniej zniszczcie papirus. Jeśli musicie zapisać na swoje konto wielkie odkrycie, niech świat myśli, że znaleźliście szczątki Józefa z Arymatei.

Jon poczuł, że ogarnia go gniew.

- Czuję się urażony sugestią, że musimy zapisać na swoje konto wielkie odkrycie. My po prostu...

- Wybaczcie, *mes amis*. To było z mojej strony... niegodne.

- Montaigne spuścił wzrok. - Po prostu czuję ogromny ból, kiedy widzę, że nasza wiara jest narażona na takie niebezpieczeństwo. Pytam raz jeszcze. Czy rozważycie możliwość zniszczenia papirusu? Myślę, że i *titulusa*, gdyż on także może skłonić do spekulowania na temat tego, czyje szczątki zostały znalezione.

Shannon spojrzała na ojca, a potem na Jona. Jon spojrział na Jenningsa.

- To jest jakieś wyjście, Jonathanie - powiedział ten ostatni. - To jest jakieś wyjście. Oszczędzilibyśmy światu ogromnej udręki...

Jon ledwie wierzył własnym uszom. Czy ten człowiek jest naprawdę archeologiem i uczonym?

- Cała ta rozmowa jest przedwczesna! - Skandował sylaby, a na słowo „przedwczesna” położył taki nacisk, że goście od sąsiednich stolików obrócili się w ich stronę. - Nie podejmiemy żadnej tego rodzaju decyzji, dopóki nie przeprowadzimy wszystkich badań!

- Przemawia przez pana prawdziwy uczonec - powiedział Montaigne. - Ale mamy do czynienia z niezwykłą, nieporównywalną z niczym sytuacją, która wymaga niezwykłych środków. Proszę, niech pan zastanowi się nad zniszczeniem papirusu!

Jon potrząsnął tylko głową.

Montaigne zamilkł na chwilę, bo kelner przyniósł właśnie główne danie.

- W takim razie - podjął, kiedy kelner się oddalił - gotów jestem...

- zawahał się - gotów jestem w imieniu instytucji, którą reprezentuję, zaproponować wam sumę pięciu milionów dolarów za oddanie mi papirusu. Niczego tej instytucji nie ujawniłem poza tym, że pewien dokument mógłby podważyć wiarę chrześcijańską, jeśli nie zostanie zniszczony.

Jon otworzył szeroko usta. Potrząsnął głową, jakby chciał obudzić się ze złego snu.

- Nie mówi ojciec tego poważnie. Proszę powiedzieć, że to tylko żart...

- To nie jest żart. Mówię z całą powagą.

- Uważam tę propozycję za wyjątkowo niesmaczną. Jakąż to instytucję ojciec reprezentuje? Jezuitów? Nie, to nie pasuje do ich dzisiejszego stylu.

- Towarzystwo Jezusowe nie ma z tym nic wspólnego. Proszę jednak potraktować moją ofertę z całą powagą. Naprawdę otrzymacie pięć milionów dolarów.

Jenningsowi rozszerzyły się oczy. Shannon przyglądała się Montaigne'owi z niedowierzaniem. Tym razem Jon odpowiedział za wszystkich, nawet nie próbując porozumieć się wzrokiem z Jenningsem.

- Nie! Ani za pięć milionów, ani za żadną inną sumę, którą ktoś spróbowałby nas przekupić.

- Czuję się urażony słowem „przekupić”. Chodzi po prostu o gest wdzięczności ze strony wspomnianej instytucji, która chce oszczędzić wiernym cierpienie z powodu tego fałszywego dokumentu!

- Co to za instytucja? Powtarzam pytanie.

- Nie... nie mam prawa tego ujawnić.

- My zaś nie mamy prawa „sprzedać” naszego odkrycia - uciał Jon.

- Podniosę ofertę do dziesięciu milionów dolarów. Dziesięć milionów! Czy wyobrażacie sobie, jakie to zabezpieczenie następnych ekspedycji archeologicznych?

- Nie mogę uwierzyć, że uczony światowej sławy może poniżyć się do takich targów. Nie mogę po prostu uwierzyć, że prowadzimy taką rozmowę.

- Ani ja, *mon ami!* Ale, jak już powiedziałem, stoimy przed problemem, przed jakim nikt jeszcze nie stał w dziejach ludzkości, i musimy znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

- Czy na pewno nie może powiedzieć ojciec, o jaką instytucję chodzi? - spytał Jennings. - Czy nie moglibyśmy przyrzec, że zachowamy informację dla siebie? W przeciwnym razie oferta nie jest wiarygodna.

Montaigne zastanawiał się przez chwilę. Potem podniósł wzrok.

- Czy dacie słowo, że zachowacie to dla siebie?

- Ma ojciec nasze słowo - zapewnił Jennings.

- Chodzi o pewne bardzo zamożne osoby z prowincji hiszpańskiej, osoby, które działają w tym przypadku z własnej inicjatywy.

- Tak! - zabrał głos Jon. - Teraz brzmi to wiarygodnie! Mimo to jestem przeciwny wszelkiemu handlowi. Kategorycznie przeciwny.

Zapadło milczenie, gdyż kelner przystąpił do sprzątanego stołu po głównym daniu. Dziwna rozmowa toczyła się dalej przy kawie.

Montaigne złożył dłonie jak do modlitwy i powiedział stanowczym głosem:

- Musicie już iść, przyjaciele, ja zresztą też. Ale przedtem przedstawię ostatnią już ofertę, do jakiej jestem upoważniony. Potem nigdy

już nie zabiorę w tej sprawie głosu. Jeśli okaże się to konieczne, będę nawet zaprzeczał, że taka rozmowa miała kiedykolwiek miejsce. Jestem upoważniony do zaproponowania wam... piętnastu milionów dolarów do podziału według dowolnego klucza, jeśli zgodzicie się oddać papirus, *titulus* oraz wszystkie związane z tą sprawą fotografie i negatywy. Zanim odpowiecie, pozwolę sobie przypomnieć, jak bardzo ta suma wsparłaby nie tylko pańskie badania archeologiczne, profesorze Jennings, ale także pański Instytut Początków Chrześcijaństwa, profesorze Weber. Czy Jennings rozszerzyły się jeszcze bardziej.

- Powiedział ojciec: piętnaście milionów dolarów? - wykrzyknął.
- To znaczy dziewięć albo dziesięć milionów funtów?
- Bezwzględnie! Co do centa!

Ręce Jenningsa drżały, kiedy siorbał kawę i patrzył niepewnym wzrokiem to na Shannon, to na Jona.

O Boże, czyżby się wahał? - pomyślał Jon.

Shannon kilka razy ugryzła się w język, żeby nie wtrącić swoich trzech groszy do groteskowej rozmowy, ale dłużej nie była w stanie wytrzymać.

- Dla mnie brzmi to surrealistycznie - oznajmiła. - Co z tego, że sprzedamy te przedmioty za piętnaście milionów dolarów? Co po wstrzymaniu nas przed ogłoszeniem prawdy o całej sprawie? Albo przed ukryciem jednego, dwóch negatywów, żeby wesprzeć nimi naszą opowieść?

Montaigne uśmiechnął się tylko, bo z góry przewidywał taką możliwość.

- Z pewnością mogę polegać na pani uczciwości, *ma chere mademoiselle*. Ale poza tym wiem, że nigdy nikomu nie powie pani ani słówka o tej transakcji.

- A to dlaczego?

- Gdyż oznaczałoby to zniszczenie waszej reputacji jako uczonych i archeologów. W naszym zawodzie nikt niczego nie sprzedaje, nie ukrywa ani nie rozporządza żadnym znaleziskiem, zwłaszcza tak ważnym jak to.

- Tak, to oczywiście racja - przyznał Jennings. - A zatem, moi drodzy, czy zgodzimy się na tę transakcję i będziemy wygodnie żyć aż do śmierci? Czy też zatrzymamy papirus i rozpętałyśmy pandemium, ściągając na własne głowy fanatyczną nienawiść, groźbę fizycznej przemocy, łącznie z wystawieniem naszego życia na niebezpieczeństwo? A jeśli myślicie, że przesadzam, pomyślcie o sprawie

Salmana Rushdiego i reakcji muzułmanów po ukazaniu się Szatańskich wersetów. Jon zacisnął pięści.

- Ładnie powiedziane, Austin. Zabrzmiało to dla mnie jak decyzja sprzedania.

- Och, niezupełnie, drogi chłopcze. Po prostu cała ta sprawa działa mi trochę na nerwy. Wisieć nad przepaścią na górze Synaj to nie to samo, co sączyć dżin ze schweppesem na Wimbledonie! Nie, pokażmy, że jesteśmy demokratami. Jest nas troje, więc wynik nie rozstrzygnięty możemy wykluczyć. Jak głosujesz, Shannon?

- Nie, Austin. - wtrącił się Jon. - To twoje wykopaliska. Do ciebie należy decyzja.

- Nie, zrobimy tak jak powiedziałem. Shannon?

Shannon spojrzała na ojca, potem na Jona i powiedziała wymawiając z wahaniem słowa:

- Nigdy już... nigdy nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze, gdybyśmy sprzedali. Wszystko mi jedno, ile dają. Moja odpowiedź brzmi: nie.

Jon uśmiechnął się, sięgnął przez stół i uściśnął jej rękę.

- Ja też głosuję przeciwko sprzedaży - oznajmił szybko Jennings - wygląda więc na to, że nie udało ci się, Jon, jeśli chciałeś sprzedać papirus.

Zmrużył oczy, kiedy Jon roześmiał się z wyraźną ulgą.

- Myślę, że jest moim obowiązkiem ostrzec was - odezwał się posepnie Montaigne - że nie chcę, by moje nazwisko było w jakikolwiek sposób kojarzone z tą sprawą. Nie chcę, by wspomniano o mojej roli w transakcji, o konsultacjach czy w jakiś...

- Dziękujemy za dotychczasową pomoc, ojczu Montaigne - wybuchnął Jon. - Oczywiście uszanujemy to pragnienie. A teraz proszę wziąć sobie te piętnaście milionów dolarów i wetknąć je... nie, właściwie lepiej wykorzystać je tutaj. - Wskazał na dolinę Hinnom. - Kupując następne pole garncarza, obok judaszowego!

Następnego dnia Jon posłał Montaigne'owi list, w którym przeproszał za to, że wypadł z roli beznamytnego uczonego. Tamten wprawdzie zachował się wcale nie lepiej, ale w końcu bardzo pomógł przy tłumaczeniu. Montaigne odpowiedział równie uprzejmie i przyznał, że czuje się upokorzony tym, iż zgodził się na rolę pośrednika w tej sprawie. „Mam jednak wrażenie, że papirus odmienił całkowicie nas wszystkich” - napisał.

Jon musiał to przyznać. Potrzebują wytchnienia, żeby doprowadzić do porządku nerwy. Był już koniec sierpnia i studenci opuszczali powoli wykopaliska, wracając na swoje uczelnie. Jon chciał pojechać z Jenningsem i Shannon do Galilei, ale Jennings wycofał się w ostatniej chwili.

- Chcę wybrać się na rekonesans ewentualnego następnego stanowiska koło Qumran, a potrzebny mi jest do tego Clive, który wkrótce wraca do Anglii - wyjaśnił. - Nie zmieniajcie jednak planów z mojego powodu.

- Pojedziesz, Shannon? - spytał Jon.

Pomyślała chwilę.

- Czemu nie? To może być ciekawe.

I było. Galilea okazała się z pewnością najbardziej malowniczą częścią Izraela, miejscem najmniej zniszczonym przez mijający czas i charakterystyczny dla Judei rozwój urbanizacji. Jon i Shannon jechali szosą wzdłuż wybrzeża, przez przełęcz Megiddo, wokół góry Tabor, a w końcu dotarli na pierwszy nocleg do Tyberiady nad Morzem Galilejskim.

Mieli zarezerwowane miejsce w hotelu Plaza nad samym morzem. Po obejrzeniu sąsiadujących ze sobą pokoiów usiedli do kolacji przy świecach w sali restauracyjnej, której okna wychodziły na Morze Galilejskie. To niewyobrażalnie romantyczne miejsce, ale nie dla mnie i Shannon - pomyślał Jon - nie dla tej pary, którą łączy tylko pragnienie ucieczki przed trapiącym ją sekretem. Był to z pewnością najśłynniejszy zbiornik wodny na świecie, jezioro, po którego wodzie chodził Jezus, na którym uciszył burzę i spowodował cudowny połów ryb. Nie opodał nakarmił pięćdziesiąt tysięcy i wygłosił Kazanie na Górze. Ale to wszystko, dokładnie wszystko będzie w groteskowy sposób podważone, jeśli okaże się, że ich papirus jest autentyczny.

- Shannon - powiedział Jon, patrząc na jezioro - czy naprawdę mamy prawo niszczyć ludziom wiarę? Trudno mi znieść ciężar tej odpowiedzialności.

- Mnie też. Na razie tropienie prawdy była to zwykła gra. I może tak jest jeszcze teraz. Kiedy jednak jedno słówko przedostanie się do wiadomości ogółu, koniec zabawy, koniec spokoju, koniec rządów zdrowego rozsądku!

- I koniec naukowej systematyczności. Tak, przedwczesny przeciek to najgorszy scenariusz, jaki można sobie wyobrazić.

- Jon, czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, że Montaigne ma być może rację? Nie mam na myśli pieniędzy, ale motywy, które nim kierowały: nie ranić ludzi.

Jon zacisnął zęby.

- Tak, myślałem. Więcej niż może się zdawać.

Nagle Shannon zachichotała.

- Czy nie byłoby ironią losu, gdybyśmy postanowili ocalić chrześcijaństwo i zniszczyć papirus teraz, kiedy piętnaście milionów przeszło nam koło nosa?

- Przynajmniej mogliśmy spojrzeć sobie w oczy... mam nadzieję. - Jon roześmiał się. - Nie zrobiliśmy tego z powodu pieniędzy, ale dla zasady.

W tym momencie poczuł znowu, jak bardzo zachwyca go zmienność nastrojów malujących się na twarzy piękniejszej niż kiedykolwiek kobiety, która patrzyła na niego ponad płomykami świec. Bawiła się kosmykiem połyskujących włosów, które opadały obfitymi falami na jej ramiona. Kiedy mówiła, koraloworóżowe wargi tańczyły kusząco przed dwoma rzędami nieskazitelnie białych zębów, rozchylając się od czasu do czasu w uśmiechu, który całkowicie go zniewalał. Iskierki z jej roześmianych oczu rozniecały płomień jego serca. Bawił się nóżką kieliszka z winem, starając się ze wszystkich sił skupić na głównym wątku ich rozmowy.

- Kto wie? - powiedział. - Może dalsze testy ujawnią jakieś nowe fakty...

- Czy naprawdę masz taką nadzieję? Powiedz mi, co naprawdę myślisz?

Przyniesiono przekąskę między daniami, więc na szczęście mógł zwlec z odpowiedzią.

- Porozmawiajmy, Shannon, o czymś radośniejszym. Na przykład o tobie. Powiedz mi o sobie.

- To świetne. Tak po prostu?... No dobrze. Urodziłam się jako małeńkie niemowlę. Czy tak się zaczyna?

Potem opowiedziała mu o śmierci matki i pierwszych wspomnieniach z Oksfordu.

- Powiedz coś o niej, Shannon... o twojej matce.

- Niewiele o niej wiem. Byłam małym dzieckiem, kiedy umarła. Była niezwykle piękna. Widać to na fotografiach. Umarła szybko, na jakąś odmianę zapalenia płuc, i to na długo załamało ojca. Ona była katoliczką, on protestantem. Irlandzka zieleń kontra kolor pomarań-

czowy. Dla nich nie miało to chyba wielkiego znaczenia, bo kochali się bardzo mocno.

- Jesteś podobna do matki?
- Tata mówi, że tak.

Jej matka musiała więc być kobietą niezwyklej urody - pomyślał Jon.

- A jak układało się twoje życie przy ojcu? Czy po śmierci matki staliście się sobie jeszcze bliżsi, czy też?...

- Och, z początku byłam za mała, żeby zdawać sobie z tego sprawę. Moje najwcześniejsze wspomnienia związane są z panną Heatherstone, moją nianką. Chyba próbowała matkować nam obojgu. Ojciec był zawsze bardzo roztargniony, kiedy więc wychodził, mówiła mu, co ma na siebie włożyć. Pewnego razu urządziliśmy sobie piknik nad Tamizą. Kiedy mieliśmy wracać, okazało się, że tatuś zapomniał o zapakowaniu koca i resztek jedzenia. Tak, myślę, że mnie rozpieszczał. Starał się na swój sposób zastąpić mi matkę. Po raz pierwszy poczułam się sierotą, kiedy posłał mnie do szkoły dla dziewcząt. To było dno!

- No tak - roześmiał się Jon. - Ale słyszałem, że angielskie internaty przy szkołach dla chłopców są jeszcze gorsze.

- Nienawidziłam regulaminów, drobiazgowych przepisów, mundurków... Nie uwierzyłybyś, jakie miałyśmy kapelusze! Niektóre dziewczęta wyśmiewały się ze mnie, bo nie miałam matki. Dzieci potrafią być okrutne.

- Czy ojciec dużo mówił o matce?

- Tylko kiedy pytałam. Oczy zachodziły mu wtedy łzami, zagryzał wargi i zacinał się. Potrafi być bardzo podatny na wzruszenia, wiedziałeś o tym?

Jon skinął głową.

- A kiedy wyrosłaś na kilkunastoletnią dziewczynę?

- Jakoś przeżyłam zielone lata. Kochana panna Heatherstone umarła w moje osiemnaste urodziny i po niej przez nasz dom przewiła się cały orszak gospodyń. Ale wtedy byłam już - jakże by inaczej? - studentką Oksfordu i tata zabierał mnie na wykopaliska. Im byłam starsza, tym lepiej między nami się układało.

To zrozumiałe - pomyślał Jon. Kończył jeść rybę zwaną tu rybą świętego Piotra i starał się przez cały czas uniknąć podniesienia wzroku na swoją współbiesiadniczkę. Shannon w świetle świec rozpaliała jego serce. Kochał ją. Pragnął krzyknąć na całe gardło, że ją

uwielbia. Chciał, żeby słyszeli to wszyscy w restauracji. Świadomość, że ta piękna kobieta nigdy nie będzie jego, była nie do zniesienia.

Co mógł zrobić? Oświadczyć po prostu, że ją kocha, i patrzeć na jej zdumienie - albo co gorsza rozbawienie - a potem przeprosić, iż o tym wspomniał, by na resztę tych wakacji znaleźć się w sytuacji zakochanego, którego odrzucono? Nie, nie może sobie na to pozwolić. Trzeba ochłonąć.

- Och... nie masz ochoty na deser, prawda? - spytał.

- Nie. Skąd wiedziałeś?

- Ponieważ czułaś się zbyt ocieźłała, kiedy pójdziemy popływać przy świetle księżycy. Chodźmy się przebrać. Kto będzie pierwszy na plaży? Ostatni będzie potwornym brodatym mnichem!

- Masz w takim razie przewagę! - roześmiała się.

Shannon była pierwsza. Stała w wodzie po kostki, ubrana w kostium bikini, który lśnił biało-niebiesko w świetle księżycy.

- No i co, Rasputinie? Przegrałeś! - zadrwiła. - Dlaczego rozglądasz się dokoła?

- Patrzę, czy nie ma tu gdzieś izraelskiej policji. Mogliby cię aresztować za nadmierne odślanianie ciała.

- Więc to tak!

Machnęła nogą, opryskując go od stóp do głów. Roześmiała się i pobiegła na głębszą wodę. Jon ruszył za nią, ale ona szybkim kraulem wypłynęła już daleko. Jon popłynął za nią, ale nie był w stanie jej dogonić.

To się zgadza - powiedział sobie w duchu. - Upragniona kobieta, najwspanialsze na świecie miejsce, a ja jestem całkowicie bezradny.

Bliski pełni księżyc unosił się nad wzgórzami Golan, które zamykały jezioro od wschodu. Połyskujące satynowo światło wyznaczało platynową ścieżkę ku Tyberiadzie. Wonny, południowy wietrzyk od doliny Jordanu leciutko marszczył prawie gorącą po sierpniowym dniu wodę. Jak mocno Jon pokochał tę cudowną kobietę, która w tej chwili płynęła gdzieś w oddali przez jezioro! Ona nigdy nie dowie się, jak mocno. Stał na piaszczystej mieliźnie i nagle poczuł, że coś podcięło mu nogi. Upadł do tyłu w wodę. Tuż obok niego wyłoniła się ociekająca głowa irlandzkiego elfa.

Parsknął wodą, roześmiał się i przyjacielsko objął jej ramiona.

- Nie wiedziałem, Shannon, że jesteś syreną. Wygląda na to, że

we wszystkim jesteś najlepsza, nawet w radzeniu sobie z brodatymi mnichami.

Wybuchnęła śmiechem i w tym momencie zobaczyła jego nieprzytomne, tęskne spojrzenie.

- Hej! O co chodzi? Skąd ta powaga?

- Och, myślałem po prostu o tym, jak nieprawdopodobnie szczęśliwy musi być Gideon.

- Gideon i Gideon! Nic tylko Gideon! A my?

- My?

- Tak, my! Czy muszę wszystko ci mówić, Jonathanie Weber? Czy nie mógłbyś wziąć mnie na chwilę w ramiona? Czy to dla ciebie takie trudne?

Zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i przytulił ją do siebie mocniej niż ktokolwiek i kiedykolwiek. Zaczął nieprzytomnie całować jej mokre policzki, uszy, kark, podbródek, aż wreszcie doszedł do ust. Był to najdłuższy i najbardziej namiętny pocałunek w jego życiu. Czuł, że ona też jest szczęśliwa. Uświadomił sobie, że cały drży.

- Shannon, Shannon, Shannon - szeptał, tuląc w ramionach jej drobne ciało. - Kocham cię od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. A potem było coraz gorzej, o wiele gorzej.

- Ja też cię kocham, Jon! Nie wiedziałam, że można kogoś kochać tak mocno! - Nagle rozweselona położyła mu głowę na piersi. - Dlaczego jednak potrzebowałeś tyle czasu, żeby... żeby to wyrazić?

- Nie wiem. Po prostu myślałem, że to niemożliwe... Izraelski Urząd Starożytności, różnica wieku i właściwie wszystko. No, a poza tym jestem wbrew pozorom bardzo nieśmiałym chłopcem.

- Mmmmm! - mruknęła tylko, bo znowu zaczął całować ją z całą siłą swojego uczucia. - To bez znaczenia - powiedziała po chwili. - Jestem szczęśliwa, że wreszcie wszystko się wyjaśniło.

Przyciągnął ją znowu do siebie, jakby przestraszony, że może umknąć nagle z jego życia, że wszystko może zniknąć jak sen.

- Moja najdroższa Shannon! Moja niezwykła Shannon! Przez wszystkie te tygodnie byłaś dla mnie tajemnym źródłem radości, chociaż myślałem, że na zawsze pozostaniesz dla mnie nieosiągalna. Nie miałem pojęcia, że ty też...

- Przecież raz czy dwa dałam ci do zrozumienia...

- Chyba zbyt bałem się odrzucenia, żeby to dostrzec. Okazało się, że jestem nie tylko ślepcem, ale i tchórzem!

- Na górze Synaj nie robiłeś wrażenia tchórze.
- Tamtego dnia to ty, najdroższa, byłaś bohaterką. Przedtem już wyniosłem cię na piedestał, ale po tym wszystkim sięgałaś głową stratosfery. To było niewiarygodne! Musisz mi opowiedzieć raz jeszcze, co zrobiłaś z tym szalonym mnichem.

Shannon roześmiała się.

- Chcesz, żebym ci pokazała?
- Lepiej nie! Gdzie się tego nauczyłaś?
- Zawsze miałam słabość do lana Fleminga. Przecież tak właśnie postąpiłyby partnerki Jamesa Bonda.

Jon wybuchnął śmiechem. Ruszyli w stronę plaży. Łagodny południowy wietrzyk delikatnie zdmuchiwał z nich wszelki chłód, kiedy przez wiele godzin spacerowali objęci, z sercami przepelnionymi nowym uczuciem radości. Najpierw opowiadali sobie, co każde z nich czuło do drugiego w rozmaitych momentach od czasu przyjazdu Jona do Izraela. Nie ulegało wątpliwości, że pierwszy zakochał się Jon. Jej uczucia komplikował Gideon. Przyznała jednak, że już bardzo dawno Jon wyparł z jej serca Izraelczyka i że daremnie czekała, żeby okazał jakąś inicjatywę. Zresztą nie mogła ujawniać zbyt wyraźnie swoich uczuć, bała się bowiem, że nadal jest beznadziejnie przywiązany do wspomnienia Andrei. Przyznał, że nigdy nie przestanie kochać Andrei, ale w niczym nie zmienia to jego uczuć do niej.

- Dlaczego zawsze musimy się maskować? - zastanawiał się na głos Jon. - Dlaczego ludzie ukrywają swoje uczucia, nie chcą ich wyrazić? Tylko pomyśl, ile mnie to kosztowało! Dwa miesiące twojej miłości to strata nie do nadrobienia.

Zatrzymała się, zarzuciła mu ramiona na szyję i szepnęła:

- Spróbujemy, najdroższy, nadrobić ten czas... - I pocałowała go tak żarliwie, że uleciały daleko wszelkie myśli o czasie i przestrzeni.

Było już dobrze po północy, kiedy wrócili do hotelu. Jon rozpaczliwie pragnął spędzić z nią noc, ale mogła przecież poczuć się urażona taką propozycją, nie mówiąc już nawet o konsekwencjach moralnych. Nie zrobi więc niczego, dosłownie niczego, co mogłoby zniszczyć jego marzenie.

Gdy zatrzymali się przed drzwiami jej pokoju, pogłaskał jej obnażone ramiona i rzekł:

- Dobranoc, najukochańsza. Jestem w tej chwili najszczęśliwszym

mężczyzną na ziemi. Wiem, że są to słowa bardzo banalne, ale innych nie potrafię znaleźć.

- Czuję dokładnie to samo, Jon. Dziękuję... dziękuję, że zjawiłeś się w moim życiu.

Pocałowała go z czułością, weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

Odwagi, Jon - powiedział sobie. - Masz przed sobą całe życie z tą cudowną kobietą, jeśli tylko, oby Bóg na to pozwolił, zechce za ciebie wyjść.

Rozebrał się i położył do łóżka. Ponieważ klimatyzacja działała nie najlepiej, leżał nago na pościeli i raz jeszcze przeżywał każdy moment najwspanialszego wieczoru w swoim życiu. Nie mógł zasnąć, całe jego jestestwo zogniskowało się na najcudowniejszym Bożym dziele stworzenia, na Shannon Jennings. „Dziękuję Ci, Boże. Dziękuję!” - szepnął. Były to najszczerze słowa modlitwy, jakie wypowiedział w ciągu całego życia.

To, co zaczęło się jako krótkie wakacje, odrobinę niefortunne, bo zabrakło jednego z uczestników wyprawy, nagle zmieniło się w najwspanialszą romantyczną przygodę. Życie każdego z tych dwojga odmieniło się na zawsze. Zwykłe śniadanie stało się potwierdzeniem w blasku dnia ich przemożnego uczucia. Nie zmienili zaplanowanej przedtem trasy, ale poza tym odmieniło się wszystko. Całe zażenowanie, wszelki dystans, jakie przedtem decydowały o kształcie stosunków między nimi, teraz znalazły się na dnie Morza Galilejskiego. Wiedzieli, że mogą być ze sobą całkowicie szczerzy.

Jak dzieci, które wybrały się ze szkołą na swój pierwszy piknik, jechali szosą wzdłuż zachodniego brzegu Morza Galilejskiego przez Kafarnaum i w stronę Cezarei Filipowej, gdzie Piotr po raz pierwszy wyznał, że Jezus jest Synem Bożym. Jon i Shannon skakali z kamienia na kamień między jaskiniami i grotami niby młode kozice, przekomarzając się, ścigając, przymilając do siebie, dotykając się, obejmując, całując. Tutaj ze zbocza góry wyływało z bulgotem główne źródło Jordanu, woda przejrzysta i zimna, najlepsze miejsce, żeby ochłodzić się pod kaskadą.

Wspięli się na wzgórze Golan, popatrzyli w stronę Syrii, a potem rozbili obóz w Ein Gev, nad wschodnim brzegiem jeziora. Wynajdowali coraz nowe powody, żeby cieszyć się sobą, wyjawiać swoje

myśli, przeżywać cudowne doznania, pokrzepiające wzruszenia. Czy powinni zadzwonić do Jenningsa i powiedzieć mu o swoim szczęściu? Uznali, że mają na to mnóstwo czasu.

- Jon, zabierz mnie na wycieczkę łodzią po Morzu Galilejskim
- powiedziała, kiedy znaleźli się z powrotem w Tyberiadzie.
- Możesz mi nie wierzyć, ale nigdy nie wypłynęłam tu w łodzi, a przecież od czasów szkółki niedzielnej ciągle słyszę o tym jeziorze.

- Załatwione! - obiecał.

Wynajęli żaglówkę i popłynęli w stronę środka jeziora.

- Jeśli ktoś przyjdzie do nas po wodzie, rób co ci każe - poradził Jon.

- Po prostu postaraj się, żeby nie złapała nas burza. Przyjacieli może nie przybyć na czas.

Kiedy znaleźli się na środku jeziora, zamiast w burzy zanurzyli się w ogromnej ciszy. Ustał wszelki wiatr. Żagle zwisły martwo.

- Myślę, że powinniśmy jakoś wykorzystać ten czas - oświadczył Jon. - Czy zgadzasz się, kochanie?

Znowu objęli się ramionami i padli na dno łodzi, pieszcząc się i całując z namietnością, która ich samych zdumiała. Czy można przeżyć coś piękniejszego? - myśleli.

Nagle coś zamąciło ciszę panującą dokoła. W ich stronę płynęła łódź pełna turystów, którzy śpiewali głosami pełnymi żarliwości: „Błogosławiony węzeł, który zespała nasze serca w chrześcijańskiej miłości”.

Jon wystawił głowę nad okrężnicę i zobaczył statek z ogromną banderą: „Jeszcze jedna załoga baptystów w Izraelu”. Pielgrzymi wykręcali szyje, żeby zobaczyć żaglówkę z prawej burty.

Przestraszony Jon chciał wstać, żeby ostrzec statek, ale jego kąpielówki zahaczyły o stengę i nagle poczuł, że jest goły. Pielgrzymi mogli wyciągnąć jeden tylko wniosek.

- Bracia i siostry - zagrzmiał przewodnik wycieczki - odwróćcie oczy od cielesnego występku! „Uciekaj zaś przed młodzieńczymi pożądaniami!”, powiada Biblia. Zaśpiewajmy hymn numer 374: „O miłości, która nie pozwoliła mi odejść”.

Jon, który zdążył już wciągnąć z powrotem kąpielówki, wybuchnął razem z Shannon głośnym śmiechem i nawet zgorszeni turyści zaczęli chichotać z niezręczności swojego przywódcy.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał kapitan statku, który przepływał właśnie wzdłuż burty żagłówki. - Pomyślałem, że może macie jakieś kłopoty.

- Nie, nie! Wszystko w porządku! - odchrząknął Jon.

Na szczęście statek popłynął w stronę Kafarnaum.

- To będzie znakomity fragment twojego dorobku życiowego - parsknęła śmiechem Shannon. - „Profesor Weber wypina się na pielgrzymów!”

Jon zawtórował jej śmiechem.

- Ten ich przywódca z ustami pełnymi cytatów z Biblii!... Ja też mogę przytoczyć pewien cytat. - Pochylił się i pocałował ją.

- Na przykład:

Jak piękna jest miłość twoja,
siostrze ma, oblubienico,
o ileż słodsza jest miłość twoja od wina,
a zapach olejków twych nad wszelkie balsamy!
Miodem najświeższym ociekają wargi twe, oblubienico...
Linia twych bioder jak kolia,
dzieło rąk mistrza.
Łono twe, czasza okrągła:
niechaj nie zabraknie w niej wina korzennego! (...)
Piersi twoje jak dwoje kozłąt,
bliźnięt gazeli. (...)
Postać twoja wysmukła jak palma,
a piersi twe jak grona winne.
Rzekłem: wespnę się na palmę,
pochwycę jej gałązki owocem brzemienne. (...)
Usta twoje jak wino wyborne,
które spływa mi po podniebieniu,
zwilżając wargi i zęby. (...)
Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja,
i nie ma w tobie skazy.

- Jakie to piękne, Jon. To Pieśń nad Pieśniami, prawda?

Skinął potakująco głową.

- Czasem też używa się nazwy Pieśń Salomona.

- Musimy od czasu do czasu czytać to razem.

- Jak codzienną modlitwę?

Raz jeszcze spojrzął na postać spoczywającą tak cudownie na dnie łodzi, uśmiechnął się, przepelnięny niezwykłym

szczęściem, i szepnął:

- Wstawaj, księżniczko. Musimy złapać wiatr i ruszać do brzegu.

Po raz ostatni zjedli kolację w hotelu, który odmienił ich życie, i zaczęli się pakować przed powrotem do Ramallah.

- Jak myślisz, gdzie powinni zawiesić spiżową tablicę? - spytała Shannon, kiedy ruszyli.

- Jaką tablicę?

- Z napisem: „Tutaj rozkwitła po raz pierwszy wielka miłość między Jonathanem Weberem a Shannon Jennings”. Na plaży czy w hotelu?

- Na trawniku przed frontem. Neon!

Skubnęła wargami płatek jego prawego ucha, a potem musnęła nimi jego policzki. Te czułości sprawiły, że zapomnieli o włączeniu samochodowego radia. Gdyby słuchali Kol Israel, BBC lub jakiegokolwiek innej stacji, ich wstrząs po powrocie do Ramallah byłby mniejszy.

Kiedy koło północy dojechali do hotelu, zobaczyli, że jest on otoczony przez połowę chyba izraelskiej obrony terytorialnej. Wejście oświetlono reflektorami, po całym terenie krążyli funkcjonariusze z walkie-talkie. Dokoła przepychał się rozwrzeszczany tłum, odpychany od wejścia przez izraelską policję.

- Co się tu, u licha, dzieje? - spytał Jon strażnika, który ich zatrzymał.

- Kto pyta? - odparł tamten.

- To jest Shannon Jennings. Jej ojciec kieruje pracami wykopaliskowymi w Rama. Ja jestem profesor Weber. Mieszkamy tu. - Wskazał na hotel.

- Och! Szukaliśmy was wszędzie! Proszę za mną.

Otworzył im przejazd. Podjechali pod hotel, wysiedli i weszli do środka. Zobaczyli bladego i spoconego Jenningsa, który chodził tam i z powrotem.

- Chwała Bogu! Wreszcie jesteś, Jon... Shannon - wychrypiał.

- Wiadomość w jakiś sposób przedostała się do opinii publicznej. Cały świat wie już o wszystkim!

Jon zacisnął zęby i pięści. Spojrzał na Shannon.

- Mamy więc najgorszy wariant scenariusza - syknął.

XV

Co tu się, u licha, dzieje, Austin? - wybuchnął Jon, nie próbując nawet pohamować wściekłości. - Gadaj!

- Idiotyczne zaniedbanie zasad bezpieczeństwa. Gideon oprowadzał swojego kuzyna po wykopaliskach i... powiedz mu sam, Gideonie.

Ben-Yaakov robił wrażenie człowieka przygnębionego i zbitego z tropu.

- Istna komedia... nie, tragedia błędów - wyznał. - Mój kuzyn, Schmuel Sanderson, pracuje jako wolny strzelec dla jerozolimskiego oddziału Associated Press. Jak wiesz, przez cały sierpień nic się nie działo, więc Schmuel, żeby zarobić parę groszy, pisał o rozmaitych wykopaliskach w Izraelu, a ponieważ wasze należą do najważniejszych, przywiozłem go do Rama. Najpierw pokazałem mu stanowiska wykopaliskowe, a potem zaprowadziłem do pracowni i laboratorium. Profesora Jenningsa i Clive'a Bramptona nie było, a reszta waszego personelu nie widziała nic złego w tym, że oprowadzę go po laboratorium. W pracowni fotograficznej zobaczyłem odbitki papieru. Pomyślałem, że popiszę się przed moim kuzynem znajomością aramejskiego i przetłumaczyłem pierwsze trzy lub cztery linijki. Kiedy zorientowałem się, że może to być coś... hmmm... delikatnego, natychmiast przestałem tłumaczyć i wyszliśmy z hotelu.

Schmuel ma oczywiście niesłychany węch dziennikarski. Kiedy wychodziliśmy, powiedział, że zostawił coś w środku i wrócił do hotelu. Ten drań zabrał zdjęcia. Zaniósł je na Uniwersytet Hebrajski.

Nie wszystko zdołali odczytać, ale dość, by Schmuel połapał się, że ma do czynienia z największym szlagierem w swoim dziennikarskim życiu. Ani myślał kontaktować się ze mną. Po prostu opublikował wszystko. Tak mi przykro, przyjaciele. Sam nie wiem, co mam powiedzieć...

- A co sobie, na moce Hadesu, myśli Dick Cromwell? Że może zostawić odblaski ot tak, na wierzchu? - wykrzyknął Jon. - Gdzie on jest?

- Dick musiał polecieć do USA. Zachorowała mu matka - wyjaśnił Clive. - Austin i ja oglądaliśmy jaskinie nad Morzem Martwym, kiedy to się stało. Nie pomyśleliśmy o tym, żeby ktoś wiedzący o co chodzi był przez cały czas na miejscu i zapłaciliśmy za to niedopatrzenie.

- No tak, ale po kolei. Co doszło do wiadomości publicznej?

Pokazali mu ogromne nagłówki w dostępnej tutaj prasie z całego świata. Przedstawiono tylko zarys całej historii, ale uwadze żadnej z gazet nie umknęły fakty najbardziej sensacyjne.

- Nie wiedzą, że papirus i szczątki są w Muzeum Rockefellera - powiedział Jennings. - Myślą, że tutaj. Stąd to obłędzenie.

- Powinniśmy być chyba zadowoleni z tego uśmiechu losu - skomentował to Jon. - Kto jest tu dowódcą, Gideonie?

- Pułkownik Chaim Nahshon.

- Czy potrafi dochować tajemnicy?

- To jeden z naszych najlepszych ludzi.

- Może powinien odkomenderować część ludzi do ochrony Rockefellera? Lepiej byłoby, żeby się nie pokazywali, ale byli gotowi zareagować, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Słusznie. Zaraz wracam.

Wyszedł.

Z megafonu, który miał ktoś w tłumie, rozległ się teraz dudniący głos:

- Uwaga! Profesorze Jennings i profesorze Weber! Rodney Cornwall z Reutera. Wiemy już to, co najważniejsze, wystarczy więc, że raz opowiecie o przebiegu prac. Czy zechcecie udzielić mi wywiadu?

Jon szybko zaproponował Jenningsowi strategię. Jennings skinął potakująco.

- Cornwall, niech pan wejdzie! - krzyknął Jon, wychyliwszy się przez okno.

W tym czasie wrócił Gideon Ben-Yaakov.

- Gdzie jest w Jerozolimie wystarczająco duża sala, żebyśmy mogli zwołać konferencję prasową? - spytał Jennings.

- Myślę, że najlepsza byłaby sala konferencyjna w Hotelu Dyplomatycznym.

- Wpuszczą nas?

- Jasne. Darmowa reklama!

- Zadzwonisz do nich?

- Dobrze.

Wszedł do środka Rodney Cornwall, niski, wąsaty Anglik, jeden z najwybitniejszych reporterów w ostatnim dziesięcioleciu.

- To bardzo miło, że zgodziliście się na wywiad - powiedział uśmiechając się.

- Nie zgodziliśmy się na żaden wywiad, panie Cornwall. Chcemy tylko, żeby przekazał pan pewną informację tłumowi na zewnątrz.

- Taak? - Uniósł brwi. - Jakąż to informację?

Gideon, stojący ze słuchawką telefoniczną przy uchu, uniósł kciuk i zapytał:

- Pojutrze? Po południu?

- Świetnie. - Jon obrócił się do Cornwalla i powiedział: - Chciałbym, żeby powiedział pan wszystkim dwie rzeczy. Po pierwsze, nie ma tu żadnych znalezisk ani szczątków, niech więc opuszczą to miejsce.

- Gdzie więc są, profesorze Weber?

- Bez komentarza. Po drugie, zwołamy konferencję prasową, na którą zapraszamy wszystkich przedstawicieli mediów. Jerozolima, centrum zjazdowe Hotelu Dyplomatycznego, pojutrze o piętnastej.

- Tylko tyle? Nic więcej nie ma pan mi do powiedzenia?

- Tylko tyle, panie Cornwall. Dobranoc.

Cornwall odwrócił się i wyszedł. Znowu rozległ się jego głos wzmocniony przez megafon.

- Nic nie wiecie! - wykrzyknął Jennings. - Okazuje się, że prasa też może być pożyteczna!

- Wygląda na to, że podziałało - powiedziała Shannon. - Tłum zaczyna się rozchodzić.

Przez następną godzinę przygotowywali plan działania. Zgodnie nalegali, żeby ich rzecznikiem został Jon, który wściekał się, że wiadomość o ich odkryciach przedostała się do opinii publicznej.

- Oznacza to dla nas straszliwe komplikacje! Co za cholerny, wścibski pies gończy! Gdybym mógł dopaść tego szpicla, skreśliłbym

mu... Ta konferencja! Może powiemy, żeby zamknęli się, dopóki nie skończymy?

- Nic z tego, Jon - rzekł Brampton. - Nie w tym przypadku!

- Chyba masz rację. Będą polować na nas do śmierci. - Jon podszedł do okna i wyjrzał na judejskie wzgórza. Był w takim nastroju, że chętnie powitałby cały chór szakali wyjących do księżyca. Obrócił się do zgromadzonych. - Proponuję, żebyśmy opowiedzieli wszystko jak najprościej i szczerze, bo inaczej wcześniej czy później zaczną nas oskarżać o zatajanie prawdy. Wskazałbym jednak... podkreśliłbym z całą mocą... że wszystkie informacje mają charakter wstępny, że nie wyciągamy na razie żadnych wniosków, że konieczne są dalsze liczne badania i tak dalej. Co myślicie? Godzicie się na takie postawienie sprawy czy nie?

Jennings westchnął.

- To naprawdę... jedyne, co możemy zrobić.

Gideon zaczął gotować się do wyjścia. Otoczył ramieniem Shannon i spytał:

- Czy zobaczymy się jutro wieczorem, moja mała?

Jon uchwycił te słowa i natychmiast zapomniał o całym świecie.

- Och!... Gideonie - odpowiedziała Shannon - mam ci coś do powiedzenia. Czy moglibyśmy... czy moglibyśmy się przejść?

Jon uśmiechnął się szeroko i znowu zaczął myśleć o sytuacji, w jakiej znalazła się ekspedycja.

Ośrodek zjazdowy w Hotelu Dyplomatycznym był zatłoczony tak, że trudno byłoby wetknąć szpilkę. Zajęte było pięćset miejsc siedzących i mnóstwo korespondentów prasy światowej stało pod ścianami. Stół na podwyższeniu był udekorowany lasem mikrofonów, zewsząd padało światło reflektorów, a na obrzeżach sali rozstawiono na trójnogach kamery telewizyjne. Reporterzy wszelkich ras i narodowości stali lub siedzieli wszędzie, gdzie tylko się dało, trzymając w gotowości notatniki. Osobne miejsca zarezerwowano dla hierarchów rozmaitych Kościołów. Był tam katolicki patriarcha Jerozolimy, byli także patriarchowie prawosławny, koptyjski, ormiański, abisyński i inni. Nie zabrakło wysłanników papieża, arcybiskupa Canterbury, Światowej Federacji Luteriańskiej i Światowej Rady Kościołów.

Idąc w stronę podium, Jon zauważył w tłumie znajomą twarz Kevina Sullivana. Podszedł i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Co cię tu sprowadza, stary druhu? - spytał z udawaną złośliwością.

- Nasz wspólny przyjaciel watykański przysłał mnie tu jako swojego wysłannika, Jon. Lepiej powiedz nam, o co w tym wszystkim chodzi!

- Nie bój się, Kevin, powiem. Musimy wypić po piwie, dobrze?
- Chyba nie po jednym! Do zobaczenia po wszystkim!

Kiedy Brampton, Jennings i Shannon usiedli przy nim za zielonym stołem, w sali zapanowała cisza jak makiem zasiał. O 15¹⁰ stanął nad baterią mikrofonów i powiedział:

- Witamy osoby duchowne, wysłanników Kościołów, witam wszystkich przedstawicieli środków masowego przekazu. Pozwolę sobie odczytać oświadczenie, a następnie będę odpowiadał na pytania. Najpierw jednak przedstawię moich kolegów: doktor Clive Brampton, zastępca kierownika ekspedycji wykopaliskowej w Rama, profesor Austin Balfour Jennings, nasz znakomity kierownik, panna Shannon Jennings, jego córka i nasz kronikarz. Ja nazywam się Jonathan Weber i jestem ich współpracownikiem.

- Przede wszystkim musimy oświadczyć, że ta konferencja została na nas wymuszona wskutek opublikowania bez upoważnienia i zdecydowanie przedwcześnie informacji o naszych odkryciach w Rama. Było to całkowicie bezpodstawne i doszło do takiej sytuacji tylko dlatego, że posłużono się w tej sprawie środkami nie mającymi nic wspólnego z etyką. Chcieliśmy zgodnie z wszelkimi kanonami nauk archeologicznych przeprowadzić wszechstronne badania naszych znalezisk, a dopiero potem poinformować o nich opinię publiczną. Część testów przeprowadziliśmy, ale daleko jeszcze do końca prac. Podkreślam więc z całą stanowczością, że nasze datowanie jest całkowicie wstępne i że nie wyciągnęliśmy żadnych wniosków co do znaczenia ustalonych wstępnie faktów, czyli w istocie rzeczy co do autentyczności znalezisk. Mam nadzieję, że rozumiecie państwo w pełni tę sytuację i że pytania, jakie później zadacie, będą tego poświadczeniem.

Jon zrelacjonował krótką historię wykopalisk i poinformował, jakie testy dotychczas przeprowadzono. Nie wspomniał o zamachu na ich życie na górze Synaj ani o roli Claude'a Montaigne'a.

Na zakończenie oświadczył:

- Ponieważ w prasie ukazała się niezbyt wierna, a miejscami za fałszowana wersja domniemanego listu Józefa z Arymatei, dostaniecie państwo kopie właściwego tłumaczenia, a także fotografie *titulusa*, dzbanka i papirusu. Jestem pewny, że ośrodki naukowe na całym

świecie pomogą nam przy ocenie autentyczności lub fałszywości, tych przedmiotów... A teraz gotowi jesteśmy odpowiedzieć na pytania.

Ponad pięćdziesiąt rąk wystrzeliło do góry. Jon starał się ustalić, kto się zgłasza.

- Hans Steinie, „Frankfurter Allgemein”. Dlaczego nie dostaniemy fotografii szkieletu, który odkryliście? I gdzie... gdzie znajdują się w tej chwili szczątki?

- Nie przewidujemy na razie publikowania fotografii ludzkich szczątków. Pomijając sprawę stosowności takiej publikacji, musimy oświadczyć, że niezbędne są dalsze badania. Muszą więc wam wystarczyć zdjęcia, które rozdaliśmy. Archeolodzy zwlekają przeważnie miesiącami, a nawet latami z publikacją zdjęć. My przedstawiamy fotografie tylko ze względu na ewentualne znaczenie tych znalezisk... Tak?

- Blandford Morgan, „Manchester Guardian”. Nie powiedział pan, gdzie znajdują się w tej chwili papirus i inne przedmioty.

- Nie, i to z rozmysłem... Tak?

- Louis Rambeaux, „Paris Match”. Testy węglem promieniotwórczym potwierdzają jak dotąd autentyczność znaleziska. Co przeszkadza uznać je za autentyczne?

- Zbyt wysoka jest stawka, żeby można było wyciągać pochopne wnioski.

- A gdyby pergamin i papirus nie były znaleziskami tak... sensacyjnymi, czy nie byłby pan przekonany już w tej chwili, że chodzi o odkrycie autentyczne?

- Prawdopodobnie tak. Jednak prowadzilibyśmy i tak dalsze testy i badania. Po namyśle proszę pana o wykreślenie słowa prawdopodobnie, gdyż może być ono źle zrozumiane. Proszę użyć zamiast tego „być może”.

- Arthur Blake, „New York Times”. Jakie dalsze testy planuje się przeprowadzić?

- Proszę profesora Jenningsa o udzielenie stosownych wyjaśnień.

Jennings podszedł do baterii mikrofonów i powiedział:

- Chodzi o termoluminescencję w przypadku ceramiki, dodatkowe testy węglem C-14, metalurgiczne badanie monety, analizę pyłków kwiatowych w pergaminie, papirusie i materiale. Być może zdecydujemy się także na analizę włókien kolagenowych. No i, oczywiście, ogólne spektroskopowe badanie wszystkich artefaktów oraz neutronowa analiza aktywacyjna, która służy określeniu pochodze-

nia. W miarę postępów badań być może ucieknijemy się do jeszcze innych testów.

- Helen Cronin, „Melbourne Daily News”. Założmy, że wyniki testów zmuszą was do potwierdzenia autentyczności znaleziska. Czy będzie to oznaczać koniec chrześcijaństwa jako żywego wyznania?

Szmer panujący w załoczonej sali zmienił się w ogólną wrzawę.

Jon poprosił o ciszę i odpowiedział:

- Nie lubię odpowiadać na takie pytania, i to z wielu przyczyn. Po pierwsze, najzwyczajniej w świecie nie mam czasu na snucie rozważań na tak ważny temat. Po drugie, jest to pytanie teologiczne, nie dotyczące bezpośrednio archeologii. Z czysto osobistego punktu widzenia mogę powiedzieć, że mam nadzieję, iż ani to, ani żadne inne odkrycie archeologiczne nie podważy nigdy wiary chrześcijańskiej... Tak?

- Dan Rather, CBS, wiadomości wieczorne. Postawmy sprawę jasno, profesorze Weber. Te odkrycia są albo autentyczne, albo nie. Jeśli nie, w jaki sposób papirus mógłby zostać sfałszowany? Czy mógłby tak ściśle pasować, jeśli chodzi o datowanie, gdyby był podrobiony? Jak można umieścić kości pochodzące z pierwszego wieku w grobowcu z pierwszego wieku?

- Nazywa się to „soleniem wykopalisk”, panie Rather. Sprawca umieszcza w odpowiednim miejscu albo zakopuje przedmioty, żeby kiedyś zostały odnalezione. Być może doktor Clive Brampton zechciałby dokonać przeglądu najslawniejszych archeologicznych fałszerstw, jakich dokonano w przeszłości.

Clive podszedł do mikrofonów i opisał kilka z wielkich fałszerstw, począwszy od znanego przykładu czaszki z Piltown w Anglii do kamienia runicznego, który odkryto w Minnesocie. Następnie przeszedł do sławnych fałszerstw dzieł sztuki, jak rzekomo starożytna scytyjska złota tiara Sajtafarnesa, na którą dali się nabrać Francuzi, a wykonana w XIX wieku w Odessie, albo podwójny dzban z Hacilar w Turcji uznany za autentyczny przez ekspertów z Oksfordu. Pochodził nie, jak twierdzono, z piątego wieku przed Chrystusem, ale z dwudziestego po Chrystusie! Na zakończenie Brampton przypominał o sławnych fałszywych tekstach, począwszy od „Donacji Konstantyna”, a skończywszy na „dzienniku Hitlera”.

Znowu wstał Rather.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego test węglem C-14 wykazał, że papirus jest dokumentem starożytnym. To znaczy, jeśli jest rzeczywiście sfałszowany.

Miejsce za mikrofonami zajął znowu Jon.

- Falszermógł wykorzystać nie zapisany początek albo koniec starożytnego zwoju.

- Skąd jednak znałby tak doskonale aramejski? A poza tym krój pisma jest bardzo przekonywujący.

- Nie potrafisz odpowiedzieć na to pytanie... Tak?

- Howard Go Whu, „Hong Kong Telegraph”. Czy wy, uczeni, zastanawialiście się, jak wszystkie te przedmioty mogły zostać podrobione? Wydaje się, panowie, że byłoby to przedsięwzięcie niewyobrażalnie skomplikowane. Kto mógłby się czegoś takiego podjąć? I po co?

- Przyznaję: jeśli mamy do czynienia z fałszerstwem, jest to najbardziej wyrafinowane fałszerstwo w historii.

- Jednak - nalegał Go Whu - może się okazać, że nie jest to wcale fałszerstwo. A im więcej dowiaduję się o waszym odkryciu, tym bardziej wydaje mi się autentyczne. I proszę mi wierzyć, to uczucie podziela wielu z obecnych na tej sali.

- Nie mam nic do powiedzenia, gdyż wyraża pan opinię, a nie zadaje pytania.

Znowu zapanowało poruszenie.

Jon jeszcze przez godzinę odpowiadał na pytania, a na zakończenie złożył jeszcze jedno oświadczenie:

- Muszę raz jeszcze apelować o powstrzymanie się przed jakimikolwiek spekulacjami na temat odkryć w Rama, ponieważ w tym momencie nie ma mowy o żadnych ostatecznych wnioskach. Proszę media o zachowanie powściągliwości i unikanie sensacji. Wydaje się, że powody tego rodzaju apelu są aż nadto oczywiste. W przeciwnym razie oddacie złą przysługę sprawie prawdy.

- Teraz chciałbym przedstawić paru innych członków naszej ekspedycji działającej w Rama. To Naomi Sharon, ceramiczka, Achmed Sa'ad, kierownik zespołu roboczego, i profesor Noel Nottingham, antropolog. Nikt z nich nie wiedział o odkryciu tabliczki i papiirusu aż do zeszłego tygodnia, kiedy dowiedział się o tym cały świat. Mają wszelkie powody, by czuć do nas urazę, gdyż nie dopuściliśmy ich do tajemnicy, ale zechcieli nam to wybaczyć, rozumieją bowiem doskonale, jak wyjątkowe są okoliczności.

Oklaski wywołały uśmiechy na twarzach wszystkich uczestników ekspedycji.

- Będziemy informować państwa o wynikach kolejnych testów. Na razie, panie i panowie, dziękujemy i życzymy miłego dnia.

Jon i Kevin Sullivan usiedli przy odosobnionym stoliku w barze hotelu Hilton, z lodowato zimnymi butelkami heineckena w rękach. Próbowali najpierw żartować, uśmiechać się, ale obaj zdawali sobie sprawę, czym dla świata są odkrycia dokonane w Rama.

- To wszystko usunęło oczywiście w cień nasz problem z zakończeniem u Marka w *Vaticanus*, prawda? - spytał Sullivan.

- Tak jest, przyjacielu!

- Zastanawiałem się, co może być ważniejszego niż ta potencjalna bomba, ale ty z pewnością mnie przebiłeś! I to jak!

- Czy to nie przerażające, że usunięte linijki tak doskonale pasują do znalezisk w Rama?

- Dokładnie to samo sobie pomyślałem.

- Obiecuję, Kevinie, że gdy tylko skończy się cały ten koszmar, zajmę się świętym Markiem.

- Doskonale. Przy okazji muszę powiedzieć, że konferencja prasowa była małym arcydziełem.

- Wcale nie. Wszystko to jest przedwczesne. Chętnie dałbym po pysku temu wścibskiemu reporterowi, którego AP trzyma w Jeruzolimie.

- Co się stało, to się nie odstanie, bez względu na to, czy to źle, czy dobrze. Zapewne źle. Musisz teraz przygotować się na potężną falę przyływu.

- Co masz na myśli, Kev?

- Wszystko, co było dotąd, to pestka, jak to się mówi. Dotychczas świat obiegła dziennikarska gadanina, jakieś niczym nie poparte plotki, jednym słowem sensacja prasowa. Masz tego pełno na co dzień w „National Enquirer” i innych ilustrowanych magazynach. Znasz to: „Kobieta przegryzła sama siebie na pół”, „Spałem z kosmitką” i „Ekspedycja znalazła ciało Jezusa”. Teraz jednak świat dysponuje autorytatywną informacją, która nadaje realność temu, co w pierwszej chwili wydawało się niemożliwe. Dopiero teraz wszystko nabierze rozmachu!

Jon zmarszczył brwi.

- Chyba masz całkowitą rację. Za dużo powiedziałem?

- Z początku byłem o tym przekonany. Ale po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że styl „uczciwy i szczerzy” jest być może najlepszy. Nikt nie może oskarżyć cię, że coś ukrywasz.

- Widzisz, staliśmy przed problemem. W obiegu było już marne tłumaczenie papirusu, musieliśmy więc je skorygować. Resztę wywęszyliby tak czy inaczej.

- Może masz rację. Lepiej jednak zamknij starannie wszystkie grodzie, marynarzu, bo zbliża się prawdziwy sztorm. Zapamiętaj sobie moje słowa.

- Jak myślisz, co się stanie?

- Możesz spodziewać się wszystkiego. Nie zapominaj, że w wielu mózgach wiara i fanatyzm sąsiadują ze sobą drzwi w drzwi. Ludzie dostają obłądę, kiedy ktoś tknie się ich wiary. Czeka cię wszystko, od ekskrementów przysyłanych pocztą, a mam na myśli jak najprawdziwsze ekskrementy, po próby zabójstwa. Ile osób zginęło z powodu książki Rushdiego? A chodziło o zwykłą literaturę! Fundamentalisci nazwą ciebie i Jenningsa Judaszami dwudziestego wieku, a będzie to najłagodniejsze z określeń.

- Większą moją troskę budzi reakcja reszty Kościoła. Jaki będzie twoim zdaniem wpływ naszych odkryć, jeśli okażą się autentyczne?

- Rujnujący. Absolutnie rujnujący! Z pewnością nie dotyczy to garstki naszych liberałów, ale głęboko wstrząśnie wiarą 98 procent członków Kościoła. I tak niełatwo być chrześcijaninem w naszych bardzo świeckich czasach. A to mogłoby do końca zniszczyć życie duchowe.

Jon ze smutkiem pokiwał głową.

- Jak zareagował papież? - zapytał po chwili.

- Zbladł jak prześcieradło, kiedy przyszedłem z pierwszymi informacjami. Chciał natychmiast oświadczyć publicznie, że odkrycia są bez wątpienia bezbożnym fałszerstwem, ale ubłagałem go, by się powstrzymał, dopóki nie porozmawiam z tobą.

- Może nie byłoby źle, gdyby złożył takie oświadczenie. Zrównoważyłoby to sensacyjne doniesienia, jakie ukażą się po dzisiejszej konferencji. Teraz mnie zmartwiłeś, Kevinie! Tak, lepiej będzie, jeśli pozamykam grodzie!

- Proszę cię, Jon, pozostanę w kontakcie. Masz tu mój prywatny numer w Watykanie. Zaklinam cię na starą przyjaźń: jak najszybciej informuj o wszystkim Ojca Świętego i mnie, dobrze?

- Jasne. Obiecuję.

Jak tylko Jon wysiadł tego wieczoru z peugeota w Ramallah, poczuł na szyi parę ramion, które zmusiły go do pochylenia się. Jego wargi napotkały wargi Shannon.

Potem dziewczyna zapytała:

- Jak czuje się człowiek, który jest ośrodkiem zainteresowania całego świata?

- Jedyne, co czułem, to pragnienie, żeby znaleźć się sam na sam z tobą.

- Jasne, jasne! Właśnie dlatego odpowiadałeś tak błyskotliwie na pytania.

- Nigdy w życiu! Jeśli nawet stary łeb jakoś pracował, serce było przez cały czas przy tobie... Aha, nie miałem okazji, żeby cię zapytać. Jak rozmowa z Gideonem?

- Może powinnam była bardziej go oszczędzać albo doprowadzić do zerwania stopniowo. Przyjął to bardzo źle. Był tak wstrząśnięty, że dosłownie odchodził od zmysłów.

- Nie mogę powiedzieć, żebym miał mu to za złe. Też nie mógłbym się pozbierać, gdybym cię stracił. - Zamilkł na chwilę, a potem dodał: - Nie do wiary! Oczy zachodzą mi mgłą, kiedy tylko o tobie pomyślę! Co ty ze mną zrobiłaś?

- Kocham cię, Jon. Tak strasznie cię kocham!

- *Ani ma-aritz otach* - odparł, otaczając ją ramionami.

- Co to znaczy?

- Uwielbiam cię. Po hebrajsku.

XVI

Fala przyływu uderzyła mocniej niż ktokolwiek się spodziewał. Przez następne dni świat przeżywał wstrząs. Nie było na całym świecie ani jednej gazety, która nie podała informacji na pierwszej stronie - nie wyłączając „Izwestii” i „Pekińskiego Dziennika Ludu”. W Stanach Zjednoczonych *story* z Rama zdominowała wszystkie dzienniki telewizyjne i radiowe, a w sieciach ABC, CBS, NBC, PBS i CNN po wieczornych wiadomościach, po obszernym sprawozdaniu z jerozolimskiej konferencji prasowej, nadano programy specjalne, które powtórzono następnego ranka. Ukazały się specjalne wydania „Newsweeka”, „Time'a” i „U.S. News & World Report” pełne fotografii z wykopalisk, informacji o najwybitniejszych spośród członków ekspedycji, wywiadów z bliższymi i dalszymi krewnymi, nie mówiąc o wypowiedzi przedstawicieli Kościołów, teologów i polityków. Powódź informacyjna nie ominęła oczywiście Ameryki Łacińskiej, Europy i Australii. W Afryce i Azji fala była niewiele słabsza. Sprawa Rama skupiła uwagę całego świata.

Giełda nowojorska przeżyła największy w swojej historii spadek wskaźnika Dow-Jonesa. Otwarcie giełdy londyńskiej opóźniono o pół dnia. W Tokio doszło wskutek tego do masowej wyprzedaży akcji, rynek obligacji załamał się, natomiast ceny złota i innych szlachetnych kruszców sięgnęły niebotycznych wyżyn. Opinię publiczną ogarnął nastrój przygnębienia, czego skutkiem były straszliwe demonstracje i bunt, szczególnie w rejonach zamieszkałych przez znaczny odsetek ludności purytańskiej. W zachodnich stolicach zwoływano

nagle posiedzenia gabinetów; królowe, królowie, premierzy i prezydenci zastanawiali się, jak znaleźć wyjście z kryzysu. Rama oznaczała wstrząs dla całej ziemi.

Zadziało trzecie prawo Newtona. Każda akcja powoduje równą co do wielkości, ale przeciwnie skierowaną reakcję. Fala odbita dotarła z powrotem do Izraela, a szczególnie do ekipy wykopaliskowej. W przypadku Jona pierwsze uderzenie przyszło z Hannibal, stan Missouri.

- Jon? Tu ojciec. - Głos brzmiał głucho, słabo, był jakby zdezoorientowany. - Co ty narobiłeś, synu? Co narobiłeś?

- Proszę cię, tato, zachowaj spokój. Wiem, że to straszny wstrząs, ale jest jeszcze za wcześnie...

- Mam zachować spokój, Jonathanie? Czy wiesz, jaki dziś dzień?

- Dziesiąty września. Dlaczego pytasz?

- Tu, w Hannibal, mamy niedzielne południe. Wróciłem właśnie z kościoła... Sam nie wiem, jak przebrnąłem przez nabożeństwo. Kiedy zaczęliśmy odmawiać Apostolskie Wyznanie Wiary i doszliśmy do słów „I zmartwychwstał trzeciego dnia”, jeden ze starszyny, Martin Fischman, zawołał: „Może wcale nie!” I wybiegł z płaczem z kościoła. Miałem ściśnięte gardło i z trudem wygłosiłem kazanie. Jon rozpaczliwie szukał najwłaściwszych słów. Czuł kamień w żołądku. Zapytał:

- Co na to reszta kongregacji? Czy przyszło dużo wiernych?

- Można by pomyśleć, że to Boże Narodzenie. Albo Wielkanoc. Kościół był zatłoczony, bo ludzie chcieli wiedzieć. Spodziewali się, że my damy im odpowiedź... Jak się zachowywali? Byli jak ogłuszeni. Miałem uczucie, że odprawiam nabożeństwo pogrzebowe.

- Tato, musisz powiedzieć ludziom, żeby nie wyciągali pochopnych wniosków. Jest o wiele za wcześnie, żeby...

- Jak mogę nie wyciągać takich wniosków? Wasze testy potwierdziły autentyczność odkryć. W radiu, telewizji, prasie jako rzecz pewną przedstawiają to, że znaleźliście kości Jezusa.

- Nie powinni. Prosiłem, żeby tego nie robili!

- Chyba najgorsze dla mnie jest to - głos mu się łamał - że całe życie poświęciłem służbie Panu, a nagle mój rodzony syn niszczy wiarę chrześcijańską!

- To niesprawiedliwe, tato. Stawałem na głowie, żeby zachowano tajemnicę, ale...

Ojciec wybuchnął łkaniem.

- Daję ci matkę...

Rozmowa z matką była jeszcze boleśnieszka i kiedy Jon odwieszał słuchawkę, był zlany zimnym potem.

- Kevin miał rację - szepnął sam do siebie. - To fala przyływu. Ni mniej, ni więcej.

Przez dworzec lotniczy imienia Ben Guriona przewijały się tłumy dziennikarzy z całego świata. Hotel w Ramallah był znowu oblężony - przez nową falę reporterów, którzy mieli nadzieję, że uzyskają jakieś nowe oświadczenie od któregoś z członków ekspedycji. Teren wykopaliisk w Rama osaczały takie tłumy dziennikarzy i fotografów, że władze wojskowe musiały wznieść ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem. Jerozolima nie była w stanie pomieścić przybyszów ze wszystkich stron świata, przywódców religijnych, luminary z rozmaitych dziedzin, pisarzy. Wszyscy byli spragnieni rozmowy z Jenningsem, Jonem czy kimkolwiek, kto zechciałby poświęcić im trochę czasu.

Fanatyków ciągnęło do Jerozolimy niby opiłki żelaza do magnesu. Pewnego popołudnia, wychodząc z Muzeum Rockefellera, Jon został zraniony kamieniem w lewą skroń. Z Ameryki Południowej przybywały czarterowymi lotami liczne grupy fundamentalistów, którzy publicznie określali Jenningsa i Jona jako antychrystów - prawie dokładnie jak przewidział Kevin.

Kiedy zebrał się Światowy Kongres Charyzmatyczny, przewidziany od dawna na październik, zabrakło miejsc w hotelach, gdyż chętnych było pięć razy więcej niż spodziewali się organizatorzy. Na zakończenie kongresu trzydzieści pięć tysięcy ubranych na biało uczestników udało się na zbocze Góry Oliwnej i wymachując rękami pogrążyło się w modlitwie. W powietrze wzbijała się głośna glosolalia. Przywódca tłumaczył jej treść przez ogromny megafon: „Ohyda zniszczenia objawiła się nie opodal Góry Świętej Bożej Świątyni! Przybył między nas Antychryst! Bezbożne diabły chcą zabrać nam Jezusa, ale daremnie się trują!”

- Amen! - odpowiedziała rzesza. - Amen!

Fanatycy ksiąg proroczych mieli ręce pełne roboty, musieli bowiem powiązać Ezechiela, Daniela i Księgę Apokalipsy z najnowszymi wydarzeniami. Hal Lindsey robił przy nich wrażenie nudnego konserwatysty. Powtórne przyjscie Jezusa nie jest kwestią lat czy miesięcy, ale tygodni. Ludzie sprzedawali przedsięwzięcia, pozbywali się akcji i obligacji, wdzielali białe szaty i ruszali - co było

w tym wszystkim najtrudniejsze - do Jerozolimy, żeby tam czekać na koniec świata. Fala przyływu rozbiła się o brzeg.

- Sytuacja wymyka się nam z rąk - powiedział premier Izraela, Mordechai Zebulon, elegancki mężczyzna o falujących siwych włosach. Zwracał się nie tylko do Jenningsa i Jona, którzy zostali tu zaproszeni, ale do całego izraelskiego gabinetu. - Wykorzystaliśmy do końca nasze możliwości. Nie wiemy, co robić z tymi tłumami ludzi. Nawet nasi chasydzi żądają ogłoszenia, gdzie znajduje się Ciało, aby mogli je pogrzebać! Nigdy nie widziałem niczego podobnego. Dotychczas myśleliśmy, że rakiety Scud podczas wojny nad Zatoką Perską to najgorsze, co może nas spotkać! Teraz zorganizowaliśmy sztab kryzysowy z siedzibą w Hotelu Króla Dawida i powołaliśmy część rezerwistów. Dzięki temu ulżymy nieco twojej policji, Teddy.

Teddy Kollek, energiczny, zahartowany w sytuacjach kryzysowych burmistrz Jerozolimy, uśmiechnął się tylko i skinął głową. Miało się wrażenie, że ten jowialny urzędnik od stworzenia świata ponosi odpowiedzialność za święte miasto.

- Przede wszystkim jednak - ciągnął premier Zebulon - musimy zastanowić się, jak przezwyciężyć kryzys. I to szybko! Profesorze Jennings, profesorze Weber, kiedy zakończycie badania?

- Prawdopodobnie wiele z nich mieliśmy już za sobą, gdyby nie media - odparł Jennings. - Profesor Weber uda się wkrótce do Ameryki, żeby sfinalizować prace.

Zabrał głos Abram Heshbon, minister spraw wewnętrznych:

- Zastanawiam się, panowie, czy ze względu na wagę tych odkryć nie byłoby lepiej, gdyby kontrolę nad Rama i wykopaliskami przejął Urząd Starożytności. Nigdy nie zaproponowałbym tego w normalnych okolicznościach, ale wszyscy mamy świadomość, że okoliczności nie są, niestety, normalne. Wytworzył się chaos!

- Co pan sugeruje? - zagrzmiął Jennings.

- Proszę zrozumieć, profesorze! Nie mam na myśli pańskich prac w Rama - ciągnął Heshbon. - Chodzi po prostu o to, że stoimy przed poważnym problemem, który związany jest z wykopaliskami prowadzonymi na naszym suwerennym terytorium, myślę więc, iż agendy rządowe winny przejąć odpowiedzialność za dalszy ciąg wydarzeń.

- Słuchajcie, słuchajcie! - rozległo się kilka głosów.

Zebulon pokiwał potakująco głową.

Jon był tak samo zaskoczony tą propozycją jak Jennings. Natychmiast zaczął ją analizować jako sposób na szybkie opanowanie sytuacji. Jednak nie. Czy nie zdają sobie sprawy, do jakiej katastrofy by to doprowadziło?

Jeden z ministrów zdał sobie sprawę. Mosze Breitenstein, minister turystyki, uniósł ołówek, żeby zwrócić na siebie uwagę premiera.

- Panowie, uważam tę propozycję za przerażającą, i to z kilku względów - powiedział, kiedy udzielono mu głosu. - Po pierwsze, byłoby pełnym szaleństwem przejmowanie przez Żydów kontroli nad wykopaliskami, które są tak kłopotliwe dla chrześcijan. Jeśliby okazało się, że odkrycia są autentyczne, oskarżono by nas o żydowski spisek mający na celu zniszczenie chrześcijaństwa. Jak zwykle dzieje się w sytuacjach kryzysowych, podnieśliby głowy antysemita z całej go świata. Narazilibyśmy na niebezpieczeństwo wszystkich Żydów mieszkających poza Izraelem... W przypadku, gdybyśmy dowiedli, że znalezisko jest mistyfikacją, mówiono by, iż jedna religia mono teistyczna wspiera drugą. Oba te wyjścia byłyby dla nas złe.

Wszyscy dokoła pokiwali potakująco głowami. Jenningsowi i Jonowi dodało to ducha, tym bardziej że wywód Breitensteina był bez zarzutu z punktu widzenia logiki.

Minister zamilkł na chwilę, a potem ciągnął:

- Drugie zastrzeżenie związane jest z prostym zagadnieniem kompetencji. Kto ma lepsze kwalifikacje, by wyłuskać prawdę? Ci, którzy kopali od samego początku, czy ci, którzy przyszli na końcu? I pozwólcie, panowie, że dodam jeszcze przypis. Czy wiecie, jakie zyski państwu Izrael przynoszą pielgrzymki religijne? I co się stanie z tymi zyskami, jeżeli sprawa zostanie niewłaściwie poprowadzona albo jeżeli chrześcijaństwo poniesie uszczerbek? Chodzi o ponad miliard dolarów rocznie! Turystyka jest po diamentach naszą najbardziej dochodową dziedziną gospodarki. Jeśli przestaną przyjeżdżać pielgrzymki, nasza gospodarka znajdzie się w jeszcze gorszym stanie niż jest w tej chwili! A deficyt w handlu zagranicznym przyjmie dramatyczny wymiar.

W sali zapadło milczenie.

- Wycofuję moją propozycję - oznajmił w końcu Abram Heshbon.
- Dobrze, zgadzam się - rzekł premier.
- Czy mogę zabrać głos, panie premierze? - spytał Jon.
- Bardzo proszę, panie profesorze.

- Wielokrotnie i bardzo długo dyskutowaliśmy z profesorem Jenningsem nad najważniejszym *modus operandi*. Nasz plan jest prosty, ale chyba skuteczny. Po pierwsze, w przeciwieństwie do tych archeologów, którym publikowanie wyników badań zajmuje całe lata, chcemy uporać się jak najszybciej z testami i przedstawić rezultaty, gdy tylko pozbedziemy się wszelkich wątpliwości. Wszyscy pamiętamy o czterdziestoletniej zwłoce w przypadku zwojów znad Morza Martwego. Za jakieś dwa tygodnie udam się do El Arish i Kairu, żeby polecieć do Stanów egipskimi liniami lotniczymi i dzięki temu uniknąć tłumy reporterów na lotnisku Ben Guriona. Chciałbym prosić rząd izraelski o pomoc, to znaczy o zawiadomienie posterunków granicznych, byśmy mogli przejechać granicę bez zatrzymywania. Chciałbym również prosić o skontaktowanie się z partnerami egipskimi, żeby podobne udogodnienie zapewniono nam w El Arish i na lotnisku w Kairze.

- Tak... słusznie - zauważył premier. - Chyba nie będzie z tym kłopotów.

- Następnie, kiedy zakończy się seria bardzo wnikliwych testów - ciągnął Jon - opublikujemy uzyskane materiały i poprosimy środowiska naukowe na całym świecie o weryfikację naszych wyników. Dostarczymy specjalistom z całego świata rodzaj „podręcznika”, nad którym będą mogli pracować przez następne miesiące... czy lata. Niechaj ostateczna konkluzja będzie wynikiem międzynarodowego konsensu.

Zebulon skinął głową.

- Dobrze. Nasza sympatia jest całkowicie po waszej stronie, profesorze. Gdybyście tylko mieli, panowie, spokój przy pracy!

- To prawda, panie premierze! Nasza praca jest teraz trudniejsza. Bez porównania trudniejsza.

Po paru rozmowach telefonicznych z Sandym McHugh powstała „lista zakupów”, czyli spis tego, co w Smithsonian jest niezbędne do przeprowadzenia serii testów.

A. Pełny zestaw fotografii wykonanych na terenie rezydencji i w pieczarze w Rama.

B. Dwa uchwyty dzbanów „Józefa”.

C. Następny kawałek pergaminu *titulusa*, w tym półcentymetrowy wycinek z ciemniejszymi literami oraz trochę zbutwiałego drewna, do którego pergamin był umocowany.

D. Dalsze fragmenty tkaniny i maty z grobowca.

- E. Oba gliniane kaganki.
 - F. Oba flakoniki, teraz określone jako F-1 (*unguentarium*) i F-2 (naczynie na oliwę).
 - G. Dzban, w którym znaleziono papirus.
 - H. Gliniany czop dzbana.
 - I. Pakiety szczątków wygarniętych z sarkofagu, wykopu wokół niego, podłoża pieczary i ziemi pobranej tuż przy wejściu do pieczary.
- Chociaż spis był długi, Jona nie czekało przeschumowanie do Stanów Zjednoczonych - za zgodą wszystkich zainteresowanych rządów - zbyt dużego ładunku. Wszystko mieściło się w dwóch sporych teczkach wyłożonych watą, pianką gumową i folią ołowianą. Miał nie rozstawać się z tymi walizkami, dopóki nie dotrą bezpiecznie do waszyngtońskiego Smithsonian Institution.

Za kierownicą auta, którym Jon jechał do Kairu, siedział Clive Brampton. Granica między Izraelem a Egiptem w El Arish, niegdyś widowia zaciekłych bitew czołgów na Półwyspie Synajskim, teraz była cichym posterunkiem granicznym dla turystów. Żołnierz izraelski machnął tylko ręką, żeby jechali, a posterunek egipski zatrzymał ich na króciutką chwilę. Najważniejsze było to, że uniknęli prasy z całego świata. Żadnych fleszy, żadnych miniaturowych kamer.

Mknęli przez pustynię, gawędząc o Jenningsie. Brampton dostarczył Jonowi mnóstwo dodatkowych szczegółów o sławnym archeologu. Na tym minęła im droga do Kanału Sueskiego. Po przejechaniu tunelem pod kanałem pojechali pustynną drogą w stronę kairskiego dworca lotniczego, gdzie spędzili noc w hotelu Sheraton.

Następnego ranka Clive pożegnał się z Jonem.

- Radzę ci, Jon, założyć te słoneczne okulary od Shannon - powiedział na odjeździe. - Cieszysz się teraz światową sławą.
- Niewątpliwie - roześmiał się Jon. - Ale ty należysz do tej samej konstelacji, Clive.
- Na pustynnych hienach nie robi to większego wrażenia.
- Przekaż Shannon pozdrowienia ode mnie. Poznałeś ją wcześniej niż ja... w każdym razie jako osobę dorosłą. Jak to się właściwie stało, że się w niej nie zakochałeś?
- Kto mówi, że nie? Ale była córką szefa, więc uznałem za bezpieczniejsze ramiona Naomi. Jednak... nie powiedziałem ci tego nigdy, Jon, ale zadowolony jestem, że zająłeś w jej życiu miejsce Ben-Yaakova.

- Dziękuję za zaufanie, Clive. Uważaj na siebie w drodze powrotnej.
- Będę uważał. Założę te okulary.
- Okay.... Czy wyglądam jak Paul Newman?
- Raczej jak Omar Sharif. Bardziej pasuje do tego terenu. Cześć!

Czekając na lot 201 do Nowego Jorku, Jon kupił angielskojęzyczny dziennik „The Cairo Telegraph”. Spojrzał na pierwszą stronę i zamrugał ze zdumienia. „Islam najważniejszą religią?” - przeczytał tytuł. Poniżej zamieszczono zdjęcia głównego mułły Kairu, Muham-meda Abu-Bakkara, oraz jego wypowiedź.

Islamski pogląd na życie proroka Jezusa znalazł potwierdzenie. Mahomet nauczał, że Jezus z Nazaretu nie był Bogiem, który powstał z martwych, lecz tylko prorokiem jak nasi ojcowie Abraham i Mojżesz. To tylko chrześcijańska herezja potwierdziła, że jest kimś więcej, przypisując Mu to, co należy się tylko Allahowi. I teraz sam proch ziemi dowiódł, że prorok miał rację! Niedawne odkrycia dokonane w Izraelu to z pewnością pogrzebowy dzwon dla chrześcijaństwa jako największej na świecie religii. W ten sposób rola ta przypadnie islamowi. Chrześcijaństwo miało 1,8 miliarda wiernych, dwa razy tyle, co następne wyznanie, islam. Jednak ta sytuacja uległa zmianie dzięki odkryciom dokonany parę miesięcy temu przez archeologów Jenningsa i Webera.

Mimo piekielnego upału Jon drżał, idąc rampą w stronę Boeinga 747 egipskich linii lotniczych. Oto jego nowa rola: zabójca chrześcijaństwa! Dlaczego do życia wkradł się nieład?

Mając za sobą setki tysięcy mil w samolocie, Jon wyzbył się wszelkiego lęku przed lataniem. Teraz jednak, po raz pierwszy od wielu lat, zaczął zastanawiać się, co by było, gdyby boeing zawiódł nagle gdzieś nad Morzem Śródziemnym albo Atlantykiem. Albo gdyby terroryści zechcieli akurat zabawić się w grę „moja bomba zabije więcej ludzi niż twoja”. Mniej myślał przy tym o sobie, więcej zaś o teczkach i ich niezwyklej zawartości. Chodziło wszak o zestaw przedmiotów, które już teraz wpłynęły na całą cywilizację.

Co będzie, jeśli okaże się w końcu, że wszystko jest autentyczne? Jak wpłynie to na moje życie? - rozmyślał Jon wzbijając się nad Morze Śródziemne. Jeśli chrześcijaństwo zostanie zranione, jakie będą tego konsekwencje dla wszelkiego teizmu?

Czy też czeka go upadek? Czy Bóg istnieje? Samolot to oaza na terytorium czasu, szansa na to, żeby pogрузić się w myślach. Zamiast przeglądać magazyny pełne mumii faraonów, Jon wpatrywał się w bezkresny błękit morza, usiany sympatycznymi kłębkami chmur koloru kości słoniowej. Nadszedł czas, by uporządkować swoją wiarę lub... zwątpienie.

Może zacząć od miejsca, z którego wyszedł Kartezjusz? Podaj w wątpliwość wszystko, nie tylko Boga, ale wszelką tak zwaną „rzeczywistość”, przestrzeń, czas, materię, nawet własne istnienie. Niezbyt przekonujące - pomyślał Jon. Przecież jednak wątpił i myślał. I jak francuski filozof musiał uznać: *cogito ergo sum* (myślę, więc jestem). Skoro zaś istnieje, tak samo jak istnieje Boeing 747, którym leci wraz z innymi pasażerami, to ponieważ każda rzecz musi mieć swoją przyczynę, trzeba uznać, że istnieje najwyższy rozumny, wszechmocny Byt, albowiem ani odrzutowiec, ani jego ludzki ładunek nie mogły stworzyć się same i nie mogą istnieć same przez siebie. Jednym słowem, Bóg istnieje, *sum ergo Deus est* (jestem, więc Bóg istnieje). Tak uważał Kartezjusz i znacznie wcześniej Arystoteles, mówiąc o Pierwszej Przyczynie. Dzieło stworzenia wymaga Stwórcy.

Czy rzeczywiście? Kartezjusz nie powiedział wszak *malum est ergo Deus non est* (istnieje zło, nie ma więc Boga, w każdym razie Boga dobrego i wszechmocnego). I znowu Jon poczuł się rozdarty między wiarą a zwątpieniem. Upraszczać można by powiedzieć tak: dzieło stworzenia dowodzi, że Bóg istnieje; zło dowodzi czegoś przeciwnego.

Musiał przyznać, iż wiele argumentów przemawia za tym, że Boga nie ma: śmierć Andrei, zło i nieszczęścia we wszelkiej postaci, okrucieństwo i szaleństwo historii, a także zmysłowa nieosiągalność Boga. Ci tandetni kaznodzieje, którzy przemawiają na stacjach metra czy w namiotach cyrkowych, twierdząc, że rozmawiają regularnie z Bogiem (i Bóg odpowiada im w sposób słyszalny), są obłudnikami, kłamcami lub zupełnymi idiotami - rozmyślał Jon. Dlaczego jednak inni, którzy żadnych głosów nie słyszą, wierzą tamtym? Albo ich wspierają?

Zabnął w dygresje. Rozpatrywanie argumentów za i przeciw nieodmiennie kończył takim oto wnioskiem: dopóki nie znajdę innej odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięłam, muszę przyjąć, że Bóg istnieje. Pascal słusznie zachęcał do stawiania na to, że Bóg istnieje,

jeśli bowiem wygrasz (Bóg istnieje), wygrasz wszystko; jeśli przegrasz (Boga nie ma), nie stracisz nic.

Jeśli zaś przyjmuje się, że Bóg istnieje, można też uznać wiarygodność chrześcijaństwa, bo przecież żadna inna religia nie ma za sobą tak mocnych historycznych i archeologicznych argumentów. Chyba że drogi archeologii i wiary już wkrótce się rozejdą.

„Kleopatra”, samolot flagowy Egypt Air, przebił się przez tarczę chmur nad wschodnią częścią Long Island, wylądował na pasie 31 lewym lotniska Kennedy’ego i podjechał pod terminal. Kiedy turbiny coraz niżej śpiewały swą żalobną pieśń, gdyż pozbawiono je paliwa i zapłonu, głos głównego stewarda wypełnił wszystkie osiemdziesiąt głośników samolotowych. „Uwaga! Czy może zgłosić się pan Ernst Becker?”

Co za bzdura! - mruknął sam do siebie Jon. Ernst to jego drugie imię, Becker - nazwisko panińskie matki. Te właśnie dane miał wypisane na bilecie, specjalnym paszporcie wystawionym przez ambasadę amerykańską i na przepustkach mających oszczędzić mu kontroli celnej.

Podniósł rękę. Podszedł steward.

- Proszę zabrać bagaż podręczny i pójść za mną, panie Becker

Jon wziął obie teczki i torbę na ubrania, którą położył w przedziale przednim, i poszedł za stewardem w stronę wyjścia. Cały otwór drzwiowy wypełniał potężny mężczyzna o jasnych, ostrzyżonych na jeża włosach i rumianej cerze.

- Panie Becker - oznajmił olbrzym - nazywam się George Tollefson i jestem z CIA. - Mignął legitymacją. - Czy nadał pan bagaż?

- Nie. Mam wszystko ze sobą.

- Dobrze. Proszę założyć okulary słoneczne i iść ze mną. Wezmę pana torbę.

Jon, przekonany, że pograży się nieodwołalnie w międzynarodowym światku szpiegowskim, założył posłusznie okulary i oddał agentowi CIA torbę z garderobą.

Kiedy znaleźli się w korytarzu niedostępnym dla zwykłych podróżnych, Tollefson zatrzymał się i oznajmił:

- Prezydent chciałby zobaczyć pana jak najszybciej, profesorze Weber. Samolot prezydencki numer dwa czeka z zapuszczonym silnikiem tuż za terminalem.

- Przecież... przecież miałem polecieć zwykłym lotem kursowym do Waszyn...

- Tak, tak, wiemy. Pozwoliliśmy jednak sobie odwołać rezerwację ze względu na pogłębiający się kryzys.

- Chodzi o nasze odkrycia w Izraelu?

- Nie tylko. Jestem pewien, że prezydent wszystko panu wyjaśni. Polecimy teraz do bazy sił powietrznych Andrews, a stamtąd helikopter zabierze pana do Białego Domu.

Jon przyjrzał się niebieskiej wykładzinie podłogowej w sali przyłotów, podrapał się w głowę i powiedział:

- Ruszajmy.

Miał dziwne poczucie *deja vu*: lśniący Boeing 707, niegdyś samolot sił powietrznych numer jeden, którym latali prezydenci ze swoimi sztabami, otoczeni wygodami i przepychem; ciemnozielony śmigłowiec opadający powoli niby ogromny liść klonu na trawnik przed Białym Domem; majestatyczna fasada rezydencji prezydentów. Takie sceny zwykle oglądamy w telewizyjnych wieczornych wiadomościach. Tym razem on sam znalazł się w tych dobrze znanych dekoracjach.

Według czasu kairskiego była prawie północ, ale w Waszyngtonie dopiero późne popołudnie. W dawnej prezydenckiej toalecie samolotu nie zabrakło maszynki do golenia, Jon mógł więc doprowadzić się do porządku. Ośmielił się nawet zasiąść na miękko wyściełanej prezydenckiej desce klozetowej. Uświadomił sobie, że to jego pierwszy „namacalny” kontakt z szefem amerykańskiej władzy wykonawczej. Teraz jednak czekał go kontakt właściwszy z towarzyskiego punktu widzenia. Otworzono drzwi helikoptera.

- Nie ma czerwonego dywanu? Nie ma orkiestry Marynarki Wojennej? - spytał Jon Tollefsona, który obrzucił go tylko dziwnym spojrzeniem. Cóż, nikt nie oczekiwał, że CIA okaże poczucie humoru.

Zaprowadzono ich do Owального Gabinetu w oficjalnym skrzydle Białego Domu i oziebły Tollefson wreszcie się z nim rozstał. Sekretarz prezydencki wskazał mu drogę do środka i Jon stanął twarzą w twarz z pierwszym obywatelem Ameryki.

Prezydent Sherwood Bronson był republikaninem z Michigan, mężczyzną pod względem fizycznym przypominającym Johna Kennedyego, promieniującym pietyzmem dla swego urzędu jak Jimmy Carter; ponadto, podobnie jak Reagan i Bush, po mistrzowsku wykorzystywał możliwości, jakie dają środki masowego przekazu, propagując nowy konserwatyzm, który ciągle miał zniewalające oddziaływanie na naród. Wyraziste rysy twarzy przywodziły na myśl męż-

czyn z reklam marlboro, tyle że bez papierosów i odpowiednio dobranego inwentarza. „Woody” Bronson doszedł do władzy dzięki obietnicom, że zrównoważy budżet federalny, a potem zadziwił mędrców tego świata, gdyż przy realizacji tego utopijnego celu poniósł tylko umiarkowaną porażkę.

- To miło, że zechciał pan wpaść do nas, profesorze - powiedział prezydent, wyciągając dłoń.

To miło, że ma pan takie poczucie humoru - pomyślał Jon.

- Czuję się zaszczycony, panie prezydencie - powiedział.

- Sądzę, że poznaje pan sekretarza stanu, pana MacPhersona, i sekretarza obrony, pana Hammara.

- Oczywiście. Cieszę się, że mogę panów poznać osobiście.

- Usiądźmy, panowie. - Prezydent wskazał krzesła. - Panie profesorze, proszę wybaczyć, że zmieniliśmy plany pańskiej podróży, ale znaleźliśmy się w sytuacji kryzysowej. Scott, zapoznaj, proszę, profesora Webera z sytuacją.

- Tak jest, panie prezydencie - odparł MacPherson. - Zaraz po konferencji prasowej w Jerozolimie „Prawda” opublikowała na pierwszej stronie artykuł redakcyjny, w którym...

- „Prawda”?! Czyż nie została parę lat temu zamknięta?

- Została. Chodzi o pierwszy numer dziennika „Nowa Prawda”. Najlepiej będzie, jeśli przeczyta pan to, zanim przejdziemy do sedna sprawy.

Podał Jonowi fotokopię oryginału oraz angielski przekład.

Marksizm w końcu triumfuje!

Komuniści całego świata mogą teraz złożyć hołd Marksowi, który powiedział: »Religia to opium dla ludu«. Odnalezienie szczątków Jezusa z Nazaretu, co ogłoszono dwa tygodnie temu w Jerozolimie, dowodzi, że chrześcijaństwo - zdegenerowana wiara większości na zgniłym, kontrrewolucyjnym, kapitalistycznym Zachodzie - nie ma żadnego pokrycia w faktach. (Chrześcijanie wierzą w legendę, że Jezus zmartwychwstał, i wierni spodziewają się, że też zostaną wskrzeszeni!)

Kościoły chrześcijańskie próbują ciężkie położenie klasy pracującej ukryć za mglistymi obietnicami szczęśliwego życia w niebie po śmierci, natomiast marksizm z całą uczciwością mówi masom pracującym, że żadnego nieba nie ma i że powinni zorganizować się, by poprawić swój los w tym życiu, gdyż innego

nie będą mieli. Nasze postępy zawdzięczamy mówieniu prawdy i zbiorowemu wysiłkowi, nie zaś legendom i pustym obietnicom, jakimi szafuje kapitalistyczne chrześcijaństwo.

Teraz jednak cały świat zna już prawdę: socjalizm nigdy nie mylił się w swojej ocenie religii. A teraz, towarzysze, pojawiła się wspaniała okazja, którą musimy wykorzystać, by przywrócić światu prawdę marksizmu-leninizmu. »Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się! Nie macie nic do stracenia poza okowami zniewolenia!« Pamiętając o ostatnich słowach „Manifestu komunistycznego”, wnosimy dziś okrzyk: »Narody całego świata, łączcie się! Nie macie nic do stracenia poza zmurszałymi zabobonami!«

- Nie do wiary! - powiedział Jon. - To przypomina czasy zimnej wojny... z pewnością nie ma nic wspólnego z głośnością, pierestrojką i nową Rosją. Czy ktoś dał się nabrać na te brednie?

MacPherson uśmiechnął się blade.

- Klika zagorzałych moskiewskich komunistów próbuje zorganizować kampanię, która ma przywrócić im władzę w Rosji, potem w dawnych republikach, a wreszcie na całym świecie. Wydaje się, że rosyjski ambasador przy ONZ jest im przychylny! Kilka dni po ukazaniu się tego tekstu wygłosił wielką mowę na forum Zgromadzenia Ogólnego. Na krajach neutralnych, afrykańskich i azjatyckich, na całym Trzecim Świecie wywarło to ogromne wrażenie. Oczywiście nie podobają się im ateistyczne wątki tej kampanii, ale nie kochają też za bardzo chrześcijaństwa, gdyż wolą własne narodowe religie. Na całym świecie mamy nowy powiew nastrojów wrogich Zachodowi.

- Ale to nie jest jeszcze Rosja! - sprzeciwił się Jon. - To nie jest styl Rozomowa!

- Ma pan rację, nie ma to także nic wspólnego z jego polityką. Nie zakończył jeszcze swojej długiej oficjalnej wizyty w Północnej Korei, ale po powrocie może okazać się, że już kto inny dzierży ster władzy. Jeśli w ogóle do jego powrotu dojdzie! Wszystko zaczęło się podczas jego nieobecności. To robota niezadowolonych komunistów z KGB, wojskowych i stalinowskich aparatczyków z Kremla, którzy są teraz znacznie lepiej zorganizowani niż podczas nieudanego puczu przeciwko Gorbaczowowi sprzed paru lat. Nie wybaczyli nigdy Gorbaczowowi utraty wschodniej Europy i teraz chcą wykorzystać Rama, by chnąć nowe życie w trupa komunizmu.

- Ci hałaśliwi przedstawiciele komunistycznego betonu zawsze będą próbowali wyciągnąć korzyści z najmniejszej słabości, jaką dostrzegą na Zachodzie - dodał prezydent. - Stara czerwona gwardia nigdy nie omieszkała upiec swojej pieczeni przy takim ogniu. A teraz wydaje się, że w tych neandertalczyków wstąpił nowy duch.

Jon pomyślał, że Bronson czerpie pełnymi garściami z osiągnięć Nixonowskiej szkoły retoryki.

- Jakie są nastroje w Stanach? - zapytał.

- Mamy do czynienia z kryzysem moralnym - oznajmił prezydent Bronson. - Frekwencja w kościołach spada na łeb, na szyję, dochodzi do zamieszek podczas nabożeństw, ludzie przeklinają duchowieństwo, sądząc, że wprowadziło ich w błąd. Wszyscy ateści i wolnomyśliciele wrzeszczą co sił w płucach: „A nie mówiliśmy!” Nie ma dnia bez jakiegoś budzącego grozę wydarzenia. W ostatnią niedzielę kardynał arcybiskup Nowego Jorku odprawiał mszę w Katedrze Świętego Patryka, kiedy jedna z wiernych rzuciła mu hostię w twarz, krzyknęła: „Dość tego mydlenia oczu!” i wyszła z kościoła.

- Każdy z nas, profesorze Weber, zetknął się z czymś podobnym - dorzucił swoje Harold S. Hammar, sekretarz obrony. - Mój stryj był misjonarzem w Mozambiku. Po dwudziestu latach pracy miał troje nawróconych. W zeszłym tygodniu żona znalazła go powieszzonego na drzewie bananowym w dżungli. W liście pożegnalnym napisał: „Wszystko dla Jezusa, wielkiego zwodziciela. Wszystko dla nicości. Wybacz, Saro!”

Jon zacisnął zęby i potrząsnął głową.

- To przedwczesne... żalose i przedwczesne!

- Tak, a jednak Kościół, i może cały kraj, pogrąży się coraz głębiej w kryzysie - rzekł prezydent. - A to nie wszystko! Haroldzie, powiedz, co wiesz.

Hammar odkasznął.

- Wydaje się, że moskiewska stara gwardia nie zadowolona się zacieraniem rąk z radości. Jeden z ich ideologów zacytował starożytne go chińskiego filozofa Sun Tzu, który powiedział coś w tym rodzaju: „Walka na polu bitwy jest głupotą. Najszczytniejsza sztuka wojenna to nie podejmować walki, ale zniszczyć kulturę wroga. Dopiero kiedy będzie zdemoralizowany, zdestabilizowany i zapanuje u niego chaos, możesz uderzyć”. Sądźmy, że spróbują skorzystać z tej maksymy na Zachodzie, zwłaszcza w stosunku do Ameryki. Jeśli tylko zwyciężą w Rosji.

Jon potrząsnął głową. Nigdy nie zastanawiał się nad politycznymi konsekwencjami odkryć w Rama.

- Panowie - powiedział po chwili - doceniam to, że mogłem zostać wprowadzony tak precyzyjnie w sytuację. Nie wiem jednak, co ja mam z tym wszystkim wspólnego. Co mogę zrobić?

Odpowiedział mu sam prezydent:

- Krótko i węzłowato, profesorze Weber, chcemy wiedzieć, ile czasu wy, archeolodzy i uczeni, potrzebujecie, żeby wyciągnąć ostateczne wnioski. Ameryka i cały świat zachodni czekają z napięciem i z rosnącą troską. Ja osobiście jestem praktykującym katolikiem i czuję, jakby... jakby wydarto sam rdzeń mojej wiary. Otóż, jeśli okaże się, że wasze odkrycie jest autentyczne, będziemy musieli podjąć próbę odbudowania wiary w ten czy inny sposób. Może teolodzy liberalni wpadną na jakiś pomysł. Czyż nie kładli nam przez całe lata do głów, że ewentualne odkrycie szczątków Jezusa w niczym nie zmieni naszej wiary? Jeśli zaś, i tak byłoby najlepiej, stwierdzicie, że wszystko to jest jakimś piekielnym fałszerstwem, musimy wiedzieć o tym jak najszybciej, żebyśmy znowu mogli zająć się budowaniem wielkości narodu. W tej chwili panuje nastrój paniki i niepokoju. Pytam więc: kiedy?

Jon zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i odparł:

- Cóż, panowie, ja też winien wam jestem wprowadzenie w obecną sytuację.

Przedstawił im wykaz wszystkich planowanych testów i powiedział, kiedy mają nadzieję uzyskać ostateczne wyniki. Położył teczki na biurku prezydenta i otworzył je, żeby pokazać ceramikę i wyjaśnić, jakie testy zamierzają przeprowadzić z każdym z artefaktów.

Prezydent i jego dwaj współpracownicy wpatrywali się bez słowa w otwarte teczki.

- Więc to te rupiecie wstrząsnęły całym światem! - mruknął w końcu prezydent. - Bierze mnie ochota, żeby porozbijać ten cały kram na proch... No dobrze, profesorze Weber, proszę odpowiedzieć mi na takie pytanie: czy rząd może w jakikolwiek sposób wesprzeć pana w tych pracach?

Jon pomyślał chwilę i potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Poza ułatwieniem mi powrotnej drogi do Izraela administracja powinna trzymać się od całej tej sprawy z daleka. W innym razie świat zacznie podejrzewać, że chodzi o jakieś naciski polityczne.

- W porządku - powiedział prezydent. - Ale testy zostaną przeprowadzone najszybciej jak to możliwe?

- Oczywiście.

Kiedy wszyscy wychodzili z Owального Gabinetu, prezydent ujął Jona za ramię i poprosił, żeby został jeszcze na chwilę.

- Potrzebuję dokładniejszego określenia prawdopodobieństwa - oznajmił, zamknąwszy drzwi - żeby pewniejszą ręką prowadzić państwową nawę przez sztormy. Jeśli napotkam sztorm. Proszę mi powiedzieć, gdzie w skali jeden do dziesięciu, przy czym dziesięć oznaczałoby całkowitą autentyczność, umieściłby pan w tym momencie prawdziwość waszego odkrycia.

Jon zmarszczył brwi i rozłożył ręce.

- Naprawdę chciałbym to wiedzieć, ale...

- Dalej, profesorze! To tylko do mojej wiadomości. Nie mam zamiaru powoływać się na pańską odpowiedź.

- Ale...

- Dziewięć czy dziesięć?

- Nie.

- Osiem?

- Chyba... nie.

- Więc siedem?

- Hmm... Nie mam nic do powiedzenia.

- Widzę, że umie pan posługiwać się językiem polityków! - zachichotał Bronson. Potem twarz mu spoważniała. - Mam nadzieję, że zrobi pan wszystko, co możliwe, żeby dowieść, że chodzi o mistyfikację czy fałszerstwo, profesorze Weber. Jestem pewny, że ma pan świadomość, o co toczy się gra. Odda pan swojemu krajowi przysługę, i to ogromną, jeśli skończy pan ten koszmar, zamykając raz na zawsze sprawę waszego odkrycia. Lepiej byłoby, żeby Bóg nie dopuścił do odkopania tego grobowca!

- Ja też często tak myślałem.

Prezydent ujął go pod ramię i powiedział prawie szeptem:

- Profesorze Weber... mogą zwracać się do pana Jonathan?

- Oczywiście. Ale najlepiej Jon.

- Doskonale, Jon. Czy nie byłoby możliwe... czy nie mógłbyś znaleźć jakiegoś sposobu... znaleźć czegoś, co byłoby podejrzanym w tych waszych artefaktach? - Wskazał na teczki. - Oznaczałoby to przecięcie węzła gordyjskiego. Świat, a z pewnością świat chrześcijański naprawdę chce wierzyć w zmartwychwstanie Pana...

- Co pan powiedział? Sugeruje pan, żebym... żebym sfalszował dowody?

- Nie, Jon... tego nie powiedziałem. Jeśli jednak przypiszesz maksimum wagi każdej najmniejszej szczelinie w waszych dowodach, świat zachodni i z pewnością całe chrześcijaństwo będą twoimi dłużnikami.

- Mogę zapewnić, panie prezydencie, że będę szukał najdrobniejszej rysy. Ale zamierzam być bez reszty uczciwy przy operowaniu dowodami. Stawka jest zbyt wysoka, niewiarygodnie wysoka.

- Wiem... wiem. - Prezydent wyłamywał palce, krążąc po Ovalnym Gabinetcie. Nagle stanął i spojrzał na Jona. - A jednak mówi się, że podejście do jakiegokolwiek planu, do czegokolwiek... nie może być całkowicie bezstronne, pozbawione uprzedzeń. Mam tylko nadzieję, że twoja szczypta uprzedzeń pchnie cię we właściwym kierunku.

- To prawda, panie prezydencie. I proszę pozwolić, że coś powiem: gdyby chodziło o inne wykopaliska, o jakiegokolwiek inne odkrycia, nie zavracalibyśmy sobie głowy wszystkimi tymi dodatkowymi testami.

- Dlaczego?

- Ponieważ dodatkowe okoliczności... przedmioty znalezione dookoła przemawiają w sposób jednoznaczny. Typologia ceramiki, paleografia i testy węglem C-14 potwierdzają autentyczność. Prawdopodobnie już dawno przyznalibyśmy naszemu znalezisku solidną dziesiątkę!

- Mój Boże!

- Tak to wygląda.

Prezydent Sherwood Bronson zwiesił głowę między skulone ramiona i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w blat biurka. Potem wziął kartkę i coś na niej napisał.

- Proszę, Jon. To mój prywatny numer telefonu. Omija się centrale Białego Domu. Dzwon, jak tylko będziesz miał wyniki testów. Zrobisz to dla mnie?

- Tak, oczywiście.

- Limuzyna zawiezie cię, dokąd zechcesz. Wszystko na nasz rachunek. Aha... zaprosiłbym cię na kolację, ale muszę być wieczorem w ambasadzie francuskiej. Więc kiedy indziej?

- Kiedy indziej. Dziękuję, panie prezydencie.

XVII

Limuzyna należąca do Białego Domu zawiozła Jona pod podany przez niego adres w Georgetown. Sandy McHugh nie chciał słyszeć o tym, że Jon zatrzyma się w hotelu, aczkolwiek sam Jon zgłosił jedno zastrzeżenie: tego wieczoru, kiedy nadrobi już opóźnienie przylotu, będą po prostu cieszyć się swoim towarzystwem, sącząc sławne margerity Sandy'ego. Może chociaż na ten wieczór będą mogli zapomnieć o Rama i nacisku, jaki to miejsce wywiera na ich życie. Sandy z radością przystał na ten plan - żona z dziećmi pojechała do rodziców w Filadelfii - i tego wieczoru wyrecytował tyle sprośnych limeryków, że Jon, chociaż otepiały po podróży, zaśmiewał się do łez.

Następnego ranka czekała ich już tylko praca. McHugh wezwał do Smithsonian Institution zespół najwybitniejszych amerykańskich uczonych i przedstawił ich Jonowi, przy każdym podając specjalność naukową. Jon położył teczki na wielkim mahoniowym stole konferencyjnym, podał dane każdego z przedmiotów i puścił w obieg zestaw zdjęć. Następnie wyświetlił kolorowe przezrocza z wykopalisk w Rama ze szczególnym uwzględnieniem pieczary i znalezionych w niej artefaktów. Omówił też testy na zawartość węgla C-14 przeprowadzone w Izraelu i Arizonie. Na zakończenie odpowiadał na techniczne pytania zgromadzonych specjalistów.

Po przerwie na lunch doszli do uzgodnienia procedur badawczych.

- Jeśli chodzi o poszczególne próbki - obwieścił wszystkim Sandy - uzgodniliśmy następujące zestawy testów. Przeczytam raz jeszcze, żeby wszyscy przygotowali się do współdziałania.

„Dwa uchwyty dzbanków przypisywanych «Józefowi»: oględziny napisów, żeby zbadać, czy zostały wyrte starożytnymi, czy nowocześniejszymi narzędziami, a następnie emisja optyczna, spektrometria rentgenowska fluorescencyjna, neutronowa analiza aktywacyjna i termoluminescencja w celu określenia wieku przez wyżarzanie.

Dwie lampki oliwne, *unguentarium*, flakon z olejkami, dzban i gliniany czop: *ditto* poza oględzinami napisu.

Pergamin *titulusa*: analiza pyłków kwiatowych, badanie układu włókien z zastosowaniem mikroskopii elektronowej, analiza barwnika / atramentu na podstawie małego fragmentu jednej z liter...”

- I dziękuję, Jon, że nam to umożliwiłeś!

- Czy miałem jakiś wybór? - roześmiał się Jon. - Przykro mi, ale to musi być zrobione. W przeciwnym razie rzucą się na nas krytycy, oskarżając o ogromne zaniedbanie w testach.

- Bardzo słusznie. Uznaliśmy też, że trzeba zrobić PIXE atramentu.

- Co to takiego? - zdziwił się Jon.

- Rentgenowska analiza wymuszonej emisji cząstek (*Particie Induced X-ray Emission Analysis*). Metoda szczególnie przydatna przy bardzo małych próbkach. Korzystaliśmy z niej, na przykład, do badania zawartości tlenków metali w atramencie, którego użyto w Biblii Gutenberga.

- To wspaniałe! Czy można w ten sposób określić wiek?

- Niestety nie. Większość z tych testów, poza termoluminescencją, to zwykłe analizy, ale pozwoliły wykryć nie mniej fałszerstw niż test C-14, gdyż wykazywały obecność składników nie używanych w czasach, z których miały rzekomo pochodzić, na przykład w przypadku sławnej mapy Vinlandu. Jeżeli więc znajdziemy tlenki żelaza w atramencie czy barwniku, możemy podejrzewać fałszerstwo, gdyż w użyciu były wówczas atramenty czysto węglowe.

- Znajdziecie też, być może, trochę miedzi - rzekł Jon. - Na wcześniejszych zwojach znad Morza Martwego mamy atrament czysto węglowy, ale na późniejszych odkryto pewne ilości miedzi.

- Będziemy o tym pamiętać - zapewnił Sandy i podjął odczytywanie wykazu:

„Deska, na której umocowano *titulus*: te same procedury, co w przypadku pergaminu.

Tkaniny i maty z grobowca: *ditto* ze szczególnym naciskiem na badanie pyłków.

Moneta z brązu: spektrometria emisji optycznej i absorpcji atomowej, neutronowa analiza aktywacyjna w celu oznaczenia składu metali i porównania z podobnymi monetami, których autentyczność została potwierdzona.

Cztery pakiety z okruchami materiałów: separacja, ilościowa i jakościowa analiza składników, dalsze testy stosowne do potrzeb.”

- Czy to mniej więcej wszystko?

Wszyscy skinęli potakująco.

- Oczywiście niektóre z tych testów trzeba przeprowadzić gdzie indziej - powiedział na zakończenie Sandy. - Na przykład, kiedy skończymy z ceramiką, prześlemy ją do Ośrodka Archeologii Nauk Muzealnych przy uniwersytecie w Pensylwanii, gdyż mają tam najlepszą w kraju pracownię termoluminescencji.

Późną jesienią odbyło się w Cambridge, stan Massachusetts, sympozjum Instytutu Początków Chrześcijaństwa. Takie spotkania odbywały się co roku, tyle że tym razem jedynym punktem porządku dnia były wykopaliska w Rama. Jon przedstawił obszerne sprawozdanie z pracy, ilustrując je filmem, który Cromwell nakręcił przypadkowo kamerą magnetowidową. Wśród słuchaczy był sam Dick, który właśnie wracał do Izraela. Zapewnił Jona, że nie zostawił zdjęć papirusu rozrzuconych po ciemni.

- Jesteś tego pewny, Dick? - spytał Jon.

- Absolutnie! A poza tym przed wyjazdem do Stanów zamknąłem pracownię na klucz.

Jon zmarszczył brwi i zaczął bębnić palcami po stole.

- Kto poza tobą miał klucz do ciemni? - spytał.

- O Boże! Myślę, że wszyscy z kierownictwa.

- Ja nie.

- No tak, ale taki już los spóźnialskich.

Roześmiali się.

W drugiej części zebrania przedstawiono Jonowi reakcje w kraju i na świecie. Wszyscy uczestnicy sympozjum chcieli mówić naraz. Jon wysłuchał, co każdy z nich miał do powiedzenia. Roztaczali przed nim albo barwną, albo posępną, albo tragiczną panoramę wydarzeń związanych z kryzysem.

- Tak więc, spektrum przedstawia się mniej więcej następująco - rzekł, kiedy skończyli.

Podszedł do tablicy i zaczął pisać zaczynając od góry:

LEWICALIBERALNA

Pełna akceptacja, żadnego zaniepokojenia

LEWICA UMIARKOWANA

Częściowa akceptacja, znaczne zaniepokojenie

CENTRUM (główne Kościoły)

Bardzo niespokojna reakcja, szok

PRAWICA KONSERWATYWNA (ewangelicy)

Przerażenie, odrzucenie, ale i niepokój, że odkrycia się potwierdzą

SKRAJNA PRAWICA (fundamentalisci)

Zgroza, odrzucenie, otwarta wrogość

- Poproszę o dalsze przykłady ze skrajnej lewicy - zażądał Jon. Odpowiedział Heinz von Schwendener, wybitny specjalista z Yale, zajmujący się problematyką Nowego Testamentu.
 - Czy pamiętasz tych wszystkich teologów, którzy utrzymywali, że odkrycie szczątków Jezusa wcale by ich nie zaskoczyło?
 - Oczywiście.
 - Teraz składają w siedmiu językach zgrabne oświadczenia typu „a nie mówiłem?”. Oczywiście tacy indywidualiści jak Harry Nelson Hunt twierdzą, Jon, że twoje odkrycie to woda na młyn konserwatystów.
 - Jakim cudem?
 - Ponieważ dowodzi ono, że Jezus jest jednak postacią historyczną! Hunt ma co do tego wątpliwości.
 - To było do przewidzenia. No dobrze, koledzy, zapoznałem się ze stanowiskiem teologów. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o reakcji zwykłych wiernych. Chodzi o relację z wydarzeń.
- Zaraz potem Jon pomyślał, że może lepiej byłoby, gdyby o to nie poprosił. Miał wrażenie, że opowieści uczestników sympozjum składają się na jakieś potpourri przyrządzone w piekielnych kotłach. Wiejskiego pastora tak zatkało, że runął na ziemię i umarł w środku kazania... Mnisi trapiści, którzy złożyli śluby milczenia, teraz wykrzykują na całe gardło swoje rozczarowanie... Jesienne zapisy do seminariów duchownych i na wydziały teologii poniżej katastrofal-

nych 85%, a to oznacza, jak przewidują mędrcy badający trendy, że zostaną one całkowicie zamknięte, podobnie jak klasztory i wspólnoty zakonne... Futurologzy przewidują, że w pustych kościołach zakładać się będzie restauracje i bary... Samobójstwa, załamania nerwowe i psychiczne, znaczny wzrost przestępczości i sprowadzenie chrześcijaństwa do rangi jednego z kultów.

- Dość! - wykrzyknął Jon, unosząc wysoko ręce. - Moim zdaniem, najtragiczniejsza ze wszystkiego, o czym słyszałem dzisiajszego popołudnia, jest sytuacja umierających, którym odebrano nadzieję na zmartwychwstanie, i to w momencie, kiedy najbardziej jej potrzebowali. Musimy jednak trzymać się porządku dnia. Trzecia część sympozjum będzie poświęcona elegancko sformułowanemu tematowi: „Co dalej?” Czekamy na sugestie.

Wywiązała się najbardziej ożywiona dyskusja w dziejach IPC. Przez salę przemykały sugestie, kontr sugestie; dochodziło do gorących sporów. Jednak późnym popołudniem zaczął rysować się konsens. Kluczowe znaczenie ma seria testów, jakie zostaną przeprowadzone w Smithsonian, ale uczestnicy sympozjum opracowali także własny mistrzowski równoległy plan, który miał być realizowany w oczekiwaniu na rezultaty tych testów. Jon poparł ich zamiary z entuzjazmem; wszyscy przysięgli, że utrzymają ten plan w tajemnicy.

Przed zamknięciem posiedzenia Jon, pragnąc poprawić nastroje, spytał:

- Z jaką najgłupszą reakcją spotkaliście się dotychczas? Mam na myśli coś naprawdę ni w pięć, ni w dziewięć.

Uniosła ołówek Katrina Vandersteen, profesor paleografii semickiej na Uniwersytecie Johna Hopkinsa.

- Przyszedł mi do głowy Maharishi Yogananda, guru wspólnoty koło Monterey w Kalifornii. Twierdzi, że twoje wykopaliska, Jon, dowiodły prawdziwości hinduizmu!

- O Boże, w jaki sposób?

- To szczerza prawda! - W jej oczach zapaliły się kpiące iskierki. - Co śpiewają na dworcach lotniczych ci łysi odziani w pomarańczowe kiecki? *Hare Kriszna, Hare Kriszna... Hare Rama, Hare Rama!* Otóż Maharishi utrzymuje, że sama już nazwa twoich wykopalisk, gdzie „pogrzebano właśnie chrześcijaństwo”, głosi chwałę Ramy, który jest Panem ponad wszystkim!

Sala wybuchnęła śmiechem. Wszyscy wstawali, gotując się do wyjścia. Nagle drzwi otworzyły się szeroko i do sali wpadł niski,

drobny mężczyzna o dobrze już przerzedzonych siwych włosach. Zatrzasnął za sobą drzwi, podszedł do Jona i podniósł na niego wzrok.

- Witam, panie Nickel - powiedział Jon. - Miło mi pana widzieć!
Joshua Scruggs Nickel wrzał gniewem.

- Dlaczego nie zostałem zawiadomiony o dzisiejszym spotkaniu?
- warknął.

- Zamierzałem zrelacjonować panu przebieg obrad podczas naszego jutrzejszego porannego spotkania, panie Nickel, tak jak po wszystkich naszych poprzednich sympozjach. Nie przyszło mi do głowy, że chciałby pan wsłuchiwać się we wszystkie te techniczne szczegóły.

- A szkoda, że nie przyszło panu do głowy! Zwłaszcza że w grę wchodzi nasza wiara!

- Wie pan, że będzie pan zawsze mile widziany...

- Słuchajcie, wy wszyscy! - przerwał mu Nickel. - Wyłożyłem pieniądze na utworzenie tego Instytutu i były to pieniądze, jeśli mnie pamięć nie myli, wcale niemałe. Dwa miliony dolarów! Celem IPC, przynajmniej ja tak to widziałem, było pogłębianie wiedzy o tym, jak nasz Pan i Jego Apostołowie założyli Kościół i powierzyli mu zadanie podboju świata w Jego imię. Mieliście dostarczać nowych danych o życiu Chrystusa i Jego posłannictwie. I przez jakiś czas tak było. Twoją książkę, Jonathanie, przyjąłem z satysfakcją.

Podszedł jeszcze o krok bliżej do Jona i wymachując palcem dla dodania wagi swoim słowom, powiedział:

- Teraz jednak zrujnowałeś wszystko, co osiągnąłeś! Zamiast do starcać dowodów, że chrześcijaństwo jest prawdą, wbiłeś straszliwy sztylet w samo serce naszej wiary! Kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się o twoim przerażającym odkryciu, chciałem posłać ci telegram, ale nie znalazłem odpowiednich słów. I nadal nie potrafię ich znaleźć... poza tymi, które oznaczają... że za to, co w ciebie, w was wszystkich, zainwestowałem, odpłaciliście się zdradą. Jako prawdę podajecie oszustwo i fałszerstwo!

Niski mężczyzna trząsł się z furii. Oczy zaszyły mu łzami, a pomarszczona skóra poczerwieniała, jakby za chwilę miała trafić go apopleksja. Jon spróbował go uspokoić.

- Bardzo proszę, panie Nickel, niech pan usiądzie i pozwoli...

- Pozwól, że zacytuję ci Psalm 1, który ja nadal uważam za słowo Boga. „Szczęśliwy mąż, który nie siada w kole szyderców.” Nie, Jonathanie, nie usiądę. I pozwól, że powiem, jakie mam plany wobec

IPC. Z dniem dzisiejszym cofam dwieście tysięcy dolarów rocznej dotacji i podejmę kroki prawne, żeby odzyskać pierwotny wkład!

Na środku jego czoła pulsowała nabrzmiała żyła i Jon przeląkł się, że Nickel może dostać zawału.

- Proszę, panie Nickel, czy nie moglibyśmy omówić tego dzisiaj przy kolacji?

- Nie, moja decyzja jest nieodwołalna. I tylko jedno mogłoby ją zmienić.

- Co takiego?

- Twoje publiczne wyznanie, Jonathanie, że musiałeś się pomylić. I chcę też, by IPC wydał oświadczenie, że chodzi o diabelskie oszustwo, które zdemaskujecie dzięki dalszym badaniom.

- Ależ o to właśnie chodzi - zapewnił Jon. - Właśnie opracowaliśmy obszerny plan działań mających doprowadzić do wykrycia ewentualnego oszustwa.

- Przedtem jednak zatruwacie świat dowodami, które zdają się wskazywać, że nie ma tu żadnego fałszerstwa! Wystarczy, żebyś ty jako odkrywca jednym słowem wyjaśnił, że chodzi o fałszerstwo, a uspokoiłbyś świat i ocalił Kościół.

- Nie mogę tego zrobić, panie Nickel. Byłoby to sprzeczne ze zdrowymi zasadami nauki. A także ze zwykłą uczciwością.

Nickel przyjrzał się najpierw uważnie Jonowi, a następnie zwrócił się do uczestników sympozjum:

- Doskonale, moi państwo - wyskandował. - W tym momencie przestałem wspierać IPC.

Obrócił się na pięcie i wyszedł.

Wszyscy milczeli przez dłuższą chwilę, a wreszcie ciszę przerwał von Schwendener:

- Zgłaszam wniosek, żebyśmy od tej chwili pracowali bez wynagrodzenia. I żebyśmy pomogli znaleźć inne sposoby subsydiowania IPC.

- Słuchajcie! Cisz! - rozległy się głosy.

Wszyscy zaczęli klaskać.

Wniosek przeszedł jednogłośnie.

Jon odkrył wkrótce, że pozostałe dni listopada i początkowe grudnia nie są zgola jego własnością. Starał się koordynować prace IPC, zagrożonego teraz finansowo, konsultował się z Sandym McHugh w sprawie postępów badań i w tym samym czasie musiał dyktować odpowiedzi na ogromną stertę listów, która nagromadziła się podczas

jego nieobecności. Ale mając do pomocy cud sekretarskiej sprawności przy obróbce tekstów, Marylou Kaiser, wprowadzał do pamięci komputera jednocześnie dwadzieścia listów, dzięki czemu uporał się z prawie 90% korespondencji. Między innymi musiał odwołać rozmaite odczyty i wykłady, do których zobowiązał się, zanim wybuchła sprawa Rama.

Najtrudniejszym jednak zadaniem było odmawianie wywiadów środkiem masowego przekazu. Odkąd paru nieopierzonych, ale przedsięwziętych dziennikarzy udało się w pagórkowatą okolicę na zachód od Cambridge i zastawiło na niego pułapkę we własnym jego domu w Weston, reporterzy nie odstępowali go ani na krok. Policja musiała regularnie patrolować okolice domu, bo jakiś szaleniec cisnął przez okno włócznią, wykrzykując, że jest prorokiem Eliaszem i musi zabić Antychrysta.

Właściwie nie, było coś jeszcze gorszego: życie bez Shannon. Przysłała mu zeszyt z wierszami miłosnymi, które napisała dla niego, i z rysunkami, które przedstawiały ich ulubione miejsca w Galilei. Jon, zwykle nastawiony do wszystkiego bardzo prozaicznie, uznał te wiersze za niewystawienie piękne i zaczął zastanawiać się, co takiego jest w poezji, że stanowi najlepszy sposób wyrażania miłości. Jeden z czarownych rozdziałów, zatytułowany „Nasza miłość jest...” składał się z wypełnionych żarem stron, z których pierwsza poświęcona była przymiotnikowi „wieczna”. Słowa „będę kochać cię do końca świata, do końca czasu” sprawiły, że oczy zaszyły mu łzami, i jeszcze wzmogły tęsknotę nękającą go od chwili przebudzenia rano do zaśnięcia wieczorem. Nigdy nie sądził, że może człowiekowi tak kogoś brakować. Przeładowany rozkład dnia powinien wypełnić pustkę, ale nic z tego. Podświadomie testował swoje uczucie do dziewczyny i oto miał niewątpliwy wynik. Była to najprawdziwsza miłość. Coś więcej, na co język angielski nie ma określenia.

Mówił jej o tym w rozmowach telefonicznych, błagając, żeby przyjechała na Boże Narodzenie do Bostonu. On sam nie mógł wyjechać ze Stanów, gdyż testy były już na ukończeniu. Shannon tęskniła tak samo jak Jon, ale nie mogła opuścić ojca, którego wyczerpały wszystkie przeżycia ubiegłych miesięcy. „Kocham cię bardziej niż potrafię to wyrazić - mówiła przez telefon. - Pojedź na Boże Narodzenie do rodziców do Missouri. Ale wracaj tu jak najszybciej!”

W bożonarodzeniowy ranek odrzutowiec z Jonem na pokładzie wylądował w St. Louis. Jon wynajął samochód, żeby dotrzeć do

położonego 90 mil na północ Hannibal. Była 9³⁰ i jeśli się popieszy, zdążyłby na zaczynające się o jedenastej nabożeństwo w luteranckim kościele Świętego Jana. Jego wizyta miała być niespodzianką - być może niemiłą. Konsekwencje wykopalisk w Rama będą go już nękały, gdziekolwiek się znajdzie.

Zacinający deszcz ze śniegiem opóźnił dotarcie do celu i kiedy Jan wszedł do kościoła, w którym odbyły się jego chrzest, a potem konfirmacja, najciszej jak mógł usiadł w jednej z tylnych ławek, gdyż kongregacja śpiewała właśnie ostatni wers hymnu poprzedzającego kazanie. Jon pamiętał, że na Wielkanoc i Boże Narodzenie kościół był zawsze pełny, zdziwił się więc widząc, że teraz jest na pół pusty. Może to z powodu pogody. Raczej jednak chodzi o wyniki prac archeologicznych prowadzonych niedawno w Izraelu.

Czy ta biała postać w komży, wchodząca właśnie na ambonę, to naprawdę jego ojciec? Widział go ledwie dwa lata temu, a miał wrażenie, jakby wielebny Erhard Weber posunął się o lat dziesięć. Włosy, wtedy lekko przyprószone siwizną, teraz były zupełnie białe. Prostokątna niegdyś twarz, wskutek zapadnięcia się policzków, przybrała teraz kształt trapezu i nabrała bladego odcienia. Na szczęście głos pozostał nie zmieniony.

Pastor zaczął kazanie stanowczym tonem, w którym pobrzmiwało jednak zasmucenie.

- Mamy Boże Narodzenie bardziej wypełnione troską niż radością. Świat zadaje pytanie, czy Kościół zamierza świętować ten dzień. Dwa tysiące lat temu ze Wschodu przybyli mędrcy, by złożyć hołd Dzieciątku Jezus. I oto dzisiaj „mędrcy”, tym razem z Zachodu, niweczą sam rdzeń chrześcijańskiej wiary! Nie aniołowie, ale wątpliwości unoszą się nad Betlejem, gdy nowożytni Herodowie próbują raz jeszcze zabić Dzieciątko...

Jon kręcił się niespokojnie, niepewny, czy ojciec powita go po nabożeństwie jako Jonathana, Heroda czy Judasza. Zawsze umiał znaleźć najtrafniejsze słowa.

Wielebny Weber ciągnął:

- Fragment, który wybrałem, nie zabrzmiał może w waszych uszach zgodnie z duchem Bożego Narodzenia, potem jednak uznacie go pewnie za właściwy. Mam na myśli Mateusza 24, 23-24, gdzie Jezus mówi uczniom: „Jeśli wam kto powie »Oto jest Mesjasz« albo »Tam«, nie wierzcie! Powstaną bowiem fałszywi mesjasze i fałszywi prorocy”. Wierzcie całym sercem, że to właśnie proroctwo wypełnia

się dzisiaj, moi bracia w wierze. Powiadają nam, że gdzieś w Izraelu znaleziono szczątki Jezusa Chrystusa, ale Pan powiedział przecież: „Nie wiercie!”

Jon znowu poruszył się w swojej ławce i założył ciemne okulary, żeby nikt nie rozpoznał „fałszywego proroka”, który zjawił się między nimi.

Nagle twarz mężczyzny na ambonie rozjaśniła się, pojawił się na niej nawet uśmiech.

- Nie, moja Trudi i ja zamierzamy świętować Boże Narodzenie. Będziemy śpiewać z aniołami, oddawać hołd z pasterzami, kłaniać się z trzema królami! Nieważne, co mój syn i inni archeolodzy sądzą o swoim odkryciu, nigdy bowiem nie uda się im usunąć Chrystusa z Bożego Narodzenia.

Reszta kazania utrzymana była w tonie mniej polemicznym, bardziej pasującym do świątecznego dnia, ale Jon czuł, że nie powinien stawiać swojego ojca w kłopotliwej sytuacji, witając się z nim w drzwiach kościoła. Kiedy więc pastor zszedł z ambony, Jon wymknął się na zewnątrz.

Deszcz ze śniegiem ustał, przejaśniło się. Dla równowagi nastrojów Jona znacznie się pogorszył. Poszedł nad Mississippi, w miejsce, gdzie lubił przychodzić jako chłopiec. Przechadzał się po starej, rozchwianej przystani, a potem oparł się o pachofek do cumowania i wpatrywał się w spienioną, lodowatą, szarą wodę, która, jeszcze nie zamrznięta, pędziła ku Nowemu Orleanowi. Oto, jakie szkody on sam, Jennings i cała ich ekipa wyrządzili życiu Kościoła na poziomie zwykłych wiernych... To samo działo się zapewne na całym świecie. Dobry Boże, czy nie powinniśmy raczej sprowadzić buldożera i zasypać tego miejsca tonami ziemi, zamiast doprowadzać do kryzysu na taką skalę? Doszło do tego, że własny ojciec publicznie go potępiał!

Spojrzał w stronę wyspy spiętrzającej się we wzgórzu na środku rzeki, w stronę krainy Tomka Sawyera, Huckleberry Firma i Marka Twaina, do której często wyprawiał się jako chłopak. Jakże by Sam Clemens zaśmiewał się z całego tego kryzysu - rozmyślał Jon. Poza niezwykłym poczuciem humoru i przenikliwym umysłem najślawniejszy syn Hannibal miał też swoją gorzką, antyreligijną stronę, jak świadczą o tym *Letters from the Earth*.

I może Twain miał rację - przyznawał w końcu Jon. I nie tylko Twain, ale cała liberalna teologia, która od czasów Davida Straussa w Niemczech i Ernsta Renana we Francji, a więc od dziewiętnastego

wieku twierdziła, że Jezus nie zmartwychwstał w sposób fizyczny. Tak, może najwybitniejsi krytycy biblijni, na czele z Rudolfem Bultmannem, mieli jednak rację. Nie było zmartwychwstania i tylko wiara i przekonanie nadały temu tak ogromne znaczenie. A cały jego konserwatywny Kościół luterński - wraz z niedzielną szkołą katedralną, nauczaniem Biblii i ciągnącymi się bez końca kazaniem - był przez cały czas w błędzie.

Jeśli jednak tak jest i jeśli prawda wyzwala, dlaczego czuje takie przygnębienie? I dlaczego tak czeka na telefon od Sandy'ego McHugh, który obiecał, że zadzwoni w poniedziałek? A poza tym wszystkim, gdzie odbierze ten telefon, skoro postanowił, że nie pokaże się u rodziców?

Idąc wolnym krokiem, opuścił nabrzeże, otulił się szelkierem, żeby zasłonić się od północnego wiatru, i przyspieszając kroku, ruszył w stronę wynajętego samochodu. Po przejechaniu ledwie sześciu mil w stronę St. Louis powiedział do kierowcy: „To głupi sposób spędzania Bożego Narodzenia!”

Zahamował na poboczu, zawrócił przez pas zieleni między pasami ruchu, omal nie zsunął się z drugiego pobocza, ale zdołał opanować samochód, i ruszył z powrotem do Hannibal. „Zobaczymy, czy matka poda heretykowi niedzielnego kurczaka i placek z czereśniami.”

Powitał ich słowami, jakich można się było spodziewać:

- Witaj, tato! Wrócił syn marnotrawny!

Wielebny Erhard Weber patrzył na niego przez chwilę z osłupieniem, ale zaraz przycisnął syna do piersi. Matka łkała z radości w ramionach Jona.

- O Jonathan, mój Jonathan, wreszcie wróciłeś!

- Przepraszam, że nie dzwoniłem częściej, mamo. Wiesz... wiesz, jaka jest sytuacja...

- Oczywiście, oczywiście!

Na moment popadła w przygnębienie. Jednak już po chwili ta smukła, siwiejąca kobieta o szlachetnych rysach twarzy i mrugających niebieskich oczach doszła do siebie i podała wspaniały świąteczny obiad, za którym Jon tęsknił od wielu lat.

Większość popołudnia minęła mu na rozmowie z ojcem, który opowiadał, jak Ameryka zareagowała na odkrycie w Rama.

- Och, Jon, nie uwierzyłbyś, co stało się z naszym umiłowanym Kościołem! I z innymi Kościołami. Pastorzy rzucają stan kapłański, kongregacje opuszczają swoich kapłanów, zamyka się seminaria.

Agnostycy i ateści wrzeszczą: „Widzicie? Mieliliśmy rację!” Stowarzyszenie na Rzecz Postępu Ateizmu, *American Association for the Advancement of Atheism*, wróciło do życia... więcej, rozrasta się lawinowo. I oczywiście każdy liberalny teolog aż piszczy z radości, nawet na najżarliwszych religijnie obszarach kraju.

- Jak zareagowali żydzi? - spytał Jon.

- Z umiarem. Z godnym szacunku umiarem. Sądzę jednak, że niektórzy z ich przywódców czują, że nadszedł ich wielki moment. Chętnie ogłaszają, że ateizm nie jest tu właściwą odpowiedzią, że jest nią judaizm.

- To zrozumiałe. Trudno ich ganić, aczkolwiek to wszystko jest przedwcześnie.

Raz jeszcze użył tego przymiotnika, który zaczynał już budzić jego nienawiść.

- Rabin Judah Weiss ze Związku Hebrajskiego w Cincinnati wygłosił na ten temat komentarz. Oświadczył: „Słabym punktem chrześcijaństwa jest to, że uznało, iż Bóg przyjął ciało w osobie Jezusa. Judaizm nigdy nie przedstawiał siebie w ten sposób. Tylko Bóg jest Bogiem. Nikt inny”.

Jon skinął głową.

- A jak poradził sobie z sytuacją „Kościół elektroniczny”?

- Masz na myśli kaznodziejów telewizyjnych? Ich nic nie poruszy! Myślisz, że skandale Jima Bakker'a albo Jimmy'ego Swaggarta nauczyły ich czegokolwiek? Nic podobnego, są coraz gorsi.

- Miałem na myśli to, czy wpadli w panikę. Czy stracili rozmach? Wyrzekli się swojej wiary?

Ojciec uśmiechnął się.

- Nie wyrzekli się wiary, ale rozmach, owszem, stracili. Ich pogoń za sensacją, ich widowiskowy styl nabrały akcentów jeszcze bardziej histerycznych. O, jestem pewny, że uratują wiarę i będą umieli poradzić sobie z martwym ciałem Jezusa. - Nagle drgnął i szepnął: - Nie mogę uwierzyć, że powiedziałem coś takiego.

- Co mówi Melvin Morris Merton?

- Milenijny Mel? Trzy M Mistrza? Jest najgorszy. Głosi koniec świata... „Dotknijcie odbiorników TV, byśmy trzymali się za dłonie przy modlitwie!”... „Zamówcie moje szaty modlitewne!”... „Pokój! Pokój!”... „Sprzedajcie wszystko, co macie, i przyślijcie mi zapłatę, bo nadszedł wielki kryzys!” Trudno o coś lepszego dla tego drania niż to, czego dokonaliście, Jon. Chociaż - zachichotał - nasz Mel nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, że jesteś samym Anty-

chrystem albo jego prawą ręką. Żaden jego show nie obejdzie się bez skarcenia złego ducha w tobie i profesorze Jenningsie. Chce nawet cię wyegzorcyzmować w Izraelu. Ni mniej, ni więcej tylko na Górze Oliwnej!

- Doprawdy? To ten tandetny aktorzyzna potrzebuje egzorcyzmów. Już ja wytlukę diabła z tego błazna, jeśli spróbuje tknąć mnie palcem!

- Mam takie same uczucia do każdej pijawki, która chce zbić majątek na tej sytuacji, a niejednemu wcale niegorzej się to udaje. Może w Nowej Anglii nie rzuca się to tak w oczy, ale odkąd tylko wiadomość rozeszła się po kraju, chrześcijaństwo w najbardziej tandetnej wersji wciska się na każdy kanał telewizyjny. I to nie tylko codziennie; niektórym udaje się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę okaleczać w straszliwy sposób Ewangelię. Na Południu musisz nawet przeskakiwać z kanału na kanał, żeby znaleźć dobry świecki program. Bo prawie wszędzie jakiś Elmer Gantry napomina swoich widzów, żeby przysłali pieniądze dla Chrystusa. Często taki kaznodzieja ma przy sobie wymalowaną piękność, a na dodatek wykrzykuje swoje mądrości takim samym jak on kretynom, których zebrał sobie w studio, żeby okazywali zachwyt każdym słowem. I co tu mówić o wypowiedaniu imienia Boga nadaremno! Ci cwaniacy opanowali to do perfekcji. „Okażcie hojność, bracia i siostry! Ofiara dla Zbawiciela, dla Jezusa sprowadzi na was błogosławieństwo!”

Jon był zachwycony tym, że ojciec jest w takiej wysmienitej formie oratorskiej. Najwyraźniej ani Rama, ani wiek nie przyćmiły mu władz umysłowych.

- Co o naszych wykopaliskach mówią stacje pirackie?

- Zaraz ci powiem. Jeszcze nie skończyłem z tamtymi. I jaka muzyka towarzyszy tym widowiskom! Jakiś podstarzały sopran szczebiocze o tym, jak to Jezus uzdrowił ją z uderzeń krwi do mózgu. Można też wykorzystać to, że skończyło się studia, a oni wszyscy skończyli, bo to przecież symbol statusu społecznego, i ściągnąć dzieciaki ze swojej uczelni. Włożą całe serce w śpiew, byleby dotrzeć do twojego serca... i portfela! I na dodatek słowa zachęty: „Pozwólcie, że przyślę wam moją najnowszą książkę, Jezus powiedział mi, kiedy przyjdzie koniec świata!”... Co się stało z krzyżem? Z poważnym kaznodziejstwem? Z Bachem i Handlem? Jeśli taka ma być wiara, jako chrześcijanin i kapłan nie śmiem spojrzeć światu w oczy!

- Uspokój się, Erhardzie! - zawołała z kuchni matka Jona. - Twoje kazanie skończyło się w kościele!

Uśmiechnął się i odkrzyknął:

- Wiem, wiem, Trudi... Wracając jednak, Jonathanie, do twojego pytania. Tak, najgorsi z tych telewizyjnych „apostołów” starają się przy okazji całej sprawy upiec własną pieczeń. A w gruncie rzeczy gotów byłbym przyznać, że Mel Merton nie jest wcale najgorszy. Moim zdaniem najgorszy jest ten brodaty facet, wybryk natury z Alabamy, który przebiera się w kostiumy z Wojen gwiezdnych i swoim gardłowym głosem wprowadza słuchaczy w trans. Ostatnio każdy swój program zaczynał od pokazania malowanych portretów, twojego i profesora Jenningsa. Ryczał przy tym: „Oto pomiot Antychrysta! Napominam was, potępiam was w imię Ojca (w tym miejscu obrzucał oba portrety błotem) i Syna (garść błota dla każdego), i Ducha Świętego!” W tym punkcie programu słuchacze w studio wpadali w szal. Tak, to absolutny rekordzista, ale Mel Merton ma znacznie więcej zwolenników, nic więc dziwnego, że zaprosili go na dzisiejszy wieczór jako jednego z uczestników programu.

- Jakiego programu?

- W CBS. Nazywa się to Kryzys chrześcijaństwa. CBS wykreśliło z dzisiejszego programu 60 Minut, a robią to bardzo rzadko, żeby nadać dwugodzinny program specjalny. Pierwsza część to relacja z waszych wykopalisk, a druga dyskusja panelowa...

- Och, ma to prowadzić Marty Marty? Tak, przypominam sobie. Zaprosili mnie, ale nie miałem czasu. To dzisiaj?

- Tak. Oczywiście uznali, że mają najodpowiedniejszy program na Boże Narodzenie. CBS zadbało o reklamę. Pewnie połowa kraju zasiądzie przed telewizorami.

Po zjedzeniu podanego przez panią domu ulubionego dania Jona wszyscy troje zasiedli w saloniku, żeby obejrzeć dyskusję. Część dokumentalną poprowadził Dan Rather. Przedstawiono film z wykopalisk i konferencji prasowej w Jerozolimie.

- Świetnie się prezentujesz, synku - powiedziała cicho matka.
- Kim jest ta miła dziewczyna, która siedzi obok ciebie?

- To Shannon Jennings, córka profesora Jenningsa. - Widok ukochanej kobiety zaparł Jonowi dech w piersi. - Chcę się z nią ożenić.

- Co?! - wykrzyknęła matka. - Słyszałeś, Erhardzie?

- Sza! Tak, słyszałem. Świetna wiadomość, synu! Ale patrzcie, teraz przeprowadzają rozmowy z przywódcami państwowymi.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, premierzy Kanady i Anglii,

a także inni zachodni szefowie państw ostrzegali przed wyciąganiem pochopnych wniosków, dopóki badania nie zostaną zakończone.

- Wypiłbym za takie postawienie sprawy! - oznajmił Jon i ojciec przyniósł piwo prosto z lodówki.

Następnie wypowiadali się przywódcy religijni. Papież powiedział: „Ani przez moment nie wierzyłem, nie wierzę i nie uwierzę, że szczątki odkryte w Izraelu są szczątkami Jezusa!” Arcybiskup Canterbury, Biskup Berlina, który był głową Światowej Federacji Luteranckiej, i prezes Światowego Przymierza Kościołów Reformowanych wyrażali podobny pogląd, aczkolwiek wstrzymali się przed użyciem czasu przyszłego.

Inna nieco była reakcja w krajach nie należących do bloku zachodniego. Rosyjski prezydent był znacznie bardziej dyplomatyczny w swojej wypowiedzi niż cytowany teraz powszechnie artykuł z „Nowej Prawdy”. Siedząc za biurkiem i patrząc prosto w dopuszczoną na Kreml kamerę sieci CBS, Arkadij Rozomow oznajmił za pośrednictwem tłumacza:

Chciałbym moim amerykańskim przyjaciółom złożyć życzenia wszystkiego najlepszego z okazji Bożego Narodzenia. Wczuwamy się także w sytuację, jaka się u was wytworzyła wskutek odkrycia w Izraelu szczątków, które mogą okazać się szczątkami Jezusa. Nie naszą rzeczą jest komentowanie tej kwestii, ale myślimy, że w razie konieczności powinniście otworzyć się na inne nurty życia duchowego. Niech przyroda i nauka, logika i dobra wola będą fundamentem naszej przyszłości, nie zaś to wszystko, co może okazać się błędnym spojrzeniem na przeszłość. Dołączcie do nas i razem świętujmy przyjście Dziadka Mroza i pięknego Nowego Roku, który przyniesie on nam w swoim worku. Zwrócę się więc do was wszystkich nie ze słowami »Wesołych Świąt«, ale z innymi »S Nowom Godom«, »Szczęśliwego Nowego Roku«!

- Na szczęście Rozomow wygrał walkę o władzę na Kremlu!
- powiedział Jon, unosząc rękę z piwem jakby przepijał do ekranu telewizora.

Jednak matka ocierała chusteczką oczy. Jon nie pytał, dlaczego. Zastanawiał się, dla ilu jeszcze milionów ludzi na świecie nowym symbolem Bożego Narodzenia nie będą pasterze czy mędrcy ze Wschodu, nie żłobek albo gwiazda betlejemska, ale znak zapytania. I co Sandy McHugh będzie miał do powiedzenia nazajutrz rano?

Przez pierwszą godzinę programu nie było żadnych reklam. Potem

nadano bardzo taktowną reklamę IBM, ale niewielu Amerykanów ją obejrzało, gdyż większość skorzystała z przerwy, żeby udać się do toalety.

Teraz kamera skierowała się na niewysokiego, łysiejącego geniusza, doktora Martina E. Marty'ego. Marty, uważany za najbardziej po Billym Grahamie wpływową postać w amerykańskim świecie chrześcijańskim, przetrawił i zinterpretował więcej artykułów i książek na temat obecnej sytuacji Kościołów niż kto inny na naszym globie. Niektórzy twierdzili wręcz, że nawet Pan Bóg zaprenumerował wydawany przez Marty'ego biuletyn „Kontekst”, aby mieć zapewniony dostęp do najświeższych informacji, aczkolwiek sam Marty temu zaprzeczał - z pewnym smutkiem, jak uważał ten i ów.

Otworzył dyskusję swoim piskliwym głosem:

„Dobry wieczór państwu. Zaprosiliśmy do nas specjalistów z rozmaitych dziedzin, z którymi będziemy zastanawiać się nad ostatnimi odkryciami archeologicznymi, jakich dokonano w Izraelu. Przykro mi, że nie ma z nami profesora Jonathana Webera. Najdalej po mojej lewej stronie, ale po prawej stronie na państwa ekranach, a więc zgodnie z głoszonymi poglądami teologicznymi, zasiada wielobny doktor Melvin M. Merton, reprezentant najbardziej konserwatywnego skrzydła w dzisiejszym chrystianizmie. Przy mnie zasiada człowiek, którego nie trzeba państwu przedstawiać, doktor Billy Graham. Po mojej prawej, a państwa lewej stronie siedzi rzymskokatolicki arcybiskup Nowego Jorku, kardynał Patrick O’Neill. A wreszcie doktor Thomas Aquinas Avery, profesor teologii systematycznej w Seminarium Zjednoczenia Teologicznego w Nowym Jorku”.

- Wyśmienicie! - powiedział ze smutkiem ojciec Jona. - Nie zapomnieli o niewiernym Tomaszu Averym. Ten z pewnością będzie zachwycony tym, co odkryjecie, Jon. Lub co rzekomo odkryjecie.

Marty ciągnął:

„Panowie, wykopaliska w Rama skupiły na sobie uwagę mass mediów w ostatnich miesiącach. Dzisiaj chcemy was poprosić o komentarz na temat ewentualnych konsekwencji odkrycia, nie zaś jego autentyczności, ta kwestia bowiem pozostaje dotychczas nie rozstrzygnięta. Oczywiście te konsekwencje zależą wyłącznie od autentyczności i jeśli okaże się, że chodzi o fałszerstwo, wszyscy będziemy mieli poczucie, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Jednak dzisiaj nasze pytanie brzmi: »Jaki będzie wpływ odkryć w Rama na wiarę chrześcijańską, jeśli zostanie potwierdzona ich autentyczność?« Proszę, może najpierw doktor Merton”.

Wyraźnie górujący doświadczeniem telewizyjnym nad pozostałymi doktor Melvin M. Merton, czarnowłosy mężczyzna o zapadniętych policzkach, przypominających bochny chleba dłoniach, którymi często walił w pulpit, dał brawurowy pokaz swoich umiejętności oratorskich, zjadliwie atakując izraelskie odkrycia i odkrywców. Jonathan Weber to nowy Charles Dawson, to ktoś, kto podsunął łatwowiernemu światu nową wersję rzekomego „człowieka z Pilt-down”. „Wrócił duch Antychrysta” - grzmiał Merton.

W dalszym ciągu swojej wypowiedzi oznajmił:

„Księga Objawienia powiada, że Antychryst zasiądzie w świątyni Boga. Zawsze uważaliśmy, że chodzi o nową świątynię w Jerozolimie. Jednak po pilnym studiowaniu tekstu Biblii i po tym, co objawił nam kilka tygodni temu sam Jezus, a są to rzeczy zbyt święte, by opisywać je uszom śmiertelników, jestem teraz pewny, że Antychryst zasiadający na tronie oznacza ostateczny atak na Chrystusa w samym sercu Kościoła. Tak więc ci archeolodzy, powitani owacyjnie przez agnostyków stojących na czele Kościołów, bezpośrednio wypełniają prorocstwo Księgi Objawień i tym samym nadchodzi kres czasów... O, Jezu, dziękuję Ci, dziękuję Ci!”

Merton uniósł ramiona i prawie wykrzyczał zakończenie swojej oracji:

„Pokazałeś nam, o Panie, że Twoje przyjście jest bliskie! A teraz zechciej strącić sprawców tego fałszerstwa w najgłębsze otchłanie czeluści! Amen! Amen!”

- Nie wiesz, tato, gdzie mógłbym zaopatrzyć się w azbestowy dres do joggingu? - spytał Jon. - Biedny Marty Marty... Jak poradzić sobie z tym pajacem nie tracąc zimnej krwi? Mogę postawić sto dolarów przeciwko jednemu, że robił, co mógł, żeby nakłonić swoich szefów z CBS do rezygnacji z udziału Mertona.

Marty, okazując imponującą powściągliwość, zwrócił się teraz do kardynała O’Neilla.

Patrick kardynał O’Neill, srebrzystowłosy mędrzec, który swymi szerokimi ramionami i mocną budową ciała dominował nad pozostałymi uczestnikami dyskusji, mimo że tym razem nie miał na sobie kardynalskiej purpury, zaczął rozważnie:

„Kościół katolicki zgadza się z doktorem Mertonem, że szczątki odkryte w Izraelu nie mogą być szczątkami Jezusa, ale poza tym nie zgadza się z nim w prawie żadnym innym punkcie”.

- Świetnie! Pokaż mu, O’Neill! - wykrzyknął ojciec Jona w stronę

ekranu telewizora. Wszyscy troje chichotali, kiedy O'Neill punkt po punkcie unicestwiał zwariowany millenaryzm Mertona i jego twierdzenie, że doznał osobistego objawienia.

„Czy naprawdę możemy wierzyć w Jezusa, który przemawia wyłącznie do doktora Melvina Mertona? Jeśli zaś chodzi o wskazany przez niego czas powtórnego przyjścia Jezusa, przypomnijmy, że rozmaici fanatycy prorokowania bawią się w to od wieków, przy czym szczególnie upodabali sobie daty kończące się trzema zerami. Można więc śmiało przewidywać, że ponieważ zbliżamy się do roku dwutysięcznego, rychło zaroi się od proroków szafujących obłądnymi przepowiedniami. Czy pamiętacie, moi panowie, co były sekretarz spraw wewnętrznych James Watt powiedział Komisji Kongresu? Ameryka nie musi lękać się o zasoby naturalne po roku 2000, gdyż wielkie Millenium oznaczać będzie albo unicestwienie, albo przeobrażenie istniejącego świata. Otóż, ten bezbożny nacisk, jaki pan, doktorze Merton, i dziesiątki podobnych do pana kaznodziejów kładziecie na koniec świata, prowadzi do podobnie nieodpowiedzialnych postaw.”

Przez chwilę przyglądał się Mertonowi, a potem wyłożył swój pogląd na sprawę Rama. Był to pogląd podobny do tego, który już przedtem przedstawił papież.

Prowadzący dyskusję Marty, który z trudem powstrzymywał drażniący uśmiech podczas wystąpienia O'Neilla, teraz przedstawił trzeciego dyskutanta:

„Profesor Thomas Aquinas Avery z Seminarium Zjednoczonej Teologii w Nowym Jorku studiował u Rudolfa Bultmanna. Niedawno oświadczył publicznie, że odkrycia w Rama, które uważa za autentyczne, są, według jego słów »zgodne z chrześcijaństwem, a nawet spodziewane«... Profesor Avery”.

Starszy już członek bostońskiej elity, przemawiający stosownym do swej pozycji akcentem Avery miał gęstą śnieżnobiałą czuprynę i arystokratyczne rysy twarzy. Jego oliwkowozielone oczy zaiskrzyły się.

„Chociaż istnieją setki rozmaitych Kościołów, mamy tylko dwie podstawowe teologie - oczywiście z pewnymi wariacjami. Jedna charakteryzuje się spojrzeniem konserwatywnym, jeśli nie fundamentalistycznym, i kładzie nacisk na dosłowną interpretację Biblii jako »natchnionej przez Boga« albo »Słowo wolne od błędu«. Druga odznacza się podejściem bardziej naukowym i logicznym, uczciwie rozpatruje oczywiste błędy zawarte w Biblii, stara się zidentyfikować ludzkie, nie zaś Boskie, źródła, z których korzystali redaktorzy, zba-

dać, w jaki sposób używali tych źródeł, by zrealizować swoje cele, a tak zwane »cuda«, zrelacjonowane w Piśmie, odrzuca jako zwykłe legendy. Dotyczy to także twierdzeń, że Jezus kogokolwiek wskrzesił albo że sam powstał z martwych. Nic więc dziwnego, że odkrycie w Izraelu szczątków Jezusa zgoła nas nie zaskoczyło. Przeciwnie, niektórzy z nas przewidywali taką możliwość, uważając zresztą, że nie będzie to miało najmniejszego wpływu na chrześcijaństwo, chrześcijaństwo właściwie rozumiane.”

- Oczywiście, niewierny Tomaszu! - wykrzyknął wielebny Erhard Weber w stronę szklanego ekranu. - Jest to tylko sprzeczne z istotą naszej wiary, tylko tyle!

- Uspokój się, kochanie! - prosiła pani Weber. - Chciałabym posłuchać, jak broni swojego punktu widzenia.

Avery ciągnął:

„Wielu moich kolegów, podobnie jak ja sam, było nieco zawiedzionych tym, że archeolodzy z Rama okazali taką powściągliwość w sprawie potwierdzenia autentyczności znalezisk. Gdyby jakiegokolwiek inne tego rodzaju znalezisko było tak bogato udokumentowane, dawno już ogłosiliby, że jest autentyczne!”

- Nie spiesz się tak, Avery! - tym razem do ekranu przemówił Jon. Ale Avery nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

„Wielu z was zastanawia się być może, na jakiej podstawie twierdzą, że świadome siebie i dojrzałe chrześcijaństwo nie ucierpi w wyniku tych odkryć. Najważniejsze wydarzenie tamtej pierwszej Wielkiej Nocy to bynajmniej nie wskrzeszenie martwego ciała - było to bowiem niemożliwe wtedy, tak samo jak jest niemożliwe teraz, nawet dla specjalistów klasy doktora Mela Mertona! Ważna jest wiara, ważne jest przekonanie, że możemy przewyciężyć zło i strach przed śmiercią, tak jak dokonał tego Jezus. Dał nam wielki przykład. Z godnością patrząc prosto w twarz śmierci, naprawdę nad nią zatryumfował. Dzięki Jezusowi wiemy, jak to osiągnąć, wskazał bowiem drogę do odnowionego życia, nam zaś wystarczy, byśmy poszli za Jego przykładem.”

- Bultmann w najczystszy wydaniu - skomentował to ojciec Jona. - Mam nadzieję, że Billy Graham przyprze go do muru.

Twarz Grahama poczerwieniała nieco podczas wystąpienia Ave-ry'ego. Kiedy Marty udzielił mu głosu, kościasty, sympatyczny kaznodzieja umiał znaleźć słowa, które wkrótce nadały jego wypowiedzi najwłaściwszy rytm i intensywność.

„Chciałbym, żeby profesor Avery spróbował podzielić się swoim poglądem z kimś, kto znalazł się na progu śmierci. »To koniec, przyjacielu! - musiałyby mu powiedzieć. - Trzymaj się! Staraj się przyjąć to tak samo jak Jezus. Nie ma nadziei, nie ma życia po śmierci, nie ma nic! Przygotuj się na proces rozkładu!« Proszę porównać takie słowa z wiarą, którą zawsze tętniło chrześcijaństwo, z wiarą, że Jezus naprawdę wstał z martwych - fizycznie, historycznie, faktycznie i materialnie! Taką Wielką Noc głosili wszyscy najwcześniejsi świadkowie, taką głosił Kościół chrześcijański jako całość, dopóki paru teologów nie zaczęło wmawiać nam w ubiegłym wieku czegoś innego. I dopóki nie doszło do tego, o czym wszyscy wiemy.”

- Dalej, Billy, dalej! - wykrzyknął pastor Weber. - Pora na świętego Pawła!

I wydawało się, że Graham go usłyszał, bo ciągnął następująco: „Najwcześniejsze teksty Nowego Testamentu wyszły spod pióra świętego Pawła, a on nie miał najmniejszych wątpliwości. »Jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara - powiedział. - Jeżeli tylko w tym życiu w Chrystusie nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania.« Potrafię zrozumieć to, że ktoś, na przykład profesor Avery, wątpi w zmartwychwstanie. Ma do tego prawo. Sprzeciwiam się jedynie twierdzeniu, że takie jest historyczne chrześcijaństwo. Nie jest takie! Jezus, o którym mówi profesor Avery, jest tylko nauczycielem, jednym z tych szlachetnych nauczycieli w rodzaju Sokratesa czy Arystotelesa. Pańskie rzekome chrześcijaństwo jest tylko systemem etycznym, a nie religią”.

- Dobrze, Billy! - powiedziała pani Weber, dołączając do jednostronnej rozmowy, jaką jej mąż prowadził od jakiegoś czasu z telewizorem. - Jeden Billy Graham głosił przez wszystkie te lata wiarę, nie próbując wtłoczyć nam do głowy tych bzdur, które opowiadali inni kaznodzieje telewizyjni.

Głos zabrał prowadzący:

„Dziękuję panom za określenie swojego stanowiska. Otwieramy teraz dyskusję... Profesor Avery”.

Była to jedna z najbardziej pamiętnych dyskusji. Miała stać się w przyszłości telewizyjną klasyką, gdyż rzadko zdarzało się, by rozmaite szkoły myśli chrześcijańskiej wypowiadały się tak jasno i jednoznacznie. Avery umiejętnie bronił liberalnej teologii, powołując się na to, że wielu duchownych podziela ten pogląd, lecz milczy, by nie stracić stanowisk kościelnych.

„Według sondaży - ciągnął - mniej więcej połowa pastorów amerykańskiego Kościoła metodystów nie wierzy w cielesne zmartwychwstanie. Tak samo trzecia część kapłanów prezbiteriańskich i anglikańskich. Jezus z pewnością zmartwychwstał, ale zmartwychwstał w umysłach i sercach swoich uczniów. A Jego życie i śmierć wywarły tak ogromny wpływ na dzieje świata, gdyż z całą pewnością zmartwychwstało Jego posłannictwo. I takie, moim zdaniem, jest znaczenie Wielkiej Nocy.”

Dyskusja stawała się coraz gorętsza, poglądy wyrażano w coraz ostrzejszych słowach. Na szczęście nikt nie zwracał specjalnej uwagi na Mertona, co najwyraźniej było dla niego wielkim rozczarowaniem. Kardynał O'Neill zapytał, czy teologia lewicowa rzeczywiście przeniknęła tak znaczny odłam chrześcijaństwa.

Avery natychmiast odparował:

„Pewien profesor z Berkeley stwierdził, że na dziewięć katolickich i protestanckich szkół skupionych tam w Związku Uczelni Teologicznych nie zna ani jednej, w której znacząca część ciała profesorskiego uznawałaby cielesne zmartwychwstanie. Proszę panów, wytworzyła się ogromna przepaść między tym, w co wierzą teolodzy i uczeni, a tym, czego przywódcy Kościołów, księża i pastory nauczają swoje owieczki. Gdyby byli uczciwsi wobec swoich wiernych, nie przeżywaliby teraz takich strasznych chwil!”

Słuchacze w studio przyjęli tę ostatnią uwagę oklaskami jedni, sykami drudzy. Prowadzący dyskusję Marty robił co mógł, żeby przywrócić porządek i skierować znowu dyskusję na właściwe tory. Poprosił o podsumowanie. Avery z jeszcze większym naciskiem powtórzył, że świat chrześcijański powinien przygotować się do zaakceptowania tego, co „uczciwa nauka” mówi od wielu lat.

„Niektórzy ujmują to bardzo trafnie: »Kiedy jakiś długo wyznawany pogląd zostanie wreszcie obalony, dla człowieka nauki jest to tryumf, dla polityka kłopot, a dla teologa katastrofa«. Otóż rozumni duchowni unikają katastrofy, dochodząc do wniosku, że nasze stanowisko jest słuszne. Najwyższy czas, żeby pomogli w szerzeniu naszej teologii w laikacie. Od Jezusa nadal możemy nauczyć się mnóstwa rzeczy. Nie musimy porzucać Jego przykładu dlatego, że odnaleziono szczątki. Przeciwnie, dowodzą one, że Jezus historyczny istniał naprawdę!”

W Hannibal Jon znowu zaczął się wiercić na krześle na przypuszczenie, które przedstawia się teraz jako fakt, aczkolwiek nie mógł też

powstrzymać się przed snuciem rozważań na temat kształtu chrześcijaństwa bez cieleśnie zmartwychwstałego Chrystusa. Co ma do zakomunikowania Sandy?

Pozostało pięć minut do zakończenia programu. Zaszczyt ostatecznego podsumowania dyskusji przypadł Billy'emu Grahamowi jako najwybitniejszej postaci amerykańskiego życia religijnego. Po ostatniej podróży na Południe Ameryki twarz miał pokrytą opalenizną, a w jego przenikliwych niebieskich oczach płonął ogień wiary, której nic nie zdoła naruszyć.

„Chociaż nie twierdzę, jak obecny tutaj doktor Merton, że mam dar prorokowania, przepowiadam, że Rama okaże się najbardziej wyrafinowanym oszustwem, jakie kiedykolwiek przygotowano. Jeśli chodzi o podjętą przez profesora Avery'ego próbę głoszenia chrześcijańskiego orędzia odartego z prawdziwego zmartwychwstania, muszę przyznać, że czołowy żydowski uczonec, doktor Geza, ujął to znacznie lepiej. Twierdzi mianowicie, że ci, którzy wierzą w teologię Bultmanna (i Avery'ego), „stoją nogami na gruncie historii, a głowę mają w obłokach wiary”. Święty Paweł nie miał na myśli niczego tak mglistego, kiedy pisał: »I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierzchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek inne stworzenie (także żadne fałszywe odkrycia - mógłby dodać) nie zdołają nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym«, w naszym zmartwychwstałym Panu, który naprawdę zatryumfował nad śmiercią w tamtą pierwszą Wielkanocną Niedzielę i którego zwycięstwo nad grobem dla nas jest obietnicą życia wiecznego!”

Ojciec zaczął klaskać, matka ocierać oczy, więc Jon podniósł słuchawkę telefonu, który zaczął dzwonić, gdy tylko Marty Marty wygłosił swój ostatni komentarz.

- Dom pastora Webera - powiedział.
- Jonathan?
- Tak...
- Sandy. Mamy wyniki. Czy możemy rozmawiać?

XVIII

Przez kilka dni Jon z niecierpliwością czekał na wieści od Sandy'ego, ale teraz, kiedy już miał je otrzymać, wolałby prawie, by nie znać ich jeszcze przez ten tydzień. Być może następne piwo wypite w towarzystwie ojca i przy słuchaniu *Weihnachtsoratorium* Bacha byłoby miłym kontrapunktem sprawy Rama.

- Jon, jesteś tam? Możemy rozmawiać? - powtórzył Sandy.
- Jasne. Gadajże, Sandy! Myślałem, że zadzwonisz jutro.
- Nie wiedziałem, jak długo zostaniesz rano. Oglądałeś telewizję?
- Tak. Przed chwilą wyłączyliśmy.

Na wschodnim końcu linii zapanowała cisza.

- Sandy? Jesteś tam?
- Ach!... Jestem. Jon, nie wiem po prostu, jak to powiedzieć. Tyle od tego zależy. To znaczy, kim jestem... kim jesteś ty... Być w zwrótnym punkcie historii...

- Sandy, czy możesz na chwilę zapomnieć, że jesteś narzędziem w rękę przeznaczenia i podać mi wyniki?

Jon starał się, żeby jego głos brzmiał jak najbardziej rzeczowo, ale czuł pulsowanie w skroniach - pewnie tak samo jak Sandy.

- Jesteś pewny, że możemy rozmawiać? Żadnych magnetofonów?
- To mało prawdopodobne. Wiesz, tu, na prowincji, stosują za zwyczaj sygnalizację dymem z ogniska.
- Okay. Wszystkie szczegóły będziesz miał w dokumentacji, trzysta siedemdziesiąt siedem stron, a teraz podam ci tylko ostateczny wynik.

- Doskonale.
- Zatem zaczynam! Uchwyty dzbanów Józefa mają nierówności, które wskazują, że przy ryciu napisów użyto starych narzędzi, nie zaś nowoczesnych. Badanie termoluminescencyjne wykazało, że uchwyt z napisem aramejskim był wypalony mniej więcej w 15 roku po Chrystusie, plus minus 150 lat. Ten drugi, z greckim, wyszedł z pieca jakieś dwadzieścia lat później. Ten sam margines błędu.

W obu przypadkach datowanie potwierdzało autentyczność.

Sandy podsumował:

- Możemy również podać, jakiego rodzaju glinki użyto, w jakiej temperaturze wypalano dzbanki oraz mnóstwo dodatkowych danych, ale to wszystko znajdziesz w sprawozdaniu.

- Tak, zostawmy to w tej chwili. Podaj główne ustalenia.

- Okay. Teraz pergamin, na którym napisano *titulus*. Użyliśmy metody PIXE i nie znaleźliśmy tlenków metali. Następnie przeprowadziliśmy analizę chemiczną i stwierdziliśmy, że jest to ten rodzaj atramentu z węgla i spoiwa z gumy arabskiej, jakiego używano powszechnie w pierwszym wieku.

- A sam pergamin?

- Interesująco wypadła analiza pyłków. Wyizolowaliśmy pyłki z samego pergaminu oraz z tkanin i zaprosiliśmy do współpracy botaniczkę, specjalistkę od królestwa roślinnego Bliskiego Wschodu. Stwierdziła zgodność z szatą roślinną tego obszaru.

„Jakież to miłe!” - miał ochotę odpowiedzieć Jon, bo przecież cała ironia polegała na tym, że potwierdzenie autentyczności jest zawsze miłe widziane w archeologii, zawsze, tylko nie w tym wypadku, jedynym w dziejach tej nauki.

- W całunie wykryto także ślady aloesu - ciągnął Sandy.

- Według Ewangelii Jana zawdzięczamy to Nikodemowi.

Nastąpiło dłuższe milczenie, a potem Sandy podjął:

- Dwie lampki oliwne. Dzięki termoluminescencji stwierdzono, że lampka herodiańska pochodzi z roku mniej więcej 40 po Chrystusie, a zdobiona z mniej więcej 25 roku przed Chrystusem. Stara. Józef dostał ją w spadku?

- Prawdopodobnie. Przestali wytwarzać takie lampki przed narodzeniem Chrystusa, co potwierdza trafność waszego datowania.

- Teraz zajmijmy się butelczkami. Obie pochodzą mniej więcej z tych czasów co lampka herodiańska, różnica nie może wynieść więcej niż dwadzieścia, trzydzieści lat. *Ditto* dzban.

- Dzban też? A gliniany czop?
- Niewiele mogliśmy osiągnąć, gdyż nie był wypalony. Lepsza sytuacja z monetą z czasów Nerona, to znaczy jej autentyczność jest niepodważalna. Mamy taką samą monetę w Smithsonian i proporcje miedzi, cyny i srebra w brązie są w obu przypadkach takie same.

- A resztki z pakietów?

- Drobinki pyłu nie miały takiej wartości jak się spodziewaliśmy. Nie znaleźliśmy jednak żadnych śladów, chociaż mogę cię zapewnić, że ja osobiście pilnie szukałem jakiegoś tranzystora albo obwodu scalonego.

Jon roześmiał się, ale potem na obu końcach linii zapanowała cisza.

Wreszcie Jon powiedział:

- No cóż... dziękuję, Sandy. Przylecę jutro w południe. Natychmiast zadzwonię.

Nie powtórzył treści tej rozmowy rodzicom. Po co psuć im Boże Narodzenie?

Jack Anderson, Woodward i Bernstein, Evans i Novak, Andrew Tully, George Will i James Kilpatrick byli gwiazdami na dziennikarskim niebie, ale Radford Morrison z „The Washington Post” był ponad całą konstelacją - przynajmniej sam tak uważał. Jego kolumnę czytali na całym świecie mężowie stanu i uczeni, politycy i mędrcy. Morrison miał niesamowity dryg do wykrywania „wielkich tematów”, zanim ktokolwiek inny z jego branży zdążył o nich choćby pomyśleć. Korzystał wyłącznie ze „źródeł anonimowych”, twierdzili oszczercy, ale jego materiały okazywały się w 94% zgodne z rzeczywistością. Nawet w nagłówku jego papieru listowego znajdowała się maksyma: „Nie pytaj o źródło... ale jest ono, oczywiście, prawdziwe!”

W przekonaniu, że Rama wraz ze swoimi konsekwencjami to *story* stulecia, Morrison od kilku tygodni krążył między Waszyngtonem a Tel-Awivem, zbierając materiały do „autorytatywnej książki” o wykopaliskach. Połowę swego sztabu zwerbował w laboratoriach elektronicznych i agencjach detektywistycznych, drugą w CIA i pokrewnych instytucjach. Sporo ze swoich najlepszych materiałów zadzięczał wysiłkom Willarda Fenskego, który odczytywał mikrochipy jak inni mapy samochodowe. Jemu to właśnie wyznaczył Morrison zadanie specjalne na to Boże Narodzenie.

Uczestnicy wykopalisk w Rama nigdy nie chcieli współpracować

z Morrisonem. Dopóki wszystko było niepewne, nie chcieli, żeby ktokolwiek z prasy płatał się pod nogami. Jednak Morrison dowiedział się jakimiś swoimi drogami, że mniej więcej w Boże Narodzenie wyniki badań w Smithsonian Institution zostaną przekazane Jonowi. Oczywiście ślinka napływała mu do ust na myśl o tych informacjach. Już tydzień przed świętami polecił śledzić Jona w Weston i Cambridge, mając nadzieję, że uczony poleci po rezultaty badań do Waszyngtonu. Agent Morrisona w biurze podróży wprowadził nazwisko Jona do komputera, żeby sprawdzić, jaki lot Jon zarezerwował, i ku swojemu zdumieniu zobaczył, że profesor Weber wybiera się do St. Louis. Wskutek tego Willard Fenske przyglądał się, jak Jon wysiada z samolotu na Lambert Field. Ciemne okulary ułatwiały tylko identyfikację. Fenske zaraz po Jonie także wynajął samochód i jadąc za profesorem, dotarł do kościoła w Hannibal.

Jednak w przeciwieństwie do Jona nie wziął udziału w nabożeństwie. „Oczywiście chłopczyk zje obiad u rodziców, trzeba więc poczynić odpowiednie przygotowania” - powiedział sobie. Wystarczyło zerknąć do książki telefonicznej, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszka pastor. Zaparkował w alejce na tyłach domu, pamiętając o tym, żeby przedtem przykleić po obu stronach do drzwi białego samochodu wielkie plakietki spółki telefonicznej „Southwestern Bell”. Czym prędzej przebrał się w mundur pracownika tejże spółki i zadzwonił do drzwi. Dobrze, nikogo nie ma. Rozejrzał się szybko dokoła, żeby upewnić się, że nikt go nie widzi, podszedł do okna saloniku i w rogu jednej z dolnych szyb umieścił maleńki samoprzylepny mikrofon. To samo zrobił w oknie kuchennym. Obie szyby będą działać jako rezonansowe wzmacniacze fal głosowych, tak więc wszystkie rozmowy będzie można nagrywać na magnetofon.

Następnie wspiął się na słup telefoniczny na tyłach plebanii. Cholera! Tylne drzwi otworzyły się i jakaś kobieta rzuciła okruszyny ptakom. Nagle dostrzegła go.

- No, no, musicie pracować nawet w święta?
- Tak, proszę pani - odparł Fenske. - Dla nas nie ma świąt. Coś nie w porządku z linią. Czy miała pani jakieś kłopoty z telefonem?
- Chyba nie.
- Zaraz skończę. Czy nie powinna pani być w kościele? - spytał żartobliwym tonem.
- Właśnie wróciłam z porannego nabożeństwa. Proszę powiedzieć, gdyby miał pan ochotę na filizankę kawy czy coś do zjedzenia.

- Powiem. Dziękuję pani.

Fenske wspiął się szybko do skrzynki przyłączonej i dołączył trzy przewody swojego telefonu przenośnego. Następnie zszedł i wykręcił numer domu Weberów. Telefon odebrała towarzyska szafarka kawy. Zapewnił ją, że sprawdza tylko działanie linii i że wszystko jest w najlepszym porządku. Podziękowała mu z całego serca.

Fenske zaparkował samochód przy innej ulicy i wrócił do alejki. Zamaskował przewód w kępie krzaków wokół słupa. Mijało popołudnie, potem wieczór jałowego podsłuchiwania. Natychmiast po przyjeździe Jona Fenske włączył jeden z magnetofonów. Dwa mikrofony zapewniały odbiór wysokiej jakości. Drugi magnetofon włączał w trakcie rozmowy telefonicznej. Był niestychanie wdzięczny Weberom, że jeśli mieli jakieś zwierzęta domowe, nie upodobali sobie dobermanów ani owczarków niemieckich.

- Musi być jakiś lepszy sposób zarabiania pieniędzy - zrzędził pod nosem Fenske, drżąc z zimna pomimo ciepłej bielizny i skórzanego ubrania. - Co za sposób spędzania Bożego Narodzenia!

Jednak Morrisona ucieszą smakowite kąski na temat wykopalisk, jakimi szafował młodszy Weber podczas obiadu. Wsłuchując się w odgłosy świątecznej uczty, Fenske czuł, jak burczy mu w brzuchu. Przełączył więc urządzenia na automat i pojechał do miasta, żeby zjeść coś ciepłego i napić się gorącego ponczu. Potem wrócił na stanowisko i założył z powrotem słuchawki. U Weberów wstawano właśnie od stołu, prowadząc ożywioną rozmowę na temat zapowiedzianego programu w telewizji.

Ho, ho! Ich reakcje mogą być żyłą złota! - mruknął sam do siebie. Niecałą godzinę później, kiedy pieczołowicie nagrywał okrzyki trójki Weberów, mógł uznać, że jego domysły były słuszne. W prawdziwe uniesienie wpadł jednak, kiedy rozległ się dzwonek telefonu i odezwał się McHugh. Fenske zapalił latarkę i sprawdził poziom nagrywania, żeby mieć pewność, że nie przepadnie ani jedna sylaba rozmowy. Przez cały czas Fenske, który sporo wiedział o wykopaliskach w Rama, uśmiechał się w ciemności, słuchając sprawozdania Sandy'ego. Sam nie był człowiekiem religijnym.

Kiedy Jon odłożył słuchawkę, Fenske wyłączył urządzenia. Udało mu się nawet podejść pod okna i zabrać mikrofony. Potem wsiadł do samochodu i pojechał na lotnisko Lambert Field w St. Louis. Zadzwoił stamtąd do Morrisona.

- Bajeczne! Po prostu bajeczne! - zacierał ręce Morrison. - To

Boże Narodzenie przyniesie ci specjalną premię, chłopcze. Pod warunkiem, że stawisz się w Waszyngtonie w porze śniadania, żebym mógł przesłuchać taśmy.

Poniedziałkowe popołudnie i wieczór Jon spędził u Sandy'ego, wczytując się w opasy raport oficjalny. O dziesiątej wieczorem zadzwonił pod prywatny numer prezydenta, dzięki czemu ominął centralę telefoniczną Białego Domu. Nikt nie podniósł słuchawki. Najwyraźniej prezydenta nie było u siebie.

O jedenastej, czyli szóstej rano według czasu izraelskiego, zadzwonił do Ramallah do Jenningsa. Z góry ustalili szyfr na tę rozmowę.

- Czy dobrze mnie słyszysz, Austin? - spytał Jon.
- Tak. Bardzo dobrze.
- Doskonale. Mam wyniki.
- Tak? Mów!
- Wszystkie przedmioty mieszczą się w ramach nominalnych, poza H i I, dla których określenie było niemożliwe.

Po drugiej stronie linii zapanowało milczenie.

- Austin? Słyszysz?
- Tak, Jonathanie. Wszystkie poza H i I... powiadasz ramy nominalne?

Głos miał odrobinę jakby nieprzytomny. Co prawda, w Izraelu był wczesny ranek.

- Tak jest, Austin. Jak się miewa Shannon?
- Strasznie za tobą tęskni, mój chłopcze. Myślę, że jest zakochana. Czy mam ją obudzić?

- No... nie. Po prostu kiedy jasnowłosa dama zechce się obudzić, zapewnij ją o moim uwielbieniu. Tak czy inaczej sprawozdanie liczy sobie 377 stron i zabiorę je ze sobą pojutrze, wracając przez... hmmm... zgodnie z planem. Myślę, że kiedy znajdę się na miejscu, będziemy musieli przystąpić do Fazy III.

- To prawda. Nie widzę innego wyjścia.
- Uważaj na siebie, Austin.

Następnie rozszyfrował rozmowę na użytek Sandy'ego. „Zgodnie z planem” to lot liniami Swissair do Wiednia, potem linią Alia do Ammanu w Jordanii, a wreszcie do Izraela przez most Allenby. To w celu uniknięcia prasy obozującej wokół lotniska Ben Guriona. Wytłumaczenie Fazy III zajęło mu dobry kwadrans.

Sandy przyjął plan z entuzjazmem.

- To naprawdę jedyna droga, Jonnie, chłopcze.

Po raz pierwszy od wielu tygodni usłyszał, jak Sandy przemawia ze swoim irlandzkim akcentem, i sprawiło mu to przyjemność, miał bowiem poczucie, jakby wracał do dawnego, prostszego życia.

Na koniec, zgodnie z obietnicą, zatelefonował późnym wieczorem w Ameryce, ale wcześniej rano w Rzymie do Kevina Sullivana. Po zapoznaniu się z wymową serii testów przeprowadzonych w Smithsonian Kevin miał głos człowieka wstrząśniętego, niemal pogrążonego w desperacji.

Jon próbował dodać mu ducha.

- Spokojnie, kolego! To jeszcze nie koniec. Nie zakończyliśmy wykopalisk. Zapewnij o tym Ojca Świętego.

- Świetnie, Jon - odparł ironicznym tonem Kevin. - Przemawiasz jak steward na „Titanicu” nalewający herbatę na pokładzie przechylonym pod kątem trzydziestu pięciu stopni! To jest klasa! Czy myślisz, że liberałowie mieli rację? Czy fizyczne zmartwychwstanie to po prostu legenda?

- Kluczowe dla nas słowo to „przedwcześnie”, Kevin!

- Czy przynajmniej pomyślałeś o takiej możliwości?

- Jasne! Niech świadczy o tym to, co ci teraz powiem. Może nadszedł czas, żeby przeprowadzić dogłębne studia egzegetyczne nad Janem 20, 26. Nie trać wiary, Kev!

- I ty się trzymaj, Jon.

Wiedział, że Kevin otworzy teraz Nowy Testament i przeczyta o tym wieczorze powielkanocnym, kiedy zmartwychwstały Jezus ukazał się uczniom, wchodząc przez ścianę zamkniętego domu. Szkielet nie jest zgoła potrzebny, żeby tego dokonać.

Jon nie latał nigdy ani liniami Swissair, ani Alia. Podobnie jak Ernst Becker. Następnego dnia wczesnym rankiem w mieszkaniu Sandy'ego rozległ się uporczywy dzwonek telefonu. Po krótkiej rozmowie Sandy otworzył frontowe drzwi i wziął poranne wydanie „The Washington Post”. Zaspianymi oczami wpatrywał się w zdjęcie swoje i Jona na pierwszej stronie, tuż pod biegnącym przez całą szerokość kolumny tytułem: „Artefakty pochodzą z czasów Jezusa”, i podtytułem: „Testy przeprowadzone w Smithsonian potwierdzają przypuszczenie, że znaleziono szczątki Jezusa”.

Artykuł zaczynał się następująco:

„Na podstawie »absolutnie niepodważalnych dowodów«, odkrytych przez Radforda Morrisona i jego współpracowników, profesor Jonathan E. Weber z uniwersytetu harwardzkiego, człowiek, który dokonał odkryć w Izraelu, zaplanował serię testów przedmiotów znalezionych w pobliżu szczątków uznawanych za szczątki Jezusa. Testy zostały przeprowadzone w Smithsonian i innych wybranych laboratoriach pod kierunkiem doktora Sanforda McHugh. Wszystkie analizy laboratoryjne artefaktów możliwych do datowania, zwłaszcza metodą termoluminescencji, wskazują, że najwcześniejsze zostały wykonane mniej więcej w 25 roku przed Chrystusem, najpóźniejsze w 60 roku po Chrystusie, plus minus niewielki margines błędu. Daty te zgadzają się znakomicie z informacjami zawartymi w sławnym »papierusie Józefa«,„

Sandy zapukał do drzwi Jona.

- Czas wstawać, brachu! I nie pytaj o poranne wiadomości. Są tu!
- Rozpostarł gazetę przed twarzą Jona, który otworzył szeroko oczy ze zdumienia. - Witaj w piekle!

Znowu zadzwonił telefon. Sandy nie zamierzał go odbierać, ale w końcu, nie wiadomo dlaczego, podniósł słuchawkę. Następnie podał ją Jonowi.

- Biały Dom - oznajmił.

- Tu Sherwood Bronson, profesorze Weber - powiedział prezydent lekko urażonym głosem. - Myślałem, że zgodnie z naszą umową przekaże mi pan wyniki przed publicznym ich ogłoszeniem.

- Taki był mój zamiar i dotrzymałem słowa, panie prezydencie. Pełne wyniki poznałem wczoraj i wieczorem próbowałem do pana dzwonić. Nikt nie podniósł słuchawki.

- Doprawdy? Och, słusznie, byliśmy z żoną w Ośrodku Kennedyego.

- Zamierzałem przedstawić panu dzisiaj pełne sprawozdanie, panie prezydencie. Jeśli byłoby to możliwe. Ale jak pan wie, Radford Morrison postanowił inaczej.

- Jak, do wszystkich diabłów, dowiedział się o testach i wynikach?

- Nie mamy zielonego pojęcia. Jakiś szpicel w Smithsonian? Pod-słuch? Nie wiem.

- Czy znaleźli w testach coś podejrzanego albo niewłaściwego?

- Niestety nie. Przynajmniej jak dotąd.

Zapadło długie milczenie, które przerwał w końcu prezydent:

- No... i co teraz? Będzie pan siedział z założonymi rękami i czekał bezczynnie, aż sto osiemdziesiąt milionów Amerykanów straci wiarę?

Jakie to osobliwe i prowincjonalne - pomyślał Jon. - A co z wiarą dziesięciokrotnie wyższej liczby ludzi poza Stanami?

- Przepraszam, to nie było w porządku z mojej strony - powiedział prezydent. - Wszystkich zawodzą dzisiaj nerwy. Myślałem o tym, żeby zorganizować spotkanie panelowe najwybitniejszych psychiatrów i psychologów, żeby spróbowali znaleźć jakiś sposób wsparcia naszych obywateli w tej kryzysowej sytuacji. Myśli pan, że to dobry pomysł?

- Z całym szacunkiem, panie prezydencie, nie. Mam chyba lepszy. Wystąpię z nim pojutrze podczas konferencji prasowej. Mam nadzieję, że i pan, i cały naród uzna go za dobry.

- Tak? Doskonale... Czy do tego czasu mogę w czymś panu pomóc?

- O tak. Żeby wprowadzić w życie nasz plan, będę potrzebował jakiegoś dyskretnego biura bez podsłuchu i trzech lub czterech linii telefonicznych także zabezpieczonych przed podsłuchem. Czy to możliwe? Automatyczne połączenie międzykontynentalne byłoby mile widziane. Oczywiście, zapłacimy...

- Zrobione! - oznajmił prezydent. - I nie zwracaj sobie głowy rachunkami, Jon. Chodzi o sprawę wagi państwowej. Możesz natychmiast zająć biuro w Blair House, a za czterdzieści pięć minut będziesz miał podłączone dodatkowe linie.

- Dziękuję, panie prezydencie.

Po zainstalowaniu się w Blair House Jon zatelefonował przede wszystkim do Harvardu. Poprosił swoją sekretarkę, Marylou Kaiser, i sekretarza generalnego IPC, Charlesa Ferrisa, żeby odłożyli wszystko na bok, wsiedli do samolotu i przylecieli czym prędzej do Waszyngtonu. Będą musieli zostać tu na noc.

Następnie połączył się z Jenningsem. Musiał wyładować całą tłumioną wściekłość.

- Austin, pamiętasz tego podstępnego węża, dziennikarza ze Stanów, Morrisona? Tego, który chciał napisać książkę o naszych wyko-paliskach?

- Tak... Chyba sobie przypominam. Ale bardziej wyglądał mi na lisa niż na węża. Na lisa pełnego zawiści.

- Wszystko jedno! To ten! Ten stetryczały gnojek dotarł w jakiś sposób do naszych wyników i opublikował je w porannym „Washington Post”. Przeczytasz to w najbliższym wydaniu „Jerusalem Post”. Zrobiła się wokół tego wrzawa, proszę cię więc, żebyś pozwolił przystąpić do Fazy III już teraz, nie czekając na mój powrót do Izraela.

- Oczywiście, jak najbardziej! Czy uzyskałeś jednak zgodę wszystkich zainteresowanych?

- Właśnie się tym zajmujemy.

- Więc startuj, chłopie! Czy powiedziałem to z odpowiednim akcentem amerykańskim?

- Cześć, Austin! Rozłączam się.

Marylou Kaiser i Chuck Ferris stawili się dokładnie cztery godziny później.

- Dlaczego tak późno? - spytał Jon, ale uniósł kącki ust w uśmiechu.

Wszyscy troje zasiedli do telefonów i zaczęli wydzwaniać do rozszaniach po wszystkich kontynentach osób z przygotowanej uprzednio długiej listy.

Przez całe popołudnie i cały następny dzień trwały rozmowy telefoniczne z najrozmaitszymi miejscami na świecie. W niektórych przypadkach proces osiągnięcia założonego celu przypominał bizantyjską intrygę, w innych odnosili natychmiastowy sukces. Na przykład rozmowa z Kevinem Sullivanem trwała zaledwie dwie minuty. Po godzinie zatelefonował i oznajmił, że papież, wstrząśnięty wprawdzie wiadomością o wynikach testów, z całego serca aprobuje Fazę III i będzie prosił Boga o błogosławieństwo.

Nieunikniona konferencja prasowa odbyła się 29 grudnia w wielkiej sali balowej hotelu Shoreham, gdzie zwykle wydawano prezydenckie galowe przyjęcia inauguracyjne. Obszerna sala była wypełniona dziennikarzami ze wszystkich krajów, a także luminarzami ze świata nauki, religii i polityki, którzy zrezygnowali z wypoczynku, żeby przybyć do Waszyngtonu. Dlatego Jon zaczął od przeproszenia wszystkich obecnych.

- Bardzo mi przykro, panie i panowie, że zwołując tę konferencję przeszkodziłem wam w świętowaniu końca roku na łonie rodzin. Z pewnością ani profesor Austin Balfour Jennings, kierownik wyko-

palisk w Rama, ani ja nigdy nie pozwolilibyśmy sobie na coś takiego bez ważnej przyczyny. Jeden z dziennikarzy opublikował bez upoważnienia wyniki serii testów przeprowadzonych w Smithsonian Institution, nie mieliśmy więc wyboru, zwłaszcza że zarówno w Stanach, jak i za granicą wywołało to histeryczną reakcję. Nazwisko tego dziennikarza powinni poznać wszyscy. W jakikolwiek sposób Radford Morrison zdobył swoje informacje, albo naruszył przy tym prawo, albo elementarne zasady moralne, albo jedno i drugie. Wysunięta przez niego sugestia, że nasze testy są osłonięte „tajemnicą”, a ich wyniki nie zostaną ujawnione, mija się całkowicie z prawdą! Zamierzaliśmy ogłosić wyniki i uczynimy to teraz.

- W tej chwili rozdajemy streszczenie sprawozdania z testów. Jeśli ktoś nie otrzyma egzemplarza, niech podniesie rękę, żebyśmy mogli mu go podać. Odpowiem krótko na pytania. Najpierw jednak chciałbym przedstawić osobę, która siedzi koło mnie na podwyższeniu. To doktor Sanford McHugh ze Smithsonian Institution.

- Muszę teraz z całą mocą podkreślić, że chociaż stwierdziliśmy, iż rozmaite zbadane próbki pochodzą mniej więcej z pierwszego wieku po Chrystusie, nie zrezygnowaliśmy z badania autentyczności wszystkich przedmiotów znalezionych w Rama na terenie pieczary. Podjęto decyzję w sprawie wprowadzenia w życie obszernego programu prac wykopaliskowych, uwzględniającego ewentualne odsłonięcie całego miasta z pierwszego wieku po Chrystusie. Oznacza to początek tego, co nazwaliśmy Fazą III prac. Faza I, nazwana tak, oczywiście, retrospektywnie, to wykopaliska prowadzone przez Lloyda Kensingtona i Austina Balfoura Jenningsa. Faza II to odkrycie grobowca w pieczarze i zbadanych dotychczas artefaktów. Faza III obejmuje wszystko, co zamierzamy zrobić począwszy od tej chwili.

- Bardzo proszę, byście państwo, po przeczytaniu streszczenia, wstrzymali się przed wyciąganiem wniosków do momentu zakończenia tej ostatniej fazy. Niektóre reakcje na odkrycia dokonane w Rama budziły nasz niesmak, inne zgrozę. Do założonych „faktów” dorzucono pogłoski, co doprowadziło do wniosków nie do końca przemyślanych i podanych tak, by nabrały charakteru sensacji. Cierpi na tym prawda. Gdyby dwaj przedstawiciele prasy, jeden tutaj, drugi w Izraelu, działali odpowiedzialnie, oszczędzilibyśmy bolesnego przeżycia wielkiej rzeszy ludzi. Jak z pewnością państwo wiecie, niejedna osoba straciła życie. Tak więc apeluję do prawości dziennikarzy i ich poczucia odpowiedzialności. Proszę teraz o pytania.

- Jeffery Sheler, „U.S. News & World Report”. Profesorze Weber, chciałbym dowiedzieć się, jaka była pańska osobista reakcja na wyniki ostatnich testów. Czy był pan zaskoczony tym, że wszystkie przedmioty pochodzą z pierwszego wieku? Czy też wcale to pana nie zdziwiło?

- Nie byłem zbytnio zaskoczony.

- Dlaczego?

- Ponieważ testy przeprowadzone w Arizonie metodą węgla C-14 dały w wyniku ten sam okres, byłoby rzeczą dziwną, gdyby jakieś przedmioty, znalezione przecież w tym samym miejscu, pochodziły z innych czasów... Słucham?

- Tadaki Arioshi, „Tokyo Shinbun”. Czemu więc nie wystarczy to, by uznać wszystkie znaleziska za autentyczne?

- Artefakty z pierwszego wieku mogły być podłożone przez oszusta. Sprawca z pewnością zadbałby, żeby posłużyć się przedmiotami z tego właśnie wieku. Właśnie dlatego wyniki niezbyt mnie zaskoczyły... Tak?

- Everett Sinclair, „Toronto Globe and Mail”. Czy może pan wyjaśnić, co to takiego termoluminescencja?

- Najlepiej odpowie na to pytanie doktor McHugh. Sandy?

Sanford McHugh przechylił nieco mikrofon.

- W 1664 roku Robert Boyle odkrył, że ogrzany dłonią diament emituje w ciemnym pokoju słabe światło. Wtedy po raz pierwszy człowiek zwrócił uwagę na zjawisko termoluminescencji. Otóż w glinie znajdują się śladowe ilości radioaktywnych zanieczyszczeń, na przykład uranu i toru, które emitują promieniowanie przechwytywane przez glinę. Kiedy jednak z gliny uformuje się naczynie, które zostanie poddane procesowi wypalania, ciepło uwalnia w postaci widzialnego światła całe to zmagazynowane promieniowanie i dlatego wskutek termoluminescencji w glinianym wytworze nie ma już żadnego promieniowania. Jednak w miarę upływu czasu promieniowanie znowu zaczyna się gromadzić. Jeśli więc dane naczynie podgrzeje się po raz drugi w laboratorium, można zmierzyć intensywność luminescencji i określić, jaki czas upłynął od pierwszego wypalania.

- Myślę, że rozumiem - oznajmił Sinclair. - Jaka jest dokładność tej metody, doktorze McHugh?

- Z pewnością dziesięć procent, być może pięć... Tak?

- Tom Brokaw, „NBC Nightly News”. Wydaje się, doktorze McHugh, że fałszerz mógł „pożyczyć sobie” wszystkie przedmioty

z jakiegoś źródła z pierwszego wieku, ceramikę, pergamin i papirus, ale jednej rzeczy nie mógł. Mam na myśli tekst, to znaczy atrament...

- Tak, to prawda.

- Co więc ujawniły wasze testy, jeśli chodzi o atrament?

- Mamy do czynienia z trzema różnymi atramentami. Jeden na tak zwanym „papirusie Józefa”, drugi na „dopisku Nikodema”, trzeci na *titulusie*. Jedynie z tego trzeciego mogliśmy mieć wystarczająco dużą próbkę, żeby dokonać analizy, aczkolwiek za małą, by przeprowadzić badanie metodą węgla radioaktywnego. Przy naszej najbardziej udanej analizie korzystaliśmy z metody PIXE, rentgenowskiej analizy wymuszonej emisji cząstek, która wykazała, że jest to atrament z czystego węgla, to znaczy z sadzy. Dodano płyn stabilizujący, gumę arabską. Okazało się, że oba pozostałe atramenty są takie same, ale ten z „dopisku Nikodema” odrobinę bardziej brunatny i ciemniejszy.

- Czy jest to skład typowy dla atramentów używanych w pierwszym wieku? - spytał Brokaw. - I co można powiedzieć o kolorze czy odcieniu, także brązu?

Sandy spojrział na Jona, który zwrócił się w stronę mikrofonu i powiedział:

- Tak, taki skład spotyka się powszechnie w tamtym okresie. Od cienie wszystkich trzech atramentów mieszczą się w granicach od cieni na zwojach znad Morza Martwego.

Pytania zadawano przez półtorej godziny. Jon wiedział doskonale, że kiedy zaczynają ocierać się o teologię, czas kończyć. Ostatnie pytanie zadała Doris Dinwiddie. Starzejąca się, ale chętnie nadal czytana felietonistka z koncernu Hearsta miała niejedną prezydencki skalp przytroczony do swojego pasa, imponująco długiego ze względu na wymiar w talii, i jak można było przewidzieć, nie cofnęła się przed zadaniem pytania prowokującego.

- Profesorze Weber, czy nie sądzi pan, że już najwyższy czas zakończyć heroiczną walkę w obronie umierającego chrześcijaństwa? Nie ma na Bożym zielonym świecie człowieka, który mógłby to wszystko sfalszować. Mam na myśli to, że ma pan dowód rzeczowy, szczątki Jezusa Chrystusa! Może należałoby więc pogrzebać je godnie i przywoicie... wraz z chrześcijańską wiarą?

W sali nastąpiło poruszenie, rozległo się kilka gwizdów.

- Pani propozycja jest przedwczesna, panno Dinwiddie - odpowiedział neutralnym głosem Jon. - Oprócz tego odłamu chrześcijaństwa, który wyznaje zmartwychwstanie tylko duchowe i którego wiara

pozostaje nie naruszona, mamy większość, która wyznaje zmar-twychwstanie fizyczne i której wiara wcale nie została ni z tego, ni z owego unieważniona. Warto dwa razy pomyśleć, zanim uderzy się w dzwon pogrzebowy, zwiastując śmierć jedyne-go systemu religijnego, u którego źródeł, podobnie jak u źródeł spo-krewnionego z nim judaizmu, mamy autentycznych ludzi żyjących w określonym historycznym kontekście, nie zaś mglistą mitologię. Dziennikarka odcięła mu się bez chwili wahania:

- Zastanawiam się, czy pańska jawna sympatia do chrześcijaństwa nie dyskwalifikuje pana jako człowieka odgrywającego główną rolę w tych badaniach.

Jon stłumił wewnętrzne wrzenie i odpowiedział tonem prawie kur-tuazyjnym:

- Panno Dinwiddie, jak pani zdaniem zareagowałby świat, gdy bym skłaniał się w tej właśnie sprawie przeciwko chrześcijaństwu?

Nastąpił moment ciszy, a potem sala zaczęła klaskać. Nadeszła pora końcowego oświadczenia. Jon skinął na gońców rozmieszczonych wśród publiczności.

- Rozdamy teraz zwięzły zarys planu, który określiliśmy jako Fazę III. Poza doprowadzeniem do końca wykopalisk w Rama zamie-rzamy zwołać międzynarodowy kongres uczonych, który dokonałby przeglądu metodologii i znalezisk od czasów Kensingtona po dzień dzisiejszy i później. Uczestnicy kongresu będą zapraszani przez IPC, Międzynarodową Akademię Archeologii, Stowarzyszenie Literatury Biblijnej i Amerykańską Akademię Religii, a także przez odpowied-nie instytucje brytyjskie. Reprezentowane też będą pierwotne Koś-cioły chrześcijańskie, od papieża i patriarchy prawosławia po wszyst-kie Kościoły liczące co najmniej pięć milionów członków. Mile wi-dziani będą także obserwatorzy reprezentujący judaizm, islam i inne religie... Na stronie piątej podaliśmy podział prac między rozmaite działy i zespoły.

Przystąpił do komentowania poniższego schematu.

I. DZIAŁ NAUKOWY

ZESPOŁY
Archeologia

ZADANIA
Przegląd wszystkich dawnych, teraźniej-szych i przyszłych wykopalisk w Rama i in-formacje na ten temat.

Analiza	Przegląd wszystkich dawnych, teraźniejszych i przyszłych testów dokonanych na artefaktach i szczątkach już znalezionych w Rama i tych, które zostaną jeszcze znalezione.
Lingwistyka/ paleografia	Analiza wszystkich odkrytych hebrajskich, aramejskich, greckich i łacińskich inskrypcji pod względem kroju pisma, słownictwa, składni i gramatyki.

II. DZIAŁ ŚLED CZY

Badanie	Ustalenie dziejów siedliska w Rama i czyją stanowiło własność. Ustalenie przeszłości ważniejszych członków ekipy wykopaliskowej. Przegląd technik fałszerskich w dziejach sztuki i archeologii.
---------	--

III. DZIAŁ TEOLOGICZNY

Stary Testament	Zebranie wiadomości o zwyczajach grzebalnych, eschatologii i wszystkich związanych z tym danych religijnych i kulturowych.
Pisma z czasów między jednym a drugim Testamentem	j.w.
Nowy Testament	j.w. Wszystkie trzy zespoły powinny zbadać i zrewidować teologię Zmartwychwstania, jeśli znaleziska w Rama okażą się ostatecznie autentyczne.

- Po miesiącach prac i dyskusji - ciągnął Jon - ostateczne wnioski zostaną opublikowane w monograficznej serii, która z pewnością doczeka się wielu przekładów na inne języki. Zrobiło się już późno, musimy więc kończyć. Panie i panowie, dziękuję za cierpliwość.

Kiedy Jon i Sandy wychodzili już z pustoszejącej sali, zbliżył się do nich drobny, siwowłosy mężczyzna.

- Postąpiłem... postąpiłem nieco pochopnie w Cambridge - przy-

znał Joshua Scruggs Nickel. - Byłem przybity, straszliwie przybity. I nadal jestem. Ale... teraz znowu ci ufam, Jonathanie. Wiem, że starałeś się... postępować w tej sprawie jak najuczciwiej.

- Dziękuję, panie Nickel. Pańskie słowa znaczą dla mnie bardzo dużo.

- Czy w związku z tym planowanym kongresem nie czekają was ogromne wydatki?

- Bez wątplenia.

- Jak zamierzasz zabezpieczyć stronę finansową?

- Przez ostatnie dwa dni uzyskaliśmy obietnicę wsparcia finansowego od wielu Kościołów i stowarzyszeń naukowych.

- Możesz znowu liczyć także na mnie. Podwoję pierwotne subsydlum.

XIX

Shannon Jennings była dla Jona jedyną pociechą w ciągu następnych wypełnionych krzątaniną miesięcy spędzonych w Izraelu. Ich miłość, pielęgnowana przez okres rozłąki, znowu rozkwitała bujnie - w każdym razie w tych rzadkich chwilach, kiedy mogli wymknąć się z obłożonego teraz terenu wykopalisk, uciec od wścibskich dziennikarzy i wymigać się od spotkań w ramach odbywającego się w Jerozolimie kongresu naukowego. W Rama patrole krążące wokół ogrodzenia pod napięciem powstrzymywały ciekawskich, ale kilka razy w tygodniu nadlatywały wynajęte helikoptery, z których kręcono przez teleobiektywy filmy dla telewizji. W obrębie ogrodzenia Jennings dowodził swoją największą jak dotychczas armią archeologiczną, jako że zgodnie z założeniami Fazy III zespół był teraz trzykroć liczniejszy i składał się z doświadczonych archeologów. Jon pomagał Jenningsowi skoordynować działania i krążył między stanowiskami, nagrywając jednocześnie swoje spostrzeżenia na magnetofon. Siedlisko Rama szybko ujawniało swoje ciągle nowe tajemnice.

Jednak żadna z tych tajemnic nie miała sensacyjnego charakteru. Wszystkie nowo znalezione artefakty pochodziły z czasów, z których powinny pochodzić, i większość miasta z pierwszego wieku miała być już wkrótce odkopana. Mimo to Jennings każde znalezisko witał z entuzjazmem i z należyтым szacunkiem czyścił je niby nowy okaz do swojej rozrastającej się kolekcji. Specjaliści z Zespołu Archeologicznego mieli wolną rękę, jeśli chodzi o myszkanie po

całym terenie wykopalisk. W pełni zastosowali się do przyjętej metodologii, prowadzili systematycznie notatki i bardzo mało artefaktów wybierali w celu przeprowadzenia dalszych badań. Próbkę prawie zawsze wracały opatrzone identyfikacją niewiele odbiegającą od tej, jaką proponowali Jennings albo Naomi Sharon. „Całe to stanowisko jest wspaniałym oknem na pierwszy wiek - oświadczył Walter Rast, jeden z członków zespołu, człowiek, który przez lata prowadził wykopaliska w Jordani. - Czy można się jednak było spodziewać czegoś innego po Austynie Balfourze Jenningsie?”

Uwaga światowej opinii publicznej skupiła się oczywiście na grobowcu, nad którym pieczę sprawowali Clive Brampton i Jon. Chociaż całe wnętrze groty oczyścili łyżeczką, wybierając niemal po szczypcie wszystkie okruchy, nie znaleźli niczego poza pyłem, guanem nietoperzy i gruzem skalnym.

- Oby wreszcie ta jaskinia mogła spocząć w pokoju - westchnął Brampton. - Bóg wie, że dała już światu dość materiału do przemysleń!

Archeolodzy zaproszeni do współpracy zbadali cal po calu kamienny sarkofag, a następnie dokonali przeglądu wszystkich znalezionych w Izraelu sarkofagów z pierwszego wieku. Sarkofag Józefa miał podobne proporcje, aczkolwiek był większy od przeciętnego i mniejszy od największego. „Wyraźnie nie wykracza poza granice” - zanotował Jon, potrząsając przy tym głową.

Paleografowie wykonali woskowe odbitki napisów na sarkofagu, a potem badali całymi godzinami gipsowe odlewy. Następnie przystąpili do przeglądu znajdujących się w Izraelu napisów grobowych, aby określić charakterystyczną wielkość i kształt liter, długość linijek oraz przeciętną głębokość i kąt rytowania. Komputerowa analiza wykazała zadziwiającą różnorodność. „Najwidoczniej każdy miejscowy kamieniarz robił to po swojemu” - skomentował te wyniki Dick Cromwell, który obfotografował ostatnio tyle grobowców, że miał uczucie, jakby powoli zmieniał się w wampira.

Clive i Jon przystąpili teraz do czyszczenia pieczary położonej powyżej.

- Zapewne tutaj Józef został pogrzebany w „innym grobowcu”
- powiedział Brampton - prawdopodobnie z rodziną, jeśli ten piekielny papirus jest autentyczny. A ja myślę, że jest. Mówię ci, Jon. To wszystko nie wygląda mi na podróbkę. Co o tym myślisz?

- Muszę się z tobą zgodzić, Clive, chociaż proszę o niepublikowanie tej wypowiedzi. Dowody są niezbite. I nie sądzę, żebyśmy znaleźli cokolwiek w tej pieczarze. Rabusie grobów musieli wyczyścić ją wieki temu.

Jednak nie miał racji, znaleźli bowiem w jednej z nisz grobowca skorupy kilku naczyń do gotowania i fragmenty lampki pogrzebowej. Naomi określiła te przedmioty na pierwszy wiek, a wkrótce badanie metodą termoluminescencji miało potwierdzić jej ekspertyzę. Zresztą przeważnie jej datowanie było precyzyjniejsze niż badanie metodą termoluminescencji.

- To wspaniała kobieta, Clive - powiedział któregoś dnia Jon, kiedy obaj przyglądali się, jak Naomi myje skorupy. Wypłowiące płócienne szorty i skąpa bluzeczka niezbyt dokładnie zasłaniały powabne kształty. - Jest nie tylko cudowną kobietą, ale jednym z najlepszych izraelskich specjalistów od ceramiki. W czepku się urodziłeś, stary!

- Wiem! Dziękuję, Jon. Rzeczywiście oszalałem na punkcie tej kobiety. Chcę się z nią ożenić.

- I powinienes! Jakież to będzie wspaniały zespół archeologiczny!

Noel Nottingham stał się zupełnie innym człowiekiem. Ten jowialny, dowcipny skaut, ten antropolog z Cambridge był zбитy z tropu tym, że błędnie ustalił wiek śmierci człowieka, którego szkielet znaleźli, i w pełni zgadzał się teraz z doktorem Itzhakiem Shomarem, iż są o dziesięć lat młodsze. „Te narośla w stawach wydawały mi się takie duże - wyznał później - ale oczywiście patrzyłem przez szkło powiększające.” Śmiał się ze swojej „głupoty”, z błogiej nieświadomości, że szczątki, które tak uważnie bada, należą być może do kogoś innego niż wydawało się na początku.

Kiedy wraz z całym światem dowiedział się prawdy, doznał psychicznego porażenia. Blady, spocony pił dzin szklaneczkę po szklaneczce, a przez resztę nocy mył ręce, wycierał, mył znowu i znowu wycierał, mamrocząc coś pod nosem - i tak aż do świtu. W następnych dniach Nottingham częściowo pogodził się z rzeczywistością, ale i tak połknął sporą dawkę valium przed pierwszą konferencją prasową w Jerozolimie.

Jednak przymus mycia rąk nie ustąpił przez wiele tygodni. Noel nie potrafił przejść obok zbiornika do mycia skorup, żeby nie zanurzyć w nim dłoni, i zaczął nosić rękawiczki, ukrywając w ten sposób

zaognione czerwone bruzdy. Jennings musiał postawić mu ultimatum: albo okaże swą profesjonalną przydatność, albo będzie musiał opuścić wykopaliska.

Noel był skłonny wybrać to drugie wyjście, ale w końcu poszedł w Jerozolimie do psychiatry, który natychmiast postawił diagnozę. Noel był w młodości dobrym anglikaninem, a potem stracił wiarę, czego skutkiem było ogromne poczucie winy. Teraz zaś Jezus zjawił się znowu w jego życiu, i to w taki niezwykle sposób, on zaś swoimi dłońmi naruszył świętość szczątków. Nic dziwnego, że czuł wewnętrzny przymus, żeby bez przerwy myć, czyścić i szorować te dłonie. W końcu jednak dzięki trafnej diagnozie i przeżyciu *catharsis* Noel pozbył się tego, co Jon nazywał „syndromem Poncjusza Piłata”.

Chociaż przy realizowaniu Fazy III obowiązywały najsurowsze standardy etyczne, z rozmysłem dokonano pewnej mistyfikacji na wielką skalę. Od czasu konferencji prasowej w Jerozolimie ultraortodoksyjni chasydzi co jakiś czas organizowali w Rama demonstracje, domagając się pogrzebienia ludzkich szczątków. Krzyczeli, śpiewali, urządzali symboliczne kamienowania i próbowali wstrzymać ruch w kierunku Rama i z powrotem. Zagraniczne ekipy telewizyjne były zadowolone, że coś się dzieje, ale wszystko to irytowało zespół archeologów.

Po jednej z takich awantur Naomi wróciła z bardzo złymi nowinami.

- Austin, starają się ustalić, jak miała na imię twoja matka - oznajmiła. - Nie mów im tego za nic w świecie!

- Dlaczego?

- Chcą sięgnąć po środek ostateczny i przekląć cię według starego, średniowiecznego obrzędu zwanego różgą światłości.

- Kijami i kamieniami można połamać mi kości, ale słowami trudno...

- Nie, posłuchaj. Najpierw odczytują liczący sobie osiem setek lat tekst zaczerpnięty z Kabały. Potem palą czarne świece, jeden z nich dmie w róg kozła, a inni wykrzykują imię twojej matki, żeby rzucić na ciebie przekleństwo. Po tym wszystkim czeka cię straszny los. Tak przynajmniej twierdzi ich rabbi. Zapytałam go, co to takiego. „Człowiek może umierać na wiele sposobów - odparł - a niektóre są mniej przyjemne od innych.”

- Drżę ze strachu, Naomi - odpowiedział żartobliwym tonem Jen-

nings. - Trzeba jednak skończyć z tym wszystkim, niech mają ten pogrzeb, skoro tak tego pragną.

Pewnej nocy ekshumowali jeden ze szkieletów odkrytych w Rama i pogrzebanych na cmentarzu jeszcze za czasów Kensingtona, a następnie przenieśli go do szopy i włożyli do trumny. Rano Jennings zaprosił przywódcę chasydów na teren wykopalisk, pokazał mu szczątki i ustalił z nim, że pogrzebie się je, ale pod warunkiem, iż chasydzi zachowają to w tajemnicy. Następnego dnia chasydzi przyszli w najlepszych ubraniach i razem z członkami ekipy poprowadzili ceremonię pogrzebową. Rabbi najpierw domagał się, żeby szczątki wróciły do pieczary, ale w końcu przystali na grób, który Jennings polecił wykopać. W istocie szczątki wróciły do poprzedniego grobowca. Więcej demonstracji nie było.

Londyńska prasa uzalała się nad „amerykanizacją” wykopalisk w Rama, gdzie przecież kierownikiem i jego zastępcą są Brytyjczycy, nie wspominając nawet o tym, kto finansuje prace. Dla Jenningsa to wszystko nie stanowiło żadnego problemu, ale kierownicze gremium postanowiło, że od tej pory większość analiz i testów będzie się powierzać laboratoriom brytyjskim, uniwersytetowi w Oksfordzie badania węglem radioaktywnym, uniwersytetowi w Cambridge badania metodą termoluminescencji. Niezależnie od nacisków Fleet Street, czyli głównego ośrodka angielskiej prasy, wielu uczonych brytyjskich i tak zostało zaproszonych do współpracy w poszczególnych zespołach - ze względu na ich międzynarodową sławę. Majstersztukiem był pomysł Shannon.

Jak przystało komuś, kto cieszył się zachłannym apetytem na angielskie powieści szpiegowskie, zapytała któregoś dnia:

- Na litość Boga, czy nie możemy im oddać najzwyczajniej w świecie całego Zespołu Śledczego?

Jennings zastanowił się przez chwilę, uśmiechnął i oznajmił:

- Świetny pomysł, córeczko! Naprawdę świetny. Jon, nie masz nic przeciwko temu?

- Znakomite rozwiązanie! W przypadku tego właśnie zespołu niepotrzebny nam bynajmniej oenzetowski okrągły stół!

Brytyjczycy odpowiedzieli mianowaniem na przewodniczącego zespołu Reginalda Glastonbury'ego ze Scotland Yardu, a na jego zastępcę Toma Paddingtona z M-5, brytyjskiego odpowiednika CIA. Glastonbury przypominał tuszą Roberta Morleya i poza wianuszkami włosów dokoła czaszki był łyśy jak kolano. Był tym bardziej za-

chwycony powołaniem go na to stanowisko, że z powodu swojego nazwiska czuł się jakby wcieleniem „legandy Glastonbury”, wedle której Józef z Arymatei popłynął ze świętym Graalem do Anglii, zbudował kaplicę właśnie w Glastonbury, a po śmierci został pochowany w krypcie tej kaplicy. Jennings żartował, że Glastonbury wolałby zapewne, żeby potwierdziło się, iż znaleźli szczątki Jezusa, niż Józefa, bo w przeciwnym razie jego legenda ległaby w gruzach.

Natomiast Tom Paddington był dość podobny do Seana Connery'ego, nic więc dziwnego, że studenci nazywali go Jamesem Bondem. Glastonbury otrzymał przydomek Tłusty Sherlock. Obaj, wraz ze swoim sztabem, mogli swobodnie krążyć po terenie i także w hotelu mieli dostęp do wszystkiego.

Zadaniem Zespołu Śledczego było zbadanie przeszłości wszystkich osób zaangażowanych w prace wykopaliskowe, wyjaśnienie wszystkich niejasnych punktów, wykrycie wszystkich niedopatrzeń, wywęszenie wszystkich oszustw. Osoby pracujące w ramach tego zespołu odwiedziły British Museum w Londynie, paryski Louvre, galerię Uffizi we Florencji i Prado w Madrycie, gdzie wypytywały biegłych o najśłynniejsze fałszerstwa dzieł sztuki i metody pracy fałszerzy. Dysponując tymi informacjami, Henri Berthoud opracował sumiennie rozmaite scenariusze ewentualnego działania fałszerzy w przypadku Rama. Berthoud, młody ekspert „wypożyczony” z paryskiego Deuxieme Bureau, miał starannie zaczesane ciemne włosy, wypielęgnowaną brodę i rentgenowskie oczy, które, zdawało się, nie tyle patrzyły na jakiś obiekt, ile prześwietlały go na wskroś. Scenariusze przedstawione przez Berthouda świadczyły, że wymyślił je geniusz perwersji.

- Byłbyś wspaniałym oszustem, Henri - powiedział Paddington.
- Jesteś pewny, że sam nie maczałeś w tym palców?

Jednak członkowie zespołu zawsze znajdowali jakąś rysę w opracowanych przez Berthouda schematach, tak że w końcu wszystkie odrzucano. Po kilku miesiącach pracy nie znaleźli najdrobniejszego śladu, który wskazywałby, że popełniono tu fałszerstwo.

Na wiosnę Glastonbury zwołał końcowe zebranie zespołu. Złożył końce palców obu dłoni i powiedział:

- Dostyc tego węszenia za skutkami. Musimy wrócić do przyczyn... jeśli takie istnieją, i znaleźć motyw... jeśli takie istnieją. Hipotetyczny sprawca musi mieć w małym palcu wiedzę archeologiczną i władać wspaniale aramejskim, a ponadto musi z jakichś

przyczyn nienawidzić, i to straszliwie, chrześcijan. Myślę, że z tym zgodzimy się wszyscy, prawda? Zebrani pokiwali potakująco głowami.

- To jedyna możliwość - powiedział Paddington. - Fałszerstwo zwykle popełnia się dla pieniędzy, jak w przypadku dziennika Hitlera. Tutaj mielibyśmy do czynienia z motywacją ideologiczną... oczywiście, jeżeli w ogóle popełniono fałszerstwo.

- Pora, żeby każdy z nas ruszył teraz swoją drogą - ciągnął Glastonbury. - Tom i ja uznaliśmy, że on zostanie w Izraelu, by sprawdzić, do kogo należał ten teren wiele lat temu, ja zaś pojedę do Wielkiej Brytanii i Stanów, żeby przyjrzeć się danym wszystkim, którzy mieli jakikolwiek związek z uczestnikami wykopalisk w Rama. Spotkamy się znowu pod koniec lipca. Zgoda?

Przed opuszczeniem Izraela Glastonbury przedstawił swoje plany Jenningsowi i Jonowi, ci zaś bez wahania je zaaprobowali.

- Ja osobiście nie mam niczego do ukrycia - powiedział mrugając Jennings. - A ty, Jon?

- Czuj się w moim życiu jak u siebie w domu, Reginaldzie. - Jon uśmiechnął się. - Prywatnie mogę powiedzieć, że fałszerstwo wydaje mi się coraz mniej prawdopodobne. Jeśli jednak mamy do czynienia z fałszerstwem, spodziewam się, że znajdziecie sprawcę i powiesicie go za... gonady! Tego rodzaju sytuacja zmienia mózgi ekspertów w galarety i z dnia na dzień rujnuje reputację. W latach dwudziestych Carl Sandburg myślał, że listy Lincolna opublikowane w „Atlantic Monthly” są autentyczne, a nie były. Syn Mussoliniego, Vittorio, oświadczył, że dzienniki, które przypisywano jego ojcu, są autentyczne. Nie były.

Glastonbury skinął głową i powiedział:

- Nasz Hugh Trevor-Roper myślał z początku, że dziennik Hitlera jest autentycznym, i oczywiście się mylił.

- Ale sytuacja odwrotna jest jeszcze gorsza - zauważył Jennings. - Znakomity Solomon Zeitlin oświadczył, że zwoje znad Morza Martwego to średniowieczne fałszerstwo. Tej samej tezy bronił mój oksfordzki kolega, G.R. Driver. I jak wiemy, obaj się mylili.

- Panowie, zrobimy, co w naszej mocy, żeby dopaść łotra - zapewnił Glastonbury. - Czołem!

W miarę upływu miesięcy liczba wiernych na całym świecie dramatycznie malała, aczkolwiek pewne bardzo rygorystyczne grupki odnotowały wzrost zainteresowania. Jon przewidział to zjawisko.

- W czasach kryzysu - oznajmił podczas spotkania kierownictwa
- ludzie ciążą ku autorytarnym przywódcom w państwie czy Kościele.

- W przerażeniu wprawiają mnie rozmaici szaleńcy - rzekł Jennings. - Stają na głowie, żeby udowodnić światu, że my dwaj, Jon, jesteście wysłannikami piekła, szponami szatana, wcieleniem Antychrysta noszącego na sobie znak Bestii! Próbują słowu „Rama” przypisać wartość liczbową 666!

- Niestety, wielu z nich zjawi się na Wielkanoc w Jerozolimie
- dodał Jon.

- Dlaczego - zdziwiła się Shannon - zjawi się więcej pielgrzymek niż zawsze w Wielkim Tygodniu?

- Ponieważ obwieszczono, że Niedziela Wielkanocna będzie dniem powtórnego przyjścia Chrystusa.

Chociaż Melvin Merton nie wpadł na to pierwszy, szybko zgodził się z taką logiką. Ponieważ według jego rachunków Pan Bóg stworzył świat mniej więcej cztery tysiące lat przed Chrystusem, a wielka data 2000 była w zasięgu ręki, dawałoby to ziemi sześć tysięcy lat istnienia. Siódme tysiąclecie będzie z pewnością wielkim Millenium szabatowym, tysiącleciem zapowiedzianym w Apokalipsie po powtórnym przyjściu Jezusa. Skoro pokazał się już Antychryst, Jezusa należy spodziewać się bardzo rychło. A czyż można wyobrazić sobie lepszy dzień na Jego przyjście niż Niedziela Wielkanocna? I jakie miejsce może być właściwsze niż Jerozolima? Merton zwołał konferencję prasową i złożył oświadczenie: „Nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby w niedzielę o świcie Jezus zstąpił na Górę Oliwną w Jerozolimie”.

Odzew zadziwił samego Mertona. Tłum jego uczniów oraz uczniów innych fanatyków profetyzmu zarezerwował wszystkie miejsca na regularne loty, a następnie wyczarterował parę Boeingów 747 dodatkowo. Zbliżał się Wielki Tydzień i pielgrzymi zaczęli napływać grupami po dziesięcioro, po sto, po tysiąc. I znowu burmistrz Teddy Kolkol musiał skorzystać z pomocy obrony terytorialnej, żeby wesprzeć nie panującą już nad sytuacją policję.

W Niedzielę Palmową Jon i Shannon stanęli przy Bramie Świętego Szczepana, by popatrzeć na pielgrzymów idących w procesji w stronę starego miasta. W wąskiej uliczce falował las gałązek palmowych. Niektórzy nieśli tablice z napisami w rodzaju „W następną niedzielę przyjdzie On!” albo „W Rama nie znaleziono Jezusa!”

- O Boże, Jon, co za widowisko! - powiedziała Shannon.
- Naszym odkryciem w Rama otworzyliśmy puszkę Pandory.
- To twoja robota! Nie zrzucaj winy na nas wszystkich!
- No tak! Kiedy przychodzą ciężkie chwile, najlepiej umyć ręce? Uśmiechnęła się i pocałowała go czule.
- Tak już lepiej! - szepnął.
- Ojej! Spójrz na tego wyrzutka społecznego!

Tuż za schludnym studentem, który niósł napis „Nasz Jezus żyje! Ubolewamy z powodu waszego”, kroczył ostatni zapewne przedstawiciel *beat generation*. Miał bujną brodę, ubrany był w poplamiony podkoszulek i niósł tablicę z wymalowanym znakiem zapytania. Ledwie przekroczył bramę, został zaatakowany przez rozwścieczonych pielgrzymów, którzy porwali tablicę ze znakiem zapytania i okładali go pięściami, aż zwałił się na ulicę. Natychmiast wkroczyła do akcji policja, która odciągnęła nieszczęśnika na chodnik - pół-przytomnego i krwawiącego.

Nie minęła minuta, kiedy na czele licznej grupy uczniów zobaczyli kroczącego majestatycznie samego doktora Melvina Morrisa Merton, który śpiewał hymny na całe teksańskie gardło. W pewnym momencie spojrzął na Jona, odwrócił wzrok, ale po chwili znowu spojrzął w ich stronę. Tym razem dostrzegł u boku Jona Shannon - dwie twarze znane na całym świecie ze zdjęć prasowych. Dla Jona była to kara za niechęć do noszenia ciemnych okularów.

Merton przystanął, uniośł ręce, nakazując ciszę, i rzekł:

- Profesor Weber, jak sądzę? I panna Shannon Jennings?
- Chodźmy stąd, Jon! - szepnęła Shannon.

Ale było już za późno.

- Tutaj, przyjaciele - Merton wyciągnął rękę, wskazując ich tłumowi - są sprawcy udreki świata, oszuści, którzy twierdzą, że odkryli Jezusa! Oto Antychryst, który nazywa się Weber, a to córka innego diabła, o nazwisku Jennings!

Gniewny pomruk wzbił się z gromady uczniów Merton i kilku rzuciło się w stronę Jona i Shannon.

- Nie, nie, nie! - napomniął ich Merton. - Nie czyńcie im krzywdy. Oni tylko wypełniają proroctwo. Antychryst objawi się w świątyni Bożej!

Daremnie. Wezbrana rzeka jego przepowiedni była dla niektórych zbyt słabą kompensatą za wszystkie minione miesiące nabrzmiałe rozpaczą. Inni, którzy nigdy nie poddali się zwątpieniu, chcieli sto-

czyć bitwę za Pana, atakując Nieprzyjaciela. Ze dwudziestu przedarło się przez tłum. Jedni ściągnęli krzyczącą Shannon na ulicę, inni to samo zrobili z Jonem, unieruchomiwszy mu ręce i nogi. Mieli teraz w swojej procesji coś lepszego niż napisy i tryumfalnie przeciągnęli szamoczących się jeńców przez Bramę Świętego Szczepana. Jakiś sopran z pierwszych szeregów zaczął śpiewać *Alleluja z Mesjasza* Handla i setki głosów podjęły melodię.

- Jon! Zrób coś! - krzyczała Shannon.

Jon szarpał się i kopał.

- Puśćcie mnie, szaleńcy! Nie jestem Antychrystem! Prędej wy!...

Nagle otoczył ich oddział izraelskich żołnierzy w mundurach koloru khaki. Każdy żołnierz trzymał lekko zadarty do góry pistolet maszynowy uzi.

- Raz jeszcze proszę, żebyście ich puścili! - wykrzyknął Merton. Twarz mu poczerwieniała, gdyż był wzburzony tym, że stracił kontrolę nad swoimi uczniami.

Niechętnie wypuszczono jeńców.

Żołnierze otoczyli ich kordonem, zaprowadzili do samochodu i kazali wejść do środka. Zastali tam pobitego „beatnika”. Spojrzała na nich, potarł obolałą głowę i powiedział:

- Ale draka, bracie! Przeżyliście ciężkie chwile, no nie?

- Rzeczywiście, bracie! - odparł Jon. - To było paskudne.

- Dokąd chce pan jechać, profesorze Weber? - spytał kierowca.

- Mamy samochód przy Muzeum Rockefellera. Dziękuję!

W Wielki Piątek do kościoła Świętego Grobu wepchnęło się tylu pielgrzymów, że ludzie zaczęli mdleć. Cierpiący na klaustrofobię dostali ataku hysterii. Ekipy ratunkowe z trudem torowały sobie drogę przez zatłoczone ulice w żywym labiryncie, jakim stało się Święte Miasto. Ale arabskie sklepy z pamiątkami przeżywały niezwykły *boom*, nic więc dziwnego, że mówiło się: „Jaka jest ulubiona pieśń islamu? Odpowiedź: Jezus moim przyjacielem!”

Zapowiadało się, że w Niedzielę Wielkanocną będzie trochę lepiej, gdyż rzesze pielgrzymów zamierzały świętować o świcie na stokach za wschodnimi murami Jeruzolimy. Będą mieli stamtąd wspaniałe widoki na Jezusa, kiedy będzie zstępował na Górę Oliwną, na ten sam szczyt, z którego wstąpił do nieba po zmartwychwstaniu. Zapewne połowa pielgrzymów miała co do tego wątpliwości, lecz druga połowa

wa ubrała się w białe szaty, by powitać Pana przychodzącego powtórnie na ziemię. Oczy lśniły im radością, kiedy szli procesją, ze śpiewem, z zapalonymi świecami, na wschód od starego miasta, z nadzieją w sercach wyglądając brzasku.

Jon i Shannon przyglądali się temu ze swojego punktu obserwacyjnego. Przyjechali na święta do Jerozolimy i dzięki uprzejmości kierownika hotelu wynajęli apartament w hotelu Seven Arches na Górze Oliwnej. Tuż przed niedzielnym świtem Jon obudził Shannon. „Wyjdźmy najszybciej jak to możliwe, kochanie. Pewnie niczego podobnego nie zobaczymy już do końca życia!”

Jedząc bułeczki i popijając je kawą z termosu, stali na esplanadzie przed Seven Arches i przyglądali się niewiarygodnej scenie. Przeciwny stok rozłożystej doliny Cedronu był całkowicie zakryty masą ludzi. Ćwierć miliona pielgrzymów śpiewało pieśni religijne w najrozmaitszych językach świata. Przy południowym skraju doliny ogromne zgromadzenie charyzmatyczne przemawiało językami i dźwięki dobywające się z tysięcy ust zlewały się w jeden grzmiący pomruk.

Kiedy zaczęło się przejaśniać, Jon i Shannon zobaczyli, jak liczące po trzydzieści osób szeregi rozwinęły długie, wielojęzyczne transparenty: „Witaj nam, Panie!”, „Griiss Gott, Herr Jesu Christ!”, „Ave, Jesu!”, „Bonjour, Seigneur!” Niektórzy uznali, że Jezus będzie wolał swój język ojczysty, wypisali więc starannie po aramejsku: „Marana tha”, „Panie, przyjdź!” Była to stara modlitwa, prawdopodobnie najwcześniejsza modlitwa Kościoła.

Drobniutka postać hen w dole doskonale wiedziała, jak narzucić tłumowi poczucie jedności. Doktor Melvin Merton wspiął się na podwyższenie, stanął za baterią mikrofonów i huknął: „Dzień dobry! Alleluja!” Każde zdanie mowy tłumaczono na francuski, niemiecki, hiszpański, włoski, grecki i polski. W pewnym momencie Merton powiedział po łacinie: „*Vivit!* Żyje! Wstał z martwych!”

Tego słowa nie trzeba było tłumaczyć i ponad ćwierć miliona głosów bez trudu podjęło jednoczącą wszystkich łacinę, śpiewając rytmicznie i jednogłośnie przez ponad pięć minut: *Vivit! Vivit! Vivit!* Potem odczytano w kilku językach Ewangelię na Niedzielę Wielkanocną.

Mowa Mertona była obliczona tak, by zakończyła się dokładnie w momencie, kiedy słońce wyjrzy spoza grzbietu Góry Oliwnej, czyli w momencie, kiedy wielu spodziewało się ujrzeć Syna Bożego. Mer-

ton zakończył: „Zmartwychwstał! Zaprawdę zmartwychwstał! I powtórnie przyjdzie! Przyjdź, Panie Jezu! *Marana tha!*”

Rzeszę pielgrzymów ogarnął entuzjazm. *Marana tha! Marana tha! Marana tha!* - zaczęli wykrzykiwać w uniesieniu. Było to tak zaraźliwe, tak przemożne, że nawet wątpiący zwrócili wzrok w stronę szczytu, wypatrując światłości Jezusa, który przychodzi wreszcie jak obiecał.

Potężny śpiew nie ustawał, płosząc ptaki i inne zwierzęta. Nastrój był tak hipnotyzujący, że nawet Jon i Shannon uświadomili sobie, iż kierują wzrok ku grzbietowi góry. Jon zastanawiał się przez chwilę, czy Bóg jest tym kimś tak „Całkowicie Innym”, że sprawi, by rację mieli Merton i jego zwolennicy, a wszyscy „normalni” chrześcijanie błędzili. Ale nad szczytem jaśniało tylko najzwyczajniejsze w świecie słońce.

- Chodźmy, kochanie - powiedział.

Kiedy wracali do hotelu, Shannon dodała swój komentarz:

- Chciałabym być tam na podwyższeniu przy Mertonie.

- I co powiedziałaśbyś tłumowi?

- Po prostu przytoczyłabym słowa Jezusa na temat Jego powtórnego przyjścia: „O dniu owym i godzinie nikt nie wie”.

Jon uśmiechnął się.

- Pewien uczeń zapytał raz Marcina Lutra, co ten by zrobił, gdyby dowiedział się, że nazajutrz Jezus przyjdzie powtórnie na ziemię. Uczeń miał nadzieję, że dobry doktor spędzi całą noc na pokucie, może włożywszy na siebie taką białą szatę. Ale Luter odpowiedział: „Zasadziłbym drzewko jabłoni”.

- Nie mam pojęcia, co miał na myśli!

- Otóż miał na następny dzień zaplanowane posadzenie jabłoni, a chrześcijanie winni prowadzić takie życie, by nie musieli postępować według scenariusza z „białymi szatami”.

Roześmiała się.

Tego wielkanocnego poranka Jezus z Nazaretu nie przyszedł powtórnie na ziemię.

XX

Istna powódź listów z całego świata zalewała ekipę w Rama i zespoły naukowe. Jedni domagali się natychmiastowego zakończenia Fazy III, żeby nie tracić czasu, „jako że autentyczność znalezisk jest już niepodważalna”. Inni proponowali takie czy inne testy. Jeszcze inni rzucali się na „przeoczone przez wszystkich luki w dowodach”. Jon wkrótce zebrał pękata kartotekę „błędów”. Na przykład:

- Na sarkofagu Józefa nie może być jednocześnie tekstu aramejskiego i greckiego. [Nieprawda: z tego okresu mamy wiele takich inskrypcji.]

- *Titulus* został po prostu namalowany, nie było żadnego pergaminu. [W Ewangeliach nie ma żadnych danych wykluczających napis na pergaminie. „Niespodzianka” dodaje raczej wiarygodności.]

- Ewangelia Jana mówi, że płótna grobowe zostały w grobowcu jerozolimskim. Gdyby Józef zabrał ciało, nie zostawiłby przecież płócien. [Jeśli, co wydaje się prawdopodobne, płótna były zbrukane wskutek tego, że na ciele Jezusa znajdowały się rany, zapewne jednak by je zostawił. Mógł także zostawić tylko zewnętrzny całun.]

- Wzmianka w tekście papirusu wskazuje, że ukrzyżowanie nastąpiło później niż w 30 roku. [Rzeczywiście, najprawdopodobniejsza data śmierci Jezusa to rok 33.]

- Józef nie czekałby do szabatu, żeby pogrzebać ciało, jak twierdzi papirus, a to ze względu na proces rozkładu. [Szczałki zostały zabezpieczone ziołami. Podróż w szabat zwróciłaby uwagę.]

I tak dalej, aż do najprostszej luki, udokumentowanej przez niezachwianą wiarę:

- Jezus powstał z martwych, jakże więc mogłyby to być Jego szczątki.

Inna puchnąca kartoteka zawierała listy ze skargami. Starszyzna Kościoła „Prezbiterianie i baptyści, dwa ziarna w Duchu” mającego siedzibę na środkowym wschodzie Ameryki pytała, dlaczego żaden przedstawiciel ich Kościoła - liczącego wszak setki wyznawców! - nie został zaproszony do Jerozolimy. Teolodzy afro-azjatyccy poczuli się zlekceważeni. Wszczęto kilka spraw sądowych przeciwko Jenningsowi, Jonowi i innym członkom kierownictwa wykopalisk w Rama, gdyż podważyli wiarę kogoś, kto wskutek tego popełnił samobójstwo. Naturalną kolejną rzeczą jedne listy były szczególnie ostre, inne po prostu skatologiczne, a radosna nota z załączoną propozycją wystąpienia o kartę członkowską, przysłana przez fundację Wolność od Religii, nie mogła być wystarczającą rekompensatą.

Jednak najbardziej poruszony poczuł się Jon długim, poufnym listem od Kevina Sullivana. Papież wysłał go do Stanów, żeby ocenił rozmiary szkód, i Kevin wrócił ze sprawozdaniem, które opisywało stan katastrofalny. Wszystkie kościelne statystyki poświadczały spadek wskaźników, i to na łeb, na szyję - od uczestnictwa w obrządkach po ofiary na tacę. Sale w szkołkach niedzielnych i na zajęciach katechetycznych pustoszały, zamykano szkoły parafialne.

„Nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia krucha jest wiara ogółu chrześcijan - pisał Sullivan. - Coraz częściej dochodzi do zerwań z Kościołem. W Kalifornii Robert Schuller jedno ze swoich kazań w Kryształowej Katedrze zaczął, z ufnym jak zawsze uśmiechem, od zapewnienia wiernych, że nadal trzeba myśleć o szansach, kiedy jakiś niski, mocny głos wdarł się do układu nagłaśniającego i zagrzmiął: „Mamy tylko szansę, że chrześcijaństwo to wielkie oszustwo, a ty jesteś fałszerzem!” Poszło to w telewizji na cały kraj... W tę samą niedzielę, kiedy organista w kościele Riverside w Nowym Jorku grał preludium Bacha, ktoś zniszczył miechy wielkich organów Aeolian-Skinner, z których uszło powietrze, wydając okropny dźwięk.”

Jon odłożył list i szepnął: „Zagubiona struna? Czy dzwonnicy pogrzebowy?”

Czy to, że wspaniała wiadomość przyszła akurat w momencie letniego przesilenia, było zwykłym zbiegiem okoliczności? Świat zapamięta tę chwilę! Dwudziestego czerwca rano Jon i Jennings siedzieli w audytorium Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie jako uczestnicy plenarnego posiedzenia Zespołu Teologicznego, kie-

dy podszedł do nich między ławkami goniec i podał list. Zobaczyli herb arcybiskupi i podpis katolickiego patriarchy Jerozolimy.

Drogi profesorze Jennings, drogi profesorze Weber,

Z wielką radością donoszę Panom, że ojciec Claude Montaigne odkrył ostateczny dowód, iż artefakty znalezione w pieczarze w Rama to oszustwo. Jego odkrycie podamy do wiadomości opinii publicznej jutro o godzinie 14⁰⁰ w auli patriarchatu łacińskiego. Zapraszamy obu Panów oraz wszystkich szanownych współpracowników.

Wasz w Chrystusie



U
Umberto Cervantes
Archiepiscopus Ierusalem

Jennings poblądł i spojrzął na Jona, który był równie wstrząśnięty, gdyż zadał najgłupsze pytanie w swoim życiu:

- Co robimy, Austin?
- Oczywiście natychmiast to ogłosimy!

Jon podszedł do mikrofonu, przerwał obrady i odczytał list. W audytorium zapadło milczenie. Potem wybuchła wrzawa.

Następnego dnia po południu aula, czyli sala audiencyjna patriarchatu łacińskiego nie opodal Bramy Jafejskiej, siedziba rzymskokatolickiego arcybiskupa Jerozolimy, wypełniła się naukowcami i dziennikarzami. Pod ścianami ustawiono reflektory i kamery telewizyjne. Wszystkie miejsca były zajęte już o pierwszej i setki chętnych błagały o wpuszczenie do środka. Jennings, Brampton, Shannon i Jon nie dostaliby się tutaj, gdyby patriarcha nie zarezerwował dla nich miejsc w pierwszym rzędzie.

O drugiej do auli wszedł Claude Montaigne. Arcybiskup przedstawił małego dominikanina, który zaczął od odczytania przygotowanego oświadczenia. Kiedy kładł tekst oświadczenia na pulpicie, widać było, jak drżą mu ręce.

Z ogromną przyjemnością mogę zawiadomić, że papirus z Rama jest sfalszowany. Został bez żadnego szacunku dla wiary spreparowany przez kogoś, kto znał biegle aramejski i chciał zadać śmiertelny cios Świętemu Kościołowi. Oby Bóg wybaczył temu osobnikowi jego czyn... gdyż ja nie potrafię.

Montaigne przerwał na moment czytanie, gdyż wzruszenie odebrało mu głos. Po chwili odzyskał panowanie nad sobą.

Po wielu miesiącach badań nad dokumentem zauważyłem drobne potknięcia składniowe i gramatyczne, które były nie do pomyślenia w przypadku kogoś bez wątplenia tak wykształconego jak Józef z Arymatei. Podejrzana wydała mi się ponadto objętość tekstu, także to, że tak szczęśliwie się zachował, a wreszcie niezbyt prawdopodobne warunki klimatyczne w pieczarze, powietrze na tyle suche, iż zarówno tak zwany tytułus, jak papirus nie uległy zniszczeniu.

W sumie mamy więc do czynienia z fałszerstwem, fałszerstwem mistrzowskim, ale niewątpliwym. Modłę się o to, by cały świat dowiedział się jak najrychlej o tej mistyfikacji, aby raz na zawsze skończyła się ta udręka. Natychmiast musi urwać się napływ przerażających sprawozdań, które mówią o rozpaczliwych, załamaniach nerwowych, samobójstwach, rezygnacjach z powołań kapłańskich i gwałceniu zasad moralnych, zwłaszcza w krajach zachodnich. Proszę was, panie i panowie z prasy, o wsparcie tego szlachetnego wysiłku.

- Teraz spróbuję odpowiedzieć na wasze pytania - dodał po zakończeniu lektury.

Wielu przedstawicieli prasy popędziło natychmiast do telefonów.

Jon pochylił się w stronę Jenningsa i spytał:

- Co o tym sądzisz?

Jennings nic nie odpowiedział, tylko uniósł rękę. Drobny siwołosy uczonec rozpoznał go i w tym momencie Jon uświadomił sobie, że po raz pierwszy Montaigne spojrział prosto w ich kierunku, chociaż skupiała się na nich uwaga ekip telewizyjnych, które nastawiały w tę stronę obiektywy kamer, by zarejestrować reakcję odkrywców z Rama na każdą sylabę przeczytanego przed chwilą oświadczenia.

- Proszę ojca - zachrypiął Jennings. Odkaslnął i zaczął jeszcze raz:
- Proszę ojca, o jakie „drobne potknięcia składniowe i gramatyczne” chodzi? Podczas kongresu, na który przybyli najwięksi specjaliści od języków semickich, nie dopatrzone się żadnych tego rodzaju błędów.

- *D'accord*, profesorze Jennings. Ja też z początku nie zwróciłem uwagi na te potknięcia. Jednak po dogłębnych badaniach... nie uszły mojej...

- Zanim odpowie ojciec na inne pytania, *pere* Montaigne - przerwał mu Jennings - czy zechciałby ojciec podać dwa, trzy przykłady takich potknięć?

Na twarzy Montaigne'a pojawił się wyraz świadczący o jakimś zaniepokojeniu, znowu zaczęły mu drżeć ręce.

- To kwestie zbyt techniczne, żeby je omawiać na tym forum. Może zajmujemy się nimi później... Tak?

Na ojca Montaigne'a spadła istna lawina pytań o to, jak mogły być sfalszowane inne znaleziska w Rama, i dominikanin odpowiadał na nie, przedstawiając scenariusze dosyć podobne do scenariuszy Berthouda.

Miał już zamknąć konferencję, kiedy znowu podniósł rękę Jennings.

- Proszę ojca, bardzo byśmy chcieli, żeby dostarczył nam ojciec jakieś materiały, nad którymi moglibyśmy pracować. Profesor Weber i ja chcielibyśmy uzyskać choćby jeden przykład nielogiczności czy jakichś potknięć w tekście papirusu.

Spiczasta srebrzysta broda dominikanina zaczęła drżeć, do oczu napłynęły mu łzy.

- No cóż, w takim razie powiem. Powiem nawet coś więcej. Nie tylko odkryłem fałszerstwo, ale... także fałszerza! Podam jego nazwisko!

Zapadła grobowa cisza. Wzburzony Montaigne rozejrzał się dokoła i oparł się obiema rękami na pulpicie, żeby opanować ich drzenie.

- Sprawcą... oby Bóg mu wybaczył!... nikczemnikiem, który takie nieszczęście ściągnął na Kościół i świat... jest... jestem ja!

Na sali panowała cisza jak makiem zasiał. Potem rozszalała się burza. Patriarcha ujął głowę w dłonie. Jon patrzył bez słowa na Jenningsa i Shannon.

W końcu odzyskał mowę.

- To nie do wiary, Austin! To tłumaczyłoby, dlaczego aramejski z papirusu jest tak bezbłędny. Czegoś takiego mógł dokonać tylko Montaigne!

- Nie mogę w to uwierzyć! - westchnął Jennings, potrząsając głową.

Wystrzelił w górę las rąk. Do głosu doszedł Schmueel Sanderson z AP, który zadał oczywiście pytanie, jakiego należało oczekiwać:

- Dlaczego ojciec to zrobił? Czym się kierował?

- To proste. Wiele lat temu utraciłem wiarę. Zdawało mi się, że

świat... że świat dokona szybciej postępu na niwie intelektualnej, jeśli pozbędzie się okowów religijnych. Pamiętacie, jaką krzywdę wyrządził Kościół Galileuszowi? Podstępnie zahamowano wtedy rozwój nauki i wiedzy. Wiara zaślepiła wielu ludzi, którzy uznawali, że świat liczy sobie kilka tysięcy lat, nie zaś wiele milionów. Odrzucono teorię ewolucji. W Ameryce doszło do tego, że wskutek nacisków fundamentalistów w niektórych podręcznikach zaprzeczano istnienie dinozaurów, chociaż w muzeach mamy pełno ich kości... Tak?

- Renee Saint-Michel, „Le Figaro”. Dlaczego jednak zmienił ojciec stanowisko i ujawnił fałszerstwo?

- Przedtem patrzyłem na całą sprawę z czysto intelektualnego punktu widzenia. Nie uświadamiałem sobie, jakie... jakie straszne cierpienia sięgnę na ludzkość. Reakcja, zwłaszcza w Kościele, była znacznie gwałtowniejsza niż mogło mi się przyśnić. Nie mogłem już tego znieść.

Podniósł rękę Jon.

- *Pere Montaigne*, nie zawiodę pańskiego zaufania i nie zdradzę żadnych szczegółów rozmowy, jaką odbyliśmy w restauracji hotelu Seven Arches kilka miesięcy temu, chciałbym jednak, żeby ojciec przypomniał sobie o niej i...

- Ma pan na myśli to, że chciałem kupić papirus za piętnaście milionów dolarów? Nie mam nic przeciwko podaniu tego do publicznej wiadomości. Pragnie pan oczywiście wiedzieć, dlaczego chciałem kupić papirus i go zniszczyć. Czy takie jest pańskie pytanie?

- Rzeczywiście.

- Wtedy nadal chciałem oszukiwać świat. Była to sztuczka czysto psychologiczna, by utwierdzić was w przekonaniu, że papirus jest autentyczny. Wiedziałem, że nie sprzedalibyście go za żadną sumę.

Jon czuł się jak ryba, którą wędkarz złapał na haczyk; w dodatku wędkarz ten zdążył już „zaciąć”, wskutek czego haczyk utkwiał mocno w pysku. Ten sprytny mały odszczepieniec naprawdę tego dokonał, a on, Jon, i cały świat uczonych zostali wystrychnięci na dudka.

Teraz zaczął wymachiwać ręką Jennings.

- Pewnie jestem jak porysowana płyta gramofonowa, *Monsieur Montaigne*, tak bowiem będę nazywał pana, skoro zhańbił pan swój stan kapłański, ale na tę konferencję przyszło wielu uczonych. Naprawdę muszę zapytać, gdzie są spotkania w tekście papirusu. Jeśli dopuścił się pan fałszerstwa, dlaczego nie powiedział tego od razu, zamiast mówić o usterkach w aramejskim tekście?

- Ja... chciałem oszczędzić sobie przykrej sytuacji. Ale trudno...

skoro pan chce, udowodnię, że popełniłem fałszerstwo. Rozmyślnie odciałem maleńki fragment z dołu papirusu... żeby dowieść fałszerstwa, gdybym miał kiedyś zmienić zdanie. Mam ten fragment tutaj. - Uniósł wysoko maleńką szkatułkę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. - Proponuję, żebyśmy udali się do Muzeum Rockefellera i porównali mój fragment z papirusem.

Długa procesja uczonych, kapłanów, mnichów, patriarchów, biskupów i reporterów, wyglądająca jak procesja wielkopiątkowa, ale na opak, wyszła z patriarchatu łacińskiego i skierowała się na wschód, do Muzeum Rockefellera. Jon i Shannon poszli przodem, żeby przygotować Nikosa Papadimitriou, że zaraz nastąpi najazd na jego królestwo. Kiedy już wszyscy, którym udało się wpełznąć, znaleźli się w głównym hallu muzeum i strażnicy zajęli miejsca po obu stronach stołu roboczego, Jon poprosił Nikosa o przyniesienie papirusu. Następnie skinął na Montaigne'a, który otworzył złotą szkatułkę i używając szczypczyków z oklejonymi miękkim materiałem końcami, wyjął maleńki fragment papirusu.

- Czy zechciałby pan zdjąć górne szkło z papirusu? - powiedział.

- Dobrze, ale najpierw sprawdźmy, czy fragment pasuje choćby z grubsza - zażądał Jon. - Proszę położyć go na właściwym miejscu na szkle.

- Doskonale. - Montaigne położył fragment nad romboidalnym zagłębieniem w dolnym skraju papirusu.

Jon i Jennings przyjrzeni się uważnie. Wyglądało na to, że fragment pasuje jak ulał.

- Proszę krok do tyłu - powiedział Jon, zwracając się do Montaigne'a. - Podniosę szkło i umieszczę fragment we właściwym miejscu.

Ostrożnie wykonał te czynności. Razem z Jenningsem obejrzeni, przy pomocy szkła powiększającego, miejsce złożenia, badając je pod rozmaitymi kątami i przy jaskrawym oświetleniu.

Jon obrócił się do tłumu i oznajmił:

- Ten fragment jest strzępem papirusu: ten sam kolor, ten sam układ włókien. Pasuje doskonale. Przypuszczam, że ojciec Montaigne powiedział prawdę i że papirus Józefa został rzeczywiście sfalszowany.

W hallu zapanowała ogłuszająca wrzawa. Duchowni zaczęli płać z radości, padając sobie w uniesieniu w ramiona. Ktoś zaczął śpiewać wielką doksologię, a pozostali dołączyli swe głosy:

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej

woli. Chwalimy Cię. Błogosławimy Cię. Wielbimy Cię. Wystawiamy Cię”.

Dziennikarze i pracownicy ekip telewizyjnych wybiegli z Muzeum Rockefellera. Nie można dopuścić, by świat czekał na niezwykłą nowinę.

Pochyliwszy ze wstydu głowę, Claude Montaigne zwrócił się ze łzami w oczach do uczonych z Rama i powiedział:

- Nie będę nawet prosił o wybaczenie, *mes amis*, chociaż bardzo go pragnę. Mam tylko nadzieję, że po jakimś czasie... zrozumiecie, o co mi chodziło, choć poniosłem tak wielką klęskę.

Milczeli.

- Czy... czy mogę odzyskać mój papirus... razem z fragmentem?

- Nie dostanie pan ani tego, ani tego - odparł spokojnie Jennings.

- Życzę miłego dnia, *Monsieur* Montaigne.

Ciężko doświadczony zakonnik opuścił muzeum w towarzystwie swoich przełożonych.

Kiedy już mieli wyjść, Jonowi nagle przyszła do głowy niepokojąca myśl.

- Zastanawiam się, Austin, czy nie pospieszyłem się zbyt z moim oświadczeniem. Nie zbadaliśmy tego fragmentu zbyt naukowo, prawda?

- Masz rację.

Jon zmarszczył brwi i zaczął zastanawiać się nad przebiegiem tego niezwykłego popołudnia. Po chwili obrócił się do wszystkich i powiedział:

- Na twoim miejscu, Nikos, zbadalbym brzegi tego strzępu pod mikroskopem. Wgłębienie w papirusie też. Zbadaj, czy jest takie samo jak reszta dolnego skraju papirusu.

- I tak zamierzałem to zrobić. - Nikos uśmiechnął się. - Zadzwoń... zapewne jeszcze dzisiaj wieczorem.

- O co chodzi, Jon? - spytał Jennings.

- Przyszła mi do głowy pewna myśl. Nikos zapewne nie stwierdzi niczego dziwnego, ale w tej sprawie musimy dzielić każdy włos na czworo.

- To prawda!

Po powrocie do Ramallah Jon poprosił Dicka Cromwella o zdjęcia papirusu. Przyglądał się uważnie ostrym, kontrastowym fotografiom rozprostowanego papirusu, nad którym pracowali uczeni z całego

świata. Romboidalny ubytek był doskonale widoczny trochę na prawo od środka dolnego skraju.

- To dziwne, że w ogóle tego nie zauważyłam - powiedziała Shannon. - A przecież brakuje całkiem sporego kawałka.

- No tak, cały dolny skraj jest wystrzępiony i nieregularny - wyjaśnił Jennings. - Dlatego niczego nie dostrzeżliśmy.

- Wygląda na to, że w opowieści Montaigne'a wszystko się zgadza - wtrącił się do rozmowy Cromwell.

- Dick, wiem, pytałem cię już o to dziesiątki razy - odezwał się znowu Jon - i dziesiątki razy mi odpowiadałeś. Zawsze tak samo. Ale zapytam jeszcze jeden jedyny raz. Jak, do diabła, się stało, że ten głupiec z AP znalazł te zdjęcia leżące na wierzchu w twoim laboratorium?

- Dobry Boże! Mówiłem ci, Jon! Nie zostawiłem niczego poniewierającego się po laboratorium! A przed wyjazdem do Stanów zamknąłem pracownię na cztery spusty!

- Czy myślisz, że Montaigne może mieć z tym coś wspólnego? Czy chociaż raz był w pracowni?

- Wątpię - odparł Jennings. - Pracował zawsze w Ecole albo w Muzeum Rockefellera.

Zadzwoił telefon. Słuchawkę podniósł Jon.

- Tak... Nikos. Co tam masz? - Jon słuchał w napięciu przez dłuższą chwilę, a potem powiedział: - Świetna robota, Nikos. Na prawdę świetna! Jesteśmy niewymownie wdzięczni!

Odłożył słuchawkę.

- No i? - spytała Shannon.

- Nikos powiedział, że wszystkie brzegi na złączeniu fragmentu z papierusem noszą ślady świeżego cięcia. Cięcie jest równe i nie postrzeżone w odróżnieniu od reszty brzegu, nieregularnego i wystrzępionego.

- Czy nie tego należało się spodziewać zgodnie z tym, co oświadczył Montaigne? - zdziwiła się Shannon.

- Nie. Montaigne twierdził, że zrobił to wiele lat temu. Nikos mówi, że w ciągu tych lat krawędzie straciłyby regularność, zwłaszcza po nawilgoceniu.

- Kiedy więc mógłby Montaigne odciąć fragment? - zdziwił się Brampton. - Najwyraźniej tego fragmentu nie było już, kiedy znaleźliśmy papierus...

Nikt nie odpowiedział. Jennings bębnił palcami po stole.

- Czyżby? - rzucił po jakimś czasie. - Czy mamy pewność, że fragmentu nie było w momencie znalezienia?

- Chwileczkę! - wykrzyknął Jon. - To autoryzowane zdjęcie nie jest pierwszym, jakie zostało zrobione. Bynajmniej! Dick, gdzie są pierwsze zdjęcia, jakie zrobiłeś, kiedy papirus był jeszcze częściowo zwinięty? Wiesz, kiedy robiłeś zdjęcia pod rozmaitymi kątami?

- Były w porównaniu z tym mało wyraźne i wyrzuciłem je.

- Do jasnej cholery! Chyba żartujesz? - wrzasnął z wściekłością Jon.

- Jasne, że żartuję - roześmiał się Cromwell.

Poszedł do pracowni fotograficznej. Wrócił z plikiem zdjęć. Jon szybko odłożył trzy pierwsze zdjęcia i wziął do ręki czwarte, które przedstawiało prawą dolną ćwiartkę papirusu.

- Do diabła! - wykrzyknął. - Patrzcie! - Pokazał palcem. - Tu. Żadnego braku! W tym momencie fragment nie był jeszcze odcięty!

- Kiedy więc Montaigne miał dostęp do papirusu i mógł dokonać swojego nikczemnego dzieła? - zdumiała się Shannon.

- Przez cały czas byliśmy przy nim - powiedział Jennings potrząsając głową. - Bóg jeden wie.

- My też... jak sądzę - oznajmi! Jon i twarz mu się rozjaśniła.

- Czy pamiętacie to spotkanie z Montaigne'em po powrocie z Synaju?

- No tak! Oczywiście! Ten łobuz sam oglądał papirus! - przypomniał sobie Jennings.

- Nic z tego, kolezdy! - wtrącił się Dick. - Autoryzowane zdjęcia zrobiłem znacznie wcześniej i na nich brak już tego fragmentu.

- Psiakrew! Masz rację, Dick - zgodził się Jon.

Jennings wykręcił w tym czasie numer Nikosa, ale nikt nie podniósł słuchawki ani w laboratorium, ani w domu.

- Niechże to licho! - złościł się. - Pewnie wyjechał z rodziną na weekend.

Całą sobotę i niedzielę nie wiedzieli, co ze sobą zrobić, a na dodatek musieli opędzać się od dziennikarzy. Dopiero w poniedziałek rano złapali telefonicznie Papadimitriou.

- Nikos, mamy do ciebie bardzo ważne pytanie - oznajmił Jennings. - Przypomnij sobie dzień, kiedy po raz pierwszy przynieśliśmy papirus i dni następne, dobrze?... Tak. A teraz powiedz, czy w tym czasie Montaigne był choćby krótko sam z papirusem? - Jennings

zakrył mikrofon dłonią i zwrócił się do swoich najbliższych współpracowników: - Myśli.

- Co takiego?... Mówisz, że kiedy pokazaliśmy mu go po raz pierwszy?... Co zrobił?... Wrócił do laboratorium po wyjściu Jona? Dziękuję, Nikos. Mamy odpowiedź na nasze pytanie!

Konfrontacja odbyła się w prywatnych apartamentach patriarchy Jerozolimy. Obecni byli jako świadkowie: Piątka z Rama oraz dyrektorzy Instytutu Albrighta, Brytyjskiej Szkoły Archeologicznej i Ecole Biblique. Poza patriarchą i jego sekretarzem stawili się też opat dominikanów i *pere* Claude Montaigne. Aby nie stawiać w trudnej sytuacji patriarchy, nie zawiadomiono prasy ani opinii publicznej. Spodziewano się, że wkrótce przybędzie z lotniska Ben Guriona osobisty wysłannik papieża, Kevin Sullivan, który zadzwonił z Rzymu, gdy tylko usłyszał w Radio Italiana wiadomość o „udowodnieniu fałszerstwa”. Na Jona spadł smutny obowiązek poinformowania Sullivana, że udowodnione rzekomo fałszerstwo wcale nie było fałszerstwem.

Umberto Cervantes, patriarcha i gospodarz spotkania, był wysokim mężczyzną o twarzy pełnej, ale i szlachetnej. Miał piękne białe włosy i przezroczyste szmaragdowe oczy. Był dobrym, prawym człowiekiem i sprawnym zarządcą. O celu wizyty grupy Jenningsa wiedział tyle tylko, że być może uczeni chcieli zgłębić motywy działania nieszczęsnego dominikanina.

Ponieważ było już po południu, patriarcha poprosił o podanie wszystkim herbaty i zachęcił Jenningsa do otwarcia dyskusji. Jennings zaczął mówić, ale przerwał, kiedy nalewano herbatę. Ledwie poczęstowano wszystkich działkami cytryny i kostkami cukru, Jennings znowu zaczął mówić. Patriarcha siedział nieruchomo, wyprostowany, słuchając, jak Montaigne okłamał wszystkich w sprawie fragmentu papirusu. W tym momencie wpadł do środka Kevin Sullivan i po krótkim przywitaniu został wprowadzony w kwestię. Jon rozdał pierwsze zdjęcia papirusu bez ubytku oraz późniejsze - z wyciętym fragmentem.

Claude Montaigne milczał. Siedział sztywno i wpatrywał się pilnie w orientalny dywan. Cervantes zażądał od niego wyjaśnień. Montaigne milczał.

- Proszę raz jeszcze, ojciec Claude, o odpowiedź na te oskarżenia. Jako twój kościelny zwierzchnik polecam ci odpowiedzieć!

Mijały sekundy. W końcu Montaigne zacisnął dłonie na poręczach fotela i po raz pierwszy podniósł wzrok.

- *Oui* - szepnął. A potem trochę głośniejszym głosem dodał: - Odciałem ten fragment w laboratorium Muzeum Rockefellera i nie zrobiłem tego wiele lat temu.

- Czy kłamałeś także, mówiąc, że sfałszowałeś papirus? - nalegał patriarcha.

- Papirus jest z całą pewnością sfałszowany - odparł dominikanin.

- Niuanse gramatyczne i składniowe i...

- Gdzie są te fałszywe niuanse? - wtrącił się Jon. - O ile pamiętam, nigdy nie odpowiedział ojciec na to pytanie.

Montaigne rozpoczął długi, techniczny monolog na temat drobnych niuansów gramatycznych. Był z każdym słowem coraz mniej przekonywający, nawet dla samego siebie.

Wreszcie uniósł bezradnie ręce i powiedział:

- No dobrze, kończę. Jakie... jakie było pytanie, ekscelencjo?

- Czy skłamałeś także, twierdząc, że sfałszowałeś papirus?

- Ja... tak. Nie, nie sfałszowałem. Byłem jednak pewny, że...

- Dlaczego? - zagrzmiął Jon. - Dlaczego ojciec, jeden z największych specjalistów od języków semickich, tak zasłużony dla świata nauki, dlaczego ojciec popełnił swoim czynem naukowe samobójstwo? Przecież to koniec kariery naukowej! Nikt nie spojrzy na prace napisane przez ojca! Jak można było?

Claude Montaigne milczał przez długą chwilę. Potem uśmiechnął się blade.

- Największym fałszerstwem było to, że powiedziałem, iż utraciłem wiarę. W obliczu Boga i przed wami wszystkimi oświadczam, że nie utraciłem wiary! A skoro Jezus oddał dla mnie życie, najmniejsze, co mogłem zrobić, to... oddać karierę naukową mojemu Zbawcy. Ileż szczęścia daje ofiara!

Teraz zamilkli wszyscy pozostali. Ogarnęło ich dziwne wzruszenie. Shannon miała łzy w oczach, a Jon wbił wzrok w dywan jak poprzednio Montaigne.

Ten zaś ciągnął:

- Dzwony kościelne znowu rozdźwięczały się na całym świecie, *mes amis*! Jezus jest znowu wśród nas, taki sam jak przedtem. Ludzie odzyskali wiarę, nadzieję i miłość. Pierwsze doniesienia mówią o pełnych kościołach, zatłoczonych katedrach. Prawie milion ludzi zebrał się wczoraj na Placu Świętego Piotra, kiedy Ojciec Święty śpiewał *Te*

Deum w dziękczynieniu za wykrycie fałszerstwa. Czy wydrzecie im z powrotem odnowioną wiarę, która stała się ich życiem? Czy zdobędziecie się na to? Ponieważ nikt nie odpowiedział, Montaigne mówił dalej:

- *Mes amis*, ja... ja chciałem zyskać na czasie. Nadejdzie dzień, kiedy Rama okaże się fałszem wynalezionym przez szatana we własnej osobie. Ja nie potrafiłem dotychczas tego udowodnić. Ani wy. A w tym czasie ile setek, ile tysięcy umarło bez pociechy zmartwychwstania? Pytam, ile?

I tym razem nikt nie udzielił odpowiedzi na jego pytanie.

- Proszę was tylko, koledzy, byście pozostawili światu wiarę chrześcijańską, jest bowiem naprawdę religią nadziei, a są to jedyne naprawdę słusne słowa, jakie padły z ust niegodziwego fałszerza, którego macie przed sobą.

Milczenie, jakie teraz zapadło, przerwał dopiero ich gospodarz, który powiedział po prostu:

- Czemu nie mielibyśmy pozwolić sobie na... małą przerwę... a raczej wakacje, moi przyjaciele? Poproszę o herbatę. Może spotkalibyśmy się znowu, powiedzmy, za pół godziny?

Piątka z Rama, do której dołączył po chwili Kevin Sullivan, wyszła na balkon, z którego rozciągał się widok na Jerozolimę. Patrzyli ku wschodowi na dachy i kopuły, dzwonnice i minarety starego miasta, powleczonego mroczniejącym złotem zachodzącego słońca.

- Czy tak było wczoraj w Rzymie, Kevin? - spytał spokojnym głosem Jon.

- Tak. Próbowiałem dotrzeć do papieża na czas z twoim *caveat*, ale nie udało mi się. Włoscy wierni nie posiadali się z radości.

- Uważa ojciec, że powinniśmy zostawić wszystko jak jest? - zapytał Jennings. - Kontynuować nasze prace po kryjomu? Z dała od wrzawy mass mediów?

- Byłoby nam z pewnością łatwiej - powiedział Brampton.

- Co o tym myślisz, Jon? - spytała Shannon.

- Sam nie wiem. Byłby to nasz pierwszy fałszywy, być może, krok w całej tej niesłychanej sprawie.

Kiedy tak patrzył na stare miasto, nagle ni w pięć, ni w dziewięć przyszło mu do głowy harwardzkie motto. *Veritas*. Prawda. Niech ci z Yale trzymają się swojego *Lux et veritas*, „światło i prawda” - rozmyślał. - Wystarczy prawda, gdyż światło bez prawdy nie jest

żadnym światłem. Jak dotychczas nie został znaleziony „nikczemny^
falszerz”. Zapewne wcale nie istniał. A jeśli nawet istniał? Nic,
choćby nie wiadomo jak starożytnego, wielkiego, wspaniałego czy
trwałego, nic nie może stanąć na drodze Prawdy. Prawdy przeszłej,
teraźniejszej i przyszłej. Jon obrócił się do pozostałych i powie-
dział:

- Bez względu na to, jaką decyzję podejmiecie, ja nie zgodzę się
na propozycję Montaigne'a.

Kiedy wracali do środka, poczuł, że ktoś objął jego ramiona.

- Ani ja, przyjacielu - usłyszał głos Kevina - choćby to było
bardzo bolesne.

Inni potwierdzili. Z naciskiem.

- Ekscelencjo - oznajmił Jon, kiedy wszyscy zasiedli na poprzed-
nich miejscach - doszliśmy do jednomyślnego wniosku. Prawda jest
rzeczą najważniejszą. Gdybyśmy teraz przyjęli, że popełniono nie-
prawdziwe przecież fałszerstwo, byłoby to wprawdzie bardzo dla nas
wygodne, ale później utrudniłoby odkrycie rzeczywistego fałszerst-
wa, jeśli takiego fałszerstwa dokonano. Prawda zawsze musi mieć
pierwszeństwo, i to bez względu na koszty. Nasi koledzy, znakomici
dyrektorzy tutejszych, jerozolimskich, instytucji archeologicznych
podejdą do tego tak samo. Takie samo jest stanowisko przedstawiciela
papieża i...

- I moje - przerwał dominikański opat.

- Moje też - dołączył do nich swój głos patriarcha. - Bracie
Claude, chociaż rozumiemy twoje intencje, nie możemy puścić pła-
zem takich metod postępowania jak twoje. Musimy zawiesić cię
w funkcjach kapłańskich i powierzyć duchową pieczę nad tobą twym
dominikańskim zwierzchnikom. W żadnym razie nie możesz nau-
czać, wyklądać ani publikować. Jestem pewny, że wszyscy będziemy
się za ciebie modlić. - Obrócił się w stronę pozostałych uczestników
spotkania i spytał: - A teraz, moi drodzy profesorowie, czy wy złoży-
cie oświadczenie dla prasy, czy mam to uczynić ja?

- Będziemy szczęśliwi, jeśli będziemy mogli powierzyć to zada-
nie jego ekscelencji - rzekł Jennings.

Był to dla świata szczególnie okrutny zwrot. Ogromna ulga i ra-
dość wczoraj, powrót na samo dno rozpaczy dzisiaj! Wszystkie zaką-
tki globu zawrzały; zmieszały się ze sobą poczucie zawodu, gniew,

rozgoryczenie i uraza. Niektórzy, jak Melvin Merton i jego zwolennicy, wybrali drogę najłatwiejszą, najtandetniejszą i najbardziej oczywistą, na początku tygodnia wynosząc pod niebiosa Claude'a Montaigne'a jako „błogosławionego Judasza, który skruszył się” i przeklinając go pod koniec tegoż tygodnia jako „diabelski pomiot”. „Sami widzicie - wykrzykiwał Merton - że nie możecie ufać żadnemu z tych fałszywych uczonych, tych rzekomych archeologów. Zawarli przymierze z diabłem!”

Przed samym powrotem do Rzymu Kevin Sullivan zjadł z Jonem lunch na dachu hotelu Hilton.

- Kiedy się to wszystko skończy, przyjacielu? - pytał Sullivan.
- Już prawie od roku Kościół stara się żyć z poczuciem, że przyłożył do mu brzytwę do gardła.

- Zespoły zamkną prace zapewne późnym latem. Jeśli nie wyskoczy nic nowego... Czy pracowałeś nad Janem 20,26? Nasz zespół badaczy Nowego Testamentu zajmował się tą sprawą.

- Tak, badaliśmy ten ustęp. Powiadasz więc, że autentyczność jest pewna? Żadnej podróbki?

- Powiadam tylko, że Kościół dobrze zrobi, jeśli się na taką okoliczność przygotowuje.

- Okay, no więc ten ustęp mówi, że zmartwychwstały Jezus ukazał się uczniom, chociaż drzwi domu były zamknięte, zmaterializował się po przejściu przez ścianę. Świetnie, z pewnością wygląda na to, że dojdzie się na tej drodze do raczej duchowej niż fizycznej interpretacji zmartwychwstania. Pamiętaj jednak, że w dalszym ciągu tej sceny Jezus żąda od niewiernego Tomasza, by ten dotknął Jego ran na rękach i boku.

- Jan nie mówi, że Tomasz to zrobił, chociaż zgadzam się, że mógł.

- To tylko spór o słowa. Nic więcej. Co zrobić z relacją z tego wydarzenia u Łukasza?

- Wiem. - Jon uniósł bezradnie ręce. - Jezus powiedział im: „Dotknijcie Mnie i przekonajcie się: duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam”.

- A potem zjadł z nimi kawałek pieczonej ryby.

- Otóż to. Mamy tutaj drugi biegun, jeśli chodzi o relację z ukazania się uczniom, a mianowicie zmartwychwstanie w pełni fizyczne. A jednak trzeba się zastanowić, co działo się z kośćmi podczas tego przejścia przez ścianę. Może chodzi o to, co święty Paweł miał na

myśli w tej wspaniałej paraboli z 15. rozdziału Pierwszego Listu do Koryntian. Z ziarna zasianego w ziemię wyrasta coś znacznie większego, żywa roślina, mówi więc, że „podobnie ma się rzecz ze zmartwychwstaniem... zasiewa się ciało zmysłowe, powstaje ciało duchowe”.

- Słusznie. Ale zawsze rozumieliśmy to jako prawdziwe, chwalebne ciało, jak ciało Chrystusa. W tym samym rozdziale Paweł powiada, że nie będziemy bezcielesnymi duchami, ale ciałami duchowymi. Wszystkie „kości” zostaną przeobrażone. Nie pozostaną w niezmiennym kształcie.

- Wiem, wiem, Kev. I ciebie, i mnie tak właśnie uczono. Nigdy nie zapomnę, jak zareagowałem na artykuł, który przeczytałem w „St. Louis Globe Democrat” w 79 roku. Czterech okolicznych kapłanów zapytano, jak zareagowałiby, gdyby okazało się, że ktoś odkrył szczątki Jezusa i że są na to niezbite dowody naukowe.

- To mi coś przypomina - powiedział Kevin.

- I to jak! W każdym razie przełożony luterńskiego seminarium udzielił odpowiedzi ortodoksyjnej, ale wybrnął z kłopotu mówiąc, że coś takiego jest niemożliwe. Natomiast rektor Kościoła episkopalnego oznajmił, że nie przejąłby się tym w najmniejszym stopniu. Pamiętam, że ta odpowiedź wydała mi się wyjątkowo niesmaczna. Najbardziej przypadła mi do serca odpowiedź katolickiego specjalisty od Nowego Testamentu, profesora St. Louis University. Wyznał, że znalazłby się na dnie rozpaczy. To było uczciwe. Widzisz więc, Kevinie, jakie jest, lub było, moje nastawienie.

- I to ty mówisz, że powinniśmy wziąć się do tego metodystycznego z ducha „przemyślenia na nowo”?

- Mówię tylko, że powinniśmy być przygotowani na wszystko. Nie wątpię, że macie i takich katolickich teologów, którzy zgadzają się z tym rektorem.

- Bez wątpienia, nawet w Rzymie. Niektórzy z naszych skrajnych lewicowców od miesięcy uśmiechają się pod wąsem. Może tutaj, w tym świętym miejscu, nie uświadamiacie sobie tego, Jon, ale w tej chwili zanoszą się w Watykanie na zacieklą walkę. Zawsze była pewna polaryzacja sił, teraz mamy prawie otwartą wojnę. Liberałowie domagają się od Ojca Świętego, żeby zaakceptował zmartwychwstanie tylko duchowe, zanim jeszcze ogłosicie ostateczne rezultaty, ponieważ sądzą, że szanse na autentyczność są jak sto do jednego. Umiarkowane centrum i konserwatyści zdają sobie oczywiście sprawę z na-

cisku z lewej strony i kardynał Pedro Gonzales ostrzegął przed nim papieża.

- Ostrzegął?! Jakże się miewa ten obrońca wiary? Nadal węszy herezję na każdym szczeblu Kościoła?

Kevin uśmiechnął się i powiedział:

- No cóż, Gonzales i jego Święte Oficjum mają zapewnione poparcie Augustina Buchbindera, watykańskiego sekretarza stanu, oraz jego zwolenników w Kurii. Nie życzą sobie żadnego kompromisu, bez względu na to, co się tu okaże.

- Nikt sobie tego nie życzy. A jeśli nie będzie innego wyjścia?

- Nie wiem.

Wyszczyli do końca drugą kolejkę piwa.

- Jon, kiedy będziesz już miał sprawozdania wszystkich zespołów, czy mógłbyś podać nam rezultaty, zanim przedstawiś je opinii publicznej? Jak zwykle?

- Zrobię coś więcej. Przylecę do Rzymu i osobiście przedstawię je papieżowi i tobie.

XXI

Władze izraelskie znalazły się w bardzo trudnej sytuacji. Wskutek katastrofy, jaką były wydarzenia w Rama, w kraju zapanował nastrój niepewności, który objął także Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu. Znowu podniosła głowę hydra intifady. Arabscy chłopcy rzucali kamieniami, przywrócono godzinę policyjną, nie opodal Betlejem wybuchła bomba podłożona w autobusie, z kibuców wyruszały wyprawy odwetowe. Był to jakby plagiat smutnego scenariusza, tak dobrze znanego w nieodległej przeszłości.

Bez względu na to, czy powodem były wykopaliska w Rama, czy coś innego, Gideon Ben-Yaakov nadal pełnił obowiązki rządowego łącznika z ekipą archeologów. W stosunkach z Jonem uwidoczniły się oznaki pewnego napięcia, i było to zrozumiałe - ze względu na Shannon. Jon ze swej strony starał się schodzić Gideonowi z drogi, pozostawiając Jenningsowi wszystkie sprawy wymagające kontaktów z przedstawicielami władz. Jednak na początku lipca natknął się na niego w jerozolimskim Sanktuarium Księgi, gdzie przyprowadził cały Zespół Paleografii, żeby mogli obejrzeć dokładnie *titulus*. Zgromadzono tu teraz wszystkie przedmioty znalezione w pieczarze. Przywitanie Jona z Gideonem wypadło sztywno, a nawet lodowato.

Kiedy Jon wrócił tego wieczoru do Ramallah, Clive Brampton powitał go radosną nowiną:

- Zgadnij, Jon, co mam ci do powiedzenia! Naomi zgodziła się! W październiku ślub!

- Cudownie, Clive! Gratuluję wam oboju!
- Boję się tylko, że przy naszej profesji będziemy płodzić ceramikę zamiast dzieci!
- Nie będzie przynajmniej kłopotów z datowaniem! - roześmiał się Jon.

Po kolacji podzielił się nowiną z Shannon.

- Podoba mi się ich plan, kochanie. Może byśmy się do nich przyłączyli? Będziemy mieli ślubny kwartet! Co ty na to?

Uśmiechnęła się, ale milczała.

- A właściwie, w takim dniu nie chcę, byśmy dzielili się z kimś naszą radością.

- Ja też nie - przyznała mu tym razem rację.

- Więc kiedy? Widzisz, Shannon, właściwie nigdy nie powiedziałaś mi jasno i wyraźnie „tak”!

Przyciągnęła jego głowę i przywarła do jego warg w długim, czułym, palącym pocałunku.

- I z rozmysłem! Chcę, żebyś czekał, niepokoił się, bo przecież książkę musi walczyć o miłość swojej dobrej wróżki, nigdy nie może być za bardzo pewny swego.

- Bardzo subtelna gra psychologiczna. Ale męcząca.

- Wspaniała! Lepiej niech tak pozostanie.

- Powiedzie jednak, jak ci się podoba pomysł, żebyś została panią Weber?

- Och, od paru miesięcy mam przygotowaną odpowiedź na to pytanie.

- Mianowicie...

- Jeśli nie potrafisz się domyślić, muszę przemyśleć wszystko od nowa!

Objął ją mocno, by poczuć blisko całe jej jestestwo. Czasem lepiej trzymać kogoś mocno w ramionach niż całować - pomyślał. - Czasem to lepsze od wszystkiego, co może być później.

- Kiedy, Shannon? - spytał raz jeszcze.

- Kiedy wszystko się skończy takim czy innym rezultatem. Do tego czasu będziesz beznadziejnie zajęty, a ja chcę cię mieć tylko dla siebie.

- Dobrze, kochanie. To brzmi sensownie.

- Zresztą na razie nie wiem nawet, jakiego ślubu pragnę. Tradycyjnie chrześcijańskiego? Czy tylko urzędowego?

- Straciłaś wiarę?

- Ja... być może. A ty, Jon?
- Z każdym mijającym dniem coraz jest trudniej ją zachować.

W końcu jednak był kwartet, aczkolwiek nie ślubny. W środku tego pełnego napięcia lata dwie pary zakochanych szukały szczęścia, wymykając się w weekendy nad Morze Śródziemne, ponieważ Clive zaraził ich swoim hobby, archeologią podmorską. Wrzucali na tył land rovera sprzęt podwodny i jechali do Cezarei, gdzie nurkowali w kryształowo przejrzystej zielonkawej wodzie i badali osłaniające wspaniały port ogromne falochrony, które zbudował Herod Wielki. Podczas jednej z takich wypraw pływali w morzu do zachodu słońca, a potem rozpalili na plaży ognisko.

- Chyba przeniosę się tutaj, kiedy zakończymy prace w Rama - oznajmił w pewnym momencie Clive.

Naomi zaczęła się śmiać.

- Niektórzy myślą, że archeologia polega wyłącznie na zlepianiu rozbitych naczyń. Powinni zobaczyć nas teraz.

- Wiedziałem, że nie wytrzymasz nawet pół dnia, żeby nie wspomnieć o tej swojej cholernej ceramice - zażartował Clive.

Skoczyła w jego kierunku. Clive zerwał się i zaczął uciekać przed nią po plaży.

- To piękna kobieta. Chciałabym mieć takie nogi - westchnęła Shannon. - Jak to się stało, Jon, że się w niej nie zakochałeś?

- Kto powiedział, że nie? Byłaby nagrodą pocieszenia, gdybyś mną wzgardziła.

Zacisnęła małą piąstkę i szturchnęła go w ramię.

- Co chcesz, Shannon, to tylko... ciekawe, czy uda mi się powtórzyć... chcę, żebyś czekała... żebyś nie była za bardzo pewna swego...

- Ty potworze! - Uszczypnęła go w ramię. - Będziesz miał za swoje, kiedy wrócę do Gideona.

Roześmiał się i zaczął całować całe jej smukłe ciało. Nagle to miejsce, cała ta sytuacja przypomniawszy mu przeszłość. Andrea! Całując teraz Shannon, całował przez moment Andree. Shannon nigdy się o tym nie dowie. Miał jednak nadzieję, że gdyby się nawet dowiedziała, potrafiłaby zrozumieć i wybaczyć.

Pod koniec lipca Zespół Śledczy zebrał się na posiedzenie w sali Brytyjskiej Szkoły Archeologii na zboczu wzgórza Scopus w północ-

nej części Jerozolimy. Ponieważ Jennings i Brampton wyprawili się na rekonesans nowych stanowisk archeologicznych, kierownictwo wykopalisk w Rama reprezentował Jon. Henri Berthoud był u szczytu swoich twórczych możliwości; przedstawił zespołowi nowy scenariusz fałszerstwa, ale jego wysiłek poszedł na marne, gdyż nie potrafił wyjaśnić, skąd w pieczarze wzięły się szczątki ludzkie z pierwszego wieku - jeśli miały nie być autentyczne. Zwrócił się w stronę Jona i zapytał:

- Czy takie stare szczątki nie są w Izraelu rzadkością?
 - Nie. W Qumran, na przykład, de Vaux znalazł cmentarz tuż na wschód od tamtejszych budowli. Rozkopali około czterdziestu grobów i znaleźli jakichś trzydziestu pogrzebanych mężczyzn.
 - Och! Gdzie są teraz te kości? - spytał Glastonbury unosząc brwi.
 - Zostały oczywiście z powrotem pogrzebane.
 - Czy możemy mieć co do tego pewność?
 - Nie ma najmniejszej wątpliwości. To standardowa procedura.
- Jon przerwał na chwilę, a potem dodał: - Nasze szczątki nie mogły pochodzić stamtąd, gdyż żaden z tych szkieletów nie miał takich niezwykłych śladów obrażeń.

Glastonbury uniósł pulchne dłonie.

- Paddington, czego dogrzebałeś się w historii tego miejsca? „James Bond” poruszył się na krześle.
- Wiemy, kto był właścicielem siedliska aż do roku 1910 wstecz. Przez cały ten czas właścicielem tego miejsca były dwie rodziny arabskie wraz z potomstwem i Kensington bez trudu odkupił je od ostatniego pokolenia w okresie zamętu, jaki nastąpił po wojnie z 1948 roku o niepodległość Izraela. Oto kopia tytułu własności z jerozolimskiego archiwum ksiąg wieczystych.

Rozdał kserokopie.

- Następnie - ciągnął - sporządziłem listę specjalistów pracujących podczas corocznych ekspedycji Kensingtona i Jenningsa, włączając w to arabskich kierowników zespołów roboczych, i przepytalem wszystkich, którzy przebywają w Izraelu albo Jordanii. Resztę zostawiłem tobie, Reginaldzie. Mam nadzieję, że ich odnalazłeś.
- Tak. Większość. Mów jednak dalej.
- Powstało z tego kilkaset stron maszynopisu zeznań. - Otworzył opasłą teczkę. - Czy mam je odczytać?
- Dobry Boże, tylko nie to! - roześmiał się Glastonbury. - Po prostu powiedz, gdzie znalazłeś lukę, coś odbiegającego od normy,

wskazówkę. Wtedy wyjaśnimy tajemnicę, jeśli jest tu jakaś tajemnica, i będziemy mogli pojechać do domu.

Paddington rozejrzył się znużonym wzrokiem po obecnych i oznajmił:

- Nie znalazłem niczego. Wszystko, co tu mam, zgadza się z materiałami z rocznych sprawozdań, oczywiście poza drobnymi różnicami, które wynikają z zawodności ludzkiej pamięci... A ty, Reginaldzie?

- Och... odrobinę więcej. Skupiłem się na najwybitniejszych archeologach. Wszyscy byli Brytyjczykami poza jednym dziwnym wyjątkiem, tym facetem z Ameryki... jak się nazywa? Weavil? Weaver? Mam, Weber... Jonathan Weber!

Cały zespół parsknął śmiechem, a Jon zapytał:

- Czy mam złożyć wyjaśnienie?

- Nie, nie! Ponieważ pan to zrobił. - W sali zapadła tym razem grobowa cisza, Glastonbury zaś wzrokiem przewiercał Jona na wylot. - Nie wystarczył panu, profesorze, jeden światowy bestseller. Zadał pan o materiał do następnego, w którym przedstawi pan światu, jak tego dokonał!

Część członków zespołu robiła wrażenie oszołomionych. Jon zaczął wiercić się niespokojnie na krześle. Nagle na twarzy Glastonbury'ego wykwitł szeroki uśmiech.

- Daliście się nabrać! To żart! Niedobrze byłoby, gdybyśmy na domiar złego stracili poczucie humoru. Nie, Jonathanie, moja wyprawa do „kolonii” okazała się całkowicie jałowa. Twoje konto jest czyste jak ła... jak psi kieł, powiadają w Anglii... a muszę przyznać, że to powiedzenie wydaje mi się odrobinę przygnębiające. Wyobrażcie sobie choćby psa Baskerville'ów! Ale zaplątałem się w dygresję...

- To prawda, Reginaldzie - potwierdził Paddington. - Zdziecinienie. Nigdy nie pomyślałeś, że czas już się wycofać?

Prowadzący obrady zachichotał.

- Owszem, ta sprawa mogłaby doprowadzić do przeniesienia mnie w stan spoczynku! Ale mówiąc poważnie. Scotland Yard dysponuje teraz pełnymi materiałami dotyczącymi lorda Kensingtona, profesora Jenningsa, Clive'a Bramptona, Noela Nottinghama i wielu innych uczonych mających coś wspólnego z wykopaliskami w Rama przy okazji kolejnych ekspedycji. Chcielibyście wiedzieć, czy znaleźliśmy jakieś motywy? Być może, ale bardzo wątpliwe. Proszę o zachowanie tej informacji dla siebie, ale Kensington nie był purytaninem. Poza żoną

w Bristol miał contesę w Rzymie i konkubinę w Kairze i wiadomo, że utyskiwał na moralny rygorizm Kościoła anglikańskiego. Czy to jednak wystarczy, by przypisać mu oszustwo na taką skalę? Wątpię. Austin Balfour Jennings urodził się na anglikańskiej plebanii w Ulsterze. Rodzice byli oboje Anglikami, ale kochali Północną Irlandię i przenieśli się tam. Jennings głęboko podziwiał ojca, który tuż przed emeryturą zginął w wypadku samochodowym. Austin Balfour Jennings studiował w Oksfordzie z myślą o przyjęciu kapłaństwa, ale pasjonowały go języki semickie i archeologia. Był tak błyskotliwy w tych dziedzinach, że namówiono go do zmiany wydziału. Podczas wakacji uczestniczył w wykopaliskach w Qumran pod kierunkiem Rolanda de Vaux, a potem w Rama u Kensingtona. W 1967 roku, tuż przed śmiercią Kensingtona, Jennings poznał młodą katoliczkę z Droghedy, miasta na wschodnim wybrzeżu Irlandii. Wzięli ślub i w 1970 roku urodziła się Shannon. Matka umarła, kiedy Shannon była jeszcze małym dzieckiem. Przez następny rok Jennings nie mógł dojść do siebie.

- Na co umarła? - spytał Jon.

Wiedział to od Shannon, ale chciał sprawdzić sprawność Scotland Yardu.

- Na zapalenie płuc. Potem Jennings prowadził wykopaliska w Betel i Szilo, a po jakimś czasie wrócił do Rama. To główne punkty życiorysu. Oczywiście w teczkach jest dokumentacja znacznie dokładniejsza.

- Czy któryś z tych szczegółów wskazuje na jakiś motyw, który mógłby skłonić do fałszerstwa? - spytał Paddington. - Śmierć ojca, żony. Może obwiniał Boga. Powiedziałeś, że był załamany.

Jon poczuł, że ogarnia go oburzenie.

- To bardzo lichy motyw, gdy w grę wchodzi fałszerstwo na taką skalę! Zresztą Jennings po prostu nie jest typem oszusta. Prawdziwy fałszerz maskowałby swój ból, a Jennings wcale się z nim nie krył.

Glastonbury przeszedł do Bramptona i Nottinghama. Obaj byli wyznawcami materializmu, ale trudno byłoby uznać ich za wojujących ateistów, którym zależałoby na doprowadzeniu do śmierci chrześcijaństwa. Następnie sięgnął po tecki tych uczonych, którzy pracowali w Izraelu pod kierunkiem Kensingtona albo Jenningsa. Dałoby się niektórym przypisać jakieś motywy, ale tak słabe, że trudno byłoby uznać je za podstawę dalszych dochodzeń. Lecz jedno z nazwisk było doskonale znane w kołach archeologicznych. Chodzi-

ło o Gładwina Dunstable'a z Instytutu Archeologii przy Uniwersytecie Londyńskim. Jon słyszał o nim jako o brytyjskim Sandym McHugh. Przedstawiwszy życiorys uczonego, Glastonbury ciągnął:

- W siedemdziesiątym drugim roku Dunstable pracował z Jenningsem w Szilo. Teraz prowadzi oczywiście w Londynie wielkie laboratorium analityczne. Jakaż ten człowiek ma pamięć! Kiedy z nim rozmawiałem, potrafił powiedzieć, co Jennings jadł danego dnia na śniadanie. On właśnie zapoznał Jenningsa z datowaniem metodą węgla C-14. Kiedy Dunstable wyjeżdżał na wakacje i miał w drodze do Anglii odwiedzić Włochy, Jennings poprosił go, by przywiózł coś z Pompei, chciał bowiem sprawdzić, jak bliskie roku 79 będzie datowanie przeprowadzone w nowo powstałym laboratorium Weizmanna w Rehovot.

- Sprytne - powiedział Paddington. - I co przysłał Dunstable?

- Nie mam zielonego pojęcia. Tak czy inaczej, to ostatnie z naszych nazwisk, proszę szanownych kolegów. Czy komuś z państwa rzuciło się coś w oczy? Czy dostrzeżliście jakieś motywy? Luki? Wskazówki? Cokolwiek?

Nikt nie uniół ołówka. Ani ręki. Ani brwi.

- Pozostaje więc odrobić zadania domowe - ciągnął przewodniczący. - Przygotujemy odbitki wszystkich znakomitych materiałów przygotowanych przez naszych kolegów, a państwo zapoznacie się starannie z każdą stroniczką. Potem porównamy spostrzeżenia i we wrześnie zbierzemy się po raz ostatni. Do tego czasu proszę myśleć, gdzie się da. Wszędzie!

Wszyscy wstali i zaczęli opuszczać salę.

Glastonbury objął ramieniem Jona i powiedział:

- Ty grzeb się w ziemi po swojemu. My też będziemy się grzebać po swojemu.

Jonowi rozmowa z Naomi Sharon ponad stołem podczas lunchu sprawiała po prostu przyjemność. Spodziewał się, że wszyscy zdają sobie z tego sprawę, zwłaszcza Shannon i Clive. Zapierająca dech uroda Naomi była w jej przypadku czymś prawie odstręczającym, ponieważ ludzie uważają zwykle, że taka powierzchowność nie może iść w parze z błyskotliwym umysłem, jakby były to przymioty wzajemnie się wykluczające. Oczywiście ekipa z Rama doceniała ją w pełni i Jon często wypytywał Naomi o żydowskie reakcje na ten czy inny

aspekt kryzysu, ponieważ orientowała się doskonale w wielu sprawach wychodzących poza zakres jej specjalności.

Pewnego południa pod koniec lata siedzieli z dala od reszty w namiocie jadalnym.

Nagle Jon zadał zdumiewające pytanie:

- Naomi, założmy po pierwsze, że nasze znalezisko okaże się absolutnie autentyczne, a po drugie, że normą w chrześcijaństwie stanie się czysto duchowa interpretacja zmartwychwstania Chrystusa, i wreszcie po trzecie, że wskutek tego nastąpi powszechne odrzucenie wiary chrześcijańskiej jako całości. Jaka będzie wtedy twoim zdaniem religijna przyszłość planety?

Naomi omal nie udławiła się gruszką, którą w tym momencie jadła.

- Jon - powiedziała po chwili - to wygląda mi na temat egzaminu doktorskiego, który nawet wielki Hillel zdałby z najwyższym trudem!

- Może lepszy byłby Nostradamus, który czytał w przyszłości jak w otwartej księdze. - Jon mrugnął do niej.

- Przykro mi to mówić, Jon, ale ta trzecia sytuacja jest bardziej prawdopodobna niż ci się wydaje. Większość ludzi na tej ziemi, w tym wierzący, ma bardzo materialistyczne nastawienie do życia i potrzebuje kontaktu ze sprawami namacalnymi. Z trudem pojmują abstrakcję, myślą konkretnymi. Idea tylko duchowego życia po śmierci przemawia może do platoników, a to bardzo wąska grupa, masy zaś są na nią obojętne. Czy wiesz, jaki fakt wystrzelił wasze chrześcijaństwo na najwyższą religijną orbitę?

- Zmartwychwstanie.

- Otóż to. Nauczanie o wskrzeszeniu umarłych i przyszłym życiu. Czego najbardziej pragnie umierający, jeśli nie zapewnienia, że śmierć nie oznacza końca, ale przeciwnie, początek czegoś lepszego? I to lepszego nie w jakimś abstrakcyjnym sensie. Bez zmartwychwstania straciecie 80 do 90 procent wiernych.

Jon skinął głową.

- Zawsze podejrzewałem, że przeciętny wierny nigdy nie zgodzi się na „dojrzałą wiarę”, jaką lansuje chrześcijańska lewica. Przyjmujemy więc hipotezę numer trzy: Kościół traci trzy czwarte wiernych. Kto przyciągnie ich do siebie?

Przyglądała się swojej szklance z wodą, jakby to była kryształowa kula.

- Kolosalne postępy robi islam. Nie przez to, że przyciąga do siebie tych, którzy wyrzekli się chrześcijaństwa, ale przez swój

wpływ na wahający się Trzeci Świat. A jak ten wpływ wzrośnie, jeśli nie będzie równoważącego go chrześcijaństwa? Zamilkła.

- Nie byłoby to takie złe, Naomi. Wolałbym, żeby miejsca chrześcijaństwa nie zajął judaizm. Jest obok chrześcijaństwa jedyną religią mającą niewzruszony fundament historyczny.

- Judaizm może odnieść pewne korzyści - powiedziała, starannie dobierając słowa - ale pod warunkiem, że nauczy się działać jednomyślnie, a także przejmie od chrześcijaństwa idee misyjne i ewangelizacyjne. My też mamy swoje zmartwychwstanie.

- Tak jak wasz kraj, ni mniej, ni więcej!

W tym momencie podeszła do nich Shannon i powiedziała żartobliwym tonem:

- Przyglądałam się wam. Naomi, chyba nie chcesz odebrać mi mężczyzny?

- Jasne! - Naomi roześmiała się. - Czy nie chcą tego wszystkie dziewczęta?

Tego wieczoru Shannon była w odrobinę mniej żartobliwym nastroju, kiedy spytała:

- O czym rozmawialiście z takim przejęciem dzisiaj po południu?

Powiedział jej, ale nie była tym usatysfakcjonowana.

- Nie wątpię, Jon, że rozmawiałeś z tą... wspaniałą Izraelitką o duchowej przyszłości gatunku ludzkiego!

- Ależ tak, Shannon! Była to... czysto platońska rozmowa!

Nie rozchmurzyła się. Co gorsza, ich sprzeczka stawała się coraz gwałtowniejsza. Oboje mówili podniesionym głosem. Przerzucali się oskarżeniami. Emocje wzięły górę nad rozumem. Jego germański temperament rozpałił w nim krew. Każde poszło do siebie, zatraskując za sobą drzwi. Był to pierwszy niepożądany słup graniczny na drodze ich miłości, pierwsza sprzeczka. Oboje spędzili bezsenną, złą noc.

Urok i rzeškość poranka zdawała się nieść rozwiązanie życiowych problemów. Po śniadaniu padli sobie w ramiona i oboje przyznali, że wykazali się dojrzałością godną studentów pierwszego roku.

Problem Rama był daleko trudniejszy do rozwiązania. Nadszedł koniec września i Jon powinien wrócić do Harvardu, ale na szczęście uniwersytet przedłużył mu urlop. Wszystkie zespoły pracujące w ramach Fazy III zakończyły swoje dociekania poza zespołami archeologicznym i śledczym, pierwszy dlatego, że nie całe Rama zostało

dotychczas odłożone, drugi, ponieważ Glastonbury zwlekał z rzuca-
niem ręcznika na ring. Jednak podczas plenarnej sesji międzynaro-
dowego kongresu uczonych w Jerozolimie wyczuwało się, że zadanie
zostało właściwie wykonane, gdyż ostatnie stanowiska archeologicz-
ne w Rama znajdowały się daleko od pieczary, a Glastonbury nie
miał niczego nowego do zaproponowania. Po prostu stary, drobiaz-
gowy pies gończy działał zgodnie z tradycją Scotland Yardu i nigdy
nie godził się zamknąć sprawy, dopóki nie znaleziono winowajcy.
Prawdopodobieństwa, że winnego nie ma, Glastonbury po prostu nie
przyjmował do wiadomości. Paddington dał mu to do zrozumienia
podczas poprzedniego spotkania, życząc mu spokojnej emerytury.

Dokonania Fazy III zostały zebrane w opasłym, liczącym 585
stronic sprawozdaniu, *epitomie* wszystkich poszukiwań. Pełne spra-
wozdanie wypełni dwanaście tomów. Rama to teraz miejsce najbar-
dziej drobiazgowych badań w historii archeologii.

Po końcowej sesji kongresu Jennings i Jon wrócili do Ramallah
z opasłym maszynopisem sprawozdania. Shannon zapytała, co przy-
nieśli.

- Powiem ci po kolacji - odparł ojciec.

Jednak po kolacji Jennings oznajmił, że jest bardzo zmęczony.

- Poproś o wyjaśnienie Jonathana.

Jon zaproponował jej długi spacer.

- Powiem ci wszystko po drodze - powiedział, a po chwili dodał:

- Nie możemy jednak spacerować zbyt długo, bo jutro musisz od-
wieźć mnie na lotnisko Ben Guriona.

- Och!... Lecisz do Rzymu?

- Tak. Muszę zobaczyć się z Kevinem. I z papieżem. Stare zob-
owiązanie.

Dzięki ciemnym okularom i panamskiemu słomianemu kapeluszo-
wi z wstążką Jon przemknął się przez tłum na lotnisku Ben Guriona,
a potem Leonarda da Vinci. Sullivan dostarczył go błyskawicznie na
Via Ostiensis.

- Dziękuję, Kevin, że nie zażądałeś „streszczenia streszczenia”

- powiedział Jon.

- Na to mamy jeszcze czas.

- Może parę słów o sytuacji politycznej w Watykanie?

- To samo co przedtem, tyle że następuje zaostrzenie. Liberalowie
zgodnie i z coraz większym naciskiem żądają, żeby Ojciec Święty

zaakceptował nową teologię, bo w przeciwnym razie Łódź Piotrowa zatonie.

- A ludzie ze Świętego Oficjum?
- Prawicowa ekstrema zaczyna rzucać groźby, jakich te uszy nigdy nie powinny usłyszeć.

- Na przykład...

- Na przykład... Naprawdę nie powinienem ci tego mówić. Nikomu ani słowa, obiecujesz?

- Jasne.

- Gonzales i Buchbinder spotykali się w wielkiej konspiracji ze swoimi przyjaciółmi z Kurii. Domyślam się, że jeśli tylko mogą, kontrolują rozmowy papieża z odwiedzającymi go teologami. I oczywiście biorą pod lupę każde jego publiczne oświadczenie.

- Do tego doszło? Myślisz, że podłożyli mikrofony w jego prywatnych apartamentach? W biurze?

- Nie wiem... Mam nadzieję, że nie. Tak czy inaczej, wystarczy jedno słówko w Kurii, że Benedykt skłania się ku nowej teologii, a postarają się o uznanie *non compos mentis* albo o jego wyjazd do Castel Gandolfo na długi wypoczynek. Oczywiście bez żadnego komunikatu w tej sprawie.

- Nie do wiary! Myślisz, że zdołaliby to przeprowadzić?

- Kto wie? Myślę, że w całym Kościele podniósłby się wielki krzyk. Mówią o jeszcze jednym wyjściu, o zmuszeniu go do abdykacji.

- Czy są jakieś precedensy?

- W jedenastym wieku papież Benedykt IX przyjął pieniądze i ustąpił na rzecz bardziej reformatorsko nastawionego sukcesora. Następnie jest Celestyn V, który w trzynastym wieku ustąpił, żeby zostać pustelnikiem... No i oczywiście Grzegorz XII, który w 1415 roku zrzekł się tronu Piotrowego, żeby położyć kres Wielkiej Schizmie.

- Nigdy jednak nie doszło do abdykacji wymuszonej?

- Nie zabrakło oczywiście jeszcze bardziej groteskowych pogłoszek. Jedną z nich diabeł rozpusza mniej więcej raz na sto lat: że ktoś może powstrzymać Benedykta... dokonując na niego zamachu w samym Watykanie.

- Zwolennicy spiskowej teorii dziejów, no i miesięczny pontyfikat Jana Pawła I!

Sullivan zatrzymał się przed drzwiami swojego apartamentu.

- Odświeżmy się. U papieża mamy być o czwartej, przed nami dobra godzina wolnego.

- Witam, *caro professore!* - powiedział Benedykt XVI, rozkładając ramiona, by uściskać swojego gościa.

- Jestem szczęśliwy, że widzę znowu Jego Świątobliwość, *Santissimo Padre!*

- Ostatnio widzieliśmy się niemal półtora roku temu, a w tym czasie... niejedno się wydarzyło, prawda?

- To mało powiedziane!

- Dziękuję za informowanie nas na bieżąco o postępach prac, *amico mio*. Ojciec Sullivan pomagał nam, przekazując pańskie sprawozdania.

Wszyscy uśmiechnęli się, a Benedykt ciągnął:

- Doceniam też sumienność, z jaką badał pan wszystkie znalezione, profesorze. Zawsze podkreślał pan, że wartość odkryć wymaga potwierdzenia i okazał pan wrażliwość na to, jaki wpływ wywrze ta historia na wiernych. Teraz jednak chcielibyśmy zapoznać się z wnioskami kongresu.

- Wnioski zostały zebrane w dosyć obszernym tomie. Sądzę, że Jego Świątobliwość przeczyta go, gdy znajdzie trochę wolnego czasu.

- Tak. Może jednak przedtem zechciałby pan przedstawić... hmmm... co ważniejsze stwierdzenia.

- Naturalnie. Po pierwsze, proszę pozwolić...

- Coś mi przyszło do głowy - przerwał mu papież. - Ponieważ mamy piękny październikowy dzień, może przeszlubyśmy się po ogrodzie, a pan opowie wszystko podczas spaceru. Dobrze?

- Będę zachwycony - odparł Jon.

Papież ruszył przodem, a Jon spojrzał znacząco na Kevina. Sullivan zrozumiał doskonale ten niemy komentarz, ale wzruszył tylko ramionami.

I może to dopatrywanie się wszędzie ukrytych mikrofonów jest jakąś paranoją - rozmyślał Jon, z przyjemnością przechadzając się pod baldachimem pini i cyprysów w Ogrodach Watykańskich na tyłach Bazyliki Świętego Piotra. Kiedy znaleźli się blisko środka ogrodu na małej polance oświetlonej czerwonozłotymi promieniami zachodzącego słońca, Benedykt poprosił ich gestem, żeby usiedli na dwóch prostych ławkach, jakie widuje się na wsi.

Spojrzał na Jona i powiedział:

- A teraz, drogi przyjacielu... czekam z niecierpliwością na to, co masz mi do powiedzenia.

Jon zdawał sobie sprawę, że czeka go najtrudniejsza mowa, jaką kiedykolwiek wygłosił, ale jedynym wyjściem było przedstawić całą prawdę bez osłonek, bez uciekania się do dyplomatycznych wybiegów. Powoli i precyzyjnie - aczkolwiek z pewnym wzruszeniem - zrelacjonował ostateczne wnioski.

- W Zespole Archeologicznym oceniono wysoko metodologię prowadzenia wykopalisk i uznano, że wszystkie nasze znaleziska są autentyczne. Typologia ceramiki może być wzorem precyzji. Specjaliści od antropologii i patologii nie znaleźli najmniejszej wskazówki, że w czasach najnowszych dokonano jakichś zabiegów na kościach szkieletu. Zespół Analityczny potwierdził wszystkie testy dokonane metodą węgla promieniotwórczego oraz te przeprowadzone w Smithsonian Institution, a w paru przypadkach zawęził nawet margines błędu. Specjaliści od lingwistyki i paleografii nie znaleźli w tekście papirusu, pergaminu ani w napisie na kamieniu niczego odbiegającego od normy i uznali, że błędy gramatyczne na tabliczce z krzyża są całkiem w danych okolicznościach naturalne.

Jon przerwał, żeby jego rozmówcy mogli przetrwać gorzką prawdę. Musiała ona dla nich oznaczać całą serię bolesnych wstrząsów. Ale papież poprosił łagodnym głosem:

- Mów, przyjacielu, nie przerywaj.

- Zespół Śledczy nie znalazł dotychczas żadnych śladów mogących świadczyć o dokonaniu fałszerstwa, mistyfikacji albo oszustwa. Rozpatrzyli wiele hipotetycznych scenariuszy działania sprawcy. Nie znaleźli też motywów do podjęcia takiego działania u nikogo z pracujących przy wykopaliskach.

Znowu zamilkł. Nikt nie powiedział ani słowa.

- W Dziale Teologicznym - ciągnął po chwili - Zespół Starego i Nowego Testamentu nie wykrył niczego nienormalnego w ceremonii pogrzebowej, jaka odbyła się w Rama, ani w tym, co mówi papirus. Wprawdzie po roku sześćdziesiątym urny były częściej stosowane niż sarkofagi, ale te ostatnie nadal chętnie stosowano, zwłaszcza w środowisku ludzi majątnych.

- Zgodnie z tym wszystkim - podsumował Jon - międzynarodowy kongres uczonych musiał uznać... że wszystkie odkrycia dokonane na obszarze pieczary w Rama... są zapewne całkowicie autentyczne.

Słońce obniżyło się nad horyzontem i wśród pinii powiał chłodny wiatr, poruszając lekko białą papieską sutanną. Benedykt XVI patrzył na zbrunatniałe igły piniowe przy swoich trzewikach i milczał.

W końcu Kevin przemówił bardzo cichym głosem:

- Doszli zatem do wniosku, że odkryto... święte szczątki... - jego głos załamał się z wielkiego wzruszenia - święte szczątki Jezusa Chrystusa?

Jon skinął potakująco głową.

- Oczywiście - dodał - nie wyklucza się, że w przyszłości wyjdą na jaw jakieś inne świadectwa.

Była to marna pociecha.

- A ty, Jonathanie? - spytał papież, po raz pierwszy zwracając się doń tak bezpośrednio. - Czy ty też myślisz, że są to szczątki Jezusa?

Mijały wydłużające się w nieskończoność sekundy, a Jon milczał. Czuł się, jakby w Dzień Sądu stał przed obliczem samego Boga i musiał odpowiedzieć na pytanie, od którego zależało jego zbawienie. Ale nie, to nie jest Sąd Boży. To tylko najwyższy kapłan dziewięciuset milionów ludzi. Albo nawet, to chrześcijanin proszący drugiego chrześcijanina o wyrażenie opinii.

- Odpowiedz, Jonathanie - poprosił raz jeszcze papież.

Tym razem Jon zobaczył ogromne łzy w jego żywych brązowych oczach.

- *Santissimo Padre* - zaczął Jon głosem także przytłumionym od wzruszenia. - Serce odpowiada „nie”. Ale głowa... wobec tych wszystkich niezbitych dowodów... musi odpowiedzieć „tak”.

Benedykt jęknął, uklęknął na kobiercu igieł, oparł się łokciami na ławce i pochylił głowę. Po dłuższej chwili z jego warg dobył się szept:

Angelo di Dio,
che sei il mio custode, il-
lumina e custodisci, reggi
e governa me che ti fii
affidato
dalla Pietà celeste.
Amen.

Przez kwadrans modlił się w milczeniu.

Jon i Kevin oddalili się nieco, by nie przeszkadzać w tej rozmowie z Bogiem.

- To powszechnie odmawiana we Włoszech modlitwa dzieci - szepnął Kevin ze łzami w oczach - pierwsza, jakiej Benedykt się nauczył. Musiało to być w Piacenza. Tam zapewne mama Albergo nauczyła jej małego Ricarda. Katolickie dzieci na całym świecie uczą się tej czy innej wersji modlitwy. Ja się nauczyłem takiej:

Aniele Boży, Strózu mój,
Ty zawsze przy mnie stój,
Rano, wieczór, we dnie, w nocy, Bądź
mi zawsze ku pomocy...

Zachrypłym głosem powiedział „Amen”, oparł się o drzewo, zakrył twarz dłońmi i zaczął płakać.

Jon patrzył przez gałęzie pinii na wielką kopułę Świętego Piotra, rzucającą złote błyski w wieczornym świetle.

- Naprawdę „Amen”! - szepnął.

XXII

Na lotnisku Ben Guriona Jon zauważył czekających wcześniej niż oni jego. Zawdzięczał to oczywiście ciemnym okularom i kapeluszowi panamskiemu. Tym razem komitet powitalny stanowiły dwie piękne kobiety, ale obie, Shannon i Naomi, robiły wrażenie jakby nieobecnych duchem. Naomi, gdy tylko go zobaczyła, padła mu w ramiona i z płaczem wtuliła głowę w jego pierś.

- Jon, Clive nie żyje! - wykrzyknęła ze łzami w zaczerwienionych oczach Shannon.

- O Boże! Nie! Co się stało?
- Utonął w morzu koło Cezarei.
- Kiedy?
- Przedwczoraj wieczorem.

Opadł na ławkę, potrząsając głową i zaciskając zęby, jakby mógł samą siłą woli odmienić to, co już się stało. W końcu jęknął i powiedział:

- Pójdę po bagaże. Po drodze powiecie mi, jak do tego doszło. Wszystko.

Tym razem droga do Ramallah naznaczona była bólem. Naomi łąkała cicho na tylnym siedzeniu, Shannon relacjonowała szczegółowo przebieg tragicznego wydarzenia.

- Pojechaliśmy z Naomi do Jerozolimy, żeby zrobić zakupy. Szukałyśmy... szukałyśmy dla niej - wybuchnęła płaczem - sukni ślubnej! Tata był w Tel-Awiwie na rozmowach z wydawcami. Clive chyba nudził się sam, więc wziął sprzęt do nurkowania i pojechał do

Cezarei. Najpierw pewnie nurkował, a potem załadował sprzęt z powrotem na samochód i raz jeszcze skoczył do wody. Nie wypłynął. Samochód znaleziono na plaży, a ciało fale wyrzuciły na brzeg parę mil na północ, w okolicy rzymskiego akweduktu.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Jon. - To po prostu niemożliwe! Clive był dobrym pływakiem.

- Tak - załkała z tylnego siedzenia Naomi - ale lubił wypływać daleko w morze. Pamiętasz, jak krzyknąłeś kiedyś: „Hej, Clive, plyniesz do Hiszpanii, a nie wzięłeś paszportu!”

Uśmiechnął się pośepnie, ale zaraz rysy znowu mu się ściągnęły.

- Mówicie, że kiedy się to stało?

- Nie możemy mieć pewności - odparła Shannon. - Zapewne przedwczoraj po południu albo wieczorem. Znaleźli go dopiero wczoraj rano.

- Żadnych... podejrzanych znaków?

- Nie. Nic, po prostu głupio, idiotycznie utonął. Bez najmniejszego powodu - rozplakała się znów Shannon. - Jakby Bóg znowu zasnął.

- Czasem drzemie - odparł Jon, który przypomniał sobie lawinę w Alpach i nie zważał w tej chwili, czy w jego słowach kryje się bluźnierstwo. Nagle przyszło mu do głowy inne przejmujące skojarzenie. - W ten sposób - powiedział głosem pełnym gorczy - tracimy w Morzu Śródziemnym drugiego wielkiego archeologa.

- To prawda! - przyznała Naomi. - Paul Lapp! Też o tym pomyślałam. Korzystaliśmy z jego *Ceramic Chronology* przy datowaniu skorup znalezionych w Rama.

- Co się stało z Paulem Lappem? - spytała Shannon.

- Parę lat temu wyprawił się na rekonesans nowego stanowiska wykopaliskowego na Cyprze i któregoś dnia postanowił popływać w zatoce Kyrinia - odparł Jon. - Cofająca się fala porwała go w stronę pełnego morza. Była to straszna strata dla archeologii, podobnie jak w przypadku Clive'a.

W Ramallah zastali przygnębionego Jenningsa, który ze wzrokiem wbitym w podłogę siedział prawie bez ruchu w swoim biurze. Kiedy weszli, podniósł głowę i powiedział miękko:

- Miał przed sobą świetną przyszłość, Jon. Wspaniałą przyszłość.

Jon opadł obok niego na krzesło.

- Dlaczego, Austin? Dlaczego musiało stać się coś takiego?

- Ludzie powtarzają to pytanie od czasów Hioba. I pewnie będą je zadawać do końca świata.

Jęknął i ujął dłońmi skronie.

- Czasem zastanawiam się, czy nad tymi wykopaliskami nie ciąży jakieś przekleństwo - powiedziała Shannon. - Rama to dla świata synonim cierpienia. A teraz ta historia z Clive'em!

Jennings chrząknął i rzekł ze smutkiem:

- Wszyscy musimy teraz okazywać Naomi miłość i pomoc...- Mówił urywanym głosem, potykając się o słowa. - Miał przed sobą... taką świetną przyszłość!

Nabożeństwo pogrzebowe odbyło się w jerozolimskiej katedrze Świętego Jerzego. Wzięli w nim udział przedstawiciele środowiska archeologicznego z całego świata. Anglikańskie nabożeństwo celebrował dziekan katedry, a Jon wygłosił mowę pochwalną. Kiedy stanęli nad otwartym grobem, dziekan przeczytał ustęp z *Book of Common Prayer*, anglikańskiej księgi liturgicznej.

Ożywieni nadzieją na zmartwychwstanie do żywota wiecznego poprzez naszego Pana Jezusa Chrystusa, powierzamy Bogu Wszechmogącemu naszego brata, Clive'a Farnswortha Bramptona, a jego ciało oddajemy ziemi; ziemia do ziemi, proch do prochu, pył do pyłu.

Jon po raz pierwszy wziął udział w pogrzebie od przyjazdu do Rama i te słowa nabrały teraz dla niego zupełnie innego niż dawniej znaczenia. Solidna pociecha zawarta w modlitwie wydała mu się daremną nadzieją.

Boże, który przez chwalebne zmartwychwstanie Twojego Syna Jezusa Chrystusa obaliłeś śmierć i ukazałeś nam życie i nieśmiertelność, spraw, by twój sługa Clive został razem z Nim wskrzeszony, poznał moc Jego obecności i radował się Jego wieczną chwałą.

Kiedy żałobnicy odchodzili powoli od grobu, zanim jeszcze spuszczone trumnę, Austin Balfour Jennings, któremu łzy spływały po ogorzałych policzkach, rzucił do dołu pozłacaną kielnię.

Pewnej ciepłej październikowej soboty Shannon i Jon zabrali Naomi na jednodniowy wypad nad Morze Galilejskie, gdzie rozgorzał płomień miłości dwojga z nich. Naomi to wyczuwała.

Kiedy jechali zachodnim brzegiem jeziora w stronę Migdal, zapytała:

- Może byście skorzystali z plaży? Ja... ja raczej pójdę na wzgórze, bo chcę być przez jakiś czas sama. Spotkamy się o piątej?

- Dobrze, Naomi.

Jak tylko stracili ją z oczu, założyli kostiumy kąpielowe i pobiegli do wody, którą nazywali „naszym jeziorem”. Popływali trochę

- Shannon co jakiś czas wykrzykiwała, żeby trzymał się bliżej brzegu

- leżeli na piasku, wygrzewając się w popołudniowym słońcu. Przez długie minuty oboje milczeli. Nagle Jon usiadł i spojrzał na ciągnące się po drugiej stronie morza wzgórze Golan.

- Co się stało, Jon? - spytała Shannon.

- Och... Sam nie wiem dlaczego przypomniałem sobie stary luteński hymn duński.

Kościół na twardej opoce wzniesiony; Choćby
gruz jeno ostał z wieżyc, Bić będą i wiemych
przywoływać dzwony Z dzwonnicy, co w prochu
i pyłe leży...

- Co to oznacza?

- Skała, opoka to Chrystus, ale ten hymn jest proroczy ze względu na wieże w gruzach i powalone dzwonnice. Rama oznaczać będzie takie samo spustoszenie, kiedy w listopadzie ogłosimy wyniki prac. Z wielkich katedr, które budowano całe wieki - Notre Dame, katedra Westminsterska - wyrwany zostanie zwornik i runą w proch i pył.

Wstał, rzucił płaski kamyk i liczył, ile razy odbije się od wody. Potem znowu obrócił się w stronę Shannon.

- Przejdźmy od architektury do muzyki. Najwspanialsze fragmenty, jakie słyszałem, na przykład *Credo* w *Mszy b-moll* Bacha, gdzie posępna muzyka opowiada o pogrzebie Jezusa w Wielki Piątek; także pełne chwały *Et Resurrexit* z tego samego utworu: cały chór i cała orkiestra wybuchają radosną pieśnią tryumfu i rozlegają się trąby, by uczcić zmartwychwstanie Jezusa. Kiedy słucha się tej cudownej muzyki, łzy napływają do oczu i człowiek czuje, jak całe jego ciało przenika dreszcz. Nie sądzę, żebym jeszcze potrafił przeżyć takie wzruszenie.

Usiadł i przez chwilę przyglądał się pięknym rysom i oszłamiającej figurze siedzącej obok kobiety.

- Takie wzruszenie muzyczne - poprawił się. Odsunął jej włosy na bok i delikatnie pocałował ją w policzek. - Bo przecież ty, najdroższa, wzruszasz mnie tak, że trudno to sobie wyobrazić - szepnął i jego dłoń wyruszyła na wyprawę odkrywczą po jej ciele.

Shannon odtrąciła jego rękę i rozejrzała się niespokojnie. Na szczęście mieli całą plażę tylko dla siebie.

- Hejże! - wykrzyknęła. Zerwała się na równe nogi, złapała jakiś plastikowy pojemniczek z ich piknikowego koszyka, nabrała wody z jeziora i chlusnęła na leżącego Jona. - Masz! To powinno ugasić twój ogień!

Jon roześmiał się i chwycił ją mocno w ramiona.

- Mężczyźni łatwo się zapalają - zachichotała. - Kobiety potrzebują trochę więcej czasu.

- Jestem nieskończenie cierpliwy, skarbie! A teraz, skoro już tak ostudziłaś żar uczuć, przejdźmy się po plaży.

Kiedy objęci ramionami szli w stronę północy, Shannon powiedziała:

- Myślę, Jon, że już najwyższy czas, żeby się przystosować do tego, co wynika z Rama. Kościół będzie musiał znaleźć jakieś elastyczniejsze podejście do kwestii zmartwychwstania. Może dzięki temu dzwonnice jednak nie runą.

Jon skinął głową.

- Być może. Święty Piotr pisząc o wskrzeszonym ciele używa przymiotnika „duchowe”, żeby odróżnić to ciało, które będziemy mieli, od tego dzisiejszego, chorującego, korzystającego z toalety i tak dalej, nigdy więc nie miałem kłopotu z takim rozumieniem zmartwychwstania... jako nowego wymiaru rzeczywistości.

- Dlaczego więc nie można zadowolić się tą interpretacją?

- Niestety, nowa teologia wcale na tym nie poprzestaje. Twierdzi, że tylko bezcielesny duch albo nawet idea Jezusa powinna być drogowskazem dla Kościoła. Fizycznego zmartwychwstania zgodnego z nowotestamentowym opisem nigdy nie było. Chodzi po prostu o pragnienie, jakie żywili uczniowie, a być może był to wspaniały pomysł Piotra. Czy wyobrażasz sobie, że po Wielkim Piątku zwołuje któregoś dnia uczniów i oznajmia: „No cóż, chłopcy, źle się stało, że poszliśmy za Jezusem. Jeśli jednak zgodzicie się na mój plan, nadzieje dzień, kiedy naszymi imionami nazywać będą kościoły...”?

- Nie - roześmiała się. - To niewyobrażalne.

- Pomyśl tylko, gdyby jednak tak było, uczniów trzeba by uznać za geniuszy, nie zaś za prostaczków, jakich ukazują Ewangelie. Powiem ci jednak, kiedy i tak ich zmyślny plan musiałby runąć. W Rzymie. Na arenie. Przecież Piotr, kiedy go krzyżowali, powiedziałyby: „Okay, przyjaciele! Wszystko szło dotychczas jak z płatka, ale teraz

widzę, że za te igraszki można zapłacić głową. Wydam współwinnych! „,

- To prawda. Ktoś słusznie powiedział: „Z mitów nie rodzą się męczennicy”.

- W tym papirusie jest coś, co nigdy nie dawało mi spokoju. Okay, Jezus spoczywa po śmierci w Rama. W tym czasie w Jerozolimie zastają pusty grób. Jakim cudem mogłoby im przyjść do głowy inne wyjaśnienie niż to, że grób został okradziony? Oznaczałoby to koniec chrześcijaństwa. Otóż natura nie znosi próżni, ja też. Nie można niczego zbudować na nicości, na pustym grobie, na zjawie czy duchu. Budować można tylko na takim czy innym fundamencie!

- Przecież krytycy powiadają, że tym fundamentem było ich pragnienie i...

- Tak, halucynacja, wizja tego, którego miłowali i który odszedł. Gdyby chodziło tu tylko o Marię Magdalenę... - Urwał nagle, a potem wykrzyknął: - Nie do wiary! Uświadomiłem sobie właśnie, że siedzimy na jej plaży!

- Co?... Tak, masz rację, przecież Migdal to starożytne Magdala.

- W każdym razie, gdyby chodziło tylko o Marię, mógłbym podejrzewać halucynacje.

- Bo była kobietą?

- To nie ma nic wspólnego z jej płcią, Shannon. Mówię o liczbach, o tym, że mamy tu jedną osobę!

- Och!

- Jednak poza nią są tam ludzie trzeźwo myślący, sceptyczni, jak choćby Tomasz czy Szaweł z Tarsu, nie mówiąc już o tych pięciuset, którzy widzieli Jezusa tutaj, w Galilei, kiedy dobiegła końca Pascha. Ci ludzie przeżyli... niezwykłą transformację osobowości. Dlaczego nie uciekli z podwiniętym ogonem, kiedy władze, po straceniu przywódców, próbowały ich pojmać? Pasowałyby to do całego ich poprzedniego postępowania. Nagle gotowi są stawić czoło kapłanom, namiestnikom, samemu cesarzowi! Dlaczego? Musieli widzieć jakąś ogromną realność zmartwychwstałego Jezusa! Żaden duch, żadna wizja, żaden pusty grób by tu nie wystarczył.

Shannon wpatrywała się w ciemniejący błękit jeziora w zachodzącym już powoli słońcu.

- Więc rozwiąż tę zagadkę, Jon! Dla mnie Rama to niepodważalna autentyczność.

- Wiem... wiem... wiem.

Wstał i otrząpiał piasek z nóg.

- Idzie Naomi - powiedziała Shannon.

- Shannon, muszę podjąć jeszcze jedną próbę. Wieczorem przeczytam od deski do deski ostateczny tekst streszczenia, bo pojutrze trzeba go oddać wydawcy. Jeśli cokolwiek zwróci moją uwagę, jeśli znajdę najmniejszą lukę, najdrobniejszą wskazówkę, będę domagał się czyjejś krwi!

Nie znalazł nic.

Następnego dnia po południu spytał Austina:

- Austin, czy pamiętasz, kiedy Gładwin Dunstable z Instytutu Londyńskiego prowadził z tobą wykopaliska w Szilo?

- Pamiętam.

- Rozmawiał z nim Glastonbury. Dunstable powiedział, że poprosiłeś go kiedyś, żeby przysłał ci z Pompei jakiś materiał nadający się do datowania metodą węgla C-14, bo chciałeś sprawdzić, czy w Rehovot podadzą datę zbliżoną do roku 79.

- Tak, był to, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, okres próbny dla laboratorium. Dawne czasy, rok 1972.

- Co przysłał Dunstable?

- Och... zwęglony materiał wykopany spod popiołów i żużlu. Zdaje mi się, że kawałeczek drewnianej rączki jakiegoś narzędzia.

- Jak spisało się laboratorium?

- O ile pamiętam, Weizmann odwalił kawał dobrej roboty. Podał plus minus okres między 50 a 60 rokiem. Dlaczego pytasz?

- Właśnie skończyłem czytać tę część streszczenia, która omawia dokonania Glastonbury'ego, i nagle sobie o tym przypomniałem. Zajrzałem do jego dziennika, ale nie znalazłem tej informacji.

- Och. Pewnie chodzi o jakieś głupstwo.

- Przy okazji, tak czy inaczej mam jutro dostarczyć maszynopis wydawcy w Tel-Awiiwie, może więc wyręczyłbym Dicka Cromwella i zawiózł cię na lotnisko.

- Dobry pomysł, Jonathanie! Nie jestem zachwycony tym, że muszę wracać do Oksfordu, ale mamy doroczne posiedzenie Fundacji Rama i trzeba stawić czoła bandzie rozjuszonych konserwatystów z rady nadzorczej. Twoje kłopoty z J.S. Nিকেlem to pestka!

- Kiedy wracasz?

- Za jakieś dziesięć dni. Mam poza tym parę innych spraw do

załatwienia. Trzymaj mocno twierdzą w rękę podczas mojej nieobecności.

Jon, sam właściwie nie wiedząc dlaczego, postanowił zatelefonować. Kiedy wracał samochodem z Tel-Awiwu, w głowie kłębiły mu się najrozmaitsze pomysły. Wstąpił do Instytutu Albrighta w Jerozolimie i wykreślił numer doktora Reubena Landaua w Rehovot. Zastał go. Zapytał, czy Instytut Weizmanna przechowuje notatki z testów węglowych przeprowadzonych w latach siedemdziesiątych. Przechowuje. Jon poprosił więc Landaua, by ten zechciał, jeśli jest tak uprzejmy, podać mu garść szczegółów o próbce, którą Austin Balfour Jennings powierzył im prawdopodobnie w 1972 roku, a którą oni datowali na mniej więcej 50,60 rok naszej ery. Landau obiecał sprawdzić i zatelefonować.

Dwadzieścia minut później zadzwonił telefon.

- Katalogujemy nasze testy zarówno według dat, jak i klientów - oznajmił Landau. - Ma pan rację, wtedy profesor Jennings po raz pierwszy skorzystał z naszych usług. Było to 10 września 1972 roku i nasze datowanie dało jak zwykle rok 50. naszej ery, jak zwykle plus minus sto lat.

- Świetnie - powiedział Jon. Ale co to była za próbka? Co testowaliście?

- Zaraz zobaczę.

Jon usłyszał odgłos otwierania szuflady i szelest fiszek. Po jakimś czasie znowu zgłosił się Landau.

- O, mam. Było to... były to trzy gramy sproszkowanego węgla.

- Węgla? Nic więcej?

- Nie.

Zapadło przedłużające się milczenie.

- Profesorze Weber? Jest pan tam?

- Och!... tak. Doktorze Landau, chyba zaszło tu jakieś nieporozumienie. Chciałbym jednak prosić, żeby nie mówił pan nikomu o naszej rozmowie.

- Oczywiście. Proszę dzwonić, jeśli tylko będę mógł w czymś panu pomóc.

- Dziękuję. Nie omieszkam. Do widzenia.

Odkładając słuchawkę, Jon czuł się, jakby ktoś wystrychnął go na dudka. Próbki dostarczone przez Jenningsa zapewne pokruszyły się po drodze. Albo musieli zgranulować rączkę narzędzia, żeby przeprowadzić swój test. Podejrzewanie Jenningsa to galopująca parano-

ja! Musi nad tym zapanować, bo inaczej na każdego, kto powie mu „dzień dobry”, gotów byłby warknąć: „Co masz na myśli?”

Jon wyszedł z Instytutu Albrighta i już był prawie na ulicy, kiedy odezwała się w nim germańska krew i jak wtedy, gdy wrócił do pieczary i znalazł dzban, tak teraz wrócił do budynku Instytutu. Sumienność nie da człowiekowi chwili wytchnienia - pomyślał. Doprowadziła do tego, co się stało w Rama i do udręki dla całego świata. Dlaczego musi poddawać się jej nakazom?

Zajrzał do międzynarodowego spisu uczonych, znalazł numer telefonu Gladwina Dunstable'a w Londyńskim Instytucie Archeologii. Telefonistka oznajmiła, że linia jest zajęta, ale że za chwilę jeszcze raz spróbuje go połączyć.

Ledwie Jon zdążył przeczytać pierwszą stronę paryskiego wydania „Herald Tribune”, kiedy zadzwonił telefon.

- Profesor Dunstable, panie profesorze.

Wstępna wymiana uprzejmości trwała bardzo krótko i Jon szybko przystąpił do sedna sprawy.

- Reginald Glastonbury ze Scotland Yardu powiedział, że rozmawiał z panem, profesorze Dunstable, w sprawie dawnych kontaktów z Austinem Balfourem Jenningsem, i o ile wiem, mógłby pan odegrać rolę biografa, jak Boswell przy Samuelu Johnsonie.

- Raczej nie - roześmiał się Dunstable. - Ale Jennings to bardzo barwna postać.

- Ma pan rację. Chciałem jednak o coś pana zapytać. Jennings poprosił, żeby przysłał mu pan z Pompei jakąś próbkę, dzięki której mógłby sprawdzić, jak działa nowa aparatura Instytutu Weizmanna w Rehovot...

- Tak. Wracałem wtedy do domu z Szilo. Zdaje mi się, że było to późnym latem siedemdziesiątego drugiego...

- Co mu pan posłał?

- Wie pan, to wszystko było dość osobliwe. Poprosił, żebym zeszkrobał odrobinę sadzy z pieca w dopiero co odkopanej części Pompei i przysłał mu próbkę w wyszczelnionym ołowiu pojemniku. Było mu wszystko jedno, jaka to część miasta. Chciał tego całkiem sporo, gdyż w tamtych czasach metoda węgla C-14 wymagała dużych próbek. Dziwne, że jeszcze o tym wszystkim nie zapominałem. Poszedłem do piekarni, zdaje się przy Via di Nola, i skrobałem prawie przez godzinę, żeby uzyskać wystarczającą ilość tego piekielnego materiału. Dlaczego pan pyta?

- Zaraz wyjaśnię. Ile sadzy mu pan posłał?

- Jakieś trzydzieści, czterdzieści gramów.
- A większa próbka, zdaje się, część rączki jakiegoś narzędzia?
- Nie rozumiem.
- Co posłał mu pan poza pojemniczką z sadzą?
- Ależ nic, drogi kolego. Tylko sadzę.
- Jest pan pewny?
- Całkowicie. Władze sprawujące pieczę nad Pompeją nie pozwoliłyby mi wysłać niczego innego. Uzyskałem zgodę tylko na odrobinę sadzy.

- Tak. To jasne.
- O co tu chodzi? Skąd te pytania?
- Och, to nic takiego - skłamał Jon. - Przystępujemy właśnie do opublikowania wyników kongresu w sprawie Rama i musimy potwierdzić dziesiątki tego rodzaju szczegółów. Chodzi o materiał anegdotyczny ilustrujący sumiennosc, jaką odznacza się Jennings.
- Aha. Rozumiem.
- Przepraszam, że zająłem panu czas.
- Zawsze chętnie służę panu pomocą, profesorze Weber. Do widzenia.

Jon opuścił Instytut Albrighta. przeszedł przez zawsze zielony trawnik przed budynkiem. Kiedy znalazł się na ulicy Salah-El-Din, przystanął, żeby uporządkować myśli, które kłębiły mu się w głowie. Przez chwilę wyłamywał palce i patrzył na zielone żaluzje i płowy wapień Instytutu. Potem potrząsnął głową i przeszedł kilka kroków. „Nie ma innego sposobu - mruknął pod nosem. - Pora zadzwonić do Glastonbury'ego.”

Linda, portierka w Instytucie Albrighta, atrakcyjna brunetka o ciemnobrązowych oczach, kobieta odznaczająca się anielską cierpliwością, wykreśliła podany przez Jona numer i wręczyła mu słuchawkę. To, co usłyszała, było najwyraźniej jakimś żargonem z innej planety.

- Mówisz, Reginaldzie, że próbowałeś złapać mnie telefonicznie?... Dlaczego?

Przez dłuższą chwilę Jon milczał i Linda widziała tylko, jak oczy coraz bardziej mu się rozszerzają.

- Och, nie! - wykrzyknął wreszcie. - Być może właśnie dlatego... Dobry Boże, nie!... Nie, to, co mam ci do powiedzenia, może poczekać, aż się zobaczymy... Tak, nie ma rady, muszę przylecieć. Pomyślmy... Dzisiaj jest poniedziałek. Postaram się wylecieć w środę, najpóźniej w czwartek. Zadzwonię z lotniska Heathrow, może też

jeszcze przedtem. Poczekaj. Do środy musisz spotkać się z Gladwinem Dunstable'em, uzyskać przyrzeczenie, że dochowa tajemnicy i wyjaśnić, ku czemu to wszystko zmierza. Potem niech któryś z twoich agentów poleci z nim do Neapolu. Tam spotka się z Kevinem Sullivanem z Rzymu. Oto numer Kevina: 39-6-772-4181... Zapisalesz?... Musisz zadzwonić do niego i poprosić, żeby uzyskał odpowiednie zezwolenie od władz zarządzających Pompeją. Potem niech leci do Neapolu, żeby przywitać Dunstable'a na lotnisku. Niech Dunstable, jeśli to tylko możliwe, pobierze sadzę z tego samego pieca, z którego pobierał w 1972 roku... Nie! Nie oszalałem. Wyjaśnię później! Niech Dunstable postara się powtórzyć wszystkie czynności, niech użyje podobnej jak wtedy szczotki. Powiedz, że musimy najszybciej jak to możliwe mieć w Londynie drugi pojemniczek tej sadzy. Rozumiesz?... Świetnie. Powtórz w takim razie, o co cię proszę, żebym miał pewność, że o niczym nie zapomnisz. Po dłuższym milczeniu Jon powiedział:

- Tak. Nieźle. Zawsze możesz poszukać jakiejś pracy w sekretariacie, kiedy przejdiesz w stan spoczynku. Do zobaczenia wkrótce.

Podał słuchawkę Lindzie.

- Wszystko układa się w pewną całość, prawda?

- Och!... Z pewnością, profesorze Weber! Gdzie następne wykopaliska? Na Marsie?

- Celny strzał! Dziękuję, Lindo. I nie zapomnij przysłać rachunku za telefon.

Wyszedł z Instytutu i spojrzał na zegarek. Powinien zdążyć, ale jak ma, na Boga, to przeprowadzić? Musi pójść do Sanktuarium Księgi i być może popełnić czyn tak niegodny człowieka nauki, że przy nim drobna kradzież, jakiej dopuścił się Montaigne, będzie wyglądała na dziecinną igraszkę! Co może się zdarzyć? Dokonał przeglądu następujących scenariuszy wydarzeń:

1. Sytuacja idealna: powierzają mu *titulus* i leci do Londynu z próbkami atramentu.

2. Osoby zarządzające Sanktuarium odmawiają wydania dokumentu, ale pozwalają mu obejrzeć *titulus*. Udaje mu się w taki czy inny sposób zeszkrobać odrobinę atramentu, nie wzbudzając podejrzeń, i leci z próbką do Londynu.

3. Władze wykrywają „niecny” czyn i aresztują sprawcę. Wyjaśnia wszystko i pozwalają mu lecieć do Londynu.

4. *Ditto*, tyle że władze nie są przekonane jego wyjaśnieniami i trafia w związku z tym do więzienia.

Poradzę sobie, poza tą ostatnią ewentualnością - rozmyślał. Raz jeszcze przeszedł przez plac przed Instytutem, zaciskając złożoną w pięć dłoń w drugiej dłoni i analizując gorączkowo sytuację. Nie, jest jeszcze scenariusz numer pięć.

5. Władze nie są przekonane, ale jakoś udaje mu się uciec i polecieć jednak do Londynu.

Wtedy jednak byłby ścigany. Wszystkie granice zostałyby zamknięte, ogłoszono by pozwolenie na odstrzał Jonathana Webera. Chociaż sprawa jest prosta - rozmyślał z wisielczym humorem. Musi przemknąć się przez najlepiej strzeżone granice na świecie - izraelskie - w momencie, kiedy rozesłany zostanie za nim list gończy. Miła perspektywa!

- Dość tego szaleństwa! - powiedział sobie. - Załatw sprawę czysto, przekonaj ludzi zarządzających Sanktuarium. Poproś o pozwolenie.

Jednak to, o co chciał prosić, nie miało żadnego odpowiednika w dziejach archeologii. Nie zgodzą się. Za nic. Pewnie nie uwierzą nawet w motywy, jakie nim kierowały, kiedy występował z tak oburżającą prośbą. Jon smętnie pokiwał głową. Montaigne poświęcił całą swoją naukową reputację... on być może będzie musiał pójść w jego ślady.

Raz jeszcze spojrzął na fasadę Instytutu Albrighta, zastanawiając się, czy za tymi równo ociosanymi blokami wapienia kryje się rozwiązanie zagadki. Jak najbardziej! Przypomniawszy sobie, że instytucją siostrzaną wobec Albrighta jest ACOR, *American Center of Oriental Research*, Amerykański Ośrodek Studiów Orientalnych z siedzibą w Ammanie. Profesor Walter Rast wydaje tam swój dziennik ubiegłorocznej kampanii naukowej na wschodnim brzegu Morza Martwego. Swego czasu Jon pracował ramię w ramię z Rastem podczas jednej z ekspedycji wykopaliskowych.

- Mam nadzieję, że nadal tam jest - powiedział Jon sam do siebie, wracając do Albrighta. - Musi tam być!

Podszedł raz jeszcze do Lindy.

- Wiem... nie byłem tu od wieków, ale tym razem chodzi o rozmowę miejscową. Czy jest bezpośrednie połączenie z ACOR w Ammanie?

- Przykro mi, profesorze Weber, ale to nadal połączenie międzynarodowe. Mimo to połączę pana.

Po chwili podała mu słuchawkę - na szczęście nadal z uśmiechem.

- Halo! Czy profesor Walter Rast jest nadal w Ammanie?... Tak?

To świetnie. Czy mógłbym z nim mówić?... Wyszedł na lunch? Zadzwoń później. Dziękuję.

- Niedługo wrócę - oznajmił Lindzie.

Poszedł do biura El Al w Zachodniej Jerozolimie i zarezerwował lot do Londynu, potem wstąpił do sąsiadującej z liniami lotniczymi drogerii i kupił pięć zyletek. Wrócił do Albrighta i tym razem złapał Rasta.

- Cześć, stary! Tutaj Jon Weber... Cieszę się, że mogłem cię zobaczyć podczas końcowych obrad... Okay, Walt, mam kupę roboty, więc będę się streszczał. Po pierwsze, sprawdź, jakie są w środę rano loty z Ammanu do Londynu i kup bilet na nazwisko Ernst Becker. Pamiętasz go, prawda? Mówiłem ci o nim przy piwie po ostatniej sesji plenarnej w Jerozolimie... Dobrze, to ten. Następny punkt jest trochę trudniejszy, ale może to dać rozwiązanie sprawy Rama. Pamiętasz, jak patrzyliśmy na Morze Martwe tego wieczoru, kiedy odwiedziłem dawno temu twoje wykopaliska? I co powiedziałem o wąskim języku ziemi prawie dotykającym Izraela?... Pamiętasz? To dobrze.

Rozejrzał się i zniżył głos.

- Być może jutro wieczorem Becker będzie musiał zanurzyć się w morzu w pobliżu Masada. Popłynie... na wschód obok solnych pól w stronę przylądka Costigan. I nie miałby nic przeciwko temu, żebyś stawiał się tam z łaski swojej koło północy, zabierając ze sobą latarkę, i powitał go w Jordanii... Nie, nie. Nie pomieszało mi się w głowie... Tak, wiem, że to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne... Ja też wykorzystuję wszystkie swoje atuty! Niech świadczy o tym fakt, że jest to trzeci wariant, z którego zapewne nie będę musiał skorzystać. Chodzi o zabezpieczenie na wszelki wypadek. Dalej. Czy możesz być jutro w ACOR, powiedzmy, około siedemnastej piętnaście?... Okay, o tej porze czekaj na telefoniczne potwierdzenie albo odwołanie. Wyjaśnię wszystko później

Jon rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie słyszał jego rozmowy. Na szczęście Linda odeszła od swojego pulpitu.

- Wiem, wiem, Walt - ciągnął. - Wiem o minach, patrolach granicznych i tak dalej. Jeśli do tego dojdzie, będziesz miał eskortę. Nasz Departament Stanu skontaktuje się z jordańskim... Jasne, przez Biały Dom... Tak, Becker będzie miał sprzęt do nurkowania, przepłynie kanał do podstawy cypla. Chociaż mam nadzieję, że nie będę musiał zawracać ci tym wszystkim głowy... Tak jest. Jutro siedemnasta piętnaście... Dzięki, Walt! Jesteś wielki!

Jon oddał słuchawkę Lindzie, która wróciła przed końcem rozmowy. Uśmiechnął się żałośnie i powiedział:

- Wiem... hmm... że byłaby pani rozczarowana, gdybym nie wykonał jeszcze jednego telefonu. Tym razem będzie to Biały Dom w Waszyngtonie.

Podał jej wizytówkę z prywatnym numerem prezydenta i uśmiechnął się raz jeszcze. Gdzie są kamery telewizyjne, kiedy naprawdę by się przydały?

Wychodząc z Instytutu Albrighta zerknął na zegarek. Druga trzydzieści. Jeszcze zdąży dojechać do Masada. Z Jeruzolimy pojechał szosą na Jerycho nad Morze Martwe, minął Qumran i En Gedi i dotarł do południowo-zachodniego zakątka morza, do imponującej skały, którą Herod zmienił w fortecę. Masada, izraelski Gibraltar. Jazda z Jeruzolimy zajęła ledwie półtorej godziny. Na szczęście zdążył na ostatni tego dnia wagonik kolejki linowej i szybko, w efektywny sposób został przewieziony na szczyt.

Wziął ze sobą lornetkę, ale mógłby się doskonale bez niej obejść, gdyż ze względu na turystów zainstalowano tu bardzo mocną lunetę, która działała po wrzuceniu monety. Wrzucał więc monetę za monetą i przyglądał się całemu pasowi granicznemu między Izraelem a Jordanią przy południowym krańcu Morza Martwego. Ze względu na niski poziom wody między dwoma krajami powstał most przecięty dość wąskim kanałem. Jednak wszędzie tam były doły, ruchome piaski i zapory z drutu kolczastego - zbyt trudna droga.

Potem przyjrzał się wybrzeżu w Masada i odnalazł wzrokiem kąpielisko, które pamiętał z poprzednich wycieczek. Odchylił teleskop do góry i zobaczył swoje miejsce docelowe, podstawę przyładka Costigan, już w Jordanii. Wyglądało na to, że odległość wynosi nie więcej jak pięć do sześciu mil.

Zszedł nad morze Ścieżką Wężów. Podjechał do kąpieliska i wdał się w pogawędkę z ratownikiem.

- Jaka jest tu głębokość morza? - spytał. - Czy ktoś uprawia tu nurkowanie?

- Woda jest potwornie słona - odparł ratownik. - Czasem ktoś nurkuje, ale musi ucześcić dodatkowe ciężarki, bo inaczej nigdy by się nie zanurzył.

- No tak. Woda zawiera dwadzieścia pięć procent soli.
- Tak - roześmiał się tamten. - Widziałem już takich, którzy przyjeżdżali ze zwykłym sprzętem do nurkowania i przy każdej próbie zanurzenia się wyskakiwali jak korek.
- Skąd ma pan ten amerykański akcent?
- Wychowałem się w Bronxie. Dopiero od pięciu lat jestem Izraelczykiem.
- Świat jest mały! - skomentował te słowa Jon i roześmiał się.
- Czy pływanie tutaj jest bezpieczne... ze względu na bliskość granicy?
- Ma pan na myśli miny? I inne tego rodzaju rzeczy?
- Tak.
- Nie... chyba nie. Może dalej na południe, w kanale. Jeśli będzie pan nurkował tutaj, lepiej jednak nie wypływać za daleko. Nie mam pojęcia, co wykombinowali Jordańczycy.

Jon zanotował w pamięci, że musi zabrać podwodny wykrywacz metali, którego używali do szukania monet, kiedy nurkowali w Cezarei.

- Czy miał pan jakieś kłopoty w związku z tym, że Jordania jest tak blisko?
- Nic szczególnego. Mamy z Arabami niepisaną umowę. Żyj i daj żyć innym.
- Dziękuję, przyjacielu. Wszystkiego dobrego.

To da się zrobić - pomyślał Jon w drodze powrotnej do Jerozolimy. Był to jednak najbardziej surrealistyczny, szalony plan, jaki przyszedł mu kiedykolwiek do głowy. A jeśli naprawdę, jak sugerował delikatnie Rast, traci poczucie rzeczywistości? Może sprawa Rama rzuciła mu się na mózg?

Tego wieczoru po raz pierwszy okłamał Shannon. Czuł się z tego powodu nieszczęśliwy. Ale jedyna alternatywa polegała na tym, że ona musiałaby przez kilka następnych dni okłamywać wszystkich, którzy by o niego pytali, a wołał jej tego oszczędzić. Powiedział więc, że jedzie na kilka dni do Tel-Awiwu, bo musi popracować jeszcze nad tekstem streszczenia.

Jednak Dick Cromwell usłyszał całą prawdę. Jon przekazał mu ją ściszym głosem, kiedy siedzieli wieczorem w pokoju Dicka nad butelką sherry. Jon przyglądał się ze smutkiem, jak na twarzy rozmówcy maluje się coraz większe przygnębienie. Minęła godzina,

zanim uporał się z nieprzyjemnym zadaniem i Dick dowiedział się, jak naprawdę sprawy wyglądają.

- Ciągle jeszcze mam tylko cień dowodu, Dick. Być może popełniam najstraszliwszą pomyłkę w moim życiu - westchnął Jon. - To idiotyczne ryzyko, ale muszę je podjąć. Wiesz dobrze, jak niewiarygodnie dużo od tego zależy.

Cromwell potrząsnął powoli głową.

- Ja... ja ciągle nie mogę w to uwierzyć, Jon. Ale chyba muszę jakoś się z tym uporać. Okay, jutro kupię dodatkowe ciężarki w Jerozolimie i zarezerwuję na siebie miejsce w schronisku młodzieżowym w Masada.

- Kup też kilka nieprzemakalnych torebek.
- Dobrze. Kiedy mam cię zawieźć do Sanktuarium Księgi?
- Jestem umówiony z dyrektorem na trzecią trzydzieści. Z Ramal-ah musimy wyjechać najpóźniej o drugiej trzydzieści.

Cromwell znowu potrząsnął głową.

- Jon, jesteś pewny, że chcesz to zrobić?
- Muszę. Myślę jednak, że rozsądek weźmie górę. Sądzę, że szanse na to, iż czeka mnie lot do Londynu po pływackich wyczynach są jak jeden do dziesięciu.

Tej nocy Jon budził się co chwilę: szarpał przez sen pościel, tocząc jakieś zaciekle walki. Okazywał wszystkim pewność siebie, ale do szpiku kości przenikało go poczucie niepokoju. „Ojczce, oddał ode mnie ten kielich” - pomyślał w pewnym momencie, uświadamiając sobie, jak przejmująco dramatyczne było to, co rozegrało się w ogrodzie Getsemani.

Każda dyskusja na temat testów kończyła się refrenem: „Gdybyśmy mogli zbadać pismo, atrament, jakiego użyto”. Metoda PIXE i analiza chemiczna to za mało. Teraz, kiedy ma możliwość porównania, musi zdobyć większą próbkę. Po jakiego diabła pieczę nad artefaktami z Rama powierzyli władzom izraelskim? Gdyby nadal znajdowały się w Rama, jutro byłoby po wszystkim.

„Jednak nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie.” Jak rzadko modliłem się w ciągu ostatnich lat - pomyślał ze smutkiem. - Przypomniałem sobie o modlitwie dopiero, kiedy znalazłem się w trudnej sytuacji.

XXIII

Nadal uważam, Jon, że powinienem być z tobą powiedział Cromwell, kiedy jechali w stronę zachodniej części Jerozolimy do Sanktuarium Księgi w Muzeum Izraelskim. - Nie ma żadnego powodu, żebyś brał wszystko na siebie.

- Nie, wszystko przemawia za tym, żebyś tu został. Zaparkuj po lewej stronie, w następnej przecznicy za ulicą Kapłana, i czekaj z zapuszczonym silnikiem. Jeśli nie wyjdę za godzinę, jeśli zjawi się policja, odjeżdżaj. W takiej sytuacji dzwoni do Londynu do Glastonbury'ego i powiedz, żeby natychmiast tu przyjeżdżał... może zdołam przekazać mu jakoś próbkę z więzienia... I zadzwoni też do Rasta... pięta piętnaście... żeby powiedzieć, że wszystko odwołane. Rozumiesz?

- Tak. Czy masz pojemniczek z fałszywą próbką?

- Tak.

- Plastikową fiolkę?

- Tak.

- Żyłki?

- Tak.

- Widzę, że masz też kamerę na podczerwień. Okay, chłopie. Powodzenia.

- To za mało, Dick. Tutaj przydałaby się modlitwa!

Jon wysiadł z peugeota i wszedł do Sanktuarium Księgi. Serce waliło mu tak, że czuł, jak krew pulsuje mu w czubkach palców. Poszedł w dół pochylnią prosto do gabinetu dyrektora, Dova Sonnenfelda. Spojrzał na zegarek. Trzecia trzydzieści trzy.

Sekretarka obrzuciła go spojrzeniem i weszła do gabinetu, żeby zawiadomić o jego przybyciu. Czy zauważyła coś niezwykłego? Jeszcze nic nie zrobił, a już czuł się jak przestępca.

- Witam, profesorze Weber - powiedział Sonnenfeld. - Miło, że zechciał nas pan odwiedzić.

Dyrektor, jowialny mężczyzna po czterdziestce, był trochę wyższy od Jona, miał kasztanowe włosy, rumianą cerę i piegi. W młodości był gwiazdą piłki nożnej i Jon miał nadzieję, że nie będzie musiał stawać z nim do zawodów.

- Cieszę się, że pana widzę, doktorze Sonnenfeld. Przyszedłem w sprawie... w sprawie pergaminu z napisem.

- Zanim powie pan cokolwiek, proszę za mną.

Sonnenfeld poprowadził go do muzeum, między dwa rzędy oświetlonych żółtym światłem gablot.

- Listy Bar Kochby - wyjaśnił z dumą.

Dotarli do położonej centralnie rotundy, gdzie wystawiono kopię pergaminu Izajasza, najważniejszego ze zwojów znad Morza Martwego. Na drugim końcu sali znajdowała się gablota przykryta czarnym sukniem. Sonnenfeld włączył oświetlenie gabloty i zdjął sukno.

- No i co pan na to? - spytał rozpromieniony.

Jon poczuł, że serce w nim zamarło. W purpurowym blasku ultrafioletowego światła wisiał *titulus*. Wszystkie fragmenty pergaminu znalazły się na właściwym miejscu. Tęm był przezroczysty muślin. Całość umieszczono między dwiema taflami szkła. Klęska - pomyślał Jon. Trudno spodziewać się, żeby Sonnenfeld dał mu do ręki pergamin. Nie po to przygotowali tak pieczołowicie jego ekspozycję, nie po to zainstalowali system alarmowy, którego przewody widać było w całej gablocie. Nigdy nie dostanie się do pergaminu!

- To... to wspaniała ekspozycja, doktorze Sonnenfeld - wykrztusił po dłuższej chwili. - Spodziewałem się jednak, że poczeka pan z tym do listopada, kiedy w księgarniach pojawi się *epitoma* wyników.

- To oczywiście! Stąd ta zasłona. - Zaciągnął z powrotem kurtynę i zgasił światła. - Podobnie jak tamten zwój Izajasza - wskazał - nie jest to oryginał, lecz kopia. Czy można to poznać?

Jon poczuł, że kamień spada mu z serca. Wybuchnął śmiechem.

- Bajeczna robota, doktorze Sonnenfeld. Pańscy artyści spisali się wyśmienicie. To przekątne pęknięcie, nawet nieco ciemniejszy atament w prawym górnym rogu. Gratuluje.

- Och, dziękuję, bardzo dziękuję! Wykorzystaliśmy także światło

ultrafioletowe, żeby dodać odcień realizmu. Wróćmy teraz do mojego gabinetu. Kiedy znaleźli się na miejscu, Sonnenfeld zapytał:

- Czym możemy panu służyć?

Jon zaczerpnął głęboko powietrza w płuca i zaczął:

- Jest pewien... mały kłopot, doktorze Sonnenfeld. Zrobiliśmy wszystkie potrzebne do analizy fotografie pergaminu, ale sam nie wiem dlaczego, zapomnieliśmy o podczerwieni. Kiedy wczoraj oddawałem maszynopis wydawcy, zauważyliśmy to uchybienie. Musimy wykonać zdjęcia najszybciej jak to możliwe. Zastanawialiśmy się, czy zechce pan wypożyczyć w tym celu *titulus* na dzień lub dwa.

- Oczywiście. Nie widzę najmniejszego problemu. Proszę poczekać, zaraz go przyniosę.

Dzięki Ci, Boże! Wyglądało na to, że wszystko będzie łatwiejsze niż się spodziewał. Jak wspaniale jest poczuć ulgę!

Kilka minut później Sonnenfeld wrócił, ale bez sporej wyściełanej skrzynki, w której dostarczono *titulus* do Sanktuarium.

- Omówiłem tę sprawę z dyrektorem muzeum, który ma gabinet tuż obok. Do niego należy ostatnie słowo. Nalega, żeby uzyskać pozwolenie od Urzędu Starożytności. Czy mogę do nich zatelefonować?

- Oczywiście.

Ulga *exit*, wchodzi Troska. Może jednak dyrektor Urzędu gdzieś wyszedł?

- Dzień dobry, Gideonie - powiedział Sonnenfeld do słuchawki.

Troska *exit*, wchodzi Niepokój.

Sonnenfeld przedstawił prośbę Jona w sposób właściwy i przekonujący i zamilkł, czekając na odpowiedź Gideona. Będzie oczywiście negatywna - uznał Jon, gotów przyjąć najgorsze.

Sonnenfeld zakrył dłonią mikrofon i wyznał:

- Powiedział, że nie miałby nic przeciwko temu, ale musi uzyskać zezwolenie ministerstwa edukacji. Zaraz będzie dzwonił.

Punkt dla Gideona za prawość charakteru - uznał w duchu Jon - ja zaś powinienem się wstydzić. Minęły cztery minuty. Sonnenfeld znowu wziął do ręki słuchawkę.

- Tak... tak... rozumiem. Dobrze, dziękuję, Gideonie.

Odłożył słuchawkę i oznajmił:

- Ministra edukacji dzisiaj nie ma, a bez niego nie uzyskają zezwolenia. Tym samym Ben-Yaakov też go nie wyda. Zaproponował, żeby przyniósł pan tutaj aparat i zrobił potrzebne zdjęcia na miejscu.

- W porządku - odparł Jon. Otworzył teczkę i wyjął aparat. - Spodziewałem się, że coś takiego może się zdarzyć, więc na wszelki wypadek wzięłem film na podczerwień.

- Doskonale.

- Spodziewam się, że ma pan w swoim laboratorium lampy na podczerwień?

- Oczywiście. Przyniosę kilka do pracowni w archiwum. Tam przechowujemy autentyczny *titulus*.

Fragmenty pergaminu, przechowywane w muślinowej koszulce, zostały wyjęte z urządzenia utrzymującego stałą wilgotność i rozłożone na stole roboczym. Sonnenfeld zdjął wierzchnią koszulkę i pomógł Jonowi ustawić lampy tak, by najlepiej oświetlały pergamin. Jon skierował wzrok najpierw na ciemniejsze litery w prawym górnym rogu: „*daeorum*” z łacińskiego słowa „żydowski”. Dla tych liter zamierzał poświęcić swoją naukową reputację.

Oczywiście, jeśli Sonnenfeld wyjdzie z pokoju. Ale dyrektor wpatrywał się czule w *titulus* niby troskliwa matka, poprawiając ustawienie światła i zaglądając Jonowi przez ramię. Jon starał się panować nad nerwami, czekając, aż tamten wyjdzie, zerkając na zegarek, żeby upewnić się, że nie minęła jeszcze godzina i Cromwell czeka.

Robił zdjęcie za zdjęciem, aż w końcu z ust Sonnenfelda padły wytęsknione słowa:

- Zajrzę na chwilę do gabinetu. Proszę mnie wezwać, kiedy pan skończy.

Jon czuł, że serce podchodzi mu do gardła, kiedy szybko otwierał teczkę, żeby wyjąć żyłtę i dwie plastikowe fiołki, jedną ze skruszonym grafitem - do oddania, gdyby został złapany - drugą wysterylizowaną i pustą, czekającą tylko na napełnienie. Pochylił się, rozejrzał raz jeszcze, wziął do ręki żyłtkę i zaczął zeszkrobywać „*daeorum*”, pozostawiając czarny proszek na literach. Dzięki Bogu, praca szła łatwo, nie było tego tyle, ile się spodziewał, ale miał nadzieję, że wystarczy.

Zeszkrobał „*d*”, tak że została tylko szara plama. Potem „*a*”. Z jakiegoś powodu „*e*” nie chciało zejść, tak że uzyskał tylko połowę atramentu z tej litery. Nieważne! Teraz „*o*”, które poddało się bez większego oporu, podobnie jak „*r*” i „*u*”.

Z holu doszedł odgłos czyichś kroków. Jon zmarszczył brwi i pochylił się nad pergaminem, by zasłonić swoje dzieło. Kroki minęły

drzwi pracowni. Mógł już prawie śpiewać *Te Deum*. Jeszcze jedna litera i po wszystkim - powiedział sobie. Jaka litera! Jedno „m” dostarcza tyle sfalszowanego, być może, węgla, ile trzy „i”. Nabrał już w tej robocie wprawy i wystarczyło mu osiem zręcznych ruchów, by zeszkrobać większość litery.

Teraz, nie dotykając ciemnego proszku zgiął leciutko pergamin i zsywał zeszkrobany materiał do pustej fiolki. Zrobione! Schował fiolkę w woreczku, który miał zawieszony na szyi. Też zrobione! Pozostało nałożyć z powrotem na pergamin muslinową koszulkę i ostrożnie schować wszystko w pojemniku. Przyjrzał się przedtem, z której szuflady korzystano. Przy odrobinie szczęścia Sonnenfeld nie zajrzy tam, a jutro w południe Jon będzie już w Londynie.

Raz jeszcze spojrzął na *titulus*. Z „*daeorum*” zostało zaledwie pół litery „e”. Reszta stała się tylko szarym, słabo widocznym zarysem liter. Zwiastowało to albo wielki sukces, albo najgorszą pomyłkę w dziejach archeologii. Jeśli bowiem autentyczność Rama zostanie potwierdzona, on będzie tym, który okaleczył jeden z najwspanialszych dokumentów starożytności.

Dlaczego jednak litera „e” okazała się taka oporna? Może spróbować jeszcze raz? Wziął żyłkę i przystąpił z powrotem do skrobania. W tym momencie drzwi otworzyły się szeroko i do pracowni wkroczył uśmiechnięty Sonnenfeld.

- Pomyślałem sobie, profesorze Weber, że lepiej byłoby... Co pan robi? - Pochylił się nad pergaminem. Na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia pomieszanego z przerażeniem. - Co... co się stało z ostatnią częścią tekstu łacińskiego?... Pan... pan... żyłką... Zeszkrobał? *Elohim Shebashamiam!!!* To niemożliwe!

- Wszystko panu wyjaśnię, doktorze Sonnenfeld...

Jednak dyrektor wybiegł już z pokoju, krzycząc po hebrajsku:

- Straż! Straż! Tutaj!

- Doktorze Sonnenfeld, nie ma naprawę potrzeby...

- Bierzcie tego człowieka, niech nie waży się wyjść z pracowni!

- Sonnenfeld wskazał na Jona. - Muszę zadzwonić do Urzędu Starożytności!

- Chcę potem porozmawiać z Ben-Yaakovem! - krzyknął za nim Jon.

Wstrząśnięty dyrektor wrócił kilka minut później i powiedział strażnikom:

- Zaprowadźcie go do mojego gabinetu.

Strażnicy zacisnęli dłonie jak obcegi na obu ramionach Jona i zaprowadzili go do gabinetu Sonnenfelda. Dyrektor chwycił słuchawkę i rzucił:

- Mamy go tutaj... Co takiego?... Och, tak, oczywiście. - Odłożył na chwilę słuchawkę i zwrócił się do więźnia: - Poproszę o atrament, który pan zeskrobał.

Jon powoli wyciągnął w jego stronę rękę z fałszywą fiolką. Jeśli zbadają zawartość, podadzą jako datę lata dziewięćdziesiąte naszego wieku! - pomyślał z gorzkim humorem, starając się nie zatonać w morzu rozpacz i upokorzenia.

- Mam... On chce z tobą mówić.

Podał mu słuchawkę.

- Tak, Gideonie - powiedział Jon starając się panować nad głosem. - Wiem, że zrobiłem coś nie do pomyślenia, ale potrafię to wyjaśnić... Tak... oczywiście, podam ci wyjaśnienie. Ale sprawa jest tak niesłychanie delikatna, że będzie to przeznaczone tylko dla twoich uszu. Czy mogę prosić, żeby wszyscy opuścili pokój?... Doskonale. Dam ci doktora Sonnenfelda.

Dyrektor wysłuchał tego, co miał mu do powiedzenia Gideon, skinął głową i oddał słuchawkę Jonowi. Skinął na strażników i wszyscy wyszli z pokoju. Jon przekazał Gideonowi straszną informację, jaką sam otrzymał od Dunstable'a i Glastonbury'ego. Oznajmił także, że zamierzał porównać atrament zeskrobany z pergaminu z sadzą z Pompei.

- Nie - powiedział na koniec - na razie nie ma żadnego dowodu i być może chodzi tu nawet o zbieg okoliczności, ale po raz pierwszy odkryliśmy bardzo mocny motyw. Byłby to nasz jeden jedyny dowód, Gideonie, i po prostu muszę go mieć.

- Coś mi się wydaje, Jonathanie, że robisz z igły widły - odparł tamten. - Jestem pewny, że Jennings po prostu nie pamiętał. To jakby powiedzieć, że... że Kathleen Kenyon była prostytutką!

- Ale motyw, motyw, Gideonie. Muszę polecieć do Londynu i dowiedzieć się czegoś więcej od Glastonbury'ego i Paddingtona. Musimy też dokonać porównania atramentu z pergaminu. To jak cztery, pięć syczących lontów. Mogą spowodować jedną potężną eksplozję.

- Bardziej przypomina mi to niewypał... proch, który spalił na panewce! Niestety, Jonathanie, potrzebny ci jest psychiatra. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale jestem przekonany, że przekroczyłeś miarę. Wiem, że Rama to straszne przeżycie, ale...

- Chcę tylko, żebyś dal mi dwa, trzy dni, Gideonie. Potem będziesz mógł zrobić ze mną, co zechcesz. Zamknąć mnie i wyrzucić klucz do morza, jeśli uznasz to za stosowne. Kiedy wrócę z Londynu, przyjdę prosto do twojego biura i wszystko ci powiem. Jeśli się pomylę, będziesz mógł założyć mi kajdanki!

- Po pierwsze, Jonathanie, Londyn nie wchodzi w grę. Nie opuścisz kraju. Minister edukacji... premier dobraliby mi się do skóry, gdybym pozwolił ci wyjechać po tym wszystkim, co zrobiłeś. Przy okazji: bez względu na to, co sobie myślisz, w mojej decyzji nie ma niczego osobistego.

- Wcale tak nie myślałem, Gideonie - zapewnił Jon, chociaż było to kłamstwo, gdyż wizerunek Shannon znowu zawładnął jego wyobraźnią. - Uważam, że nigdy byś się do czegoś takiego nie zniżył.

- Taką samą decyzję podjąłbym, gdybyś był moim bratem, Jonathanie. Niech Glastonbury przyleci tu z próbką sadzy i będziesz mógł przeprowadzić test na miejscu.

- Weizmann pracuje doskonale, Gideonie, ale nie mają tam sprzętu, żeby zbadać próbkę tak małą jak to, co udało mi się zeskrobać.

- Jestem pewny, że mają, Jonathanie.

- Nie. Do tego potrzebny jest akcelerator tandemowy.

- Jonathanie, moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Powinienem być wezwać policję i kazać cię aresztować za złośliwe zniszczenie skarbu narodowego, za czyn naprawdę niewybaczalny... ale...

- Gideonie, błagam cię. Pozwól mi wyjechać na czterdzieści osiem godzin, a...

- Zamknij się wreszcie! - ryknął Ben-Yaakov. - Masz dwie możliwości. Pierwsza: daję ci dwadzieścia cztery godziny na przeprowadzenie testów u Landaua w Rehovot. Druga: zobaczymy się w komisariacie.

- Dobrze, Gideonie, dobrze. Proszę cię... błagam o jedno: dochodź na razie tajemnicy i powiedz Sonnenfeldowi i strażnikom, żeby nie puścili pary z ust.

- Zgadzasz się na Rehovot?

- Zgadzam - westchnął Jon.

W duchu dodał: „Jasne, zgadzam się na to, żeby dostarczyć tam szczyptę materiału... kiedyś”.

- No dobrze, Jonathanie. Ale nawet nie myśl o opuszczeniu Izraela. Zawiadomij lotnisko Ben Guriona, a także Aszdod, Haifę, most Allenby, wszystkie porty i wszystkie posterunki graniczne. Daj mi teraz Sonnenfelda...

Jon zapukał w drzwi, żeby wezwać Sonnenfelda. Dyrektor wziął do ręki słuchawkę i wysłuchał, jakie instrukcje miał mu do przekazania Gideon.

Kiedy odłożył słuchawkę, spojrzął na Jona i powiedział:

- No dobrze. Może pan iść. Nie wiem dlaczego. Uważam pana za kogoś gorszego od kryminalisty.

- Ja... rozumiem to w pełni, doktorze Sonnenfeld. Do widzenia!

- Zapomniał pan o tym... - podał mu fiolkę z fałszywą próbką.

- Rzeczywiście. Dziękuję.

Wychodząc, cisnął fiolkę do śmieci. Potem spojrzął na zegarek i przeraził się. Minęło już pięćdziesiąt pięć minut! Wybiegł i zaczął wymachiwać ręką Dickowi Cromwellowi, który właśnie zapuścił silnik.

- Świetnie - powiedział Dick. - Myślałem, że zobaczę cię w policyjnej furgonetce. Który scenariusz?

- Żaden z tamtych. Zapewne należałoby go sklasyfikować jako 5b. Tak czy owak, wygląda na to, że po drodze do Londynu przyjdzie mi zażyć kąpieli.

Cromwell spuścił głowę. Potem pokiwał nią w jedną i drugą stronę.

Do Instytutu Albrighta dotarli kwadrans przed zamknięciem.

- Witam panią, Lindo - powiedział Jon. - Przedstawiam Dicka Cromwella. Mam dla pani dwie wiadomości. Pierwszą, że Dick nie będzie korzystał z telefonu, drugą, że ja owszem.

- To był bardzo monotony dzień, profesorze Weber. Cieszę się, że pan przyszedł, bo teraz się to zmieni. Czy tym razem znowu mam pana połączyć z Białym Domem?

Skinął głową i odparł:

- Jest pani naprawdę jasnowidzem.

- Miałam nadzieję na Buckingham Palace.

- Innym razem.

Dick Cromwell myślał, że cała ta rozmowa to zwykły żart, ale Jon miał śmiertelnie poważną minę, kiedy wziął słuchawkę i powiedział:

- Prezydent Bronson?... Tak, tu Ernst Becker z Ziemi Obiecanej. Przykro mi, ale będziemy musieli popatrzeć na wschodzący księżyc... Wiem, wiem... Sprawdziłem wszystko. To do zrobienia... O tak, Paul Revere w pełni zasługuje na zaufanie. Potrzebuje jednak pomocy... Słusznie... Dobrze... Tak zrobię. I dziękuję, panie prezydencie.

- Co to niby znaczy? - spytał Cromwell.

- Wyjdźmy. Lindo, zaraz wracamy.
- To pewne jak w banku.
- Aha... Byłbym wdzięczny do końca życia, gdyby została tu pani do mniej więcej piątej piętnaście.

- Pod warunkiem, że pewnego dnia przetłumaczy mi pan to wszystko na ludzki język.

- Obiecuję.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Jon powiedział:

- Musimy jakoś zabić czas, bo o piątej piętnaście mam zadzwonić do Rasta.

- O co chodzi z tym Ernstem Beckerem?

- To mój drugi paszport. Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

- Och, chyba się połapałem! Wschodzący księżyc to wschód, Jordania.

- Nie brak ci oleju w głowie.

- Ale kto to Paul Revere?

- Oczywiście Rast. No wiesz, pojedynczy sygnał, jeśli ląd, podwójny, jeśli morze... O północy Rast będzie podawał z przyłądka Costigan przerywane sygnały dwiema latarkami.

- A pomoc?

- Prezydent polecił MacPhersonowi, sekretarzowi stanu, by ten zwrócił się do swojego jordańskiego kolegi z pewną prośbą. Chodzi mianowicie o to, żeby ich straż graniczna pomogła Rastowi uniknąć min. Załatwiłem to już wczoraj, ale wszystko było w zawieszeniu, dopóki nie okazało się, że ostatecznie jesteśmy skazani na tę drogę.

- To świetnie! Bylebyś nie wyleciał w powietrze płynąc.

- Teraz tak. Jutro z samego rana zadzwonisz do Landaua do Rehovot i umówisz mnie z nim na późne popołudnie. To na wypadek, gdyby Gideon zechciał mnie skontrolować. W ciągu dnia zadzwonisz jeszcze raz do Landaua i powiesz, że nie mogę przyjechać. Umów mnie na następny dzień. Jeśli Landau albo Gideon zatelefonują, nie masz pojęcia, co się mogło ze mną stać. Pojmujesz? Myślałeś, że pojechałem do wydawcy w Tel-Awiwie. Dzięki temu Shannon nie będzie niczego podejrzewała. Jak tylko znajdę się w Londynie, dam znać, nie mówiąc jednak, gdzie jestem. Ona ma o niczym nie wiedzieć! Zgoda?

- Tak, jasne!

- Okay. Jest piąta trzynaście. Czas dzwonić do Rasta.

Wrócili do środka i Jon powiedział:

- Strasznie mi przykro, Lindo, ale to już naprawdę ostatni telefon.
- Pan mi łamie serce, profesorze Weber. Z kim mam łączyć?
Z kimś z Kremla?
- Tym razem nie. ACOR w Ammanie.

Przesiedli się z peugeota do land rovera i przystąpili do załadunku. Dolną warstwę stanowił sprzęt do nurkowania, górą - kamery, trójnogi i inne urządzenia fotograficzne. Była także warstwa najniższa, jak w archeologii, pod którą znajdowało się już tylko dziewicze podłoże, warstwa, gdzie miał wpełznąć Jon, kiedy będą zbliżali się do któregoś z punktów kontrolnych. Można było do niej dotrzeć tylko przez tylne drzwiczki, ale Cromwell sprytnie, w sposób niewidoczny zamontował dwa pasy wewnątrz wozu, tak że nie było mowy o otwarciu zatrzaśniętych drzwiczek.

Cienie wydłużały się w promieniach wcześniej już zachodzącego słońca, kiedy jechali w stronę Morza Martwego, najniższego punktu na globie, położonego prawie 1300 stóp poniżej poziomu zerowego. Pierwszy punkt kontrolny mieli jakieś trzy kilometry przed sobą.

- Lepiej zjedź na pobocze, Dick - powiedział Jon.

Kiedy na szosie zrobiło się pusto, Jon otworzył tylne drzwiczki, wpełznął w miejsce zwykle przeznaczone na zapasowe opony i skulił się, przyjmując pozycję embrionu. Na punkcie kontrolnym nie było nikogo i Cromwell skręcił na południe, na drogę wzdłuż wybrzeża. Jon wygramolił się z dna samochodu.

- Otwórz okna, Dick. Myślałem, że się uduszę.
- Okay, Jon. Wszystko idzie jak z płatka. Nie ma dużego ruchu.

Minęło pół godziny. Prawie nie rozmawiali, tylko od czasu do czasu wymieniając banalne uwagi, żeby rozładować napięcie. Ostatnie dwa dni to jakiś jeden długi, plugawy koszmar senny, z którego nie mogą się wyplątać, nie mogą się obudzić - rozmyślał Jon. Czy zdoła otrząsnąć się kiedyś z upokorzenia, jakie przeżył w Sanktuarium Księgi? A przecież w porównaniu z tym, co go czekało teraz, była to drobnostka.

- Jon, minęliśmy Qumran i zaraz dojedziemy do En Gedi.
- Lepiej więc, żebyśmy znowu dał nura na dno. Niedaleko stąd jest punkt kontrolny.
- Napnij pasy.
- Pewnie.

Zaraz po objechaniu jednego z przyłądków natknęli się po raz pierwszy na czynny punkt kontrolny. Szosę zagradzał opuszczony szlaban.

- Są - ostrzegł Dick.

Rover zahamował. Izraelski żołnierz w berecie na bakier i z uzi na ramieniu nachylił się w stronę okna i poprosił Dicka o dokumenty. Dick podał. Żołnierz obejrzał je uważnie w świetle latarki.

- Dokąd pan jedzie tak późno?

- Masada. Mam rano zrobić parę zdjęć.

Drugi żołnierz wyszedł z budki i zajrzał na tył, oświetlając latarką sprzęt fotograficzny.

- Proszę wysiąść - polecił.

- Dobrze.

Dick otworzył drzwiczki, wysiadł i przeciągnął się beztrudnie. Żołnierze pogrzebali chwilę w sprzęcie fotograficznym, a następnie poprosili o otwarcie tylnych drzwiczek.

- Chciałbym! Zamek się zablokował i od paru tygodni ani drgnie. Zamierzałem oddać do naprawy. Muszę ładować wszystko przez boczne drzwiczki.

Jeden z żołnierzy szarpnął raz i drugi tylne drzwiczki. Jon wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy pasy wytrzymają te szarpnięcia.

- Gdzie się pan zatrzyma? - spytał pierwszy żołnierz.

- W schronisku młodzieżowym. Niczego innego tam nie ma - dodał Dick i zachichotał.

Żołnierz włączył walkie-talkie i powiedział coś po hebrajsku. Dick nie rozumiał z tego ani słowa, ale usłyszał, że tamten prosi bazę, by zadzwoniono do hotelu i sprawdzono, czy jest rezerwacja na nazwisko Cromwell.

Czekając na odpowiedź, Dick zapytał:

- Panowie, czy coś jest nie w porządku?

- Nie. Ale to strefa graniczna i musimy prowadzić kontrolę, zwłaszcza nocą.

- Aha... Rozumiem.

- Poza tym Jerozolima nakazała nam szczególną czujność. Nie zna pan... - Przerwał, zajrzał do notesu. - Nie zna pan niejakiego profesora Jonathana E. Webera?

- Nie.

Zatrzeszczał radiotelefon.

- Ken... ken... ken - odpowiedział żołnierz. Obrócił się w stronę Cromwella. - W porządku. Może pan jechać.

Cromwell poczuł falę ulgi. Zapуścił silnik i ruszył w stronę Masada.

- Teraz możesz sobie popływać, Jon - oznajmił. - To znaczy wkrótce. Zdaje się, że mamy to za sobą.

W Masada Dick wpisał się do księgi gości i zaniósł trochę rzeczy osobistych do domku kempingowego. Jon rozpiął pasy, otworzył tylne drzwiczki i wygramolił się z kryjówki. Zanieśli do domku kostium i resztę sprzętu do nurkowania, pozostawiając w land roverze butle z tlenem i ciężarki.

Jon spojrzął na zegarek i powiedział:

- Okay, Dick, jest ósma czterdzieści pięć. Pełnia księżycy dawno za nami. Wschodzi około dziesiątej i chcę w tym momencie być już w wodzie. Niedaleko stąd jest kąpielisko, które obejrzałem sobie wczoraj. Idź, zapytaj kierownika schroniska, czy można tu pływać, a jeśli nie, gdzie.

Cromwell wrócił po chwili i oznajmił:

- Schodzą po prostu parowem nad morze jakieś pół mili na południe od kąpieliska. Żadnych opłat. I jeszcze jedno warte zapamiętania. Jest tu nawet pochylnia dla łodzi prowadząca prosto na brzeg.

- Znakomicie! Nie przyszło mi nawet do głowy, że mogą tu być takie udogodnienia!

- Ktoś tu musi bardzo cię lubić, Jon!

- Okay, teraz muszę się przygotować.

Pół godziny później wsiedli do land rovera i pojechali wyschniętym korytem rzeki na brzeg. Z terenu kąpieliska, oświetlonego wstęgą żółtych świateł, dochodziły dźwięki muzyki.

- Miła rozrywka - zauważył Jon, otwierając drzwiczki, gotów już do założenia płetw.

- No dobrze, a teraz ostatnia kontrola - powiedział Cromwell.

- Paszport Ernsta Beckera w wodoszczelnej torbie?

- Jest.

- Druga fałszywa fiolka w wodoszczelnej torbie przy pasie?

- Jest. Głupio zrobiłem, wyrzucając pierwszą.

- Nikt nie uważał cię za doskonałość. Prawdziwa fiolka w wodoszczelnej, wyłożonej ołowiem torbie na szyi?

- Jest.

- Powtórzmy. Co masz zrobić, kiedy zatrzymają cię, rozbiorą i przeszukają?

- Zanim wyciągną mnie z wody, wezmę prawdziwą fiolkę i...

- I co? - na twarzy Dicka pojawił się szeroki uśmiech.

- Wezmę prawdziwą fiołkę i schowam tam... gdzie nigdy nie zagląda słońce.
- W spisie mam: „W sytuacji krytycznej wsunięcie fiołki w zakończenie przewodu pokarmowego”.
- To rzeczywiście pewna różnica.
- Podwodny wykrywacz metali?
- Jest.
- Siedemdziesiąt funtów dodatkowego obciążenia w pasie, na ramionach i łydkach?
- Jest.
- Na pewno wystarczy to, żeby zrównoważyć siłę wyporu tej wody?
- Powinno. Chcę płynąć tuż pod powierzchnią, nie głębiej, żeby od czasu do czasu kontrolować swoje położenie.
- Okay, odczytaj, jakie jest ciśnienie w butlach z tlenem.
- Dwa tysiące funtów w każdej.
- Dostyc?
- To daje dziewięćdziesiąt minut zanurzenia. Powinno wystarczyć na dotarcie do wód jordańskich.
- Okay. Latarka?
- Jest.
- Dinary jordańskie, szkle izraelskie, funty brytyjskie, dolary amerykańskie, karta kredytowa, wszystko w nieprzemakalnej torebce razem z paszportem?
- Jest.
- W porządku, Jon. Jest dziesiąta dziesiąć. Czas ruszać.
- Okay, Dick. Nie zapomnij jutro o zrobieniu paru zdjęć na szczycie Masada i wracaj do Ramallah. Rast zadzwoni koło pierwszej. Jeśli dopłynę szczęśliwie i wylecę do Londynu, powie: „Zamówiony przez pana wysokoczuły film właśnie przyszedł”. W przeciwnym razie szyfr nie będzie potrzebny, powie więc, co się stało i co musisz zrobić, żeby ratować mi skórę... jeśli jeszcze da się ją uratować.
- Mam nadzieję, że Bóg sprawi, żeby zaszła pierwsza możliwość. Nie zapomnij o punkcie docelowym. Płyniesz do miejsca na przykładku, znajdującego się dokładnie w linii wschodzenia księżycy nad wzgórza po drugiej stronie Morza Martwego.
- To góry Moabu.
- A kiedy wykrywacz metali zacznie piszczeć, zatrzymaj się, na

Boga, zanim zaświecisz latarkę, żeby sprawdzić, co masz przed nosem!

- Słusznie. Dick... nie myśl, że jestem taki sentymentalny, ale... jeśli coś mi się stanie, powiedz Shannon, dlaczego musiałem to zrobić, dlaczego nie mogłem jej wtajemniczyć i... i że do końca myślałem o niej. Jest tym, co było najpiękniejsze w moim życiu... A potem musisz kontynuować krucjatę z Glastonburym, żeby wyklarować wszystko w tę lub tamtą stronę. Obiecujesz?

- Obiecuję. Jon, bądź ostrożny.

Jon wszedł do wody, wpatrując się w linię horyzontu przed sobą. Dick wysiadł z land rovera i miał przed oczyma drugi półokrąg horyzontu. Na szczęście nikt ich nie widział.

Kwadrans później księżyc zaczął wyglądać spoza wschodniego grzbietu wzgórz. Jon znajdował się już pół mili od brzegu i płynął systematycznie przed siebie. Ale nadal był niepokojąco widoczny we wstędze księżycowego światła, zauważył z troską Cromwell. Dlaczego nie zanurzy się głębiej?

Usłyszał dochodzący z tyłu pisk hamulców. Obrócił się i zobaczył izraelskiego jeepa stojącego obok land rovera i wysiadającego żołnierza w białym hełmie.

- Co pan tu robi? - spytał po hebrajsku, a potem po angielsku, w drugim języku tego kraju.

Cromwell skulił się wewnętrznie, ale odpowiedział spokojnym głosem:

- Podziwiam wschód księżyca. Mam nadzieję, że... że nie jest to żadna strefa zakazana.

Żołnierz poprosił o dokumenty. Cromwell stanął tak, żeby mieć tamtego między morzem a sobą i zmusić go w ten sposób do obrócenia się tyłem do morza.

Płyn dalej, Jon - prosił w duchu Dick - płyn spokojnie.

Z rozmyśleniem bardzo długo szperał w kieszeniach, zanim znalazł paszport i podał go Izraelczykowi. W tym momencie od strony kąpieliska dobiegły wyjątkowo głośne i nieprzyjemne dźwięki muzyki rockowej. Cromwell nie cierpiał rocka, a kochał Bacha, ale teraz był zadowolony, że rytm tej niby-muzyki całkowicie zagłuszał plusk dochodzący słabiutko od strony morza.

- Gdzie się pan zatrzymał? - spytał żołnierz.

- Tam - wskazał Cromwell - w schronisku. Sprawdziłem, czy da się tu spuścić łódź, gdybym przywiózł ją tu kiedyś.

- Myślałem, że podziwiał pan księżyc.

Cromwell roześmiał się.

- I to, i to! Jedno nie wyklucza przecież drugiego.

- W porządku. Jeśli jednak zdarzy się panu wypłynąć tu łodzią, proszę zachować ostrożność i trzymać się raczej brzegu. Tam, gdzie biegnie granica, rozstawiliśmy miny.

Wskazał niepokojąco blisko miejsca, gdzie płynął Jon.

- Z pewnością. Dziękuję za ostrzeżenie.

Cromwell zapuścił silnik i pojechał za jeepem. Zaparkował na terenie schroniska. Dwie następne godziny miał spędzić wpatrując się przez mocną lornetkę w morze - z nadzieją, że nie zobaczy nagłego błysku, a po chwili nie usłyszy przerażającego huku eksplozji.

Jon płynął w stronę światła księżyca. Bardzo szybko zorientował się jednak, że popełnił błąd w obliczeniach: miał za małe obciążenie jak na Morze Martwe. Choć wkładał dużo wysiłku w to, żeby się zanurzyć, natychmiast wypływał na powierzchnię i mokry kostium musiał być widoczny z daleka na tle wody. Płynął dalej. Czy miał jakiś wybór?

Znalazł się teraz na linii kanału. Obejrzał się i z przerażeniem zobaczył światła izraelskiego jeepa, więc obrócił się na wznak i leżał nieruchomo. Każdy reflektor wycelowany w morze mógł przesądzić o losie jego wyprawy, a jemu pozostawało tylko leżeć bez ruchu i czekać, jak się to skończy. Ale muzyka rockowa i oddalające się światła samochodów dodały mu ducha i zaczął znowu płynąć z nadzieją w sercu.

Potem uświadomił sobie, że popełnił jeszcze jeden błąd, który mógł okazać się zgubny w skutkach. Powinien wsłuchiwać się nie w muzykę, ale w reakcje wykrywacza metali. Czym prędzej włączył urządzenie, nastroił je odpowiednio i płynął dalej z czujnikiem wykrywacza przymocowanym taśmą do uprząży na ramieniu i wysuniętym do przodu.

Minęło pół godziny. Nadal posuwał się w kierunku wędrującego coraz wyżej rąbka księżyca. Znalazł się teraz wśród solnej kry, blisko już połowy przewidywanej drogi. Wykrywacz buczał jednostajnie, nic nie wskazywało bliskości metalowych min. Płynął równym rytmem, wykonując dwadzieścia ruchów na minutę, gdyż zasolone, gęste jak syrop wody Morza Martwego takie właśnie niespieszne tempo narzucały. Rozsiane to tu, to tam bryły soli przecinały mu co jakiś czas szlak, zmuszając do ciągłych zmian kursu.

Obliczał, że musi już zbliżyć się północ, godzina czarownic. Rast powinien przystąpić wkrótce do nadawania podwójnych sygnałów! Wpatrywał się w kierunku wschodnim, ale niczego nie zobaczył. Pewnie jestem już na wodach jordańskich - myślał - być może też zaminowanych. Wzmocnił buczenie wykrywacza. Nadal żadnych świateł na brzegu.

Odczuwał już ból w nogach. Niewesoło. Całe przedsięwzięcie zaczęło nabierać charakteru chimerycznego; wracał ciągle ten sam koszmar senny. Potrzebował czegoś, ku czemu mógłby podążać, co dawałoby nadzieję. Powinien był poprosić Rasta, żeby zaczął sygnalizować o li³⁰! Oczywiście nie można wykluczyć innej możliwości: cały plan jest poroniony i Rast wcale się nie zjawił.

Czyżby dostrzegł maleńki punkcik światła? Dowie się tego za trzydzieści sekund, takie bowiem przerwy między błyskami ustalili. „Tysiąc jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy...” - liczył. Doszedł do dwudziestu ośmiu sekund. I w tym momencie zobaczył dwa wyraźne, cudowne błyski - nieco na lewo od linii, po której płynął. Pół minuty później ten sam najwspanialszy w świecie widok. Jon sięgnął do pasa, wyjął latarkę i wycelowawszy w stronę tamtych świateł, błysnął dwa razy. Zgodnie z umową zobaczył natychmiast trzy błyski. Nawiązały kontakt!

Pokonanie końcowego odcinka zajęło jeszcze trzy kwadransy, ale teraz była to bułka z masłem. Cel był na wyciągnięcie ręki. I został osiągnięty!

- To ci dopiero! Walt! - wykrzyknął Jon, kiedy poczuł pod nogami żwirowe dno. - Mam nadzieję, że zapewnią tu wkrótce komunikację promową!

- Witaj w Jordanii, pływający gagatku!

Rastowi towarzyszyli dwaj oficerowie Królewskiej Armii Jordaan-skiej.

Starszy z nich, kapitan, uściśnął dłoń Jona i powiedział:

- Rząd Haszymidzkiego Królestwa Jordanii wita pana, profesorze Weber... czy raczej Becker!

- Dziękuję! Panowie, jestem wdzięczny, że zgotowaliście mi takie przyjęcie!

- Było to konieczne. W przeciwnym razie wyleciałby pan w powietrze na naszych polach minowych. Chyba że Allah okazałby panu swoje zmiłowanie! Proszę... wskażemy panu drogę.

Trzecim błędem Jona było to, że nie pomyślał o jakimś ubraniu po dopłynięciu do wybrzeża Jordanii. Mokry kombinezon pletwonurka trudno byłoby uznać za najstosowniejszy strój na pokładzie samolotu. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że Rast był mężczyzną podobnej budowy i pożyczył Jonowi jeden ze swoich garniturów.

Czwarty błąd był nie do uniknięcia. Żaden Ernst Becker nie przekroczył nigdy jordańskiej granicy - w każdym razie nie było w paszporcie stempla poświadczającego wjazd - nasuwało się więc pytanie, w jaki sposób przejdzie kontrolę graniczną przy opuszczaniu kraju. Ponieważ jednak następnego dnia został wczesnym rankiem odwiedzony na lotnisko Queen Alia w Ammanie przez samego ministra spraw zagranicznych, funkcjonariusze graniczni okazywali mu najdalej idącą życzliwość.

XXIV

Glastonbury sprawnie przeprowadził Jona przez kontrolę celną na lotnisku Heathrow i służbowym jaguarem ze znakami Scotland Yardu popędzili szosą M-4 w stronę Londynu. Sandy McHugh przyleciał trochę wcześniej i teraz dołączył do nich w Instytucie Archeologii Uniwersytetu Londyńskiego w Bloomsbury. Czekali tam na nich również Gladwin Dunstable i Tom Paddington. Po serdecznych przywitaniach Jon zwrócił się w stronę Dunstable'a i powiedział:

- Proszę wybaczyć to nagle wtargnięcie w pana pracowite życie naukowe.

- Ależ to nic takiego. Miło mi, że mogłem być pomocny - odparł rumiany, chudy, płowowłosy archeolog i na posępnej twarzy wykwił szeroki uśmiech.

- Czy odnalazł pan tamten piec w Pompei i przywiózł próbkę sadzy?

- Tak. Nie obyło się bez kłopotów, bo tamtejsze władze były nieco zaniepokojone, ale mam. - Sięgnął do teczki i postawił na stole plastikowy pojemniczek. - Chciałem jednak pana o coś zapytać, profesorze Weber. Po co panu te sadze? Oczywiście mam jakieś domysły, ale Reginald powiedział, że pan wyjawi mi wszystkie szczegóły.

Jon powtórzył rozumowanie, które doprowadziło go do wniosku, że niezbędne jest naruszenie całości pergaminu.

- Ponieważ u Weizmanna wykorzystano niewielką ilość sadzy,

którą przysłał pan Jenningsowi - powiedział na zakończenie - można sobie wyobrazić, że reszta została użyta do sporządzenia atramentu i że tym właśnie atramentem napisano teksty na pergaminie i papirusie. Ponieważ węgiel z Pompei musiałby być datowany na rok co najwyżej 79, mógł posłużyć doskonale jako barwnik. Pomyślałem więc, że materiał, który zeszkrobałem z pergaminu, należy przetestować metodą węgla C-14 i porównać z wynikami takiego samego testu w przypadku materiału z Pompei. Identyczny, a nawet podobny wynik pozwoliłby na wyciągnięcie odpowiedniego wniosku.

Nie oczekiwał tego, że reakcją osób zasiadających przy stole konferencyjnym będzie takie zmarszczenie brwi.

Po chwili milczenia Dunstable powiedział:

- Zobaczmy, ile tego pan przywiózł.

Jon wyjął przezroczystą plastikową fiolkę z torebki, którą miał na szyi, i położył ją przed Dunstable'em i Sandym McHugh. Brali kolejno fiolkę do ręki i przyglądali się jej w skupieniu.

- Uwaga, panowie! - ostrzegł Jon. - Może zabrzmie to zbyt pompatycznie, ale duchowa przyszłość Zachodu zależy, być może, od proszku z tej fiolki!

Sandy potrząsnął w zamyśleniu głową.

- Może wystarczy tego, żeby przeprowadzić test węglowy, Jon. Czego jednak dowiedziemy, jeśli wyniki będą podobne? Może tu chodzić o zwykły przypadek.

- Co masz na myśli?

- Powiedzmy, profesorze Weber, że znaleziska z Rama są całkowicie autentyczne - zabrał głos Dunstable. - Wiek pańskiej próbki będzie bardzo bliski wiekowi moich sady, chociaż każdą z próbek pobrano gdzie indziej.

Jon w jednej chwili dostrzegł całą słuszność tych argumentów i poczuł, że jest potwornym głupcem, durniem, który miota się rozpaczliwie wychodząc z fałszywych przesłanek, hańbiąc tym samym siebie i naukę. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, uderzając pięścią prawej dłoni w otwartą lewą. Wszystkie awanturnicze działania prowadzące do zdobycia szczypty materiału mogą okazać się całkowicie jałowe. Miał przemożne uczucie, że cały jego wysiłek poszedł na marne.

Z trudem dobierając słowa, powiedział:

- Inaczej mówiąc, wszystko, co zrobiłem, jest prawdopodobnie bez wartości?... Postawiłem na jedną kartę moje życie, reputację

i wszystko z powodu jakiegoś przywidzenia? Czy nie można przynajmniej... dokonać jakiejś analizy porównawczej? Jakichś dalszych testów chemicznych czy innych?

McHugh, który był zaprzątnięty kreśleniem jakichś figur na papierze, przerwał swoje zajęcie, spojrzął na Dunstable'a i uśmiechnął się.

Dyrektor skinął głową.

- Tak, są inne testy, które w tym przypadku mogą okazać się znacznie bardziej pożyteczne niż badanie metodą węgla C-14.

- To prawda, Jon - wtrącił Sandy. - Myślę, że najpierw trzeba przeprowadzić mikroskopową analizę porównawczą, a potem PIXE. Czy ma pan tutaj odpowiednią aparaturę, doktorze Dunstable?

- Tak. I zgadzam się. Jeśli więc pan pozwoli, profesorze Weber, polecimy mojemu najlepszemu człowiekowi, George'owi Lawtonowi, przystąpić do optycznej analizy porównawczej... Proszę się niczym nie martwić. Powiem mu, że obie próbki są pobrane z *Magna Carta* i że nie można zmarnować ani jednej kruszyny. Następnie proponuję badania z zastosowaniem mikroskopu elektronowego, a na koniec PIXE i być może ESCA.

- ESCA? - spytał Jon.

- Elektroniczna Spektroskopia przy Chemicznej Analizie. Pozwala uzyskać pewne informacje, których nie daje PIXE. Zgoda, panowie?

Sandy pokazał Jonowi uniesiony w górę kciuk.

- Dobrze. Nie, wspaniale! - wykrzyknął Jon, który poczuł, że kamień spada mu z serca.

Dunstable wyszedł z próbkami. Po chwili wrócił i powiedział:

- Profesorze Weber, skoro przystąpiliśmy już do badań, proszę nam wyjaśnić, dlaczego podejrzewa pan Austina Balfoura Jenningsa. W świecie archeologii to tak, jakby powiedzieć, że wielki William Foxwell Albright był szarlatanem i łobuzem.

- Wiem. I mogę zapewnić, że sama myśl o tym przenika mnie do szpiku kości bólem. Jak jednak wyjaśnić sprawę zwęglonej rączki narzędzia, której nigdy mu pan nie przysłał? Co stało się z sadzami, które nie dotarły do Weizmanna?

- To mało, profesorze Weber, bardzo mało. Zapewne chodzi po prostu o lukę w pamięci. A Instytut Weizmanna niewątpliwie podał, jaka ilość sadzy jest potrzebna do analizy.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. I nigdy bym nie zrobił tego, co zrobiłem, gdyby nie nowe informacje odkryte przez Toma

Paddingtona i M-5. Widzi pan, znalazł się w końcu motyw. Pan Glastonbury podał mi szczegóły telefonicznie. Może powtórzysz to, Reginaldzie? Albo ty, Tom?

Glastonbury wskazał obiema rękami na Paddingtona, który zaczął:

- Niechętnie to przyznaję, ale nie mam wyjścia. Reginald wykonał całą czarną robotę. Stwierdził, na przykład, że mówić, iż w swoich wczesnych latach oksfordzkich Jennings miał zdolności do języków semickich, to o wiele za mało. Był prawdziwym geniuszem, jeśli chodzi o aramejski. Jego nauczyciel, profesor Giles Weatherby, podniósł pewnego dnia bezradnie ręce do góry i wykrzyknął: „Dość! Niczego więcej już cię nie nauczę, Austin! Najwyższy czas, żebyś ty zaczął uczyć mnie!” Pomyśleliśmy, że to dosyć dziwne, bo przecież w Izraelu Jennings zawsze prosił o tłumaczenie profesora Webera.

- Może zaniedbał od tamtego czasu aramejski - przerwał Dunstable. - Przecież to było bardzo dawno!

- To możliwe - przyznał Paddington. - Ale w tej sprawie ma też coś do powiedzenia królowa. Jako głowa Kościoła anglikańskiego była głęboko zatroskana ranami, jakie sprawa Rama zadała wierze chrześcijańskiej, szczególnie że wykopaliska były prowadzone pod brytyjskim sztandarem. Reginald i ja zostaliśmy wezwani do pałacu Buckingham. Zapoznaliśmy ją ze wszystkim, czego się do tamtego czasu dowiedzieliśmy. Powiedziała, że cały Scotland Yard i M-5 są do naszej dyspozycji, mogliśmy więc sobie pozwolić na to, żeby wysłać do Oksfordu i Północnej Irlandii całą armię wywiadowców w celu uzupełnienia luk w życiorysie Jenningsa.

- Och! - wykrzyknął Dunstable. - I co znaleźli?

- Zrazu niewiele poza tym, co wszyscy, panowie, znacie ze standardowej biografii Jenningsa. Potem jednak wykryliśmy pewne fakty z jego życia osobistego, wskazujące na ewentualne motywy fałszerstwa. Kiedy jeszcze przed ukończeniem studiów wykładał w Oksfordzie, zakochał się w irlandzkiej studentce, Colleen Donnegal, pochodzącej z Droghedy na wschodnim wybrzeżu Irlandii. Była to piękna dziewczyna, bardzo przypominająca Shannon, profesorze Weber... Tak czy inaczej odwzajemniała jego uczucia, ale położyła kres romansowi.

- Dlaczego? - spytał Sandy McHugh. - Bo on był protestantem, a ona katoliczką?

- Wrogość między pomarańczowymi a zielonymi to jeszcze nie wszystko. Panna Donnegal była nowicjuską u sióstr z Zakonu Salome w Monaghan. To w pobliżu granicy z Irlandią Północną. Złożyła już

pierwsze śluby i zamierzała zostać oblubienicą Jezusa, nie zaś Jenningsa. Klasztor wysłał ją do Oksfordu, żeby nauczyła się starotestamentowego hebrajskiego i miała wrócić, by wykładać ten język w klasztorze. I wróciła, łamiąc Jenningsowi serce. Słał do niej listy, ale nigdy nie odpowiadała. Dowiedział się potem, że nie docierały do jej rąk. Pewnego Bożego Narodzenia Jennings doszedł do wniosku, że być może pozwalą jej spędzić święta z rodziną w Droghedzie, zasadził się więc tam na nią. Przewidział trafnie, gdyż po świętach zobaczył ją wychodzącą z domu. Podszedł. Ucieszyła się, że go zobaczyła, i rozżościł ją fakt, że siostry przejmowały skierowaną do niej korespondencję. Skracając całą historię, powiem tylko, że spakowała się, jakby wracała do klasztoru, ale zamiast tego uciekła z Jenningsem do Anglii.

- Bardzo romantyczna historia - powiedział Dunstable - trudno jednak doszukać się w tym motywu...

- To nie wszystko - oznajmił Paddington. - Przez kilka lat żyli ze sobą szczęśliwie w Oksfordzie, chociaż pani Jennings miała kompleksy winy ze względu na sposób opuszczenia zakonu. Trwała też stanowczo przy swoim katolicyzmie.

- Tak, tego się dowiedziałem - potwierdził Glastonbury. - Jej oksfordzki psychiatra okazał mi ogromną pomoc. Mów jednak dalej, Tom...

- Tuż po urodzeniu Shannon cierpiała na przewlekłą depresję pociążową. Czuła, że jeśli chce dojść do ładu ze swoim sumieniem, dręczącym ją z powodu złamania ślubów zakonnych, musi pogodzić się z klasztorem w Monaghan. Napisała do przeoryszy, prosząc o przebaczenie. Matka przełożona odpisała, że ją rozgrzesza, ale zaproponowała też, by pani Jennings przyjechała do klasztoru na tygodniową kontemplację. Potem uzyska formalne zwolnienie ze ślubów. Jennings prosił, żeby nie jechała, ale psychiatra doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy może to być dla niej najlepszą terapią. Zostawiła więc Shannon pod opieką męża i pojechała do Monaghan.

- Zaczyna mi się robić niedobrze - powiedział McHugh. - Chyba domyślam się, jaki będzie koniec...

- I ma pan rację. Okazało się, że matka przełożona miała poglądy podobne jak Torquemada i hiszpańska inkwizycja, tyle że bardziej radykalne. Nigdy nie zdarzyło się jej stracić nowicjuszek, oznajmiła, i teraz też nie straci. Doprowadzi do zwolnienia Colleen ze ślubów, ale ze ślubów małżeńskich. Ich małżeństwo jest nieważne, gdyż nie zostało zawarte w Kościele. Ponieważ Colleen była innego zdania,

matka przełożona dosypała jej po południu laudanum do herbaty. Colleen zaczęła mieć wizje, została w klasztorze, ale pewnego dnia znaleziono ją martwą. Powiesiła się w swojej celi na pasku.

Rozległy się szmery i ściszone okrzyki. Paddington ciągnął:

- Jennings oczywiście wychodził z siebie. Wziął cały semestr urlopu, żeby wykręcić całą prawdę, i w końcu dowiedział się wszystkie go od klasztornej kucharki. Wystąpił z formalnym oskarżeniem przeoryszy, ale irlandzki sąd uznał, że przypadek podlega prawu kanonicznemu, a odpowiedni sąd kościelny oddalił sprawę ze względu na brak dowodów. Oczywiście był to epizod walki zielonych z pomarańczowymi mi, przy mocnym dodatkowym zaangażowaniu Kościoła irlandzkiego, który uznał, że chodzi o zbyt wielki skandal i trzeba sprawę wyciszyć.

Jennings, czemu trudno się dziwić, dostał szału. Któregoś późnego wieczoru, siedząc nad piwem w pubie w rodzinnym Armagh, opowiedział swoją historię. Okazało się, że słuchaczami byli wojujący protestanci. Monaghan leży bardzo blisko Armagh. Nic mu nie mówiąc, przedarli się któreś nocy przez granicę. Podłożyli ogień pod klasztor, zostawiając wiadomość, że jest to zemsta za porwanie i śmierć Colleen Jennings. Dwie stare zakonnice zginęły w płomieniach.

- Nie! - wykrzyknął Sandy. - Teraz oczywiście przychodzi kolej na IRA!

- Jakżeby inaczej! Tydzień później oddział szturmowy Irlandzkiej Armii Republikańskiej prześliznął się przez tę samą granicę, choć w odwrotną stronę, i napadł na domostwo Jenningsów w Armagh. Zabili matkę i młodszego brata. Z całej rodziny ocalał tylko Austin Balfour.

- Dobry Boże! - krzyknął Dunstable. - Teraz widzę motywy. A co się stało z niegodziwą matką przełożoną?

- Kościół przeniósł ją na emeryturę - odparł Glastonbury. - Jednak Jennings nie wyzbył się zapewne pragnienia zemsty za to, że stracił wszystko poza Shannon...

- To nie do wiary! - powiedział Jon. - Shannon nigdy mi o tym nie wspomniała. Myśli, że matka umarła na bardzo rzadką odmianę zapalenia płuc.

- Shannon nic nie wiedziała, i nie wie, o tych strasznych sprawach - wyjaśnił Glastonbury. - Zapalenie płuc to historia, którą Jennings wymyślił na jej użytek. Chciał jej oszczędzić dodatkowych cierpień.

- Kiedy się to wszystko stało? - zapytał Dunstable. - I dlaczego nikt o tym nie wie?

- W roku 1970, wkrótce po urodzeniu się Shannon. Dlaczego się

o tym nie mówiło? Jennings nie był jeszcze wtedy taki znany, a poza tym to tylko jedna z liczb w ponurej statystyce krwawiącej granicy. Później oczywiście nigdy o tym nie wspominał, może nawet wykreślił te fakty z pamięci... albo planował swoją własną zemstę.

- No dobrze - powiedział Dunstable - podsumujmy: irlandzcy katolicy straszliwie go skrzywdzili. Zabili mu żonę, matkę i brata, postanowił więc wziąć na nich odwet... na nich, a właściwie na całym chrześcijaństwie... pisząc aramejski tekst, co mieściło się w jego możliwościach, gdyż był lingwistycznym geniuszem, i fałszując całą resztę, czego mógł dokonać jako archeolog... Czy tak?

- Z przykrością potwierdzam. Taki właśnie wniosek wyciągnąłem - oznajmił Jon.

- My też - dodał Glastonbury.

- Brzmi to logicznie - przyznał Sandy McHugh.

- No cóż, skłonny byłbym zgodzić się, panowie, z wami - rzekł Dunstable - ale znajduję w tym rozumowaniu dwie poważne luki. Pierwsza: mogę zrozumieć, że Jennings żywi wrogię uczucia do katolicyzmu, ale przecież sprawa Rama obchodzi całe chrześcijaństwo, nie tylko katolików. Druga: mistrzostwo w aramejskim osiągnął na długo przed tragicznymi wydarzeniami z 1970 roku, prawda?

Zapadła cisza. Po chwili Dunstable kontynuował:

- Zastanawiam się więc, panowie, czy nie wyciągamy zbyt... zbyt pochopnych, zbyt monstrualnych wniosków, podważając prawość jednego z największych archeologów naszych czasów, człowieka, który przecierpiał więcej niż się nam wydaje.

Zebrani nadal milczeli.

- No cóż - przyznał Glastonbury - to, co mówisz, Gladwin, brzmi sensownie. Być może rzeczywiście podążamy niewłaściwym tropem...

- Tak bardzo chcemy znaleźć winowajcę - dodał Paddington - że nie przychodzi nam do głowy, iż w takiej sprawie może nie być winowajcy... że znaleziska są po prostu autentyczne.

Jon czuł się w tym momencie jak glista... albo coś gorszego. Powinien ramię w ramię z Dunstable'em bronić ze wszystkich sił Jenningsa. A tymczasem to on, jak Judasz, prowadzi przeciwko niemu atak. I jak tu opowiadać o heroicznej wyprawie?

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i wkroczył doktor George Lawton, niski, niepokąźny mężczyzna w laboratoryjnym fartuchu, z długimi kosmykami ciemnych włosów zaczesanych na łysą głowę.

- Przepraszam, panowie - oznajmił - ale mamy wstępne wyniki badań porównawczych.

- Słuchamy - zachęcił go Dunstable.

- Zbadaliśmy obie próbki, używając do tego celu standardowych mikroskopów, rozmaitych źródeł światła oraz stosując dyfrakcję, i stwierdziliśmy dosyć znaczne różnice. Granulacja węgla w próbce z Pompei jest bardzo jednolita, gdy tymczasem próbka Webera ma inne wymiary granulacji oraz zawiera domieszkę włókien kolageno-
Jon podjął próbę ratowania swojej hipotezy.

- Mój węgiel służył jako barwnik atramentu i był zmieszany ze składnikiem wiążącym, czy nie stąd wzięła się więc różnica granulacji? A włókno kolagenowe musiało wziąć się z pergaminu...

- To prawda, profesorze Weber, różnice można łatwo wyjaśnić i ja je tylko wymieniłem... A teraz podobieństwa... Są dwa. Jedno trzeba uznać, niestety, za niezbyt ważne. Mam na myśli zabarwienie ziarenek węgla. Powiedzmy tak: wydaje się, że obie mają ten sam stopień czerni.

- Cóż - skomentował to Dunstable. - Czerń to czerń. Węgiel to węgiel.

- Z pewnością - przyznał Lawton - aczkolwiek w przypadku węgla możliwe są niewielkie różnice zabarwienia. Jednak drugie podobieństwo jest bardziej interesujące: w obu próbkach znaleźliśmy cząstki twardej albo piaszczystej substancji, która nie jest węglem. Były zabarwione na czarno jak granulki węgla, ale o wiele twardsze.

- Co to może być? - spytał Dunstable.

- Próbowaliśmy oczyścić kilka cząstek, bez większego powodzenia, aczkolwiek zaczął pojawiać się odcień, jakby cynobrowy. Może to jakiś pył albo piasek.

Twarz Jona nagle pojaśniała. Uderzył pięścią w stół i powiedział:

- Ceramika! Czy mogą to być cząstki wypalanej gliny, doktorze Lawton? Rozważcie, panowie, czy w obu przypadkach nie mamy do czynienia z cząsteczkami tego pieca w Pompei?

- Ależ tak!... - wykrzyknął Glastonbury, któremu zawsze udawało się dojść do głosu jako pierwszemu, a w najgorszym razie drugiemu, jeżeli ktoś zdołał go uprzedzić. - Zbierając szczoteczka sady z ceramicznej powierzchni, mogłeś przecież pobrać też takie cząstki, czyż nie tak, Gladwin?

- To całkiem możliwe. Jak jednak te cząstki mogły przetrwać w próbce profesora Webera?

- Wątpię, żeby Jenni... - Sandy McHugh przerwał, bo jego słowa zabrzmiałyby jak werdykt. - Wątpię, żeby sprawca przepuścił at-
rament przez sito albo filtr, czyż nie tak?

- Może tak, może nie - odparł Dunstable. - Tak czy inaczej trzeba
pójść tym tropem. Proponuję, George, żebyś wyodrębnił te niewę-
głowe cząstki, oczyścił je najlepiej jak możesz i pokazał nam wszyst-
kim.

- Słusznie. Przepraszam panów.

Kiedy Lawton wyszedł z sali, Jon nagle zeszytywniał na swoim
krześle i powiedział:

- Coś sobie przypomniałem i mam nadzieję, że nie za późno.
Gideon Ben-Yaakov dał mi wczoraj dwadzieścia cztery godziny na
załatwienie prób w Rehovot. Jeśli zechce to sprawdzić, wszystko się
wyda, a co gorsza, Gideon może ten fakt ogłosić. Czy mogę skorzysta-
ć z pańskiego telefonu, doktorze Dunstable?

- Oczywiście.

- Scotland Yard weźmie na siebie tę rozmowę - zapewnił Gla-
stonbury. - Proszę, oto numer naszego rachunku...

- A jeśli będzie stawiał okoniem - dodał Paddington - M-5 skon-
taktuje się w Izraelu z Mosadem. którv... postara się, żeby zmienił
zdanie.

Telefonistka połączyła go w ciągu dwóch minut z Urzędem Staro-
żytności, ale sekretarka oświadczyła, że Ben-Yaakova nie ma, gdyż
wziął sobie wolny dzień. Jon tak natarczywie prosił, że w końcu
podała mu jego domowy numer telefonu. Ale w domu Ben-Yaakova
nikt nie podniósł słuchawki.

- O Boże - westchnął Jon - żeby tylko nie podał tego do publicz-
nej wiadomości!

- Spróbujemy za dziesięć minut - powiedział Glastonbury - a po-
tem regularnie także co dziesięć minut będziemy ponawiać próby.

W czasie tych przerw starali się gawędzić o sprawach obojętnych,
ale przy stole panował nastrój skupienia na jednej kwestii. Napięcie
spowodowane było oczekiwaniem na wyniki pracy Lawtona, ale tak-
że tym, że nie można było złapać Ben-Yaakova. Telefon w jego domu
dzwonił bezskutecznie.

Wkrótce drzwi znowu się otworzyły i Lawton zaproponował, żeby
wszyscy przeszli do laboratorium.

Kiedy znaleźli się w środku, powiedział:

- Wyodrębniliśmy cząstki niewęgłowe z reszty materiału i oczyś-

ciliśmy najlepiej jak mogliśmy. Mikroskop po lewej to próbka z Pompei, po prawej próbka Webera. Sami zobaczcie, panowie.

W lewym mikroskopie Jon zobaczył jasno oświetlone pole, usiane postrzępionymi kamyczkami barwy czerni, ciemnego brązu i czerwonej umbry.

Przeszedł do drugiego aparatu.

- Te kamyczki, czy raczej granulki, są w obu przypadkach bardzo podobne; jakby pochodziły z tego samego materiału, chociaż w próbce z Pompei są jaśniejsze.

Wszyscy po kolei patrzyli przez mikroskopy i zgadzali się z opinią Jona. Tylko Glastonbury potrząsnął głową i powiedział:

- Moim zdaniem wyglądają zupełnie inaczej. Przykro mi, Jonathanie. Twoje są znacznie ciemniejsze.

- Tego właśnie powinniśmy oczekiwać od granulek zanurzonych w węglowym barwniku - oznajmił Lawton.

- Och! To oczywiście! - Glastonbury palnął się w czoło. - Ale jestem głupi!

- Nie, to tylko potwierdzenie tego, że powinieneś już się wycofać, Reginaldzie - zakpił jowialnie Paddington.

- Wiedziałem, Tom, że to powiesz. Nie mógłbyś choć raz wymyślić czegoś zabawniejszego?

- Dobra robota, George - pochwalił Dunstable. - Realizuj dalej program analiz.

- Kiedy będzie pan mógł podać przybliżone wyniki? - spytał Jon.

- Dwa dni powinny wystarczyć. Ucieszyłbym się, doktorze McHugh, gdyby korzystając ze swego doświadczenia, zechciał pan ocenić serię naszych analiz.

Jon wykonał w myślach szybkie obliczenia. Jennings zapewne nie wróci jeszcze do Izraela.

- Dobrze. I dziękuję, doktorze Lawton.

Zadzwoił telefon. Telefonistka powiedziała: „Doktor Ben-Yaakov na linii”. Jon zakrył dłonią mikrofon i zwrócił się do wszystkich:

- Módlcie się za mnie, panowie. - Potem zwrócił się do Gideona: - Witaj, Gideonie. Tu Jon Weber z Londynu... Wiem, że miałem nie opuszczać Izraela, ale po prostu musiałem... Jak się wy dostałem? Opowiem ci później. Chcę ci powiedzieć, że wracam w weekend i stawię się w twoim biurze w poniedziałek. Okay? Rezultaty będziemy mieli za dwa dni, ale wstępne badania zdają się wskazywać, że obie próbki pochodzą z tego

samego źródła... Tak jest. Wiesz teraz, dlaczego nie można podawać tego do wiadomości publicznej?... Co? Przecież Jennings natychmiast się dowie! Wtedy już nigdy zapewne nie użyjemy ostatecznego dowodu!... Posłuchaj, Gideonie! W tej chwili nie obchodzi mnie, jakie prawa złamałem. Możesz wsadzić mnie do paki, jak tylko się stawię, ale nie puszczaj pary z gęby! Nie mam do ciebie żalu o to, że poszedłeś do premiera, ale proszę cię, zadzwoń do niego, gdy tylko skończymy rozmowę, i poproś o dyskrecję przynajmniej na cały przyszły tydzień. Możesz?... Wspaniale, Gideonie! Jestem twoim dłużnikiem... Masz moje słowo! Cześć!

Rozejrzał się po zebranych i powiedział:

- Na szczęście obejdzie się bez Mosadu. Nie, wycofuję się. Tom, możesz uzyskać to, żeby Mosad nie robił mi trudności na lotnisku Ben Guriona? Przylecę jako Ernst Becker i nie będę miał białego wyjazdu z Izraela!

- Zrobione - odparł Paddington i zapisał coś w notatniku.

- Mam nadzieję, że pozwoli mi pan nękać laboratorium przez najbliższe dwa dni, doktorze Dunstable? Nie widzę dla siebie innego miejsca przez najbliższe czterdzieści osiem godzin.

- Będzie pan mile widziany, profesorze Weber. Od rana zabieramy się ostro do roboty.

- Odwiozę cię do hotelu Claridge, Jonathanie - oznajmił Glastonbury. - Zarezerwowaliśmy apartament dla ciebie i Sandy'ego McHugh.

Nie zdążyli się rozpakować, kiedy Jon zaklął:

- Psiakrew! Zapomniałem zadzwonić do Shannon.

Szybko uzyskał połączenie. Skłamał mówiąc, że prace wydawnicze zatrzymały go w Tel-Awiiwie, ale za parę dni wróci.

- Jon, gdzie jesteś w Tel-Awiiwie? Dzwoniłam do twoich wydawców. Nawet nie wiedzą, że tam jesteś!

- Po co dzwoniłaś? - spróbował rozpaczliwie zmienić temat.

- Czuję się samotnie. Chciałam ci tylko powiedzieć, jak bardzo cię kocham.

Oczy Jona zaszyły łzami. Koniec z kłamstwami, przyszedł czas prawdy, nawet jeśli by miała go drogo kosztować.

- Kochanie, nie jestem... nie jestem w Tel-Awiiwie ani nawet w Izraelu.

- To gdzie?

- Shannon, nie mogę ci teraz tego powiedzieć. Mogę tylko prosić, żebyś mi zaufała. Przysięgam, że wkrótce wszystko wyjaśnię.

- Masz jakieś kłopoty, Jon? Coś się stało?
 - Nie. Wszystko dobrze. Proszę cię, staraj się mi zaufać i nie przejmować się za bardzo, dobrze?
- Zapadło przedłużające się milczenie.
- Proszę, Shannon. Zrozumiesz to już wkrótce.
 - No dobrze... ale...
 - Powiedz, kochanie, czy twój ojciec dzwonił z Anglii?
 - Nie. Myślę, że zadzwoni dzisiaj wieczorem.
 - Dobrze. Mam do ciebie prośbę. To bardzo ważne. Powiedz mi po prostu, że nie wiesz, gdzie w tej chwili jestem, okay?
 - Czy... czy z tatą wszystko w porządku?
 - Oczywiście. - Roześmiał się. - Po prostu... mam dla niego małą niespodziankę, to wszystko. A teraz, czy możesz, jak przystało na dużą dziewczynkę, nie pisać ani słówka?
 - Boże! Uwielbiam ten protekcyjny ton...
 - Ten irlandzki temperament! Żartowałem, po prostu żartowałem. I nie proszę, byś kłamała, bo przecież naprawdę nie wiesz, gdzie jestem.
 - Owszem, wiem - szepnęła. - Tutaj, w moim sercu.
 - I mam nadzieję, że zostanę tam przez resztę życia. Do rychłego zobaczenia.

Nazajutrz od rana przystąpiono w Instytucie Archeologii do realizacji programów testów. Dunstable polecił przerwać wszelkie inne badania, żeby można było bez zwłoki zająć się obiema próbkami - pieczętowanymi, ale na pełny gaz.

- Badanie mikroskopem elektronowym wykazało, że niewęglowe cząstki w obu próbkach to rzeczywiście ceramika - oznajmił Lawton.
- W obu wyodrębniliśmy ceramikę, tak że mamy w tej chwili cztery próbki, które będziemy badać metodami PDCE i ESCA.

Przez następne godziny Jon i Sandy biegali od jednego monitora do drugiego. Zgodność „ceramiki pompejańskiej” i „ceramiki z *titulusa*” była coraz bardziej oczywista.

- Jak dotąd, Jonnie, chłopie - oświadczył Sandy - wygląda mi na to, że twoje pływackie wyczyny nie poszły na marne.
- Znowu mówisz z tym straszonym irlandzkim akcentem, Sandy. To dla mnie lepszy znak niż wszystkie testy.

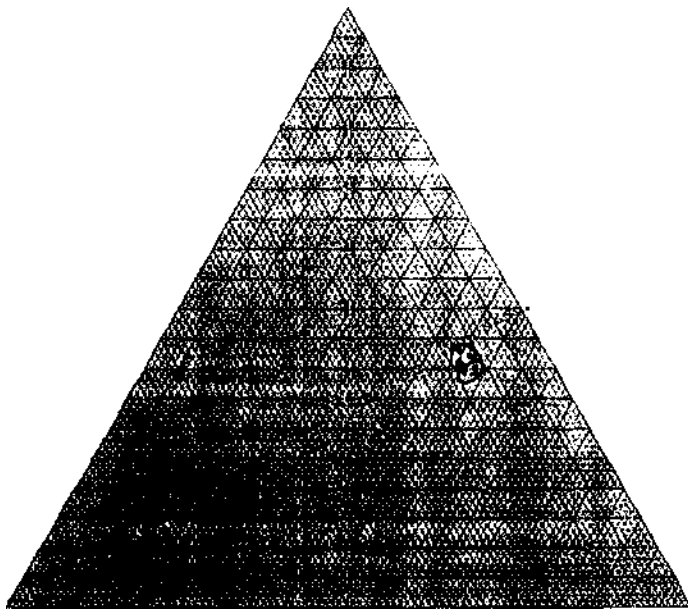
Następnego dnia po południu zebrali się znowu w sali konferencyjnej instytutu. Gładwin Dunstable podsumował wyniki.

- Jak, panowie, wiecie, porównania węgla potwierdziły podobieństwo, aczkolwiek jest też drobna różnica, którą można przypisać temu, że w jednym przypadku węgiel został rozpuszczony, tworząc atrament. Z przyjemnością mogę też oświadczyć, że została jeszcze wystarczająca ilość węgla w obu próbkach, żeby przeprowadzić w Oksfordzie test metodą TAMS.

- Wspaniale! - wykrzyknął Jon.

- Badania ceramiki przyniosły rezultaty naprawdę... godne uwagi. Dzięki zastosowaniu PIXE ustalono, że w obu próbkach minerały śladowe występują w tych samych prawie ilościach. - Podał im kopie wykresu i ciągnął: - Mamy tutaj dokładną zawartość strontu, rubidu i ołowiu w każdej z dwóch próbek.

STRONT (37,35)



RUBID (12,10)

Próbka pompejańska: +++
(Nr pierwszy: średnio u.g/g)

OŁÓW (45,39)

Próbka z *titulusa* 000
(Nr drugi: średnio u.g/g)

- W przypadku próbki pompejańskiej procentowa zawartość została zaznaczona krzyżykami, które odpowiadają trzem przeprowa-

dzonym testom - wyjaśnił Dunstable - natomiast kólecčka odnoszą się do próbki pobranej z pergaminu. Glastonbury przyjrzał się wykresowi i powiedział:

- Te punkty bez wątplenia znajdują się mniej więcej w tym samym miejscu? Co oznaczają liczby?

- Mikrogramy na gram. Mikrogram to jedna milionowa grama. Każda liczba to przeciętny wynik trzech testów.

- Wygląda mi to jak dwa identyczne odciski palców - zabrał głos Paddington.

- Niezła analogia, Tom - zarechotał Glastonbury - zważywszy skrzywienie zawodowe... Co ty myślisz, Jonathanie? Nie okazałeś wielkiego entuzjazmu...

- No cóż - odparł Jon - najważniejsze pytanie brzmi: czy to laboratorium jest w stanie zaświadczyć, że obie próbki pochodzą z tego samego źródła? Jeśli tak, problem jest rozwiązany. Jeśli nie... - Przerwał i uniósł ręce w geście wyrażającym bezradność.

Lawton zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno.

- Moim zdaniem pochodzą z tego samego źródła. Ale... gdybym musiał stanąć przed sądem, nie jestem wcale pewien, czy moja opinia by przeważała.

- Dlaczego? - zapytał Jon.

- Sadze zebrane z powierzchni ceramicznych były w starożytności surowcem powszechnie stosowanym do wyrobu atramentu.

- A identyczność cząstek gliny?

- Czy potrafimy dowieść, że są naprawdę identyczne? Może tak, może nie.

- Nie możemy też lekceważyć możliwości, że chodzi tu po prostu o ślepy traf - dodał Paddington. - Nie jestem Henrim Berthoud, mogę wyobrazić sobie taki scenariusz: atrament został wyprodukowany w Pompei, a następnie - kto wie? - sprzedany do Palestyny. Piłat użył go przy pisaniu tabliczki, no i autentyczność jest znowu potwierdzona.

- Tak, rozumiem - powiedział Jon. - Można też, jak sądzę, wziąć pod uwagę i taki rozwój wydarzeń: nie Jennings, ale kto inny wykorzystał sądzę i dokonał fałszerstwa, jeśli naprawdę mamy do czynienia z fałszerstwem

- Gładwin, byłeś tam - zaśmiał się Glastonbury. - Może to twoja sprawka!

Dunstable zrobił zabawną minę, podniósł ręce i oznajmił:

- Tak, dopadliście mnie!

Jon potrząsnął głową i zaczerpnął głęboko powietrza w płuca.

- Tak... przykro mi, ale właśnie do czegoś takiego może dojść. Panowie, jest tylko jeden sposób rozstrzygnięcia raz na zawsze tej kwestii. Chyba będę musiał przycisnąć Jenningsa i wydobyć z niego prawdę, inaczej bowiem cały świat czeka mroczna przyszłość. Z jednej strony będziemy mieli jasne potwierdzenie autentyczności odkryć w Rama, z drugiej tyle niesamowitych teorii wyjaśniających fałszerstwo, że sprawa zabójstwa Kennedy'ego będzie w porównaniu robiła wrażenie nie pozostawiającej miejsca na wątpliwości. Nasze dowody laboratoryjne mogą być jednoznaczne, ale ostateczny dowód tkwi w umyśle Jenningsa.

- Świetnie - powiedział Glastonbury - ale jak zamierzasz wydobyć z niego prawdę?

- Spotkam się z nim w cztery oczy i przekonam go, że jestem na jego tropie. Dodam, że z nikim nie podzieliłem się jeszcze moimi podejrzeniami. Muszę zaryzykować. Jennings spróbuje jakoś się ze mną rozprawić, co oznaczałoby przyznanie się do winy. Prawda wyszłaby na wierzch.

- A jeśli jest niewinny? - spytał Dunstable.

- Będę musiał go przeprosić, wyznać, że to wszystko rzuciło mi się na głowę, że ja, uczeń, ośmieliłem się podać w wątpliwość prawdę mistrza. Może kiedyś mi wybaczy.

Wszyscy zastanawiali się nad tą propozycją, a Jon ciągnął:

- Świat chrześcijański doznał tak strasznego wstrząsu, że wątpię, by maleńkie drobinki ceramiczne okazały się wystarczająco przekonujące. Dyskusje będą się toczyć przez parę następnych wieków. W tej sytuacji naszą jedyną szansą jest konfrontacja w cztery oczy z Jenningsem. Być może zdradzi się w ten czy inny sposób albo nawet przyzna do wszystkiego.

- Jeśli dowie się, że tylko ty wiesz, jak sprawy stoją - rzekł Glastonbury - grozi ci poważne niebezpieczeństwo.

- Wiem - westchnął Jon. - Może też nic z tego nie wyniknąć. Niewykluczone zresztą, że Jennings jest niewinny. Czy przychodzi ci jednak do głowy lepszy pomysł?

Nikt nie odpowiedział.

Glastonbury żegnał „Ernsta Beckera” na lotnisku Heathrow.

- Cieszę się, Jonathanie, że poddałeś się i pozwoliłeś, żeby nasi

ludzie zmienili twój wygląd. Kapelusz panamski i ciemne okulary to za mało. Wąsy i broda wyglądają naprawdę dystyngowanie, prawie tak samo dobrze jak zdjęcie Ernsta Beckera w nowym paszporcie. Od tej chwili, gdy tylko będziesz musiał wyjeżdżać z Izraela lub do niego wjeżdżać nie budząc sensacji, zmieniaj się w Beckera i przyklepaj brodę.

- Mam nadzieję, że wkrótce przestanie to być konieczne. Nie jestem stworzony do szpiegowskich sztuczek.

- Paddington załatwił z Mosadem, żeby przejęli cię na lotnisku Ben Guriona. Przeprowadzą cię przez komorę celną i zawiozą do Jerozolimy.

- To dobrze. Jak wiesz, nie zostawiłem niestety samochodu na parkingu przy lotnisku. Kiedy już zawrę pokój z Ben-Yaakovem, poproszę go, żeby zawiózł mnie do Ramallah. Muszę zjawić się tam odpowiednio wcześniej, żeby przywitać Jenningsa po jego powrocie z Oksfordu.

- Jeżeli dotychczas nie wrócił! Łącznikiem Mosadu z M-5 jest Dov Yorkin. Wygląda trochę jak żydowska odmiana Paddingtona. Poznasz go na lotnisku. Będzie twoim kontaktem, gdybyś potrzebował wsparcia o charakterze strategicznym. Albo gdybyś się znalazł w niebezpieczeństwie fizycznym. Po drodze z lotniska musisz omówić z nim parę wersji scenariusza wydarzeń.

- Słusznie.

- Gdzie mam dzwonić, żeby przekazać wyniki testów przeprowadzonych przez Dunstable'a? Chyba nie do Ramallah?

- Nie. Lepiej zostaw wiadomość w jerozolimskim Instytucie Albrighta. Adoptowałem tam pewną sekretarkę, która ma na imię Linda.

- Gratuluję, Jonathanie! No, muszę jechać do Pałacu Buckingham, żeby zapoznać z sytuacją królową. Przyjemnego lotu!

Jon usiadł na swoim miejscu. Prawy silnik odrzutowca wydawał już coraz wyższy świst. Stewardesa zaczęła zamykać drzwi kabiny.

- Ojej, mamy spóźnialskiego! - wykrzyknęła nagle i otworzyła z powrotem drzwi.

W drzwiach stanął wysoki mężczyzna o wspaniałej łysinie.

- Pociąg z Oksford spóźnił się - wytłumaczył, przepraszając za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi, profesorze Jennings - odparła stewardesa. - Pokażę panu miejsce.

Jon skulił się z przerażenia i natychmiast zasłonił się egzemplarzem „The Times”. Miejsce obok niego było puste! O Boże - modlił się bezgłośnie - jeśli zależy Ci na doprowadzeniu tej sprawy do końca...

Nic z tego. Stewardesa zatrzymała się przy nim i powiedziała:

- To pańskie miejsce, panie profesorze.

Jennings już miał usiąść, ale nagle zmienił zamiar.

- Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, że usiądę tam, na wolnych miejscach z tyłu? Chcę popracować i muszę rozłożyć papiery.

- Oczywiście, panie profesorze.

Jon chętnie odśpiewałby w tym momencie Alleluja. Jak to dobrze, że Glastonbury pomyślał o zmianie jego wyglądu. Ale i tak za dwieście minut Jennings może spostrzec, co kryje się za brodatą fasadą. Otulił się więc kocem i poduszkami, dziękując w duchu Bogu, że jest to lot nocny.

Na lotnisku czekał, aż wysiądzie Jennings. Musi teraz mieć go stale przed sobą. Przy stanowisku odprawy celnej zobaczył Dicka Cromwella, który przyjechał po Jenningsa, i raz jeszcze błogosławił Glastonbury'ego za brodę i wąsy. Kiedy tak włókł się na tyle pochodu pasażerów, poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

- Dov Yorkin... Mosad - usłyszał głos.

- Cieszę się, że pana spotkałem. Jon Weber.

- Nie - uśmiechnął się Yorkin. - Ernst Becker.

- Przepraszam. Czy dałby pan radę dowieźć mnie do Ramallah, zanim tamci dwaj tam dotrą? - Wskazał Jennings i Cromwella.

- Bez problemu - roześmiał się Yorkin. - Pojedziemy skrótem.

- I wyjaśni pan Gideonowi Ben-Yaakovowi, dlaczego nie stawiałem się u niego?

- Bez problemu.

Yorkin i jego człowiek przeprowadzili Jona przez odprawę, a następnie do czekającego mercedesa. Rozświetlając niebieskim światłem izraelską noc, pędzili w stronę Jerozolimy, ale potem skręcili w boczną, marną drogę wijącą się wśród wzgórz i dolin Judei. Kiedy Jon zaczął mieć wątpliwości co do tego skrótu, mercedes wyjechał do Ramallah i zatrzymał się przed drzwiami hotelu.

Zanim Jennings i Cromwell zdążyli dojechać swoim land roverem, Jon zdążył paść w ramiona Shannon i ubłagać ją, żeby nie wspomniała ani słowem o jego nieobecności.

XXV

Jak poszło w Oksfordzie, Austin? - zapytał Jon następnego dnia przy śniadaniu. - Wróciłeś wcześniej niż planowałeś...
- Udało się załatwić wszystko szybciej niż się spodziewałem. Muszę ci jednak powiedzieć, że posiedzenie Fundacji Rama trudno uznać za przyjemność. Odpadło wielu spośród wspierających, i to tych dużych. Jednak - zachichotał - znalazło się niemało innych. Stowarzyszenie Brytyjskich Wolnomyślicieli przyrzekło dziesięć tysięcy funtów rocznie!

- To jest coś! - roześmiała się Shannon.

- Co robiłeś, Jonathanie, podczas mojej nieobecności? Odkryłeś jakiś fakt, który dotychczas przeoczyliśmy?

Otóż to! - już miał odpowiedzieć Jon.

- Nie - odparł zamiast tego. - Sporo czasu spędziłem w Tel-Awiwie, pracując nad maszynopisem streszczenia.

- Jakież kłopoty?

- Chodzi tylko o problemy z siedmiojęzycznymi przypisami.

Spojrzała na Shannon, modląc się w duchu, żeby go nie zawiodła, chociaż chodziło przecież o jej rodzonego ojca. Popatrzyła na niego swoimi przejrzystymi oczami i nie powiedziała ani słowa. Oczywiście z Cromwellem, uszczęśliwionym, że Jonowi powiodła się niebezpieczna wyprawa do Londynu, nie było żadnych problemów.

- Pora więc ruszać na stanowiska - rzucił Jennings. - W Anglii czułem się jak ryba wyjęta z wody. W gruncie rzeczy moje życie to brudna archeologiczna robota. Właśnie to.

Pojechali do Rama. Jon uświadomił sobie ze smutkiem, że jest to być może ich ostatni normalny dzień. Późnym wieczorem zamierzał odbyć z Jenningsem rozmowę w cztery oczy.

Było już dawno po kolacji i Jennings zamierzał iść do łóżka, kiedy Jon zapukał do jego drzwi i powiedział:

- Austin, mam pewien kłopot. Czy mógłbyś przyjść do mnie i porozmawiać o tym przy kieliszku sherry?

- Oczywiście. Zaraz będę.

Jon przygotował butelkę i kieliszki, a potem krążył po pokoju, przerażony czekającym go zadaniem. Wyciągnął przed siebie rękę. Drżała. Za kilka minut stanie się oskarżycielem swojego nauczyciela, opiekuna i przyjaciela, człowieka, który był dla niego jak ojciec, a teraz miał zostać jego teściem. Będzie musiał kłamać, używać wykrętów, zastawiać psychologiczne pułapki, mając pełną świadomość, że pułapka może się zatrasnąć, ale nic się w nią nie złapie. Tutejszy szkał, jakby przysłany przez samo piekło, zaczął w tym momencie wyć. Tym razem wybrał sobie stanowisko na zboczach tuż przy hotelu.

Pukanie do drzwi.

- Proszę!

Nalewając sherry, Jon mówił o tym i owym, starając się odsunąć chwilę, kiedy będzie musiał przystąpić do właściwego tematu. Zastanawiali się, jak świat przyjmie streszczenie raportu. Snuli plany na nadchodzącą zimę. Wypili po dwa kieliszki, a Jon ciągle jeszcze nie przystępował do rzeczy.

Powoli nalał po raz trzeci i - wiedział - wcale nie ostatni. Wreszcie zdecydował się ruszyć na tę pełną goryczy wyprawę.

- Oto... oto mój kłopot... Austin - westchnął wpatrując się w mrok za oknem. - Przez wszystkie te miesiące zajmowaliśmy się poszukiwaniem luki... szczeliny... skazy... choćby strzępu dowodu nie pasującego do reszty. Zakładając, że nie są to szczątki Jezusa. Myślę, że coś takiego znalazłem.

- Naprawdę? Świetnie! Cóż to takiego?

- Czy pamiętasz, jak pytałem cię, co Gladwin Dunstable przysłał z Pompei, żebyś mógł zlecić badanie na węgiel radioaktywny laboratorium w Rehovot?

- Tak...

- Powiedziałeś mi, że był to fragment zwęglonej rączki jakiegoś narzędzia. Otóż, wybac mi, jeśli potrafisz, Austin, ale skontaktowa-

łem się z Dunstable'em, żeby dowiedzieć się dalszych szczegółów. Powiedział, że nie było żadnej rączki. Przysłał ci paczuszkę sadzy pobranej z jednego z pieców w Pompei.

- Tak, tak... no tak, oczywiście ma rację. Mam pamięć jak sito! Tak, teraz sobie przypominam. Poprosiłem o coś drewnianego. Od powiedział, że władze pozwolą tylko na coś w rodzaju sadzy.

- Twierdzi, że to ty zażądałeś próbki sadzy. I to całkiem sporej. Oczywiście Jenningsa zwięźli się.

- To mało prawdopodobne. - Potrząsnął głową. - Dlaczego jednak zainteresowałeś się czymś tak błahym, jak pytanie, co Dunstable przysłał mi z Pompei?

- Czy pamiętasz, jak Henri Berthoud przedstawiał nam wszystkie te niesamowite scenariusze fałszerstwa, kiedy dostaliśmy jakiejś paranoi i zaczęliśmy podejrzewać jedni drugich?

- Jasne! - Jennings wybuchnął śmiechem. - Ja podejrzewałem ciebie... ty Clive'a... Clive mnie i tak dalej. Tylko Shannon była za młoda, żeby mogła paść ofiarą naszej podejrzliwości!

- Wszyscy uznawaliśmy, że teoretycznie sprawcą mógł być ktoś z kierownictwa ekipy wykopaliskowej. Wkrótce potem, kiedy Montaigne zwołał konferencję prasową i oświadczył, że znalazł błędy w tekście aramejskim, właśnie ty, co trzeba uznać za rzecz dość dziwną, nalegałeś na wskazanie tych błędów, prawie jakbyś rzucał mu wyzwanie. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale później przypominałem sobie o tym wydarzeniu, które tak doskonale wyjaśniałoby twoje zachowanie, jeśli to ty byłeś sprawcą.

- Daj pokój, Jonathanie! - uśmiechnął się Jennings. - Nie pamiętasz, jakie mgliste były te wyjaśnienia Montaigne'a? Chciałem go po prostu przyszpilić. Przypominam sobie też, że to ty podniosłeś znowu tę kwestię w łacińskim patriarchacie.

- Wiem. Jednak umocniłem się w moich podejrzeniach, kiedy dowiedziałem się, że wysłałeś do Rehovot zaledwie trzy gramy sadzy.

- Chcesz powiedzieć, że sprawdzałeś to w Instytucie Weizmanna?

- Tak.

Jenningsowi twarz się wydłużyła.

- Do wszystkich diabłów, Jonathanie! - wykrzyknął. - Ty mnie naprawdę podejrzewasz! Tylko pomyśl! Przecież to wszystko działo się wiele lat temu! I co z tego, że nie posłałem całości sadzy? Po słałem tyle, ile chcieli!

Jon znowu napełnił kieliszki. Widział - i musiał widzieć to Jennings - jak bardzo drży przy tym trzymana przez niego butelka.

- No dobrze, Austin. Co w takim razie zrobiłeś z resztą sadzy? Z trzydziestoma albo czterdziestoma gramami?

- Na Boga, Jonathanie! Posmarowaliśmy sobie nimi twarze, kiedy przebieraliśmy się za śpiewaków murzyńskich! Jak, na wszystkie moce Hadesu, miałem zapamiętać, co zrobiłem z czymś takim jak sadze? I to tyle lat temu!

- W takim razie przypomnę ci. Zmieszałeś je starannie z gumą arabską i wodą, by wykorzystać jako atrament do napisania tekstu pergaminu oraz, być może zmieniając proporcje składników, do napisania listu na papirusie.

Jennings ryknął śmiechem.

- A to dobre, Jonathanie. Ale dość tych żartów. Jest już późno i muszę iść spać.

Na twarzy Jona nie zobaczył ani śladu uśmiechu.

- Mówię poważnie, Austin, ze śmiertelną powagą.

- Więc tobie też pomieszało się w głowie!

- Widzisz, woda wyparowała i nie wpłynęła na datowanie metodą węgla radioaktywnego, to samo odnosi się w znacznej mierze do żelatyny z gumy. Składnik podstawowy, węglowe *residuum*, wskazałby datę przed 79 rokiem po Chrystusie, w sam raz do twoich celów. Wszelkie analizy atramentu potwierdziłyby tylko autentyczność.

- Widzę, Jonathanie, że to wszystko wiązało się dla ciebie ze zbyt wielkim napięciem - powiedział Jennings, któremu twarz pociemniała. - Nawet nie spróbuję zgłębić twoich motywów... motywów niewdzięcznika i drania, ucznia-źmii kłusującego swego mistrza!

- Uwierz mi, że jest to najboleśniej, najstraszliwsza, najtrudniejsza rzecz, jaką mam do zrobienia w moim życiu, Austin! Serce mi krwawi.

Jennings jakby złagodniał.

- Wszyscy przeżyliśmy wstrząs. Powiedzmy jednak, że twoja szalona hipoteza jest prawdziwa. Po co, na Boga, miałbym coś takiego robić?

- Jeszcze nie wiem - skłamał Jon. - Zamierzam jednak zasugerować zespołowi Glastonbury'ego, żeby zbadał bardzo dokładnie twoją przeszłość.

- To znaczy, że nie powiedziałeś Glastonbury'emu o tych... tych swoich szalonych spekulacjach?

- Nie.

O Boże! Połknął haczyk!

- Ani nikomu innemu?

Haczyk zagłębia się coraz bardziej!

- Nie. Oczywiście, musiałem najpierw porozmawiać o tym wszystkim z tobą.

Jennings pograżył się na chwilę w myślach. Wypił spory łyk sherry i odstawił kieliszek.

- Porozmawiajmy o twoim szaleńczym scenariuszu. Czy wyobrażasz sobie, że mógłbyś kiedykolwiek dowieść, iż popełniłem czyn, o który mnie oskarżasz?

- Długo się nad tym zastanawiałem. Mógłbym zeszkrobać ciemniejszy atrament z pergaminu, wiesz, litery „daeorum” w rogu *titulusa*, i porównać zebrany materiał z sadzami z Pompei... jeśli Dunstable odnajdzie piec, z którego pobrał pierwszą próbkę. Jeżeli okaże się, że mamy do czynienia z tą samą sadzą, ty jesteś sprawcą.

Jennings roześmiał się.

- Śniesz na jawie, Jonathanie! Plan jest znakomity i pewnie nie uda mi się w nim znaleźć więcej niż siedemnaście słabych punktów.

- Na przykład.

- Na przykład, władze Sanktuarium Księgi nigdy nie pozwolą ci uszkodzić tego ani żadnego innego artefaktu. W świecie archeologicznym byłbyś wyrzutkiem.

- Myślę, że udzieliliby mi pozwolenia, gdybym wyjawiał, o co mi chodzi i w jaki sposób mogę obnażyć tajemnicę.

- Mało prawdopodobne. Rozmawiałeś z nimi?

- Nie. Oczywiście nie.

- Drugi problem to próbka. Nie zdobędziesz nigdy dość materiału, żeby przeprowadzić testy na węgiel C-14.

- Są jeszcze inne testy, analiza jakościowa i ilościowa, spektrometria, analiza cząsteczek.

- I oczywiście Dunstable bez najmniejszego trudu odnajdzie właściwy piec? - Jennings uśmiechnął się.

- O ile wiem, ma niezgorszą pamięć.

- Rozmawiałeś z nim o tym?

- Oczywiście nie.

Jennings zerwał się nagle z krzesła i zaczął chodzić po pokoju.

- Wiesz, Jonathanie - powiedział przystanąwszy - może my obaj za dużo wypiliśmy. Mój nasączony alkoholem umysł nie chce przyjąć

do wiadomości tego, że prowadzimy taką rozmowę. Naprawdę myślisz, że ja to zrobiłem? Wszystko? Jon skinął głową ze smutkiem i znużeniem.

- To... to zbyt dziwaczne, żeby dało się ująć w słowa. Ale to dla mnie prawdziwy komplement, mój drogi panie. Nie znam wystarczająco aramejskiego, żeby napisać taki tekst.

- Wiem... z tym jest problem. - Jon i tym razem postanowił nie odstępować przyłbicy. - Ale kto wie? Może Glastonbury i Paddington mogłyby to zbadać. Nie wiadomo zbyt wiele o twoich czasach studenckich.

- Czy podsunąłeś im ten pomysł?

- Skądże! Jedyne, co mogłem zrobić, to przedstawić moją... moją straszną hipotezę... tobie, i tylko tobie.

- Kiedy masz zamiar ogłosić sensacyjną nowinę?

- Jutro rano poproszę władze Sanktuarium o pozwolenie na zeskrobanie atramentu z pergaminu.

- Świetnie! - oznajmił Jennings. - Pojadę z tobą... Dobrej nocy, Jonathanie. Zobaczymy się rano.

Wstał i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwia.

Jon siedział przy stole, całkowicie załamany. Poprzednie odpowiedzi Jenningsa pasowały dobrze do hipotezy. Co jednak oznaczały jego ostatnie słowa?

Tej nocy nie zmrużył oka ani na chwilę.

Następnego ranka przy śniadaniu Jennings poprosił go, by usiadł z nim przy osobnym stole.

- Jonathanie - zaczął - czy zeszły wieczór zdarzył się naprawdę... czy naprawdę doszło między nami do tej niesamowitej rozmowy? Może to tylko koszmar senny?

- To wszystko było naprawdę. Niestety. - Stwierdził, że nie potrafi spojrzeć Jenningsowi w oczy.

- No cóż, twoje odrażające podejrzenia mają jedną dobrą stronę. Skłoniły mnie do przetrzeźwienia moich starych notatek z czasów wykopalisk w Szilo. Przez pół nocy czytałem te papiery, także korespondencję z Dunstable'em, i być może udało mi się coś zauważyć. Z moich danych wynika, że głównym podejrzanym powinien być Gladwin Dunstable.

- Co?

- W tej chwili wszystko widzę znowu z całą jasnością... Pamiętaj, że działo się to wiele lat temu. Przypominam sobie jednak, że Duns-

table okazywał dziwne zainteresowanie sprawą w Piltdown i innymi podobnymi faktami. Często wypytywał mnie o sławne fałszerstwa w archeologii. Przypominam też sobie jak przez mgłę, że kiedyś, po wypiciu paru kolejek whisky, byłem już nieźle podchmielony i wtedy on zaczął opowiadać, jak można podrobić papirus dzięki odpowiedniemu spreparowaniu „starożytnego” atramentu.

- Dlaczego, do diabła, nie powiedziałeś o tym wszystkim na posiedzeniu zespołu Glastonbury'ego?

- Wtedy nie pamiętałem o tym, Jonathanie. Przypomniałem sobie dopiero po przeczytaniu w nocy moich starych notatek.

- Jaki jednak motyw mógłby mieć Dunstable?

- Skąd mam wiedzieć? - Jennings wzruszył ramionami. - Chyba że... Wiesz, był prezesem BFA....

- Co to takiego?

- *British Freethinkers Association*, Stowarzyszenie Brytyjskich Wolnomyślicieli. W każdym razie...

- Poczekaj chwilkę, Austin - przerwał Jon i wypił łyk kawy.

- Pozwól, że pomyślę.

Patrząc w okno, robił co mógł, żeby oswoić się z nowymi danymi. Jeśli Dunstable jest sprawcą, czemu tak energicznie bronił w Londynie Jenningsa? Przecież lepiej zatarłby ślady, gdyby pozwolił, żeby podejrzenie spadło na Jenningsa. Ale... ale to niewłaściwy sposób rozumowania - uświadomił sobie nagle. - Jeśli Dunstable jest fałszerzem, starałby się ukryć fakt fałszerstwa, nie zaś rzucać podejrzenie na kogo innego. I tak właśnie postępował w Londynie!

Podniósł wzrok na Jenningsa i powiedział:

- Przepraszam cię, Austin! Niewykluczone, że popełniłem... straszliwy błąd. Mów jednak dalej.

- Kiedy podczas wykopalisk w Szilo mieliśmy dzień wolny, wypuszczaliśmy się, Dunstable i ja, na rekonesansowe wypadki nad Morze Martwe. Na południe od Qumran, przy drodze do Wadi Murabba'at, natknęliśmy się na jakiś szyb. Zeszliśmy na dno i okazało się, że jest to pieczara grzebalna najwyraźniej z pierwszego wieku po Chrystusie. Byłem zafascynowany tym, że jeden ze szkieletów miał jeszcze kosmyk włosów przyklejony do czaszki. Zupełnie jak szczątki, które odkryliśmy w Rama.

- To może wszystko zmienić, Austin! Dlaczego jednak nie dokonaliście odpowiednich badań archeologicznych?

- Nie mieliśmy zezwolenia na prowadzenie wykopalisk w tym

miejscu. Zamierzałem jeszcze tam wrócić, ale jakoś do tego nie doszło.

Jennings wypił duszkiem jeszcze jedną filiżankę kawy i zaczął wpatrywać się we wzgórze widoczne za oknem.

- Nie zaznam spokoju, dopóki nie pojedę tam i nie zbadam, czy... czy szkielet zniknął. Na wszelki wypadek. Powiem wszystkim, że nie będzie mnie dzisiaj w Rama. Pojedziesz ze mną, Jonathanie.

- Jasne.

Jon znał już każdy zakręt szosy łączącej Jerozolimę z Jerychem. Jechał tędy po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Nad Morze Martwe dotarli wczesnym popołudniem. Jennings, który siedział za kierownicą land rovera, skręcił na południe i pojechał autostradą wzdłuż wybrzeża. Mniej więcej trzy mile za Qumran skręcił na zachód. Wyschniętym łożyskiem rzeki dotarli do litej skały, która zagradzała dalszą drogę.

Jennings przyjrzał się mapie, pokiwał głową i oznajmił:

- Tak, myślę, że to tutaj. Bierzemy plecaki i ruszamy. Dalej trzeba iść na piechotę. Przy odrobinie szczęścia wrócimy tu przed popołudniowym upałem.

Zarzucili plecaki na ramiona. Jon szedł za Jenningsem, który prowadził stromą ścieżką, biegnącą zygzakami po różowo-pomarańczowym stoku zwróconym ku Morzu Martwemu. Dwadzieścia minut później Jennings zatrzymał się i znowu przyjrzał się mapie.

- Tak, to tu. W tym miejscu trzeba zejść ze ścieżki. Idź za mną.

Jennings prowadził teraz przez teren bardzo nierówny, usiany głazami.

- Wszystko w porządku, Jonathanie? - zawołał do tyłu.

- Jasne. Ale myślę, że potrzebny nam cud, żeby znaleźć na tym pustkowiu studnię grzebalną.

- Przyznaję, że pomogli nam przyjaźni Beduini. O, to chyba tam, w dole za tą krawędzią.

Po dziesięciu dalszych minutach uważnej wspinaczki znaleźli się nad stromym zagłębieniem u stóp różowego granitowego urwiska, które wznosiło się jakieś sto stóp nad nimi. Jennings wskazał mały otwór przy podstawie urwiska.

- To powinno być tu.

Podszedł do otworu i przystąpił do odgarniania krzaków i odrzucania kamieni, żeby uzyskać lepszy dostęp. Potem wyjął z plecaka drabinkę sznurową i metalowy rozkładany prent.

Uklęknął przy krawędzi otworu i powiedział:

- Chodź, Jonathanie. Poświeć mi.

Jon skierował światło do wnętrza pieczary.

- Świetnie! - wykrzyknął. - To jakby szyb!

- Dlatego wzięłem drabinę. - Jennings umocował drabinę do preta, który położył w poprzek otworu. - W porządku. Utrzyma ponad pięćset funtów. Zejdź, będę ci przyświecał. Potem ja zejść, a ty będziesz świecił.

Jon nieco niezdarnie szarpnął drabinę, żeby wypróbować jej wytrzymałość, i zaczął schodzić. Drabinka kołysała się nieco, ale trzymała pewnie. Znalazł się na dnie, jakieś szesnaście albo siedemnaście stóp poniżej poziomu powierzchni.

- Okay, jestem na dnie, Austin! - wykrzyknął.

Jennings rzucił latarkę. Jon puścił drabinę, żeby złapać latarkę. W tym momencie Jennings poderwał drabinę, tak że znalazła się poza zasięgiem rąk Jona.

- Co robisz, Austin? - wrzasnął Jon.

Na górze panowała cisza. Jon zamiótł snopem światła wnętrze jaskini.

- Tu nie ma żadnej pieczary grzebalnej - powiedział. - Gdzie mam szukać?

- Rzeczywiście, nie ma tu żadnej pieczary grzebalnej - potwierdził łagodnym głosem Jennings.

- Co to znaczy?

- No cóż... przykro mi to powiedzieć, ale cała ta historia z Duns-table'em była czystym wymysłem. On nie ma nic wspólnego z Rama. Po prostu... musiałem cię tu jakoś zwabić.

Jon poczuł mdłości. Starał się jednak, żeby w jego głosie nie było słycać drżenia.

- I oczywiście cała Rama to twoja zasługa, prawda?

- Masz całkowitą rację, drogi przyjacielu. Od początku do końca.

Ja i tylko ja.

Jonowi serce waliło jak młot, czuł pulsowanie w skroniach.

- W porządku, Austin - zawołał. - Mam dwa pytania i pewnie domyślasz się jakie.

- Pozwól, że zgadnę. Jak to zrobiłem? Dlaczego? Czy tak?

- Tak jest.

- No tak... Odpowiedź na pierwsze: zacząłem od całkowicie autentycznego stanowiska wykopaliskowego. W Rama wszystko jest

prawdziwe poza tym, co znalazłeś w pieczarze... och, i poza uchwytami dzbana Józefa. Miałem okropne trudności z ich wykonaniem. Ćwiczyłem rycie napisów na ceramice, stosując wiertła z karborundu, i sporo czasu minęło, zanim mogłem wyryć napis na autentycznych uchwytach z pierwszego wieku. Oczywiście najpierw użyłem wiertel, a potem narzędzi prymitywnych, żebyście mogli dopatrzeć się niekwestionowanej roboty starożytnej. Potem „postarzyłem” napisy, wypalając je bardzo krótko przez szablony liter. Dzięki temu badanie termoluminescencyjne nie mogło podważyć autentyczności inskrypcji-

- Bardzo sprytnie, Austin. Ale kiedy to wszystko zrobiłeś?

- Och, miałem dwa bardzo długie lata na przygotowanie pieczary i jej okolicy, 1972 i 1973. Prowadziłem prace w pobliżu, w Szilo, ale weekendy spędzałem przeważnie w Rama. Oczywiście sam. Kensington przekazał prawa Oksfordowi i Fundacji Rama, a ja obie te instytucje reprezentowałem, mogłem więc bez kłopotów poruszać się po stanowiskach wykopaliskowych. Jak pamiętasz, nie prowadzono wtedy prac w Rama.

- Jak trafiłeś na pieczarę?

- Odkryłem ją jednocześnie z tą górną. Umieściłem w niej sarkofag z pierwszego wieku, wykonałem inskrypcję i wszystko z powrotem zakopałem.

- Ale jak osiągnąłeś to, żeby inskrypcja miała mniej więcej ten sam wiek co reszta sarkofagu?

- O, to nie było łatwe, mogę cię zapewnić! Możesz jednak uzyskać patynę na wapieniu, pokrywając go wilgotną ziemią z dużą zawartością żelaza, potem wystawiając na działanie powietrza, a potem znowu pokrywając ziemią, aż do skutku. Tak właśnie postępowałem z zagłębieniem liter, żeby uzyskać zgodność zabarwienia z resztą sarkofagu. Najpierw jednak musiałem umieścić w tym sarkofagu odpowiedni szkielet, prawda?

- Słusznie.

- Jak wiesz, nie jest tu trudno o szczątki pochodzące z pierwszego wieku, a te, których w końcu użyłem, pochodzą z grobów w Qumran, gdzie pracowałem pod kierunkiem de Vaux.

- Dlaczego nie wziąłeś po prostu jakiegoś szkieletu z cmentarzyska w Rama?

- Chciałem... możesz mi wierzyć. Ale nie mogłem znaleźć szczątków mężczyzny w odpowiednim wieku. Szczątki z Qumran całkiem

nieźle pasowały. Jednak płótna grzebalne wziąłem z Rama... z grobowca z okresu herodiańskiego.

- A co ze śladami po ukrzyżowaniu?

- Och! Jeśli chodzi o ślad na żebrze, użyłem po prostu rzymskiej włóczni z pierwszego wieku, potem skalpela, a na koniec wiertła z karborundu. Podobnie z pozostałymi obrażeniami. Musiałem oczywiście znaleźć też jakiś sposób, żeby uzyskać przyrosty wapna. Ale w czasach studenckich byłem bardzo dobry w chemii.

- Sama ceramika nie nasuwała poważniejszych problemów?

- Rzeczywiście, z tym nie było większych kłopotów. Miałem do dyspozycji całą kolekcję naczyń z pierwszego wieku. Podobnie z monetą i innymi artefaktami znalezionymi w sarkofagu albo obok.

- A *titulus*?

- Muszę przyznać, Jonathanie, że z tą sadzą z Pompei trafiłeś w dziesiątkę. Moje gratulacje! Mieliśmy trochę skrawków pergaminu z czasów wykopalisk w Qumran. Postarałem się, żeby jeden zniknął. Następnie spreparowałem starożytny atrament i napisałem *titulus*... To było dobrze pomyślane, muszę sam siebie pochwalić, a zwłaszcza ten błąd, który natychmiast wychwyciłeś. Czyż nie zwiększył wiarygodności znaleziska?

- Z pewnością. A różnica odcieni robiła wrażenie, jakby powstała wskutek tego, że papirus leżał dwa tysiące lat w grobowcu. Ale papirus? Jak zdołałeś...

- Sam papirus to zadziwiająco duży nie zapisany koniec jednego z mniej ważnych zwojów znad Morza Martwego. Wszystko, co miałem do zrobienia, to powstrzymać się od powiedzenia: „Nie warto zawracać sobie głowy testem C-14! Ten, kto potrafił napisać taki tekst po aramejsku, z pewnością nie użył niewłaściwego materiału!” Zdaje mi się jednak, że w końcu sam to sobie uświadomiłeś.

Była to niezwykła rozmowa. Jon wykrzykiwał pytania unosząc głowę w stronę otworu pieczary. Jennings rozkoszował się tym, że może wyjawić wreszcie swój wielki, makabryczny sekret.

- A niewiarygodnie utrafony aramejski z rzekomego listu Józefa?

- Muszę ci podziękować, Jonathanie. I w tym przypadku domyśliłeś się prawdy: znam znacznie lepiej aramejski niż ktokolwiek się domyśla. Powiem nawet coś bezdyskusyjnego: znam aramejski lepiej niż ktokolwiek na świecie... a z pewnością lepiej niż ten głupiec Montaigne, który plótł trzy po trzy o rzekomych potknięciach grama-

tycznych. Wiem, niewiele brakowało, a byłbyś mnie przyszpilił. Nękać go pytaniami, omal się nie zdradziłem.

- Miałem wrażenie, że to niezgodne z twoim charakterem, Austin. I rzeczywiście, charakter ci się zmienił. Jak uzyskałeś to, że tekst Nikodema wygląda zupełnie inaczej?

- Napisałem go lewą ręką. List Józefa prawą.

- Całe to przedsięwzięcie było diabelskim pomysłem, Austin, ale muszę przyznać, że papirus jest arcydziełem. Naprawdę sądzę, że gdyby sam Józef napisał taki list, użyłby zapewne dokładnie tej samej składni, takiego samego słownictwa.

- Staralem się, Jonathanie. Praca nad papirusem zajęła mi prawie rok. To przecież wiejski język z pierwszego wieku! Jednak prawie straciłem cierpliwość, kiedy ty i Montaigne tak marudziliście z przekładem ostatnich zdań. Kusilo mnie, żeby ci podszeptać właściwe tłumaczenie!

- Chyba jednak najgenialniejszym posunięciem było wykorzystanie pieczary, nie zaś jakiegoś innego sektora Rama.

- Och, to było, Jonathanie, niezbędne. Gdybym przygotował wszystko na którymś z pięciometrowych kwadratów Clive'a Bramp-tona, natychmiast zauważyłby, że stratyfikacja została naruszona i podniósłby alarm. Natomiast w przypadku pieczary mogłem spokojnie sfalszować artefakty, a następnie sprowadzić ciężarówkę gruzu skalnego i zasypać otwór. Reszty dokonały zimowe deszcze.

- Co by było, gdybym nie odkrył pieczary?

- Postarałbym się, żebyś pracował coraz bliżej i bliżej, a w końcu musiałbyś na nią natrafić. Na szczęście sprawiłeś się wyśmienicie.

- Oczywiście to ty zostawiłeś ciemnię otwartą i zdjęcia papirusu na wierzchu?

- Oczywiście! Naprawdę był kłopot z tym, jak sprawić, żeby świat dowiedział się o wszystkim! Gideon i jego wścibski kuzyn to był wymarzony zbieg okoliczności.

Jon przez chwilę milczał.

- No cóż, Austin, muszę ci pogratulować mimo nikczemnego charakteru twojego osiągnięcia. Nie ulega wątpliwości, że wodziłeś za nos cały świat.

- Tak, muszę to przyznać. Wyszło mi całkiem niezłe.

Wyjaśnienia Jenningsa sprawiły, że Jon popadł w jakies chorobliwe odrętwienie i niewiele myślał o tym, jak wydobyć się ze śmiertelnego niebezpieczeństwa. Teraz jednak z narastającą rozpaczą wi-

dział, że musi znaleźć wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł. Co zamierza Jennings? Zostawić go tutaj? Zabić? Jak? Zastrzelić? Zrzucić do środka odłam skalny? A może spróbuje przeciągnąć go na swoją stronę? Najpierw jednak musiał zadać jeszcze jedno pytanie.

- No dobrze, Austin - zawołał w kierunku tysej głowy przyglądającej mu się znad otworu - ale właściwie dlaczego to zrobiłeś?

- Cóż, chłopcze, długo by o tym mówić - westchnął. - Widzisz, kiedy zacząłem chodzić do szkoły, byłem bardzo oddanym i pełnym wiary chrześcijaninem. Żywiłem bezmierny podziw dla mojego ojca pastora. Jakimż był utalentowanym kaznodzieją! Jego przykład skłonił mnie do podjęcia studiów w tym samym kierunku. Kiedy byłem studentem pierwszego roku w Oksfordzie, przyjechałem do domu na przerwę wielkanocną. W Wielką Sobotę rankiem ojciec stał przy skraju trawnika przed domem i przyglądał się skrzynce pocztowej. Gdyby patrzył w przeciwną stronę, byłby się uratował. Kierowca, który wypił za dużo poprzedniego dnia, zasnął za kierownicą, zjechał na trawnik i wpadł na ojca. Nie zabił go od razu. Ojciec umarł po straszliwych cierpieniach w Niedzielę Wielkanocną.

- To straszne! Tragiczne! Ale... co to ma wspólnego z moim pytaniem?

- Bardzo dużo. To wydarzenie odebrało mi całkowicie wiarę w Opatrzność. Wystarczyłaby tak drobna interwencja ze strony Boga, że nie mogłaby nawet uchodzić za cud! Przecież kierowca mógł zasnąć ułamek sekundy wcześniej lub później! Samochód wjechałby sobie na nasz trawnik, nikomu nie wyrządzając krzywdy, a już najmniej pijanemu kierowcy. Ale Bóg nie interweniował. Musiałby to uczynić, gdyby istniał. *Ergo*, Boga nie ma.

- To rozumowanie nie jest zbyt ścisłe, Austin.

- Wtedy dla mnie było. I jest nadal. Po powrocie do Oksfordu natchmiast wyrzekłem się wszelkiej myśli o karierze duchownej. Młodzieńczy idealizm kazał mi przysiąc, że poświęcę życie sprawie wyzwolenia świata od wszelkiej formy religijnego zabobonu. Plan fałszerstwa opracowałem w ogólnych zarysach, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Zacząłem od opanowania greki i aramejskiego tak, jakby to były moje ojczyste języki.

- O tak... Myślałem o drodze na skróty, wymagającej znacznie mniej wysiłku niż Rama. Po objęciu stanowiska w Oksfordzie prowadziłem badania w Rzymie i uzyskałem dostęp do *Codex Vaticanus*.

Kiedy nikt nie widział, użyłem wynalezionej przeze mnie preparaty z cytryny i dopisałem linijkę do Ewangelii Marka, żeby zasugerować, że ciało Jezusa zostało wykradzione. - Jennings zachichotał i po chwili ciągnął: - Kwas cytrynowy był, oczywiście, niewidoczny, chciałem przecież, żeby wyglądało to na słowa usunięte przez Kościół. Jeszcze jeden problem rozwiązany! - miał ochotę wykrzyknąć Jon.

- I co się stało z twoją... hmm... dziewczyną wyprawą w krainę fałszerstwa? - spytał zamiast tego.

- Och, sądzę, że musiało to być zbyt misterne. Najwidoczniej watykańscy tępacy nie spróbowali zastosować do badań ultrafioletu.

Jon chętnie by temu zaprzeczył, ale dlaczego miałby dawać temu człowiekowi taką satysfakcję.

- Coś mi tu nie pasuje - powiedział. - Jeśli chciałeś zwalczać wszelką formę religijnego zabobonu, dlaczego twoim celem stało się właśnie chrześcijaństwo?

- Bo jest to najdoskonalszy system wierzeń, jaki zna świat. Wystarczy usunąć zwornik, a runie wszelka religijna budowla. Poza tym chrześcijaństwo jest najbardziej wrażliwe, a to ze względu na Jezusa i Jego zmartwychwstanie. Żadne odkrycie w rodzaju Rama nie mogłoby podważyć islamu czy judaizmu.

- A nowa teologia zmartwychwstania duchowego?

- To może zadowolić tylko intelektualistów. Zniszcz Wielkanoc i cielesne zmartwychwstanie, a chrześcijaństwo runie. Wasz John Updike niezłe wyraził to w *Seven Stanzas at Easter*:

Nie lądź się: jeśli wstał,
wstał w swym ciełe;
Jeśli nie odwrócił się proces rozkładu komórek,
jeśli molekuly nie zespoliły się na nowo,
jeśli aminokwasy nie zapłonęły znowu życiem,
Kościół runie.

- Więc to tak? Twój ojciec zginął w wypadku, więc chcesz swoim oszustwem ukarać cały świat?

- Nie. Jest coś jeszcze. Dotyczy to bardzo blisko dziewczyny, którą kochasz...

Opowiedział historię, którą Jon znał już dzięki Glastonbury'emu; nie przerywał jednak opowieści, bo chciał poznać jak najwięcej nowych szczegółów. Głos Jenningsa załamywał się od czasu do czasu, zwłaszcza kiedy mówił o swojej ukochanej żonie.

- Wiesz więc już wszystko, Jonathanie - zakończył. - Ta podła przeorysza uwięziła moją Colleen, oszołomiła ją laudanum i zabiła. Wszystko w imię Pana. A Kościół wymierzył jej za to klapsa! Potem IRA zabija mi matkę i brata i podpala dom. Wszystko w imię Pana! Religijny fanatyzm, Jonathanie, musi zostać po prostu wykorzeniony, bez względu na to, jak okaże się to bolesne. Widzisz, cierpieć będzie tylko jedno pokolenie. Przyszły świat, wolny od Boga, nie będzie wiedział, co to ból.

- Współczuję ci z całego serca, Austin. Nie rozumiem tylko, jak to się stało, że mogłeś tak potwornie wyolbrzymić swoją osobistą tragedię, by wciągnąć w nią cały świat!

- Cierpienie nie potrwa długo... a jaki plon wyda! To będzie jak wydanie dziecka na świat: ból znika, kiedy przychodzi radość z narodzin nowego życia. Świat musi dorosnąć, Jonathanie. Religia to niemożne szczudło zachowane z przeszłości i utrudniające od czasów Galileusza wszelki postęp, także naukowy. I nie mów mi, że Kościół uczył się na własnych błędach. Ja tylko pomagam mu zniknąć na zawsze.

- Austin, zgadzam się, Kościół nie jest wolny od błędów, ale ty kładziesz przesadny nacisk na wrogość między Kościołem a nauką. Nie słyszałem, żeby współczesny Kościół stawał na drodze jakiegokolwiek z nauk. Widzimy raczej wielką, wszechogarniającą zbieżność, jak w przypadku teorii wielkiego wybuchu i linearnego charakteru wszechświata. A to całkiem nieźle pasuje do Księgi Rodzaju.

- Być może, być może, drogi kolego, ale na własne uszy słyszałeś śmiertelną kołatkę religii, kiedy do Jerozolimy zjechały te masy pielgrzymów millenarystów, ogłupionych przez proroków głoszących koniec świata. Oto świadectwo tego, jakich spustoszeń może religia dokonać w mózgu. Każdy zdrowo myślący człowiek powinien wesprzeć mnie w dziele jej niszczenia. A te kongresy charyzmatyczne, ci ludzie, którzy mają czelność twierdzić, że Bóg w sposób nadprzyrodzony porusza niebiańsko ich językami! Jaką modlitwę słyszysz? To bełkot, Jonathanie, całkowity bełkot, siekanina słów! Gdyby stał za tym Bóg, niechby w tym, co mówią, był jakiś sens... jakaś formuła zwalczająca raka albo pozwalająca uniknąć niebezpieczeństwa. Jedno jedyne słowo w słuchawkach tego holenderskiego pilota, słowo „stop!” zapobiegłoby zderzeniu dwóch boeingów nad Wyspami Kanaryjskimi parę lat temu i setki ludzi byłyby uratowane.

- W tej sprawie nie ma między nami żadnego sporu, Austin. Ale są to zjawiska w Kościele marginalne. Z całego chrześcijaństwa wy-

bierasza maleńki odsetek i twierdzisz, że on właśnie reprezentuje całość. To jak powiedzieć, że wszyscy Żydzi na świecie ubierają się na czarno i noszą futrzane kapelusze, bo w takich strojach paradują chasydzi.

- Mam na myśli to, że religia jest matką fanatyzmu, religia i obłęd sąsiadują ze sobą w mózgu człowieka... że religia prowadzi na manowce. Ponoć hiszpański kierowca autobusu po wyjeździe w ciemnościach z Fatimy zamyka oczy i składa dłonie jak do modlitwy, bo ma to być dwudziestomilowy test na wiarę! Na Filipinach wierni każą przybić się w Wielki Piątek do krzyża! A na dłoniach i stopach Polek pojawiają się stygmaty, krwawe odpowiedniki ran Jezusa!

- Każda wspólnota ludzka na tym świecie ma w swoim dorobku tego rodzaju historie, ale u nas, w Ameryce...

- U was, w Ameryce? Jesteście religijną stolicą świata! Mam na myśli nie tylko takiego Jima Jonesa, który potrafił w Gujanie nakłonić ośmiuset swoich ogłupionych wyznawców do tego, by wypili rozpuszczony cyjanek albo takich wyznań *made in America* jak światełkowie Jehowy, mormoni czy co tam jeszcze macie. Mam na myśli także tych uzdrawiających przez wiarę, którzy odrzucają nauki medyczne i pozwalają ludziom umierać bez antybiotyków i insuliny. Wszystko w imię Pana! Chępcie się „głównym nurtem”, czyli Kościołami ewangelickimi. Ale schyłek widać wyraźnie na obu ich skrzydłach. Liberałowie wyrzekli się głoszenia Ewangelii na rzecz aktywizmu społecznego i politycznego. I nowa prawica zaraz popędziła ich śladem... Oczywiście nie wyrzekając się Ewangelii, lecz przeciwnie, wtłaczając ją masom do gardła dzięki nadużywaniu telewizji i innych mass mediów.

Jennings ciągnął bez końca swoją tyradę, a Jon w tym czasie próbował rozejrzeć się w sytuacji. Szyb był w rzeczywistości starym zbiornikiem na wodę i ściany miał zbyt gładkie, by znaleźć w nich jakiegokolwiek zaczepienie dla stóp albo palców. Wyjście bez użycia drabiny nie wchodziło w rachubę. Gdyby szyb był odrobinę węższy, można byłoby spróbować wspinaczki metodą zapierania. Uświadomił sobie, jakim głupcem, jakim durniem był nie zawiadamiając Dov Yorkina, że wybiera się na tę wyprawę z Jenningsem. Tak był zahipnotyzowany perspektywą wykrycia prawdy, że zapomniał o wszelkiej ostrożności. Teraz musiał postawić na grę defensywną, a w dodatku partię należy rozegrać jak najszybciej.

Podniósł głowę i ujrzał wielką, rumianą twarz Jenningsa nachyloną

ciągle nad otworem. Zamilkł i najwyraźniej czekał na odpowiedź. Jon skupił się, żeby przypomnieć sobie, o czym właściwie Jennings mówił.

- No tak, wygląda na to, że jesteś doskonale zorientowany w amerykańskich problemach religijnych.

- Och, zebrałem grubą teczkę na temat waszych dziwactw.

- Nie zmienia to faktu, że wrzucasz wszystkich chrześcijan do jednego worka, a to nie jest ani sprawiedliwe, ani logi...

- Spójrz więc wstecz, Jonathanie! Czym jest historia Kościoła, jeśli nie plugawą sagą o ucisku ludzi tej samej wiary, o wojnach między chrześcijanami. Chrześcijanie z Wenecji bili się z chrześcijanami z Konstantynopola, inkwizycja hiszpańska paliła na stosach heretyków i Żydów, w szesnastym wieku armie katolickie walczyły z armiami luteranckimi i całe krainy spływały krwią. Rzeź protestantów francuskich. A dalej: procesy czarownic od Joanny d'Arc do Salem w stanie Massachusetts... Tysiące tego rodzaju przerażających epizodów. I wszystko w imię Pana! A co po dzień dzisiejszy robią ze sobą nawzajem zieloni i pomarańczowi w tej kloace religijnego fanatyzmu, jaką jest Irlandia Północna? Czy nie dostrzegasz, że dokonałem najbardziej humanitarnego czynu, jaki można ofiarować światu?

- Nie, Austin, nie dostrzegam. Pierwszy gotów jestem przyznać, że kartoteka Kościoła nie jest bynajmniej bez skazy. O tym mogę cię zapewnić! Ale powodem tego jest plugastwo zwane grzechem, które przesiąka każdą instytucję działającą w społeczeństwie, także Kościół...

- Proszę, Jonathanie, oszczędź mi z łaski swojej tych kazań!

- Posłuchajże wreszcie, co ja mam do powiedzenia! Twierdzą po prostu, że nie można obwiniać Kościoła za każdy akt przemocy na tym świecie. Historia byłaby jeszcze znacznie krwawsza, gdyby nie chrześcijaństwo. To chrześcijanie wynaleźli w średniowieczu rozejm Boży, budowali szpitale dla rannych, starali się nie dopuścić do wojny w przypadku sporów, wznosili sierocińce, przytułki dla bezdomnych i...

- Tak, tak... wiem o tych drobnych zasługach, ale...

- Na tym to polega... na tym, że nie uwzględniasz zasług. Zapomniałeś, że przez całe wieki średnie wyłącznie Kościół utrzymywał przy życiu zachodnią kulturę, cywilizując barbarzyńców, którzy najechali Rzym, przepisując manuskrypty w klasztorach skryptoriach. Gdyby nie Kościół, nie byłoby czegoś takiego jak książki sprzed

wynalazku Gutenberga. Oto ty, jeden z największych na świecie znawca historii semickiej, kłasz rękę, która podawała ci kulturę i strawę!

- Tego za wiele, Jonathanie...

- Nie. Muszę powiedzieć coś gorszego. Próbujesz całkowicie odciąć tę rękę! Zapomniałeś, że chrześcijaństwo to *alma mater* zachodniej cywilizacji, karmiąca matka, która budowała szkoły i zakładała uniwersytety? Ze jego dorobek jest znacznie pożyteczniejszy niż ci się wydaje? Chrześcijaństwo jest fundamentem mnóstwa największych osiągnięć w ostatnich dwóch tysiącach, od bazylik i katedr po Leonarda da Vinci i Michała Anioła, po Jana Sebastiana Bacha. Kościół ukształtował największe umysły, którym świat zawdzięcza tę odrobinę światła, jaką zdobyliśmy, Augustyna, Akwinata, Dantego, Lutera, Szekspira, Milтона, Newtona...

- Odbiegamy od tematu, Jonathanie - przerwał Jennings. - Wcale nie twierdzą, że Kościół nie dokonał rzeczy wartościowych. Może w tamtych czasach chrześcijaństwo odegrało pozytywną rolę. Ale ja mówię o dniu dzisiejszym, o końcu dwudziestego wieku, o tym, że świat wyrósł z dzieciństwa i wielki już czas odłożyć na bok bajki, a w każdym razie widzieć w nich to, czym są, to jest wytwory fantazji. Jesteśmy sami we wszechświecie, Jonathanie, sami! Boga nie ma i im wcześniej ludzkość zda sobie z tego sprawę, tym bardziej będziemy odpowiedzialni, a odpowiedzialność to nasz obowiązek. Już najwyższy czas, żeby zamiast myśleć o gwiazdce z nieba, ulepszać świat dzięki naszym własnym wysiłkom. Teraz, nie w jakiejś mitycznej wieczności. I przestańmy wreszcie prosić o nadprzyrodzone wsparcie, gdyż nigdy go nie otrzymamy... nie możemy otrzymać.

- Jesteś całkowicie pewny?

- Tak, jestem. Nie ujrzymy, jak zjawia się *deus ex machina*, bo żaden *deus* nie istnieje! Świadczy o tym fakt, że świat jest we władaniu zła. Kiedy dochodzi do jakiejś klęski, nie robią na mnie wrażenia dane statystyczne, te trzy czy cztery tysiące Włochów zabitych podczas trzęsienia ziemi w 1980 roku, ale ciała tych dwadzieścioro pięcioro dzieci wydobytych z kościoła na wschód od Neapolu, gdzie mury runęły podczas wieczornej mszy. Nie chodzi o to, że Bóg nie sprzyja katolikom, ale o to, że Go nie ma! Im wcześniej to sobie uświadomimy, tym dla nas lepiej.

- Istnienie zła nie zaprzecza istnieniu Boga, Austin! Przeciwnie, chrześcijaństwo podsuwa rozwiązanie, podsuwa lekarstwo na zło.

W twoim systemie nie ma miejsca na żadne lekarstwo. Przewidywany przez ciebie świat bez Boga nie będzie wcale rajem. Będzie raczej przypominał piekło. A przy okazji chciałem cię zapytać, co się stało z twoją koncepcją prawdy? Jak możesz choćby najmniejszą cząstką swojego sumienia aprobować takie diabelskie oszustwo? Czy po czymś takim można żyć w zgodzie z samym sobą?

- Och, rozwiązałem ten problem bardzo prosto. Przecież szczątki Jezusa naprawdę gdzieś tu spoczywają, Jonathanie. Po prostu nie znaleźliśmy ich i pewnie nigdy nie uda się nam ich znaleźć. Muszę więc... dostarczyć dowodu.

- A jeśli twoje założenie jest najzwyczajniej w świecie fałszywe? Spadnie wtedy na ciebie wina za wydarzenie wiary milionom ludzi, nie mówiąc nawet o samobójstwach, załamaniach nerwowych i innych nieszczęściach, do jakich przez ciebie doszło... Zrzuć teraz drabinkę, żebym mógł stąd wyjść i kontynuować z tobą tę rozmowę w drodze powrotnej do Jerozolimy.

- Przykro mi, Jonathanie. Nie mogę tego zrobić.

- Dlaczego?

- Bo wiesz, jak doszło do fałszerstwa w Rama. Świat nie wie. Po prostu.

- Co zamierzasz zrobić?... Uwięzić mnie tu do końca mego życia? Zrzucić jedzenie z helikoptera?

- Nie. Tego ci nie zrobię, Jonathanie.

- Więc?

Zapadło przedłużające się milczenie.

- Naprawdę... okropnie mi przykro, Jonathanie, że muszę to zrobić właśnie tobie - powiedział potem miękkim głosem Jennings.

- Teraz, kiedy wiem... że zależy ci na mnie bardziej niż myślałem, wolałbym, żeby w tej pułapce znalazł się von Schwendener z Yale. Naprawdę chciałem przyjąć cię do rodziny. Wiem, że Shannon będzie załamana. Ale sprawa, Jonathanie... sprawa jest ważniejsza niż wszystko.

- Chcesz więc zagłodzić mnie na śmierć?

- Myślałem o tym. Ale to miejsce leży zbyt blisko Qumran. Nie mogę wykluczyć, że ktoś idący autostradą usłyszy twoje krzyki i przyjdzie ci z pomocą. Zresztą nie chcę narazić cię na cierpienia.

- Chcesz więc mnie zabić?

Znowu zapadło milczenie.

- Propan jest naprawdę bezbolesny, Jonathanie - powiedział

w końcu Jennings. - Ma bardzo słaby zapach. W przypadku Clive'a Bramptona nie było żadnych problemów.

Jon zamarł ze zgrozy.

- Co powiedziałaś? Zabiłeś Clive'a?

- Musiałem, Jonathanie, chociaż ja też bardzo go podziwiałem. Widzisz, Clive zaczął coś podejrzewać w związku z uwarstwieniem podłoża przed pieczarą w Rama. Pewnego dnia przyłapałem go w moim biurze, kiedy przeglądał rękopis sprawozdania z wcześniejszych prac Kensingtona, *Rama Survey*, i natrafił na wzmiankę o dwóch otworach jaskiniowych na północny zachód od siedliska. Oczywiście w wersji wydanej drukiem zostawiłem tylko jeden. Brampton to wywęszył. Doszło między nami do burzliwej kłótni, więc musiałem zwabić go do tego samego zbiornika. Niestety, musiałem uciec się do propanu. Przez chwilę przeklinał mnie, ale zaraz zmarł. Naprawdę odszedł w pokój.

Jon zeszywniał ze zgrozy, ale starał się nie tracić panowania nad sobą.

- Jak upozorowałeś utonięcie?

- Kiedy umarł, wyciągnąłem go na górę, zrobiłem mu sztuczne oddychanie, żeby usunąć propan z płuc, a potem zawiozłem ciało do Cezarei. Zanim wrzuciłem go do morza, wsunąłem mu w gardło cewnik i napełniłem płuca wodą morską. Teraz mogłem już wypłynąć nadmuchiwaną łódką i wrzucić go do wody. Co innego można było stwierdzić, jeśli nie utopienie?

- Dlaczego nie zostawiłeś go po prostu tutaj?

- Zniknięcie wzbudziłoby podejrzenia.

Jon pomyślał chwilę, a potem zapytał:

- Jakie masz zamiary co do... mojego ciała?

- Ciebie chyba po prostu zostawię tutaj. Kiedy znajdą cię za parę miesięcy albo lat, uznają, że doszło do tragicznego wypadku. Po prostu wpadłeś do niewidocznego zbiornika.

Jon czuł, jak żołądek podchodzi mu z przerażenia do gardła.

- Chcesz przekonać świat o autentyczności znalezisk w Rama. Czy nie będzie jednak czymś niezwykle podejrzanym fakt, że jeden z głównych odkrywców po prostu zniknął?

Jennings przez dłuższą chwilę milczał.

- A wiesz, Jonathanie, że to mi dało do myślenia... Hmm... Być może lepiej będzie zgłosić się po powrocie do Jerozolimy na policję, powiedzieć, że się rozdzieliliśmy. Zorganizujemy poszukiwania. Zo-

staniesz znaleziony po jakimś czasie, więc nie będzie zniknięcia ciała. Oczywiście przedtem usunę z szybu butlę z gazem.

- Zwariowałeś, Austin! Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Jesteś cholernym psychopata! Szaleńcem!

- Nie, Jonathanie. Moja logika jest bez skazy. Każda sprawa wymaga poświęceń. Sprawa jest wszystkim! Sam poświęciłem jej swoje życie. Przykro mi, że ty też musisz złożyć życie w ofierze.

Już czas, najwyższy czas zagrać w kolor atutowy - uświadomił sobie Jon. Ujawnić swoją wiedzę. To ostatnia deska ratunku. Gdyby nie ta możliwość, z pewnością zawiadomiłby wcześniej o tym wyjeździe Dov Yorkina i Mosad.

- Austin, niechętnie ci to mówię - zawołał, podnosząc głowę do góry - ale to ja mam ciebie w pułapce, nie ty mnie.

- Czemuż to, drogi chłopcze?

- Okłamałem cię mówiąc, że nie rozmawiałem o tobie z Gideonem, Glastonburym czy Dunstable'em. Wszyscy oni wiedzą. Wiesz, musiałem powiedzieć ci, że nikt poza mną o niczym nie wie, bo nie było innego sposobu, żebyś się przyznał. W rzeczywistości jednak byłem w Anglii w tym samym czasie co ty. Powiedziałem ci, że chcę pobrać z pergaminu próbkę atramentu, ale naprawdę już to zrobiłem. Porównaliśmy ją z sadzą, którą Dunstable przywiózł z Pompei. Taka sama zawartość trzech śladowych składników: strontu, rubidu i ołowiu!

Jennings nic nie odpowiedział. Po chwili jednak zachichotał.

- Możesz mi wyjaśnić, w jaki sposób uzyskałeś pozwolenie kierownictwa Sanktuarium na pobranie próbki? I w jaki sposób Dunstable dostarczył ci jeszcze jedną próbkę sadzy?

- W Sanktuarium najpierw zeskrobałem atrament, a potem się tłumaczyłem. Odbylem straszną rozmowę telefoniczną z Gideonem. Zabronił mi opuszczać Izrael, musiałem więc przepłynąć cieśninę między Masada a przylądkiem Costigan w Jordanii, żeby przemyścić granulki zeskrobanego atramentu. Tam powitali mnie Walt Rast i dwóch jordańskich funkcjonariuszy, którzy ułatwili mi podróż do Londynu. W tym samym czasie Dunstable poleciał do Pompei, znalazł piec, z którego brał sadze poprzednio, i pobrał nową próbkę. Dokonałiśmy porównania próbek i...

Jennings śmiał się teraz do rozpuku.

- Och, Jonathanie, jaki ty jesteś pomysłowy! Karol Dickens mógł by się niejednego od ciebie nauczyć, chłopcze! Uszkodziłeś *titulus*?

Przepłynąłeś ni mniej, ni więcej tylko Morze Martwe? Wiem, wiem, wielka ryba połknęła cię i wypluła na drugim brzegu! Zielone ludziki eskortowały cię do Ammanu, czy tak?

- Nie, Austin! To zdarzyło się naprawdę.

Słuchając swojego głosu, Jon uświadomił sobie, jak nieprawdopodobnie brzmi jego historia. Nie miał jednak wyjścia.

- Posłuchaj, Austin. Mówię prawdę. Dwudniowe badania w laboratorium Dunstable'a potwierdziły, że próbki pochodzą z tego samego źródła. Jednocześnie Paddington powiedział nam o twojej tragedii, gdyż królowa domagała się, by Scotland Yard i M-5 zdwoiły wysiłki, mógł więc...

- Ależ oczywiście! Teraz mamy audiencję u królowej w pałacu Buckingham.

- Nie. Tego nie powiedziałem.

- Ha, ha, ha! - zaśmiewał się Jennings. - A teraz Lewis Carroll i Jonathan w Krainie Czarów! Czyż nie sam Samuel Johnson powiedział: „Może pan być pewny: kiedy człowiek wie, że zaraz będzie powieszony, potrafi cudownie skoncentrować władze swojego umysłu”? Wydaje się, że tego rodzaju perspektywa pobudziła, Jonathanie, twoją wyobraźnię. Nie wierzę ani jednemu słowu! No, do roboty! Wkrótce z tobą skończę.

Głowa Jenningsa zniknęła i Jon widział przez otwór tylko kobaltowe niebo. Rozpaczliwie omiatał światłem latarki ściany szybu. Robił wrażenie naturalnego zbiornika, którego Beduini używali prawdopodobnie w porze deszczowej, zobaczył bowiem ślad świadczący o tym, że woda sięgała do jednej trzeciej wysokości. Pod stopami miał zielony osad. Było to także najwspanialsze naturalne więzienie, jakie mógłby znaleźć Jennings. Więzienie i komora śmierci! Chociaż strach sprawił, że drętwiały mu kończyny, starał się zachować chłodny umysł i rozpaczliwie szukał jakiejś możliwości wydostania się z pułapki. Cała sytuacja wydawała się nierealna. To niemożliwe - mówił sobie. Ale czuł, jak panika skręca mu wnętrzności.

Nad otworem znowu pojawiła się łysa głowa Jenningsa.

- Wyjaśnię ci, Jonathanie, jak to jest z propanem - zaczął mówić, przywiązując linę do pękatej białej butli, którą przyciągnął nad otwór.

- Jest bez porównania lepszy od cyjanku, bo możesz go kupić w każdym sportowym sklepie jako paliwo do kuchenki. Nie jest też tak śmierdzący i niebezpieczny jak cyjanek. W gruncie rzeczy nie jest to gaz trujący. Jest jednak cięższy od powietrza i stopniowo wypiera

tlen. Gromadzi się więc na dnie zbiornika i człowiek umiera z powodu niedotlenienia krwi.

- Skąd masz ten kanister? Nie widziałem, żebyś go niósł.

- Ależ oczywiście. Po śmierci Clive'a napełniłem go z powrotem i ukryłem wśród skał na wypadek, gdybym miał go jeszcze raz użyć. Jak widzisz, zabezpieczyłem się na każdą ewentualność. Dlatego zresztą przez wszystkie te lata musiałem pracować absolutnie sam. Tylko pomyśl! Chyba można by to nazwać zbrodnią doskonałą, ponieważ jednak uwalniam świat od kajdan bezwartościowych wierzeń, nie jest to żadna zbrodnia.

- Nie wyobrażaj sobie, że byłaby to zbrodnia doskonała - wykrzyknął Jon. - Przeciwnie, pozostanie po niej ślad nie do usunięcia! Czy uświadamiasz sobie, ile osób wie w tej chwili, co zrobiłeś? Co najmniej dziewięć albo dziesięć! W samym Izraelu masz Gideona Ben-Yaakova, Dicka Cromwella, który zawiózł mnie nad Morze Martwe, i Dov Yorkina z Mosadu. W Jordanii jest Walter Rast. W Anglii Glastonbury, Paddington, Dunstable, Sandy McHugh i inni, w tym królowa.

- Mój drogi! A Biały Dom i prezydent Bronson? - szydził Jennings.

- Prezydent i Departament Stanu znają prawdę połowicznie. Dzięki temu miałem pomoc władz jordańskich przy przeprawie przez Morze Martwe.

- A Organizacja Narodów Zjednoczonych? - naigrawał się Jennings. - Zrobiłeś, co mogłeś, Jonathanie.

- Jesteś szalony, Austin! Mówię ci prawdę! Drugie morderstwo znacznie pogorszy twoją sytuację!

Jennings nie zwracał na niego uwagi.

- Otwieram teraz całkowicie kurek - oznajmił. - To nie potrwa długo. Jeśli chcesz, żeby wszystko skończyło się szybko, połóż się na dnie zbiornika. Jeśli chcesz po raz ostatni nad czymś porozmyślać, stój.

- Austin, leciałem z Londynu tym samym samolotem co ty! Mogę tego dowieść. Spóźniłeś się i musieli jeszcze raz otwierać z twojego powodu drzwi! Miałem przyklejone wasy i brodę.

Jennings milczał przez chwilę, ale potem znowu się roześmiał.

- Prawie ci uwierzyłem, Jonathanie. Ale oczywiście dowiedziałeś się tego od Dicka Cromwella, ponieważ to była pierwsza rzecz, jaką powiedziałem mu po przylocie.

- Nie, Austin! Byłem tam, do cholery!
- Och, zamknij się i przestań nudzić! - Jennings był tym razem zirytowany. - Nie stwarzaj większych kłopotów niż to konieczne!

Jon usłyszał straszliwy syk i zobaczył, że Jennings spuszcza białą butlę, z wyrazem determinacji na twarzy rozwijając linę.

- Jonathanie, chcę, byś wiedział, że z przykrością tracę w tobie przyjaciela, kolegę i zięcia - krzyknął Jennings znad otworu. - Okażę ci delikatność i nie będę patrzył, jak umierasz. Mógłbym tego nie wytrzymać. Wyciągnę butlę i wrócę do Qumran, żeby popytać, czy ktoś cię nie widział. Potrzebne mi przecież alibi.

Niewidoczny strumień gazu wydobywał się z sykiem z odkręconego kurka. Butla zawisła pięć stóp nad głową Jona i Jennings przywiązał linę do stalowego pręta.

- Przestań, Austin! - krzyknął Jon. - Nie wymkniesz się! Zobaczysz.

Jennings potrząsnął głową i mruknął:

- Dlaczego oni wszyscy mówią to samo? - Przez dłuższą chwilę przyglądał się Jonowi, a potem skinął głową i powiedział: - Żegnaj, Jonathanie!

Wstał, zarzucił na ramiona plecak i nie zważając na krzyki Jona ruszył w dół do land rovera.

Późnym popołudniem, kiedy już wypytał o Jona turystów w barze samoobsługowym i w sklepie pamiątkarskim w Qumran, Jennings wrócił do zbiornika, tym razem zabierając ze sobą przenośną pompę i gumowy wąż, sprzęt, którego powinni byli użyć, wchodząc po raz pierwszy do pieczary w Rama. Wniesienie po stromej ścieżce ciężkiego dwunastowoltowego akumulatora kosztowało go dużo wysiłku, tak że ciężko dyszał pnąc się ku zbiornikowi, ale akumulator był niezbędny, żeby uruchomić pompę.

Pochylił się nad otworem, zapalił latarkę i zobaczył Jona leżącego na omszałym podłożu - z rozrzuconymi sztywnymi nogami i rękoma zanurzonymi w zielonym szlamie. Żadnego oddychania, żadnego ruchu klatki piersiowej. Jon był martwy.

Jennings wyciągnął butlę z propanem. Opuścił koniec węża prawie na samo dno szybu i podłączył pompę do akumulatora. Silnik zawarczał, pompa wysysała propan z szybu i rozpraszała go w powietrzu. Jennings wyliczył sobie, że pompa powinna pracować jakieś pół godziny i przez ten czas przygotowywał ślady wskazujące na to, że

Jon poniósł śmierć w wypadku. Saperką wykopał koło otworu jakby tor, na którym biedaczysko pośliznął się, wskutek czego wpadł do dziury w ziemi. Poszerzył też otwór, by łatwiej było wpaść do środka. W pobliżu krawędzi rozłożył umiejętnie kilka kamieni, o które Jon, padając, łatwo mógł roztrzaskać sobie głowę. Aby uzyskać odpowiednie obrażenia czaszki, Jennings wziął duży kamień, wycelował i spuścił na głowę postaci spoczywającej na dnie. Skierował światło na ciało i zobaczył, że kamień roztrzaskał tył głowy. „Dobra robota” - mruknął sam do siebie.

Spojrzał na zegarek. Minęło już czterdzieści minut. Wyłączył pompę i spakował cały sprzęt. Zanim odszedł, rozejrzał się uważnie, czy niczego nie zostawił.

Po raz ostatni podszedł nad otwór i zajrzał do środka.

- Spoczywaj w pokoju, Jonathanie - powiedział. - Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światło wiekuiste niechaj mu świeci na wieki wieków.

Założył plecak. Musiał przebyć trasę dwukrotnie, żeby znieść do samochodu akumulator, kompresor, butlę i resztę sprzętu. Niespodziewanie zaczął go dręczyć drobny problem etyczny: dlaczego użył tradycyjnych słów chrześcijańskiej modlitwy nad martwym ciałem Jona? „Co tam - pocieszył sam siebie - pewnie zrobiłem to ze względu na Jona, który przecież nie utracił wiary.” On sam był ponad takie nonsensy.

XXVI

Po powrocie wieczorem do Ramallah Jennings robił wrażenie człowieka ogromnie wzburzonego. Wypytywał Shannon i Dicka Cromwella, czy Jon czasem nie wrócił przed nim. Nie. Podniósł słuchawkę i zatelefonował do jerozolimskiej policji, żeby zgłosić zaginięcie Jona.

Następnego ranka władze przystąpiły do intensywnych przeszukiwań zachodniego wybrzeża Morza Martwego. Kilka helikopterów izraelskich sił zbrojnych latało to tu, to tam nad różowo-beżowym urwiskiem powyżej Qumran, utrzymując przez cały czas kontakt radiowy z zespołami w terenie. Jennings, Shannon i Dick szli na czele środkowego zespołu poszukującego. Jennings pokazywał, gdzie mniej więcej prowadzili rekonesans archeologiczny, kiedy Jon odszedł mówiąc: „Chcę wspiąć się na ten grzbiet i zobaczyć, jak to wygląda po drugiej stronie”.

Jednak poszukiwania po drugiej stronie nie dały żadnego wyniku. Pierwszego dnia nie znaleziono najmniejszego śladu, gdyż Jennings rozmyślnie rozpoczął poszukiwania o milę dalej na północ. Shannon była przerażona.

- Jeśli coś mu się stało, umrę - łkała. - Po prostu umrę!
- No, no! - Poglaskał ją po głowie. - Nic się nie martw, córeczko.

Z pewnością go znajdziemy.

Cromwell czuł się przez cały czas rozdarty między pragnieniem, by odsłonić prawdziwe, jak się zdawało, oblicze Jenningsa, a maskowaniem się nadal, na co, czuł prawie namacalnie, nalegał Jon.

Kiedy Gideon Ben-Yaakov i Dov Yorkin przybyli do Qumran, wziął ich na bok i prosił, żeby jeszcze się nie zdradzali.

- Lepiej poczekać! - szepnął, żeby Jennings go nie usłyszał. - Jon chciałby, żeby jeszcze to odwlec.

- Uważam, że powinniśmy aresztować go już teraz - odparł Gideon. - Wystarczająco długo wodził nas za nos.

- Jeśli to zrobicie, być może nigdy nie znajdziemy Jona!

- Ma rację! - przyznał Yorkin.

- Poczekamy więc jeszcze jeden dzień - zgodził się Gideon.

- Aresztujemy go jutro o zachodzie słońca.

Następnego dnia nie znaleźli nic do przerwy na lunch.

- Może powinniśmy szukać bardziej na południe - zaproponował Jennings.

Jednak oddział wojskowy uprzedził go i zaczął już poszukiwania wzdłuż ścieżki prowadzącej do zbiornika. Dwadzieścia minut później radiotelefony zatrzeszczały: „Znaleźliśmy go!”

Wszystkie zespoły poszukiwawcze zgromadziły się w tym miejscu.

Kiedy dotarła tam grupa Jenningsa, Dick Cromwell spytał dowodzącego akcją oficera:

- Gdzie on jest?

Oficer wskazał na szyb.

- Dlaczego go nie wyciągnęliście?

- Bo nie żyje. Nie chcieliśmy go ruszać przed przybyciem fotografa.

Shannon krzyknęła, wtuliła głowę w pierś ojca i zaczęła łkać. Przybiegł fotograf, który natychmiast przystąpił do dzieła.

- Dajcie linę - rozkazał oficer, kiedy zdjęcia zostały wykonane.

Związał się w pasie i przez ramiona.

- Spuśćcie mnie. Tylko powoli. Kiedy przywiążę go do liny, ciągnijcie.

Sześciu żołnierzy zaparło się piętami o grunt tuż przy otworze i powoli popuszczalo linę. Wszyscy czekali z przerażeniem na to, co ujrzą. Shannon łkała, nie panując nad sobą. Wszyscy inni stali w milczeniu, z posępnymi minami. Gideon potrząsał głową i przytupywał z widocznym zniecierpliwieniem. Dick zacisnął pięści, gotów zdziełić Jenningsa w twarz. Sam Jennings udawał, że jest wstrząśnięty i zasmucony.

- Okay, ciągnijcie! - odezwał się głos z dna studni. - Ale powoli, powoli.

Sześciu żołnierzy zaczęło ciągnąć. Po nie kończącym się wyczekiwaniu w otworze pojawiła się zakrwawiona głowa Jona. Oczy miał otwarte, co zwiększało jeszcze bardziej grozę, jaką budził ten widok. Żołnierze rozwiązali linę.

Nagle bezwładne ciało uniosło prawą rękę, wskazując Jenningsa, i rozległ się niewyraźny głos:

- Trzeba go aresztować za... za zabicie Bramptona... i mnie... prawie.

Shannon znowu wydała okrzyk i zemdląła. Jennings stał jak skamieniały, z otwartymi ustami. W pierwszej chwili pobladł, potem twarz mu zsiniała.

Cromwell rzucił się do Jona i wykrzyknął:

- Wody! Dajcie mu wody!

Przytknęli menażkę do jego warg. Siorbał powoli i przetykał życiodajny płyn. Lekarz oczyścił ranę na tyle głowy, zdezynfekował ją i owinął głowę Jona bandażem.

Yorkin podszedł do Jenningsa i polecił:

- Proszę wyciągnąć ręce.

Jennings wykonał polecenie, a Yorkin zatrzasnął mu kajdanki na bezwładnych przegubach. Obok Jona postawili nosze.

- Nie, zaraz... za chwilę... - zaprotestował. - Chyba dam radę wstać.

- Nie ma mowy! - odezwał się stanowczym tonem Cromwell. - Gratuluję mądrego wyczynu! Co tu się dzieje? Zmartwychwstanie?

- Coś w tym rodzaju. Opowiem później.

Zatrzymali się w barze przy schronisku w Qumran. Gideon Ben-Yaakov poprosił nielicznych turystów, żeby opuścili to miejsce z powodu „nagłego wypadku”. Wniesiono Jona do klimatyzowanej jadalni.

- Napijesz się zimnego piwa? - spytał Gideon.

Jon uniósł trzy palce. Ben-Yaakov natychmiast postawił przed nim trzy butelki piwa marki Maccabee. Jon wzgardził szklanką i pierwszą butelkę opróżnił duszkiem. Był przy drugiej, kiedy Ben-Yaakov uświadomił sobie, że nie jest to najodpowiedniejszy napój dla kogoś, kto nic nie pił od dwóch dni.

- Upijesz się, Jon - powiedział, zabierając piwo i zastępując je wielkim dzbanem wody.

Jon wypił następne dwie szklanki, zanim wydobył z siebie słowo.

Jennings siedział pod strażą w drugim końcu sali. Twarz miał nabrzmiałą, wzrok wbił w podłogę. Shannon patrzyła na niego jakby nieprzytomna i nieobecna, miotana sprzecznymi uczuciami. Była wdzięczna losowi za to, że Jon żyje, martwiła się o jego rany, a jednocześnie zgroza ogarniała ją na myśl, że w to wszystko jest zamieszany jej ojciec.

Jon napełnił kolejną szklanek wodą i powiedział:

- Przede wszystkim... sam nie wiem, jak się wam wszystkim odwdzięczę za to, żeście mnie znaleźli i uratowali mi życie.

Sala rozbrzmiała oklaskami i radosnymi okrzykami.

- Wyglądasz, Jon, jakbyś sam siebie uratował! - oznajmił Cromwell. - Powiedz nam, co się stało.

Jon opowiedział ze szczegółami przebieg wydarzeń, patrząc ze smutkiem na Shannon, która przyglądała się swojemu ojcu, wstrząśnięta, że zgroza i pogardą.

- Tak więc Jennings zostawił mnie z tym... strasznym syczącym kanistrem, którego w żaden sposób nie mogłem osiągnąć - ciągnął. - Czułem już zapach gazu niosącego śmierć. Starłem się podskoczyć jak najwyżej, ale ledwie muskałem dno kanistra. Zdjąłem koszulę i zacząłem nią wymachiwać, ale butla rozbijała się tylko, nie przestając syczeć.

Wtedy przypomniałem sobie na szczęście, że propanu używa się w kuchenkach turystycznych. To była zbawcza myśl! Gdybym zdołał podpalić gaz, spaliby się nie wyrządzając mi krzywdy. Dałbym w tym momencie wszystko za pudełko zapalek, ale nie pałę. Wiedziałem też, że muszę się spieszyć, żeby nie doprowadzić do wybuchu, po którym z szybu pozostałby krater. Miałem przy sobie tylko latarkę. Gdybym miał kawałek drutu, może mógłbym dzięki baterijkom spowodować iskrę, ale nie miałem. Otworzyłem latarkę i wyjąłem baterijki, bo pomyślałem, że wywołam iskrę w inny sposób. Zacząłem otwartą krawędzią latarki trzeć o jakiś występ skalny na bocznej ścianie... Daremnie.

Przerwał i wypił następną szklanek wody.

- Jon, jeśli nie przestaniesz pić, zabierzemy ci dzban - powiedział Cromwell.

- Okay. - Jon uśmiechnął się. - Gaz doszedł mi już do piersi i zaczęło mi się kręcić w głowie, byłem oszołomiony, czułem jakąś lekkość. Spojrzałem do góry i zacząłem się modlić: „Boże, wszystko w Twoich rękach. Jeśli umrę, inni będą umieli ujawnić prawdę o Ra-

ma. Ale oni nie znają całej prawdy i wiara w Ciebie będzie nadal, śmiertelnie ugodzona. Spraw więc, by ten ciemny kamień nade mną okazał się krzemieniem i by dał iskrę. Przez Jezusa Chrystusa...”
Dosłownie tak powiedziałem!

- O Boże! - wykrzyknął Gideon. - I co się stało?

- I dobry Bóg przybył na ratunek. Obróciłem się twarzą do ściany, wtuliłem się w nią, czekając na wybuch, zamknąłem oczy i zacząłem walić krawędzią latarki o kamień wyglądający na krzemień. Pierwsze uderzenie nie dało rezultatu. Podobnie drugie. Ani trzecie. Byłem bliski poddania się. Potem pomyślałem, że gaz nie doszedł być może do tego miejsca, odczekałem więc chwilę i spróbowałem jeszcze raz. Nic. Jeszcze raz. Rozległ się potworny huk, błysnęło, poczułem straszne gorąco. Koszula się paliła. Wymachiwałem nią jak szalony, zmiatając ogień ze ścian cysterny. Czułem woń palących się włosów. Potem omal nie umarłem, bo wybuch zużył mnóstwo tlenu. Ale dzięki Bogu nad Morzem Martwym jest najcięższe powietrze na naszej planecie, wkrótce więc mogłem znowu oddychać. Podniosłem wzrok i zobaczyłem ten... ten najpiękniejszy w świecie płomień dobywający się z zaworu butli.

W sali rozległ się śmiech, któremu towarzyszyły znowu owacyjne okrzyki.

- Mogłem uznać, że ten problem mam rozwiązany - ciągnął Jon.

- Zacząłem martwić się o to, co zrobi Jennings, jeśli wróci i zobaczy płomień. Bez wątpienia ucieknie się do cyjanku. Mogę zapewnić, że chwile wyczekiwania to prawdziwy horror. Ale gasnący płomień był najpiękniejszym widokiem, jaki widziałem od czasu zachodu słońca nad Morzem Śródziemnym!

Oczywiście musiałem teraz udawać martwego. Tuż przed powrotem Jenningsa zdążyłem rozłożyć się jak długi na dnie zbiornika. Użył kompresora, żeby wypompować to, co w jego przekonaniu było propanem zgromadzonym na dnie szybu, a ja przez cały ten czas nie mogłem nawet drgnąć. Na koniec odmówił modlitwę za zmarłych!

- Odwrócił się w stronę Jenningsa. - Austin, ty cholerny hipokryto! I poszedł sobie.

- A rana na głowie? - spytał Yorkin.

- Och, prawie zapomniałem. Jennings spuścił mi na głowę wielki kamień. Na szczęście trafił tylko jego skrajem, bo inaczej byłoby po mnie.

- A co z zabójstwem Clive'a Bramptona?

Opisując, jak Jennings zatrul gazem, a potem upozorował utonięcie Bramptona, Jon widział odrazę i przerażenie na twarzach Shannon i Dicka. Nie byli w stanie spojrzeć na Jenningsa.

Wreszcie Gideon zapytał:

- Czy możesz nam powiedzieć, jak Jennings sfalszował znaleźiska w Rama?

Jon potrząsnął głową.

- To zbyt długa historia. Jestem ciągle trochę osłabiony. Opowiem jutro, w Jerozolimie, okay?

- Dobrze. Jasne.

- Aha... mam jedną prośbę - powiedział jeszcze Jon, coraz bardziej zmęczony. - Świat ma oczywiście prawo... dowiedzieć się o wszystkim. Proszę jednak, błagam, ogłoście prawdę w sposób w miarę możliwości uporządkowany. Inaczej otworzymy nową puszkę Pandory pełną plotek i pogłosek.

- Tak, to bardzo ważne - przyznał Gideon. Wstał i zwracając się do wszystkich oznajmił: - W imieniu rządu izraelskiego muszę zażądać od wszystkich obecnych dochowania całkowitej tajemnicy do momentu, kiedy zostanie ogłoszony odpowiedni komunikat. Czy wszyscy przyjęli to do wiadomości?

Wyrażono jednomyślną zgodę.

Kiedy opuszczali salę, Jon, zwracając się do Ben-Yaakova, powiedział:

- Jesteś porządnym chłopem, Gideonie. Przepraszam za wszystkie przykrości, jakie cię ostatnio przeze mnie spotkały.

- Przeciwnie, Jon - roześmiał się Ben-Yaakov. - Wybacz, że miałem cię za wandala, przemytnika, wyrzutka i maniaka!

- A co innego mogłeś o mnie myśleć?

Przez następne dwa dni wydawało się, że wszystkie izraelskie warstwy społeczne ogarnęła jakaś gorączka aktywności. Jon wracał stopniowo do siebie, a w tym czasie Izraelski Urząd Starożytności zawiadomił środki masowego przekazu na całym świecie, że powinny przysłać swoich przedstawicieli na „konferencję prasową zamykającą ostatecznie sprawę Rama”. Konferencja miała się odbyć za cztery dni. W tym czasie zatrzymany w areszcie Jennings został poddany badaniu psychiatrycznemu i specjaliści orzekli, że może stanąć przed sądem, chociaż cierpi na kompulsywną neurozę na tle religijnym. Cromwell zatelefonował do wydawców w Tel-Awiwie, żeby wstrzymać prace nad publikacją streszczenia. Shannon była

nieobecna myślami i trudno się było z nią porozumieć, gdyż to, co zrobił ojciec, było dla niej takim wstrząsem, tak ją oszołomiło, że kładło się długim cieniem na radość z uratowania Jona. Natomiast Naomi przynosiła kwiaty na grób Clive'a Bramptona i przysięgła, że jeśli tylko zdoła, zabije kiedyś Austina Balfoura Jenningsa, ponieważ w Izraelu nie ma kary śmierci.

Konferencja prasowa zamykająca sprawę Rama odbyła się w ostatni czwartek listopada, zbiegła się więc z amerykańskim Świętem Dziękczynienia. Ale weszło już prawie w zwyczaj, że ta sprawa odbiera sakralny charakter dniom świątecznym. Mieszcząca trzy i pół tysiąca osób sala Krajowego Ośrodka Konferencyjnego w Zachodniej Jeruzolimie pękała w szwach. Stół prezydialny zastawiono gęsto mikrofonami, we wszystkich przejściach umieszczono kamery telewizyjne. Naczelnik jerozolimskiej straży pożarnej omal nie dostał ataku serca.

Za stołem na podwyższeniu zasiedli trzej mężczyźni: Gideon, Jon oraz Austin Balfour Jennings. Za plecami Jenningsa stali dwaj mundurowi policjanci. Gideon Ben-Yaakov otworzył konferencję o godzinie 10⁰⁵.

- W imieniu Izraelskiego Urzędu Starożytności witam wszystkich obecnych. Jest to ostatnia konferencja prasowa w sprawie wykopalisk w Rama, z przyjemnością bowiem stwierdzamy, że wszystkie spory dotyczące tych wykopalisk zostały rozstrzygnięte. Od razu powiem, że prawie wszystkie artefakty znalezione w Rama są całkowicie autentyczne i nie mogą być kwestionowane pomimo fałszerstw, jakich dopuszczono się na terenie pieczary.

Na sali nastąpiło poruszenie. Gideon zastukał w stół, żeby przywrócić porządek, a następnie ciągnął:

- Tego największego fałszerstwa w historii dopuścił się siedzący po prawej stronie profesor Austin Balfour Jennings. Oszustwo zostało ostatecznie wykryte dzięki wysiłkom siedzącego pośrodku profesora Jonathana E. Webera. - Zrelacjonował wydarzenia nad Morzem Martwym, a potem powiedział: - Profesorze Weber, może zechciałby pan powiedzieć całemu światu, co jest autentyczne, a co zostało sfałszowane na obszarze pieczary w Rama.

Jon nachylił się w stronę mikrofonów.

- Niedługo przedstawimy pełne sprawozdanie z naszych odkryć. Jednak pokrótce sprawa przedstawia się tak... - Wymienił fałszerstwa dokonane przez Jenningsa. Na zakończenie powiedział: - Potem za sypał wejście do pieczary gruzem skalnym i ziemią zebraną w Rama

z powierzchni. Minęło od tego czasu prawie ćwierć wieku i wskutek opadów miejsce to wyglądało jakby od wieków nic się nie zmieniło. Większość obecnych wpatrywała się w Jenningsa. Siedział przed mikrofonem, policzek wsparł na dłoni lewej ręki. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Wpatrywał się niewidzącymi oczyma gdzieś w tylne rzędy sali.

- Być może dziwią się państwo - ciągnął Jon - że sprowadziliśmy tu profesora Jenningsa. Jest oskarżony nie tylko o fałszerstwo, ale i o morderstwo. Przyznał się do zabójstwa naszego znakomitego kolegi, Clive'a Bramptona.

Na sali znowu wybuchnął zgiewk. I znowu Gideon przywołał obecnych do porządku.

- Profesor Jennings oświadczył, że głęboko żałuje tego, co zrobił - ciągnął Jon. - Mogę zapewnić, że nie została zawarta żadna umowa między oskarżonym a aparatem wymiaru sprawiedliwości. Profesor Jennings oświadczył z własnej inicjatywy, że gotów jest podać wszystkim szczegóły, aby świat poznał raz na zawsze pełną prawdę i abyśmy przez następne stulecia nie musieli tworzyć jakichś dziwacznych teorii. Oddaję więc głos profesorowi Jenningsowi. Co więcej może nam pan powiedzieć, także jeśli chodzi o motyw tych czynów?

Jennings przez dłuższą chwilę milczał, a potem potrząsnął głową i powiedział do mikrofonu:

- Ja... ja nie mogę, Jonathanie. Naprawdę... chciałem, sam wiesz. Wykorzystać w naszych planach śmierć Clive'a, zasugerować, że próbowałem cię zabić i ukryć w tej studni nad Morzem Martwym... to był naprawdę wspaniały pomysł! A szczególnie ogłosić, że ja sfałszowałem to, co zostało odkryte w Rama! Rzeczywiście, zrobiłbym wszystko, żeby ukryć prawdę. Tak samo jak ojciec Montaigne byłem gotów, byłem prawie gotów poświęcić swoją zawodową reputację dla sprawy Jezusa i przyznać się do fałszerstwa. Ale ty wyszedłbyś w całej tej historii bez żadnego uszczerbku, ja zaś musiałbym zapłacić całą cenę. Resztę życia spędziłbym w więzieniu za rzekome morderstwo! To nie w porządku, Jonathanie, i nie pójdę na żadne krzywo-przysięstwo!

Zwracając się do obecnych na sali, wykrzyknął:

- Rama nie jest fałszerstwem, proszę państwa. Wszystko, co tam znaleziono, jest autentyczne! Ze smutkiem potwierdzam, że znaleźliśmy szkielet Jezusa. Nic, niestety nic, nie może mieć pierwszeństwa przed prawdą!

Sala wybuchła straszliwą wrzawą. Ten i ów z reporterów pobiegł do telefonu.

- Wyłącz mikrofon tego maniaka - syknął Gideon, zwracając się do jednego z techników.

- Tylko głupiec wyszedłby teraz z sali! - krzyknął Jon. - Mamy do czynienia po prostu z jeszcze jednym rozpaczliwym wybiegiem patologicznego oszusta! Popełniliśmy błąd, wierząc w szczerść jego żalu. Raz jeszcze próbuje wystrychnąć nas wszystkich na dudka!

Kiedy sala uciszała się stopniowo, Jon dokonał w myślach przeglądu szkód poczynionych przez diabelski geniusz Jenningsa. Od razu uświadomił sobie, że jedynym materialnym ogniwem spinającym wszystkie punkty są przeprowadzone u Dunstable'a próby cząsteczek węglowych i ceramicznych. Musiał oznajmić, że wykonane w Oksfordzie badania z wykorzystaniem akceleratora wykazały „właściwie identyczną” zawartość węgla C-14... To słówko „właściwie”! Jon zdawał sobie sprawę, że z powodu tego przysłówka i ci fanatycy, którzy żyją religią, i ci, którzy żyją demaskowaniem religii, że wszyscy dziwacy, wszyscy zwolennicy spiskowej teorii dziejów będą mieli pole do popisu przez najbliższe stulecia. Niewykluczone, że nawet wierzący nie zyskają już nigdy pewności. Będą mieli tylko „właściwie” pewność, że nie znaleziono szkieletu Jezusa.

Spojrzał w stronę Jenningsa, który nadal patrzył prosto przed siebie i tylko nieznaczny uśmiezek unosił leciutko kąciki jego dużych ust. Już miał przystąpić do wykładu na temat cząsteczek ceramicznych, kiedy przypomniał sobie o czymś lepszym, znacznie lepszym. Sięgnął po teczkę.

- Proszę państwa, nigdy nie myślałem, że do tego dojdzie i po przeżyciach nad Morzem Martwym nie przyszło mi do głowy, żeby pewną rzecz sprawdzić. Otóż, kiedy siedziałem na dnie zbiornika i Jennings wygłaszał swoją tyradę, włączyłem mały magnetofon, który zawsze mam przy sobie, żeby zarejestrować swoje osobiste uwagi. Nie mam pojęcia, czy baterijki się nie wyczerpały, ale spróbujemy...

Spróbował przewinąć taśmę, ale szpule ledwie drgnęły.

- O Boże! - szepnął. - Czy nagrało się cokolwiek?

Korespondent AP w Jerozolimie, Schmuel Sanderson, rzucił się w kierunku podium.

- Jestem pana dłużnikiem, profesorze Weber. Mam magnetofon tej samej firmy. Proszę spróbować. Dzisiaj rano założyłem nowe baterijki.

Jon podziękował mu, przełożył kasetę i przewinął ją. Nacisnął przycisk „play” i podsunął urządzenie do mikrofonu. „Trzeba sprawdzić u Lindy z Albrighta” - rozległo się we wszystkich głośnikach.

Zatrzymał magnetofon i oznajmił z zakłopotaniem:

- To moje uwagi... dalej.

Przewinął taśmę i raz jeszcze nacisnął „play”. Znowu rozległ się czysty i wyraźny głos:

„I oczywiście cała Rama to twoja zasługa, prawda?”

„Masz całkowitą rację, drogi przyjacielu. Od początku do końca. Ja i tylko ja” - huknął w odpowiedzi głos Jenningsa.

Nagrało się, i to wszystko, każde słowo! Przez następny kwadrans cała sala słuchała, skamieniała ze zdumienia, jak raz jeszcze rozgrywa się dramat sprzed kilku dni.

Potem Jon wyjął kasetę i oddał magnetofon Sandersonowi. Wyjął zużyte baterie ze swojego aparatu i położył je przed sobą na zielonym stole.

- Wielkie dzięki - zwrócił się do dwóch „paluszków”. - Dałyście z siebie wszystko. Ale uratowałyście kawał dorobku cywilizacji. Po czciwe stare ogniwa!

XXVII

Na sali zapanował nieopisany rozgardiasz. Gońcy, którzy przekazywali wiadomości na zewnątrz, zginęli w tłumie. Linie telefoniczne, telegraficzne, teleksowe, połączenia radiowe, krótkofalowe, przez satelity były przeciążone informacjami o nowym naświetleniu sprawy Rama. Następnego dnia rozniosły to po całym świecie tytuły na pierwszych stronach gazet.

„Wielkanoc w Dniu Dziękczynienia!” - głosił ogromny tytuł w „Chicago Tribune”. Na pierwszą wieść o treści konferencji prasowej rozdzwoniły się dzwony kościelne na wszystkich kontynentach. W następną niedzielę, pierwszą Adwentu, rozpoczął się nowy rok kościelny i w zatłoczonych świątyniach duchowieństwo nie omieszkowało w kazaniach zwrócić uwagi wiernych na tę szczęśliwą zbieżność, aczkolwiek zarówno owieczki, jak i pasterze byli tak poruszeni, że zamiast kazań woleli śpiewać pieśni i wznosić dziękczynne modły. Wreszcie dobiegła kresu długa noc niepewności i zmartwychwstanie. Zmartwychwstania wywołało wszędzie niesłychaną radość.

Przez następne miesiące cały świat chrześcijański świętował i tylko Jonathan Weber przeżywał ciężkie chwile. Nie chodziło o zamknięcie wykopalisk w Rama, bo i tak zrobiono wszystko, co należało, ani o dwanaście uczonych, lecz teraz prawie bezużytecznych tomów poświadczających, że odkrycia w Rama są „właściwie autentyczne”, ale o kobietę, której nie zwierzył się z podejrzeń wobec jej ojca. W ciągu tygodni po aresztowaniu Jenningsa Shannon robiła wrażenie kogoś powalonego falą budzących grozę wydarzeń, które

stały się nagle częścią jej życia. W ciągu godziny poznała posępne okoliczności śmierci swojej matki, dowiedziała się, że ojciec, którego kochała i bezbrzeżnie podziwiała, jest wyjątkowym oszustem, fałszerzem i draniem, że zabił jej bliskiego przyjaciela, bo musiał realizować swój obłądny plan, że jego zbrodnie dotknęły miliony niewinnych istot, a wreszcie że ktoś, kogo kochała z całą hojnością swego serca, zataił przed nią prawdę, potem poniósł straszną śmierć, by na „koniec powrócić między żywych. To więcej niż człowiek potrafi znieść.

Izraelski sąd zdawał sobie z tego sprawę i zarówno oskarżyciel, jak i obrońca starali się oszczędzać ją na ile tylko było to możliwe. Wszystko skrupiło się na Jonie jako na głównym świadku oskarżenia, a od czasów Adolfa Eichmanna świat nie śledził tak bacznie procesu toczącego się w Izraelu. Oskarżenie należało nawet na to, żeby nadzwyczajne prawo, ustanowione przez Kneset i umożliwiające wydanie wyroku śmierci na Eichmanna, miało zastosowanie także do Austina Balfoura Jenningsa, bo on także dopuścił się zbrodni przeciwko ludzkości. Chociaż poparcie dla tego poglądu było powszechne, skończyło się na dożywotnim więzieniu dla Jenningsa. Resztę życia miał spędzić w więziennej celi, pogrążony w studiach nad językami semickimi, pisząc słownik wiejskiej aramejszczyzny, który zadedykował „pamięci Clive'a Bramptona”. Świat naukowy był zadowolony, uważając to za wyraz skruchy, aczkolwiek nie brakowało też krytyków, którzy zastanawiali się, czy Jennings nie przygotowuje sobie narzędzi pozwalających na nowe fałszerstwo, już w dwudziestym pierwszym wieku!

Następnego dnia po ogłoszeniu wyroku Jon wrócił do Ramallah i znalazł wsunięty pod drzwi list w zaklejonej kopercie.

Jonathanie,
Wreszcie jestem w stanie ogarnąć wszystko trzeźwiejszym spojrzeniem. Mogą, na przykład, podjąć próbą zrozumienia, dlaczego zataiłeś przede mną prawdę o tacie. Popełniłeś błąd, sądząc, że córka nie umiałaby dochować tajemnicy przed ojcem, którego kocha. Czyż nie zachowałam dla siebie informacji o twojej nieobecności, kiedy ojciec wrócił z Anglii? Postąpiłam tak, bo Cię kochałam, nie tylko zaś dlatego, że przygotowałeś dla niego »niespodzianką«. Zresztą istotnie, »niespodzianki« nie zabrakło.

Nie przebaczyłam tacie tego, co zrobił. Na wieki zhańbił nazwisko Jennings. Okazałeś mi miłość i byłeś bardzo rycerski, proponując „rozwiązanie tego drobnego problemu”, dzięki zmianie nazwiska na Twoje. Kiedy jednak mężczyzna i kobieta składają sobie nawzajem przysięgę małżeńską, powinni sobie ufać. Ty nie umiałeś mi zaufać.

Jon, chcę ułożyć sobie życie od nowa. Kiedy będziesz czytał te słowa, mnie już nie będzie w Izraelu i jeśli jeszcze kiedykolwiek moja noga stanie w tym kraju, nie nastąpi to prędko. Dla mnie jest to ziemia nieświęta! Nie wracam do Oksfordu, nie próbuj więc znaleźć mnie tam ani gdzie indziej. Kochałam Cię, Jon... bardziej niż życie. Myślę, że zawsze będę wspominała naszą miłość, ale nie jestem już zakochana. Zegnaj.

Shannon

Rozmowy telefoniczne z międzynarodowymi liniami w porcie lotniczym imienia Ben Guriona nie dały żadnych rezultatów. W tym momencie Shannon ląduje... gdzie? W Anglii?

Był to straszliwy, brutalny wstrząs. Jon siedział przy stole w swojej sypialni i czytał ciągle na nowo list od Shannon, jakby któraś kolejna lektura mogła cokolwiek zmienić. Łzy napływały mu do oczu. Gdyby zawył w tym momencie szakal, Jon zadusiłby go gołymi rękami.

Następne dni i tygodnie były wypełnione poczuciem samotności i bólem. Jedyny przebłysk satysfakcji dało mu uniknięcie kontaktów z prasą. Wyglądało na to, że wszystkie tygodniki na całym świecie chciały uzyskać od niego osobistą opowieść o tym, jak zaczął podejrzewać, a później zdemaskował Jenningsa.

Ukrył się gdzieś w Galilei, ale niedługo potrafił to znieść. Za każdym razem, kiedy spoglądał na błękitną wodę Morza Galilejskiego, czuł dojmujący ból wspomnień i żal. Shannon była wszędzie: na brzegu morza, za wodospadem w Panias, w tkwiących bez ruchu na jeziorze żaglówkach, w pięknym hotelu w Tyberiadzie. Miłość bezlitośnie wystawia za wszystko rachunek: daje radość i uniesienie, ale potem każe sobie płacić monetą zmartwień i udręk.

Jedynie przed Cromwellem, który pomagał mu doprowadzić do końca prace wykopaliskowe, potrafił obnażyć swoje serce. Dick uważał za rzecz „całkiem możliwą”, że Shannon zmieni zdanie, ale psycholog z Jerozolimy, który pomógł swego czasu Noelowi Nottinghamowi, powiedział, iż uraz, jaki przeżyła, mógł zniszczyć wszystkie poprzednie uczucia.

La donna e mobile - mówił sobie Jon, próbując osiągnąć filozoficzny stan ducha. Zbyt dobrze pamiętał swoją pierwszą studencką miłość, która pewnego dnia po prostu zniknęła z jego życia - bez pocałunku na pożegnanie, bez śladu. Czyżby historia miała się powtórzyć?

Chociaż wiedział, że wzmoże to tylko jego ból, nie mógł się powstrzymać i otworzył zeszyt z wierszami, które Shannon przysłała mu wiele miesięcy temu. Czytał je ciągle na nowo. Szczególnie zapadł mu w pamięci jeden z nich.

Tęsknię za przebudzeniem w
bezpiecznej twierdzy twych
mocnych ramion.

Czekam na dzień, gdy
ciała i dusze złączymy
po wsze czasy.

- Po wsze czasy? - szepnął i poczuł falę smutku.

Tobą oddycham
i przez ciebie żyję
pełniej niż mogłam pomyśleć.

Chcę zniewolić twe serce,
trzymać je
w więzieniu mej duszy na wieki.

- Na wieki to tak krótko? - pytał pustych ścian pokoju.

* * *

Tuż przed Bożym Narodzeniem zatelefonował do Glastonbury'ego i zapytał, czy ten mógłby wyświadczyć mu osobistą przysługę, a mianowicie odnaleźć Shannon. Było bardzo prawdopodobne, że osiadła gdzieś na Wyspach Brytyjskich. Glastonbury'emu zajęło to zaskakująco dużo czasu, ale w końcu odkrył, że Shannon mieszka w Droghedzie w Irlandii. Najwyraźniej pragnęła wrócić do swoich korzeni. Jon chciał lecieć tam natychmiast, ale Glastonbury mu odradził. „Ona potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie, Jonathanie. Jeśli zjawisz się za wcześnie, być może zniweczysz szansę na jej odzyskanie.”

Na wiosnę, kiedy dobiegły końca wszystkie prace papierkowe i polowe w Rama, Jon po raz ostatni uściskał Achmeda Sa'ada i Ibrahima, prosząc, by w jego imieniu podziękowali wszystkim arabskim robotnikom, którzy tak sumiennie pracowali. Cromwell odleciał do Stanów tydzień wcześniej. W dniu wyjazdu Jon odwiedził przed południem Nikosa Papadimitriou w Muzeum Rockefellera i Claude'a Montaigne'a w Ecole Biblique.

- A nie mówiłem, że to fałszerstwo? - powiedział maleńki Francuz i zamrugał z radości.

- *Vous avez raison, mon cher Pere!* - przyznał Jon. Uścisnął zakonnik i wyszedł.

Pomyślał, żeby na zakończenie odwiedzić w więzieniu Jenningsa, ale uznał, że jednak nie. Może kiedyś.

Jego ostatnim urzędowym aktem było uczestniczenie w ponownym pogrzebaniu rzekomych szczątków Chrystusa na cmentarzu w Qumran, skąd zabrał je Jennings. Potem poszedł na grób Clive'a Bramptona.

Na lotnisko odprowadzili go Gideon Ben-Yaakov i Naomi Sharon.

- Dziękuję, Gideonie - powiedział Jon. - Byłeś wielkoduszny mimo wszystkiego, co ci zrobiłem.

- Nie! Dziękuję w imieniu archeologii, Jon. Musimy na przyszłość lepiej zabezpieczać się przed fałszerzami. Mieliśmy okazję nauczyć się niejednego.

Naomi zarzuciła mu ramiona na szyję i rozplakała się. Były to jednak łyzy radości.

- Powiedz mu, Gideonie - załkała.

Gideon rozpromienił się i oznajmił:

- Naomi... zgodziła się zostać moją żoną.

Jon osłupiał ze zdumienia.

- Cieszę się za was oboje! - wykrzyknął. - To małżeństwo naprawdę zawiązane w niebie! Obyście spłodzili całą dynastię miłośników przekopywania ziemi!

- Tego lata! - rzekła Naomi. - Jeśli przyjedziesz na ślub, zostaniesz naszym drużbą. Prawda, Gideonie?

- Bezwzględnie.

Były to najmilsze słowa pożegnania, jakie mogłem usłyszeć - rozmyślał w samolocie lecącym do Stanów. Jego urlop naukowy dobiegł końca. Trwał dwa lata, z pewnością więc był to długi urlop.

Wielkanoc przypadała w tym roku późno. Miało to być pierwsze Święto Zmartwychwstania od zamknięcia sprawy wykopalisk w Rama i całe chrześcijaństwo gotowało się do szczególnie uroczystego uczczenia tego dnia.

Shannon szuka swoich korzeni - dumął Jon. - Ja też powinienem wrócić do swoich. Przypomnił sobie, jak zaskoczył swoich rodziców dwa lata wcześniej na Boże Narodzenie. Teraz zrobi to na Wielkanoc.

Deja vu. Tym samym lotem dotarł do St. Louis, tą samą autostradą do Hannibal. Tyle że nie było ani śladu śniegu i lodu, a pobocza jaśniały świeżą zielenią i rozkwiwały dzikimi kwiatami. Nabożeństwo zaczynające się o jedenastej sprowadziło do Świętego Jana tłum wiernych przenikniętych nastrojem radości. I znowu Jon założył okulary słoneczne i skulił się w ostatniej ławce, tuż obok młodych rodziców z płaczącymi noworodkami.

W ten dzień świąteczny ubrana w białą komżę postać, która weszła na ambonę, kroczyła żwawo i z uśmiechem na twarzy. Ojciec Jona wygłosił zapewne najlepsze kazanie w swoim życiu, ale z trudem przychodziło mu nie okazywać zbyt wielkiej dumy, kiedy wspominał n swoim synu, a także nie wymieniać go nadmiernie często.

Na zakończenie wielebny Erharda Webera ogarnęło oratorskie uniesienie.

Pewnie zapytacie: »Dlaczego Bóg pozwolił na coś takiego jak Rama?« Nie jestem doradcą Wszechmocnego, nie potrafię więc odpowiedzieć. Ale stare porzekadło: »Człek nie wie, co go bogaci, póki nie straci«, z pewnością nie kłamie. Chrześcijanie na całym świecie najpierw stracili sam rdzeń swojej wiary, a teraz radują się nią jak nigdy przedtem. Nowe życie wstąpiło we wszystkie wyznania, we wszystkie krainy. Widzimy wielkie rzesze, które oddają cześć Panu, i to nie tylko w Niedzielę Wielkanocną. Widzimy, jak wszystkie odłamy chrześcijaństwa przenika pragnienie jedności. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu papież Benedykt XVI zaprosił wszystkich uczonych, wszystkich przedstawicieli Kościołów, którzy tak ciężko pracowali w Jerozolimie, by przybyli do Rzymu i zaplanowali wielki sobór ekumeniczny, Vaticanum III, ku większej jedności chrześcijan. Tak zatem raz jeszcze Bóg zechciał ludzki plan czynienia zła obrócić w dobro. W tę Wielkanoc jest znowu z nami Wyzwoliciel, nie zaś zwodziciel. Możemy ufnie czekać na życie po śmierci, nie zaś na rozkład i rozpad w proch. Mamy przed sobą zmartwychwstanie ciała i wieczne życie! Amen!

- Amen! - odpowiedzieli zgromadzeni.

Ojciec Jona zamknął Biblię i zaczął schodzić z ambony. Nagle jednak zawrócił, uśmiechnął się i wykrzyknął:

- Chrystus powstał z martwych!

- Zaprawdę, powstał z martwych! - odpowiedzieli wierni zgodnie z wielkanocnym obrzędkiem.

Chociaż Jon słyszał te słowa setki razy od czasów dzieciństwa i szkółki niedzielnej, nigdy nie były dlań tak bogate w znaczenie jak dzisiaj.

Oczy zaszyły mu łzami, nie widział więc postaci, która szła w jego kierunku z drugiej strony świątyni, a teraz stanęła obok niego w ludzkiej ciżbie.

- Dlaczego nie zdejmiesz tych głupich okularów, żeby ludzie zobaczyli jednego z wielkich Bożych bohaterów? - szepnęła. - A może ktoś inny ma mnie przedstawić twoim rodzicom?

Shannon nigdy nie była taka piękna. Biło od niej światło nowej wiosny, nowej Wielkiej Nocy, święta ich obojga. Jon przyciągnął ją do siebie, czując, jak przepelnia go fala szczęścia bez skazy. Później dowie się, jak się tu znalazła. Na razie wystarczy, że niebo zstąpiło na ziemię.

- Co za zachowanie? I to w przybytku Bożym! - szepnął ktoś ze zgorszeniem. Ale reszta zgromadzonych śpiewała końcową pieśń tryumfu.

Nasz Król żyw znów w chwale!

Gdzie twój oścień, o śmierci?

Pan umarł, żeby zbawić dusze;

Gdzież twoje zwycięstwo, grobie?